

Jerzy Giedroyć Życie przed „Kulturą”



MAREK ŻEBROWSKI

Jerzy Giedroyć

Życie przed „Kulturą”

WYDAWNICTWO LITERACKIE

W roku 2006, Roku Jerzego Giedroycia, w setną rocznicę jego urodzin, z Maisons-Laffitte transmitowano przez radio dyskusję. Jej uczestnicy — byli wśród nich najznakomitsi z ludzi związanych z „Kulturą”, w tym profesor Bohdan Osadczuk, Leopold Unger i profesor Krzysztof Pomian — mówili wówczas o przesłaniu pisma wydawanego przez pół wieku przez bohatera tej książki, o jego stosunkach z luminarzami literatury polskiej XX wieku, nawet o zagadnieniach bieżącej polityki. Kiedy audycja dobiegała końca, brat Redaktora, śp. Henryk Giedroyc, westchnął: „I znów niemal nic nie powiedzieliśmy o Jerzym. A to podobno jego rok...”.

Działalność Jerzego Giedroycia, rolę, jaką odegrał w historii Polski, i zasługi dla kultury nieraz już opisywano. Z pewnością wiele jeszcze razy będzie się analizować i oceniać rozmaite posunięcia Giedroycia, odnajdywać ich nowe znaczenia, odtwarzać jego biografię intelektualną, na szalach naukowej i publicystycznej wagi kłaść jego „postępowość” i „konserwatyzm”. Próby takie — mniej lub bardziej udane — wiele już razy były i niewątpliwie będą nadal podejmowane.

Czegóż nie mówiono o Giedroyciu? Miał być masonem, pederastą i złodziejem, być agentem CIA i kryptokomunistą. Nie tylko jednak plotki i paszkwile bywały ze sobą sprzeczne. Również ludzie poważni i światli publicznie „zaklinali go w brąz”, by po cichu sarkać, że „zwariował”. Wielu wciąż

widzi go na obraz i podobieństwo swoje, a to jako patrona lewicy, a to prawicy.

Opisywany jest jednak niemal wyłącznie przez pryzmat pisma, które założył, mając ponad czterdzieści lat. Ci, którzy o nim mówili czy mówią — z wyjątkiem jego brata — z reguły zetknęli się z nim jeszcze później. W ten sposób umyka pół wieku, pełnego sukcesów i porażek — osobistych, politycznych i zawodowych. W świadomości społecznej Jerzy Giedroyc jest sędziwym Redaktorem „Kultury”, smutno patrzącym ze zdjęć robionych pod koniec jego życia. Dla wielu jest autorytetem, dla nikogo niemal — człowiekiem z krwi i kości.

Próby opisanego życia — interesującego przecież — były rzadkie. Zazwyczaj nie sprawdzano znanych już informacji, niewielu szukało nowych. Jedni opisywali tylko fragmenty jego biografii, drudzy ograniczali się do powtarzania tego, co on sam zawarł w *Autobiografii na cztery ręce*.

A z tą *Autobiografią*... jest pewien kłopot. Składające się na nią opowieści, podobnie jak fragmentaryczne wspomnienia publikowane w innej formie, bywają niedokładne. Pamięć ludzka jest zawodna, nic więc dziwnego, że po dziesięcioleciach własne doświadczenia nierzadko mieszają się z informacjami płynącymi z lektury czy z zasłyszczanymi wspomnieniami bliźnich. Wielekroć powtarzane, zgodnie z aktualnym stanem ducha i nastrojem opowiadającego, zmieniają się w szczegółach, tracąc na wiarygodności.

Autobiografia... ma również inny niż większość biografii charakter. Nie jest opowieścią o życiu Jerzego Giedroycia, ale jego przesłaniem. To nie to samo.

Typowy homo politicus, pozostał nim do końca życia. Swego umiłowania „taktyki” nie ukrywał, ale wręcz je demo-

nizował. „Jeżeli chodzi o politykę, jestem człowiekiem kompletnie amoralnym” — tłumaczył Teresie Torąńskiej, zdziwionej jego pomysłem zorganizowania „socjalistycznej Wolnej Europy” w Belgradzie w latach sześćdziesiątych. „Przecież pan nie jest socjalistą?” — spytała wówczas dziennikarka, by usłyszeć: „A co to ma jedno do drugiego?”.

Jerzy Giedroyc również we własnej biografii potrafił dostrzec narzędzie swej politycznej taktyki. W 1950 roku pisał do Zofii Hertz z Berlina Zachodniego, gdzie brał udział w Kongresie Wolności Kultury: „Będzie trzeba ich menażować przy okazji, bo w ogóle musimy grać trochę trockistów. Ja już od niechcenia podrzucam fantastyczne szczegóły swej biografii. Nie wynika z nich co prawda, że byłem Januszem Kowalewskim, ale w każdym razie... Dobrze to robi”. Większość uczestników Kongresu miała poglądy lewicowe, jeśli zaś idzie o Kowalewskiego — tak Giedroyc, jak i Zofia Hertz pamiętali jego „czerwoną” przeszłość.

Książka ta jest opowieścią o pierwszych czterdziestu latach życia Jerzego Giedroycia, nie — o Redaktorze „Kultury”. Odrzuciwszy ten pryzmat, można spojrzeć na niego jako na dziecko i nastolatka, syna, męża, szefa i kolegę. Wagę źródeł, do których dotarłem, określała z reguły data ich powstania. Kiedy brakowało faktów i zdany byłem na domysły, starałem się wyraźnie to zaznaczać. W wielu miejscach unikałem stawiania kropki nad „i”, w innych pozostawiałem pytania bez odpowiedzi.

Przyszłość z pewnością przyniesie nowe informacje o życiu Jerzego Giedroycia i pozwoli potwierdzić niektóre moje domysły bądź im zaprzeczyć. Można się spodziewać, że ich kopalnią będzie — na razie, zgodnie z jego wolą, niedostępne — prywatne archiwum. Świadom też jestem tego,

że nie udało mi się przebadac wielu kolekcji archiwalnych, w których z pewnością nieraz odnajdywane jeszcze będą ślady jego życia prywatnego i działalności publicznej. Część tego, co udało mi się w ciągu kilku ostatnich lat zebrać, utworzyła mozaikę prezentowaną na stronach tej książki.

Choć ufam, że nowe informacje, do jakich zdołałem dotrzeć, okażą się interesujące również dla tych, którzy postacią Jerzego Giedroycia zajmują się naukowo — pisałem tę książkę z myślą o bardzo szerokim kręgu potencjalnych czytelników. Dlatego też nieco szerzej postanowiłem przedstawić tło historyczne w przypadku wydarzeń, co do których nie miałem pewności, czy są powszechnie znane. Z tego samego powodu zrezygnowałem z obudowania tekstu aparatem naukowym, nie chcąc odstraszać Czytelnika widokiem tysięcy przypisów i odsyłaczy. Natomiast na końcu książki znaleźć można bibliografię obejmującą nie tylko pozycje, poświęcone Jerzemu Giedroyciowi, ale także wykorzystane źródła i polecane lektury. Korzystałem bowiem możliwie szeroko nie tylko z dotychczasowych publikacji i materiałów, które jeszcze nie ukazały się w druku, ale też z zasobów archiwów prywatnych i publicznych.

W książce tej nad wyraz istotne są ilustracje. Nie są one obrazkami, które można jedynie omieść wzrokiem, ale stanowią część składową tekstu. Uznałem bowiem, że reprodukcja dokumentów czy artykułów prasowych będzie atrakcyjniejszą formą niż tylko ich zacytowanie. Niektóre z nich pomagają też w pewnym stopniu odtworzyć atmosferę opisywanej epoki.

Przyjęto — za samym Redaktorem — używać w mianowniku nazwiska pisowni „Giedroyc”, z twardym „c”, bez zmiękczenia. Jest to pisownia powojenna — wcześniej Jerzy

Giedroyc występował w dokumentach jako Giedroyć. Dopiero na uchodźstwie „ć” zastąpił literą „c”. Ponieważ książka dotyczy jego życia „przed «Kulturą»”, okresu dzieciństwa i młodości, postanowiłem — za zgodą najmłodszego z braci Giedroyciów, Henryka — używać przedwojennej, polskiej pisowni jego nazwiska. Takiej, jaką sam wtedy stosował.

Nie sposób wymienić wszystkich, którym winien jestem podziękowania. Jedni — jak panie: Louise French, Grażyna Pilszak i Teresa Tyszkiewicz, czy panowie: Michał Giedroyc, Erazm Pruszyński oraz Bogumił Strzyżewski — dzielili się ze mną rodzinnymi wspomnieniami i udostępniali mi materiały z domowych archiwów. Inni byli niezwykle pomocni w poszukiwaniach, jakie prowadziłem w archiwach publicznych. Podczas pracy wspierali mnie też rodzina i przyjaciele, choć wiem, że jedni i drudzy nierzadko mieli już serdecznie dosyć zarówno mnie, jak i w bólach rodzącej się książki. Rodzicom, Halince, Magdzie, Ani, Juli, Natalii, Markowi, Wojtkowi, Panu Wiechowi — dziękuję.

Przede wszystkim jednak książka ta powstała nie tylko z inspiracji, ale też dzięki ogromnej życzliwości śp. Henryka Giedroycia, który w latach 2003–2010 dźwigał na swych barkach trud kierowania Instytutem Literackim. Bez jego zaufania i pomocy do wielu przedstawionych tu informacji nigdy bym nie dotarł. Rad jestem, że podjęta przeze mnie próba, by „wreszcie w Redaktorze dostrzec Jerzego”, przypadła mu — pierwszemu czytelnikowi tego tekstu — do gustu. Jego pamięci książkę tę poświęcam.

I. Urodzony w Domu Polaka...

Jak wyglądał Mińsk, w którym na przełomie wieków XIX i XX zamieszkał Ignacy Giedroyć? Korespondent „Tygodnika Ilustrowanego” pisał w 1905 roku o stolicy Białorusi, że „na wskroś ma wygląd miasta polskiego. Przypomina nieco Płock, Kielce, Radom. Mówię o stronie czysto zewnętrznej miasta, o charakterze ulic, gmachów, ogrodów... Rzecz inna mieszkańcy. W swoim rodzaju rzecz nawet oryginalna: stolica Białorusi — bez Białorusinów. Na ulicach słyszy się język polski, miejscami przygłuszają go głosy «Litwaków», ale oto jeszcze jedna oryginalność. Mińsk jest siedliskiem syjonizmu na całe Państwo; niemal trzy czwartej mieszkańców stanowią Żydzi — języka jednak żydowskiego prawie nie słyszy się na ulicach! (...) Tuszowana tradycja zaczyna być życiem; to, co było chowane, wysuwa się dziś na czoło. Wielka to rzecz mieć możliwość oficjalnie być tym, czym się jest w istocie! Na rogach ulic sprzedają dzienniki warszawskie, na sklepach ukazują się napisy polskie, w kościołach kazania po polsku, w teatrze gra Myszkowski, na mieście ogłoszenia o «Kurierze Litewskim», a w Mińsku myślą jeszcze o własnym piśmie polskim, o założeniu resursy na wzór Kijowa”. Choć optymizm dziennikarza warszawskiej gazety był nieco na wyrost — do czasu powstania pierwszego polskiego pisma, „Nowego Kuriera Litewskiego”, minąć miało jeszcze dziesięć lat — w Mińsku istotnie odradzała się polskość. Miejscowi Rosjanie czuli się zagrożeni, w związku z czym w 1906 roku

intensywnie zwalczali wspólny polsko-żydowski blok wyborczy.

Renesans polskości był ściśle związany z wydarzeniami, które zmienić miały oblicze całego imperium. W roku 1905 umarła gwałtowną śmiercią idea absolutnej władzy cara. W kwietniu roku następnego, na kilka dni przed otwarciem I Dumy, Mikołaj II podpisał — choć nie używano jeszcze tego słowa — konstytucję. Rosja — wydawało się — weszła na drogę demokracji parlamentarnej. Weszła jednak zbyt szybkim krokiem. Duma, opanowana przez stronnictwo konstytucyjnych demokratów, tak zwanych kadetów, zmierzała do konfrontacji z rządem. Deputowani domagali się pełnej nad nim kontroli. Nie próżnowali też zwolennicy dotychczasowego porządku, protestujący w imieniu „rosyjskiego ludu prawosławnego” przeciw „ogłupianiu obywateli Rosji obietnicami konstytucji, bredniami kadeckimi”. W całym kraju ludność żydowska żyła w strachu przed pogromami, do których nawoływały czarnosecinną „Russkaja Riecz” i Związek Narodu Rosyjskiego. Ich ofiarami stali się między innymi dwaj deputowani do Dumy. Dokonano też — nieudanego — zamachu na premiera Sergiusza Wittego. W efekcie Dumę rozwiązano 8 lipca — według starego stylu, a więc kalendarza przedrewolucyjnego — a Mikołaj II mianował premierem dotychczasowego gubernatora saratowskiego, Piotra Stołypina.

Lipiec 1906 roku był miesiącem gorącym. Poddani cesarza żyli w napięciu, niemal wyrrywając sobie z rąk codzienne gazety. Korespondenci z poszczególnych miast donosili z pewnym zdziwieniem — wszyscy przecież pamiętali gwałtowne wydarzenia roku poprzedniego — że „na ulicach panuje spokój”. Władze nie dopuszczały do powstania iskry, która mogłaby wywołać zbrojną rewolucję — a wrzało w całym imperium.

W Moskwie wieczorami słychać było strzały. W Petersburgu podliczano, że do 14 lipca samych tylko socjalistów-rewolu-
cjonistów, tak zwanych eserów, zatrzymano w całym kraju
około sześciuset. W Jarosławiu nad Wołgą eserzy nocą za-
jęli zbrojnie drukarnię miejscowej gazety i zdążyli do rana
wydrukować ponad pięć tysięcy egzemplarzy „Odezwy do
Narodu” stu osiemdziesięciu byłych członków Dumy oraz
manifestu swojej partii. W Odessie władzom udało się zdła-
wić rozpoczynające się już pogromy — sprawy wyglądały
jednak na tyle groźnie, że organizacje żydowskie zwróciły
się do ministra spraw wewnętrznych o wysłanie do miasta
kilku krążowników w celu ewakuacji zagrożonych. W War-
szawie szaszytowany został zastępca naczelnika żandarmerii.
W Homlu strzelanina wybuchła tuż koło synagogi — władze
podejrzały prowokację. W Mińsku udaremniono próbę
zwołania wiecu robotników zapowiadanego jako reakcja na
rozwiązanie Dumy. Zapewne jednym z niewielu mińszczan,
których 14 lipca — kalendarza starego stylu — zupełnie nie
interesowały rewolucyjne nastroje robotników ani w ogóle
to, co działo się w państwie, był Ignacy Giedroyć. Powód
był prosty — tego właśnie dnia urodził mu się pierwszy syn.

Jerzy Giedroyć o swoich rodzicach — jak i o swoim życiu
prywatnym — nie mówił niemal w ogóle. Kiedy i w jakich
okolicznościach dwudziestoparoletni Ignacy Giedroyć poznał
młodszą od siebie o kilka lat Franciszkę Starzycką — nie wie-
my. W jednym z wywiadów Redaktor powiedział, że matka
w chwili jego urodzin miała siedemnaście lat. W powojennych
dokumentach PCK, na podstawie informacji Marii Starzy-
ckiej, siostry pani Franciszki, jako rok jej urodzin podano
1887, jej męża zaś 1882 — w obu wypadkach stawiając znak
zapytania.



Zdjęcie ślubne Franciszki
i Ignacego Giedroyców,
rodziców Jerzego.

Ślub państwa Giedroyców w katedrze mińskiej odbył się
zapewne 22 października 1905 roku. Taką w każdym razie datę
wygrawerowano na srebrnej obrączce, którą pan Ignacy poda-
rował swej małżonce. Akt ślubu nie zachował się. Rodzicami
panny młodej byli Franciszek i Pelagia, z domu Markowska.

Ignacy Giedroyć pochodził ze zubożałej gałęzi prastarego
rodu książąt litewskich. W Mińsku nie miał chyba żadnych
krewnych. Jego ojciec, Bronisław Lucjan Giedroyć, zarządzał
jakimś „folwarczkiem pod Śmiłowiczami” — to w zasadzie
wszystko, co po upływie niemal stulecia powiedział o nim



Franciszka Starzycka,
Łomża, przed rokiem 1900.

Jerzy Giedroyć. Jednemu ze swych korespondentów opisywał wizytę u dziadka: „Zachowałem w pamięci — miałem chyba cztery lata — obraz wielkiego drzewa i psa”. Jedyne wspomnienie Redaktora dotyczące rodziny ojca.

Dużo więcej wiemy o rodzinie pani Franciszki Giedroyciowej, de domo Starzyckiej — między innymi dzięki kopii wspomnień, jaką przed laty przesłał do Maisons-Laffitte jeden z kuzynów Redaktora, Jerzy Ziemnicki. Spisywane pod koniec życia, zawierają kilka interesujących szczegółów, choć gdy idzie o konkretne daty, nie są — jak się wydaje — w pełni



Ignacy Giedroyć (siedzi) jako
uczeń Łarińskiego Gimnazjum
w Sankt Petersburgu,
które ukończył w 1902 roku.

wiarygodne. Rodzina wywodząca się ze śląskich Starzyn — utraconych po śmierci dziadka pani Franciszki — była liczna. Jej ojciec miał sześciu braci i cztery siostry, sam zaś dochował się dwanaściorga potomstwa. „Dziadkowie (Franciszek i Pelagia — przyp. M.Ż.) długie lata mieszkali w Łomży, tu urodził się najstarszy Andrzej, najmłodsza Sa-

bina — zapisał Ziemnicki. — W 1900 roku wyjechali do Wilna, a już w 1903 lub 1904 roku przenieśli się do Mińska Litewskiego”. W innym miejscu pisze on jednak, że Starzyccy opuścili Łomżę w 1901 roku, a w Wilnie nastąpiła tylko „wielodniowa przerwa”. Zachował się jednak zapis świadczący o tym, że Łomża również była tylko przejściowym etapem w życiu ruchliwego pana Franciszka Starzyckiego, w rzeczywistości pochodzącego z Chrzanowa. Opatrzony pieczęcią tamtejszego Urzędu Miasta i Gminy oraz znaczkiem skarbowym za pięćdziesiąt grajcarów dokument głosi, co następuje:

„Zwierzchność gminna miasta Chrzanowa poświadcza niniejszym, że Pan Franciszek Starzycki, do gminy tutejszej przynależny i tu urodzony, jest synem zamożnego obywatela tutejszego, Pana Tomasza Starzyckiego, jako ochotnik wstąpił do c.k. Armii i służył przy 13 pułku piechoty Barona Bamberg teraz Barona Baltin przez lat trzy, jest człowiekiem moralnym, wzorowym, pilnym i pracowitym, słowem jak na każdego uczciwego i z dobrym charakterem człowieka przystoi, przez co zasłużył sobie na względy i jest zdolny w każdym zawodzie, wywiązać się z zadowoleniem swych przełożonych — wskutek czego świadectwo powyższe na własne jego żądanie udziela się.

Chrzanów, Dnia 20 Czerwca 1871”.

A więc mieszkający do dziś w Chrzanowie państwo Starzyccy pochodzą najprawdopodobniej z tej samej rodziny co dziadek Jerzego Giedroycia, Franciszek. Około 1871 roku opuścił on rodzinne miasto i jakiś czas później trafił do Warszawy, a stamtąd — do Łomży. Zapewne w jednym z tych miast poznał swą przyszłą żonę. Trudno powiedzieć, co spowodowało wyjazd Starzyckich z błyskawicznie rozwijającej się w drugiej połowie XIX wieku Łomży, która awansowała wówczas nawet do rangi miasta gubernialnego. Zarówno panu Franciszkowi, jak i jego braciom oraz siostram rodziły się przeważnie córki. Rodzina więc nie tylko malała, ale też panie z niej pochodzące często — razem z nazwiskiem — zmieniały miejsce zamieszkania. Stąd potomków Starzyckich szukać dziś można w niemal wszystkich regionach Polski. Jerzy Ziemnicki wspominał mieszkających w Chrzanowie, Mińsku, Grodnie, Warszawie, Katowicach, Krakowie, Częstochowie wujów Babczyńskiego i Babińskiego, Bromboszcza i Otrębskiego, Oczkowskiego, Palkę i Prymasa, Stawarskiego,

Dyge i Giedroycia — „jest to na pewno część tych, którzy pannę Starzycką mieli za żonę”.

Franciszkę Starzycką poślubił Ignacy Giedroyc, farmaceuta miński. Ich pierwotnego syna, urodzonego 14 lipca 1906 roku — według nowego stylu będzie to dzień 27 lipca — ochrzcił ksiądz Michał Majewski w katedrze mińskiej 13 sierpnia (31 lipca), nadając mu imiona Jerzy Władysław.

W żadnym z zachowanych źródeł, w których wymienieni są właściciele i prowizorzy mińskich aptek, Ignacego Giedroycia nie znajdujemy. Znaczący to, że był szeregowym pracownikiem. Aż do 1908 roku nie pojawia się też w księgach płatników podatku od nieruchomości ani podatku kwatery, z czego wnosić należy, że nie tylko nie dysponował w mieście żadnymi nieruchomościami, ale też oficjalnie nie wynajmował mieszkań. Można więc przypuszczać, że nie odziedziczył żadnego majątku, a zarabiał niewiele.

Co innego państwo Starzyccy. Brat pana Franciszka — nie wiemy, czy w Łomży, czy w Chrzanowie — zajmował się budową powozów, on sam zaś jeszcze w Warszawie terminował u krawca. Najwidoczniej fach opanował dobrze, bo nie tylko utrzymywał dość liczną rodzinę, ale też na łamach „Kalendarza Mińskiego” w roku 1910 reklamował swój sklep następująco:

„Magazyn Krawiecki F. Starzyckiego w Mińsku Lit.

Gubernatorska ulica

dom Zarządu Miejskiego

telefon No. 305

MATERIAŁY, MODY I KRÓJ ANGIELSKIE”.

W uważanym wówczas za stolicę mody Mińsku, w którym nie dziwiły nawet takie ekstrawagancje jak kobiety w spodniach, angielskie kroje i materiały musiały cieszyć się



Метрическая Выпись

изъ подлинной метрической книги Минскаго Каоедральнаго Римско-Католическаго Приходскаго костела о рождении и крещении Владислава Федройцъ въ коей за 1906 годъ подъ № 376. записана статья слѣдующаго содержания:

„Тысяча девятьсотъ шестого года Августа 14 дня, во Мнѣскомъ Каоедральномъ костелѣ, Ксендзь Микша Маевскій окрестилъ и магенда не имени Георгій-Владиславъ, съ совершениемъ всѣхъ обрядовъ таинства,

Одворанъ Уенатія Брониславовича-Люциановича и Франциски Францевны ур. Старшицкой Федройцъ зам. супр. сина, родившагося 14 Грудня сего года, во Мнѣскомъ. —

Восприимниками были: Александръ Гасиоровичъ Горкевичъ и Пелагія Старшицкая. Присутствовали: Леопольдъ Людвиговичъ Бабинскій и Адела Старшицкая.

Въ томъ, что настоящая метрическая выпись съ подлинною книгою Минскаго вышеупомянутаго костела сходна, подписею и приложеніемъ костельной печати удостоверяю.

Г. Минскъ Августа „12“ дня 1910 года.



Настоятель Минскаго

Каоедральнаго Костела

К. Козубчик

популярностію. В „Календарзу” не находимъ никакого иного закладу кравецкаго, который хвалилъ бы такъ европейскимъ уровнемъ услугъ.

В edycji „Kalendarza” z 1908 roku widnieje natomiast informacja, że Franciszek Starzycki był wówczas nie tylko członkiem władz Towarzystwa Wzajemnej Asekuracji i Na Wypadek Śmierci, ale też Rady Miejskiej. Ponadto podany jest adres jego pracowni, mieszczącej się gdzie indziej niż sklep: „ul. Dominikańska, d. Gecowa”.

Jerzy Giedroyc często mówił o społecznikowskiej pasji swego ojca. Jednak ani w „Kalendarzu Mińskim”, ani w miejscowej prasie z okresu pierwszej wojny światowej nie znajdujemy nazwiska Ignacego Giedroycia. I chociaż Redaktor nie wspominał, by podobne zainteresowania miał dziadek Starzycki — ich ślady zachowały się w ówczesnych wydawnictwach i dokumentach. Oto w 1917 roku obchodzono dziesięciolecie powstania w mieście oddziału Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Organizacja ta — mimo skromnej nazwy — zajmowała się nie tylko wprowadzaniem w życie hasła „w zdrowym ciele zdrowy duch”. Krzewiła też działalność niepodległościową, w wielu miejscach — jak w Mińsku właśnie — stając się propagatorem polskiej aktywności społecznej, kulturalnej i politycznej. Z jednego z rocznicowych artykułów poświęconych mińskiemu „Sokołowi” dowiadujemy się, że wśród jego założycieli był Franciszek Starzycki.

W mińskich archiwach — mimo rewolucji i dwóch wojen światowych — zachowały się akta „Sokoła” z okresu jego wczesnej działalności, które zechciał na moją prośbę przejrzeć profesor Władimir Dzianisau. Ich lektura przynosi pewne informacje nie tylko na temat aktywności publicznej Franciszka Starzyckiego, ale też o prywatnym życiu jego rodziny.

Wypis z metryki Jerzego Giedroycia.



Pelagia i Franciszek Starzyccy, dziadkowie Jerzego Giedroycia.

Dnia 28 lutego 1907 roku grupa Polaków złożyła gubernatorowi mińskiemu do zatwierdzenia projekt statutu Towarzystwa — jako pierwszy podpisał się pod nim „Franc Fomicz” (a więc Franciszek, syn Tomasza) Starzycki, mieszczanin, zamieszkały przy ulicy Pietropawłowskiej (róg Zacharzewskiej), w Domu Polaka. Polak to nazwisko jednego z dwóch najbogatszych wówczas kamieniczników mińskich; drugim był Gecow. Przypuszczać należy, że właśnie w Domu Polaka, kątem u teściów, mieszkali państwo Giedroyciowie w połowie 1906 roku, gdy urodził się ich pierworodny Jerzy.

Kamienica ta stała przy ulicy Pietropawłowskiej 19/ Zacharzewskiej 87 (domy stojące na rogach ulic miały adresy podwójne) — w początkach ubiegłego wieku był to jeden z najbardziej prestiżowych adresów w Mińsku. Wzniesiona niedługo wcześniej, dwupiętrowa, o eklektycznych fasadach, kryła na parterze ciąg sklepów (m.in. z galanterią i gotowymi ubraniami oraz salon meblowy), kuszących przechodniów towarami wystawionymi w przestronnych witrynach. Część pierwszego i drugiego piętra zajmowały rozmaite urzędy, wśród nich Miński Gubernialny Urząd Akcyzowy, Zarząd Magistrali Kolei Libawo-Romeńskiej etc. Lokale mieszkalne rozmieszczone były nie tylko w głównym budynku, ale i w obszernej murowanej oficynie. Całość zabudowań zrównano z ziemią w latach czterdziestych XX wieku, kiedy władze komunistyczne przygotowywały miejsce pod centralny plac miasta, nazwany — rzecz jasna — Pałdziernikowym.

Które z mieszkań w Domu Polaka wynajmował Franciszek Starzycki, nie wiemy. Kiedy w Mińsku przystępowano do powszechnej inwentaryzacji nieruchomości, jego rodzina przeniosła się już pod inny adres. Znajdujemy go w jednym z kolejnych listów założycieli „Sokoła” do gubernatora mińskiego, Jakowa Jegorowicza Erdellego, z 27 czerwca 1907 roku. Podpisawszy się pod nim, Starzycki zaznaczył, że mieszka przy ulicy Gubernatorskiej 31. Co ciekawe, dzień wcześniej władze guberni zostały poinformowane, że tymczasowa siedziba Towarzystwa mieści się pod tym właśnie adresem. Dla Starzyckich nie była to daleka przeprawa — w kilkanaście minut można było dostać się z jednego miejsca w drugie: po przejściu parudziesięciu metrów ulicą Pietropawłowską w stronę rzeki Świsłoczy należało skręcić w prawo, w Magazynową. Już na następnym



Dom Polaka

skrzyżowaniu stał dom Jakubowskiego przy ulicy Gubernatorskiej 31.

Posiadłość, otaczająca drewniany dom, liczyła ponad 6000 metrów kwadratowych, z czego większość zajmowały sad owocowy i rozrzucone w nim zabudowania gospodarcze. Sam dom zbudowany był na planie prostokąta i kryty gontem — jego ogólna powierzchnia wynosiła około 270 metrów kwadratowych. Mieściły się w nim dwa mieszkania — jedno, trzypokojowe z kuchnią, zajmowali Starzyccy — oraz należący do głowy rodu niewielki (40 m²) zakład krawiecki i pokój

dla stróża. Każde z pomieszczeń ogrzewane było osobnym piecem kaflowym. W sadybie natomiast znajdowała się drewniana scena teatralna, z dwiema przybudówkami, służącymi zapewne jako garderoba i magazyn dekoracji. Odbywały się tam rozmaite imprezy „Sokoła”, a pan Franciszek w spisie władz Towarzystwa — wybrany do nich w 1908 i ponownie w 1909 roku — figurował jako „zarządzający wieczorami rodzinnymi Towarzystwa, krawiec”. W dokumentacji inwentaryzacyjnej z 1910 roku zapisano, że w „majsterni” Starzyckiego pracuje dwóch najemnych krawców, a jego rodzina składa się z siedmiu osób (plus dwie służące).

Spośród siedmiu osób zamieszkających na Gubernatorskiej w 1910 roku tożsamość czterech nie ulega wątpliwości. Z datowanego na 13 maja 1910 roku spisu członków „Sokoła” dowiadujemy się, że należeli do niego „Starzyccy Franciszek, Czesław, Wiktoria i Jadwiga”. By otrzymać siódmkę, profesor Władimir Dzianisau dodał do nich trzyosobową rodzinę Giedroyciów. Ale na Gubernatorskiej mieszkali przecież nie tylko ci ze Starzyckich, którzy należeli do „Sokoła” — musiała tam być zameldowana i babcia Jerzego, pani Pelagia, a zapewne również kolejna córka Starzyckich, Elżbieta. Skądinąd wiemy, że w domu tym mieszkała także pasierbica tej ostatniej — Helena Witkowska. A więc oboje państwo Starzyccy, ich syn Czesław, trzy córki oraz pasierbica jednej z nich — to prawdopodobnie skład owej siódmki. Giedroyciowie mieszkali już wówczas osobno, a ich rodzina składała się nie z trzech, lecz czterech osób — w 1909 roku pani Franciszka powiła bowiem drugiego syna, Zygmunta.

Sporządzona w 1910 roku lista członków Sekcji Wioślarskiej „Sokoła” zawiera zapis, że należący do niej Ignacy Giedroyc — nie tylko, wraz „z małżonką Giedroyc Francisz-

ką”, członek Towarzystwa, ale też przez jedną kadencję jego sekretarz — mieszka przy ulicy Trubnej, w domu numer 6. Mimo niewielkiej odległości — dom znajdował się nieopodal zachodniego krańca ulicy Zacharzewskiej — pierwszy własny adres Giedroyciów nie był tak dobry jak dziadkowa ulica Gubernatorska.

Przeprowadzka na Trubną musiała się odbyć albo w roku 1910, albo rok wcześniej — dopiero wtedy bowiem wybudowano drewnianą oficynę, w której mieściło się mieszkanie Giedroyciów. Plac, na którym ją wzniesiono — wraz z położonymi od ulicy dwoma starszymi domami i całym kompleksem zabudowań gospodarczych — wynajmował od archijereja mińskiego niejaki Józef Michalewicz. Dwumieszkaniowa oficyna stała na środku posesji, w ogrodzie. W wynajętym przez pana Ignacego siedemdziesięciometrowym mieszkaniu, były cztery pokoje (tylko dwa miały piece) i kuchnia. Urzędnicy miejscy zapisali, że oprócz czworga Giedroyciów na Trubnej mieszkała też ich służąca. Bliźniacze mieszkanie w drugiej części budynku zajmowała nauczycielka, pani Lilukowska.

Świat dzieciństwa Jerzego Giedroycia obejmował więc prawie całe centrum dawnego Mińska — tak zwaną Lachówkę. Kontakt z dziadkami Starzyckimi był zapewne niemal codzienny — pan Franciszek sprawował funkcję prawdziwego patriarchy rodu, którego członkowie byli ze sobą blisko związani. Często spotykali się w domu na Gubernatorskiej — pomimo wszelkich przeszkód czy rozbiorowych granic. „Obdzielał słodyczami wnuczki i wnuków — wspominał Jerzy Ziemnicki, syn kolejnej z pańien Starzyckich, Leokadii — (...) umiał pracować i zapracować, potrzeby były znaczne, syn dwa lata przebywał w Anglii, dziewięć córek wychować, wykształ-

cić, wyposażyć — zadanie poważne”. Jak w wielu innych rodzinach, tak i tutaj podrzucano dziadkom wnuki w okresie wakacji. Ziemnicki tak wspominał jeden ze swych pobytów u dziadków: „Cudowny okres w moim dzieciństwie. Dwie siostry cioteczne — Babińskie, dwóch braci stryjecznych — Giedroyci, zabawy, spacer i niezapomniany Dziadek, kochający wnuczęta”. Dom dziadków położony był w rozległym ogrodzie. Od brzegów krętej Świsłoczy dzieliło go ledwie parę kroków. Zarazem znajdował się w centrum miasta, tuż obok luksusowych hoteli, w których goście nierzadko mieli do dyspozycji nie tylko elektryczne oświetlenie, ale też łazienki i telefony w każdym numerze. Mińsk przeżywał bowiem rozkwit cywilizacyjny, bruk powoli zastępowano asfaltem, a chodniki centralnych ulic — na których wieczorami kwitło życie towarzyskie — wykładano granitem.

Trudno powiedzieć, jakie stosunki panowały między Giedroyciami a Starzyckimi, ale można przypuszczać, że pan Ignacy rad był, gdy udało mu się wynająć stosunkowo tanio osobne mieszkanie, w pewnym oddaleniu od władczego teścia. Prawdopodobnie dłuższy czas korzystać musieli ze wsparcia teściów, gdyż Ignacy Giedroyć poza swą aptekarską pensją wniósł do rodziny jedynie — nieużywany, ale być może istotny dla Starzyckich — książęcy tytuł. Natomiast interesy Franciszka Starzyckiego kwitły i — jak się zdaje — niezbyt liczył się on z kosztami. Mieszkanie na Gubernatorskiej, wraz z „sokolim” ogrodem, kosztowało go rocznie aż tysiąc rubli (Ignacy Giedroyć płacił pięć razy niższy czynsz za większe przecież mieszkanie na Trubnej). Ponadto co roku wydawał 700 rubli na wynajęcie niespełna pięćdziesięciometrowego lokalu na wspomniany już sklep z gotową odzieżą w jeszcze bardziej reprezentacyjnym budynku — w mińskim

magistracie, mieszczącym się w murach byłego klasztoru Franciszkanów, na rogu Gubernatorskiej i Jurjewskiej. Poziom życia państwa Starzyckich — przy stałych wydatkach rocznych 1700 rubli — właściwie ocenimy, gdy wydatki owe porównamy z ówczesnymi zarobkami na przykład stróża (240 rubli rocznie) czy mińskiego strażaka (180 rubli). Eleganckie spodnie kosztowały wówczas 15 rubli — być może, że szyte u Starzyckiego według mody angielskiej były droższe.

Choć jako aptekarz Ignacy Giedroyc nie zarabiał wiele, jego teść z pewnością nie dopuściłby, by w domu na Trubnej zapanowała bieda. Sytuacja zmienić się miała po jego śmierci w 1916 roku, a zwłaszcza po przeprowadzce rodziny do Warszawy. Tymczasem Jerzego otaczał szczęśliwy świat dzieciństwa. Okresy licznych chorób — jak wspominał — poświęcał na zgłębianie zawartości ojcowskiej biblioteki. „Zbiór książek moich rodziców był zapewne przypadkowy, bardzo kresowy — czytamy w *Autobiografii...* — Ale obok encyklopedii i wydawnictw patriotycznych (...) była tam również literatura nowoczesna i sporo książek historycznych, które wywarły na mnie wielki wpływ. Pochłaniałem wtedy nieprawdopodobne ilości lektur, w tym wiele całkiem nieodpowiednich dla mego wieku: Tetmajera *Pannę Mery* i inne takie rzeczy. Budziło to przerażenie, gdyż, oczywiście, popisywałem się tym w rozmowach. Ale było tolerowane”. Inaczej o swych lekturach opowiadał Giedroyc w rozmowie z Mirosławem A. Supruniukiem, któremu mówił, że w dzieciństwie czytywał raczej lżejsze gatunkowo książki — „zainteresowania historyczne przyszły znacznie później, dopiero na uniwersytecie”.

Co wiemy o ówczesnych towarzyszach zabaw Jerzego? (Czy może jeszcze Jurka — okres miński był zapewne ostat-

nim w jego życiu, gdy pozwalał tak siebie nazywać). Po części były to, jak już wspomniano, inne latorośle panien Starzyckich i młodszy o trzy lata brat Jerzego, Zygmunt. Po części towarzysztwo dobierać sobie musiał sam. Białorusinów mieszkających wówczas w Mińsku niewielu, byli jednak Żydzi i Rosjanie. Czy rodzice akceptowali kontakty z tymi ostatnimi? Polacy starali się wówczas zachować odrębność, choć i na nich rusyfikacja wywarła piętno, o czym świadczyć może gramatyka dedykacji na fotografiach darowanych niegdyś panu Ignacemu przez kolegów z pracy — „Kochanemu Ignasiu”... Rodzice byli jednak — jak wielokrotnie podkreślał Jerzy — niezwykle tolerancyjni, więc możliwe, że pozwalali synowi na przyjaźnię z Rosjanami.

Naturalnym miejscem zabaw małego Giedroycia wydają się ogrody obu domów — na Gubernatorskiej i Trubnej. Jego rówieśnicy z pewnością wiele czasu spędzali też nad zarośniętymi brzegami Świsłoczy. Jak często on tam bywał? Trudno powiedzieć — wiadomo, że nigdy nie nauczył się dobrze pływać. Po latach wspominał natomiast inną rozrywkę: „kładzenie się na torach, wzdłuż, rzecz jasna, tak by leżeć pod jadącym pociągiem, dając tym dowód odwagi”. Szerokie tory rosyjskiej kolei istotnie przebiegały kilkadziesiąt metrów od ulicy Trubnej.

Co jeszcze interesowało wówczas Jurka? To, co było nowe i barwne — tocząca się wojna. Oczywiście nie mógł mieć wielkiego pojęcia o tym, co działo się w sztabach i na frontach, na co dzień miał jednak możliwość obserwować ciągnące przez Mińsk kolumny wojska. „Przez miasto przechodziły i zatrzymywały się w nim różne oddziały i tabor, niekiedy uderzająco egzotyczne, jak Czerkiesi — opowiadał w *Autobiografii...* — Kiedyś jacyś żołnierze, bardzo mili,



Jerzy Giedroyc i Jerzy Ziemnicki, podpisane przez tego ostatniego: „przy dyszelku Jurek”, Mińsk 1913–1914.

pozwolili mi wsiąść na wóz i zabrali mnie ze sobą; odnaleziono mnie już kilkanaście kilometrów za Mińskiem i odstawiło do domu, nie zważając na moje protesty”. W innej wersji, opowiedzianej Mirosławowi A. Supruniukowi, kilometrów było „pięć czy dziesięć”, a przed dotarciem — kto wie — na sam front może, w charakterze „syna pułku”, uratować miał go tajemniczy „kuzyn”, służący w wojsku, który dostrzegł nieboraka i odwiózł do domu.

Z biegiem czasu rodzice zabrali się za edukację Jerzego. Wiemy, że lekcje dawano mu w domu — możliwe więc, że

uczyła go wspomniana już sąsiadka, pani Lilukowska. Jak często i gdzie odbywały się lekcje fortepianu? Giedroyciów nie było chyba stać na zakup instrumentu. Najpewniej więc Jerzy tłukł gamy w domu swego preceptora lub u dziadków Starzyckich. Lekcje owe wspominał z niechęcią, nigdy też później nie zdradzał zamiłowania do muzyki. Stefan Kisielewski napisał o nim — portretując go jako radcę Geysztora w powieści *Sprzysiężenie* — że był „głuchy jak pień i nie odróżniłby Chopina od jazzu”.

Pani Franciszka zajmowała się domem — mając do pomocy służącą — i wychowaniem synów. Jej mąż pracował w aptece. Nie wiemy w której — w 1910 roku było ich w Mińsku dwanaście. Tu znów pomocne okazują się archiwa „Sokoła”. Tego roku Ignacy Giedroyc był sekretarzem zarządu mińskiego oddziału Towarzystwa. Wtedy właśnie zakupiono na jego potrzeby nieruchomość składającą się z — sąsiadującego z domem Franciszka Starzyckiego — placu na ulicy Gubernatorskiej i stojącej tam kamienicy. Towarzystwo zachowało do swego użytku pomieszczenia na piętrze, parter wynajęto zaś niejakiemu Tapazowi — pod aptekę! Poza salą handlową miał on do swej dyspozycji trzy pokoje laboratoryjne i gabinet. W przeprowadzeniu tej transakcji musiał Ignacy Giedroyc, jako sekretarz zarządu, uczestniczyć. Czy apteka zadomowiła się w gmachu „Sokoła” przypadkiem, czy też Giedroyc był pracownikiem Tapaza i pomysłodawcą całego przedsięwzięcia? Hipoteza jest prawdopodobna — zbyt wiele tu zbiegów okoliczności.

Beztroska sielanka dzieciństwa skończyć się miała dla Jerzego w 1916 roku. Podczas rodzinnego zjazdu po pogrzebie dziadka Franciszka, który spoczął na mińskim cmentarzu

na Złotej Górze, doszło — sugeruje Jerzy Ziemnicki — do jakichś niesnasek na tle majątkowym.

Ale w Mińsku nie tylko Starzyccy i Giedroyciowie mieli powody do zmartwień. Od dwóch lat trwała wojna. Rok wcześniej, w wyniku ofensywy państw centralnych, linia frontu wschodniego — przebiegającego od Zatoki Ryskiej po łuk Karpat — zbliżyła się do Mińska na odległość około 80 kilometrów. Wycofując się, Rosjanie zarządzili pełną ewakuację mieszkańców — w stolicy Białorusi pojawiły się tysiące uchodźców. Dwa lata później „Dziennik Miński” ocenił ich liczbę w głębi Rosji na ponad 750 tysięcy — dziś historycy liczbę tę zwielokrotniają. W mieście zaczynało brakować mieszkań, pojawiły się też pierwsze oznaki kryzysu — już w lutym 1916 roku ograniczono sprzedaż mięsa do trzech funtów na osobę. Instytucje rosyjskie ewakuowano na wschód, szeroką falą natomiast napłynęli uchodźcy z zachodu — to właśnie dzięki temu Mińsk gwałtownie się polonizował. Pojawiły się polskie organizacje, gazety i szkoły.

Dlaczego państwo Giedroyciowie, zatroskani o edukację syna, postanowili wysłać go do Moskwy? Już od roku funkcjonowały w Mińsku dwie szkoły polskie (męska i żeńska). Podstawy do ich utworzenia dawały reformy z 1906 roku, decyzja jednak spoczywała w rękach gubernatora, a Aleksy Fiedotowicz Gris, tak jak jego poprzednik — mówiąc najbardziej ogólnie — nie słynął z popierania polskości na terenie swojej guberni. Rodzice Jerzego mogli więc nie mieć zaufania do stabilności nowo powstałych w Mińsku szkół — zarządzana przez nowogródzkiego posła do Dumy, profesora Mariana Massoniusa, szkoła męska niemal do końca roku szkolnego 1915/1916 działała przecież jako skromne „kursa repetycyjne suwalskiej szkoły handlowej”.



Jerzy Giedroyc z młodszym bratem Zygmuntem.

Dla rodziców Jurka decydująca była chyba konieczność wysłania syna jak najdalej od frontu. Wprawdzie w 1916 roku — w wyniku tak zwanej ofensywy Brusilowa — Rosjanie przesunęli jego linię nieco bardziej na zachód, największe sukcesy osiągając na froncie austriackim, ale ofensywa zatrzymała się i dalszy przebieg wojny trudno było przewidzieć. Najbezpieczniejszym rozwiązaniem mogło się wydawać wysłanie dziecka do „starej stolicy” — jak nazywano Moskwę dla odróżnienia od Petersburga, zwanego później Piotrogradem, który był stolicą „nową” — pod opiekę polskich organizacji uchodźczych.

Któregoś dnia na przełomie sierpnia i września państwo Giedroyciowie odprowadzili syna na dworzec Kolei Aleksandrowskiej w Mińsku. Po trwającej nieco ponad dobę podróży — odbytej z pewnością pod czujnym okiem konduktora — dziesięcioletni Jerzy Giedroyc wysiadł na Dworcu Aleksandrowskim (dzisiejszy Białoruski) w Moskwie. Ani on, ani jego rodzice nie mogli nawet przypuszczać, że za pół roku „starą stolicę” ogarnie rewolucja.

II. W Moskwie — szkoła i rewolucja

Zanim rewolucyjne emocje stały się udziałem wszystkich obywateli cesarstwa, Jerzy samotnie przeżywał zmianę otaczającego go świata. Do tej pory ograniczał się on dla niego do kilku mińskich ulic. Składał się z niemal zawsze przebywającej w domu matki, zajętego pracą ojca, tłumu ciotek i dziadka. Był to świat bezpieczny i spokojny.

Zupełnie inne życie miało się dla Jerzego rozpocząć na Dworcu Aleksandrowskim w Moskwie, gdzie w chwili jego przybycia klębiło się zapewne więcej ludzi, aniżeli chłopiec kiedykolwiek widział. Rozpoczął nowe życie, w którym jedynym zabezpieczeniem dla niego miały być skrzętnie schowane dokumenty, jakaś gotówka i kilka listów od rodziców — do kierownika szkoły i właściciela internatu.

Czy wkraczając w wielkomiński świat, miał w nim kogoś bliskiego? Wprawdzie w *Autobiografii*... twierdził, że „w Moskwie nie miał żadnej rodziny”, ale mówił to odnośnie do 1917 roku, kiedy już opuszczał starą stolicę. A w roku 1916?

Półtora miesiąca przed jego przyjazdem kuzynostwo Jerzego, Juruś i Czesia Ziemniccy, wysłali do Moskwy kartkę z życzeniami dla „Kochanego Wujcia”. Jej adresatem był „Jego Wielmożność Pan A.Cz. Starzycki”. Kto zacz? Imię żadnego z żyjących braci ich matki, Leokadii, nie zaczynało się na „A”. Kartka napisana została 20 lipca, w imieniny Czesława — chodzi więc o wuja zarówno Ziemnickich, jak i Jerzego



Ogłoszenie z „Echa Polskiego”
z 25 września (8 października)
1916 roku.

Giedroycia, Czesława Starzyckiego. Skąd wzięło się A? Prawdopodobnie był to inicjał właściwego pierwszego imienia brata pani Franciszki, którego ten nie używał — i w pamięci rodziny zachował się jako Czesław. To o nim musiał myśleć Jerzy Ziemnicki, gdy wspominał dwuletni pobyt wuja w Anglii. Kartkę wysłano na błędnie zapisany adres

Komitetu Polskiego: Wielka Łubianka 22, zamiast 20. Czy Czesław Starzycki pracował w tej instytucji, czy też rodzina nie знаła jego właściwego adresu i dlatego pisała na adres powszechnie znany jako skrzynka kontaktowa? Wuj Jerzego Giedroycia na pewno nie mieszkał na Łubiance — „Kalendarz Polski” z 1916 roku podaje, że Czesław Starzycki mieszka na Nieglinnym Projezdzie 27–28.

Nie wiemy, kiedy brat pani Franciszki Giedroyciowej pojawił się w Moskwie, wiemy natomiast, kiedy ją opuścił. Stało się to najpóźniej w drugiej połowie września 1916 roku,

gdy po śmierci ojca przejął zarząd rodzinnej firmy. Reprodukowane powyżej ogłoszenie opublikowano w kilku kolejnych numerach „Echa Polskiego”. Reklamowanie działającej w Mińsku firmy na pierwszej stronie stołecznego tygodnika wydaje się potwierdzeniem świetnej kondycji firmy Starzyckich.

Latem 1916 roku Czesław Starzycki mieszkał więc w Moskwie — to prawdopodobnie było kolejnym i decydującym powodem, dla którego rodzice Jerzego uznali za celowe wyprawić dziesięcioletniego syna w tak daleką podróż. W niepublikowanej rozmowie z Teresą Torańską Redaktor mówił, że ważnym dla rodziców argumentem był „zaprzyjaźniony pensjonat” w Moskwie. „Zaprzyjaźniony” mógł być — według naszej wiedzy — poprzez wuję Czesława.

Ten, kto odebrał Jerzego — Czesław, a może ktoś spośród pracowników stacji, na której miał mieszkać — wcisnął zapewne srebrną półrublówkę w rękę opiekującego się nim konduktora, a następnie zaprowadził chłopca na przystanek tramwajowy. Jerzy nie miał z pewnością dużego bagażu; wynajmowanie dorożki byłoby stanowczo za drogie. Stacja znajdowała się na drugim końcu miasta, a tramwaj linii 1 jechał akurat spod Dworca Aleksandrowskiego aż na Kursko-Niżegorodski (dzisiejszy Kurski). Rzut oka na współczesny nawet plan miasta pokazuje, że trasa wiodąca bulwarami wzdłuż całego centrum była dość długa.

Wydział Szkolny moskiewskiego Komitetu Polskiego prowadził wówczas aż szesnaście szkół początkowych oraz sześć różnego rodzaju szkół średnich — w tym jedną koedukacyjną. Jerzy Giedroyc nie podał nigdy, do której z nich chodził. Jednak pół wieku później w liście do jednego z przyjaciół — mieszkającego w Polsce dziennikarza, który akurat wybierał

się do Moskwy — wspomniał, że „przykładnie chodził na nabożeństwa” do kościoła francuskiego „na dawnym Milutyńskim Pierieulku”. A że stacja musiała być położona blisko szkoły — obu tych instytucji należy szukać w sąsiedztwie tej właśnie świątyni.

I tu pierwszy problem — kościół „francuski”, pod wezwaniem Świętego Ludwika, według wszelkich ksiąg adresowych Moskwy znajduje się przy ulicy Mała Łubianka. W Milutyńskim Pierieulku znajdował się natomiast kościół Świętych Piotra i Pawła. Ale wystarczy się tam wybrać, żeby stwierdzić, że niczego Giedroyc nie pomylił — na posesję kościoła Świętego Ludwika można wejść tylną bramą (jeśli akurat jest zamknięta, wystarczy tylko przeskoczyć metalowy szlaban) od strony Milutyńskiego Pierieulka.

Spośród wymienionych w „Kalendarzu Polskim” szkół i internatów Komitetu tylko jeden ich „komplet” znajduje się w sąsiedztwie kościoła. To szkoła we Wwiedieńskim Pierieulku (dzisiejszy Podsosienskij) — jedna z dwóch szkół męskich Komitetu, a jedyna o profilu ogólnym — i pobliska stacja na Pokrowce. To tutaj Jerzy Giedroyc spędzał większość czasu. Budynku na Pokrowce pod numerem 37, w którym mieścił się internat, już nie ma — mimo że ocalały sąsiednie kamienice, w tym akurat miejscu straszy dzisiaj dość ponure gmazyszko Związku Artystów Rosji.

W jednym z sąsiednich zaułków, Strieleckim — również kilka kroków od Pokrowki — znajdowała się szkoła realna Władysława Giżyckiego. Z pewnością jednak Jerzy nie był jej uczniem. Nie była to bowiem szkoła Komitetu Polskiego, ale placówka prywatna, ewakuowana rok wcześniej z Warszawy. A o tym, że Giedroyc chodził w Moskwie do gimnazjum Komitetu Polskiego, świadczy życiorys pisany

przezeń w 1924 roku, gdy składał podanie o przyjęcie na Wydział Prawny Uniwersytetu Warszawskiego. Niepozorny ten dokument jest z paru względów niezmiernie istotny, będziemy do niego nieraz jeszcze wracać. Na to, do której z moskiewskich szkół trafił Giedroyc, wskazuje również historia, jaką opowiedział w wywiadzie udzielonym Mirosławowi A. Supruniukowi: „Jakieś pół roku przed wybuchem rewolucji w gimnazjum była z wizytą wielka księżna Tatiana i nawet recytowałem jakiś wierszyk, byłem bardzo wzruszony, to dla mnie była wielka atrakcja...”. Organizacja charytatywna pod egidą wielkiej księżnej, znana jako Komitet Tatianowski, wspierała finansowo nie szkoły prywatne, tylko te prowadzone przez Komitet Polski. Jedyną zaś spośród prowadzonych przez Komitet placówek, która miała uprawnienia szkoły realnej — projekt przemianowania ich na gimnazja dopiero opracowywało Ministerstwo Oświaty w Piotrogradzie — była właśnie ta z Wwiedieńskiego Pierieulka.

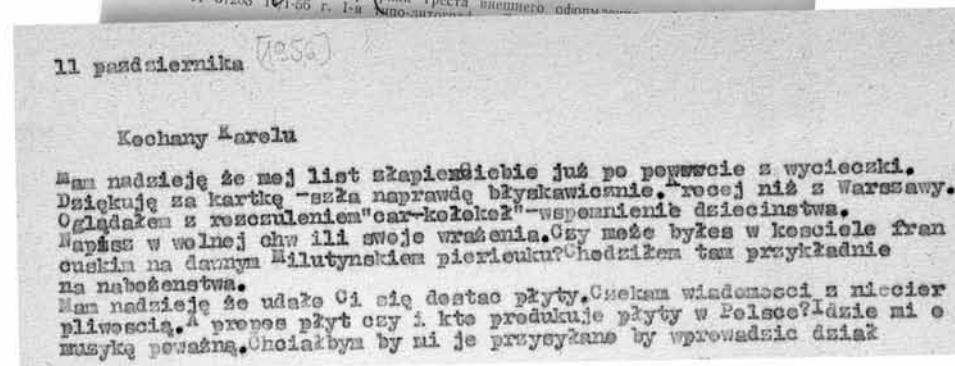
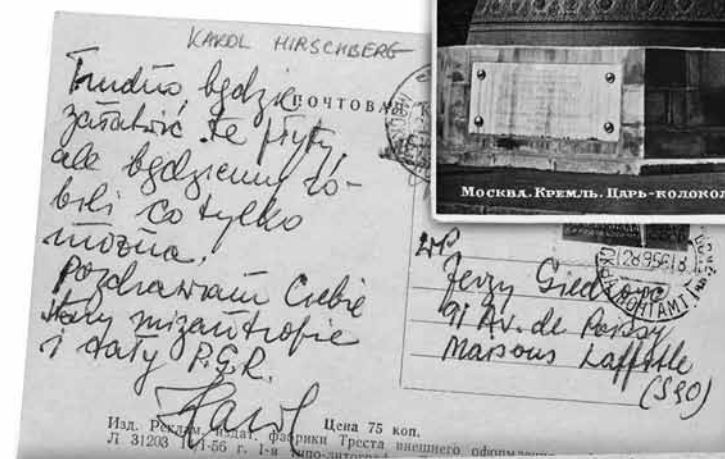
W roku szkolnym 1916/1917 w internacie na Pokrowce mieszkało — najprawdopodobniej dzieląc wspólne sypialnie — pięćdziesięciu uczniów. Ubrani w mundurki chłopcy wędrowali — po zjedzeniu śniadania — co dzień tą samą trasą. Należało przejść na drugą stronę ulicy i jednym z dwóch pierieulków — Braszewskim lub Lalinym, mijając po drodze cerkiew Wwiedieńską oraz liczne mieszczkańskie wille i pałacyki zwane „osobniakami” — dotrzeć na koniec Wwiedieńskiego Pierieulka. Tam, pod numerem 23, znajdował się budynek szkoły. Wówczas zapewniał pod względem „lokalnym” — jak raportowano Zarządowi Komitetu Polskiego — najlepsze warunki w Moskwie. Stoi do dziś w „kompleksie zabytkowych siedzib mieszczkańskich XIX wieku” — w dość opłakanym stanie.

Do kierowanej przez pana Wacława Jacuńskiego szkoły realnej we Wwiedieńskim Pierieulku uczęszczało wówczas 310 uczniów. „Wobec wielkiego napływu kandydatów” — jak pisała ówczesna prasa polska w Moskwie — we wrześniu 1916 roku utworzono dodatkowe klasy. Spora część zajęć odbywała się po polsku, dzięki wydawanym przez Komitet podręcznikom — pozwalały już na to nie tylko odpowiednie przepisy, akceptowali to także bardziej wyrozumiali czy skłonni do negocjacji urzędnicy oświatowi. Naukę prowadzono według specjalnego programu ułożonego przez Komisję Oświatową Rady Zjazdów Polskich Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny — rodzaj „czapy” nad wszystkimi instytucjami polskimi — na podstawie programów szkół krajowych, takich jak warszawski „Staszic” czy Szkoła Realna imienia Generała Chrzanowskiego. Uważano powszechnie, że szkoły polskie w Rosji stoją na wyższym niż w Królestwie poziomie.

Trudno dziś powiedzieć, jakie stosunki panowały w szkole Wacława Jacuńskiego — nie miała takiego szczęścia jak szkoła Giżyckiego, w której w tym samym czasie uczył się niejaki Kostek Gałczyński, co spowodowało, że po latach niektórzy z jej uczniów spisali swoje wspomnienia z tego okresu. Starczyć nam musi opinia Wacława Solskiego, o kilka lat starszego od Giedroycia, że „wśród uchodźstwa polskiego w Moskwie rej wodzili endecy. Propagowali całkowite i entuzjastyczne podporządkowanie się Rosji, w nadziei, że car, kiedy wygra wojnę, da Polsce autonomię. (...) Orientację prorosyjską popierali również kierownicy obu polskich męskich szkół średnich w Moskwie, wielu nauczycieli i chyba większość uczniów”.

Z wspomnianego życiorysu, napisanego przez Jerzego Giedroycia kilka lat później, dowiadujemy się, że do pierwszej

Kopia kartki pocztowej
wysłanej Giedroyciowi
przez Karola Hirschberga
z Moskwy i fragment
listu Jerzego Giedroycia.



w swym życiu szkoły przyjęty został „na podstawie egzaminu”. A więc pojawić się musiał w Moskwie pod koniec sierpnia — to był bowiem wówczas okres egzaminów wstępnych.

Młodociani prowincjusze — a tych wśród uczniów była większość — w pierwszych miesiącach nie mieli wielu okazji, aby poznawać miasto i jego życia. Wolny czas znaleźć mogli w niedzielę, po mszy i obiedzie. W tygodniu większość dnia pochłaniały zajęcia szkolne, wieczorami zaś powtórki i ćwiczenia. Nie były do tego potrzebne specjalne zalecenia czy przymus ze strony nauczycieli, bo wśród ambitnych nastolatków, wychowywanych przez rodziców na prawdziwych patriotów, panował wtedy istny kult samokształcenia.

Pierwsze spacerować mogli już w ciągu tych kilku dni, które dzieliły egzaminy wstępne od rozpoczęcia roku szkolnego. Prawdopodobnie ograniczały się one do najbliższej okolicy, ale czy później mieli powody, by wędrować gdzieś dalej? Mieszkali w samym centrum miasta. Z Pokrowki na Łubiankę dwa kroki, a stamtąd podobna odległość — na plac Czerwony. Okolice Łubianki i Czystych Prudów były wówczas centrum polskiego życia w Moskwie. Na Wielkiej Łubiance miał siedzibę Komitet Polski, którego instytucje rozsiadane były po okolicy — w Milutyńskim Pierieułku czy na Miałnickiej. Tutaj mieściły się polskie kluby, sale spotkań, biblioteki, herbaciarnie i tanie kuchnie (jedna z nich — osobna — „dla inteligencji”). W tej okolicy toczyło się życie podopiecznych Wacława Jacuńskiego, dla których głównymi punktami były internat, szkoła i kościół.

Przez pierwsze trzy miesiące nauki działo się niewiele. Jedynym nadzwyczajnym wydarzeniem, które zaburzyło życie szkoły z Wwiedieńskiego Pierieułka i wszystkich wówczas Polaków, niezależnie od frontów, granic i zaborów,

okazała się śmierć Henryka Sienkiewicza. Nawet tam, gdzie Polaków można było zliczyć na palcach obu dłoni, urządzano okolicznościowe akademie i zamawiano msze, coś dopiero w Moskwie! Uczniowie niemal przez cały listopad 1916 roku byli zobowiązani wielbić twórczość pisarza. Na odczytach i apelach, zebraniach i wieczorkach literackich słuchali „artystów dramatycznych”, którzy „porwawszy słuchacza swym natchnionym słowem, przenosili go na stepy ukraińskie”... Obecność — rzecz jasna — była obowiązkowa.

Ale kiedy uczniowie szkoły realnej z Wwiedieńskiego Pierieułka liczyli słupki, wkuwali deklinacje, popołudniami przenosili się na sienkiewiczowskie stepy, a w wolnym czasie zbierali pewnie, zgodnie z ówczesną modą, kalkomanie i znaczki pocztowe — otaczająca ich rosyjska rzeczywistość zaczynała się zmieniać. Wraz z jesiennymi słotami psuły się też nastroje. Panowie gimnazjaliści musieli to wyczuwać, słuchając rozmów nauczycieli, opiekunów czy przechodniów na ulicach.

Wojna trwała już trzeci rok i ludzie zaczęli mieć jej serdecznie dość. Głodu wprowadzić nie było, ale już w lipcu zarządzono w Moskwie — jak żartowała wychodząca tam „Gazeta Polska” — „obowiązkowy post 4 dni w tygodniu”: w sklepach i restauracjach mięso pojawiało się tylko między sobotą a poniedziałkiem. „Dziennik Petrogradzki” donosił, że „w Moskwie i w Petrogradzie ukazało się wielu elegantów w łapciach; wobec drożyzny obuwia skórzanego — lipowe ma się cieszyć powodzeniem, póki nie... zdrożeje”. A przecież ostatnia przedwojenna dekada wydawała się tak wiele Rosjanom obiecywać! Zastrzelony w 1911 roku przez niejakiego Bogrowa — do dziś nie do końca wiadomo, czy bardziej w imieniu rewolucjonistów, czy też carskiej

ochrony — premier Piotr Stołypin w ciągu pięciu lat swych rządów dał Rosjanom nadzieję na zupełnie odmienione imperium. Pozostawił po sobie nie tylko wspomnienie silnej ręki, jaką zdusił nastroje rewolucyjne — długo jeszcze stryczki nazywać miano „stołypinowskimi krawatami” — ale też zaczątek nowoczesnego państwa burżuazyjnego, silnego klasą średnią i chłopstwem. Rozpoczął od przyznania chłopom praw obywatelskich. Tym, którzy zechcieli osiedlać się na pustawych dotąd terenach za Uralem, nadawał ziemię i udzielał kredytów. Z możliwości tej w ciągu siedmiu lat skorzystało trzy i pół miliona ludzi. Po kilkunastu latach miano ich tępić jako kułaków. Nieustannie rosła wydajność przemysłu, wreszcie — w latach 1902–1912 — liczba mieszkańców Rosji zwiększyła się z niespełna 140 do ponad 170 milionów. Cytowany przez Michaiła Hellera francuski ekonomista Edmond Therry w 1912 roku przewidywał, że jeśli tempo rozwoju gospodarczego Rosji zostanie utrzymane, w połowie XX wieku będzie ona dominować w Europie tak pod względem gospodarczym, jak i politycznym.

Ale Stołypin, jako się rzekło, nie żył od pięciu lat, a po jego śmierci Mikołaj II znów otoczył się ludźmi równie przeciętnymi jak on sam. Cóż więc z tego, że na prowincji z roku na rok rosły plony, skoro rząd nie umiał się uporać z transportem żywności i mieszczenie coraz częściej musieli ustawiać się w sklepach spożywczych w kolejkach. Następcą Piotra Arkadiewicza na stanowisku premiera został dotychczasowy minister finansów, Włodzimierz Kokowcow. Za cały program wystarczała mu satysfakcja, że „Rosja, dzięki Bogu, nie ma parlamentu”. W swym opracowaniu dzienników Mikołaja II Leon Kozłowski krótko a trafnie napisał później o Kokowcowie: „Nie pojmował tego, że nie mając jeszcze

parlamentu i odpowiedzialnego przed nim rządu, Rosja nie ma już i dawnego rządu monarchicznego i szybkimi krokami idzie ku anarchii. Słaby, ulegający wpływom histerycznej żony Mikołaj zdeorganizował rządy monarchiczne i zdyskredytował monarchię”.

Mikołaj II w pamiętnikach relacjonował dokładnie zmiany pogody i stan swego samopoczucia. O tym, jak władał państwem, które prowadziło wojnę, pisał niewiele: „Staram się nad niczym nie zastanawiać i dochodzę do wniosku, że tylko tak można rządzić Rosją”. Rzeczywiście, tylko brakiem jakiejkolwiek refleksji można tłumaczyć, że pozbawiony wszelakich talentów dowódczych car przejął w połowie 1915 roku dowodzenie armią z rąk wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Zamknięcie się w kwaterze głównej w Mohylewie oznaczało również koniec kontaktu z otaczającą go rzeczywistością. Władzę w Piotrogradzie sprawowała de facto cesarzowa Aleksandra.

To, że samodzierżawie nie jest możliwe bez samodzierzcy, a paraliż państwa nie może trwać wiecznie, dostrzegali i „zwykli” ludzie, i przedstawiciele elit. Ci ostatni postanowili zrobić pierwszy krok, usuwając mnicha, który w oczach ogółu stał się symbolem degeneracji Rosji — „bożego człowieka” i „świętego męża” Grigorija Rasputina. Jego wpływ na cesarzową — tylko Grigorij potrafił pomóc następcy tronu w jego walce z hemofilią — a poprzez nią na Mikołaja, na jego rozkazy wojenne i nominacje ministerialne, odczytywany był przez masy jednoznacznie: car działa na szkodę Rosji, poddając się „niemieckiemu spiskowi” cesarzowej i mnicha z Syberii.

W grudniu 1916 roku, przy współudziale członków rodziny cesarskiej, wielkiego księcia Dymitra Pawłowicza oraz

księcia Feliksa Jusupowa, w pałacu drugiego z nich zamordowano Rasputina. Był to pierwszy skandal polityczny, jaki uczeń Jerzy Giedroyc obserwował dość już świadomie i indywidualnie, oddalony od rodziny i skazany na wyrobienie sobie opinii samodzielnie, na podstawie artykułów prasowych i nastrojów moskiewskiej ulicy. W miastach i miasteczkach cesarstwa zapanowała powszechna radość: cara już nie ma, skoro rękę na najważniejszego dlań człowieka, na jego „świętego Przyjaciela”, podnoszą członkowie jego rodziny.

Przekonanie to utwierdzały wydarzenia ze świata wielkiej polityki. Wszystkie ugrupowania Dumy były jednoznacznie wrogie wobec władcy i jego rządu, na którego działalność nie miały żadnego wpływu. Podczas ostatniej sesji w grudniu 1916 roku monarchista Milukow, oceniając politykę rządu, pytał wielokrotnie: „Czy to głupota, czy zdrada?”. W kręgach rządzących kiełkowała idea przewrotu pałacowego. Carowi trzeba zaproponować zrzeczenie się tronu, a w razie odmowy — „usunąć go fizycznie”. Kiedy? Wiosną. W połowie marca. Tak planowano.

Ale historia biegnie często szybciej, niż realizują się plany polityczne. Upadkowi autorytetu monarchy towarzyszyły, jako się rzekło, rosnące problemy gospodarcze. Początek wojny ludzie przyjęli entuzjastycznie, gotowi byli cara-batiuszkę nosić na rękach. Teraz, stojąc w kolejkach po sprzedawane na kartki mleko czy ser — przeklinali go.

Wszystko zaczęło się 23 lutego (8 marca), w Dzień Kobiet i z udziałem kobiet właśnie. To one, stojąc w kolejkach przed piekarniami, zaczęły burzyć się i sarkać na brak — jak za Sołżenicynem podkreśla Heller — „białego” chleba. W stolicy doszło do rozruchów. Następnego dnia strajkowały już niemal wszystkie duże zakłady. W ciągu dwóch dni na



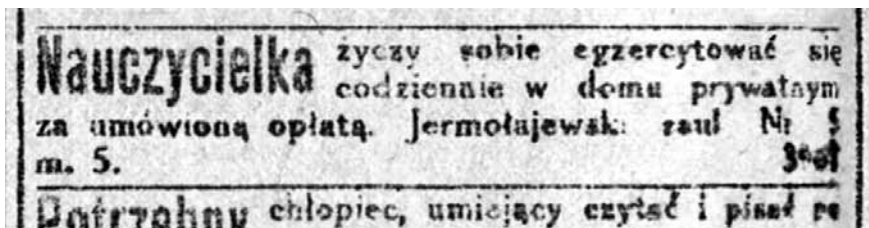
Dola młodzieży szkolnej

Upływa już drugi miesiąc roku szkolnego. W szkołach polskich wra pracą w całej pełni. Dotychczas jednak istnieje znaczny zastęp młodzieży polskiej, która, uczęszczając do szkoły, nie ma zapewnionego dachu nad głową. Nawoływanie rodziców do przytulenia młodzieży szkolnej nikle wydało rezultaty, zaledwie kilka jednostek przybieło do domów własnych uczniów lub uczennic szkół polskich. Ofiarność na ten cel wyraziła się nieco obcej, za słabo jednak w stosunku do rzeczywistych potrzeb.

Wydział szkolny Komitetu Polskiego dotychczas ma zarejestrowanych przeszło 130 uczniów i uczennic, potrzebujących stałego dachu nad głową. Internaty wydziału są przepełnione, a fundusze Komitetu Polskiego jak wiadomo uszczuplone. Wydział stara się wszelkimi sposobami o pozyskanie środków, by chociaż w części zaradzić tej palącej potrzebie.

Spółeczeństwo nasze na wygnaniu winno zdać sobie sprawę, że jednym z najważniejszych zadań jest umożliwienie znośnych warunków bytu szkolnej młodzieży polskiej, która z zapalem uczy się, by móc w przyszłości pracować dla kraju. Dopuszczenie do tego, by chociaż jedno życie młodzieńcze zostało zwichnięte, skutkiem braku środków materialnych — byłoby zbrodnią względem przyszłości naszego narodu.

Artykuł
z „Gazety Polskiej”
z 28 października
(10 listopada) 1916.



Ogłoszenie z „Gazety Polskiej” z 7 (20) grudnia 1916.

stronę demonstrantów zaczęły przechodzić poszczególne oddziały wojska. Dnia 27 lutego (12 marca) przewodniczący Dumy, Michaił Rodzianko, telegrafuje do cara: „W stolicy anarchia, rząd sparaliżowany”. Domaga się od cara powołania nowego rządu, cieszącego się zaufaniem publicznym i kontrolowanego przez Dumę. Mikołaj reaguje w jedyny znany mu sposób — Dumę rozwiązuje, a porządek w stolicy każe zaprowadzić armii. Ale zupełnie nie jest świadom tego, że — jak pisał Kozłowski — „pułki gwardyjskie, stacjonujące w Petersburgu w 1917 roku, nie miały prócz nazwy nic wspólnego z tymi pułkami, które tłumyły powstanie moskiewskie w 1905 roku: składały się z robotników petersburskich, będących pod wpływem propagandy socjalistycznej”.

Reakcja na te decyzje była oczywista. Duma, widząc masowe poparcie dla rewolucji, tego samego dnia wieczorem decyduje się na powołanie Tymczasowego Komitetu, który ma przywrócić porządek w państwie. W tym samym czasie powstaje pierwsza Rada — Sowiet: piotrogrodzka Rada Robotników i Żołnierzy. W większości opanowana jest przez mieniszewików — „zawodowi” rewolucjoniści bolszewicy bowiem na razie jedynie przyglądają się w największym zdumieniu zachodzącym wydarzeniom. Jeszcze niedawno Lenin przekonywał ich, że za własnego życia rewolucji nie ujrzą.

Piotrogrodzki Komitet Partii w komplecie siedzi w więzieniu, poza tym obowiązuje ich wydany przez Lenina zakaz współpracy z innymi partiami socjalistycznymi. Pozostają więc bierni... i zdziwieni.

Mikołaj II jest natomiast rozczarowany i zniesmaczony. „Wstyd i hańba” — zapisał w swym dzienniku 1 marca, gdy pociąg, którym chciał dotrzeć do Carskiego Sioła, został zatrzymany na stacji o wymownej nazwie Dno. Imperator kieruje się do Pskowa. Nie wie jeszcze, że w tym właśnie dniu telegrafiści w sztabach dowódców wszystkich pięciu frontów mają moc roboty. Najpierw z Mohylewa przychodzi pytanie o ich ocenę sytuacji. Komitet Dumy nie jest w stanie bronić ustroju przed Sowietem i tłumami na ulicach. Nocą Rodzianko otrzymuje przez kwaterę główną jednomyślną odpowiedź wszystkich dowódców — zgadzają się, że abdykacja cesarza stała się niezbędną. Wieczorem 2 marca Mikołaj podpisuje akt abdykacji, przywieziony mu z Piotrogradu. Odstępuje tron nie swemu synowi, z którym nie chce się rozstawać, ale bratu, wielkiemu księciu Michałowi Aleksandrowiczowi. „Wszędzie zdrada, tchórzostwo i oszustwo” — notuje przed zaśnięciem.

Wielki książę Michał korony carów jednak nie przyjmuje. Oświadcza, że robi to tylko za zgodą Konstytuanty, wybranej w wyborach powszechnych. Do tego więc czasu władza pozostać ma w rękach — powołanego przez Komitet Dumy, w porozumieniu z Sowietem — Rządu Tymczasowego z premierem, księciem Gieorgijem Lwowem, i przedstawicielem Sowietu, Aleksandrem Kiereńskim w funkcji ministra wojny.

Jak wydarzenia tej, mimo wielkich mrozów gorącej, zimy widział Jerzy Giedroyc? Czego był świadkiem? Jak w owe rewolucyjne dni wyglądała Moskwa? Odwołajmy się do ówczesnych relacji dziennikarskich. Redaktorzy pism, którym

zakazano informowania o przebiegu wydarzeń w Piotrogradzie, zawiesili ich wydawanie. W Moskwie rewolucja zaczęła się we wtorek 28 lutego (13 marca). Dopiero w piątek 3 (16) marca „Gazeta Polska” obszernie relacjonowała wydarzenia całego tygodnia, w którego trakcie w mieście nie ukazywały się gazety:

„Wiadomości o wypadkach, jakie zaszły w Piotrogradzie, zaczęły napływać do Moskwy w poniedziałek, w godzinach popołudniowych. Redakcje pism rosyjskich otrzymały wiadomości zarówno o demonstracjach, jakie zaszły w Piotrogradzie w piątek i sobotę, jak i o przyłączeniu się do ruchu narodowego czterech pułków gwardii i o utworzeniu się rządu prowizorycznego pod nazwą «Komitetu Wykonawczego Izby Państwowej» pod prezydencją Rodzianki”.

Komunikacja z Piotrogradem została odcięta. Na ulicach Moskwy tłumy gęstniały, znikła z nich zaś policja. Pomimo ogólnego podniecenia, nie dochodziło do żadnych ekscesów. „Gazeta Polska” pisała później: „Stara władza zniknęła, nowa zaczęła organizować się dopiero i jeśli masy ludowe w Moskwie w niczym w ciągu tych dni pamiętnych nie wykroczyły przeciwko porządkowi publicznemu, jest to niewątpliwie zasługą zdrowego tych mas instynktu”.

Ośrodkiem, ku któremu ciągnęły tłumy, był gmach Rady miejskiej na placu Woskriesińskim. Gmach ten stał się zarazem ośrodkiem organizacyjnym ruchu masowego. Przez całe dnie i nocę wre tam jak w ulu; obradują różne komitety, wśród nich najważniejsze: Komitet Zjednoczonych Organizacji Społecznych, Komitet Rewolucyjny i Rada Deputatów Ludowych. Poza tym — mnóstwo organizacji poszczególnych. Straż dokoła gmachu Rady miejskiej sprawowała początkowo młodzież, następnie zaś organizacje społeczne obradowały już

pod strażą wojska, które przyłączyło się do ruchu. Dokoła gmachu Rady rozlokowały się nawet baterie artylerii.

Jeszcze we wtorek wieczorem istniał podobno zamiar aresztowania zaczątków organizacji, które zaczęły się tworzyć w gmachu Rady miejskiej. Silny oddział policyjnej straży konnej ulokował się obok gmachu Rady miejskiej. W tym jednak czasie na plac Woskriesiński nadciągnął pod dowództwem chorążego Uszakowa batalion piechoty, uzbrojony w karabiny, który wyruszył z koszar Spasskich i wziął pod opiekę bezpieczeństwo obradujących. Policja konna cofnęła się ze swych stanowisk i odjechała do koszar. Moment krytyczny minął.

Najbardziej uderzającym zjawiskiem tych dni pamiętnych były oddziały wojska, które w ordynku z bronią w ręku, ze śpiewem kroczyły po ulicach — bardzo często z czerwonym sztandarem na czele. Krążą również po mieście liczne automobile wojskowe, pełne uzbrojonych w szable, karabiny i rewolwery żołnierzy i cywilnych, przeważnie młodzieży wyższych zakładów naukowych. (...)

Wczoraj na ulicach widzieliśmy mnóstwo osób ozdobionych czerwonymi kokardami. W ogóle w Moskwie dominuje kolor czerwony, gdy w Piotrogradzie, jak słyhać, białe kokardy i opaski są odznaką czynników «nowego ładu». Pomimo tej czerwieni zewnętrznej rewolucja w Moskwie jest, jak dotychczas, najzupełniej «białą»: rozlewu krwi nigdzie nie było, stary rząd kapitulował bez walki...

Procedura przeciągania wojsk na stronę rewolucji odbywała się mniej więcej w taki sposób: przed koszarami danego pułku gromadził się tłum, który wznosił okrzyki «hurra!» — na cześć armii. Zajeżdżał automobil z delegatami komitetu rewolucyjnego, zaczynały się pertraktacje. Jeśli brama koszar była zamknięta, wyłamywano ją lub przełazono przez mur



Wiec na placu Skobielewskim w Moskwie.

otaczający koszary; tłum przenikał na podwórze koszar, wygłaszano do żołnierzy mowy i pociągano ich za sobą. Oddziały wojska, przeważnie pod dowództwem chorążych, przeciągają po mieście, śpiewając starodawne pieśni żołnierskie, będące odbiciem dawnej ideologii. W ogóle rewolucja jest na razie «bezgłośna». Tu i ówdzie usiłowano zaśpiewać *Marsylianke* lub *Warszawiankę*, ale jakoś to nie idzie...

(...) Tramwajów i dorożek nie ma. Przechodnie korzystają z «rozwalni» (sani ciężarowych), na których odbywają podróże po mieście elegancko nawet ubrane damy”.

Tak więc we wtorek 28 lutego skończyło się normalne życie moskwian. Nie pracowały fabryki ani urzędy, zamknięte były również — rzecz jasna — szkoły. Jerzy Giedroyc i jego koledzy ze stacji na Pokrowce znaleźli się, jak widać z powyższego opisu, w samym centrum wydarzeń. Dzień w dzień bywali wśród tłumów na Łubiance, niejeden zapewne widział uwalnianie więźniów politycznych z aresztu przy cyrkułe Miasnickim, zrywanie cesarskich herbów z urzędów i sklepów — wszystko to działo się przecież dwa kroki od stacji. Z pewnością też wśród rozgadanego tłumu, czytającego ulotki i gazetki, śpiewającego mniej lub bardziej przyzwoite piosenki, uczniowie szkoły pana Jacuńskiego robili większe postępy w nauce rosyjskiego niż podczas lekcji.

Wtedy po raz pierwszy miał Jerzy okazję naprawdę poznać Rosjan — w wyjątkowym momencie, który ich samych uczynił wyjątkowymi. Atmosfera — tak jak ją opisywali moskiewscy żurnaliści — wydaje się podobna do tej, którą znamy ze współczesnych nam rewolucyjnych wydarzeń, polskiej Solidarności czy pomarańczowej zimy w Kijowie. Rzadkie te momenty — kiedy o to, czy jesteś głodny albo czy nie marzniesz, martwi się ktoś nieznajomy, kto po prostu stoi obok w tłumie, kiedy nagle każdy, kto jest „z nami” tu i teraz, zasługuje na pomoc — zapadają w pamięć na całe życie. Nie dziwi więc, że na zawsze zapamiętał je z Moskwy 1917 roku Jerzy Giedroyc.

W dalekim Mińsku rodzice, do których dochodziły wiadomości o wydarzeniach w Moskwie, z pewnością drżeli ze strachu o syna. Ale Jurkowi nie groziło nic poza zwyczajnymi w mieście zagrożeniami — a może nawet i te były w owych dniach mniejsze. Nie mógł na przykład wpaść pod tramwaj, bo tramwaje nie kursowały. Grzeczny chłopczyk o ujmujących,

wielkich i ciemnych oczach całymi dniami szwendał się po ulicach. Musiał budzić sympatię zarówno okutanych w chusty niewiast o szerokich biodrach i matczynych sercach, stanowiących sporą część tłumu rządzącego miastem, jak i żołnierzy czuwających przy ogniskach na placu Czerwonym. Nie szczędzono mu pewnie chleba i zupy z rozstawionych tam garkuchni — może też wówczas od któregoś z żołdatów dostał swojego pierwszego papierosa? Już za kilka miesięcy będzie przecież w Mińsku — jedenastolatek! — palił zupełnie oficjalnie...

Ale wszystkie rewolucje kiedyś się kończą. Ta okazała się bezkrwawa, bo z jednej strony władze nie stawiały oporu, a z drugiej — była rewolucją ludową, a nie zorganizowaną przez „zawodowych” rewolucjonistów, którym zależałoby na podgrzewaniu nastrojów. Dzięki temu wydarzenia z lutego 1917 roku przyniosły w skali całej Rosji tylko 169 ofiar. Z tego samego powodu rewolucja skończyła się też nieprawdopodobnie szybko — po tygodniu. Dla Giedroycia nie był to zapewne powód do radości — koniec rewolucji oznaczał powrót do szkoły.

Ledwo jednak Jerzy ponownie zaczął chodzić do szkoły, wydarzyło się w niej nowe nieszczęście — pod koniec marca zmarł jej kierownik, Wacław Jacuński. Jego obowiązki powierzono wówczas prawdopodobnie dyrektorowi innej polskiej placówki, Władysławowi Giżyckiemu.

Mimo zakończenia rewolucji stutysięczna rzesza moskiewskich Polaków — podobnie jak pozostali mieszkańcy miasta — żyła głównie zgromadzeniami i proklamacjami, zebraniami, naradami i uchwałami. Dotyczyło to nie tylko nauczycieli Jerzego, ale też jego samego i jego kolegów.

— **Wznowienie nauki szkolnej.** Dyrektor szkoły Centralnego Komitetu Obywatelskiego wzywa uczniów szkoły, ażeby niezależnie od ruchu tramwajowego przybyli do szkoły dziś w Sobotę 4-go b. m. o godz. 12 i pół w południe.

— **Kartki na chleb i cukier.** Komitet ogólnomiejski oznajmia, że nie należy niszczyć kartek na chleb, mąkę i cukier, gdyż produkty te będą sprzedawane wyłącznie za dotychczasowymi kartkami, póki nie zostaną wydane nowe kartki.

Ogłoszenie o wznowieniu kursów i o pracy w szkołach z „Echa Polskiego” z 5 (18) marca 1917.

WZNOWIENIE KURSÓW I ZAJĘĆ SZKOLNYCH. Zarząd Kursów Uzupełniających Sekcji Nauczycielskiej zawiadamia, że wykłady rozpoczną się z chwilą wznowienia ruchu tramwajowego.

W szkołach Komitetu Polskiego nauka wznowiona zostanie również z chwilą otwarcia ruchu tramwajowego.

PRACA W SZKOŁACH
Przewodniczący Komitetu Wykonawczego p. Kiszkin zwrócił się do młodzieży z wezwaniem, aby od poniedziałku powróciła do pracy szkolnej.

POGRZEB OFIAR REWOLUCJI.
Wczoraj pochowano na Bratnim cmentarzu trzy ofiary rewolucji w Moskwie, spowodowane następującym zajściem:

Dnia 1 marca szkoła motocyklistów w całym komplecie udała się do Dumi Miejskiej, w celu przyłączenia się do ruchu rewolucyjnego. W pobliżu Kamiennego mostu szkoła napotkała wrogi jeszcze rewolucji oddział 194-ego pułku. Oficer oddziału skomenderował: «ognia». Padły strzały. 3-ch uczniów szkoły padło trupem. 17 otrzymało rany.

Ogłoszenie dyrektora szkoły Centralnego Komitetu Obywatelskiego, wzywające uczniów do stawienia się w szkole w sobotę 4 marca — „Gazeta Polska” z 4 (17) marca 1917.



Nekrologi Wacława Jacuńskiego — „Echo Polskie” z 21 marca (8 kwietnia) 1917.

Świadczyć może o tym choćby to, że uczniowie szkoły wzięli udział w zbiórce pieniędzy na rzecz uwolnionych więźniów politycznych. Chłopcy zebrali 201 rubli i 97 kopiejek — czterokrotnie więcej niż na przykład pracownicy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Ponadto w szkołach Komitetu zachodziły też inne zmiany — zaczęto między innymi wprowadzać naukę historii i geografii w języku polskim.

Już w kwietniu mówiło się o wcześniejszym zakończeniu roku szkolnego. W Moskwie ceny rosły w szalonym tempie i wielu Polaków chciało jak najszybciej opuścić miasto. Kartki obowiązywały już na niemal wszystkie produkty, łącznie z paszą dla koni — zarządzono zresztą ewakuację z Moskwy

— Zjazd młodzieży szkół średnich. Wczoraj rozpoczął swe obrady w Moskwie wszechrosyjski zjazd młodzieży szkół średnich. Program zjazdu obejmuje: utworzenie związku młodzieży szkolnej, zorganizowanie działalności kulturalnej. Z programu tego widać, że nienormalne skutkiem wstrząśnienia życia rosyjskiego wydaje dziwne anomalje. Trudno bowiem nie nazwać anomalją opracowanie przez młodzież szkolną projektu reformy szkolnej.

Notka z „Gazety Polskiej” z 11 (24) maja 1917.

tych zwierząt, które nie były oficjalnie „zatrudnione” przez dorożkarzy bądź przy transporcie ciężarowym.

Pod koniec kwietnia, gdy Jerzy Giedroyc i jego koledzy uczyli się już pilnie do egzaminów końcowych, Rząd Tymczasowy zrobił im niespodziewany prezent. Łatwo można sobie wyobrazić wybuchy radości, gdy dowiedzieli się, że — jak donosiły gazety — „Ministerstwo oświaty zawiadomiło prezesa Rady Zjazdów, p. A. Lednickiego, że zgodnie z cykularzem z dnia 24 marca rb. nr 2374, do średnich polskich zakładów naukowych powinien być w bieżącym roku szkolnym zastosowany porządek udzielania uczniom i uczennicom promocji do klas następnych oraz wydawania im patentów i świadectw

dojrzałości bez egzaminów, na zasadzie jedynie oceny, przy współudziale delegata okręgu naukowego, rezultatów zajęć całorocznych”. Najszczęśliwsi byli ci, którzy — jak wspomniany Wacław Solski — dzięki rewolucji, bez stawania przed komisją egzaminacyjną, dostali świadectwo maturalne.

W ten sposób jednego z chłodnych majowych poranków — a wiosna tego roku zdecydowanie się ociągała, w maju termometry wciąż wskazywały temperaturę poniżej zera — uczeń Jerzy Ignatiewicz Giedroyć odebrał swoje pierwsze w życiu świadectwo i uzyskał promocję do następnej klasy. Nie wiemy, jakie oceny mu wystawiono, ale też dla niego samego z pewnością nie było to wówczas najważniejsze. Musiał zdecydować, co ma robić dalej.

III. Znowu Mińsk

W Petersburgu miałem stryja Wiktora — czytamy w *Autobiografii na cztery ręce*. — Trudno o nim powiedzieć, że był zrusyfikowany, choć siedział w sprawach czysto rosyjskich i odegrał pewną rolę w jednym z ostatnich powstań na Kaukazie. W każdym razie, gdy w Moskwie wybuchła rewolucja i moją stancję rozpędzono, wybrałem się do niego”.

Stancji nie „rozpędzono” — prawdopodobnie zamknięto ją po prostu wcześniej, w związku ze skróceniem roku szkolnego. Działała zapewne co najmniej do połowy maja, kiedy najstarszym uczniom szkoły realnej z Wwiedieńskiego Pierieułka wręczano świadectwa maturalne.

Czemu gimnazjalista Giedroyć, zebrawszy swoje tobołki, nie wsiadł w pociąg do Mińska? W Moskwie nie miał rodziny, mówi — ale czemu przyszła mu do głowy podróż do Piotrogradu, a nie powrót do domu? Może miał od rodziców kartkę z adresami najdalszych nawet kuzynów, z przykazaniem: jeśli coś się wydarzy, jeśli coś nie pójdzie zgodnie z planem — szukaj pomocy u rodziny? A może, po prostu w jednym z ostatnich listów z domu przeczytał, że sytuacja na Białorusi jest coraz mniej stabilna? Z pewnością był świadom, że front przebiega niedaleko rodzinnego miasta, i nie mógł wiedzieć, czy w ciągu kilku dni nie przesunie się dalej. Może więc bał się, że do Mińska nie dotrze, że od domu oddzielią go okopy i transeje, i dlatego zdecydował się jechać do Petersburga?

Kiedy się tam znalazł? Teresie Torańskiej opowiadał po latach dramatyczną przygodę, jaka mu się przydarzyła: „W Petersburgu, czyli Leningradzie, szedłem do swoich krewnych, którzy wyjechali zresztą na Kaukaz. (...) Pamiętam jak dzisiaj: była jakaś strzelanina, już nie pamiętam, na jakim placu, i upadłem za jakąś latarnią na coś, co okazało się trupem, nie-słuchanie krwawiącym — to było dla mnie duże przeżycie”.

Pomiędzy rewolucją lutową a październikową panował w Rosji niesłyszany rozgardiasz, ale strzelanina i krwawiące trupy na ulicach Piotrogradu? Wydaje się, że do tego mogło dojść tylko pomiędzy 3 a 5 lipca. Wtedy właśnie w „nowej” stolicy bolszewicy — bez powodzenia — próbowali dokonać przewrotu.

„Rząd Tymczasowy, rząd rosyjskiej inteligencji nieodparcie zbacza w lewo, pragnąc nadążyć za zbuntowanym ludem — opisują ówczesne nastroje Heller i Niekricz — ale wciąż zostaje w tyle, gdyż lud, podpuszczony arcyekstremistycznymi hasłami Lenina, marzy o pełnym bezkrólewiu”. Wacław Solski wspomina, że w owym czasie takich arcyrewolucjonistów, którzy chcieli „wszystkiego” i „zaraz”, nazywano obozem „LZS” — „lewieje zdrowego smysłu”, czyli „na lewo od zdrowego rozsądku”. Również sytuacja wojenna — z tych samych powodów — przedstawiała się fatalnie. Słynny „rozkaz numer 1”, wydany przez Sowiet tuż po jego utworzeniu, zaprowadzał „demokratyczne” porządki w armii. Na efekty nie trzeba było długo czekać — oficerom nie tylko przestano salutować, ale też nierzadko nie wydawano broni. W związku z zapowiadanymi wyborami do Zgromadzenia Ustawodawczego w armii najważniejsza stawała się polityka: komisarze, delegaci, rady... Nie wojna. Toteż minister Aleksandr Kiereński, wybitny mówca, który potrafił



Aleksandr Kiereński
(po lewej) na froncie.

zagrzać wojsko do walki, jeździł wzdłuż frontu, spotykając się z żołnierzami. Problem w tym, że nie mógł być w wielu miejscach jednocześnie. A tam, skąd wyjechał, natychmiast ponownie „demokratyzowano” armię. Mimo to rozpoczęta w czerwcu ofensywa zdawała się rokować nadzieje. Inaczej sprawę widzieli żołnierze na tyłach — dla nich oznaczała ona jedynie ponowne zaostrzenie dyscypliny.

Kiedy więc Kiereński objeżdża front — a Jerzy Giedroyc zapewne wygląda przez okno pociągu zmierzającego w stronę „nowej” stolicy — w Piotrogradzie rozpoczynają się niepokoje.

Bolszewicy postanawiają obalić Rząd Tymczasowy, korzystając z fermentu wśród stacjonujących w stolicy oddziałów. Sprowadzają też posiłki z Kronsztadu, ale że piotrogrodzki Sowiec opowiada się przeciwko puczowi, udaje się go zdusić. „Nie przyszło to zresztą łatwo rządowi — wspominał komisarz Kronsztadu, Tomasz Parczewski — gdyż ledwo zebrał 16 000 kozaków i junkrów (kursantów, czyli podchorążych) dla swej obrony”. Załamany Lenin salwuje się ucieczką pod granicę fińską, a Rząd Tymczasowy dzień po dniu ogłasza kolejne dokumenty świadczące o współpracy bolszewików z Niemcami.

Właśnie w tym momencie, gdy o przyszłości Rosji decydowała siła szesnastu tysięcy ludzi, w „nowej stolicy” znalazł się Jerzy Giedroyc. Opisywana przezeń strzelanina musiała zaś być fragmentem bolszewickiego puczu.

Jak jedenastoletek mógł przebyć drogę między Moskwą a Piotrogiem? „Jechało się wtedy rzemiennym dyszlem: pociągami na gapę, jakimś transportem, ciężarówką. Było to bardzo zabawne”. Na pytania, w jaki sposób udało mu się dotrzeć na miejsce bez specjalnych dokumentów, bez pieniędzy i opieki, Redaktor zazwyczaj uśmiechał się i wspominał o życzliwości „dobrych ludzi”, którzy pomagali mu w drodze. Pytany, gdzie sypiał, odpowiadał Teresie Torańskiej:

„— Różnie, po jakichś dworach, u jakichś ludzi...

— Ludzie przygarniali?

— Tak, tak, to jest bardzo rosyjskie, to jest właśnie to, co jest u nich bardzo przyjemne. Było bardzo przyjemne, dzisiaj na pewno się bardzo zmieniło”.

Miły, dobrze wychowany chłopiec spotykał się pewnie z sympatią i nie miał kłopotu ze znalezieniem noclegu czy podwozy. A co wówczas jadał? Podstawą był kukurydziany

chleb, a do niego zazwyczaj suszona wobła — ryba, którą Giedroyc często wspominał: „składa się z samych ości, solona. I trzeba było ją trzepać o ścianę, żeby tę sól otrzepać. To jest nawet modne w Rosji, bo używane jako zakąska do piwa, ale jeśli się to traktuje jako jedzenie, to jest to dosyć potworne”. Dalej opowiadał Torańskiej, że miał nieco pieniędzy ze szkoły, a poza tym:

„— Trochę dostawałem, trochę kradłem.

— A gdzie Pan kradł?

— Na jakichś prywatkach, to są takie stragany. Wtedy był handel właściwie nie tyle w sklepach, co w jakichś takich straganach... Ale to się rzadko zdarzało, bo rzeczywiście była duża życzliwość ludzka, mogłem dostać papierosy czy coś do zjedzenia bez jakiejś zebraniny specjalnie. W każdym razie dla mnie to była przygoda”.

Podróż dawała też liczne okazje do znanych już z rewolucyjnego okresu moskiewskiego rozrywek: „Wszystko to było atrakcyjne dla dziecka, broń na ulicach — ja kolekcjonowałem sobie jakieś bagnety — narkotyzowałem się prochem. Bardzo lubiłem rozkręcać gilzy od karabinów i wachałem proch, bo on miał zapach karmelków, które bardzo wtedy lubiłem, a których nie było — opowiadał Redaktor Mirosławowi A. Supruniukowi. — Mogłem prawie godzinami siedzieć nad tym prochem i go wachać”. Drogi i dworce pełne były owych pseudożołnierzy, którzy z bronią lub bez, nie zważając na niczyje rozkazy, chcieli po prostu dotrzeć do domu. Co mogli ofiarować podróżującemu z nimi smarkaczowi? Jakiś bagnet, garść naboju, papierosa czy kawałek chleba. Mogli go też zabawiać, śpiewając piosenki — z pewnością na pamięć znał ówczesny szlagier o korzystającej z życia gimnazjalistce. Nuciła go wtedy cała Rosja.

Ja gimnazistka siedmogo kłassa,
Piju samogonku zamiesto kwasu,
Ah, szaraban moj — amierikanka,
A ja dziewczonka, ja szarłatanka.

Trudno się dziwić, że Jerzy Giedroyć z zachwytem wspominał rewolucję rosyjską jako jedną wielką przygodę.

Z Moskwy wyruszył zapewne w czerwcu, a po tygodniu bądź dwóch — w pierwszych dniach lipca — dotarł do Piotrogradu. Wiktora Giedroycia jednak nie odnalazł. Gwoli ścisłości, „stryj” ów nie był wcale stryjem Jerzego, ale — stryjecznym bratem Ignacego Giedroycia. Ojciec Ignacego, Bronisław Lucjan, i ojciec Wiktora, Julian Kazimierz, byli braćmi.

I jeszcze jeden drobiazg świadczący o problemach, jakie sprawiają spisywane po wielu dziesięcioleciach wspomnienia każdemu, kto zechce przyrzeć się im dokładniej. Opowiadając Teresie Torańskiej o swojej wędrówce, wspominał Jerzy Giedroyć Orszę: „była tam granica między Niemcami a Rosją, którą się przekraczało stosunkowo łatwo, bo była tam taka restauracja...”. Jaka była restauracja, nie wiemy — rozpoczęte wówczas zdanie nigdy nie zostało dokończzone. Wiemy natomiast co innego — że granica rosyjsko-niemiecka niedaleko Orszy przebiegała, owszem, ale... rok później, po traktacie brzeskim. Przekraczał ją tam w połowie 1918 roku Paweł Jasienica i opisał to dokładnie w swoim *Pamiętniku*. Ale żeby granica mogła przebiegać w Orszy, Niemcy musieliby zająć Mińsk — a to zdarzyło się osiem miesięcy po opisywanej wędrówce Jerzego. W efekcie podjętej przez Rząd Tymczasowy ofensywy w Galicji nastąpiły wprawdzie latem przesunięcia frontu — po kilku zwycięstwach rosyjskich siły austriacko-niemieckie odparły ofensywę, a na północy Niemcy zajęli



Petersburski „stryj”
Jerzego — Wiktor
Giedroyć.

Rygę — ale na zachodzie wiele się nie zmieniło. Mińsk, a tym bardziej Orsza pozostawały po stronie rosyjskiej. Na własne wspomnienia musiały się Giedroyciowi nałożyć cudze, zasłyszane bądź przeczytane.

Ostrożnie należy też podchodzić do zapamiętanej przez jednego z paryskich Polaków rozmowy Redaktora z Szymonem Szyszmanem, znawcą karaimizmu. Rzecz działa się w latach osiemdziesiątych, a dwaj starsi panowie wspominali ponoć, jak latem 1917 roku przeprawiali się razem przez rozlewiska jakiejś rzeki. Noc, księżyc, woda po pas... Czy

rzeczywiście tak było? Gdzie i kiedy dokładnie? Tego się już nie dowiemy.

Z Piotrogradu wyruszył dalej — nie miał powodu, by zostawać w mieście. Zważywszy na wszelkie problemy związane z podróżowaniem „rzemiennym dyszlem” — brak pociągu, jakiś przypadkowy wóz, który nagle skręcił nie tam, gdzie miał skręcić, spóźnienia czy pobłądzenie — droga do Mińska nie zajęła mu chyba więcej niż dziesięć dni. Możemy założyć, że jeszcze w drugiej połowie lipca dotarł do domu.

Spotkanie z rodzicami z pewnością było pełne obustronnej radości. Ale też musieli się oni zastanawiać, czy im się wydaje, że zawsze cichy i spokojny Jurek przez ten rok jeszcze spoważniał? A z drugiej strony — jakoś wydoroślał, usamodzielniał się. Nie widzieli syna od roku, zauważali wiele zmian. Jerzy też je dostrzegał — u rodziców. Więcej w nich było niepokoju, poczucia niepewności. Materialna sytuacja rodziny też była gorsza niż przed jego wyjazdem. Czy wuj Czesław Starzycki nie radził sobie z prowadzeniem interesu przejętego po dziadku Franciszku? Czy też nie był skory do wspierania rodziny — może o tym właśnie enigmatycznie wspominał Jerzy Ziemiński? To, że w rodzinie rzeczywiście doszło do konfliktu, dowodzi fakt, iż w kolejne rocznice śmierci Franciszka Starzyckiego osobno ofiary z tej okazji składała „rodzina”, osobno zaś — „A. Starzycki”, dwojga imion wuj Czesław.

W Mińsku sytuacja była coraz trudniejsza — już za dwa miesiące, gdy zastrajkują związani z bolszewikami piekarze, brakować będzie zwykłego chleba — ale Jurkowi starano się niczego nie żałować. „Największym przeżyciem dla mnie była biała bułka — powie Teresie Torańskiej. — Już się zupełnie odzwyczaiłem. I kawa, bo nawet zbożowej nie było”.

O f i a r y.

Ku uczczeniu śp. Karoliny Grabczewskiej w dniu 4 listopada, Ignacy i Tekla Grabczewscy składają: na Polską Macierz Szkolną 50 rb., na szkołę im. Tadeusza Kościuszki 25 rb. na ciepłą odzież dla żołnierza polskiego 25 rb.

Na Macierz Szkolną w Mińsku
Ku uczczeniu śp. Franciszka Starzyckiego składają rodzina 100 r., Br. Cielew 50 r., Br. Kabus 10 r., M. Trzcwski 15 r., A. Starzycki 10 r., E. Kanił 25 r., J. Ofodkiewicz 35 r., St. Kozłowski 50 r., K. Hymniewicz 50 r., Br. Kuczewski 10 r.

Na jeńców polskich
w Rumunii.

Dla głodnych Polskich Dzieci.
Ku uczczeniu pamięci ś. p. Franciszka Starzyckiego, w trzecią rocznicę śmierci rodzina składa 50 rb.

Na Macierz Szkolną
Ku uczczeniu pamięci ś. p. Franciszka Starzyckiego, w trzecią rocznicę śmierci, rodzina składa 50 rb.

Ogłoszenia o mszach św. w kolejne rocznice śmierci Franciszka Starzyckiego i o ofiarach, przekazywanych z tej okazji na „głodne dzieci polskie” bądź na „Polską Macierz Szkolną” — „Dziennik Miński” z 22 października (6 listopada) 1917 oraz z1918.

Wyglądniałego po wędrówkach syna należało nie tylko odkarmić, ale też — już niedługo — posłać do szkoły. Były w Mińsku wciąż rozmaite kursy i szkoły ewakuowane z Królestwa, było gimnazjum rosyjskie — to oczywiście nie wchodziło w grę — ale najlepszą renomą cieszyło się gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej. Przez dłuższy czas, jak wcześniej wspominaliśmy, nie miało ono uprawnień szkoły publicznej, lecz od roku mogło się już nimi pochwalić, a gwarancją jakości był dyrektor szkoły — Marian Massonius. Znawca Kanta — na jego temat obronił w Lipsku doktorat — zasłynął przede wszystkim jako organizator tajnych szkół w Królestwie, a także jako miński poseł do pierwszej Dumy. Jesienią 1917 roku pojawił się — obok między innymi księdza Michała Majewskiego, który w mińskiej katedrze chrzczył przed laty Jerzego Władysława — na liście kandydatów do Konstytuanty.



Marian Massonius
(„Tygodnik Ilustrowany” z 28 lutego 1931).

Szkoła mieściła się przy ulicy Policyjnej (Mostowej), pod numerem 13. Musiał więc Jerzy codziennie przemierzyć w drodze na lekcje całe niemal centrum miasta, wzdłuż ulicy Zacharzewskiej. Obytego w wielkomiejskim świecie syna zapewne państwo Giedroyciowie do szkoły nie odprowadzali. Cóż mogło się stać nastolatкови za dnia na ulicy w dobrych starych czasach, kiedy w Mińsku automobile wciąż należały do rzadkości, tramwaje ciągnięte były przez konie, a większość przestępstw miała charakter rabunkowy? Z drugiej strony, przestępczość znacznie wzrosła — przyfrontowy, do granic



Budynek, w którym mieściła się szkoła Polskiej
Macierzy Szkolnej.

możliwości zatłoczony Mińsk dawał wiele okazji łatwego zarobku rozmaitym typom spod ciemnej gwiazdy. Najgorsze były terroryzujące miasto bandy „skakunów”. „Ktoś wynalazł i wyrabiał sprężyny, które przymocowywali oni sobie do podszew — opisuje Wacław Solski. — Sprężyny były tak mocne, że odbijając się od trotuaru, «skakuny» mogli przelecieć z jednej strony ulicy na drugą. Dla większego efektu zawijali się w prześcieradła i operowali wyłącznie w nocy, spadając na przechodniów jakby z nieba. Bano się ich panicznie. Były wypadki śmiertelnych ataków sercowych, wywołanych przez



Ogłoszenie z „Dziennika Mińskiego” z 28 września
(11 października) 1917.

tych skoczków, którzy, uzbrojeni w noże, zabierali swym ofiarom wszystko, pozostawiając ich często na ulicy w białym nocy.

Czym interesował się wówczas przyszły Redaktor? Na pewno życiem miasta, jak choćby sprawą „skakunów”. Czy znów chorował i dużo czytał? Zbierał marki i kalkomanie? A może modne było jeszcze wykazywanie się odwagą na torach kolejowych? Wśród kolegów notowania nieśmiałego chłopca — zapewne niezbyt dotąd wysokie — musiały znacznie wzrosnąć dzięki niedawnej „rewolucyjnej” przeszłości.

Miał też nową fascynację — i ta akurat nigdy nie miała się skończyć. Jej obiektem był brygadier Piłsudski. „To było bardzo silne. Kolportowano jakieś portreciki Piłsudskiego, rosła jego legenda — wspominał w rozmowie z Mirosławem A. Supruniukiem. — Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem o Piłsudskim, o Legionach nic nie wiadano, tylko o samym Piłsudskim. Mówiło się niewiele; legenda walki o niepodległość, niepodległe wojsko polskie, bez bliższych szczegółów”. To, rzecz jasna, wspomnienie świadomości dziecka — o Le-

gionach wiadano, dość prężnie działała też Polska Organizacja Wojskowa (POW), którą w mieście kierował Ignacy Matuszewski.

Z pewnością nie zabrakło Giedroyciowi w Mińsku możliwości kontynuowania innej pasji — kolekcjonowania najrozmaitszych elementów uzbrojenia. W mieście stacjonowali nie tylko żołnierze rosyjscy, ale i polscy. Właśnie bowiem w sierpniu generał Ławr Korniłow, wódz naczelny, mianował generała Józefa Dowbora-Muśnickiego, dotychczasowego dowódcę rosyjskiego 38. Korpusu, organizatorem i dowódcą 1. Korpusu Polskiego. Plany utworzenia polskich sił zbrojnych datowały się na czasy sprzed rewolucji, lecz ich realizacja nabrała tempa dopiero po jej wybuchu, kiedy powstawać zaczęły w całej Rosji Związki Wojskowych Polaków.

Na marginesie wspomnień należy, że w kilka dni po podpisaniu nominacji dla Dowbora-Muśnickiego generał Korniłow podjął próbę obalenia rządu Kiereńskiego. Pucz Korniłowa był dla Rosji klęską — nie dość, że się nie udał, to bolszewicy, którzy wystąpili przeciwko niemu, odzyskali status rewolucyjnej awangardy. Przestano ich uważać za obcy element, niemiecką agenturę — znów byli obrońcami praw chłopów i robotników. Korniłow został — rzecz jasna — aresztowany, a rząd Kiereńskiego w wyniku całej tej awantury zmierzyć się musiał z rosnącym z dnia na dzień poparciem dla partii Lenina.

Korpus Dowbora-Muśnickiego szybko stał się najważniejszą instytucją dla zamieszkujących Mińszczyznę Polaków. Ich ówczesną świadomość polityczną tak opisuje Leon Mitkiewicz, w tych dniach świeżo upieczony dowórczyk: „Istniał jakiś Komitet Narodowy w Paryżu, który stawiał sprawę odrodzenia Polski wobec aliantów, o którym dochodziły

niejasne słuchy i do Mińska Litewskiego, ale równocześnie istniało utworzone przez Państwa Centralne «Królestwo Polskie» z Radą Regencyjną, ustanowioną przez Niemców i sprawującą jakąś niepełną władzę nad swoim obszarem. Wreszcie mówiono dużo i głośno w Mińsku Litewskim o Legionach Polskich i ich Komendancie, brygadierze Józefie Piłsudskim, osadzonym przez Niemców w twierdzy w Magdeburgu za odmowę złożenia przysięgi na wierność Niemcom, tj. Radzie Regencyjnej, będącej pod wpływami niemieckimi. Jakże były nastroje we właściwej Polsce — tego nie wiadano w dalekim Mińsku. Jedno wszak było pewne: Rosja, jako taka, nie była zdolna do prowadzenia dalszej wojny, cała jej armia była w gruzach, żołnierze do ostateczności zdemoralizowani, bez śladu dyscypliny (...). Całe społeczeństwo polskie w Mińsku Litewskim, składające się z kresowiaków i z wielu uciekinierów z Królestwa, działaczy politycznych i społecznych, pokładało wielką nadzieję w odbudowie dawnej Rzeczypospolitej Polskiej — oczywiście co najmniej w granicach z 1772 roku, w zachodnich aliantach, już bez żadnego udziału Rosji. Ale tymczasem położenie było niewesołe i niełatwe. W Mińsku Litewskim sztab zachodniego frontu rosyjskiego stał się ośrodkiem działania bolszewików; ich przedstawiciel objął funkcję dowódcy wojsk frontu. Generał Iwanow ukrył się, a z nim większość oficerów rosyjskich ze sztabu frontu”.

Rzeczywiście, Jerzy Giedroyc — jeśli fascynacja rewolucją mu nie minęła — także w Mińsku miał co obserwować. Każdego niemal dnia w mieście narastał spór między przedstawicielami rządu a bolszewikami, którzy opanowali miński Sowiet. „Geograficznie wyglądało to tak — opisywał po latach Wacław Solski, który z ramienia socjalistów był wówczas członkiem Sowietu — Komisarz rządu Kiereńskiego

Żdanow zasiadał w dawnym pałacu gubernatorskim na głównym placu miasta, który nazywał się przed rewolucją Placem Katedralnym, a po — Placem Wolności (jeszcze później Placem Sowieckim). Tamże znajdował się największy i najlepszy w mieście hotel (Europejski) i jeszcze kilka gmachów, zajętych przez biura Żdanowa. *Ispolkom* mieścił się w gmachu dawnej szkoły żeńskiej przy ulicy Jurjewskiej numer 2. Mieszkańcy Mińska mogli w owym czasie sami ocenić gołym okiem, który z dwóch rządów jest w danej chwili mocniejszy, a który słabszy. Kiedy przed byłym pałacem gubernatorskim stało dużo samochodów, kiedy zbierały się przed nim grupy żołnierzy, kiedy wieczorem i w nocy rzęsiście oświetlone okna wskazywały na ożywioną działalność, było to oznaką, że Rząd Tymczasowy, za pośrednictwem swego przedstawiciela, istotnie sprawuje władzę. Często jednak grupy żołnierzy i robotników zbierały się przed domem na Jurjewskiej i wojskowe oraz urzędowe samochody — prywatnych w tym czasie nie było — też się tam gromadziły. Oznaczało to, że ster władzy przejął na jakiś czas Sowiet, a właściwie jego Komitet Wykonawczy”. Podobna dwuwładza istniała wówczas na wszystkich poziomach w całej Rosji.

Gimnazjum Jerzego Giedroycia znajdowało się dwa kroki od placu Katedralnego. Ulica Jurjewska ze sklepem odzieżowym firmy Starzycki była równie blisko. Jeśli więc nawet nie wiedział, co dokładnie dzieje się w polityce, że „dzieje się” — widział każdego dnia w drodze do i ze szkoły. Zapewne widywał wiece i zebrania, zerkał na rozklejane afisze i podnosił rozrzucone ulotki. Ale rodzice z pewnością dbali o to, by niepotrzebnie nie oddalał się od domu — zwłaszcza wieczorami, kiedy nagminnie słyszano wystrzały, będące zresztą częściej dowodem upadku dyscypliny i nadużywania

wódki niż działalności rewolucyjnej. Czy wielka polityka w prowincjonalnym wydaniu mogła go pasjonować? Na pewno nie w takim stopniu jak w Moskwie — to już nie była przygoda. Teraz był dom, byli rodzice, była szkoła. Polityka stanowiła jedynie tło życia nastolatka — na tyle nieistotne, że po latach powie, nagrywając swe wspomnienia na potrzeby *Autobiografii...*: „Z bolszewikami nigdy się nie zetknąłem”. A przecież spotykał ich już w Moskwie, w Mińsku żył zaś pod ich rządami. To prawda, w początkowym okresie dwuwładzy większość, jaką mieli w mińskim Sowiecie, nie oznaczała realnej przewagi. Solski wspomina, że jeszcze latem „w kawiarni «Select», najelegantszej w mieście, znowu grała muzyka i znów, jak za przedrewolucyjnych czasów, nie wpuszczano do kawiarni żołnierzy, a tylko oficerów. Na ulicach odbierano gazeciarzom i palono egzemplarze bolszewickiego pisma żołnierskiego «Okopnaja Prawda»”. Ale nie miało to trwać długo.

Jesienią cała Rosja spodziewała się, że bolszewicy, których siły rosły z dnia na dzień, dokonają przewrotu. Heller i Niekricz cytują relację ze spotkania ministra spraw zagranicznych w rządzie Kiereńskiego, Michaiła Tereszczenki, z ambasadorem USA Davidem Francisem, które odbyło się 24 października (starego stylu) 1917 roku: „Spodziewam się bolszewickiego wystąpienia tej nocy — zakomunikował Tereszczenko. — Jeśli zdołacie je stłumić — odrzekł ambasador — to mam nadzieję, że ono nastąpi. — Sądzę, że zdołamy je stłumić — powiedział Tereszczenko — ale mam nadzieję, że odbędzie się ono niezależnie od tego, czy je zdławimy, czy też nie. Zmęczony jestem niepewnością i napięciem”.

Kiedy toczyła się rozmowa Tereszczenki z Francisem, zdominowany przez bolszewików Komitet Wojskowo-Rewolucyjny zajmował już budynki rządowe. Rząd dyspo-

Na ulicach "ruch niezwykle; szczególnie wśród wojskowych znać siłne zdenerwowanie. Na ulicach od czasu do czasu ukazują się oddziały kawalerji. O godz. 4 z rozkazu sztabu frontu na skutek rozporządzenia głównodowodzącego Kiereńskiego do wszystkich oddziałów poczty i telegrafu wprowadzone zostały warty kozackie. Warta postawiona przez radę 2. i r. delegatów została usunięta.

Na godzinę 6 zostało wyznaczone drugie posiedzenie polskiego komitetu bezpieczeństwa publicznego. Na godzinę 8 nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej.

Dotychczas należy podziwiać wysokie wyrobieńie obywatelskie Mińska. Pomimo olbrzymiego ruchu ulicznego i powszechnego zdenerwowania panował niczem niezamącony porządek. Praca we wszystkich instytucjach z wyjątkiem poczty i telegrafu funkcjonowały normalnie. Sklepy były otwarte.

Fragment artykułu
z „Dziennika Mińskiego”
z 28 października 1917.

nował może dwoma tysiącami żołnierzy. Bolszewicy mieli trzykrotnie więcej zwolenników — a wojsko w swej masie zachowało neutralność. Następnego dnia o godzinie drugiej po południu — gdy po słynnej salwie z „Aurory” uderzył w nią ogień twierdzy Pietropawłowskiej — zajęty został Pałac Zimowy, siedziba rządu. Bolszewicy mogli oznajmić obradującemu Zjazdowi Sowietów, że obalili Rząd Tymczasowy. Nie przyjęli tego do wiadomości mienszewicy ani prawe skrzydło socjalistów-rewolucjonistów — ale był to już z ich strony tylko pusty gest. Zjazd ogłosił powstanie nowej władzy — Rady Komisarzy Ludowych, z Włodzimierzem Iljiczem Leninem na czele.

W Mińsku tymczasem nikt nie wiedział, co się dzieje. Panowała powszechna konsternacja. Jak zareagować na przewrót w Piotrogradzie, nie wiedzieli nawet bolszewicy.

Wydawało się, że nad sytuacją w mieście zaczyna panować Komitet Ocalenia Rewolucji, skupiający wszystkie niemal działające w Mińsku siły: od lewicy do prawicy, od organizacji żydowskich, przez rosyjskie, po polskie. Ale 2 listopada wycofują się zeń bolszewicy, a popierające ich oddziały rozpoczynają walki uliczne z członkami zorganizowanych przez Komitet oddziałów samoobrony. Ci jednak są nieliczni. W całym zamieszaniu nikt już nie pamięta o przedstawicielach Rządu Tymczasowego, którzy znikają z miasta.

Od 3 listopada (starego stylu) Jerzy Giedroyc mieszka więc w bolszewickim już Mińsku. Nowe władze wprowadzają nowe porządki. Zakazano ruchu samochodowego, zarekwirowano hotele i zlikwidowano sądy; w ich miejsce utworzono wydziały śledcze przy trybunałach rewolucyjnych. „Przejrzano” sejfy bankowe tak dokładnie, że gazety pisały o losie ich zawartości, iż jest — nieznany. Znacjonalizowano budki z gazetami i kinematografy. Mimo tych postanowień władza sowiecka dopiero raczkowała — można było starać się jej nie dostrzegać. Leon Mitkiewicz wspomina, że w tych dniach: „Restauracja Grand Hotelu była pełna publiczności — jak za dawnych czasów. Nie znać było zupełnie... rewolucji bolszewickiej”. Przedrewolucyjne zaszłości kontynuowano zresztą i na szczeblu centralnym — niejako „z rozpędu” przeprowadzono zapowiadane wybory do Konstytuanty. Pod strażą marynarzy zebrano jej członków na pierwszym posiedzeniu... a następnie rozpędzono do domów. To, co było osiągnięciem rewolucji lutowej, po październikowej uznano za burżuazyjny przeżytek.

Wróćmy do Mińska. Co jeszcze wstrząsnęło jego mieszkańcami? Cywilne rozwody. Likwidacja 1 lutego podwójnego kalendarza. Położywszy się spać 31 stycznia, mińszczanie

— Apteki. Na zasadzie dekretu mińskiego komitetu wykonawczego rady delegatów rob. i żol. wszystkie apteki w Mińsku przechodzą na własność mińskiej rady delegatów. Prywatny handel towarami aptecznymi zostaje zniesiony. Wszystkie apteki przechodzą na własność rady. W przeciągu 2 dni spisy towarów mają być przesłane do wydziału zdrowotnego rady delegatów. Zarząd aptek obejmuje wydział zdrowotny; jako organ doradczy utworzone będzie kolegium złożone z pracowników aptecznych. Właściciele aptek usuwają się od prowadzenia aptek a ci z nich, którzy pragną wstąpić na służbę powinni wnieść podanie do wydziału zdrowotnego. Pracownicy aptekarskim zaleca się przejść na służbę rad i pozostać na swoich stanowiskach.

Ogłoszenie z „Gońca Mińskiego” z 17 lutego 1918.

obudzili się 14 lutego. A pan Ignacy Giedroyc został sowieckim urzędnikiem.

Polacy — również polskie oddziały wojskowe — starali się zachować „neutralną aktywność” wobec tego, co działo się w polityce rosyjskiej. „Dziennik Miński” apelował o „panowanie nad sobą”. Bolszewicy wydali dekret o pokoju, na którego mocy komisarze frontu zachodniego podpisali zawieszenie broni z Niemcami. Dla polskich mas nie tylko w Mińsku i okolicy, ale w całej Rosji najważniejszym zagadnieniem stała się możliwość powrotu do kraju. Mnożyły się dywagacje na temat tego, w jaki sposób kwestia ta powinna być ujęta w rozmowach rosyjsko-niemieckich i jak zaplanować operację od strony organizacyjnej. Natężeniu dyskusji na ów temat nie towarzyszyły jednak żadne realne możliwości repatriacji.

Z chwili.

Mińsk przedstawiał we wtorek dziwny obraz. Wieści o zerwaniu rozejmu przez Niemców i zajęciu przez nich kilku punktów na pograniczu frontu rosyjskiego podziały na władze bolszewickie piorunująco. Mimo dość butnej zapowiedzi, wydanej rano przez radę delegatów rob. i zchl., że nie będzie „uciekać w panice”, a w razie potrzeby „bronić i zabezpieczać całość i bezpieczeństwo władzy ludowej”, że „działania i plotki w celu wykorzystania sytuacji do prowokowania ludności będą jaknajenergiczniej likwidowane” — na strój tychże samych przedstawicieli w niczym nie różnił się od paniki w pełnym tego słowa znaczeniu.

Od południa rozpoczęła się pełna ewakuacja. Wyjeżdżano samochodami i saniami w rozmaitych kierunkach na łeb na szyję, łamano wehikuły, gubiono skrzynie i worki i denerwowano siebie i drugich. Oczywiście, że latały przytem najrozmaitsze plotki, jak natarczywe muchy przed burzą, i ludzie znaleźli się niebawem w chaosie nowin, obaw i bezładu.

Artykuł z „Gońca Mińskiego”
z 21 lutego 1918.

Tymczasem narastały konflikty między bolszewikami a korpusem Dowbora-Muśnickiego. Zaczęło się od tego, że w korpusie nie powstały rady żołnierskie. W odwecie bolszewicy utrudniali dotarcie do polskich oddziałów ochotnikom, wstrzymywali też dostawy żywności. Żołnierze korpusu przejmowali więc dostawy przeznaczone dla cywilów bądź zwyczajnie kradli. Bronili też właścicieli okolicznych majątków przed chłopami, pragnącymi idee rewolucyjne wcielać w życie za pomocą kos i wideł. Tu i ówdzie dochodziło do drobnych, lecz zupełnie już otwartych potyczek z rosyjskimi

oddziałami. W efekcie w styczniu Dowbor wypowiedział Rosji wojnę. Na początku lutego jego wojska opanowały Bobrujsk i obsadziwszy tamtejszą twierdzę, przejęły kontrolę nad okolicą. Polska siła zbrojna, stworzona przez Rosjan do walki z Niemcami, stała się jedyną władzą na tym kawałku ziemi, mając przed sobą jednego wroga, za sobą zaś — drugiego.

Ignacemu Giedroyciowi nie było dane wnieść istotnego wkładu w potęgę sowieckiej Rosji. Cztery dni przed nacjonalizacją aptek — 10 lutego 1918 roku — narkom Lew Trocki zerwał bowiem rokowania z Niemcami w Brześciu. W odpowiedzi na to niemieckie oddziały ruszyły na wschód.

Władzę w mieście, do którego jeszcze nie dotarli Niemcy, a już zniknął zeń ostatni z komisarzy ludowych, objęła „zjednoczona komendantura” polsko-białoruska. Na ulice wyszły wspólne patrole. Władzą krajową ogłosiła się Rada Zjazdu Białoruskiego, która zapowiedziała unieważnienie przepisów bolszewickich. Planowano powołanie „koalicyjnego rządu miejscowego”, w którego skład weszliby Białorusini, Polacy i Żydzi. 21 lutego 1918 roku około południa na peron mińskiego dworca Kolei Wileńskiej wjechały niemieckie pociągi.

Wejście wojsk niemieckich do Mińska i przyłączenie Mińszczyzny do tak zwanego Ober-Ostu, a więc terenów wschodnich pod administracją niemiecką, nie rozwiązywało jednak problemów tamtejszych Polaków. „Dziennik Miński” przypominał, że fakt ten nie jest w żadnej mierze powodem do radości: „Niemcy nie przyszli tutaj w celu okupowania na stałe tego kraju, ani w celu oddania go nam w posiadanie, ani celem uporządkowania jego stosunków. Przybyli oni



Grupa mężczyzn z opaskami w barwach polskich i białoruskich — w środkowym rzędzie pierwszy z prawej Ignacy Giedroyc.

ze względów strategicznych, zajęli lub zajmą bez wystrzału całą Białoruś i tymi samymi kolejami i samochodami odjadą z powrotem, gdy tego strategia i dyplomacja wymagać będzie. My zaś zostaniemy z ludem i żyć z nim dalej będziemy musieli”.

Wiele było wówczas pomysłów na przyszłość Królestwa Polskiego. Dla mińszczyzn równie ważne było pytanie, co stanie się z Białą Rusią. Odżył też problem repatriacji — co bardziej niecierpliwi już 21 lutego próbowali dostać się do niemieckich pociągów odjeżdżających na zachód, mimo



Oddziały niemieckie na placu Katedralnym w Mińsku.

ostrzeżeń, że przeznaczone są one tylko dla niemieckich żołnierzy. Wszystkie te pytania wciąż pozostawały bez odpowiedzi. Jedyne, co wyjaśniono, to kwestia 1. Korpusu Polskiego — wojskom Dowbora pozwolono nadal stacjonować w Bobrujsku, a wokół miasta wydzielono teren mający pozostać pod ich administracją.

Dla dwunastoletniego Jerzego Giedroycia całe to wojenne zamieszanie miało jedną dobrą stronę — znów dzięki wielkiej polityce zyskał tydzień wolnego. Dyrektor Massonius wznowił lekcje w poniedziałek 25 lutego. W drodze do

szkoły Giedroyc miał okazję obejrzeć nowe mundury i nowe uzbrojenie. Żołnierze mówili w nowym, zupełnie mu nie znanym języku. Wszystko było nowe! Kolejne nowe władze wprowadzały też kolejne nowe porządki. Unieważniono dekrety bolszewickie — z czego wszyscy byli zadowoleni, bo nikt jeszcze nie zdążył przyzwyczaić się do nazywania ulicy Zacharzewskiej Sowietką. Cywilne śluby i rozwody zaś stanowczo urągały zarówno przyzwoitości, jak i prawom boskim. Większość zarządzeń zgodna była z niemieckim zamiłowaniem do porządku, a to mińszczanom nie przeszkadzało. Przeprowadzano również „ogłędziny prostytutek” i „lustrację dorożek”.

Jak długo dane było mieszkać rodzinie Giedroyców w niemieckim Mińsku? To bodaj największy problem, gdy idzie o chronologię tego okresu w życiu Jerzego. W *Autobiografii...* mówi bowiem Redaktor: „Do 1919 moi rodzice mieszkali w Mińsku Litewskim”. Wersja ta pojawia się więc w rozmaitych opracowaniach. Ale nie wydaje się prawdziwa. Jeszcze mniej wiarygodna jest chyba informacja, jakoby już w 1916 roku Ignacy Giedroyc miał być jednym z organizatorów miejskich związków zawodowych w Warszawie, w styczniu 1918 roku aresztowanym nawet za to przez Niemców. Wyjechałby z Mińska sam, na kilka lat zostawiając rodzinę? Przekroczyłby linię frontu rosyjsko-niemieckiego? Jak, kiedy? Trudno to uznać za prawdopodobne; nie tylko ze względu na źródło pochodzenia tej wzmianki — okolicznościowe wydawnictwo Związku Zawodowego Pracowników Samorządowych Miasta Stołecznego Warszawy — ale też dlatego, że nigdy nie wspominał o tym ani Jerzy Giedroyc, ani jego brat Henryk. A przecież o działalności związkowej ojca obaj mówili z dumą...

Najbliższa prawdy zdaje się informacja podana przez samego Giedroycia w cytowanym już życiorysie załączonym do podania o przyjęcie go na Wydział Prawny Uniwersytetu Warszawskiego. Pisany w sześć lat po przedstawianych wydarzeniach — łatwy też wtedy do weryfikacji — jest z pewnością ściślejszy od wspomnień, rekonstruowanych po siedemdziesięciu latach. A czytamy w nim: „W roku 1918 zostałem przyjęty na podstawie cenzury do klasy III-ej gimnazjum męskiego Towarzystwa im. Jana Zamoyskiego w Warszawie”. Gimnazjum to — o czym jeszcze powiemy — było szkołą prywatną i dość elitarną. Zapisanie do niej syna — i uzyskanie stypendium, które, jak wiemy, otrzymał — z pewnością wymagało czasu. Nie dało się tego załatwić w przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego.

Kiedy zaś w roku 1918 możliwy był wyjazd z Mińska? „Powrót” i „repatriacja” były chyba najczęściej używanymi w mieście słowami, odkąd pojawili się tam Niemcy. Po latach oczekiwania uchodźców nie oddzielał już od Warszawy front. Spodziewano się, że wewnętrzne bariery administracyjne państwa niemieckiego łatwiej będzie przekroczyć. Pierwsze zarządzenia w sprawie wyjazdu wydano już w marcu. Procedury były skomplikowane — zezwolenie musiało zostać zatwierdzone nie tylko przez miejscowe władze Ober-Ostu, ale też listownie potwierdzone przez odpowiednie urzędy warszawskie. To był warunek podstawowy — w innych kwestiach przepisy zmieniały się wielokrotnie. Zazwyczaj wymagano dowodu, że uchodźca ma w docelowej miejscowości rodzinę, u której będzie mógł się zatrzymać. I wreszcie był warunek, którego nikt z Giedroyców i Starzyckich nie spełniał: za uchodźcę uznawano tego, kto z Królestwa wyjechał nie wcześniej niż dziesięć lat przed rozpoczęciem wojny.

— Farmacenci, felczerzy, akuszerki siostry miłosierdzia, polacy, proszeni są przez kolo sanitarne lekarskie o szybkie zarejestrowanie się w celu wyjazdu do kraju w lokalu Tow. Pracowników polskich Zacharzewska 43 w godzinach 6—8 wiecz.

Ogłoszenie
z „Dziennika
Mińskiego”
z 10 marca 1918.

Wyjeżdżając, sprzedam 3 łożka żelazne i jedno polowe, skrzypce, lampki, maszynkę primus, ros. podręczniki szkolne, naczynia kuchenne, umywalkę ścienną, płaszcz brezentowy. Adres: Borowa 19, dr. G. od 2-ej do 5-tej

Ogłoszenie z „Placówki”
z 25 maja 1918.

Ignacy Giedroyc prawdopodobnie w Królestwie nigdy w ogóle nie był, rodzina zaś jego żony — jak pamiętamy — przybyła do Mińska w roku 1902 lub 1903.

Tymczasem koncentrowano się na sporządzaniu list chętnych do wyjazdu i kompletowaniu wszystkich możliwych dokumentów. Pociągi repatriacyjne ruszyły w kwietniu 1918 roku. Grono uchodźców zwiększyło się o część żołnierzy Dowbora, którego Niemcy zmusili do zdemobilizowania Korpusu. W maju z Mińska wyjeżdżało już tygodniowo pięć pociągów — w każdym podróżowało około siedmiuset osób. Mimo że początkowo planowano zakończyć repatriację Polaków z Mińska w ciągu nawet dwóch tygodni, potrwała ona całe lato. We wrześniu akcja była praktycznie zakończona — wracały już pojedyncze rodziny. Z *Autobiografii...* wiemy, że jednym z takich pociągów wyjechali z Mińska Giedroycowie. Trudno wykluczyć, że Ignacemu Giedroycowi udało się zdobyć odpowiednie dokumenty, by wyjechać z „regularną” grupą uchodźców. W podobnych sytuacjach zmieniano sobie przecież nie tylko miejsce urodzenia... Jeśli idzie o cenzurę, którą potem przedstawił Jerzy Giedroyc w warszawskim gimnazjum na Smolnej, sprawa wydaje się jeszcze bardziej

oczywista. Przy tak masowej repatriacji szkoła zapewne wydawała wyjeżdżającym uczniom świadectwa jeszcze przed zakończeniem roku szkolnego. A i ono nastąpiło przed terminem, już z końcem maja.

Ale możliwe też, że rodzinie Jerzego udało się opuścić Mińsk poza normalnymi, powszechnie obowiązującymi procedurami. Oto bowiem już w marcu władze niemieckie ogłosiły, że istnieje możliwość wyjazdu dla lekarzy, farmaceutów, akuszerów etc. — w Królestwie brakowało kadry medycznej.

Co najmniej kilka takich medycznych grup repatriantów wyjechało z Mińska między kwietniem a lipcem 1918 roku. Możliwe, że z jedną z nich swoje rodzinne miasto opuścił Jerzy Giedroyc.

Z pewnością już od marca Giedroycowie — jak większość pozostałych mińskich Polaków, poza tymi, którzy w okolicy mieli majątki — żyli na walizkach. Jak wyobrażali sobie podróż do kraju? Jakie mieli plany? Czego się spodziewali po najbliższej przyszłości? Tego nie wiemy. Wiemy jednak, że przyszłość nie miała wyglądać różowo.

IV. Minaret, drewniaki i likier różany

W ramach ewakuacji pracowników służby zdrowia, zapewniwszy sobie jakimś cudem wymagane zaświadczenie o mieszkającej w Warszawie rodzinie, a może jeszcze innym fortelem — opuścili Giedroyciowie i Starzyccy Mińsk. Podróż przez Wilno do Warszawy przypominała — jak wspominał Redaktor — „pod wieloma względami powrót Cezarego Baryki z Baku”. Ile trwała? W najlepszym wypadku półtorej doby, ale to trudno jednoznacznie określić. Pociągi, z których każdy jechał pod nadzorem przydzielonego oficera, zestawiane były z kilkudziesięciu wagonów. „W pociągu zarezerwowano kilka wagonów dla inteligencji — opisywał pierwsze składy, które dotarły do stolicy, dziennikarz «Kuriera Warszawskiego» — prócz tego uzyskano pewną liczbę wagonów do przewozu koni i bydła uchodźców”. Giedroyciowie przywieźli ze sobą „kilka walizek i jakieś tobołki”. Pierwszy warszawski nocleg — a może kilka? — zapewne w punkcie koncentracyjnym dla uchodźców. Przyjeżdżających z Mińska lokowano zazwyczaj w barakach Rady Głównej Opiekuńczej koło ruin Dworca Kowelskiego, wysadzonego w powietrze przez Rosjan trzy lata wcześniej. Dziś mniej więcej w tym miejscu znajduje się Dworzec Gdański.

Trudno powiedzieć, czy rodzina przyjechała do Warszawy razem, tym samym pociągiem, czy też Starzyccy przybyli do stolicy Królestwa nieco wcześniej. Pierwszy adres, jaki Redaktor wspominał w jednej z cytowanych już rozmów, to

Marszałkowska 81, gdzie Giedroyciowie mieszkali „u rodziny”. Nic jednak nie wiemy o żadnych krewnych, którzy by przed rokiem 1918 mieszkali w Warszawie. Nie ma ich też w zachowanej księdze meldunkowej tej kamienicy. Natomiast już w okresie międzywojnia w spisach mieszkańców znajdujemy panią Pelagię Starzycką, zameldowaną na Marszałkowskiej 81 A. Prawdopodobnie więc mieszkanie pod tym właśnie adresem należało do Starzyckich — którzy, być może, przybyli do Warszawy kilka tygodni wcześniej — a Giedroyciom znów przypadł w udziale los sublokatorów.

Jak wyglądały ich pierwsze warszawskie miesiące? Mieszkanie na Marszałkowskiej pełne było osób, które od nowa

Ruiny Dworca Kowelskiego.



= Powrót uchodźców.

Dnia 19-go b. m. przybył do baraków przy dworcu kowelskim transport, złożony z 15 osób, oraz z Mińska — z 426 osób. Transportem z Mińska przybyła ochrona, złożona z 16 dzieci, które skierowano do schroniska R. G. O. przy ul. Marszałkowskiej.

D. 20-go b. m. do baraków R. G. O. przy dworcu kowelskim przybyły trzy transporty:

= Symulowanie napadu.

Przy ul. Marszałkowskiej № 81 zawiadomiono stróża domu, że służąca Franciszka Łasica, pilnująca mieszkania p. Marii Jareckiej, właścicielki domu przy ulicy Młynarskiej № 12 i pensjonatu w Świdrze, jest przywiązana do łóżka i nie może otworzyć drzwi.

Stróż udał się tam i przez drzwi dowiedział się od Łasicy, że jakiś rabuś wszedł do mieszkania, steroryzował ją, skrepował ręce, przywiązał do łóżka, zrabował różne rzeczy i uciekł.

Po otworzeniu drzwi przez ślusarza znaleziono Łasicę na łóżku w pokoju służbowym, ręce miała lekko owiązane sznurkiem, chustka od nosa leżała na jej piersiach.

Łasicę odprowadzono do 11-go komisariatu, gdzie starszy przodownik p. Bogumił Frydberg, doszedł do wniosku, że zachodzi tu symulacja. Wzięta przez niego w krzyżowy ogień pytań Łasica wkrótce przyznała się do kradzieży. Dalsze dochodzenie ustaliło, że skradzione rzeczy, przedstawiające wartość 15,000 mar., Łasica w ciągu trzech ostatnich dni wynosiła z mieszkania i oddawała do przechowania stróżowi przy ul. Żelaznej № 58-a.

Łasicę i stróża tego aresztowano, Rzeczy odebrano,

Notatka

z „Kuriera Warszawskiego”
z 22 września 1918

Fragment artykułu

z „Kuriera Warszawskiego”
z 5 sierpnia 1918



Kamienica przy
ul. Marszałkowskiej 81 A.

układały sobie życie. Liczne ciotki poszukiwały jakiegoś zajęcia. To samo było głównym zmartwieniem Ignacego Giedroycia. Ile tygodni czy miesięcy członkowie rodziny spotykali się, aby opowiedzieć sobie nawzajem, gdzie byli, z kim rozmawiali, co komu udało się wskórać? Nie wiemy. Z pieniędzmi było kruch. Warszawa była w tym czasie miastem nie tylko biednym, ale i drogim. Z każdym tygodniem przybywały tu tysiące uchodźców, co powodowało, że spekulowano już nawet ciemnym, kartkowym chlebem. Repatriantom — mimo ograniczonej liczby bagaży, jakie wolno im było ze

sobą wziąć — zalecano, by przywozili z Rosji wszystko, co w Polsce jest dużo droższe, „a mianowicie: inwentarz żywy, narzędzia rolnicze i wszelkie inne, odzież, obuwie, bieliznę, materiały włókniste, płótno etc., herbatę, tytuń, mydło itd.”. Początkowo radośnie witani, wracający uchodźcy zaczęli z biegiem czasu ciążyć swym sąsiadom. Przywozili ze sobą biedę i stanowili konkurencję — w kolejce po chleb, w biurze zatrudnienia, w staraniach o mieszkanie... W owym czasie polskie marki — zastąpione złotówką dopiero w 1924 roku, po kursie jeden i osiem dziesiątych miliona do jednego zło-

tego — z dnia na dzień traciły wartość. Każdego też niemal dnia wybuchały „bezrobocia”, jak wówczas nazywano strajki. „Wracają, wracają i wracają ciągle, bez przerwy do kraju ci, których los wojny skazał był na tułaczkę po Rosji. Wracają do siebie, do domu... — pisał w tych dniach «Kurier Warszawski». — A często, bardzo często zastaje się dom pusty albo zajęty przez kogo innego”.

„Warszawa w roku 1919 zrobiła na mnie wrażenie miasta nudnego i biednego: na ulicach widziało się ludzi w drewnianych trepach i wszystko wyglądało mało pociągająco. Nie tylko na tle Moskwy. Również na tle Mińska”, oceniał Redaktor w *Autobiografii na cztery ręce*. Trudno się z nim zgodzić. To, że Jerzy źle wspominał swe warszawskie początki, wynikać musiało z jego osobistej kondycji, nie ze stanu miasta. Warszawa, rozgrabiona przez uciekających w panice Rosjan, nie lepiej traktowana przez Niemców, z pewnością nie była pociągająca. Gdzież jej było równać się z którąś z cesarskich stolic wielkiej Rosji! Ale czy rzeczywiście prezentowała się gorzej od Mińska? Zdumiewa szczegółowość dziecięcych wspomnień. Istotnie, ogólna bieda sprawiła, że wielu warszawiaków nie stać było na prawdziwe buty. Ale warszawskie „drewniaki” z pewnością w niczym nie ustępowały lipowym łapciom petersburskich czy moskiewskich modnisiów.

Po pewnym czasie sprawy zaczęły się jakoś układać. Panny Starzyckie znalazły zajęcie — jedna z nich była pielęgniarką, druga pracowała w firmie księgarskiej. Trudno natomiast powiedzieć, jak wyglądały stosunki reszty rodziny z Czesławem Starzyckim, który przy ulicy Hożej 12 otworzył zakład krawiecki. Można przypuszczać, że nie były to bliskie związki, jako że jego postać nie pojawia się w rodzinnych wspomnieniach Giedroyciów.

= Egzaminy aptekarskie.

Egzaminy na stopień pomocnika aptekarzkiego rozpoczyna się w dniu 23-im września. Podania wraz z dwiema fotografjami, świadectwem z odbytej 3-letniej praktyki, poświadczonem przez lekarzy powiatowych właściwych powiatów, i metryki, wnosić należy do d. 15 września włącznie, do wydziału lekarskiego, plac Saski № 6, wejście I, pokój 87 (biuro p. szefa administracji niemieckiej), w godzinach popołudniowych od 4—6.

Egzaminy na stopień drogisty rozpoczyna się d. 26 września. Podania z dwiema fotografjami, świadectwem z odbytej 5-letniej praktyki, poświadczonem przez lekarzy powiatowych właściwych powiatów, i metryki również w powyższym terminie wnosić należy do tego wydziału.

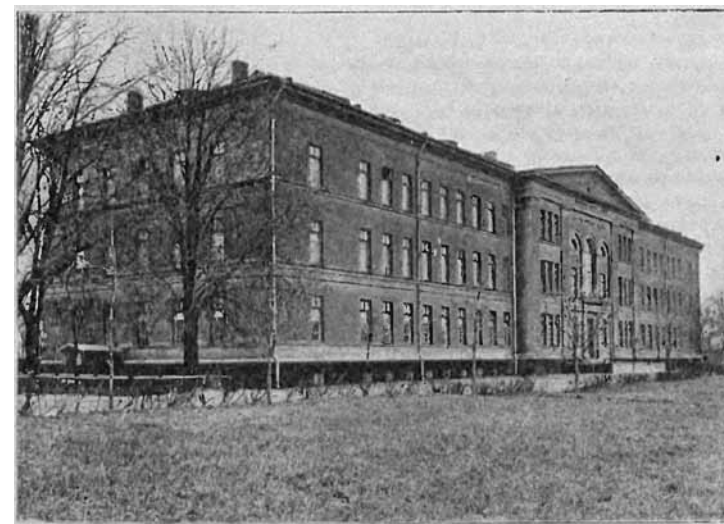
Fragment ogłoszenia z „Kuriera Warszawskiego”
z 7 sierpnia 1918.

Najważniejsze jednak, że pracę znalazł pan Ignacy. Poszukiwanie w nowym mieście jakichś krewnych czy znajomych, pisanie podań i życiorysów, odwiedzanie urzędów i przeglądanie gazet trwało prawdopodobnie kilka miesięcy. Jego starania byłyby z pewnością łatwiejsze, gdyby uzupełnił wykształcenie. Wiadomo jednak, że tego nie zrobił. Uzyskawszy tytuł magistra farmacji, znalazłby się na oficjalnej urzędowej liście farmaceutów, co nigdy nie nastąpiło. Możliwe natomiast, że już wcześniej posiadał uprawnienia drogisty bądź egzamin na taki stopień zdał w Warszawie.

W każdym razie — gdzieś pod koniec 1918 roku, a może dopiero na początku roku następnego — udało się głowie rodziny Giedroyciów znaleźć zatrudnienie. W jaki sposób? Trudno to dziś ustalić. Mieszkający w tej samej kamienicy przy ulicy Marszałkowskiej Henryk Gisges-Gawroński — który

będzie odtąd najbliższym przyjacielem domu Giedroyciów — dostał pracę w Najwyższej Izbie Kontroli dzięki temu, że spotkał na ulicy znajomego sprzed lat. Znajomy ów, który był sędzią Sądu Najwyższego, zechciał napisać liścik do prezesa NIK-u... i w ten sposób rozpoczął Gisges wieloletnią karierę urzędnika państwowego. Czy Ignacy Giedroyć też miał tyle szczęścia do przypadkowych spotkań? A mogło być i tak, że udał się po prostu do pewnego wybitnego lekarza, który nie tylko był ordynatorem Szpitala Świętego Łazarza i autorem monografii tej placówki, ale też słynnym naukowcem, zajmującym się historią medycyny i farmacji w Polsce. „Przyjechałem z Mińska Litewskiego i poszukuję dobrej pracy — mógł powiedzieć — bo choć nie mam ukończonych studiów uniwersyteckich, na utrzymaniu mam żonę i dwóch synów”. A ów wybitny lekarz pomógł, bowiem nazywał się Franciszek Giedroyć. Pokrewieństwo niemal żadne, wspólnych korzeni szukać by trzeba przed kilkuset laty, rodowa solidarność mogła jednak sprawić, że profesor Giedroyć postanowił pomóc dalekiemu krewniakowi. Tak czy inaczej pan Ignacy został kierownikiem apteki przy Szpitalu Świętego Łazarza. Pensja zapewne nie była specjalnie wysoka, wystarczała jednak na utrzymanie czteroosobowej rodziny. Ważniejsze było, że z posadą tą łączyło się służbowe mieszkanie w budynku szpitala przy ulicy Książęcej.

Szpital ten — jeden z najstarszych w Warszawie — powstał na przełomie XVI i XVII wieku jako „szpital gnojników, czyli w gnoju porzuconych chorych”, i początkowo mieścił się przy ulicy Mostowej. Z biegiem czasu wyspecjalizował się w leczeniu chorób dermatologicznych i wenerycznych. W XIX wieku doprowadzano tam na przymusowe leczenie niewiasty wątpliwej kondyty. Jeśli nie miały czym zapłacić, karano je



Budynek Szpitala św. Łazarza przy ul. Książęcej.

chłostą. W czasach, które nas interesują, kar takich już nie stosowano, ale szpital nadal służył przymusowemu leczeniu prostytutek; w tym celu postawiono nawet specjalny budynek. W artykule poświęconym pracującym u Świętego Łazarza siostrzom z zakonu samarytanek Edward Figauzer pisze, że pacjentkom szpitala „kuracja długa i osłabiająca uniemożliwiała zarobkowanie. Na porządku dziennym były awantury, do uśmierzania których wzywano straż pożarną lub policję”.

Dla dzieci jednak, jak się wydaje, szpital był idealnym miejscem. Na dużym terenie byłego parku „na Książęcem” spędzały całe dnie, jeżdżąc na rowerze, bawiąc się w chowanego czy łażąc po drzewach. Dodatkowe atrakcje zapewnił dwieście lat wcześniej ulubiony architekt Stanisława Augusta, który tworząc w tym miejscu sielankowy park na zamówienie królewskiego brata, zbudował liczne grotty i przejścia



Minaret na terenie
Szpitala św. Łazarza.

podziemne. Spośród zabudowań naziemnych: domku imama, łoży masonskiej, pawilonu chińskiego, ocalał na terenie szpitala minaret. Dekadę później tymi samymi ścieżkami będzie chodził Henryk Giedroyc, urodzony już na Książęcej. „Były tam masonskie lochy, po których się włóczyliśmy, a o których mówiono, że prowadzą aż do ambasady francuskiej na Frascati — wspominał po latach. — A kiedyś udało nam się znaleźć klucze do minaretu, ale spotkało nas rozczarowanie, bo schody były zawalone i nie można było wejść na górę”. Prowadzić wojny, indiańskie podchody czy budować tajem-

ne kryjówki można było i poza terenem szpitala — choćby na sąsiedniej działce, na której kilka lat później wzniesiono gmachy Muzeum Narodowego.

Ale zanim dane było Jurkowi odkryć te wszystkie wspa-
niałości, czekała go ciężka próba. Latem, kiedy zapewne mieszkał jeszcze na Marszałkowskiej 81 A, poświęcić musiał kilka tygodni na ślęczenie nad książkami — pod koniec sierpnia czekały go egzaminy z polskiego i historii. Egzaminy takie zdawać musieli wszyscy uczniowie, którzy do tej pory chodzili do szkół w Rosji. Obowiązek ten obejmował zresztą również tych, którzy szkoły już ukończyli, a w Polsce chcieli rozpocząć studia uniwersyteckie. Jerzy zaś musiał przez nie przebrnąć, żeby przyjęto go do trzeciej klasy gimnazjum Towarzystwa Szkoły Maurycyego hr. Zamoyskiego przy ulicy Smolnej 30.

„Profesorem historii był pan Pieczynis, staruszek, powsta-
niec z 1863 roku, z siwymi, długimi wąsami — wspominał Redaktor w *Autobiografii...* — Zadał mi pytanie o Henryka Walezego, z czego byłem szalenie zadowolony, bo temat dobrze znałem. Zacząłem więc z zapalem recytować. Aż tu nagle staruszek sinieje, wstaje, bije pięścią w pulpit katedry i woła falsetem: «Nie pozwolę, by mi tu, w polskim gimnazjum, odpowiadano po rosyjsku». Bo ja, odruchowo, zacząłem mówić po rosyjsku”.

Gimnazjum Zamoyskiego było szkołą prywatną i — dro-
gą. Większość uczniów pochodziła z bogatych domów bur-
żuazji warszawskiej. Rodziny Giedroyców nie było stać na wydatek tak poważny jak chesne u Zamoyskiego. „Trafiłem tam, gdyż przyznano mi stypendium”, wyjaśnia Giedroyc w *Autobiografii...* Z jednego z nielicznych listów, w których szczątkowo wspomina dzieciństwo, wynika, że stypendium fundowała szkoła. „Będąc gimnazjum prywatnym, było dosyć



Ogłoszenie z „Kuriera Warszawskiego” z 18 sierpnia 1918.

kosztowne, ale dyrektor Lipski bardzo umiejętnie i szeroko stosował politykę stypendiów. Dobrze by było, gdyby nie był całkowicie zapomniany”. Henryka Lipskiego, który przez wiele lat kierował Gimnazjum Zamoyskiego, będąc jednocześnie endeckim posłem — uczniowie mawiali o nim, że jest „głową w szkole, a nogą w sejmie” — wspominał zresztą Giedroyc z nieukrywanym sentymentem. Mimo swej partyjnej działalności Jowisz — jak go nazywano — gwarantował, zdaniem Giedroycia, polityczny obiektywizm szkoły.

Historii uczył Jerzego nie profesor Pieczynis, lecz Miętus, czyli profesor Kazimierz Krzymuski — we wspomnieniach wychowanków gimnazjum znajdujemy aluzję do jego rozwlekłego i kwiecistego języka, skwitowanego dwuwierszem: „Dużo słów, a mało treści, / bujaj, Kaziu, co się zmieści”.

Lekcje polskiego miał Jerzy z profesorami Juliuszem Nowakiem-Dłużewskim i Marianem Kaczyńskim. O tym ostatnim powie w *Autobiografii...*, że wiele mu zawdzięcza. „Nie był ortodoksyjny. Spokojnie przyjmował moje wygłupy czy krytyczne uwagi naruszające świętości; tolerował to, a nawet popierał”. Krytyczne uwagi Jerzego — jak się zdaje — odnosiły się głównie do narodowych wieszczów: „Z polską

tradycją romantyczną zetknąłem się dopiero w gimnazjum; przyznając, że po prostu mnie nudziła”.

O nauczycielu geografii, powieściopisarzu Ignacym Dąbrowskim, pisze w jednym z listów: „Mimo różnicy wieku bardzo się z nim przyjaźniłem”.

Michał Weigel przekonał młodego Giedroycia do łaciny. W przeciwieństwie do swego poprzednika, profesora Wiktora Wąsika, nie wymagał tylko wkuwania przez uczniów: *rosa, rosae, rosae, rosam...* ale postanowił zainteresować ich poezją. Owidiusz sprawił — wspominał Redaktor — że „nagle łacina okazała się bardzo ciekawa”.

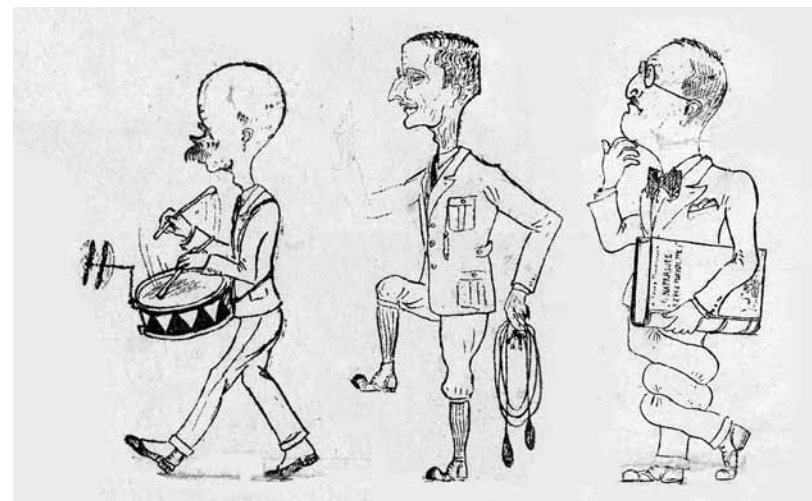
W pamięci zachował też Giedroyc katechetów — księży Jana Szmigielskiego i Edwarda Detkensa. Konflikt z pierwszym z nich — zdaniem samego zainteresowanego — stał się przyczyną jego „względego antyklerykalizmu”. Stefan Kieniewicz, który w Zamoyskim uczył się o rok niżej od Giedroycia, pisał o nich: „Pierwszy był politykiem chadeckim, który czytał w klasie gazetę, kiedy się tylko działo coś ważnego. Był jednak bardzo lubiany, bo baraszkował z nami, najchętniej z urwisami, a w ogóle niewiele wymagał. O księdzu Detkencie miałem się dowiedzieć z czasem, że był człowiekiem głęboko uduchowionym, zasłużonym przewodnikiem «Juventus Christiana». Ale w szkole kpiliśmy nieprzytomnie z jego ubogiej sutanny i jękającej się wymowy”. Podobnie jak Giedroyc większą sympatię do księdza Detkensa odczuwał inny zamoyszczyk — Juliusz Gomulicki, który tak go opisywał: „Brzydki i niepozorny, z gęstymi, nieporządnie zaczesanymi do tyłu włosami i w mocno wytartej sutannie, promieniujący jednak taką jakąś wielką dobrocią, że tylko jego właśnie, nie zaś dwóch moich księży-nauczycieli, uważałem wtedy za prawdziwego kapłana”.



Gmach Gimnazjum Zamoyskiego.

Jerzy Giedroyc wspominał dalej: „Nie znośmę też biskupa Szlagowskiego, opiekuna gimnazjum, typowego kościelnego krasomówcy, który miewał niekiedy wykłady czy kazania w bardzo pięknej kaplicy gimnazjum; obecność była obowiązkowa. Rewoltował mnie przymus chodzenia do spowiedzi”. Szkoła była przykładnie katolicka — obowiązkowa była nie tylko spowiedź, ale też niedzielna msza święta. Lekcje zaczynały się punkt ósma od modlitwy i odśpiewania *Kiedy ranne wstają zorze...* Jako że bramę zamykano pięć minut wcześniej, spóźnialscy musieli przed nią karnie odczekać na nauczyciela, by wpisał im uwagę do dzienniczka — tego obowiązku nie dało się ominąć.

O dziwo, Giedroycowi zapadli też w pamięć nauczyciele gimnastyki, Bronisław Sosiński, oraz fizyki, profesor Lud-



Uczniowskie karykatury profesorów: Kozińskiego, Krzymuskiego i Sosińskiego.

wik Koziński. Z tym ostatnim zapewne nie wiązały się miłe wspomnienia — Jerzy miał zawsze kłopoty z przedmiotami ścisłymi. W drugim roku swej nauki w Zamoyskim, w czwartej klasie, zasłużył sobie nawet na poprawkę z matematyki i z zoologii.

Przed powtarzaniem klasy — w razie obłania egzaminów poprawkowych — uratowali Jerzego bolszewicy. Kolejny raz historia nie pozwalała mu nudzić się zbyt długo w ławie szkolnej. Gdy oczyma duszy widział już siebie spędzającego wakacje nad książkami i zadaniami, oddziały Budionnego zajmowały kolejne miasta na Ukrainie, a Tuchaczewskiego na Białorusi. Z końcem lipca bolszewicy utworzyli w Białymstoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, a z każdym sierpniowym dniem byli coraz bliżej Warszawy.

Przed punktami rejestracyjnymi ustawiały się kolejki ochotników. W komplecie poszli do wojska uczniowie ósmych klas Gimnazjum imienia Jana Zamoyskiego, w punktach werbunkowych zameldowało się też wielu ich młodszych kolegów. Jeden z takich punktów mieścił się na Smolnej 30, w siedzibie działającej w gimnazjum Drugiej Warszawskiej Drużyny Harcerskiej. Należał do niej również czternastoletni druh Giedroyc, który z ulgą porzucił wówczas podręczniki zoologii, algebry czy geometrii.

Został telegrafistą w Dowództwie Okręgu Generalnego I w Warszawie. Na jego czele stał generał Franciszek Latinik, wojskowy gubernator Warszawy, który 10 sierpnia ogłosił w mieście stan oblężenia. „Odbierałem rozmaite szyfry, telefony etc. — opisuje Giedroyc w *Autobiografii*... — Był to epizod pasjonujący”. Jak długo trwał, przez ile dni czy tygodni Jurek co rano wędrował z Książęcej na plac Bankowy, gdzie w pałacu Mostowskich mieściło się owo Dowództwo Okręgu — nie wiemy. W archiwach wojskowych nie został odnotowany.

Bitwa Warszawska przerwała ofensywę bolszewików i zmieniła tok wydarzeń — linia frontu z każdym dniem wracała coraz bardziej na wschód. Kiedy we wrześniu dla Jerzego skończyła się wojna, a zaczął rok szkolny, nie był to już taki stres, z jakim należało się liczyć jeszcze w czerwcu. Egzaminy poprawkowe okazały się tylko formalnością. Nie tylko dlatego, że — jak sam wspominał — „wrócił jako bohater”. Spora część uczniów odznaczyła się przecież podobnym „bohaterstwem”. Ale ogólna atmosfera wykluczała, by z powodu nieznamości funkcji geometrycznych uczniowi w mundurze czynili przykrości — również umundurowani — nauczyciele. Z pewnością nie to było dla nich najważniejsze, gdy patrzyli na niedawnego telegrafistę. Kto go wówczas egzaminował —



Jerzy Giedroyc jako telegrafista w 1920 roku.

nie wiemy. Spora część nauczycieli — w tej liczbie wspomniani już profesorowie: Kaczyński, Krzymuski, Nowak, Sosiński i Wąsik — walczyła nadal gdzieś na Podlasiu czy już nad Niemnem. Długo jeszcze dyrektor Lipski miał problemy z organizowaniem zastępstw, póki nie zostali oni zwolnieni z wojska. Autorzy monografii poświęconej Gimnazjum Zamoyskiego piszą wręcz, że dopiero „rok szkolny 1921/1922 był po siedmiu latach pierwszym normalnym rokiem pracy”.

Jerzy Giedroyc, wspominając klimat swego domu rodzinnego, podkreślał jego kresowość: „W latach szkolnych nie czy-

tałem gazet. Nie pamiętam nawet, czy czytali je moi rodzice. Ale w domu panowały poglądy bardzo ostro antyendeckie. Decydująca była tu zapewne kresowość naszej rodziny, dla której endecki model Polaka katolika był po prostu nie do przyjęcia, jak nie do przyjęcia dla niej była idea Polski jednonarodowej i jednowyznaniowej”. W owym kresowym domu zapewne bezzwłocznie dostrzeżono tragizm traktatu ryskiego. Od stołu rokowań silniejsi wstali Sowieci, mimo że to polską delegację wspierały kolejne zwycięstwa militarne. Zdradzenie sojusznika, jakim była Ukraińska Republika Ludowa, ucieczka przed problemem narodów Ukrainy i Białorusi, oddanie ich w ręce Sowieców — przekreśliły idee polityczne marszałka Piłsudskiego. W domu na Książęcej rozumiano też, że polskie podpisy pod tekstem traktatu oznaczają bezpowrotną utratę Mińszczyzny. Od kraju dzieciństwa oddzielała Jerzego już nie tylko bariera mijającego czasu, ale też nowego porządku politycznego. Kraj ten, ze znanymi mu ulicami i domami, ludźmi i przyrodą, został przez polskich negocjatorów odrzucony, należeć miał do innego świata. Jeśli nawet wcześniej w domu nie czytano gazet i o polityce raczej nie rozmawiano, to wówczas z pewnością Jerzy Giedroyc dowiedział się, że odpowiedzialność za to ponosi narodowa prawica. Dowiedział się i zapamiętał.

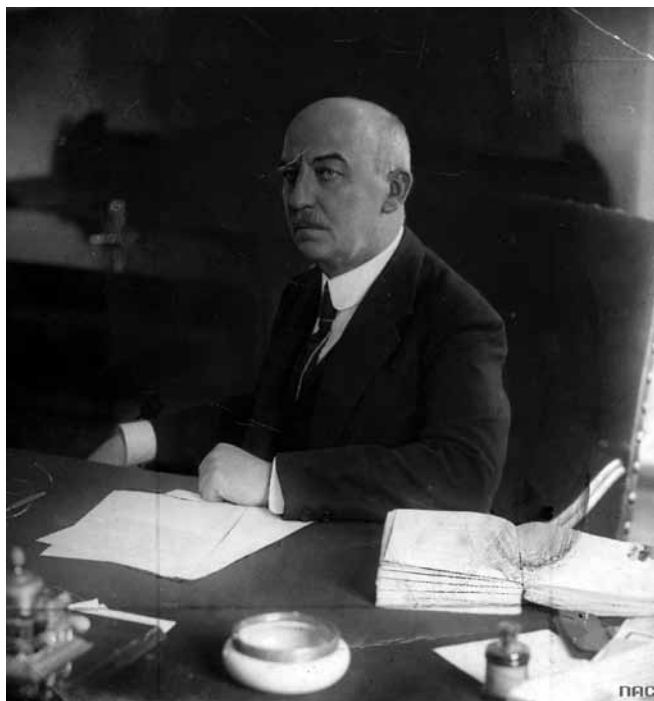
Pierwsze chyba świadome spory polityczne toczył Jerzy Giedroyc jako siódmoklasista, w grudniu 1922 roku. „Gimnazjum było bardzo endeckie — podkreślał. — (...) Moje poglądy przeciwstawiały mnie większości”. Ale o ile w ewentualnych wcześniejszych sporach można było się doszukiwać właściwej nastolatkowi przekory i skłonności do buntu, to całkiem inaczej rzecz musiała wyglądać w kwestii stosunku do Prezydenta RP Gabriela Narutowicza, wybranego na ten

urząd 9 grudnia 1922 roku. Jego kontrkandydatem, popieranym przez narodowych demokratów, był nie kto inny jak protektor szkoły, hrabia Maurycy Zamoyski.

„W gimnazjum wybór Narutowicza spowodował ogromne podniecenie — czytamy w *Autobiografii*... — Biegaliśmy słuchać przemówienia gen. Hallera w Alejach Ujazdowskich. Później poszedłem obejrzeć pogrzeb. Wszystko to pogłębiało podziały. W klasie dochodziło wręcz do bójk”. Czy Jerzy sam brał udział w tych bójkach? Nie wiemy. Z pewnością jednak był ich świadkiem — nie tylko w szkole, bowiem centrum Warszawy, gdzie mieszkał, na kilka dni zamieniło się w arenę walk.

W owej chwili Jerzy ze swymi poglądami był bardzo osamotniony wśród szkolnych kolegów. Wielu z nich brało udział w demonstracji 11 grudnia 1922, podczas której prezydenta obrzucono zgniłymi jajami. A że rozpoznano ich charakterystyczne niebieskie maciejówki — nastąpił odwet. Nazajutrz uczniowie Zamoyskiego zostali wcześniej zwolnieni do domów i ponaglani przez profesorów, spieszenie opuszczali budynek tylnym wyjściem przy ulicy Foksal. „Na Smolnej zebrał się przed naszą szkołą tłum robotników — opisywał później jeden z zamoyszczaków, Jerzy Andrzejewski, w owym momencie nieświadomy wydarzeń poprzedniego dnia. — Chcą nas bić. Robotnicy? Bić? Nas? Dlaczego? Co się stało? Synkowie mieszczańskich i ziemiańskich rodzin, nic nie pojmowaliśmy”.

W dniu zaprzysiężenia w Narutowicza nie tylko rzucano jajkami i śnieżkami, ale próbowano go też dosięgnąć łagami. U wychowanego w wielonarodowym Mińsku Giedroycia argumenty, że prezydent jest „za mało polski”, musiały budzić odrazę. Opluwanie człowieka, który po stu dwudziestu



Prezydent
Gabriel Narutowicz

trzech latach niewoli uosabiać miał majestat odzyskanej ojczyzny — musiało szokować. Siedem dni później, 16 grudnia 1922 roku — winny tego, że głosowali na niego posłowie mniejszości narodowych — Narutowicz został zastrzelony w Zachęcie. Jego zabójca, Eligiusz Niewiadomski, okazał się szwagrem Madame de Tilly, która uczyła wówczas w Zamoy-skim francuskiego. „Wielu spośród społeczeństwa uważało w tym czasie Niewiadomskiego za bohatera i męczennika wielkiej sprawy narodowej — opisuje Andrzejewski. — (...) Gdy po kilku dniach nieobecności zjawiała się wreszcie w szko-

le siwa i drobna Madame, jak żaden z jej kolegów mężczyzn umiejąca wzbudzać karność i posłuch, klasy ósma i siódma przed lekcją francuskiego złożyły na katedrze kwiaty”. Giedroyc, wówczas uczeń siódmej klasy właśnie, istotnie więc znalazł się w mniejszości tych, którzy na bukiet się nie złożyli.

On, dla którego do tej pory jedyną znaną wizją Polski była neojagiellońska Rzeczpospolita Marszałka — silne, tolerancyjne państwo wielu narodów — poznał tę drugą. W nienawiści, jaka ogarnęła warszawską ulicę, ujrzał Polskę jednonarodową, dla której jedyną formą patriotyzmu był zacieklý nacjonalizm. I — choć może nie do końca świadomie — zapewne już wówczas zdecydował, która z tych wizji jest mu bliższa.

Na kształtowanie się światopoglądu Jerzego niewątpliwý wpływ mieli też w owym okresie rodzice. Ignacy Giedroyc został członkiem Związku Zawodowego Pracowników Samorządowych m.st. Warszawy, a po kilku latach — nawet jego przewodniczącym. Choć — jak wspominał Jerzy — „ojciec był trudniej dostępny”, niewątpliwie próbował zarazić syna swoją pasją społecznikowską. Na postać Ignacego Giedroycia, o którym wiemy bardzo niewiele, nieco światła rzuca uwaga jego syna: „Nie rozmawiał ze mną na te tematy, ale często zabierał mnie na zebrania związku”. Po latach Redaktor oceniał nastawienie polityczne swego ojca jako „samorządowe z pewnym odcieniem — ale tylko odcieniem — socjalizmu”. Jakie miała poglądy pani Franciszka — nie wiemy. Niechętna manifestacyjnemu, powierzchownemu katolicyzmowi, zdołała zaszcześcić w synu — mimo jego nonkonformistycznego „względego antyklerykalizmu” — szacunek dla religijności. Cała rodzina była zresztą wierząca i praktykująca.

Święto dziesięciolecia istnienia Związku zawodowego pracowników samorządowych m. st. Warszawy

Związek zawodowy pracowników samorządowych obchodził wczoraj święto swego dziesięcioletniego istnienia. Uroczystość rozpoczęła się o godz. 10 rano nabożeństwem w kościele św. Krzyża oraz poświęceniem sztandaru związkowego. Nabożeństwo celebrował i poświęcenia sztandaru dokonał ks. arcybisk. Ropp, który też wygłosił okolicznościowe przemówienie. Rodzicami chrzestnymi sztandaru byli: prezesowa Popielawska i prez. Słomiński.

Po nabożeństwie zebrani udali się do grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie złożyli wieniec.

O g. 12 w południe w teatrze Wielkim odbył się uroczysty poranek artystyczny, na który przybyli oprócz członków związku reprezentanci magistratu z prez. Słomińskim na czele, reprezentanci rady miejskiej, min. spr. wewnętrznych, zaprzyjaźnionych organizacji, oraz około 100 delegatów z różnych miast Polski. Zagał poranek prezes Związku warszawskiego p. Giedroyc, powołując do prezydium prezesa centrali zrzeszeń związków pracowników samorządowych p. Popielawskiego oraz trzech najstarszych założycieli związku pp. Puławskiego, Dembowskiego i Szelię. Dłuższe przemówienie o działalności, celach i zadaniach związków

pracown. samorządowych wygłosił p. Popielawski.

Następnie prez. Słomiński w imieniu władz samorządowych powitał obecnych, podkreślając duże znaczenie związku dla pracy samorządowej i życząc, aby w dalszym ciągu jak dotąd, współpraca związku z władzami samorządowymi była harmonijna i pożyteczna. Po przemówieniu reprezentanta min. spr. wewnętrznych nacz. Brzezińskiego, dłuższy referat o działalności związków zawodowych pracowników samorządowych wygłosił p. Gajewski.

Po przemówieniach tych odbyła się uroczystość wbijania gwoździ w nowy sztandar. Pierwszy gwoździł wbił prez. Słomiński, następnie reprezentanci poszczególnych miast.

Na część artystyczną złożyły się produkcje artystów scen warszawskich.

O g. 7 wiecz. w „Dolinie Szwajcarskiej” odbył się bankiet, na który przybył prez. Słomiński, członkowie magistratu, rady miejskiej oraz liczni członkowie związku.

Bankiet przeciągnął się w serdecznym nastroju do późnego wieczoru.

Dzisiaj goście przyjezdni z innych miast będą oprowadzani przez gospodarzy i zwiedzać zabytki stolicy i instytucje użyteczności publicznej.

Artykuł z „Głosu Prawdy” z 1929 roku.



Zarząd Związku Pracowników Miejskich m.st. Warszawy w czerwcu 1939 roku.

Na nastolatka wpływali jednak nie tylko nauczyciele i rodzice, ale też koledzy. O nich wiemy niewiele. „Pamiętam Jaszczołta, z którym się przez rok czy dwa kolegowałem — szukał w pamięci Redaktor, gdy odkrył, że jeden z jego korespondentów chodził do Zamoyskiego mniej więcej w tym samym co on okresie. — Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Chyba zmienił gimnazjum, bo nie pamiętam go przy maturze”. Jerzy Giedroyc częściej wspominał swych przyjaciół z ostatnich klas gimnazjum. Staś Niemyski — „z którym pospołu wojowaliśmy z endekami” — zostanie wkrótce dość znanym



Jerzy Giedroyc jako uczeń
klasy VI A Gimnazjum
Zamoyskiego
(wrzesień 1921 roku).

dziennikarzem socjalistycznym. Staś Żeleński — syn Boya — spełni swe marzenia i rozpocznie karierę aktorską. Co robili po maturze bracia Janusz i Zygmunt Czapliccy — nie wiemy.

Oddajmy na chwilę głos samemu Redaktorowi, który tak swoje gimnazjalne przyjaźnie wspomina w *Autobiografii...*: „Stanowiliśmy paczkę, którą łączyły wspólne zainteresowania literackie. Boyowie mieszkali wtedy na Smolnej, naprzeciwko gimnazjum. Spotykaliśmy się tam wieczorami na seanse literackie: czytaliśmy na głos różnych znanych autorów — pamiętam zwłaszcza Ibsena i Strindberga — i pi-

liśmy likier różany. Patrzyliśmy z pogardą na ludzi, którzy chodzą w długich spodniach: jak można chodzić w długich spodniach? Prawdziwy mężczyzna powinien nosić pumpy. Żyliśmy jeszcze pod pewnymi względami w klimacie Młodej Polski. Nasze gusty dyktowało poniekąd wydawnictwo Biblioteka Polska, które mieściło się na Nowym Świecie (...). Było ono bardzo aktywne, wydało m.in. całego Sieroszewskiego i całego Wyspiańskiego. Dzięki jednej z moich ciotek, która pracowała w tym wydawnictwie i odgrywała w nim pewną rolę, dostawałem stamtąd książki, na kupowanie ich nie miałem za wiele pieniędzy.

Poza tym korzystaliśmy z ogromnej biblioteki Boya, którego wtedy poznałem. Sam Boy sprawił na mnie złe wrażenie. Był nudny, ponury, a spotkań u niego nie lubiłem tym bardziej, że miał meble wedle wzorów Wyspiańskiego: wybitnie niewygodne; siedzenie u niego na krześle było prawdziwą katorgą”.

Co poza Ibsenem i Strindbergiem czytali młodzieńcy w pumpach? Niczym refren we wszystkich wspomnieniach Giedroycia powtarzają się dwa nazwiska — Brzozowskiego i Żeromskiego: „Od Brzozowskiego (...) nie sposób się było oderwać. Czytałem wtedy jego utwory powieściowe: *Dębina* i *Płomienie*, które wywarły na mnie wielki wpływ. Ale największy wywarł Żeromski. Byłem żeromszczikiem i w pewnym sensie zostałem nim do dziś. *Przedwiośnie*, które czytałem znacznie później, było dla mnie wielkim przeżyciem”.

Nauczyciele w Gimnazjum Zamoyskiego oceniali jednak Giedroycia nie za to — a w każdym razie nie tylko za to — co czytał, ale za to, czego się nauczył. A uczył się — wedle własnego wyrażenia — podle. Nie była to z jego strony fałszywa skromność. Nie znamy wprawdzie kolejnych jego świadectw, ale dowodem na to niechaj będą dwie poprawki, o których

już wiemy, oraz wyniki matury. Egzamin dojrzałości zdał w czerwcu 1924 roku. Piątki z religii i propedeutyki filozofii, czwórki z francuskiego i historii. Reszta — same trójce. Ale najwyraźniej w pamięci profesorów zapisał się dobrze, skoro wspominali go jeszcze piętnaście lat później, stawiając za wzór młodszemu bratu. „Za moich czasów obowiązywał egzamin między gimnazjum a liceum (tzw. mała matura, wprowadzona reformą Jędrzejewicza w 1932 roku — przyp. M.Ż.), który oczywiście zdałem na lepszych czy gorszych, ale trójkach — wspominał Henryk Giedroyc. — Jeden z nauczycieli, który pamiętał Jerzego, powiedział mi wtedy: «Taką piękną tradycję przerywasz!»”. A przecież — oddajmy sprawiedliwość najmłodszemu z Giedroyców — jego trójki w niczym od trójek brata gorsze nie były...

Życie towarzyskie nie ograniczało się do popijania różanego likieru w salonie Boyów. „Najwięcej bawiłem się chyba w okresie szkolnym, w ósmej klasie”, wspominał Jerzy Giedroyc. Opisuując swoją paczkę, dodawał, że „chodzili bardzo często na bale i inne imprezy towarzyskie i jeździli na pikniki”. Z balów tych zapamiętał nie tylko kolegów. Po latach, w liście do jednego z młodszych zamoyszczyków, mieszkającego w kraju, dopytywał się o dyrektora Lipskiego: „Czy coś wiadomo o jego córkach, które były gwiazdeczkami imprez towarzyskich w gimnazjum?”.

A jak w owym czasie wyglądało domowe życie Jerzego? Dzień zaczynał zapewne koło siódmej — do szkoły miał przecież dwa kroki. Śniadanie robiła mu mama, ona też przygotowywała kanapki. W szkole był wprawdzie bufet, gdzie uczniowie jadal śniadania i obiady, wydawali też swe tygodniówki na słodczyce. Można jednak przypuszczać, że w tym czasie państwo Giedroyciowie wciąż musieli oszczędzać. Jerzy



Meble zaprojektowane dla Żeleńskich przez Stanisława Wyspiańskiego.

nie miał „za wiele pieniędzy” na kupowanie książek. Również — co musiało go naprawdę boleć, skoro zapamiętał to do końca życia — swym ubiorem na pierwszy rzut oka odróżniał się od zamożnych kolegów. A w Zamoyskim — co zauważa cytowany już Jerzy Andrzejewski — „w wyższych klasach przywiązywano znaczną uwagę do wyglądu zewnętrznego”. Prawdopodobnie to właśnie ówczesna sytuacja materialna rodziny nadała pierwszym warszawskim wspomnieniom Jerzego Giedroycia tak czarną barwę. Wtedy też Zygmunt, o trzy lata od Jerzego młodszy, musiał odejść z Gimnazjum Zamoyskiego do zwykłej miejskiej szkoły. On stypendium nie otrzymał, a rodziców — najwyraźniej — nie było stać na czesne. Dwa lata przed maturą Jerzego rodzina powiększyła się. Pani Franciszka urodziła trzeciego syna, Henryka, zwanego w rodzinie Dudą, a później Dudkiem. Zapewne wtedy

pojawiła się w domu Giedroyciów pierwsza z kilku kolejnych pomocy domowych. Mama Giedroyciowa nie dopuszczała żadnej z nich do garnków, jednak do cięższych prac, jak pranie czy sprzątanie, kilka razy w tygodniu przychodziła „kobieta”.

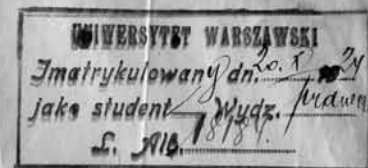
Mama nie tylko dbała o pełne żołądki synów, ale też rządziła domem. Podejmowała co ważniejsze decyzje, z finansowymi włącznie. „Tata chyba po prostu unikał sporów”, wspomina Henryk. Papa Giedroyć żył sprawami szpitala i związku zawodowego. W domu bywał głównie wieczorami, nawet obiad jadał często piętro niżej, w szpitalnej stołówce. W salonie Giedroyciów, w którym pyszniła się wielka palma, często natomiast pojawiał się w porze obiadu wspomniany Henryk Gisges-Gawroński, ojciec chrzestny Dudy. „Jeśli mama próbowała mnie dyscyplinować, to starała się to czynić za pośrednictwem mojego chrzestnego — wspominał Henryk. — Przynosiło to dość mizerne efekty, bo to właśnie on celował w rozpuszczaniu mnie”. Czy i w jakiej dziedzinie ktoś dyscyplinował Jerzego, nie wiadomo. Prawdopodobnie zdarzało się to rzadko — w końcu nawet jego nałóg nikotynowy zaakceptowano bez większych zastrzeżeń.

Wieczory spędzał Jerzy — jak wiemy — z kolegami, wakacje zaś — u rodziny. Zapewne nie było go stać na samodzielne wyjazdy z przyjaciółmi, nie jeździł też na obozy harcerskie — ze Związku Harcerstwa Polskiego wyrzucono go bowiem za palenie papierosów. Nieraz, jak i jego bracia, bywał w Łubiance niedaleko Augustowa, gdzie zamieszkała pasierbica ciotki Eli, pani Witkowska. Otwarte były też drzwi wujostwa Ławruków — takie nazwisko nosiła po ślubie kolejna z siostr pani Franciszki, Janina — którzy prowadzili dobrze prosperujący majątek koło Bełżca. Ferie zimowe, jeśli

Kopia świadectwa maturalnego
Jerzego Giedroycia.

GIMNAZJUM MĘSKIE TOWARZYSTWA IM. JANA ZAMOYSKIEGO

W WARSZAWIE.



ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Jerzy Giedroyć

urodzony w *Minisku Litewskim* dnia *27 lipca* roku *1906*

wyznania *rzymsko-katolickiego*, przyjęty na podstawie *censury Szkoły Średniej Polskiej Macierzy Szkolnej w Minisku* do klasy *trzeciej*

gimnazjum męskiego Towarzystwa im. Jana Zamoyskiego w Warszawie,

uczęszczał do niego *sześć* lat, ukończył całkowity kurs nauk gimnazjum humanistycznego

i w *czerwcu* roku *1924* złożył egzamin dojrzałości przed Komisją Egzaminacyjną, powołaną przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego.

Jerzy Giedroyć

sprawował się *bardzo dobrze* i wykazał postępy:

w nauce religii *bardzo dobrze*
w języku polskim *dostatecznie*
w języku łacińskim *dostatecznie*
w języku francuskim *dobre*
w języku niemieckim *dostatecznie*
w historii powszechnej i Polski *dobre*
w geografii *dostatecznie*

w matematyce *dostatecznie*
w fizyce *dostatecznie*
w chemii *dostatecznie*
w kosmografii *dostatecznie*
w naukach przyrodniczych *dostatecznie*
w propedeutyce filozofii *bardzo dobrze*
w rysunkach *dostatecznie*

Komisja Egzaminacyjna orzekła, że

Jerzy Giedroyć

jest przygotowany do studiów wyższych, i postanowiła wydać mu niniejsze świadectwo dojrzałości.

Warszawa, d. *14 czerwca* r. *1924*.

Nr 10/509



Przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej — Dyrektor gimnazjum — Delegat
Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego:

M. Dąb

Członkowie Komisji Egzaminacyjnej — Nauczyciele gimnazjum:

M. D. Tyle, P. Smolka, M. Wierzbicki, R. Januszewski, L. Rozwita, M. Weigel, J. Kubiński, A. Jędrzejko, M. Wierzbicki, J. Horlana, J. Sierżanowski, W. Wierzbicki



stać było panią Franciszkę na wyjazd z dwoma, a później trzema synami — zawsze można było spędzić u kolejnej ciotki, Jadwigi Wandzilakowej, która wraz z mężem mieszkała w Krynicy.

Krewni pani Franciszki nadal dominowali w życiu rodzinnym Giedroyciów — ciotki i babcia były regularnymi gośćmi tak podczas niedzielnych obiadów, jak i w każde święta. Mieszkanie na Książęcej, wygodne i obszerne — stało się domem.

Od lewej: Wuj Varin, Franciszka Giedroyciowa, Zygmunt Giedroyć, Wiktoria Starzycka, Henryk Giedroyć, Henryk Gisges-Gawroński, NN, Elżbieta Starzycka, Ignacy Giedroyć.



V. Mocarstwowcy — masoni i cykliści

Dlaczego Jerzy zdecydował się na studia prawnicze? Z tego samego zapewne powodu, z jakiego po dziś dzień robią to tysiące młodych ludzi: nie miał lepszego pomysłu. W wypadku młodego człowieka o niezbyt konkretnych zainteresowaniach humanistycznych prawo wydawało się najlepszym wyborem. Nie tylko gwarantowało w miarę rzetelne wykształcenie, ale też otwierało rozmaite możliwości pracy. Było to istotne, bo kondycja finansowa Giedroyciów wciąż nie była najlepsza — pozwalała im wprowadzić na życie na dość przyzwoitym poziomie, ale już opłata za studia stawała się problemem.

Nie wiemy, czy z własnej inicjatywy, czy też zachęcany przez rodziców — Jerzy zabrał się do pracy. Znalazł ją w biurze ogłoszeń Polskiej Agencji Telegraficznej, PAT-u, gdzie — jak wspominał w *Autobiografii na cztery ręce* — „wypisywał ogłoszenia komorników i inne takie nudziarstwa”. Zajęcie było nudne, miało jednak dwie zalety. Po pierwsze, do pracy miał blisko, biuro PAT-u mieściło się bowiem o dwa kroki od uniwersytetu, w siedzibie Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu 50 (boczne skrzydło gmachu znanego jako Pałac Namiestnikowski). Po drugie zaś — PAT dobrze płacił: „starczało i na moje wydatki, i na pomoc dla domu”. To, że Jerzy oddawał część pieniędzy rodzicom, nie oznacza, że zarabiał krocie. Opłatę trymestralną, której wysokość wahała się od 60 do 100 złotych — mniej więcej połowa

Zyciorys:

Urodziłem się dnia 27 lipca 1906 roku, w Minsku-Litewskim. Jestem synem Ignacego i Franciszki ze Starych Giedroyci. W roku 1916 na podstawie egzaminu zostałem przyjęty do gimnazjum klasycznego w Minsku, po ukończeniu pierwszej klasy przeniósłem się do klasy II-iej szkoły średniej polskiej w Minsku Litewskim, następnie w roku 1918 zostałem przyjęty na podstawie cenzury do klasy III-iej gimnazjum męskiego, Towarzystwa im. Jana Karłowicza w Warszawie.

W roku 1920, w czasie wojny polsko-rosyjskiej, pracowałem jako telefonista w D.O.G. Nie przynajmniej naukę w szkole wyższej ukończyłem z tytułem egzaminu dojrzałości w roku 1924. Obecnie mam zamiar rozpocząć na Wydziale Prawnym.

15-IX-24

Jerzy Giedroyc

Odłącznie napisany przez Jerzego Giedroycia życiorys, datowany 15 września 1924, załączony do podania o przyjęcie na Wydział Prawny UW.



Reklamy Biura Ogłoszeń i Reklamy PAT-u.

Dla propagandy i reklamy posiada P.A.T.

- **BIURO OGŁOSZEŃ** mające stosunki stałe z całą prasą świata.
- **BIURO REKLAMY** mające we własnym zarządzie:
 - **stupy miejskie** w Poznaniu, Wilnie, Łucku,
 - **reklamę kolejową** w wagonach, budynkach stacyjnych, na obiektach kolejowych,
 - **tablice orientacyjne** z planami miasta i dzielnic,
 - **reklamę turystyczną** w zdrojowiskach, uzdrowiskach i t. d., własne wydawnictwa,
 - **radio-reklamę** „Radio-PAT” w pociągach, mówioną i na programach;
- **BIURO PROJEKTÓW** wykonujące wzory plakatów, reklam, klisz, rysunków i t. d.
- **BIURO CZASOPISM** przyjmujące prenumeratę wszystkich pism, czasopism, wydawnictw w całym świecie.
- **BIURO FOTOGRAFICZNE** dostarczające aktualnych zdjęć, w abonamencie i doraźnie, wykonujące zdjęcia reklamowe na zlecenia.
- **BIURO FILMOWE** produkujące aktualną Kronikę PAT, dźwiękową i niemą, przyjmujące zlecenia na zdjęcia reklamowe krótkometrażowe, a również wynajmujące filmy krótkometrażowe.

cykli P.A.T. rozporządza wszystkimi środkami propagandy i reklamy, do przeprowadzania największych kampanii.

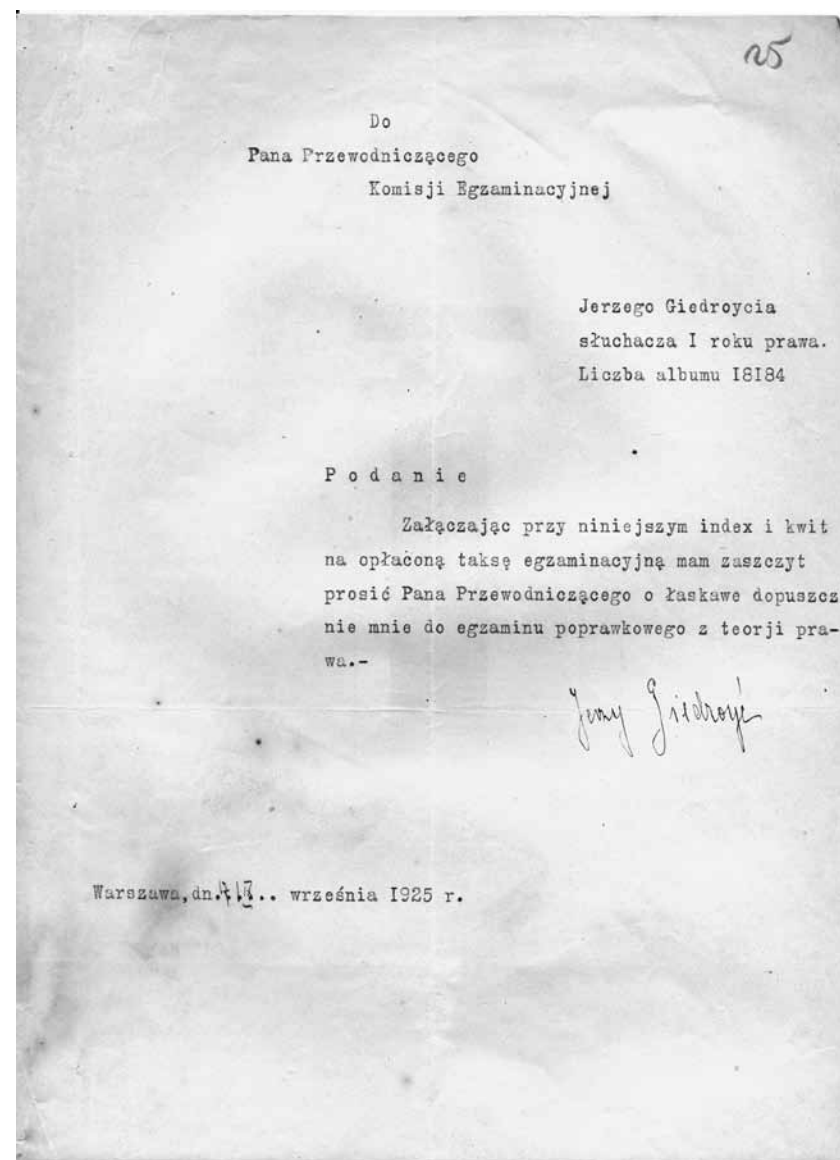
ówczesnej pensji niższego urzędnika — wnosił zawsze w dwóch ratach.

Profesorowie Jerzego zapewne dość wcześnie dostrzegli, że nie ma on zadatków na wybitnego jurystę. Przedmiotami stricte profesjonalnymi nie interesował się w ogóle, nie był też członkiem Koła Prawników. Jedyнным wykładowcą, którego z sympatią wspominał w *Autobiografii...*, był Leon Petrażycki, o którym twierdził, że „był znakomity. Chodziłem na jego zajęcia, choć były nieobowiązkowe (...). Prac Petrażyckiego wtedy nie znałem; zetknąłem się z nimi znacznie później. Ale

byłem z nim w stosunkach osobistych: przychodziłem do jego mieszkania na rozmowy i asystowałem przy dyskusjach, które się u niego odbywały; mogłem siedzieć w kącie i słuchać”. Specjalnością Petrażyckiego była socjologia, uczył też etyki. To Jerzego interesowało.

Co innego przedmioty ściśle prawnicze. Już na pierwszym roku oblał egzamin z teorii prawa u profesora Eugeniusza Jarry. „Potworny profesor, którego podręczniki trzeba było wykuwać na pamięć”, mówił po latach. Notabene, kilka lat później u tego samego profesora egzamin zawałił Czesław Miłosz, co zakończyło jego krótką karierę na Uniwersytecie Warszawskim. Giedroyciowi natomiast udało się poprawkę zdać na jesieni, dzięki czemu nie musiał powtarzać roku. „Dwa miesiące przed każdą sesją egzaminacyjną brałem urlop, trochę udawałem, że choruję — czytamy dalej w *Autobiografii...* — i kułem do egzaminów, a że miałem szczęście, jakoś zdawałem je na trójki”. Owe trójki zresztą również uznać należy za pewne osiągnięcie — wszystkie egzaminy roczne zdawano wówczas tego samego dnia, a były na tyle trudne, że dyplom magistra prawa uzyskiwał zaledwie co trzeci student.

Szczęście ponownie zawiodło Jerzego na czwartym roku studiów — 8 czerwca 1928 roku oblał egzamin z prawa cywilnego u profesora Karola Lutostańskiego. Tym razem nie skorzystał z możliwości szybkiej poprawki i przystąpił do egzaminu dopiero rok później. Zdał go w październiku 1929 roku i po kilku miesiącach odebrał dyplom. Termin tego ostatniego egzaminu wypadł zdecydowanie za wcześnie — zgodnie z obowiązującą wówczas ustawą o powszechnym obowiązku służby wojskowej do końca 1929 roku Jerzy musiał się liczyć z możliwością powołania do armii, na co nie



Podanie Jerzego Giedroycia z 17 września 1925
o dopuszczenie do egzaminu poprawkowego z teorii prawa.

miał najmniejszej ochoty. Wydaje się, że groźba ta stała się realna w połowie grudnia — dopiero wtedy bowiem złożył wniosek o przyjęcie na Wydział Humanistyczny UW. Przedstawił przy tym zaświadczenie ze Szpitala Świętego Łazarza, że chorował na „ostre zapalenie skóry na kończynach dolnych do 2 XII 29 roku. Cierpienie to nie pozwalało J. Giedroycowi na wychodzenie z domu”. Jednocześnie wprawdzie Giedroyc pisał w podaniu do dziekana Wydziału Humanistycznego, że choroba „zmusiła go do wyjazdu na dłuższy czas z Warszawy”, ale niekonsekwencja ta najwyraźniej nie została dostrzeżona. Nie przeszkodziła mu w każdym razie w realizacji planu. Został studentem Wydziału Humanistycznego — przez jakiś czas chadzał nawet, jak wspominał, na zajęcia z historii Ukrainy do profesora Myrona Korduby. Nie przystąpił tam chyba do żadnego egzaminu, ale służby wojskowej uniknął.

Jeśli coś utrudniało Jerzemu studia, to nie konieczność tracenia czasu w biurze PAT-u, ale zaangażowanie w działalność organizacji młodzieżowych. „Zupełnie przypadkowo, dzięki kilku kolegom szkolnym — mówi Giedroyc w *Autobiografii*... — wstąpiłem do korporacji «Patria», która była całkiem endecka: jej pierwszym prezesem czy założycielem był Janusz Rabski. Nie tylko mi to nie przeszkadzało, ale stosunkowo szybko zostałem «barwiarzem», a nawet prezesem korporacji”. Warto się przyjrzeć tej wypowiedzi. To, że Jerzemu nie przeszkadzał przeważający w Patrii światopogląd narodowy — Rabski, jej założyciel, był już w tym czasie prezesem Młodzieży Wszechpolskiej — to jedno. Ważniejsze jednak, iż w oczach jej członków godzien był wyboru na prezesa konwentu — jak inaczej nazywano korporacje — co dowodzi, że co najmniej nie obnosił się wówczas z antyendecckimi poglądami. Potwierdzały to zresztą fakt, że — dzięki poparciu przyjaciela

z Patrii, Jana Pożaryskiego, którego przyszłe członkostwo w Obozie Narodowo-Radykalnym, ONR-ze, również Jerzemu nie będzie przeszkadzało — rozpoczął współpracę z „Kurierem Warszawskim” i „Warszawianką”. Zwłaszcza to drugie pismo, kierowane przez Stanisława Strońskiego, miało charakter zdecydowanie endecki. Była to jednak współpraca dość luźna, polegająca na dostarczaniu informacji do z rzadka ukazującej się w „Kurierze” kroniki akademickiej.

Dnia 12 maja 1926 roku Jerzy Giedroyc — przerwawszy wkuwanie ekonomii i prawa kościelnego — postanowił bronić legalnego rządu Wincentego Witosa przed buntowniczymi oddziałami Józefa Piłsudskiego. Był to dla niego „konflikt bardzo dramatyczny”, ale wyboru dokonał dość oczywistego — korporacje akademickie murem stanęły za rządem Chjeno-Piasta. Po nieudanych rozmowach między prezydentem Wojciechowskim a marszałkiem Piłsudskim na moście Poniatowskiego oddziały piłsudczyków zaczęły zajmować kolejne części lewobrzeżnej Warszawy, a rząd schronił się w Belwederze. Z kilkoma kolegami poszedł tam również Jerzy. „Wchodziło się tam jak do młyna — czytamy w *Autobiografii*... — Dano mi jakiś karabin i kazano stać na warcie od strony Łazienek. A Stanisław Grabski chodził od jednego z nas do drugiego i powtarzał «Przecież to jest bez sensu, my nie możemy się tu utrzymać». I to mówił szczeniakom, studentom. Zrobił na mnie takie wrażenie, że nazajutrz wróciłem do domu. Wyleczyło mnie to zupełnie z parlamentaryzmu, pogłębiło nastawienie propiłsudczykowskie i przekonanie o konieczności rządów autorytarnych”. W rozmowie z Barbarą Toruńczyk Giedroyc uznał ów belwederski epizod za „niesłychanie pouczające i jedno z najbardziej obrzydliwych wspomnień”.



Zapora koło kościoła św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży, maj 1926 roku.

Kto wprowadził Jerzego do Patrii, nie wiemy. Wśród członków korporacji znajdujemy nazwiska dwóch jego kolegów, absolwentów Gimnazjum Zamoyskiego z tego samego rocznika: Tadeusza Rakowskiego i Tadeusza Szmitkowskiego. Bliższy Jerzemu był Szmitkowski. Jeśli on go wprowadzał, to jakich argumentów użył? Zapewne nie przekonał Jerzego zewnętrzny sztafaż Patrii, korporanckie czapki, zwane deklami, szarfy, nazywane bandami, czy przywiązanie do zakazanych prawem pojedynków jako sposobu rozwiązywania spraw honorowych. Nie znaczy to, że formy

owe i zwyczaje odrzucał. Wręcz przeciwnie — Władysław Żeleński, którego Jerzy poznał w domu Boya, wspominał nawet wypadek, który miał zakończyć się na „ubitej ziemi”. Przeciwnikiem był jeden ze wspomnianych braci Czaplickich. „Podobno Jerzy miał się odezwać do niego w sposób bardzo nieuprzejmy. Tamten uznał się za obrażonego — opowiadał Żeleński. — Nawiasem mówiąc, Giedroyc był od niego wyższy, miał też wyniosłe spojrzenie. Co nie było przecież jego winą. Zostałem świadkiem honorowym w tym sporze. Byłem na tyle przytomny, że, jak to mówią, ukręciłem tej sprawie łeb”.

W propozycji przystąpienia do korporacji istotniejsze było to, że dawała ona przepustkę do życia towarzyskiego i politycznego uniwersytetu. Okoliczność tę Giedroyc wykorzystał w pełni. Kiedy w 1927 roku wybrano go na prezesa Patrii, jej właśnie przypadało rotacyjne przewodnictwo w Kole Międzykorporacyjnym. Dotychczas szary członek jednej z mniej liczących się korporacji, stanął na czele reprezentacji wszystkich konwentów Warszawy.

Zaczął też działać w wydziale zagranicznym Polskiego Związku Akademickiego, któremu szefował Pożaryski. Razem pojechali nawet wówczas do Dubrownika na zaproszenie barona Wrangla, który w Jugosławii stworzył małą „białą Rosję”. Giedroyc udzielał się też w najważniejszej ze studenckich organizacji — Bratniej Pomocy. Kontrola nad Bratniakiem była polem najgorętszych starć politycznych na terenie uniwersytetu — stanowił on nie tylko rodzaj samorządu studenckiego, ale też „czapę” dla wszelkiej działalności charytatywnej, nadzorował stołówki i akademiki, drukarnię, w której wydawano skrypty etc.



„Patryci” w strojach korporanckich podczas najważniejszego w roku spotkania, tzw. komersu, 2 maja 1928. Jerzy Giedroyc pod sztandarem Patrii. Barwami korporacji były: karmazyn, srebro i zieleń.

Propiśsudczykowski sentymenty Giedroycia po raz pierwszy ujawniły się publicznie w 1928 roku. Wtedy zaczął się tworzyć kluczowy dla przyszłości Jerzego łańcuszek jego kolejnych znajomości, kontaktów i przyjaźni. Najpierw poznał Rowmunda Piłsudskiego, dalekiego kuzyna Marszałka. O trzy lata starszy od Giedroycia, był członkiem innej uniwersyteckiej korporacji — Regii. Po zamachu majowym, pod auspicjami polityków konserwatywnych, utworzył organizację Myśl Mocarstwowa, jedną z płaszczyzn porozumienia między zachowawcami a obozem Marszałka. Były to



Jerzy Giedroyc wśród kolegów z korporacji (siedzi pierwszy z prawej).

próby dość udane — jakkolwiek konserwatyści nie odegrali w okresie międzywojennym większej roli politycznej, to akurat pod koniec lat dwudziestych ich znaczenie zdecydowanie wzrosło. Zaczęło się od zjazdu w Radziwiłłowskim pałacu w Nieświeżu, gdzie Józef Piłsudski spotkał się z elitą polskiej „konserwy”, przeważnie arystokratami. Wówczas to powstał wierszyk — jego autorem miał być sam Marszałek — nawiązujący do akcji pod Bezdanami, gdzie oddział PPS pod dowództwem Piłsudskiego w napadzie na pociąg pocztowy zdobył kilkaset tysięcy rubli:

To nie sztuka zabić kruka
ani sowę trafić w głowę,
ale sztuka całkiem świeża
trafić z Bezdán do Nieświeża.

Po rozmowach w Dzikowie, dokąd przedstawiciele partii konserwatywnych zaprosili między innymi Walerego Sławka, w 1928 roku konserwatyści znaleźli się na listach wyborczych Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, BBWR-u.

Rowmundowi najwyraźniej przypadł do gustu młodszy kolega — nie tylko zaproponował Giedroycowi wstąpienie do swej organizacji, ale też wprowadził go na salony arystokratycznej Warszawy. Jerzy poznał wówczas między innymi Janusza Moszyńskiego, który sekretarzował przywódcy zachowawców Januszowi Radziwiłłowi, Zdzisława Lubomirskiego, Rogera Raczyńskiego i Tadeusza Morawskiego. W domu ostatniego z nich, przy jakiejś okazji towarzyskiej, spotkał innego młodego konserwatystę — Jana Karczewskiego, zwanego Nulkiem. Szybko stał się on jednym z bliższych Jerzemu ludzi i już w połowie 1928 roku zaproponował mu pracę w Biurze Prasowym Rady Ministrów, do której sam został odkomenderowany z II Oddziału Sztabu Generalnego, zwanego „dwójką”, czyli po prostu — wywiadu. Był to pierwszy z ludzi „służb”, z jakimi zetknął się Jerzy.

Drugim był porucznik Stanisław Zaćwilichowski, z którym poznał Giedroycia Nulek Karczewski. W tym okresie kariera Zaćwilichowskiego rozwijała się błyskawicznie (dwa lata później tragicznie zakończy ją wypadek samochodowy). Jeszcze niedawno ów krępy blondyn o dużym uroku osobistym rezydował — co wspominał później Józef Mackie-



Jan Pożaryski



Rowmund Piłsudski



Jan Karczewski („Nulek”)

wicz — w zakonspirowanej kwaterze „dwójki” przy ulicy Mickiewicza w Wilnie, gdzie odpowiadał za sprawy sowieckie. Ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności w 1926 roku był w Warszawie, odkomenderowany do centrali. 12 maja wybrał się w cywilnym ubraniu na długi spacer po mieście — wróciwszy, zdał dokładną relację z rozmieszczenia wojsk rządowych. Jak opisuje Giedroyc w *Autobiografii...*, „ten fascynujący grubas spodobał się Piłsudskiemu, który powiedział mu: «Zgłoś się do mnie, dziecko, jak się to wszystko skończy»”. Po „tym wszystkim” Marszałek zrobił Zaćwilichowskiego sekretarzem premiera Bartla. Giedroyc wspomina, że Zaćwilichowski miał duże ambicje osobiste, polegające jednak nie na dążeniu do funkcji, zaszczytów czy tytułów, ale na tym, by zawsze być w centrum wydarzeń. W roli sekretarza premiera

czuł się więc doskonale. „Miał dziwne, ale dobre metody pracy: potrafił organizować sobie grupy ludzi. Jedną z nich był «klub złośliwych szczeniaków», jakeśmy go między sobą nazywali. Byli to głównie sekretarze ministrów, a klub polegał na tym, że siedziało się razem na wódce i załatwiano sprawy państwowe, dublując Radę Ministrów i ustalając, co trzeba zrobić, co zasugerować”. W uprawianiu polityki poprzez kontakty towarzyskie Zaćwilichowski wykorzystywał swą umiejętność — jak nazwie to Giedroyc w rozmowie z Barbarą Toruńczyk — „doskonałego operowania alkoholem”.

W ten sposób z konserwatywnego salonu trafił Jerzy do środowiska ludzi związanych z wywiadem, z którymi się zaprzyjaźnił. Przez nich poznawał kolejnych, podobnych sobie. Nie były to postacie ze świecznika czy pierwszych stron gazet. Stanowili drugi, a może trzeci szereg — młodych, ambitnych. Tych, którzy jako sekretarze ministrów i prezesów doradzają swym szefom, kto jest godny zaufania i wsparcia, a kto nie. Tych, którzy w ich imieniu w niezbyt luksusowych lokalach piją wódkę z dziennikarzami, przekonując ich do jednej wizji świata, a odwołując od innej. Tych, którzy opiniują wnioski o dotacje i odpowiadają za to, z kim i o czym rozmawiać będą pierwszozostronicowi politycy i jakie przemówienia gdzie wygłaszać. Pytany wiele lat później przez Teresę Torańską, czy nie uważa tej historii za śmieszną — cóż mogli znaczyć i ustalać sekretarze? — Giedroyc protestował. Aby zrozumieć znaczenie owych gremiów, należy uwzględnić różnice między obecną administracją a ówczesną. W okresie międzywojennym ministrowie nie dysponowali wieloosobowymi gabinetami politycznymi, nie mieli rozbudowanego zaplecza partyjnego. Grono, do którego Jerzy Giedroyc dołączył około 1929 roku, było wąskie i istotnie mogło wywierać dość duży wpływ. Do

Zakonu Nieznanego Żołnierza — jak później nazwała się ta nieformalna grupa — należeli, obok Jerzego, Rowmunda Piłsudskiego, Zaćwilichowskiego i Karczewskiego, między innymi: szef Biura Prasowego Rady Ministrów Zygmunt Hładki; szef gabinetu ministra rolnictwa, Jan Żukotyński; sekretarz generalny PAT-u Leon Godlewski; niedawny adiutant Marszałka Remigiusz Grocholski oraz Antoni Roman z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wreszcie Wiktor Tomir Drymmer, który wówczas w tym samym ministerstwie był zastępcą szefa Biura Prasowego, a wkrótce miał się stać postrachem polskiej dyplomacji jako główny „kadrowiec” i prawa ręka ministra Becka. Działalność w MSZ tej pary Roman Knoll nazwał wówczas „najazdem bandytów na dom wariatów”. Wreszcie członkiem Zakonu był też jeden z głównych znawców kwestii sowieckich w polskiej „dwójce”, Jerzy Niezbrzycki — z nim Giedroyc będzie współpracował przez wiele lat.

Wcześniej więc zaczęły się kontakty Jerzego Giedroycia z ludźmi „dwójki”, które po półwieczu staną się przedmiotem oskarżeń ze strony komunistycznej propagandy. Powody, dla których właśnie w ich otoczeniu zaczęła się rozwijać kariera młodego urzędnika, są dość banalne. Jak oceniał sam Giedroyc, w owym okresie oficerowie „dwójki” byli po prostu „politykami w mundurach”. Elitą intelektualną wojska, bezwzględnie oddaną Marszałkowi, który po zamachu majowym powrócił do czynnej polityki — a oni wrócili wraz z nim. Za nimi pojawiła się grupa ludzi młodych, którzy — jak pisał Drymmer — chcieli przeciwdziałać „zestarzeniu się rewolucji majowej”. „Widzieliśmy naszą «góre» zmęczoną i przedwcześnie zestarzałą, szukającą odpoczynku i spokoju. Niektórzy chcieli osiąść na laurach niedokończonej rewolucji

majowej, inni — może nieliczni, ale w zamian za to bardzo widoczni — usadowili się na intratnych posadach, bo to, jak mniemali, należało się im. «Dorskakiwacze», którzy po uzyskanym sukcesie dołączyli do zwycięskiego obozu, wnosili krzykliwy patriotyzm, (...) ostentacyjnie manifestując to i często nie rozumiejąc istotnej idei naszego obozu, wnosili ze sobą szkodliwy nacjonalizm i zacofanie społeczne, które jak chwast zaczęło się plenić w naszych szeregach, by zakwitnąć w deklaracji ideowej płk. Adama Koca, szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego». A żeby jeszcze jaśniejsze było, czemu towarzystwo tych ludzi Giedroyciowi odpowiadało, dodajmy, że wielu z nich żywo interesowało się kwestiami wschodnimi i sympatyzowało z tak zwanym ruchem prometejskim, wspierającym ambicje niepodległościowe tych państw, którym na drodze do niezależności stanęła sowiecka Rosja. Chodziło zwłaszcza o Ukrainę, ale też narody Kaukazu i Azji Środkowej — wspieranie ich aspiracji narodowych leżało w interesie Rzeczypospolitej jako środek do osłabienia, a w przyszłości spowodowania rozpadu Związku Sowieckiego.

W tym okresie Giedroyc pełnił stosunkowo niską — w porównaniu do swych kolegów z klubu czy Zakonu — funkcję. Jego praca w Biurze Prasowym polegała głównie na tym, wspominał, by dotrwać do końca kolejnych posiedzeń rządu i sporządzić po ich zakończeniu komunikaty prasowe. Wydaje się, że na skutek starań swych ustosunkowanych przyjaciół Giedroyc został do Biura jedynie oddelegowany przez PAT — w każdym razie nie dostał jeszcze wówczas rządowego etatu. W jego ankiecie personalnej z 1934 roku znajdujemy informację, że do roku 1930 był oficjalnie zatrudniony w Agencji. O Biurze Prasowym w aktach tych nie ma ani słowa, jest natomiast zapis, że do służby państwowej



Antoni Roman



Wiktor Tomir Drymmer

Jerzy Giedroyc wstąpił dopiero w 1930 roku. Tak czy inaczej urzędował wciąż w tym samym gmachu Pałacu Namiestnikowskiego. Do listy miejsc, w których regularnie bywał, doszła wówczas zapewne Oaza, gdzie wieczorami przesiadywał Zaćwilichowski w towarzystwie rozmaitych dobrze poinformowanych osób ówczesnej Warszawki, przy kieliszku zbierając jedne plotki i rozpuszczając inne. Czy w tym samym lokalu zbierał się „klub złośliwych szczeniaków”, nie wiemy.

„Poza tym byłem chłopcem na pobieguszki — opowiadał Giedroyc w *Autobiografii*... — Tak na przykład, w przeddzień końca okresu dekretów, okazało się nagle, że na dwóch dekretach brakuje podpisu Marszałka Piłsudskiego. Zaćwilichowski zadzwonił do Belwederu. Odpowiedziano mu, że Marszałek jest niewidzialny i nic nie można zrobić. Wtedy

Zaćwilichowski kazał mi wsiąść w samochód i jechać do płk. Wendy, by te podpisy uzyskać. Wenda wysłuchał mnie, oświadczył: «Marszałek czaruje» i kategorycznie odmówił wejścia do jego pokoju, by przedstawić mu dekrety do podpisu. Zatelefonowałem więc do Zaćwilichowskiego i zrobiła się straszna awantura. W końcu do Wendy zadzwonił sam Bartel, niezwykle kategorycznie. Wenda podszedł do drzwi, zapukał, przeżegnał się i wszedł. Przez otwarte drzwi zobaczyłem ciemny pokój i odbłask ognia w kominku. Zapanowała dziwna, nieoddychalna atmosfera. Jakby jakieś fluidy unosiły się w powietrzu. Miałem wrażenie, że tam rzeczywiście odbywają się czary. Samego Piłsudskiego wtedy nie widziałem, tylko kominek czy jakiś mebel. Ale ta atmosfera zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Co znaczyło: «Marszałek czaruje» — nie wiem do dziś”.

Nie wiemy, kiedy Jerzy zaczął na dobre działać w Myśli Mocarstwowej. W początkowym okresie przywódcą nie tylko nominalnym, ale i faktycznym organizacji był Rowmund Piłsudski. Pod koniec lat dwudziestych wyjechał on jednak za granicę, jak czytamy w wywiadzie, którego w 1930 roku udzielił Giedroyć konserwatywnemu wileńskiemu „Słowu” — „przez lekarzy na pewien czas wysłany do Szwajcarii”. Wtedy dopiero, jak się wydaje, Jerzy stał się jednym z głównych działaczy Myśli. Nie tylko zresztą tej jednej organizacji. W ramach Obozu Mocarstwowego działały: robotniczy Związek Pracy Mocarstwowej, którego prezesem był Roger Raczyński, a sekretarzem generalnym Rowmund Piłsudski, chłopski Związek Drużyn Ludowych Mocarstwowej Polski, paramilitarna Legia Mocarstwowa i kilka jeszcze innych. „Mocarstwowość” znaczyła tyle, co siła państwa — odrzucano przebrzmiałą koncepcję mocarstwowości jako dążenia do

poszerzania granic. Za anachroniczne uważali mocarstwowcy zarówno socjalizm, jak i nacjonalizm. Ponad narodem stawiali państwo, którego siła miała przyciągać mniejszości narodowe. Celem była bowiem „lojalna współpraca na rzecz dobra wspólnego”. W polityce zagranicznej domagali się „związania Polski z całą, oprócz Rosji, Słowiańszczyzną (...)”. Powstały w ten sposób pod egidą Polski wał słowiański należy oprzeć politycznie o sojusze z mocarstwami zachodnimi, a gospodarczo o własne kolonie”. Zasady życia społecznego opierała Myśl na etyce chrześcijańskiej i solidaryzmie społecznym.

Jak w tym wszystkim znajdował się Jerzy? Trudno powiedzieć, co on sam wówczas sądził o poszczególnych postulatach Myśli, na przykład o idei zdobycia dla Polski kolonii. Z całą jednak pewnością popierał — po swym „belwederskim” przełomie z 1926 roku — ideę wzmocnienia państwa, a nawet pewnego zmilitaryzowania społeczeństwa i nadania władzy wykonawczej charakteru autorytarnego.

Jerzy Giedroyć nie miał ambicji zostania ideologiem Myśli — od początku zajął się pracą organizacyjną. Był między innymi zastępcą sekretarza generalnego Związku Pracy Mocarstwowej. W tym charakterze stał się po raz pierwszy bohaterem literackim — miał lat dwadzieścia pięć, gdy niejaki Jeremi Kornaga sportretował go jako „księcia Giedymina” w powieści *Robotnicy*. Kornaga to pseudonim kapitana Mieczysława Piątkowskiego, który przez pewien czas zatrudniony był jako instruktor przysposobienia wojskowego „mocarstwowych” robotników. Jego książka nie jest, niestety, arcydziełem. Nie może być też traktowana jako rzetelne źródło historyczne. Autora wyrzucono ze Związku, między innymi — jak wspominał Giedroyć — za zbyt ni po- ciąg do kieliszka. Talent literacki Piątkowski odkrył w sobie,

POD ZNAKIEM ORŁA I POGONI

Wszystkie organizacje kierowane przez Związek Pracy Mocarstwowej używają chorągwy z wyhaftowanym starym, historycznym herbem państwa Polskiego, to jest czteropółową tarczę z Orłem na prawo i na lewo i w dół i krzyżującym się z Pogonią W. Ks. Litewskiego. To jest ten znak, pod którym zwyciężaliśmy, gdy byliśmy mocarstwem, znak, który powiadał ponad północnymi granicami bałtyckimi i który znają i pamiętają Dzikie Pola, aż hen po brzegi Czarnego Morza.

W ubiegłą niedzielę, w Spale na dożynkach u pierwszego gospodarza



P. Rowmund Piłsudski
sekretarz generalny związku Pracy Mocarstwowej.

Rzeczypospolitej wyróżniały się drużyny ludowe Polski mocarstwowej, organizowane przez Z. P. M. Na 12 tysięcy ogólnej liczby uczestników tego pięknego obchodu, drużyny ludowe mocarstwowej reprezentowane były w ilości półtora tysiąca ludzi, w tem było 15 sztafet, pieszych i rowerowych. Sztafetami nazywamy grupy ludzi, którzy pieszo, lub na rowerach przybyli do Spaly wprost z miejsca swego zamieszkania. Taka sztafeta liczy zwykle tylko od 7 do 15 ludzi gdyż oczywiście większość woli jechać koleją. Sztafety naszych drużyn liczyły około stu ludzi.

Co głównie mnie ucieszyło, to widok Rusinów i Białorusinów wśród tych drużyn. Zgodnie z naszą ideologią, z poglądem, że „Polska, to wielka rzecz”, że nie ogranicza się tylko do terytoriów, na których lud mówi po polsku, mocarstwowej przyprowadzili na pokłon najwyższemu przedstawicieli państwa drużyny ukraińców z powiatu Stanisławowskiego i drużynę Białorusinów z pow. Wilejskiego. Na czele tej ostatniej stał duchowny prawosławny o. Różycki.

sy hodowlane, konkuksy rolnicze, pola doświadczalne, świetlice, odczyty, pogadanki. Dn. 29 czerwca b. r. był nasz zjazd. Na zjazd ten powitał nas depeszę nadesłał Marszałek Józef Piłsudski.

Od kiedy istnieją drużyny ludowe Polski Mocarstwowej?

Dopiero od maja b. r.

— To jest, jak na taki krótki przeciąg czasu efekt pracy kolosalny.

— Ja także tak myślę.

— Przejdźmy teraz do Legii Mocarstwowej. Gdzie Panowie posiadają jej oddziały i jaki element się do niej garnie?

— Oddziały mamy w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Włocławku, Sosnowcu, i Zagłębiu Dąbrowskim, Lublinie, Kaliszu, Piotrkowie, Radomiu, Bydgoszczy, Inowrocławiu i Gdyni.

— A na ziemiach wschodnich?

— Tylko na ich pograniczu, bo w Białymstoku, mamy oddział Legii z pułk. Zukotyńskim na czele. Liczebność oddziałów jest różna. Najmniejszą to Warszawski, liczy 1410 ludzi, potem idzie Poznań i Kraków z 500 ludźmi, w Gdyni mamy 400, mniejsze ośrodki mają przeciętnie 250. Poza tem w licznych miastach i miasteczkach, których tu nie wymienię, mamy drobne grupy naszej Legii od 10 do 60 ludzi. Do Legii zgłasza się najchętniej młodzież rzemieślnicza, terminatorzy od krawców, szewców, stolarzy. Starszych od lat 20 nie przyjmujemy. Kładziemy nacisk na pracę kulturalną. W naszych świetlicach chłopcy posiadają samorząd. W ciągu obecnych wakacji mieliśmy obozy letnie w trzech miejscach: w Małej Wsi pod Warszawą, w Dzikowie, w Małopolsce i w Rogalinie pod Poznaniem. Nosili one charakter wypoczynkowy. Było tam dużo odczytów i pogadek. Chłopcy zgłaszali się na nie z wielką radością.

Co najważniejsza — powiada p. Gedrojc — to, że Legia Mocarstwowa nie korzysta z żadnych najmniejszych subwencji państwowych. Cały nasz byt opieramy na składkach, względnie zapomogach osób prywatnych.

Starsza młodzież, jakkolwiek w innej klasie społecznej, — organizuje się w „Myśli Mocarstwowej” — stowarzyszeniu akademickim. Jest to stowarzyszenie zupełnie autonomiczne, jakkolwiek związane z nami wspólnotą ideologiczną, czasami także przez pracę tych samych ludzi. Ja na przykład, — mówi p. Gedrojc, — jestem prezesem komitetu wykonawczego „Myśli Mocarstwowej”. W Warszawie, podczas ogólno-akademickich wyborów nasza organizacja zyskała 1000 głosów, a w Poznaniu poza młodzieżą endecją jesteśmy wogóle „tylko my. Drobne bowiem grupki demokratycz-

wania środowiska „Myśli Mocarstwowej” w Wiedniu, Grenoble, Nancy, Lille, w Jamblox (Belgia) gdzie jest szkoła rolnicza. Ta nasza młodzież pracuje wśród emigracji robotniczej i rolniczej i przeciwstawia się wpływom komunistów w tych sferach. Komuniści kładą wielki nacisk na pracę wśród Polaków zagranicą. We Francji spotykaliśmy nawet „Humanité” wydawaną w języku polskim.

Przejdźmy teraz do ostatniego działu naszej pracy do „Kół fabrycznych Zw. Pracy Mocarstwowej”. Organizu-



P. Jerzy Gedrojc
zastępca sekretarza generalnego związku Pracy Mocarstwowej

jemy robotników i organizujemy personel techniczny w kołach równoległych. Mamy takie koła w 15 fabrykach. Nie cieszymy się specjalną przychylnością wśród naszych przemysłowców, ponieważ namiętnie zwalczeni przez P.P.S., N.P.R. i t. d. często słyszyny od przeciętnego przemysłowca: „Ja się muszę liczyć z tą partją, która cpanowała robotników mojej fabryki”. Możeby ten stosunek do nas się zmienił, gdyby zamiast organizować robotników — organizowalibyśmy łami-strajków. Tego jednak nigdy czynić nie będziemy. Eresemus kół fabrycznych jest to Wojciech Biesiadcki.

— Jaką prasą rozporządzają panowie w swej pracy.

Dla Legii Mocarstwowej wydajemy periodyki specjalne: „Mocarstwowiec”, koła fabryczne mają swoje pismo: „Głos fabryczny”, które rozchodzi się w ogromnej ilości egzemplarzy. Dla kół ludowych wydajemy tygodnik „Zielona Gromada” — tygodnik i „Młody front ludowy”. Wreszcie Myśl Mocarstwowa ma swoje pisma, które jednak dotychczas wychodziły jako dodatek jedno przy „Dniu Polskim” w

Inspekcję obozu ludowych drużyn mocarstwowych odbył minister rolnictwa p. Janta-Polczyński. A defiladę i sztafety przyjął w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej generał Dreszer.

Po uroczystościach w Spale mieliśmy następującą rozmowę z zastępcą sekretarza generalnego związku Pracy Mocarstwowej p. Jerzym Gedrojcem. Związek będący organizacją ludzi młodych o wyrobionej ideologii, kieruje, dostarcza instruktorów i współpracuje z czterema większymi liczebno organizacjami t. j. 1) drużynami ludowymi Polski Mocarstwowej, 2) Legią Mocarstwową, 3) Kółami fabrycznymi Zw. Pr. Mocarstw. oraz wreszcie 4) Akademicką Myślą Mocarstw. Prezesem Z. P. M. jest obecny wojewoda poznański Roger hr. Raczyński, urzędującym wiceprezesem, poseł Tadeusz Morawski, generalnym sekretarzem jest inicjator powstania Związku Pracy Mocarstwowej i założyciel „Myśli Mocarstwowej” p. Rowmund Piłsudski, znany czytelnikiem „Słowa” z artykułów o nas zamieszcza nych, bardzo czynnymi w tej pracy są p.p. wilniański poseł Podolski i hr. Artur Potocki z Kreszowic. Pan Gedrojc z którym rozmawialiśmy, prócz funkcji zastępcy sekretarza, jest jeszcze prezesem komitetu wyk. Myśli Mocarstwowej i prezesem drużyn ludowych, które w danej chwili były dla nas najaktualniejsze. To też zaczęliśmy naszą rozmowę od drużyn:

Staramy się przedewszystkiem objąć naszą pracę terenami najbardziej zagrożone. To też mamy nasze oddziały na Śląsku, mamy na Pomorzu. Na Śląsku pracujemy w powiatach Świętochłowickim i Tarnowskich Górach. W województwie poznańskim mamy wszystkich 5 tysięcy członków zorganizowanych w 164 oddziałach. Również w województwie łwowskim posiadamy naszą organizację we wszystkich powiatach. Nie znaczy to, abyśmy nie pracowali w centrum Polski. Dochodzimy tu nawet do świetnych godziniegdzie rezultatów. Tak np. w okręgu spalskim poza drobną grupką „Wyzwolenia” nasze drużyny są jedyną organizacją włościańską. W innych województwach mamy także mniejsze, lub większe nasze oddziały.

— Co stanowi treść pracy drużyn ludowych?

— Szerzymy ideologię wspólnego frontu rolniczego. W naszych drużynach pracują razem włościanie z ziemianami. Wzorem pod tym względem jest p. Jerzy Turno z Odolanowa w Poznańskim. Organizujemy konkur-

ne są w stanie całkowitej likwidacji jakichkolwiek wpływów. W Poznaniu więc na walnym zebraniu Bratniej Pomocy zostaliśmy coprawda przez endeków zwyciężeni, lecz większością minimalną, bo 36 głosów.

„Myśl Mocarstwowa” posiada też swoje ekspozytury zagranicą i prowadzi tam bardzo pożyteczną robotę. Pan Rowmund Piłsudski, przez lekarzy na pewien czas wysłany do Szwajcarii, gdzie i wiarą jej kierowników bezwzględnie wykorzystał ten okres dla zorganizowania

Warszawie, drugie przy „Dzienniku Poznańskim”. Z nastaniem obecnego roku akademickiego pisma te usamodzieliły się.

Na tem skończyliśmy rozmowę z p. Gedrojcem. Jak widzimy ideologia mocarstwa Polski zyskała sobie poważną podporę w Związku Pracy Mocarstwowej prowadzącym tak liczne prace na tyłu terenach a przed energicznymi czasami wysłany do Szwajcarii, gdzie i wiarą jej kierowników bezwzględnie wykorzystał ten okres dla zorganizowania

Skł.

Skutki niebywałej ulewy

WODA ZAŁAŁA OGRODY NA UL. SENATORSKIEJ WDZIERAJĄC SIĘ DO MIESZKAŃ.

W niedzielę przed północą strumienie wody spływające od strony wysoko położonej ulicy Borowej, poczęły zalewać tereny położone w pobliżu posesji Nr. 21 przy ulicy Senatorskiej wdzierając się do mieszkań p. Czerniawskiego, kierowcy samochodowego i p. Narutnic, pracowniczki szpitala wojskowego, grożąc jednocześnie innym polskim posesjom.

W chwili katastrofy układano się do snu, więc niebezpieczeństwo powodzi spotęgowane jeszcze tem, że nastąpiło to nocą, wywołało zrozumiałą panikę.

Na gwałt poczęto wynosić z zalanych mieszkań ruchomości i czynić próby, wstrzymać powódź.

Zaalarmowano również straż ogniową, która nie mogła jednak nie pomóc bowiem okazało się, że woda niema nigdzie ujścia z powodu zasypania rowu odwadniającego, Świdoba, co spowodowało, że uległ on ciężkiemu porażeniu.

niczyć się do wypompowywania wody, co trwało całą noc aż do czasu, gdy deszcz cokolwiek się zmniejszył i woda opadła.

Na miejsce powodzi przybył komisja miejska, która orzeknie, czy zasypanie przez p. Radwiłowicza, właściciela posesji, rów, faktycznie jest niezgodne i czy nie można w inny sposób zabezpieczyć posesję od niebezpieczeństwa zalania, co może zawsze się zdarzyć w okresie długotrwałych deszczów lub roztopów wiosennych.

W czasie ulewy, która przeszła tej nocy nad miastem i okolicą spadło kilka piorunów. Jeden z piorunów uderzył w skład z drze wien przy szpitalu zakaznym na ulicy Grodzkiej 10 (Zwierzyńcy) wzniesając pożar. Zerwane przez wicher przewody elektryczne szpitala usiłował usunąć robotnik Jan Świdoba, co spowodowało, że uległ on ciężkiemu porażeniu.

Niszczycielski huragan nad gminą grauzyską

W nocy z 23 na 24 bm. nad gminą grauzyską w powiecie oszmiańskim przeszedł niezwykle sily huragan, który wyrządził bardzo znaczne szkody.

Szalejąca wichura zniszczyła całkowicie część wsi Kozarewo, gdzie zburzeniu uległo kilkadziesiąt budynków należących do 10 gospodarstw chłopskich, znosząc domy mieszkalne, rujnując stodoły, spichrze i inwentarz rolny. Normalna komunikacja z miejscowościami nawiedzionymi huraganem, uległa przerwaniu. Nadchodzą wieści, że są ofiary w ludziach. Straty są bardzo duże.

Na tropie tajemniczej zbrodni

TRUPA MĘCZYZNY WYKOPANO KOŁO KOSZAR SNIPIKICH.

Wczoraj rano robotnicy pracujący na robotach ziemnych w pobliżu koszar 1 ppleg. na Snipiskach dokonali strasznego odkrycia.

Mianowicie przy kopaniu dołów natrafiono na zwłoki jakiegoś mężczyzny, będące już w stanie rozkładu, a więc niemożliwe do rozpoznania i znajdujące się w ziemi od 2 — 3 lat.

Powiadomiono o tem władze policyjne i żandarmerję, które usiłują rozwiązać zagadkę śmierci nieznanego mężczyzny.

Zarządzone natychmiastowe oględziny miejsca gdzie zwłoki wykopano stwierdziły, że trup był ułożony w pozycji siedzącej. Znalezione przy tem szczątki kocu wojskowego, co nasuwa przypuszczenie, że zamordowanym (bo okoliczności tylko na to wskazują) był żołnierzem.

Artykuł Pod znakiem Orła i Pogoni z wywiadem z Jerzym Gedrojcem ze „Słowa” z 26 sierpnia 1930.

jak się wydaje, jedynie w związku z poczuciem wyrządzonej mu krzywdy. Wiele jednak opisywanych przezeń okoliczności — jak na przykład zajęcia przysposobienia wojskowego robotników, odbywające się w tak zwanych koszarach Blocha pod wiaduktem mostu Poniatowskiego — zgodnych jest z prawdą. Nawet w ośmieszanym w powieści monarchizmie mocarstwowców jest ziarno prawdy — słabiutkie organizacje rojalistyczne były w owym czasie finansowane z tej samej co Myśl kieszeni Janusza Radziwiłła. Pamiętając o rozliczeniowym charakterze książki, warto się mimo wszystko przyjrzeć mocarstwowcom oczyma Jeremiego Kornagi.

Choć tabliczka na drzwiach siedziby organizacji głosi: Związek Wielkiej Polski Mocarstwowej, to ostatnie słowo napisane jest drobnymi literkami i wielu bohaterów Kornagi odczytuje je jako — Monarchistycznej. Bo też i ogólnie wiadome jest, że w organizacji tej działają monarchiści. Patronat nad nią sprawują politycy konserwatywni z hrabiowskimi tytułami, a jej przywódcą jest Romuald Jagiełło, wysuwany przez Związek do polskiego tronu. Jagiełło przebywa jednak za granicą, wysłany tam przez seniorat organizacji dla zażegnania konfliktu między nim a jego zastępcą, który obecnie gra w organizacji pierwsze skrzypce. Jest nim Giedymin — młody człowiek, tytułowany księciem, a przez robotników „panem książęciem”. „Słodki amant filmowy, ze smutnymi, czarującymi oczami” mówi z fałszywym litewskim akcentem, tracąc go w chwilach wzburzenia. Owe „czarujące oczy” pojawiają się w powieści za każdym niemal razem, gdy mowa o Giedyminie — dzięki nim między innymi zdobywa serca kandydatek do związku, które „zanoszą zgodne modły przed boskie oblicze filmowego amanta”. Twardą ręką trzyma Giedymin

organizacyjną kasę i „ze zgorszeniem” patrzy na wydatki, takie jak na przykład organizacja bankietu, podczas którego „grymaśnym skurczem skrzywionych ust” ledwo dotyka kieliszka. Stara się podporządkować sobie całość organizacji, ale idzie mu to niesporo — zwłaszcza trudna okazuje się dlań kwestia „dołów”, czyli robotników, w większości pozostających bez pracy. Dla nich Związek to w gruncie rzeczy jedynie szansa na zdobycie hrabiowskiej protekcji, wyproszenie posady u jakiegoś „mocarstwowego” przemysłowca. Działalność organizacji jest całkowitą fikcją, a jedynym realnym problemem — bezrobocie i zdesperowanie robotników, których mocarstwowcy-monarchiści mają bajkami o rychłym powrocie imperium Jagiellonów. Prezesi, hrabiowie i posłowie mają dla nich za każdym razem wiele obietnic — a obietnice te są przekleństwem Giedymina, od którego członkowie Związku wymagają ich realizacji. Młody „książę” notuje za każdym razem ich prośby, wypytuje szczegółowo o sytuację materialną, zapewnia, że już wkrótce, że na pewno... Później jednak zawsze zachowuje się tak samo jak wtedy, kiedy prosili go o pieniądze — „chmurzył się, zwlekał, obiecywał, odkładał, marudził. Nigdy nie można było dowiedzieć się, jak myśli to ostatecznie załatwić”.

Choć książka Kornagi była zemstą autora na mocarstwowcach, trafnie zdiagnozował on przyczyny niepowodzenia ruchu wśród robotników. Po latach przyznał to sam Giedroyć, który w rozmowie z Barbarą Toruńczyk wspominał: „Wtedy zetknąłem się właśnie z problemem bezrobocia. Bo to wszystko było bardzo dobre, tyle że trzeba było znaleźć dla tych ludzi pracę. A to przekraczało moje możliwości. Tak że to w sumie było bardzo nieudane, nawet, powiedziałbym, trochę dziecinne. Ale dało mi pewne doświadczenie”.

Związek Pracy Mocarstwowej



Obywatele Robotnicy!

W dniu 11 listopada 1918 roku ukochany Wódz nasz JÓZEF PIŁSUDSK skruszył okowy, które Naród Polski przez lat 125 dźwigał.

Obywatele Robotnicy!

10 lat upłynęło od tej wielkiej chwili, 10 lat pełnych pracy, wysiłków i zmagañ.

W walce o utwierdzenie swego bytu niepodległego wszystkie warstwy Narodu Polskiego składały ofiarnie swą krew i życie. A gdy wreszcie traktaty pokojowe ustaliły ostatecznie nasze granice wszystkim się zdawać zaczęło, że cała robota już dokonana i że Polakom żadna inna troska nie pozostała jak tylko troska i zabiegi prywatnego życia rodzinnego.

Nieprawda!

Odzyskaną Polskę musimy zagospodarować.

Państwo Polskie musi stać się jaknajprędzej Mocarstwem, z którego każdy noszący imię Polaka mógłby być dumny.

Jak do niedawna okopy i zasieki — tak dziś każdy zagon i warsztat jest polem bitwy o wielkość kraju — tak każdy robotnik jest żołnierzem walczącym o je przyszłość.

Obywatele Robotnicy!

Wielki to honor a zarazem wielka odpowiedzialność stawiać dziś fundamenty szczęścia przyszłych pokoleń.

Wokół nas czai się głupota i zdrada.

Głupcy i zdrajcy chcieliby tę wielką wspólną robotę zepsuć i chcieliby odzyskaną Ojczyznę rozkraść lub zaprzepaścić w nieróbstwie.

Bądźcie silni!

Dajcie należyłą odprawę tym wszystkim, którzy niegodni są nosić imię Polaka. Pamiętajcie wielkie słowa naszego ukochanego Wodza Marszałka Józefa Piłsudskiego:

„Idą czasy których znamię jest wyścig pracy, jak przedtem był wyścig krwi, jak przedtem był wyścig żelaza.

Niech żyje Polska!

Niech żyje Marszałek Józef Piłsudski!

Niech żyje praca!

Niech żyje solidaryzm!

Warszawa, listopad 1928 r.

Zarząd Koła Robotniczego.

Wogóle należy podkreślić szybki rozwój Koła, które tak organizacją swoją, jak i ideologią, zjednuje sobie coraz szersze grupy zwolenników wśród rzeszy robotniczych. Zebrania mającej zaufania odbywają się bardzo często i coraz więcej jednoczą członków, rozproszonych po całej stolicy i jej okolicznych fabrykach. Na jednym z najbliższych zebrań, organizowanych dla wszystkich członków Koła /a mianowicie 28 b.m./ wygłosi odczyt p.t. „Obecna sytuacja polityczna” wiceprezes Komitetu Sejskiego Z.P.M. poseł Bohdan Podolski.

O ruchu robotniczym w Warszawie wiadomości obszernie przyniesie następnym biuletyn.

Sekretarz Generalny

W/z

Józef W. Giedroyc

Ostatnia karta „Biuletynu nr 5” Sekretariatu Generalnego Związku Pracy Mocarstwowej z 20 lipca 1928.

O ambicjach, jakie mieli jego przywódcy, świadczy mnogość czasopism wydawanych przez obóz mocarstwowy. Myśl Mocarstwowa wydawała pismo o tytule tożsamym z nazwą organizacji, ale też wiele innych. Najważniejsza była „Kronika Akademicka”, przekształcona później w „Dzień Akademicki”. Był to dodatek do „Dnia Polskiego”, wychodzącego w Warszawie dziennika środowisk konserwatywnych. Również w pozostałych pismach zachowawców zamieszczano dodatki przeznaczone dla środowiska studenckiego Myśli — przy „Dzienniku Poznańskim” ukazywały się na przykład „Wia-

Odezwa Związku Pracy Mocarstwowej do robotników z 11 listopada 1928.

domości Akademickie”. Organizacje skierowane do innych niż akademickie środowisk wydawały swoje pisma, jak „Głos Fabryczny” Związku Pracy Mocarstwowej czy „Zielona Gromada” Drużyn Ludowych. Nakład i poziom tych pism nie były znaczące. W jakim stopniu był z nimi związany Giedroyc, trudno powiedzieć — jedynie za „Zieloną Gromadę” odpowiadał zapewne osobiście, jako przywódca „mocarstwowych rolników”. Informacja, że pełni funkcję prezesa tej organizacji, widniała w stopce redakcyjnej czasopisma, którego redaktorem odpowiedzialnym był Jerzy Żłobnicki.

Motorem działania Drużyn miał być Henryk Dzendzel — były sekretarz Witosy i przywódca młodzieżówki ludowców, który „pokłócił się ze wszystkimi swoimi kolegami z PSL”. Może właśnie owa konfliktowość sprawiła, że w 1930 roku przywództwo ruchu „mocarstwowych rolników” powierzono nie jemu, ale Giedroycowi?

Jerzy Giedroyc nie chwalił się później pismem, które wydawał jako szef Drużyn. Może zresztą rzeczywiście, pochłonięty swoimi sprawami, nie zwracał specjalnie uwagi na pracę redaktora Żłobnickiego? W każdym razie lektura pisma może dziś wywołać co najwyżej uśmiech politowania. „Zielona Gromada” — jakby zaprzeczając całej późniejszej działalności Giedroycia — była dość kiepskim biuletynem partyjnym, chwilami wręcz bełkotliwym, pełnym za to wielkich słów i naiwnej propagandy państwowotwórczej. Pod umieszczonym w winiecie pisma hasłem „Przez silną wieś — do silnej Polski Mocarstwowej” drukowano relacje z działalności organizacji. Usiłowano też nadać pozory „rolniczej” autentyczności działaniom Drużyn, choć porady, „jak karmić króliki zimą”, kierowane do rolników przez redakcję z ulicy Senatorskiej, nie były chyba wiarygodne. Podobnie

Artykuł Jerzego Giedroycia,
w „Zielonej Gromadzie” z 1931 roku.

Każdy oddział musi mieć strzelnicę

Każdy mocarstwowiec władą karabinem

W 20-ym roku w porywie bohaterskiego patriotyzmu szła młodzież miejska i wiejska do armji, bronić granic Rzeczyplitej przed niebezpieczeństwem rosyjskiem. I bezsprzecznie ten odruch społeczeństwa wpłynął na osiągnięcie zwycięstwa. Lecz jakimi kosztami? Chłopcy nie wyszkoleni, nieznający służby wojskowej często w okopach uczący się dopiero obchodzić z karabinem byli dziesiątkowani w spotkaniu z wyszkolonym nieprzyjacielem. Pułki ochotnicze dzięki temu przedstawiały niezmiernie małą wartość bojową. Z tego naszego doświadczenia musimy wyciągnąć wnioski na przyszłość. Powie ktoś że poci teraz gdy mamy własne wojsko, przymusową służbę wojskową i t. d.

Niemna nic nie straszniejszego. Działająca wojna jest walką nie wojsk regularnych lecz całych narodów. Czas służby wojskowej wobec ogromnego postępu techniki wojskowej nie wystarczy by przygotować wystarczające rezerwy. Jest koniecznym by element przedpoborowy był również obeznany z bronią. W tym celu prowadzi się przysposobienie wojskowe. Wyszczolenie wojskowe młodzieży zagranicą postawione jest niezmiernie wysoko. Specjalnie u naszych sąsiadów: w Rosji i Niemczech.

Cały kraj pokryty jest siecią organizacji sportowych i wojskowych które są tak potężne iż prowadzą we własnym zakresie całe manewry i ćwiczenia. Są to organizacje liczące po parę milionów członków. To samo a nawet w większym stopniu jest w sowietach. A u nas? U nas niestety praca w tym kierunku jest niezmiernie mała. Dlaczego? Bo organizatorem tego jest wyłącznie wojsko i czynniki rządowe. Społeczeństwo którego to przedewszystkiem jest obowiązkiem nie daje z siebie nic lub niewiele. O ile jeszcze w miastach młodzież coraz chętniej i gromadniej garnie się do szeregów p. w. to wieś niestety w swej większości pozostaje bierna. Ten stan rzeczy musi ulec zmianie. Jest to naszym obowiązkiem — nas mocarstwowców. Hasłem na rok obecny winno być: każdy oddział musi mieć swą strzelnicę, karabinek, każdy mocarstwowiec musi umieć strzelać. Jesteśmy organizacją żyjącą z własnych funduszy. Nie mamy pomocy z nikąd. Lecz to jest zupełnie możliwe do zrealizowania własnymi siłami. Zbudowanie strzelnicy nie wymaga żadnych kosztów poza pracą. Kupienie karabinku też nie jest niemożliwością, przy dobrych chęciach każdy

oddział się zdobyć na to nie może Centrala w miarę sił będzie szła z pomocą. Do czynu więc. Czas nagli. Musimy pamiętać że nad horyzontem naszego państwa zbierają się chmury. Nasi wrogowie w nieprzytomnym szale nienawiści ciągle grożą nam odebraniem ziem rdzennie polskich grozi nam wojna.

Jeżeli to nastąpi musi nas zastać przygotowanymi. Sam tylko patriotyzm nie pomoże jak się o broni nie ma pojęcia. Drużyny mocarstwowe muszą wychować nowy typ polskiego rolnika: rolnika — patryotę, rolnika — żołnierza.

J. Giedroyc



Palmy w słońcu na Maderze

Kosynierzy

Zagrzeńmy spieże, ryknęły działa:
— Bój krawawy na śmierć lub życie!
Tutaj Tormasow — Wielkiej Rosji Chwała,
A tu Kościuszkol — słyszycie?
Słyszycie wrzaski i szczęk oręża
I srogiej bitwy odgłosy!
Wyją armaty, mąż zabija męży
...I błąszczą się w słońcu kosy!
To kosynierzy, krakowskiej chłopi,
Maćki i Bartki, tegie wszystko chwaty,
Idą lawiną; chociaż Moskal kropi,
Lecz na ruskie armaty!

Już, już dopadli, zalogę wycieli
I dalej, dalej!... W opętanych szale
Dwanaście armat moskiewskich wzięli.
— Pierzcha Tormasow; pierzchają Moskale
I pole bitwy przy nas zostało,
I radość wielka wśród naszych się szerzy.
I wbił się okrzyk: „Tys okrył nas chwałą.
Wiwat Kościuszkol! Wiwat Kosynierzy!”

Edmund Krasowski

Nasz Sportowy Program NA WIOSNĘ 1931 ROKU

MASOWE BIEGI NA PRZELAJ DRUŻYNY ROWIEROWE GRY RUCHOME ZABAWY MARSZE I STRZELCTWO.



Wycinki haseł drukowanych w „Zielonej Gromadzie”.

zresztą jak dożynki w Spale, które Giedroyc krytykował jako „zupełnie humorystyczne, z uwagi na poprzebieranych za chłopów nauczycieli, którzy tańczyli przed prezydentem”, a na których sam przecież bywał.

„Interesowałem się nie tylko czystą polityką. Uprawiałem również stale jakąś działalność społeczną”, opowiadał Redaktor w *Autobiografii...* i jako przykład podawał swe zainteresowanie problemami rybaków. Ale trudno nie dostrzec i tu tła politycznego — Kaszubi, którym chciał pomagać, propagując spożywanie ryb, również byli dlań „celem” działalności mocarstwowej. Szybko założył Drużyny Morskie, a problematyka rybacka pojawiła się w „Zielonej Gromadzie”. Wtedy też Giedroyc powołał kolejne efemeryczne pismo mocarstwowców — „Wiadomości Rybackie”.



„Grupa pomorska na dożynkach w Spale z kol. Giedroycem, por. Grochowskim, Wolskim i Dziedzicem w pośrodku” — zdjęcie z „Zielonej Gromady” z 28 sierpnia 1930.

Zarówno próby zaangażowania w działalność mocarstwową robotników, jak „rolnicza” i „morska” aktywność Myśli nie przynosiły większych efektów. Na tym zresztą tle doszło w 1930 roku do konfliktu w gronie konserwatystów wspierających organizację. Książe Janusz Radziwiłł — uważający próby poszukiwania szerszej bazy społecznej za całkowicie zbędne — zrezygnował z protektoratu nad Myślą. Nadzór nad organizacją objął Roger Raczyński, od roku wojewoda poznański.

Mimo zakończenia studiów na prawie i fikcyjnego charakteru następnych, podjętych na Wydziale Humanistycznym, środowisko akademickie pozostawało Jerzemu najbliższe. Podejmowane przezeń — od grudnia 1929 roku już jako prezesa Komitetu Wykonawczego Myśli — próby wzmocnienia

ZIELONA GROMADA

Organ dwutygodniowy Związku Drużyn Ludowych
Mocarstwowej Polski

Nr. 13—14

Warszawa, dnia 7 czerwca 1931 roku.

Rok II

Przez młodą wieś — do silnej Polski
Mocarstwowej

Młodzi przez młodych
dla młodych

Drużyniacy morscy w hołdzie Panu Prezydentowi

Szybko rozwijający się nasz ruch na wybrzeżu polskim, intensywność pracy, która skupia dziś w naszych szeregach liczne rzesze rybaków — są znamienym wyrazem celowości i słuszności naszego programu i naczelnego hasła — Wszystko dla Państwa*.

O morzu polskim, wybrzeżu, flocie, portach, Pomorza mówi już dziś nie tylko cała Polska bez wyjątku — lecz również cały świat.

Tępa zajadłość niemiecka, bezgraniczna wściekłość pomaga częściej w tym, że nas... rozruszali. Wszyscy czujemy się dumni i szczęśliwi z Gdyni, każdego nowego statku, każdego nowego wyzynu nad morzem i na morzu.

Lecz najbardziej oddani i czuli na to wszystko są odwieczni strażnicy bursztynowych brzegów — rybacy polscy.

I gdy tylko dowiedzieli się, że ze względu na ciężkie położenie gospodarcze ma być budowa portu rybackiego pod Wielką Wsią nad otwartym morzem zaniechana, skupili się i postanowili jechać do stolicy, aby uzasadnić — jak wielką stratą

będzie nie tylko dla nich, do tej pory życie nawet oddających z powodu braku schroniska na otwartym morzu, ale i dla całej Polski — gdy budowa zostanie zaniechana.

Przybyli do Warszawy, odświętnie ubrani, z darem — symbolem ich pracy i pracy polskiego morza, pięknym okazem bursztynu wyłowionym pod wsią Bór, na Bałtyku.

Delegacja składała się z naszych kolegów ANDRZEJA KONKOLA (Jastarnia), LUDWIKI JETKE (Chłapowo), JAKOBA MYŚLISZA (Wielka Wieś), JANA BYSTRAMA (Swarzewo), MICHAŁA GOLL- (Chłapów) pod kierownictwem kie-

rownika okręgu morskiego drużyn kol. W. BIELEJEWSKIEGO.

Zostali przyjęci na Zamku Królewskim w Warszawie przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej włącznie z kol. Prezesem J. GIEDROYCIEM na czele. Imieniem delegacji przemówił kol. BYSTRAM nawiązując do niedawnej rocznicy powstania górnośląskiego i ślubując imieniem ludności wybrzeża, że nadal wiernie i ofiarnie trzymać będą straż nad polskim Bałtykiem, swą pracą pomnażając dobrobyt wszystkich obywateli Rzeczypospolitej. Na zakończenie wręczył kol. BYSTRAM Panu Prezydentowi, piękny kawał bursztynu ważący przeszło 1 kg., jako dar rybaków polskich oraz memoriał podpisany przez wszystkie oddziały drużyn, towarzystwa rybackiego, Koła Ligi Morskiej i Kolonialnej, soltysów oraz inne organizacje.

W memoriale proszą rybaków o budowę portu nad otwartym morzem, ukończenie budowy hali rybnej w Gdyni, organizację zbytu produkcji zbytu ryb morskich, wprowadzenie



Nasza delegacja okręgu morskiego u Pana Prezydenta na zamku w Warszawie



„Nasza delegacja okręgu morskiego u Pana Prezydenta na Zamku w Warszawie” — Jerzy Giedroyc obok prezydenta Ignacego Mościckiego.

ruchu mocarstwowego wśród studentów nie przynosiły jednak pożądaných efektów. Jako sukces przedstawiał Giedroyc w 1930 roku ostatnie wybory delegatów na zjazd ogólnoakademicki. „W Warszawie — mówił — nasza organizacja zyskała 1000 głosów, a w Poznaniu poza młodzieżą endecą jesteśmy w ogóle tylko my”. Liczby bezwzględne jednak wyraźnie pokazują, jakim poparciem cieszyły się poszczególne organizacje. W Warszawie na listę Myśli Mocarstwowej oddano 933 głosy, gdy młodzi endecy zyskali 4958, a katolickie Odrodzenie 785. Przedstawiciele Myśli chwalili się sukcesem, utrzymując jednocześnie, że zaszkodził im bojkot wyborów ogłoszony przez prorządowy, lewicowy Związek Polskiej

Pierwsza strona „Zielonej Gromady”
z 7 czerwca 1931.



Młodzieży Demokratycznej, ZPMD. Narodowcy — przeciwnie — dowodzili, że tylko dzięki temu Myśl zyskała głosy dotychczasowych wyborców innych ugrupowań. Potwierdziły to zresztą pół roku później wyniki wyborów do Bratniaka Uniwersytetu Warszawskiego, w których wzięli już udział zarówno socjaliści, jak i młodzież demokratyczna — wówczas Myśl uzyskała raptem 40 głosów, przy 632 oddanych na listę narodową, 118 na socjalistów i 168 na ZPMD. Mimo to Giedroyc jeszcze wiele lat później uważał wybory delegatów na zjazd za sukces Myśli. Jego zdaniem osiągnięto go dzięki współpracy z Odrodzeniem, choć trudno dziś powiedzieć, w jakim stopniu rzeczywiście była ona bliska — wbrew temu, co sam wspominał, obie organizacje wystawiły wówczas własne, odrębne listy. Zdarzała się natomiast lokalna współpraca między nimi — między innymi w tych właśnie wyborach w 1929 roku połączyły swe siły, wystawiając wspólną listę w Krakowie.

Jawne opowiedzenie się po stronie obozu rządzącego i zaangażowanie w działalność Myśli Mocarstwowej — z jej piłsudczykowskim spojrzeniem na kwestię mniejszości narodowych — było nie do pogodzenia z członkostwem w ruchu korporanckim, w którym narastały nastroje endeckie. „Gdy przyjęto deklarację ideową Młodzieży Wszechpolskiej, próbowałem spowodować rozłam, mobilizując stare korporacje, jak «Polonia», «Arkonia», «Jagiellonia», do zwalczania wpływów endeckich, bez większego powodzenia — tak wspominał to Giedroyc między innymi w *Autobiografii*... — A gdy moja korporacja też przyjęła jako swoją tę deklarację, doszło do kryzysu i wystąpiłem”. Kiedy do tego doszło?

Już w 1930 roku dyskutowano — między innymi na łamach „Dnia Akademickiego” — do jakiego stopnia moż-

II

**DELEGACI MYŚLI
MOCARSTWOWEJ NA ZJAZD**

ze środowiska warszawskiego

W wyborach na Zjazd Ogólno-Akademicki lista Nr 3 w Warszawie zyskała 933 głosy, zyskując 6 mandatów.

Delegatami na Zjazd zostali:

- 1) Jerzy Władysław Giedroyc, Uniw. Warsz.
- 2) Jerzy Żłobnicki, Szk. Nauk Polít.
- 3) Zygmunt Konderski, Uniw. Warszawski.
- 4) Kazimierz Malinowski, S. G. G. W.
- 5) Jerzy Plotowski, Uniw. Warszawski.
- 6) Janusz Malinowski, Uniw. Warszawski.

NIEDOSZŁE ZEBRANIE

Dnia 4 b. m. miało odbyć się w Towarzystwie Higienicznym zebranie informacyjne Myśli Mocarstwowej dla tych wszystkich, którzy w czasie ostatnich wyborów głosowali na listę Nr. 3.

Ku zdumieniu wszystkich w ostatniej chwili zebranie zostało odwołane przez władze administracyjne ze względu na okólnik Komisarjatu Rządu, zabraniający urządzania zebrań akademickich poza terenem wyższych uczelni.

Licznie zebrani przed Towarzystwem Higienicznym akademicy w liczbie około 200-u, musieli rozjechać się do domów po krótkim przemówieniu kolegi J. Giedroycia i Z. Konderskiego.

Fragment artykułu
z „Dnia Akademickiego”
z 11 grudnia 1929.

liwe jest pogodzenie światopoglądu mocarstwowego z członkostwem w korporacji. „Jeśli weźmiemy ideologię Myśli Mocarstwowej — analizował wówczas prezes Związku Polskich Korporacji Akademickich Mieczysław Pączkowski — to rzuca się w oczy zgodność obu ideologii w punkcie mówiącym o mocarstwowości, gdzie mamy nie tylko identyczną treść, ale

prawie i formę. Natomiast jest jedna sprzeczność w kwestii stosunku do mniejszości narodowych. Korporacje stoją na stanowisku państwa narodowego, co należy rozumieć jako przyznanie praw politycznych tylko Polakom. Nie jest różniony stosunek do poszczególnych mniejszości, które traktuje się jako całość. Stosunek do mniejszości narodowych jest stosunkiem czysto nacjonalistycznym. Myśl Mocarstwowa przeciwstawia się nacjonalizmowi”. W imieniu Myśli odpowiadał mu wówczas Ludomir Sobolewski, który podkreślał, że poglądy Pączkowskiego na temat praw politycznych są niezgodne z konstytucją. Jednocześnie stwierdzał, że Myśl

za „bezwzględnie szkodliwe” uważa mniejszość żydowską i niemiecką i dążyć będzie do ich usunięcia z Polski, jednak nie na drodze „bezwzględnego i krwawego nacjonalizmu”, ale „pokojowych ekonomicznych i kulturalnych wpływów”. Tego rodzaju dyskusje trwały i — choć już w 1931 roku za „niewzruszalny dogmat” ZPKA uważano ideologię narodową — mocarstwowcy byli w korporacjach tolerowani.

Sytuacja zmieniła się w czerwcu 1933 roku, kiedy Związek przyjął uchwałę zakazującą korporantom członkostwa w organizacjach sanacyjnych — między innymi w Myśli Mocarstwowej. Przedstawiciele dwunastu konwentów — w tym kilku najstarszych i najbardziej się liczących — na znak sprzeciwu opuścili wówczas zjazd i na kilka lat doszło do rozłamu w ruchu korporacyjnym. „Nieudana” próba rozłamu, o której mówił Giedroyc, musiała zatem być podjęta wcześniej. Wiadomo, że już w 1930 roku pierwsza z sanacyjnych korporacji — Carpathia — opuściła ZPKA i w 1932 roku utworzyła konkurencyjną wobec niego Federację Polskich Korporacji Akademickich. Ale Jerzy Giedroyc swe nieudane próby ideologicznego przewrotu w ruchu korporanckim podjął jeszcze wcześniej. Świadczy o tym nie tylko wzmianka w książce Kornagi — napisanej w 1931 roku — o „usuniętym z korporacji Giedyminie”. Najdobitniej dowodzą tego kolejne „Biuletyny” Warszawskiego Koła Międzykorporacyjnego z lat 1927–1931, zawierające listy członków wszystkich stołecznych korporacji. Wśród barwiarzy Patrii znajdujemy Giedroycia — z podanym adresem i numerem telefonu domowego (410–91) — w latach 1927–1928 i 1928–1929. „Biuletyny” publikowane były po zakończeniu danego roku akademickiego. W „Biuletynie” wydanym w czerwcu 1930 roku jego nazwisko już nie figuruje — najwidoczniej więc przestał być

członkiem Patrii między październikiem 1929 a czerwcem 1930 roku.

Jak dokładnie wyglądały okoliczności odejścia Giedroycia z korporacji, też nie wiemy. „Było to ładnie opisane przez Janusza Rabskiego w powieści *Alma Mater*”, przypominał później w liście do jednego z przyjaciół. Rzeczywiście, książkę Rabskiego — to już drugi autor, który dwudziestokilkuletniego wówczas Jerzego postanowił uczynić bohaterem literackim — czyta się o wiele łatwiej niż *Robotników* Kornagi. Ale niezależnie od talentów autora ważniejsze jest dla nas to, że Rabski podaje inną niż sam Giedroyc wersję wypadków, inną ich kolejność. To nie Guduł — pod takim nazwiskiem występuje Jerzy w *Alma Mater* — stara się nie dopuścić do przyjęcia przez Gdynię (powieściowa Patria) ideologii narodowców, ale odwrotnie, wstępuje do korporacji jednolicie endeckiej, by propagować w niej idee monarchistyczne. Całość podłana jest sosem spiskowej teorii dziejów — monarchistyczna organizacja Guduła, Korona, jest jedynie narzędziem w ręku tak zwanych życzliwych braci, czyli masonerii, dążącej do osłabienia narodu i najwartościowszej w nim grupy, wszechpolskich akademików-korporantów. Guduł zostaje zdemaskowany przez prezesa Bratniaka, Andrzeja Zaruckiego, który na zebraniu korporacji grzmi: „W ulotce stowarzyszenia «Korona» jest ogłoszone hasło: federacyjna rzeczpospolita królewska. Nas w tym hasle interesuje jedno słowo: federacyjna. Oznacza ona nie Polskę Narodu Polskiego, lecz Polskę narodowości, nie państwo, które ma służyć jako narzędzie dla potęgi jednego Narodu-gospodarza, lecz państwo narodowościowe”. Ten wstrząsający argument przekonuje członków Gdyni, którzy jednogłośnie przyjmują uchwałę zabraniającą członkom korporacji przynależności do Korony. Guduł wraz

z drugim monarchistą zgłaszają wystąpienie z korporacji. Zdejmują z głów dekle i złożywszy je na stole prezydialnym, wychodzą.

Młodzieńcza aktywność polityczna Jerzego Giedroycia nie przyniosła specjalnych sukcesów ani jemu, ani organizacjom, w których działał. Nie zmieniła kraju — ale zmieniła jego. W ciągu kilku lat z nastolatka o niesprecyzowanych humanistycznych zainteresowaniach stał się zwierzęciem politycznym. Z wychowanego w endeckim gimnazjum legalisty przemienił się w zaprzysięgłego piłsudczyka, który niedługo wścieknie się, widząc w klapie marynarki swojego młodszego brata mieczyk Chrobrego, odznakę Młodzieży Wszepolskiej. Dorabiający sobie wypisywaniem ogłoszeń student wyrósł na znanego w politycznym światku „młodego, dobrze się zapowiadającego człowieka”.

Podsumowując ów okres działalności środowiska, z którym u progu dojrzałości związał się Giedroyc, spójrzmy, jak opisywał go kilka lat później publicysta żydowskiego „Naszego Przeglądu” Bernard Singer w felietonie *Obywatele Księcia Dynasów*: „Na prawem skrzydle znajduje się legia mocarstwowa, wychowankowie dawnej narodowej demokracji, dzieci ziemian, zwolennicy monarchistycznej władzy, połączonej z jakimś nieokreślonym liberalizmem wobec mniejszości narodowych. Zresztą trudno się zorientować w bagażu ideologicznym tej grupy. Panicze buntują się, czegoś nie chcą, ale nie wiedzą jeszcze dokładnie, czego chcą.

Pismo drukuje się w drukarni organu konserwatystów polskich «Dzień Polski». Popierał legię były minister rolnictwa, pan senator Janta-Połczyński, udzielił mu swej wysokiej protekcji książę Janusz Radziwiłł. Organizacja rozpoczęła swą działalność szumnie, co kilka dni widniały przenajróżnorod-

niejsze plakaty na ulicach miasta. Sięgano do robotników, szukano wpływów wśród mas chłopskich.

By znaleźć kontakt ze wsią i powstrzymać rzekomo radykalną działalność grupy ludowej sanacji, zabrano panu posłowi Polakiewiczowi najgrubszą zwierzynę. Zyskano dla legii mocarstwowej wodza zielonych koszul, pana Dzendzla, dawniej sekretarza prem. Witosa (...). Próbowano szczęścia nawet wśród ukraińców, chcąc zyskać hasłami z okresu Wołodyjowskiego «mołojców, hajdamaków» itp. Robota napotykała na pewne trudności. Dwaj sztandarowi przywódcy nie wyglądali należycie na przywódców ludu, nie licował nawet radykalny frazes z sekretarzem Janty-Połczyńskiego, Giedroyciem. Źle wyglądał jako przedstawiciel ludu pracującego niemniej elegancko ubrany, urodziwy Rowmund Piłsudski.

Legia mocarstwowa miała oczywiście i politykę zagraniczną. Apetyt był wielki. Miast nacjonalistycznych haseł endecji wysunięto program imperialistyczny. U stóp Smoleńska rozłożyć miał swe namioty wódz wojska polskiego, aż po Królewiec sięgać miała władza polska.

Prowadzić miał wódz nowego wojska, ubrany barwnie jak przedstawiciel armii monegaskańczyków, niczym żołnierz Monte Carlo, pan Rowmund Piłsudski. Przyciągać miało podobieństwo nazwiska, choć pan Rowmund Piłsudski był nawet przed przewrotem majowym zażartym przeciwnikiem swego dalekiego krewniaka, Józefa Piłsudskiego, i został pono zatrzymany w czasie walk majowych jako rzecznik rządu Wojciechowskiego, narażając się na przykrości, gdy na pytanie o nazwisko odpowiedział: Piłsudski. Żołnierzowi wydawało się to niesmacznym żartem. Ale czasy mijają. Żart się nie powtórzy. Rowmund Piłsudski walczy w pierwszych szeregach młodzieży sanacyjnej i dokonywa cudów waleczności.

Królewca nie zdobył. Nie siedzi jeszcze w Smoleńsku, armia musiała się ograniczyć do lokalnych zwycięstw. Zdobyto towarzystwo cyklistów, wszyscy członkowie legii mocarstwowej zapisali się do towarzystwa, zmajoryzowano endeków, i odtąd pan Rowmund Piłsudski panuje niepodzielnie w tym klubie i jest udziałem księciem Dynasów (książę De Nassau), gdzie odbywają się wyścigi kolarskie.

Każdy z tych młodych legii mocarstwowej jest pewnie bardzo miły, dzieci zubożałych magnatów, zdeklasowanej szlachty, zostawili sobie po ojcach marzenia o wielkiej fortunie, o wielkich latyfundiach na rubieżach polskich. Obmyślili nawet plan zyskania miejscowej ludności. Mają program narodowościowy. Sztukuje im nawet ideologię samotnik z Wileńszczyzny (...), wielki zwolennik talentu Stołypina, poseł Stanisław Mackiewicz”.

VI. Konserwatywne „Buntu” początki

W styczniu 1930 roku ministrem rolnictwa został senator Leon Janta-Połczyński, który na tym stanowisku — przy zmieniających się szefach rządu — miał utrzymać się ponad dwa lata. Pochodzący z Pomorza, funkcjonujący w środowisku poznańskich konserwatystów ziemianin czuł się nieco zagubiony w warszawskiej rzeczywistości. Prędko się o tym przekonał, Stanisław Zaćwilichowski polecił mu jako sekretarza Jerzego Giedroycia. Zaczął on pracę w ministerstwie już 13 lutego tego samego roku. „Dość szybko nabrał do mnie zaufania i, pochlebiam sobie, sympatii”, wspominał później Redaktor w *Autobiografii...* pierwszego ze swoich szefów. W rzeczy samej: w niepublikowanych wspomnieniach Janta-Połczyński nazywa swego sekretarza „niezrównanym”. Jerzy dobrze się przygotował do spotkania z Połczyńskim. Zapewne nie tylko prześledził wypowiedzi prasowe świeżo upieczzonego dygnitarza, ale też zasięgnął języka w sprawie jego i jego poglądów — choćby w Poznaniu, u Rogera Raczyńskiego. „Miałem bardzo pożądaną niespodziankę — pisał później minister — przez pozyskanie młodego człowieka ze skończonymi studiami, posiadającego francuski język i dziwnie już zorientowanego w moich planach i zamiarach. Dałem mu od razu sytuację sekretarza prasowego”.

Była to „sytuacja” pod względem finansowym dobra, choć może nie rewelacyjna — jako referent VIII grupy zaszerzegowania Giedroyc dostawał nieco ponad czterysta zło-



Leon Janta-Polczyński
(„Świat” z 1930 roku).

tych. Mniej więcej tyle samo ile szofer prezydenta Radomia czy rabin w Praszce, miejscowości leżącej między Opolem a Częstochową. Ważniejszy był jednak prestiż, a zwłaszcza nowe możliwości, jakie otwierała Giedroyciowi posada u Janty-Polczyńskiego. Urzędowanie „bardzo sympatycznego ziemianina” przypadło na lata kryzysu. Załamał się eksport produktów rolnych, a ich ceny spadły — w porównaniu z rokiem 1928 — o połowę. Z jednej strony ratowało to nieco ludność miejską, z drugiej jednakże sprawiało, że nad wsia, zwłaszcza małopolską i kresową, zawisło widmo głodu. Niezbędne były kroki interwencyjne. Nowy minister projektował między innymi rozłożenie terminów płatności wszelkich długów i zobowiązań rolniczych, osobiście szukał sposobu, jak zwiększyć eksport, i ograniczać import żywności. Janta-Polczyński nie chciał się jednak w walce ze skutkami kryzysu ograniczać do defensywy: „Dochodziłem do wniosku, że jednak Polska jest zbyt mała, by odegrać poważniejszą rolę — wspominał potem — i zacząłem marzyć o rozsze-

rzeniu jej wpływów na słowiańskie królestwa zagraniczne na Bałkanach. Mój sekretarz prasowy już tymczasem się porozumiewał z przedstawicielstwami dyplomatycznymi tych krajów”. W ten sposób doszło do zorganizowania w Warszawie w sierpniu 1930 roku Międzynarodowej Konferencji Rolniczej. Tak szybkie jej przygotowanie było niewątpliwym sukcesem Polczyńskiego, a przy okazji urósł w jego oczach, jako sprawny organizator, Jerzy Giedroyc. W konferencji, której efektem miało być powstanie bloku bałtycko-bałkańskiego, współpracującego ze sobą w zakresie handlu produktami rolnymi, udział wzięli ministrowie rolnictwa Rumunii, Czechosłowacji, Jugosławii, Węgier, Bułgarii, Łotwy, Estonii i Polski.

Ale posada u Janty to nie tylko fajerwerki — starszy pan zaczynał pracę rano i Jerzy musiał przystać na to, że punkt dziewiąta będzie już w jego gabinecie, gotowy do zreferowania, co piszą gazety. Do dziś zachowały się oprawne w zielone płótno tomy wycinków, skrupulatnie opisanych przez sekretarza prasowego. Drugiego sekretarza, pierwszym bowiem był osobisty asystent, grający głównie rolę cerbera w ministerialnym sekretariacie. Funkcję tę pełniło kolejno kilku młodych ludzi.

Na szczęście dla Jerzego, który nie był rannym ptaszkiem, Janta-Polczyński często opuszczał Warszawę. Nie tylko wyjeżdżał za granicę w związku ze współpracą bałtycko-bałkańską, ale też raz w miesiącu urządzał kilkudniowy objazd jednego z województw. W podróże te zabierał ze sobą pierwszego sekretarza prasowego. Chcąc zapoznać się z rzeczywistym stanem rolnictwa na danym terenie, wyjeżdżając, nieodmiennie miał Janta nadzieję, że uniknie fet i uroczystości — i nieodmiennie ponosił klęskę. Bodaj najbardziej widowiskowy



Zdjęcie zbiorowe pracowników Ministerstwa Rolnictwa;
za ministrem Leonem Jantą-Połczyńskim — Jerzy Giedroyc (z wąsami).

1. G I E D R O Y Ć Jerzy Władysław	9.419
2. Rok 1929/1930 Znajomość przepisów-dobra, zdolność, pojęt- ność i inicjatywa-wybitne, pilność i dokład- ność-wybitne, sumiennosc-b.dobra, zasługuje na zaufanie w stopniu -b.dobrym, uzdatnienie do obcowania z interesantami-wybitne, zacho- wanie się-b.dobre, uzdatniony na stanowisko kierownicze w stopniu wybitnym, uzdatniony do pełnienia służby przy władzach naczel- nych. /-/ JAN ZUKOTYNSKI	3.

Opinia służbowa na temat Jerzego
Giedroycia z 1930 roku.

był jego wyjazd na Huculszczyznę: „Towarzyszył naszemu samochodowi z jednej strony polski konwój z barwami narodowymi, a z drugiej ruski z barwami błękitno-żółtymi — relacjonuje minister w swych zapiskach — a za nami ciągnął się jeszcze długi szereg dziewcząt konno. Wszędzie mijając kościoły ruskie, błogosławili nas księża w ornatach, a z boków na długich na kilka metrów trąbach wyli specjaliści”. Podczas całej tej podróży minister czuł się, jak sam pisał, „niby baron cygański”. Galówkom nie było końca. Zespoły ludowe śpiewały mu: „Nasz panie ministrze, bądź tak łaskawy, popraw

jak najrychlej nasze rolne sprawy — oj dana, dana!”. Lokalni oficjele organizowali wystawne kolacje we dworach. Zdarzały się też przyjęcia niespodziewane — ot, na przykład zatarasowali drogę chłopci, którzy postanowili w ten sposób uprosić ministra o meliorację lokalnych bagien. Janta-Połczyński, zasiadłszy do zastawionego wędlinami i grzaną wódką stołu, złożył stosowną deklarację, ale z poczęstunku — przestrzegając diety — skorzystać nie chciał. Gospodarze, jak czytamy, „upatrywali w tym pogardę dla chłopskiego jedzenia i nie wierzyli w moje obiecanki. Moi koledzy robili, co mogli, ale

wieczorem sekretarz dostał ataku kamieni żółciowych, bo musiał pić za mnie”.

Drugi sekretarz, Giedroyc, w tych dniach pozostawał w Warszawie. Czym zajmował się w pracy pod nieobecność szefa? Kontaktami codziennymi z prasą i przygotowywaniem comiesięcznych konferencji dla jej przedstawicieli. W opracowywaniu materiałów dla dziennikarzy pomocny był mu drugi z młodych ulubieńców Janty — Adam Rose, wkrótce awansowany na dyrektora departamentu ekonomicznego.

Janta-Połczyński, mając również ambicje polityczne, spodziewał się, że przez swego nowego współpracownika zbliży się do środowisk młodzieżowych. Pierwsza taka możliwość, zaoferowana przez Giedroycia, okazała się jednak nietrafiona: „Niezrównanej sprawności drugi sekretarz prasowy oświadczył mi któregoś dnia: «Mogę się pochwalić Panu Ministrowi, mam nareszcie zorganizowaną ‘bojówkę’ dla jego ochrony». — Mój kochany Panie, to mnie Pan dopiero ubrał w przyjemność. — On się tłumaczył: «Pan chodzi sam po spacerach, po kinach i po teatrach, gdzie przecież daje Pan do siebie bardzo łatwy dostęp jakiemuś opryszkowi, który może być wszędzie. (...) Moi bojówkarze są dobierani wyłącznie z inteligencji. Pan ich nigdy nie będzie widział, ale musi Pan mieć poczucie swego bezpieczeństwa». Byłem wzruszony zapobiegliwością tego chłopca, ale bezwzględnie zakazałem otaczania mnie osłoną, która przecież zależy od wyroków losu”.

Jerzemu Giedroyciowi zdarzało się i później wykorzystywać nie tylko pióra, ale i pięści swych kolegów z Myśli Mocarstwowej. Wspomina o tym w jednym z listów Norbert Żaba, a do wydarzeń przez niego opisanych doszło zapewne w końcu roku 1933:

A pamiętasz jak poleciłeś mi przy pomocy różnych grup Ligi Akademickiej (Legjon Młodych, Stronnictwo Dem.) zorganizować demonstrację przed Ambasadą Niemiecką i wybić szyby. Zebrałem chyba około setki osób z "Ligi" ale przed samą akcją ksząłeś jeszcze raz telefonicznie z Tobą porozumieć się. Było to w południe. Powiedziałeś mi przez telefon że kazano ałcję odwołać. (Potem się okazało że Niemcy zgodzili się na pakt niegresji). No i odwołałem. Wszyscy byli wściekli. Ale w nocy dwóch moich "mołojców" urzęnęło się, poszli i szyby wybili. Oficjalnie byli skazani na krótkie więsienie ale w rzeczywistości przesiedzieli w posiadłości J. Radziwilla, to Ty urządziłeś. Zachowaj tę notatkę w Twoim archiwum. Może kiedyś komus będzie potrzebna.

Norbert Żaba

Fragment listu Norberta Żaby do Jerzego Giedrocia
z 22 listopada 1979.

Mimo tej jednej wpadki — o innych w każdym razie Janta nie wspomina — relacje między ministrem a jego sekretarzem prasowym układały się doskonale. Nie tylko zresztą w sferze zawodowej. W maju 1931 roku panowie byli już na tyle za przyjaźnieni, że Giedroyc był prywatnym gościem Janty-Połczyńskiego w jego posiadłości Wysoka w Borach Tucholskich. „Na Zielone Świątki mój mąż zaprosił do Wysokiej jezuitę ks. Pawelskiego, Dyr. Rosów, Wiceministra Leśniewskiego z żoną i Sekretarza Jerzego Giedroycia — zapisała w swych memuarach żona ministra Polczyńskiego. — I tym razem pogoda nam sprzyjała — wprawdzie obydwie samochody, które przywieźć miały gości o 17-tej godzinie, przybyły o 23-ej, ale mimo to przyjęcie się w pełni udało”.

Janta-Połczyński twardo walczył o wsparcie dla rolnictwa ze swymi rządowymi kolegami, których idée fixe było utrzymanie stałej wartości złotówki, co zmniejszało konkurencyjność polskich produktów rolnych na rynkach międzynarodowych. „Był chyba jedynym ministrem bardzo

niezależnym — czytamy w *Autobiografii...* — Tak np. w czasie posiedzenia Rady Ministrów, na którym odrzucono jego propozycję, a w rządzie był wtedy Marszałek Piłsudski, rzucił teczkę na stół i podał się do dymisji. Zrobiło to duże wrażenie. Dymisji nie przyjęto i uchwalono jego propozycję”.

Co udawało się Jancie dla rolnictwa wywalczyć u szefów kolejnych gabinetów, Bartla, Piłsudskiego i Sławka, to nie powiodło się w przypadku premiera Aleksandra Prystora. Ze wspomnień ministra wiemy, że szef rządu miał mu za złe niewystarczające efekty przy wzrastających kosztach jego działalności oraz „robienie szumu naokoło siebie”. W budżecie na 1932 rok wydatki na rolnictwo obcięto z 82 do 19 milionów złotych. W efekcie w marcu tegoż roku Leon Janta-Połczyński, spodziewając się dymisji ze strony szefa rządu, postanowił go uprzedzić i sam złożył rezygnację. Jerzy Giedroyc pozostał na dotychczasowym stanowisku i obowiązki sekretarza prasowego pełnił u boku kolejnych dwóch ministrów — Seweryna Ludkiewicza i Bronisława Nakoniecznikowa-Klukowskiego. Wkrótce do jego zadań doszły też kontakty z parlamentem. Stosunki z nowymi szefami nie były już tak bliskie.

Dymisja Janty-Połczyńskiego nie oznaczała bynajmniej końca jego współpracy z Giedroyciem. Jak się wydaje, to właśnie były zwierzchnik miał duży wpływ na jego zbliżenie ze środowiskiem „dojrzałych” konserwatystów, próbujących wydobyć się z pewnej stagnacji, w jaką popadły ich ugrupowania. Na przełomie lat 1932 i 1933 były minister rolnictwa był jednym z inicjatorów zjednoczenia partii konserwatywnych, które miało ożywić ich działalność. Leon Janta-Połczyński został „wiceprezesem urzędującym” Zjednoczenia Zachowawczych Organizacji Politycznych, powstałego w lutym 1933 roku pod prezesurą księcia Janusza Radziwiłła. W jego

skład weszły Stronnictwo Prawicy Narodowej, główna siła polskich konserwatystów, na której czele stał Radziwiłł, oraz partia Janty-Połczyńskiego, Chrześcijańskie Stronnictwo Rolnicze, działające zwłaszcza na Pomorzu i w Wielkopolsce. Trzecim członem Zjednoczenia była wileńska Organizacja Zachowawczej Pracy Państwowej, z którą związany był Stanisław Cat-Mackiewicz.

W skład Rady Naczelnej Zjednoczenia wybrani zostali wówczas nie tylko związani z Giedroyciem Aleksander Bocheński, Ksawery Pruszyński oraz Jan Karczewski, ale również on sam. Jerzy Giedroyc w Radzie reprezentował Stronnictwo Prawicy Narodowej, SPN, partię Janusza Radziwiłła, której, jak się okazuje, był członkiem.

Opisujący przedwojenną działalność konserwatystów Wiesław Władysław twierdzi, że Bocheński i Pruszyński nie przyjęli wówczas proponowanych im stanowisk. Giedroyc najprawdopodobniej nieco później zrezygnował z powierzonej mu funkcji. Tego w każdym razie zażądało od niego kierownictwo Myśli Mocarstwowej, przeżywającej w tym czasie głęboki kryzys. Jak do niego doszło?

„Marzył Rowmund o objęciu władzy po śmierci Marszałka, bo «wtedy zapanuje takie zamieszanie, że zdecydowana grupa, operując jego nazwiskiem, może objąć władzę» — wspominał w jednym z listów do Giedroycia jego przyjaciel Norbert Żaba — ale gdy mi się zwierzył, że chce Myśl Mocarstwową zweeksłować na lewo, bo lewica w BBWR ma władzę, przeraziłem się, aczkolwiek go adorowałem, polecałem do Ciebie i Rowmunda zdradziłem, co skończyło się wylaniem go, ale z nim poszli «mołojcy» i «Dynasy» itp., zaś intelektualści zostali przy Tobie. W którym to było roku?” W 1933. Ale dokładne okoliczności rozejścia się politycznych dróg

RADA NACZELNA ZJEDNOCZENIA ZACHOWAWCZYCH ORGANIZACJI POLITYCZNYCH.

- | | |
|------------------------------|----------------------------------|
| 1/ Stanisław hr. Jadeni | 19/ Aleksander hr. Mohl |
| 2/ Redaktor Antoni Beaupre | 20/ Dr. Jan Koszyński |
| 3/ Aleksander Jochenski | 21/ Karol Niezabitowski |
| 4/ Dr. Jan Sobrzyński | 22/ b. Premier Nowak |
| 5/ Robert Geyer | 23/ Kazimierz Papara |
| 6/ Jerzy Giedroyc | 24/ Adam Piasecki |
| 7/ Jan Glinka | 25/ Józef Pleszczyński |
| 8/ Adam Grałowski | 26/ Artur hr. Potocki |
| 9/ Baron Horoch | 27/ Ksawery hr. Pruszyński |
| 10/ Feliks Karsnicki | 28/ Andrzej Rostworowski |
| 11/ Jan Karczewski | 29/ Arcybiskup baron Edward Ropp |
| 12/ Stanisław hr. Komorowski | 30/ Artur Rutkowski |
| 13/ Czesław Krupski | 31/ Eustachy z Sapieha |
| 14/ Jan Lipski | 32/ Srednicki |
| 15/ Henryk hr. Lubiński | 33/ Witold Swida |
| 16/ S. Meyer | 34/ Zygmunt hr. Czarniecki |
| 17/ Szymon Meysztowicz | 35/ Stanisław Mankowicz /senjor/ |
| 18/ Wacław hr. Mohl | 36/ Antoni Wieniawski |

Z A R Z A D

- | | |
|------------------------------------|-----------------------------------|
| 1/ Senator Stanisław Danbiski | 8/ Kazimierz Papara |
| 2/ Poseł Emeryk hr. Hutten-Czapski | 9/ Minister August Popławski |
| 3/ Minister Leon Janta-Pończynski | 10/ Senator Wojciech Rostworowski |
| 4/ Marszałek Zygmunt Leszczyński | 11/ Senator Roman Skirmuntt |
| 5/ Stanisław Lubomirski | 12/ Poseł Jan hr. Tyszkiewicz |
| 6/ Poseł Stanisław Mackiewicz | 13/ Senator Stanisław Mankowicz |
| 7/ Poseł Dr. Paweł Linkowski | 14/ Minister Józef Wielowieyski |
| 15/ Antoni Wieniawski | |

P R Z Y D J U M

Prezes Janusz X Radziwiłł
 Wiceprezes Urzędujący Minister Leon Janta-Pończynski
 Wiceprezes Stanisław Mankowicz senator
 Sekretarz Generalny Senator Kazimierz Zaczek
 Zastępcy wiceprezesów: Senator Józef Wielowieyski
 Poseł Stanisław Mackiewicz
 Sekretarze: Henryk hr. Lubiński
 Dr. Jan Koszyński



Jerzego Giedroycia i Rowmunda Piłsudskiego do dziś nie są jasne. Ten pierwszy opisał je w *Autobiografii...* następująco: „On zrobił woltę: zerwał z obozem neokonserwatywnym i chciał przejść do tzw. naprawiaczy, którzy wydawali pismo «Przełom» i byli lewicowym skrzydłem piłsudczyków. Bardzo ich nie lubiłem. Toteż po przejściu Rowmunda do nich pokłóciliśmy się i wyszedłem z Myśli Mocarstwowej”.

Sprawa była jednak nieco bardziej skomplikowana. Rowmund Piłsudski istotnie, chcąc poszerzyć zasięg oddziaływania Myśli, prowadził rozmowy z przedstawicielami rozmaitych lewicowych organizacji obozu rządowego, Partii Pracy czy Legionu Młodych. Ale efektem tych ambicji Piłsudskiego nie było odejście Giedroycia, jak on sam wspominał, tylko właśnie — jak zapamiętał to Żaba — wyrzucenie z Myśli jej założyciela.

Rowmund Piłsudski został wykluczony z organizacji mocarstwowych w maju 1933 roku, decyzją Komitetu Ścisłego Związku Pracy Mocarstwowej, a następnie obradującej w Poznaniu — pod opiekunczymi skrzydłami wojewody Rogera Raczyńskiego — Rady Naczelnej Myśli. Jego zwolennicy nie mieli jednak zamiaru się poddać — uznali działalność Rady za uzurpatorską i powołali nowe władze organizacji. Od tej chwili dwie Myśli Mocarstwowe zaczęły rozsyłać oświadczenia, utrzymane w tonie typowego polskiego piekła. Zaprzysiężniony z Giedroyciem Józef Winiewicz, którego w Poznaniu wybrano na przewodniczącego Myśli, oskarżał Rowmunda o zaprzękanie się Partii Pracy za dwa i pół tysiąca złotych dotacji. Jednocześnie, dla podkreślenia niezależności własnej organizacji, polecił Giedroyciowi „wycofanie się

Lista członków władz Zjednoczenia Zachowawczych Organizacji Politycznych; numer 6
 w składzie Rady Naczelnej — Jerzy Giedroyc.

59/ X Janusz Radziwiłł - w/m Bielańska 14

60/ Romer Adam - w/m Matejki 10

61/ Roni

62/ Ros

63/ Rul

64/ Sa

65/ Si

66/ Sk

67/ So

68/ St

69/ St

70/ St

71/ S

72/ T

73/ T

74/ W

75/ W

76/ W

77/ W

78/ W

79/ S

80/ 2

Członkowie Prawicy Narodowej
Oddział Warszawski

1/ Andrycz Czesław - Warszawa Górnośląska 18

2/ Wacław Baehr - Warszawa Nowy Zjazd 5

3/ Bekerman Piotr - Warszawa, Koszykowa 19

4/ Bertoni Karol - Warszawa, Nowowiejska 27/7

5/ Bielski - w/m Widok 5/6

7/ Brugger Franciszek - Czackiego 10/6 w/m

8/ Brun Wacław - Piękna 4 m.3 w/m

9/ Dunin-Brzeziński Stanisław - w/m Nowy Świat 43/8

10/ Czaykowski Stanisław - w/m Filtrowa 68

11/ Czarniecki Krzysztof - w/m Polna 70

12/ Czarniecki Witold w/m Krak Przedmieście 5

Czerwiński Kazimierz - Łódź, Mickiewicza 5

14/ Chełmicki Bohdan - Skierniewice 3-go Maja 4

15/ Chrzanowski Wincenty - Skoroczyn poczta Hrubieszów

16/ Dobiecki Artur - Kopernika 28 w/m

17/ Dobrowolski Aleksander w/m Bracka 4

18/ Gąsiorowski Mieczysław - w/m Krak.przedmieście 5 m.4

19/ Giedroyc Jerzy - w/m Ministerstwo Rolnictwa

20/ Gembarzewski Leszek - w/m Koszykowa 17 m.5

21/ Gerlicz Aleksander - Kamień poczta Opole Lubelskie

22/ Gerlicz Jan - Stojeczyn poczta Modliborzyce

23/ Giedroyc Jerzy

Lista członków oddziału warszawskiego Stronnictwa Prawicy Narodowej;
numer 19 — Jerzy Giedroyc, 59 — Janusz Radziwiłł.

z Komitetu Zjednoczenia Zachowawczego". Rowmundowcy ogłosili wyrzucenie z organizacji czterech członków, oskarżonych o współudział w próbie puczu — w tym Giedroycia i Żaby. Winiewicz oskarżył grupę Piłsudskiego o „zdradę ruchu mocarstwowego”, ale też — o „próby śmiesznego terroru”. Mocarstwowcy z obu obozów spotkali się bowiem pod drzwiami warszawskiej siedziby organizacji, gdzie — jak można się domyślać — w ruch poszły pięści. Ludziom Piłsudskiego nie udało się przejąć biura, więc Winiewicz mógł triumfalnie wypominać mu, że nie tylko bierze od Partii Pracy pieniądze, ale też musi urzędować w jej lokalu. Teraz z kolei ekipa Piłsudskiego oskarżyła Giedroycia, Winiewicza, Zygmunta Konderskiego i Mieczysława Pruszyńskiego o „zdradę ideologii mocarstwowych”. Zarzucono im też wynikające ze „związania sympatiami politycznymi lub zależnością materialną” — z tej strony konkretne kwoty nie padały — próby podporządkowania Myśli „ugrupowaniom konserwatywnym starszego społeczeństwa”.

Cała zabawa trwała jakieś dwa tygodnie — doszło nawet do pojedynku między Mieczysławem Pruszyńskim a Rowmundem Piłsudskim — jej wynikiem było kompletne zmarginalizowanie rozbitej organizacji. Współczuć należy historykom, którzy zechcą — jak Ryszard Tomczyk — opisać jej dalsze dzieje.

Wyrzucając Piłsudskiego, Rada Naczelna Myśli Mocarstwowej przyjęła jednocześnie uchwałę, w której chwaliła Giedroycia za zasługi w działalności organizacyjnej i redakcyjnej. Co najmniej od maja 1931 roku redagował on bowiem „Dzień Akademicki”, ukazujący się jako dodatek do „Dnia Polskiego”. Możliwe, że i na wcześniej wydawaną „Kronikę Akademicką” miał istotny wpływ — w każdym razie taki

wniosek można wyciągnąć z jego przedwojennej korespondencji. „Dzień Akademicki” został jesienią 1931 roku przemianowany na „Bunt Młodych”. Z biegiem czasu pismo to stało się głównym organem Myśli, przejmując autorów publikujących wcześniej w lokalnych wydawnictwach organizacji. Z dwukolumnowego dodatku urosło do rozmiarów ośmiokolumnowego miesięcznika, a później — dwutygodnika.

Wydawałoby się, że po odsunięciu Piłsudskiego Giedroyc miał możliwość zdominowania Myśli Mocarstwowej — opiekę nad nią sprawował zaprzyjaźniony z nim Roger Raczyński, a następcami Rowmunda byli kolejno Józef Winiewicz i Mieczysław Pruszyński, również Jerzemu bliscy. Tymczasem twierdził później, że wycofał się z działalności organizacyjnej w Myśli, zatrzymując dla siebie pismo. Oba elementy wymagają wyjaśnienia. Primo, Giedroyc pozostał członkiem Myśli (a w każdym razie jednego z jej odłamów — z drugiego również nie odszedł, tylko został zeń wyrzucony), a nawet przez jakiś czas prezesował organizacji. Można jednak przyjąć, że on sam nie przywiązywał już do tego większej wagi, skupiając się nie na podupadającym stowarzyszeniu, ale na wydawanym przez siebie piśmie. Secundo — czy zatrzymał sobie „tylko” pismo, czy „aż”? Wbrew pozorom był to dobry — rzecz jasna w politycznym tego słowa znaczeniu — interes. Z Rowmundem Piłsudskim odeszło z organizacji kilkudziesięciu członków, de facto cała Legia Mocarstwowa — a nie przyniosło jej to żadnych korzyści politycznych. Giedroyc z pewnością dostrzegał postępujący upadek organizacji i postanowił nie wypuszczać z rąk „Buntu Młodych”. Każdy, kogo na poznańskim zjeździe stać było na przeprowadzenie uczciwego bilansu Myśli, jako najistotniejszą pozycję po stronie aktywów musiał zapisać właśnie to pismo.

Czy Giedroyc zrezygnował z zasiadania w Radzie Naczelnej konserwatywnego Zjednoczenia, nie wiadomo. Ale niewątpliwie w proces zjednoczenia „starszego społeczeństwa” konserwatystów był głęboko i wcześniej zaangażowany. Już 5 grudnia 1932 roku przysłał Jancie-Półczyńskiemu notatkę w sprawie nazwy projektowanej struktury. Jest to nie tylko interesujące świadectwo ówczesnych poglądów Jerzego Giedroycia. Dowodzi również jego zmysłu taktyki.

W tym samym okresie — na przełomie lat 1932 i 1933 — Jerzy Giedroyc był prawdopodobnie autorem, a z pewnością orędownikiem koncepcji powołania Zachowawczego Komitetu Prasowego, który sprawowałby kontrolę nad działalnością wszystkich pism konserwatywnych w kraju. Sam miał stanąć na jego czele jako sekretarz generalny. Formalne zwierzchnictwo sprawowałby książę Janusz Radziwiłł. Koncepcja ta wiązała się z innym projektem, do którego Giedroyc przywiązywał dużą wagę — przeniesieniem najważniejszego dziennika zachowawców, krakowskiego „Czasu”, do Warszawy. Opowiadając się za połączeniem gazety ze stołecznym „Dniem Polskim” (ten tytuł również przeżywał kłopoty finansowe), sugerował Jancie-Półczyńskiemu konieczność radykalnych zmian personalnych w obu pismach. „Jest za dużo obecnych szefów «Dnia», którzy chcieliby przeprowadzać sanację, polegającą zresztą przede wszystkim na tem, by siebie utrzymać — pisał do swego byłego szefa 18 października 1932 roku. — Dlatego mam wrażenie, że należałoby działać bardzo szybko i radykalnie, a w każdym razie odciąć personalia dotychczasowe «Czasu»”.

Pisząc o konieczności zreformowania „Dnia Polskiego”, postulował również dymisje niemal całego komitetu redakcyjnego pisma. Sam proponował zatrudnienie ludzi, którzy byli

W państwach parlamentarnych nazwy stronnictw nie mają na celu wiernego oddania całego ich programu, lecz podkreślenia tych jego cech, które stronnictwu czynić mogą największą popularność wśród mas. Oczywiście cechy wymienione w nazwie nie mogą stać w sprzeczności z kształtem programu stronnictwa, lecz mogą specjalnie podkreślać niektóre jego strony. W poniższych rozważaniach zastanawimy się a/ nad cechami, których wymienienie w nazwie mogłoby zaszkodzić popularności stronnictwa i b/ nad cechami, których wymienienie mogłoby podnieść jego popularność.

A.

1/ Prawicowość. Stronnictwa zachowawcze są niezaprzeczeniem i zdecydowanie prawicowymi. Niemniej należy się liczyć z faktem, że, jeżeli nie treść tego pojęcia, to w każdym razie słowo "prawicowość" nie jest popularne w szerokich masach. Nie wchodzę tu w genezę tego zjawiska, lecz ograniczam się do jego zanotowania. Tak więc widzimy, iż we Francji słowo "droite" nie przychodzi w nazwie ani jednego ze stronnictw prawicowych /"Action française" "Union républicaine et démocratique" "Démocratie populaire"/. Podobnie i w Niemczech ani jedno stronnictwo nie wymienia prawicowości w swej nazwie. W Rumunii partja skrajnie prawicowa nazywa się "liberalną", a Jugosławii "radyczną". Wysuwanie więc prawicowości, która stanowi zresztą najistotniejszą treść konserwatyzmu, nie wydaje się być pożądaną dla nazwy stronnictwa.

2/ Bardzo podobnie przedstawia się sytuacja ze słowem "zachowawczość". Społeczeństwo polskie wykazuje zdumiewająco słabe zrozumienie dla treści tego słowa i utożsamia konserwatyzm z mechanicznym zachowywaniem istniejącego stanu rzeczy. Ponieważ zaś istniejący stan rzeczy nie zawsze jest bardzo wesoły, przeto nazwa "zachowawcy" mogłaby być taktycznie wyzyskaną przeciw nam przez inne stronnictwa.

3/ Bardzo poważną wątpliwość zachodzić może w sprawie nazwy "stronnictwo katolickie" albo coś w tym rodzaju. Sądzę jednak, iż nazwa ta ma swoje dobre i złe strony. Złą stroną jest niechęć, którą odczuwać musi każdy wierzący katolik do mieszania tego, tak drogiego nam słowa, do walk politycznych. Z drugiej strony nazwa taka mogłaby podkreślić jedną z naj-

związani z „Buntem Młodych” (jak Adolf Bocheński czy Ksawery Pruszyński — „jednostka wybitnie zdolna”), albo takich, którzy byli może „bez wielkiej inicjatywy, ale lojalni” (mowa o Edwardzie Paszkowskim z „Dziennika Poznańskiego”). Koncepcję połączenia obu pism zrealizowano w 1934 roku, ale już — jak się wydaje — bez udziału Giedroycia.

Z tym, że Janta-Połczyński został drugą w ruchu konserwatywnym personą, wiązał Giedroyc duże nadzieje. Środowisko zachowawców przeżywało kryzys tożsamości. Dla jednych ważne były różnice między krakowskimi „stańczykami” a „poznańczykami”, dla innych konserwatyzm znaczył tyle co zdrowy rozsądek, umiar i pewna publiczna elegancja. Czym był konserwatyzm dla Janusza Radziwiłła, opisywał Konstanty Grzybowski tak oto: „Konserwatysta jest patriotą, ale nie jest nacjonalistą, (...) jest zwolennikiem autorytetu i poszanowania władzy, ale jest wrogiem despotyzmu, (...) ceni wolność, ale nienawidzi anarchii, (...) jest religijny, ale unika fanatyzmu”. Cytując ten passus, Jerzy Jaruzelski, znakomity biograf Cata-Mackiewicza, konstatował: „Synteza środka? Rozpiętość formuły budzi podziw. Gdyby nie religia, to obok Mackiewicza zmieściłaby się prawie Maria Koszutska-Kostrzewa”. Figurze stylistycznej Jaruzelskiego trudno odmówić wdzięku. O ile jednak wątpliwe, by działaczka komunistyczna znana zwłaszcza mieszkańcom warszawskiej Ochoty jako Wera Kostrzewa, znalazła sobie miejsce w radziwiłłowskich ramach zachowawczości, o tyle bez problemu znalazł je dla siebie Jerzy Giedroyc. A znalazłszy, postanowił nadać konserwatyzmowi nowe oblicze.

Możliwość tę dał mu Janta-Połczyński — jako jeden z przywódców ruchu konserwatywnego zaczął głosić tezy właściwe dotąd środowisku „Buntu Młodych” i obecne na

jego łamach. „Wynurzenia Janty-Połczyńskiego — komentował później historyk Wiesław Władyka — miały wyraźnie polityczny i ideologiczny charakter, cechowały je antyrosyjskie oraz antyradzieckie tendencje i pod tym względem wyróżniały się one z dotychczasowej publicystyki zachowawczej po roku 1926”. Wyznaczając pole działalności konserwatystów, Janta przenosił punkt ciężkości z walki o zachowanie ekonomicznego status quo na obronę cywilizacji zachodniej przed Rosją Sowiecką. W pierwszej linii tego starcia widział miejsce dla „prawdziwych konserwatystów”. Trudno nie podejrzewać, że wpływ na ministra Połczyńskiego miał w tej mierze jego dawny sekretarz.

Również w aspekcie finansowym związek z byłym szefem okazał się dla Giedroycia i jego pisma istotny. O ile bowiem nie wiemy, czy Rowmund Piłsudski rzeczywiście dostawał od Partii Pracy dwa i pół tysiąca złotych, o tyle wysuwane przezeń zarzuty „zależności materialnej” Giedroycia od konserwatystów nie były bezzasadne.

Redaktor „Buntu Młodych” już w październiku 1932 roku rozpoczął proces emancypacji pisma od Myśli Mocarstwowej. Od tego momentu winieta „Buntu” informowała czytelników, że jest to „niezależny organ młodej inteligencji”. Istotnie, jedyną osobą, która decydowała, co ukaże się na jego łamach, był Giedroyc. Natomiast samo istnienie pisma zależało przez dłuższy czas od wsparcia finansowego „starszego społeczeństwa” konserwatystów.

W listopadzie 1932 roku Giedroyc pisał do Janty-Połczyńskiego: „Bardzo byłbym wdzięczny, jeżeli Pan Minister będzie łaskaw zwrócić uwagę Radziwiłła na «Bunt Młodych». Pismo to pod moją redakcją wychodzi już 4 lata i zdołało sobie wyrobić imię i poczytność na terenie akademickim

i młodej inteligencji. Jest to zresztą jedyne pismo tego typu wychodzące regularnie. Dotychczas otrzymywałem od Radziwiłła subwencję, która została z dn. 1 października cofnięta. Przez te 2 miesiące robiłem wszelkie starania, by jakoś pismo utrzymać, niestety, dzięki bardzo nieprzychylnemu stanowisku Drukarni Mazowieckiej i p. Dobieckiego, który nie mówiąc o jakichkolwiek ulgach, nie chce się zgodzić nawet na rzecz tak zwykłą jak kredyt 3-miesięczny i wymaga płacenia gotówką — nie mam sił w tym stanie dalej prowadzić pracy. Liczę się z tym, że w grudniu wydam ostatni numer. Byłaby to, mam wrażenie, duża strata, gdybyśmy się mieli definitywnie z odcinka młodzieżowego wycofać. A nawet jeżeli w przyszłości na nowo praca była rozpoczynana, to trzeba będzie od początku wszystko zaczynać. Otóż czy Radziwiłł nie znalazłby tych kilkuset złotych na «Bunt» lub ewentualnie dał odpowiednie dyspozycje Dobieckiemu”.

Pismo nie upadło — być może więc Połczyński interweniował. Z przesłanego mu przez Giedroycia w grudniu tegoż roku preliminarza finansowego dowiadujemy się, że sprzedaż gazety przynosiła 180 złotych zysku (przy cenie 10 groszy za egzemplarz). Po stronie kosztów wydawania „Buntu” widnieje kwota 1500 złotych, z czego 1030 pokrywa „subsyzium”. Tajemniczy sponsor miał również jednorazowo wesprzeć tytuł kwotą 1800 złotych, niemal w całości przeznaczoną na spłatę zadłużenia.

Kto był fundatorem owego subsyzium, nie wiemy, ale gdyby konserwatyści nie pospieszyli wówczas z pomocą — zapewne nasz bohater nie wstąpiłby pół roku później do władz ich organizacji. O tym, że zachowawcy nadal finansowo wspierali pisma Giedroycia, świadczą dwa listy Adolfa Bocheńskiego, związane z trwającymi w redakcji dyskusjami

Miesięczny Preliminarz budżetowy "Buntu Młodych".

Rozchód miesięczny stały.

1/prenumerata odcinka humorystycznego i szarad	30zł
2/wypożyczalnia klisz	10 zł.
3/korespondencja	20zł
4/personel	
a/kolportaż, prenumerata, buchalterja	
b/maszynistka	
c/ekspedycja i woźny	
d/pomoc do ekspedycji	150 zł.
5/lokal ekspedycji i administracji	100 zł
6/druki i wydatki biurowe	50
7/porto i ryczałt	100
8/druk dwóch dwutygodników a 8 kolumn	
lub 4 tygodników a 4 kolumny	850
9/honoraria autorskie	150
0/ nieprzewidziane	50

Razem: 1510 zł.

Rozchód jednorazowy.

1/ długi /w drukarni mazowieckiej/	1600 zł.
2/urządzenie lokalu	50 zł
3/umeblowanie lokalu: stoły, krzesła, szafa i półki	150 zł

Razem: 1800 ZŁ

22222222

Przychód miesięczny stały

1/Ogłoszenia	300 zł
2/prenumerata	120 zł
3/ kolportaż	60 zł.
4/ subsydjum	
	1080 zł

Razem 1510 zł

Dochód jednorazowy.

1/ subsydjum

1800 zł

na temat stosunku do konserwatystów. Pierwszy, z września 1933 roku, przywołuje Rafał Habielski. „Siedzicie w lokalu konserwy i bierzecie pieniądze od konserwatystów”, wyrzucał Bocheński Mieczysławowi Pruszyńskiemu, którego brat, Ksawery, miesiąc wcześniej napisał w „Buncie”, że „dawna ideologia konserwatywna jako program, jako myśl, przez zniesienie przesłanek, na których ją oparto, przestała istnieć. (...) Gdyby młode pokolenie uniwersyteckie chciało było opierać się na «ideologii konserwatywnej», toby tego uczynić nie mogło, z braku tejże ideologii. Nawet gdyby chciało”. Zgodnie z innym listem Bocheńskiego, pisanym do brata, o. Innocentego — cytowanym przez Kazimierza Michała Ujazdowskiego — sytuacja wyglądała podobnie jeszcze w 1935 roku. „Co do jego możliwości finansowych, to nie mogę ci powiedzieć nic pewnego. Sądzę jednak, że jeśli Giedroyc przyrzeka, że zapłaci, to słowa dotrzyma. O ile mi wiadomo, to kapitały jego pochodzą od konserwatystów, ale nic pewnego pod tym względem nie mogę powiedzieć”.

Z preliminarza dowiadujemy się, że 300 złotych przynosił „Buntowi” druk ogłoszeń. Dla ich zdobycia Giedroyc również wykorzystywał swe kontakty wśród powiązanych często z wielkim przemysłem konserwatystów. W piśmie znajdujemy między innymi reklamy poznańskich banków (subwencji udzielał też Państwowy Bank Rolny). W jednym z pochodzących z tego okresu listów do Mieczysława Pruszyńskiego Redaktor prosił go o zdobycie „jakiegoś dobrego ogłoszenia subwencyjnego od Goetza, Łańcuta, Dzikowa lub Żywca. Najlepiej od wszystkich”. Łańcut i Dzików to oczywiście Potoccy i Tarnowscy. Goetz to baron Antoni Goetz-Okocimski, właściciel znanego browaru. Właścicielem konkurencyjnych dla działalności Goetza zakładów w Żywcu był Karol Stefan

Miesięczny preliminarz
„Buntu Młodych” z końca 1932 roku.

Habsburg, swego czasu — notabene — kandydat do polskiego tronu.

Również z Drukarnią Mazowiecką, na którą Giedroyc uskarżał się swemu byłemu szefowi, udało się doskonale ułożyć stosunki — jej właściciel, Józef Żychliński, był przyjacielem tak Raczyńskiego, jak Janty-Polczyńskiego. Z tym drugim zapewne łączyły go też interesy, Janta był bowiem jednym z szefów Związku Producentów Spirytusu, on sam zaś — prezesem Związku Cukrowników i Banku Cukrownictwa. Tak czy inaczej Żychliński — mówił w *Autobiografii...* Giedroyc — „dał nam półroczny kredyt, który był właściwie podarunkiem”.

Jeżeli nadzieje, jakie Giedroyc wiązał z ruchem konserwatywnym, skupione były wokół osoby Janty-Polczyńskiego, to rozwiały się one zapewne na początku 1934 roku. Były minister rolnictwa zrezygnował wówczas z wiceprezesury zachowawczego Zjednoczenia. Jako powód podawał — zarówno oficjalnie, jak i w korespondencji na poły prywatnej — niemożność pogodzenia działalności politycznej ze swoją aktywnością gospodarczą. Możliwe jednak, że do dymisji Polczyńskiego przyczynił się jakiś konflikt między nim a księciem Januszem Radziwiłłem. „Jeśli jakiegokolwiek odezwanie się moje mogło Pana Ministra urazić i spowodować jego krok, to najmocniej tego żałuję” — próbował Radziwiłł zmienić decyzję swego dotychczasowego zastępcy. Nadaremnie.

Ostatnim bodaj momentem, co do którego możemy być pewni, że istniały w nim związki Jerzego Giedroycia z zachowawcami — znów za sprawą Leona Janty-Polczyńskiego — były wybory w 1935 roku. Wacław Zbyszewski opisał obiad poświęcony przygotowaniom do nich, zorganizowany przez byłego ministra rolnictwa. Mieli się wówczas z Walerym

Sławkiem spotkać przedstawicieli „konserwy” — między innymi redaktor „Buntu Młodych”. W tym okresie, wedle wspomnianej sugestii Bocheńskiego, pismo korzystać miało jeszcze ze wsparcia finansowego zachowawców.

Nie ulega więc wątpliwości, że początki „Buntu Młodych” były ściśle związane z konserwatystami. Już w roku 1931 Giedroyc musiał cieszyć się zaufaniem otoczenia Janusza Radziwiłła, skoro został naczelnym redaktorem akademickiego dodatku do „Dnia Polskiego”, powiązanego ze Stronnictwem Prawicy Narodowej. Nie wiemy, kiedy on sam wstąpił w szeregi Stronnictwa — na pewno było to przed majem 1933 roku, kiedy sporządzono opublikowaną wyżej listę członków warszawskiego oddziału SPN. W tym okresie Giedroyc wspierał działalność Janty-Polczyńskiego, angażował się w proces zjednoczeniowy partii konserwatywnych i korzystał z ich wsparcia finansowego. Z pewnością więc jego relacje ze środowiskiem zachowawców, trwające co najmniej do roku 1935, nie miały charakteru incydentalnego i trudno je lekceważyć.

A jednak czynił to sam Giedroyc, w *Autobiografii...* choćby mówiąc: „Dla mnie cały ruch konserwatywny był ruchem nie bardzo poważnym. Grupa, która nazywała się grupą zachowawczą, miała na czele Bobrzyńskiego — syna wielkiego historyka — który był, prawdę mówiąc, osobnikiem dość tępym. Jediną osobowością, obdarzoną autorytetem i którą rzeczywiście szanowałem, był w tym środowisku Janusz Radziwiłł: miał wyrobione poglądy w każdej dziedzinie, zarówno gdy szło o politykę zagraniczną, jak o sprawy gospodarcze, i wielką inteligencję. Ja uważałem się za piłsudczyka, za marginesowego piłsudczyka”. Związki swych pism z ruchem konserwatywnym Giedroyc po wojnie konsekwentnie

marginalizował. Drażniło go wiązanie „Buntu Młodych” z konserwatystami, a „winę” za to składał na barki jednego tylko Adolfa Bocheńskiego. Nigdy też nie wspomniał o własnym zaangażowaniu w działalność partyjną. Być może — w końcu sam twierdził, że „ma sympatię dla spraw przegranych, ale przegrywać sam nie lubi” — nie miał ochoty przyznawać się do porażki. Jeśli bowiem miał ambicję, by zostać szarą eminencją tego środowiska, nie udało mu się to. Nie powstrzymał też zapaści ruchu konserwatywnego. W początku lat trzydziestych nie tylko jednak sam uważał się za konserwatystę — co doskonale przecież łączył z byciem piłsudczykiem — ale też postrzegany był przez zachowawców „starszego społeczeństwa” jako nadzieja tego ruchu. Wielu z nich zdawało sobie sprawę ze swej „bezbarwności”. W 1933 roku Aleksander Trzaska-Chrząszczewski, były szef Kancelarii Prezydenta RP, rozmawiał z Leonem Jantą-Połczyńskim na temat kondycji ruchu, z którym obaj byli związani. „Pan Minister zacytował profesora Ohanowicza, który miał powiedzieć, że poza «Buntem Młodych» żaden organ konserwatywny nie nadaje się do czytania, i doszliśmy do wniosku, że w tym powiedzeniu nie ma przesady — przypominał tę rozmowę Połczyńskiemu w liście z 31 lipca. — Poza tym stwierdziliśmy także, że to, co nazywamy «ideologią ruchu politycznego», u konserwatystów wcale nie istnieje”.

VII. „Bunt” — przeciw komu? „Polityka” — jaka?

Bunt Młodych” powoli zjednywał sobie jeśli nie sympatię, to z pewnością uznanie nie tylko u zachowawców. „Dowodem tego niech będą dwie krótkie opinie na jego temat:

„Na czoło czasopism wydawanych przez młodsze pokolenia obozu sanacyjnego wybija się bez kwestii «Bunt Młodych» — niezależny organ młodej inteligencji, reprezentujący poniekąd kierunek konserwatywny pod względem ideologicznym, ale obcy psychicznie całej polityce urzędowej konserwatyzmu... Jest w tym «Buncie Młodych» prawdziwe i szczerze «szukanie dróg»”.

„Jest to tygodnik o charakterze sanacyjnym, wyróżniający się tym od innych wydawnictw sanacyjnych, że jego redaktorzy więcej myślą, więcej czytają i mają więcej zdolności pisarskich, podczas gdy reszcie wystarczają gromkość frazesów i zdolność do wymyślań”.

Autorem pierwszej wzmianki, wydrukowanej w „Robotniku” w 1933 roku, był Mieczysław Niedziałkowski — redaktor naczelny organu Polskiej Partii Socjalistycznej. Druga ukazała się rok później w „Kurierze Lwowskim”, związanym wówczas z obozem Narodowej Demokracji. Oba tytuły, jak widać, doceniały nieszablonowość „Buntu” — jego odrębność w stosunku do ogółu prasy sanacyjnej, otwartość na dyskusję, poziom i świeżość publicystyki. Inaczej rzecz widział Alek-

sander Chrząszczewski — dla konserwatysty owo „szukanie dróg” szło chwilami za daleko: „Przeciętny czytelnik nie chce jałowej opozycji i powrotu do parlamentaryzmu, ale wprost łącznie krytyki władz i niezależnego zdania — pisał w cytowanym już liście do Janty-Połczyńskiego. — Jeżeli «Bunt Młodych» zjednywa sobie uznanie, to wcale nie dla jego niedonoszonych pomysłów, ale pomimo nich, a właśnie dzięki temu, że wychodząc z założeń zachowawczych, krytykuje «starszych zachowawców», którzy je opuścili, i jednocześnie zaznacza swoje niezależne stanowisko wobec Rządu”.

Punktem wyjścia dla krótkiego opisu „Buntu Młodych”, którego tytuł zmieniono później na „Politykę”, niechaj będzie książka Stefana Kisielewskiego — jednego z dalszych współpracowników redakcji. W 1946 roku doprowadził on opinię publiczną do wrzenia, wydając powieść *Sprzysiężenie*. „Że pan pisze pornografię, to jeszcze rozumiem, ale że taką nudną, to już niewybaczalne”, miał mu wówczas powiedzieć ksiądz Jan Piwowarczyk. Na jakiś czas zawiesił też publikację w „Tygodniku Powszechnym” felietonów Kisielewskiego. Trafność obu zarzutów księdza Piwowarczyka może sprawdzić każdy, komu uda się przebrnąć przez owo tomiścze, nie miejsce tu na ich roztrząsanie. Ważniejsze jest dla nas, że była to trzecia z kolei powieść, której jednym z bohaterów był Jerzy Giedroyc — sportretowany przez Kisielewskiego jako radca Geysztora. Kieruje on pismem „Polityka i Sztuka”, którego redakcja mieści się w jednym z zaułków nieopodal Starego Miasta, w lokalu chronionym przez żelazne sztaby na drzwiach i okratowane okna. „Ostrożności te nie były bezcelowe — pismo o charakterze «intelektualistyczno-rewolwerowym», jak to z satysfakcją określał redaktor Geysztor, mogło być i bywało narażone na ataki wykraczające poza krainę papieru, farby

i czcionek drukarskich, a wkraczające w sferę czynów gwałtownych. Zresztą personel redakcji nie oburzał się specjalnie na tego rodzaju ataki: ubezpieczał się przed nimi z rozsądku, ale bez gniewu (...). Ferment, jaki wywoływało pismo, nie miał nigdy charakteru pretensji prywatnych, spowodowanych brutalną niedyskrecją dziennikarską, napaścią osobistą czy oszczerstwem. «Polityka i Sztuka» nie parła się taką brudną robotą, jej «rewolwerowość» miała w rzeczywistości charakter czysto intelektualny i raczej abstrakcyjny — polegała po prostu na mówieniu prawdy (przynajmniej z punktu widzenia członków redakcji, gdyż prawda bywa rzeczą dosyć rozmaicie pojmowaną), głoszeniu z pasją i z upodobaniem myśli i idei niepopularnych, wreszcie na wykrzykiwaniu z rozkoszą rzeczy, o których nie lubili mówić nawet po cichu — wszyscy inni; istnieją takie sprawy, milcząco wyklęte i wykreślone ze słownika zarówno przez rząd, jak i przez opozycję, zarówno przez prawicę, jak i przez lewicę i przez centrum, zarówno przez burżuazję, jak i przez proletariat — słowem, sprawy nieprzyzwoite. A w takich sprawach lubował się cały zespół «Polityki i Sztuki» gorąco — przekora i ukochanie prowokacji intelektualnej, stosowanej wobec ludzi o nazbyt ustalonych i zaskorupiałych poglądach, były w tej redakcji niejako legitymacją członkowską. Nie należy jednak sądzić, aby redaktorzy i współpracownicy pisma stanowili jakiś klub cyników — po prostu cenili oni jedynie inteligencję i nie liczącą się z niczym szczerość, cenili je ponad wszystko, nie rezygnując z nich dla żadnych, nawet najważniejszych względów. Toteż pismo miało linię nieco chwiejną, nie brakło także nagłych wolt i paradoksalnych przeskoków o 180 stopni, co sprawiało, że pomimo obecności w redakcji szeregu nieprzeciętnych umysłów i doskonałych piór «Polityka i Sztuka» nie miała opinii

tygodnika poważnego, chociaż wszyscy czytali ją ze względu na błyskotliwą formę, inteligencję i przenikliwość rozważań ideologicznych, a przede wszystkim ze względu na rewelacje rzeczowe, wirtuozowskie popisy niedyskrecji i prawdomówności politycznej, które były dumą pisma i ozdobą każdego niemal numeru — jeśli nie wkroczyła tutaj zbyt dociekliwie cenzura. (...) Toteż współpraca w «Polityce i Sztuce» była swego rodzaju wygnaniem: żadne inne pismo nie przyjęłoby do swego grona któregoś ze współpracowników tego tygodnika — niemożliwe byłoby mieć do takiego przybłedy zaufanie — nie sposób byłoby uznać go za swego”.

Pismo „intelektualistyczno-rewolwerowe” — określenie to bardzo się Giedroycowi nie podobało. A wydaje się dość trafne. „Bunt Młodych” był bowiem redagowany niezwykle żywo, tytuły jego artykułów często prowokowały, a nieraz krzyczały. Już wówczas ujawniły się charakterystyczne cechy Giedroycia jako redaktora, o których sam mówił później: „Niewątpliwie we mnie jest dużo przekory i chęci prowokacji, to niewątpliwie odgrywa u mnie wielką rolę. Cały szereg rzeczy, które zamieszczam, to są niewątpliwie prowokacje”. Jego autorzy prowadzili nie tylko debaty czy polemiki — zdarzało im się też lekkie awanturnictwo i z pewnością sprawiało satysfakcję mocniejsze „przyłożenie” swoim oponentom. Obrywali wrogowie i przyjaciele, a ciosy rozdawane były dosłownie na prawo i lewo. Stałym ich obiektem była cotygodniowa biblia lewicującej części inteligencji, „Wiadomości Literackie”, niezwykle na łamach Giedroyciowego pisma zwalczane. Redaktor uważał je — co wspominał w *Autobiografii*... — za pismo „bez kręgosłupa”, krytykował „za pięknoduchostwo, za nieustanne szukanie «smaczków»”, za „rzekomą nowoczesność”. Aleksander Bocheński nazywał

je wprost organem „agitacji żydowskiej i liberalnej”. Kiedy „Wiadomości” przygotowały specjalny numer poświęcony kulturze sowieckiej, poinformował o nim również szacowny konserwatywny „Czas”. Oburzonemu tym faktem publicyście „Buntu” kazało to zastanawiać się, czy „Czas” to „organ niegdyś Pawłów Popielów i Stanisławów Tarnowskich, czy zwykła komunistyczno-bezbożnicza szmata”.

Miało to również związek z podstawową cechą „Buntu”, jaką była jego pokoleniowość. Giedroyc swoje pismo redagował, co widać wyraźnie, gdy przegląda się jego roczniki, za pomocą i dla trzydziestolatków. Buntowali się w nim młodzi. „Wiadomości Literackie” były pismem „starych”. Podobnie „stary” był konserwatyzm — o stosunku do niego często w piśmie dyskutowano i z reguły, wyrażając szacunek dla przeszłości, stwierdzano jego aktualną nieprzydatność. Pismo definitywnie podkreśliło brak związków z konserwatyзмом w 1937 roku. Nie do końca — jak wiemy — zgodnie z prawdą pisał wówczas zespół: „Nigdy od samego początku naszej działalności nie czuliśmy przy sobie żadnej grupy politycznej generacji przedwojennych...”. „Bunt Młodych” dla wielu był jednak „buntem młodych hrabiów”.

Redakcja stawiała się też — jak głosił tytuł jednego z artykułów — „poza socjalizmem i nacjonalizmem”, jako ideologiami równie nieaktualnymi. Pielęgnowano natomiast mocarstwową ideę silnego państwa, przy czym — jak wiemy z relacji samego Giedroycia — spierano się wewnątrz zespołu o to, jak daleko władza może się posunąć w używaniu owej siły. Giedroyc uważał procesy brzeskie za uzasadnione — bowiem „leżały w interesie państwa”, któremu zagrażał Centrolew — potępiał jednak niehumanitarne traktowanie więźniów w twierdzy brzeskiej. Za uzasadnioną uważał też



Pierwsza strona
„Polityki”
z 14 maja 1939.

ideę utworzenia obozu odosobnienia w Berezie, potrzebnego silnemu państwu. Inaczej Adolf Bocheński, o którym czytamy w *Autobiografii...*, że był to „człowiek kolosalnej erudycji i wielkiej bezkompromisowości”. „Na tym tle — pisze dalej Giedroyc — były między nami znaczne różnice, gdyż u mnie taktyka odgrywała dużą rolę. Dlatego też kłóciliśmy się o stosunek i do Brześcia, i do Berezy. Adzio postanowił udać się do Berezy i dać się tam zamknąć w obronie Mackiewicza;

z trudem go od tego odwołałem”. Rafał Habielski podkreśla, że „Polityka” „dość biernie” potraktowała uwięzienie Stanisława Cata-Mackiewicza w Berezie: „Sprawa wyjaśniła się przy okazji zwolnienia Cata, kiedy to, informując o fakcie, podano, że pismo ze względów od niego niezależnych nie mogło i nadal nie może wyłożyć swojego stanowiska w tej sprawie”.

Co jeszcze charakteryzowało „Bunt”? Hołdowano na jego łamach jednemu tylko, wyjątemu poza wszelką krytykę, autorytetowi — Józefowi Piłsudskiemu. Rzeczywistość „starych” opisywano z pozycji „młodych”. Żądano umożliwienia młodzieży poważniejszego zaangażowania się w życie polityczne. W 1936 roku „Bunt Młodych” rzucił wręcz hasło wspólnego frontu, który powinni stworzyć: „i Stahlowcy, i ONR, i młodzież narodowa, i młodzież imperialistyczno-państwowa, i młodzież katolicka, i wszystkie inne ugrupowania młodzieży, które nie podporządkowują interesów państwa, narodu, przyszłości — chwilowym apetytom radykalnym i ich rozgrywkom”. Nie wchodziła oczywiście w grę współpraca z lewicą, ani też z reprezentantami środowisk gospodarczych, skupionych w Centralnym Związku Przemysłu, Handlu i Finansów, zwanym Lewiatanem, któremu zarzucano między innymi infiltrację Polski przez obcy kapitał (czemu pewnego smaczku dodaje fakt, że w biurze kartelowym Lewiatana pracował wówczas Mieczysław Pruszyński).

Jaką postawę przyjął „Bunt” wobec najważniejszych prądów politycznych epoki? Zaczniemy od narodowców. Endecy, zwłaszcza młodzi, byli naturalnym przeciwnikiem. Wynikało to między innymi z konkurencji w środowisku akademickim — jeszcze niedawno, jako działacze Myśli Mocarstwowej, redaktorzy „Buntu” rywalizowali z nimi o studenckie głosy. Kontynuacja tych sporów przyniosła sensacyjny artykuł

na temat nadużyć, jakich mieli się narodowcy dopuścić w warszawskim Bratniaku. „Bunt” został za ten tekst pozwany do sądu, a w nim — sprawę przegrał.

Najważniejszym jednak argumentem przeciwko endecji był dla środowiska „Buntu Młodych” i „Polityki” jej anachroniczny nacjonalizm, czy może raczej: nacjonalizm pojmowany anachronicznie. Państwowcy z pisma Giedroycia uważali się bowiem również za nacjonalistów, ale na przykład w antysemityzmie widzieli zafałszowanie idei narodowej: „Bicie Żydów nie jest programem”, wypominano. Krytykowano Młodzież Wszechpolską za to, że wykluczając trzecią część współobywateli z życia państwowego, osłabia państwo. Różnicę między nacjonalizmem „fałszywym” a „słusznym” tak opisywał Adolf Bocheński: „Cała rzecz na tym polega, że my wielkość Polski łączymy z wielkością Rzeczypospolitej, obóz narodowy z bezwzględny opanowaniem tej Rzeczypospolitej przez element polski”.

Nie znaczy to, by kwestia żydowska dla „Buntu Młodych” nie istniała. Przeciwnie, dyskutowano ów problem dość często jako „jeden z najbardziej zaognionych”. To właśnie komentarzem do takich dyskusji był cytowany wcześniej artykuł Singera z żydowskiego „Naszego Przeglądu”. Opiszawszy środowisko „Buntu Młodych”, a następnie opublikowane w nim wówczas artykuły poświęcone kwestii żydowskiej, stwierdzał Singer, że „razem wzięwszy, są to tylko delikatne odmiany antysemityzmu”. Giedroyc, który z Singerem nawiąże w przyszłości bliskie kontakty, artykułu tego najwyraźniej nie pamiętał — twierdził bowiem po latach, iż zarzutów antysemityzmu jego pismu nie stawiano.

Pośród wielu osób bardziej i mniej do redakcji zbliżonych, których wypowiedzi na temat problemu licznej mniejszości

żydowskiej drukował „Bunt”, byli zarówno Żydzi, jak i otwarcie antysemita. Przeważała jednak teza, że należy uznać pełne prawa obywatelskie Żydów zasymilowanych, a zarazem popierać ideę emigracji Żydów do Palestyny, zgodną tak z polityką władz, jak i z ideologią ruchu syjonistycznego. Giedroyc — który jeszcze w ramach swej działalności w Myśli Mocarstwowej współorganizował Polski Komitet Propalestyński — po latach podkreślał zresztą, że ściśle w tej mierze współpracował z przywódcą Nowej Organizacji Syjonistycznej, Włodzimierzem Żabotyńskim. Palestyna była — według „Buntu” — jedynym rozwiązaniem problemu „3-milionowego getta w Polsce”. „Rasizm jest śmieszny. Getto jest szkodliwe”, pisano w artykule redakcyjnym. Nie wierząc w możliwość pełnej asymilacji tak licznej diaspory, publikowano również głosy jej zwolenników. Artur Lilien-Brzozdowiecki postulował wręcz prowadzenie przez państwo polityki „ekspansji na terenie żydowskim”, która wytworzyłaby „między Żydami prawdziwy wyścig do polskości”. Brzozdowiecki podkreślał, że powoduje nim troska „bardziej o Polskę niż o (...) współwyznawców. Żydzi ostatecznie niejedno przetrwali i niejedno przetrwają. Czy jednak Polska może teraz pozwolić sobie na wewnętrzne osłabienie się na takim polu, gdzie mogłaby łatwo znaleźć czynnik ogromnego wzmocnienia?”.

Kiedy ponad rok po ekscesach antysemita w miejscowości Przytyk podjęto nieudaną próbę zlikwidowania pułkownika Adama Koca, przywódcy Obozu Zjednoczenia Narodowego, Aleksander Bocheński wskazywał na konsekwencje „upaństwowienia” antysemityzmu. „Jeżeli pięć dni po kolei wybuchają petardy pod bramami żydowskimi w Przytyku, to szóstą wybuchnąć może i musi pod willą w Świdrach Małych” — tam właśnie dokonano zamachu na Koca.

Wszelkie przejawy pałkarskiego antysemityzmu redakcja z miejsca tępiła, nie tylko „ze względów katolickich i humanitarnych”, ale przede wszystkim „z punktu widzenia państwowej racji stanu”. Wybryki antyżydowskie uważano za przejaw anarchizowania państwa. Taki antysemityzm był dla grupy „Buntu” najgroźniejszy, o czym świadczy również opublikowany w 1935 roku reportaż z Niepokalanowa, autorstwa dominikanina Józefa Marii Bocheńskiego. Bocheński problemu antysemityzmu wydawnictw ojca Kolbego w ogóle nie dostrzegł. Opisując rozmach przedsięwzięcia i zapał jego twórców, bronił go natomiast przed zarzutami obskurantyzmu. „Jest to bardzo wielkie, bardzo piękne i bardzo szlachetne dzieło”, konkludował i apelował do czytelników „Buntu” o zaprenumerowanie „Małego Dziennika”.

Ostrzej problem postawiono w programowej pracy, jaką była dla środowiska „Polityki” książka *Polska idea imperialna*, wydana w 1938 roku. Kazimierz Studentowicz, autor rozdziału o kwestii żydowskiej, sugerował wywieranie presji na nie-skore do emigracji masy poprzez — między innymi — zakaz obejmowania części stanowisk państwowych przez osoby pochodzenia żydowskiego i walkę ekonomiczną. W *Autobiografii...* Jerzy Giedroyc ocenił te propozycje jako „nie do obrony”. Wyjaśniać jednak próbował — choćby Barbarze Toruńczyk, która pytała go o ów „antysemityzm-nieantysemityzm” jego przedwojennych pism. „Ale to dlatego — odpowiadał jej wówczas Redaktor — że ci ludzie nie znają rzeczywistości międzywojennej. I problemu żydowskiego, który był bardzo poważny”.

Mimo dużego krytycyzmu „Buntu Młodych” i „Polityki” wobec endecji środowiska te nie były uważane za wrogów, lecz jedynie za przeciwników. Kiedy wymagał tego interes



Pierwsza strona „Buntu Młodych” ze stycznia 1933 roku.

nadrzędny, czyli walka z siłami wrogimi państwu, można było ze sobą współpracować. Stąd zapewne udział „Buntu” w Komitecie Prasy Młodych, antykomunistycznym „froncie pism” zorganizowanym przez fascyzujący Ruch Narodowo-Radykalny. To jedyny związek „Buntu” z bępastami, jak nazywano członków Falangi Bolesława Piaseckiego. Inaczej rzecz się miała z „cywilizowanym” odłamek ONR-u, zwanym ABC od tytułu wydawanego przezeń pisma. Dziennik ten

polemizował z „Buntem” na przykład w sprawie stosunku do Ukrainy, ale wśród członków ABC znajdujemy nie tylko osobistych przyjaciół Giedroycia, jak wspomniany już Jan Pożaryski, ale też przyszłych współpracowników „Kultury” — z naczelnym „ABC”, Wojciechem Zaleskim, włącznie. Bliskie związki personalne łączyły też „Bunt Młodych” z młodopolskim tygodnikiem społeczno-kulturalnym „Prosto z mostu”. Część autorów Giedroycia — Czesław Straszewicz, Karol Żbyszewski czy Stanisław Żejmo-Żejmis — współpracowała również z tym tytułem, bardzo zresztą sprawnie redagowanym przez Stanisława Piaseckiego.

Skąd dłoń wyciągana co jakiś czas w stronę narodowej młodzieży przez „Bunt” i „Politykę”? Pisma Giedroycia niejednokrotnie wzywały obóz rządzący do otwarcia się na opozycję narodową. W dużym uproszczeniu można chyba stwierdzić, że Giedroyc stawiał po prostu nie na tego konia co władza. Pragnął wprzęgnięcia w pracę państwową „przywoitego” ONR-ABC, natomiast reżim zbliżył się w 1937 roku — za pośrednictwem Obozu Zjednoczenia Narodowego — do pałkarskiego RNR-Falangi.

A jak sytuowało się środowisko „Buntu Młodych” wobec obozu władzy właśnie? Tu sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana. Najtrafniejszym spośród używanych przez samego Giedroycia określeń jest chyba „wewnętrzna opozycja”. Ilustracją dla pierwszego okresu pisma niech będzie fragment listu Giedroycia do Mieczysława Pruszyńskiego z początku 1933 roku, w którym zamawiał u niego artykuł wstępny do kolejnego numeru: „Ponieważ artykuł Bocheńskiego «Czerwienimy się za was, panowie» został złośliwie skomentowany przez prasę opozycyjną, że myśmy całkowicie przeszli do opozycji, chciałbym, aby napisał Pan (...),

co nas łączy z sanacją, a dzieli z opozycją. Z sanacją zmiana konstytucji, wzmocnienie władzy, uniezależnienie prezydenta od partyjniactwa, krwawe wypracowywanie programu mniejszościowego (robią głupstwa, ale chcą się uczyć, naszym zadaniem jest im pomagać, wspólnie głowami kręcąc), proszę podkreślić to, czego nikt nie podkreśla i nie docenia: sprawę socjalną, że jesteśmy, jak mówią bolszewicy, zawieszeni między klasą a przestrzenią i tu się coś wykuwa. Ma się rozumieć, nie idealizujemy, ale uważamy, że w tej chwili tylko z nimi można coś robić, potem już sami młodzi dokończymy. Niech Pan wytknie opozycji, że za ich czasów też były koncesje, posady, afery w cieniu polityki, gdy socjaliści nie mieli większości, to też w Krakowie wyszli z karabinami. Dlatego też, jeśli atakujemy czasem sanację, to opozycja korzyści z tego nie ma, to są jej pyrrusowe zwycięstwa”.

Spośród piśsudczyków najbliższy był Giedroyciowi Waleri Sławek, autor porozumienia tego środowiska z konserwatystami. Przypominając obiad, na który Janta-Połczyński zaprosił przed wyborami w 1935 roku Sławka i młodych konserwatystów, Rafał Habielski dziwi się udziałowi Giedroycia w tym spotkaniu. Przypomina, że Redaktor miał być — co wiemy z *Autobiografii...* — przeciwnikiem obowiązującej wówczas ordynacji, istotnie odbierającej wyborom miano w pełni demokratycznych. Wydaje się, że te dwie kwestie Giedroyc oddzielał; co innego bowiem krytykować ordynację, co innego — jak uczyniła wówczas opozycja, bojkotując wybory — zrezygnować z realnego wpływu na życie polityczne. Habielski słusznie natomiast przypomina, że brak jasnej krytyki ordynacji na łamach „Buntu Młodych” spowodowany mógł być ingerencjami cenzury. Giedroyc często o nich wspominał, w jednym z wywiadów przyznając,

że z cenzorami miał dobre relacje, dzięki czemu unikał strat finansowych — wcześniej bowiem ustalał z nimi, co pójdzie. W efekcie pismo nie trafiało na przemiał, a co najwyżej ukazywało się z białymi plamami. Cenzura nie była zresztą jedyną konsekwencją „wewnątrzsystemowej opozycji” w piśmie Giedroycia. W 1935 roku rozpoczął się trzyletni okres bojkotu pisma przez towarzystwo kolporterskie „Ruch”, w którym przemożne wpływy miał pułkownik Bogusław Miedziński, redaktor naczelny „Gazety Polskiej”. Że stało się to po dymisji Sławka z funkcji premiera, może wskazywać — choć nie dowodzi — iż odmowa kolportażu pisma była odpryskiem walki frakcyjnej w obozie sanacji.

Walkę tę przegrał Walery Sławek, typowany wcześniej przez Piłsudskiego na prezydenta. Po śmierci Marszałka w 1935 roku został wyeliminowany przez swych kolegów z aktywnej gry politycznej. Zlikwidował założony niegdyś na polecenie Piłsudskiego Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Jego kontynuacją miał być wspomniany OZN, kierowany przez Adama Koca. Powstanie tak zwanego Ozonu pismo Giedroycia — przemianowane w tym samym czasie na „Politykę” — przyjęło dość optymistycznie, zalecając mu otwarcie się na narodową prawicę. Już po niespełna roku zaczęło go jednak krytykować — między innymi za nadanie antysemityzmowi szlifów idei państwowej. Deklarację programową pułkownika Koca chwalono za zapowiedź normalizacji polityki wobec Ukraińców, krytykowano jednak za brak „mocarstwowej” mobilizacji i ograniczanie się do postulatu „obrony Polski”. „Uważamy wychowanie Polski w duchu obrony i tylko obrony — pisał zespół «Polityki» — jako niebezpieczną demobilizację moralną wobec mobilizacji naszych sąsiadów”. Radykalnej mobilizacji żądano od władz



Odznaka Myśli Mocarstwowej.
„Młodzi endecy, członkowie
Obozu Wielkiej Polski, mieli jako
odznakę jeden mieczyk. Zapytani,
dlaczego nosimy dwa mieczyki,
odpowiadaliśmy żartobliwie:
jeden na opozycję, drugi
na sanację. Ten dowcip
odpowiadał rzeczywistości”
(Mieczysław Pruszyński,
Migawki wspomnień).

również w sferze ekonomicznej, z zazdrością przyglądając się powstającym w hitlerowskich Niemczech autostradom. „Żądamy hitleryzmu — domagała się «Polityka» — nie tego, który zabija wolność myśli i słowa, walczy z Kościołem, nie zadowolili się zupełnym odsunięciem Żydów od wszelkich wpływów politycznych, gospodarczych i kulturalnych, lecz stosuje wobec nich bezcelowy, brutalny ucisk; szerzy wokół siebie hasła skrajnego egoizmu narodowego, gotowego do tępienia wszystkiego, co by mu stanęło na drodze. Jest to część polityczna, która nie ma nic a nic wspólnego z prostym,



„Polityka”
z 25 lutego 1939.

jasnym planem likwidacji bezrobocia, który Schacht obmyślił, a Hitler przeprowadził. (...) Żądamy przerzucenia części nędzy na wszystkie klasy. Żądamy tępienia konsumentów luksusu, na który będziemy mogli sobie pozwolić wówczas, gdy nie będzie ani jednego bezrobotnego. Żądamy zaprzestania zbrodniczej w naszych warunkach walki z inicjatywą przedsiębiorcy i jego prawem do zysku. Źródło naszej nędzy tkwi właśnie w braku zysków oraz w nieodpowiednim zużyciu tej

nikłej ilości zysków, jaką się jeszcze cieszyć możemy. Domagamy się natomiast reinwestycji maksymalnej części zysków tak, żeby służyły one nie celom luksusowej konsumpcji, ale stwarzały wciąż nowe źródło zatrudnienia i wzrost naszego aparatu produkcyjnego”.

Opozycji — poza narodowcami — pisma Giedroycia nieczęsto poświęcały uwagę. Lewica niemal nie istniała na łamach „Buntu Młodych” czy „Polityki”, nie była bowiem przez te pisma uważana za partnera. Komuniści byli, ma się rozumieć, agentami Kominternu, ale i lewicy sanacyjnej wytykano, że idzie „śladami godnych swych przodków”, wśród nich wymieniając między innymi Marchlewskiego i Dzierżyńskiego. Ugrupowania Frontu Morges krytykowano za frankofilizm, a mniej merytorycznie — za powiązania masońskie. Publikacja artykułu o masonerii była zresztą powodem kolejnego przegranego przez redakcję procesu, wytoczonego przez Stanisława Strońskiego. O ile jednak później Stroński o całej sprawie zechciał zapomnieć, o tyle — również wymieniony w tekście jako mason — profesor Stanisław Kot ze Stronictwa Ludowego zapamiętał to Giedroyciowi na długo.

Trudno w tym wszystkim znaleźć jakiegokolwiek podstawy, by określić ówczesny światopogląd Giedroycia jako — jak on sam później twierdził — „lewicowo-liberalny”, czy wręcz „socjaldemokratyczny”. Poglądy jego i jego pism z pewnością bywały radykalne, ale lewicowe? Jedyny podawany przezeń argument, dotyczący jego stanowiska w sprawie reformy rolnej — „byłem skłonny parcelować Radziwiłła bez żadnych wahań” — odnosił się zresztą zapewne do ostatniego przed wojną okresu. Z pewnością bowiem zwykłe poczucie przyzwoitości nie pozwalało Giedroyciowi głosić tej tezy wcześniej — kiedy brał od Radziwiłła pieniądze. Zresztą, o ile

Wacław Zbyszewski (zaprzysięgły konserwatysta) w swych wspomnieniach o Giedroyciu przypisywał mu „sentymentalną lewicowość”, o tyle Stefan Kisielewski uparcie twierdził, że o żadnej lewicowości Giedroycia nie mogło być mowy. „A miałem w tej dziedzinie za sobą pewne kiepskie doświadczenie”, podkreślał Kisiel, przypominając, że jemu samemu zdarzyło się być członkiem lewicowego Legionu Młodych. Giedroyc zaś miał być według niego — co opisał w *Sprzysiężeniu* i powtarzał w swej publicystyce — zdecydowanym przeciwnikiem reformy rolnej i obrońcą interesów ziemiańskiej „konserwy”.

„Jeżeli mniejszości interesowały mnie szczególnie — mówi Giedroyc w *Autobiografii*... — to dlatego, że byłem przekonany, iż trzeba szukać z nimi porozumienia, gdyż inaczej one nas rozsadzą”. Od poruszonej już kwestii żydowskiej niewątpliwie ważniejsza była dla środowiska Giedroycia sprawa mniejszości ukraińskiej. W wymiarze polityki wewnętrznej groziła większą anarchizacją państwa — bardziej niż awantury antysemickie zagrażały mu bomby ukraińskich nacjonalistów. Dlatego przeciwstawiano się asymilacji — „Bunt” i „Polityka” żądały dla polskich Ukraińców maksymalnie szerokiej swobody życia narodowego. Dowodzono, że wszelkie akcje antyukraińskie powodują jedynie pogłębienie antagonizmów polsko-ukraińskich. Sprawa miała również wymiar międzynarodowy: skoro ukraiński nacjonalizm narastał, to należało skierować go nie przeciw Polsce, ale — zgodnie z założeniami ruchu prometejskiego — przeciwko Sowietom.

Mało brakowało, a sprawa ukraińska skończyłaby się więzieniem dla samego Giedroycia. W styczniu 1935 roku ukazał się w „Buncie” artykuł zatytułowany *Kirow a Pieracki*. Jego autor, Aleksander Bocheński, dowodził, że zamordowanie



Pogrzeb Bronisława Pierackiego, zamordowanego przez działacza Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, Hrihorija Maciejkę (trumna wynoszona z kościoła św. Krzyża), 18 czerwca 1934.

ministra Bronisława Pierackiego było oczywistym skutkiem antyukraińskiej polityki władz. Teza, że represje nie mają sensu, gdyż muszą powodować takie właśnie reakcje, „była nie do przyjęcia dla obozu piłsudczyków”. Tekst stał się nie tylko powodem konfiskaty nakładu przez cenzurę. Giedroyc dowiedział się wówczas od Rogera Raczyńskiego, że premier Marian Zyndram-Kościałkowski chce go, jako redaktora „Buntu”, internować w Berezie. Giedroyc był jednak urzędnikiem Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych — Kościałkowski zwrócił się więc do szefa resortu, Juliusza

Poniatowskiego, o uprzednie zwolnienie kłopotliwego referenta, „gdyż nie może przecież posłać do Berezy urzędnika państwowego — czytamy w *Autobiografii...* — (...) Wszyscy moi przyjaciele wstawiali się za mną bez skutku, aż nagle sprawa ucichła. Dopiero po bardzo długim czasie dowiedziałem się, że Poniatowski na Radzie Ministrów zagroził podaniem się do dymisji, jeśli dojdzie do internowania mnie”. Tyle relacji samego Giedroycia — z braku innych. Posiedzeń Rady Ministrów nie protokołowano wówczas ani tym bardziej nie nagrywano, a w oficjalnych komunikatach informacje takie, rzecz jasna, nie były podawane.

W *Autobiografii...* Giedroyc oceniał, że „Warszawa nie miała żadnej jednolitej i spójnej polityki narodowościowej. Decyzje podejmowali we własnym zakresie wojewodowie. Niektórzy ministrowie też usiłowali działać tak, jak uważali za słuszne. Jeden wojewoda pacyfikował Ukraińców, a inny szukał z nimi porozumienia. Józewski prowadził własną politykę na Wołyniu, a Bociański — na Wileńszczyźnie, Kostek-Biernacki polonizował Polesie, Kasprzycki jako minister spraw wojskowych tworzył szlachtę zagrodową i palił cerkwie”. Dla Giedroycia, obok wspomnianego wojewody Henryka Józewskiego, najważniejszymi partnerami w promowaniu dialogu polsko-ukraińskiego byli między innymi eks-wojewoda lwowski, konserwatysta Piotr Dunin-Borkowski, oraz środowisko skupione wokół „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” Włodzimierza Bączkowskiego. Na ten okres datuje się też ogromny sentyment Giedroycia dla metropolity greckokatolickiego Andrzeja Szeptyckiego — jako redaktor „Kultury” przez wiele lat zabiegał będzie o beatyfikację duchownego.

Związki Giedroycia z prometeizmem nie ograniczały się do kontaktów osobistych. Jeszcze będąc studentem profesora



Metropolita
Andrzej Szeptycki

ra Korduby na Wydziale Humanistycznym UW — gdzie Ukraińcy patrzyli na niego, jako na jedyne Polaka, „ze zdumieniem, jakby był żelaznym wilkiem” — został w 1930 roku pierwszym redaktorem kwartalnika „Wschód”, wydawanego oficjalnie przez Orientalistyczne Koło Młodych przy Instytucie Wschodnim. Wspominał potem, że inicjatywa wydawania pisma

poświęconego ideom prometejskim wyszła z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tadeusz Rozmanit, pisząc pół wieku później paszkwil *Podwójne życie Jerzego Giedroycia* — do którego jeszcze przyjdzie nam wrócić — uzna powstanie „Wschodu” za początek „dwójkarskiej” działalności Redaktora. Co innego teorie Rozmanita, co innego cytowane i reprodukowane przezeń dokumenty, udostępnione mu zapewne przez służby PRL. Te sprawiają wrażenie autentycznych. Pierwszym z nich jest notatka dotycząca „Wschodu” — wynika z niej, że pismo, na mocy porozumienia MSZ i Oddziału II, było subsydiowane przez obie instytucje. Wedle tego dokumentu

na przygotowanie pierwszego numeru Jerzy Giedroyc miał otrzymać 450 złotych. Zaraz po jego wydaniu zrezygnował z redagowania kwartalnika, „przeciążony obowiązkami urzędowymi”. W ułożonym przezeń numerze znalazła się między innymi odezwa Myśli Mocarstwowej, popierająca dążenia niepodległościowe narodów Kaukazu. „Liczcie na nas”, deklarowali mocarstwowcy. Od numeru drugiego „Wschód-Orient” ukazywał się pod redakcją wspomnianego już Włodzimierza Bączkowskiego — prezesa Koła Młodych.

W *Autobiografii...* Giedroyc wspomina, że forowana przezeń idea autonomii Małopolski Wschodniej miała pod koniec lat trzydziestych poważne szanse realizacji. Partnerami byli dlań w tej materii nie tylko działacze ukraińscy, z którymi miał stały kontakt — między innymi wicemarszałek sejmu Wasyl Mudryj — ale też szersze, „ponadpartyjne” grono polityków. Dla koncepcji tej zyskał nawet — jak wspominał — po „bardzo trudnych rozmowach” poparcie szefa sztabu Ozonu, pułkownika Wendy.

„Bunt Młodych” niezwykle uważnie śledził to, co działo się w Związku Sowieckim — podstawowym ekspertem w tej materii był Jerzy Niezbrzycki, publikujący w piśmie jako Ryszard Wraga. Cykl jego artykułów, zatytułowanych *Sowiety grożą Europie*, w których polemizował z tezami o „pokojoywych” nastrojach panujących jakoby w Armii Czerwonej, formułowanymi przez korespondenta prorządowej „Gazety Polskiej”, Jana Otmara Bersona, został wydany w 1935 roku i zapoczątkował serię publikacji książkowych „Buntu Młodych” i „Polityki”.

Sprawy międzynarodowe z każdym rokiem nabierały w pismach Giedroycia większej wagi, a artykuły Wragi-Niezbrzyckiego uzupełniały tezy najważniejszego w tej dziedzi-

nie publicysty „Buntu” i „Polityki” — Adolfa Bocheńskiego. Sytuację Polski — głosił już sam tytuł głównej jego pracy, *Między Niemcami a Rosją* — określały nie tylko stosunki z tymi państwami, ale również pomiędzy nimi. Polityka zagraniczna powinna więc być dostosowana do zachodzących zmian. „Polska ma do wyboru w prędszym czy późniejszym czasie — przewidywał Bocheński — albo walkę z Niemcami i Rosją jednocześnie, albo konflikt tych dwu państw między sobą”. Podstawowym celem polskiej polityki zagranicznej powinno więc być przeciwdziałanie ewentualnemu porozumieniu się Niemiec z ZSSR, a narzędziem — wspieranie tej strony, która dąży do konfliktu. Bocheński dowodził też, że polityka rosyjska w każdym wypadku będzie skierowana przeciwko Polsce. Jeśli Rosji potrzebny będzie na Zachodzie pokój, to zawrze go z silniejszymi od Polski Niemcami. Jeśli zaś Zachód będzie miał się stać terenem sowieckiej ekspansji, to pierwszą jej ofiarą padnie Polska. Stąd stawka na Niemcy, jak twierdził Giedroyc, idąca u Bocheńskiego dalej niż u niego samego. Polityczny realizm oraz odrzucenie wszelkiej „metafizyki” kazały środowisku „Buntu Młodych” i „Polityki” dostrzegać poprawę stosunków polsko-niemieckich. Z pewnością nie bez akceptacji naczelnego redaktora zespół pisma stwierdzał w 1937 roku, że „dla Polski regime hitlerowski jest korzystniejszy od stresemannowskiego, lepszy od rządów junkrów i Reichswehry, i od Niemiec komunistycznych”.

Wskazując na nieproporcjonalnie duże korzyści, jakie w porównaniu z Polską odniosła Rzesza z paktu o nieagresji, zespół „Polityki” podkreślał w 1938 roku: „Oczywiście ewentualne rachuby niemieckie na przyszły związek z Polską są dla nas czymś zupełnie nie do przyjęcia. Sprawa przymierza niemiecko-polskiego przeciw Rosji — to już całkiem co innego

VIII. Pan Redaktor, Pan Radca

Pismo to nie tylko idee, polemiki, publicystyka. To również tworzący je ludzie, zespół, a przede wszystkim Redaktor.

„Ten «Bunt Młodych» to się składał z par — opowiadał Giedroyć Barbarze Toruńczyk. — Bo bracia Bocheńscy, bracia Pruszyńscy, no i Zbyszewscy przez pewien czas”. Uściślijmy, że Bocheńskich było nawet trzech — pisywał czasami, obok Adolfa i Aleksandra, również ojciec Innocenty (czyli Józef Maria). Wymieńmy jeszcze choć kilka ważniejszych nazwisk: Jan Frankowski, Józef Winiewicz, Stanisław Żejmo-Żejmis, Kazimierz Sołtysik, Jerzy Reisler. Działem literackim kierował Czesław Straszewicz, o gospodarce pisywali zazwyczaj Kazimierz Studentowicz i Stanisław Skwarczyński. Charakterystyczne dla zespołu pisma było to, że jego członkowie rozsiani byli po całej niemal Polsce — nici kontaktów między nimi, zbiegające się w warszawskiej siedzibie redakcji przy ulicy Długiej, w dużej mierze trzymał w ręku redaktor Giedroyć. Zgodnie ze swą kameralną naturą spotykał się ze swymi współpracownikami na indywidualnych „konferencjach”, nie organizując większych zebrań.

Jakim szefem był dla współpracowników swych pism? Jak się wydaje, dość apodyktycznym. Nie tylko zamawiał u nich konkretne artykuły, dokładnie dyktując, jak mają brzmieć — czego dowodzi cytowany wcześniej list do Mieczysława Pruszyńskiego. Tych, którzy byli we współpracy

trudni, potrafił do niej przymusić. „Zmuszenie go — mówił Giedroyć o Waławie Zbyszewskim — do napisania artykułu, który obiecał napisać, wymagało na ogół zwabienia go do redakcji i zamknięcia na klucz. On dobijał się wtedy do drzwi, krzyczał, protestował, aż po pewnym czasie zapadała cisza i gdzieś po niecałej godzinie słychać było pukanie do drzwi i głos Zbyszewskiego, który domagał się, by goniec redakcyjny przyniósł mu z baru porcję bigosu”. Giedroyć sam w swych pismach nie publikował, ale — tak przynajmniej twierdził Adolf Bocheński — ingerował w teksty współpracowników, „dodając jakieś płody własnego pióra”. „Okropność” — martwiła Bocheńskiego myśl, że zmienione przez naczelnego teksty idą na jego konto.

Jerzy Giedroyć najwyraźniej dość wcześnie uznał, że „jego pismo to on”. Nie miał w zwyczaju wtajemniczania swych współpracowników w redakcyjne plany, zamierzenia i powiązania. Kiedy w 1934 roku doszło do krótkiego konfliktu między nim a Ksawerym Pruszyńskim, ten — dzięki wsparciu „króla drożdży”, Benedykta Libermanna — założył własne pismo, „Problemy”. Oficjalnym jego wydawcą był Piotr Dunin-Borkowski, który — jak wskazuje Rafał Habielski — mógł wówczas aspirować do przejęcia kontroli nad „Buntem”. Giedroyć twierdzi w *Autobiografii...*, iż przyczyną sporu były „nieprzyjemne cechy ambicjonalne” Pruszyńskiego i że ten „podebrał” mu Libermanna, który początkowo chciał finansować „Bunt Młodych”. Istotnie, rozmowy takie były prowadzone, zakończyły się jednak niepowodzeniem, gdy Redaktor odmówił ewentualnym dobroczyńcom możliwości jakiegokolwiek wpływu na pismo. „Giedroyć stanął na stanowisku — pisał wówczas Borkowski do Mieczysława Rettigera — że musi zachować tak własność pisma, jak i prawo

decyzji ostatecznej we wszystkich kwestiach polityki pisma”. Mieczysław Pruszyński twierdził natomiast, że „Problemy” powstały w wyniku wewnątrzredakcyjnego sporu o Berezę — Giedroyc bowiem, w trosce o los „Buntu”, nie chciał na jego łamach prowadzić większej kampanii przeciwko brutalnemu traktowaniu tam więźniów. W cytowanym już za Kazimierzem M. Ujazdowskim liście do brata, ojca Innocentego, Adolf Bocheński pisał jednak nie tylko o „zbyt sanacyjnym usposobieniu” Giedroycia: „Jednym z powodów, dla których rozstaliśmy się z nim, była właśnie ta głęboka nieświadomość, w której nas trzymał odnośnie do wszystkich prawie spraw redakcyjnych”. Konflikt dość szybko zażegnano, jako że zniknął główny przedmiot sporu — Libermann wycofał się z finansowania „Problemów”, te upadły, a ich współpracownicy nadal publikowali w „Buncie”.

Może największe w tym okresie zaufanie miał Jerzy Giedroyc do swych „technicznych” współpracowników — administratora pisma Jana Popławskiego (który wymyślił, by nazwać je tytułem jednego z artykułów Rowmunda Piłsudskiego), i Marii Prądyńskiej, zwanej Mają. W 1933 bądź 1934 roku zastąpiła ona chorego Popławskiego jako sekretarz redakcji. „Bez niej po prostu nie dałbym sobie rady”, mówi Giedroyc w *Autobiografii...* Atutem Prądyńskiej były między innymi szerokie kontakty — jako była sekretarka (ale też szwagierka) generała Adama Skwarczyńskiego ułatwiła Giedroyciowi poznanie pułkownika Wendy. Kontakty Giedroycia ze Skwarczyńskim sięgały jeszcze czasów jego „mocarstwowej” działalności wśród robotników i chłopów, stąd też wiele osób z jego otoczenia związanych było później z „Buntem”. Inny sekretarz Skwarczyńskiego, Tadeusz Zajączkowski, był — po Tadeuszu Bąku, a przed Henrykiem Rojeckim — jednym



Mieczysław Pruszyński (siedzi)
i Ksawery Pruszyński



z kolejnych redaktorów odpowiedzialnych pisma. Nazwisko Giedroycia musiało bowiem zniknąć ze stopki redakcyjnej w 1935 roku, kiedy nie dość, że premier próbował go internować w Berezie po artykule *Kirow a Pieracki*, to jeszcze popadł on w konflikt z ministrem Juliuszem Poniatowskim.

O pozycji Prądyńskiej, z którą połączy Giedroycia wieloletnia przyjaźń, niechaj świadczy fakt, że była obok niego jedynym członkiem zarządu spółdzielni wydającej „Politykę”. W redakcji odpowiadała za całość spraw organizacyjnych i administracyjnych pisma, w tym za prenumeraty



Aleksander Bocheński



Maria Prądyńska

i rachunkowość. Prenumeraty, jak zapamiętała, obejmowały około czterdziestu procent nakładu, którego wysokość trudno dziś precyzyjnie ustalić. Rafał Habielski jako nakład „Buntu” w latach 1933–1934 podaje liczbę trzech i pół tysiąca egzemplarzy, Giedroyc zaś wspominał, że było to „pięć do sześciu tysięcy”. Oba te szacunki z grubsza potwierdza Maja Prądyńska, według której nakład „Polityki” wynosił od dwóch i pół do pięciu tysięcy egzemplarzy. „Bunt” i „Polityka” nie zatrudniały wprawdzie nikogo poza dwoma gońcami i maszynistką, płaciły jednak honoraria — jak wspominała Prądyńska — „ludziom, którzy potrzebowali”. Potrzebować mieli podobno Pruszyńscy, nigdy zaś bracia Bocheńscy (z wyjątkiem ojca Innocentego). Wysokość wynagrodzeń wahać się miała od dwudziestu do nawet pięćdziesięciu złotych. Stefan Kisielewski wspominał, że za każdy ze swoich tekstów — niezależnie od ich objętości — inkasował po trzydzieści zło-

tych. Dodatkowym awantażem współpracowników „Buntu” i „Polityki” był darmowy bilet kolejowy, którym redakcja dysponowała dzięki Jerzemu Niezbrzyckiemu. Jednak pismo prowadzono niezwykle oszczędnie. Nawet opisany przez Kisielewskiego lokal redakcji przy ulicy Długiej 25 udało się wynająć od miasta „po znajomości” i stosunkowo tanio. Jeden z korporacyjnych kolegów Giedroycia pracował w warszawskim magistracie, dzięki czemu komorne wynosiło raptem dwieście złotych.

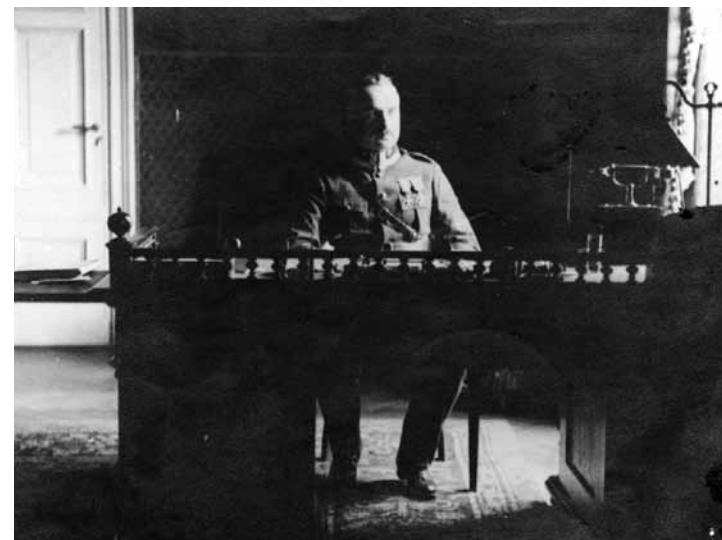
Przez ostatnie dwa lata przed wojną Prądyńska urządziła wieczory dyskusyjne Klubu „Polityki”, na których — jak opisywał Kisielewski w *Sprzysiężeniu* — „obok wybitnych polityków, dyplomatów i ekonomistów nie brak było różnych *enfants terribles*, politycznych detektywów, niebieskich ptaków, owych pseudogenialnych niedouków, w których kochał się radca”.

Wróćmy jeszcze do „radcy Geysztora”. W jakiejś mierze zapewne podobnie widzieli Giedroycia jego ówcześni współpracownicy: „Zarówno zdolność do zonglowania poglądami cudzymi, jak i zdolność posiadania i ukrywania poglądów swoich są w równej mierze nieodzowne dla prawdziwej wielkości politycznej. Obie — pomimo przeciwnych pozorów — posiadał Talleyrand i dlatego był twórcą politycznym, pierwszą tylko natomiast miał Fouché i dlatego pozostał jedynie politycznym wyrobnikiem. Otóż objawów zarówno pierwszej, jak i drugiej właściwości dopatrywał się Zygmunt w psychice redaktora Geysztora — kto wie, może przyszłego polskiego Talleyranda — choć na razie traktowanego w świecie politycznym dosyć sceptycznie.

Redaktor Geysztor miał lat około czterdziestu, pochodził z zamożnej rodziny ziemiańskiej, był bardzo wykształcony, zwłaszcza w dziedzinie historii i ekonomii, znał kilka

języków, sporo podróżował, w dodatku był wysoki i wybitnie, interesująco przystojny, bardzo elegancki, opanowany i uprzejmy — słowem, miał wszelkie dane potrzebne dla idealnego dyplomaty. Kochał się też w dyplomacji, w tajnych posunięciach, w maskowaniu się i odgrywaniu swej roli z ukrycia, w tajemniczej korespondencji, w ważnych poufnych informacjach — w całej tej politycznej dekoracji, która stanowić może formę istotnego rządzenia i działania — albo też tylko jego pozory. Pod tymi upodobaniami Zygmunt wyczuwał w nim jednak obecność głębszej i istotniejszej pasji: żądcę działania, namiętny kult energii i czynu, pragnienie wpływania na bieg wydarzeń i kształtowania losów społeczeństwa. Geysztor lubił paradoksy, często zadziwiał nagłą zmianą stanowiska lub pochwałą wygłaszaną na rzecz wczorajszego przeciwnika, lecz w tej elastyczności i giętkości była jakaś metoda, jakaś wewnętrzna linia, jakiś styl, a nawet pewien rys bezinteresownej wielkości. Wciągał do pisma kogo się dało, miał manię odkrywania talentów, lubił na przekór opinii wyszukiwać ludzi nieznanych, niepopularnych czy skompromitowanych i bez względu na poglądy udzielał im gościnnie szpalt swego tygodnika”.

Ów „kult energii i czynu” — może nawet „czynu bez ideologii”, jak chciał Adam Skwarczyński, główny myśliciel obozu piłsudczykowskiego — owocował u Giedroycia, jak on sam to nazwie, „kramikiem z pomysłami”. Nie poprzestawał na wymyślaniu dróg naprawy kraju i świata, próbował wprowadzać je w czyn, nieraz zapewne narażając się na śmieszność. Oto, jak opowiadał w *Autobiografii...*, jego „ostatnią piłsudczykowską nadzieją” po upadku Sławka miał być generał Sosnkowski. Przystąpił więc do montowania ruchu politycznego, który doprowadziłby do wyniesienia go na stanowisko



„A kto pan jest?” — pytał generał Sosnkowski Jerzego Giedroycia.

naczelnego wodza w miejsce Rydza-Śmigłego. Koncepcję tę poparli zaprzyjaźnieni działacze ONR-ABC: Jan Bajkowski, Wojciech Wasiutyński i Wojciech Zaleski — „(...) nie było nikogo innego”. Dzięki Rogerowi Raczyńskiemu dotarł Giedroyc do Sosnkowskiego i pomysł swój mu przedstawił, by usłyszeć: „A kto pan jest?”. Zdziwienia, że generał nie chciał w ogóle rozmawiać na ten temat z „sekretarzem wiceministra rolnictwa”, nie krył Giedroyc nawet po półwieczu.

Skłonność redaktora „Polityki” do politycznego hazardu i nietuzinkowych pomysłów odnotował też Stefan Kisielewski. Bohater jego powieści, stwierdziwszy istnienie „sprzyśiężenia” — jednak nie tego tytułowego, ono miało dalece inną naturę — rozmyśla następująco: „Osoba Geysztora była



Marszałek Edward
Rydz-Śmigły

w zasadzie gwarancją patriotyzmu całego przedsięwzięcia — ale Geysztor był nieco narwany (...) — co chciał zrobić — zamordować kogoś — w Warszawie — może Becka? Geysztor chciał maczać w tym palce — to w jego stylu”.

„Młodzi się już zestarzeli / (*hier begraben ist der Hund*) / woła więc politykować / niż uprawiać dalej bunt” — głosiła fraszka Tadeusza Hollendra, zamieszczona w piśmie w 1937 roku, gdy przemianowano je z „Buntu Młodych” na „Politykę”. Jego redaktorzy zapewne uznali, że niezdolnie jest epatować młodością, gdy się ma trzydziestkę na karku. Ale też

było coś z prawdy w tym, że zmiana nazwy spowodowana była „wołą politykowania”. Jerzy Giedroyc wspominał — znów musimy się w tym miejscu zdać na jego tylko relację — że w planowanych na rok 1940 wyborach zespół „Polityki” chciał wystawić grupę własnych kandydatów do sejmu. Pomysł miał już nawet zyskać akceptację szefa sztabu Ozonu, pułkownika Wendy. „Poza Studentowiczem, Aleksandrem Bocheńskim i Józefem Winiewiczem — wymienia ich Giedroyc w *Autobiografii...* — mieli to być Swianiewicz, Poczobutt-Odlanicki, Stanisław Skwarczyński i Seweryn Wysłouch, socjolog zajmujący się problematyką mniejszości narodowych — wszyscy z Wilna”. Redaktor chciał też przekształcić „Politykę” w pismo codzienne i w związku z tym planował zakończenie swej kariery urzędniczej.

Na razie bowiem praca redakcyjna wciąż była zajęciem „po godzinach urzędowania” radcy Giedroycia. Stosunki z kolejnymi szefami nie układały mu się najlepiej, o czym świadczy choćby wykreślenie w 1934 roku — ręką „Pana Ministra R. i R.R.” — jego nazwiska z listy planowanych podwyżek płac. Ministrem był wówczas Bronisław Nakoniecznikow-Klukowski. Giedroyc w *Autobiografii...* określił go jako „skądinąd nieprawdopodobne chamidło”, twierdząc przy tym, że mimo wszystko miał z nim „zupełnie dobre stosunki”. Z jego następcą, ministrem Juliuszem Poniatowskim — który mimo to, jak pamiętamy, bronił go przed internowaniem w Berezie — Giedroyc był już w otwartym konflikcie. Nie dziwi więc, że skorzystał z okazji i kiedy w resorcie rolnictwa podsekretarzem stanu został jego przyjaciel, Roger Raczyński, objął posadę jego sekretarza. Osobiste stosunki z Raczyńskim niewątpliwie ułatwiały mu w tym okresie życie. Ale w pewnym momencie, jak się wydaje, skonfliktowany

30.	Farbotko Józef	Radca Urz. Woj. Wilno	1893	"	12	1.7.1928	VII	406 380 400	Prac. aneg. w Wiln.	
					do VII-gi grupy uposażenia			326 300 385		
31.	Giedroyc Jerzy	Prac. referendarz 1908 w Centr. Zesz.		"	4	13.2.1930	VIII		skreślony przez 8. kuc R. i R.P.	
32.	Wodnicki Witold	Prac. kontr., p.o. pow. lek. wet. w	1874	"			VIII	303 280 335	Prac. aneg. w Wiln.	

Lista proponowanych awansów ze skreślonym nazwiskiem Jerzego Giedroycia, parafowana przez ministra Nakonecznikowa-Klukowskiego z dopiskiem: „skreślony przez P. Min. R. i R.”.

z Poniatowskim Raczyński nie mógł już chronić dalej Giedroycia. Minister — czytamy w *Autobiografii...* — „uznał, że się marnuję, że bycie urzędnikiem politycznym to zajęcie bez przyszłości i że powinienem zostać ekonomistą; wobec czego przydzielił mnie do departamentu ekonomicznego, do Adama Rose”. Wtedy to Giedroyc złożył dymisję, a jednocześnie rozpoczęła się „szalona awantura”, spowodowana artykułem *Kirow a Pieracki*.

Według tego samego, podstawowego źródła Giedroyc przeszedł z Ministerstwa Rolnictwa do Ministerstwa Przemysłu i Handlu „w końcu 1935 roku”. Ściągnąć miał go tam inny przyjaciel, Antoni Roman, mianowany szefem tego resortu. Z Jerzym znali się jeszcze z Zakonu Nieznanego Żołnierza. Skądinąd wiemy jednak, że Roman trafił do Ministerstwa Przemysłu i Handlu dopiero 15 maja 1936 roku (tydzień wcześniej otrzymał nominację na wiceministra spraw zagranicznych, którego to stanowiska nie zdążył nawet objąć). Różnicę terminów tłumaczy fragment rozmowy Mirosława

wa A. Supruniuka z Redaktorem „Kultury”. Jerzy Giedroyc wspomina w niej, że pomiędzy swym ustąpieniem z Ministerstwa Rolnictwa a chwilą, gdy został zatrudniony przez Romana, „miał okres kilku miesięcy, kiedy zawiśł w powietrzu”. Pracę miał mu wówczas proponować szef potężnego koncernu prasowego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, zwanego Ikacem, Marian Dąbrowski. Chciał, by Giedroyc poprowadził dział młodzieżowy krakowskiego dziennika. On sam miał już jednak ambicje wykraczające poza środowisko akademickie i sprawy pokoleniowe.

Z ministrem Romanem Giedroyc nie był chyba w tak bliskich stosunkach osobistych jak z Rogerem Raczyńskim. Dom tego ostatniego stał dlań otworem już w czasach Myśli Mocarstwowej, która w posiadłości Raczyńskich w Rogalinie urządziła nawet obozy letnie dla swych działaczy. Giedroyc bywał tam zapraszany również przy innych okazjach, między innymi na polowania. Na marginesie zauważmy, że nie strzelał dobrze; Maciej Morawski zapamiętał z opowieści



Roger Raczyński

rodziny, że zdarzyło mu się niegroźnie postrzelić innego z protektorów Myśli — Tadeusza Morawskiego...

Całkiem samodzielna pozycja Romana w Ministerstwie Przemysłu i Handlu zapewniała jednak Giedroyciowi o wiele

większe możliwości działania aniżeli wszelkie starania Raczyńskiego, skłóconego z własnym szefem. Giedroyc nie zrobił zawrotnej kariery ministerialnej — początkowo był urzędnikiem politycznym, a później zastępcą naczelnika wydziału prezydialnego. Dopiero w 1939 roku został naczelnikiem tegoż wydziału. Nie tytułatura była jednak ważna, ale powszechna wiedza, że jest zaufanym współpracownikiem ministra — szarą eminencją. Pracował u boku człowieka, który miał własne kontakty i przyjaźnie polityczne — między innymi z ministrem Beckiem — a to przydawało się również w pracy redakcyjnej.

Wreszcie, jako urzędnik wydziału prezydialnego, Jerzy Giedroyc towarzyszył Romanowi w wielu podróżach zagranicznych. Z niektórych wracał z odznaczeniami, przyznawanymi członkom oficjalnych delegacji niejako automatycznie. W przyszłości bardzo mu się przyda Legia Honorowa, któ-



Bronisław Nakoniecznikow-Klukowski

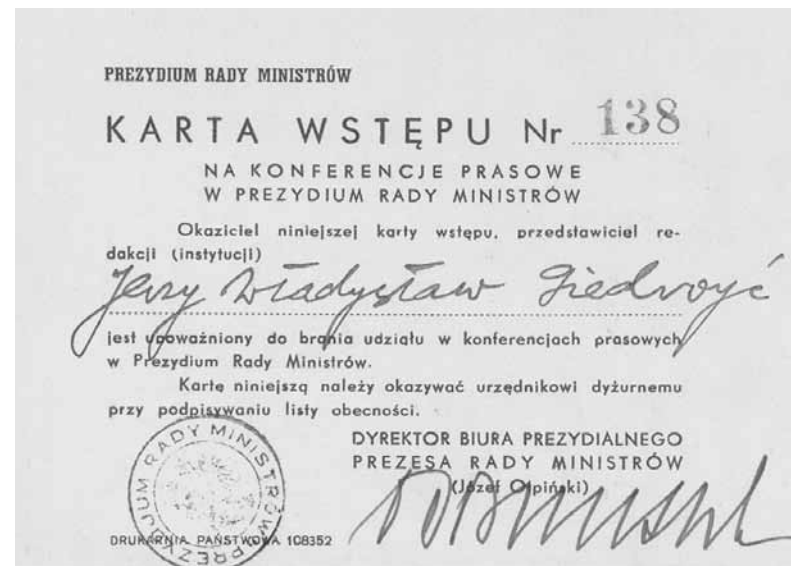
ra dostał przy okazji podpisania polsko-francuskich umów handlowych. Podczas innej podróży dostał Order Białej Gwiazdy — gdzie to było, na Łotwie czy w Estonii? — po latach sam prosił Norberta Żabę o sprawdzenie. W liście do niego pisał: „Najzabawniejsze, że z tego kilkudniowego pobytu nic nie pamiętam, gdyż było nieprawdopodobne morze wódki”. Żaba ustalił, że Giedroycia zmoęła gościnność Estończyków.

Najważniejszym ze służbowych wojaży Giedroycia był jednak ostatni przedwojenny rejs. Wypłynawszy 22 kwietnia 1939 roku z Gdyni na pokładzie m/s „Batory”, przybył 2 maja do Nowego Jorku. Dzień później, jako członek oficjalnej



Oficjalna wizyta ministra przemysłu i handlu Antoniego Romana w Paryżu, maj 1937 roku, drugi z prawej — Jerzy Giedroyc.

delegacji polskiej na Wystawę Światową, wziął udział w otwarciu polskiego pawilonu. Opowiadając o tej wyprawie, wspominał dwie rzeczy. Pierwszą były rozmowy ministra Romana na temat kredytów dla polskiego przemysłu galanterii skórzaney. Jako że ta na ogół „była w rękach Żydów”, próbowano kredyty uzyskać od Jointu. „W wyniku tych rozmów, zresztą bardzo trudnych — czytamy w *Autobiografii...* — Joint obiecał dać na ten cel 10 czy 15 milionów dolarów. Ale pod jednym warunkiem: rząd polski miał nie dopuścić do emigracji Żydów do Stanów Zjednoczonych. Na zaskoczenie



Karta wstępu na konferencje prasowe w Prezydium Rady Ministrów.

Romana i Łychowskiego nasi rozmówcy odpowiedzieli, że «Żydzi kapotowi» pobudzają tylko antysemityzm w Stanach Zjednoczonych, czemu oni chcą przeciwdziałać. Toteż mogą udzielić pomocy jedynie pod wspomnianym warunkiem».

Z Ameryki wracał Giedroyc — na pokładzie bliźniaka „Batorego”, transatlantyku „Piłsudski” — w nastroju zdecydowanie pesymistycznym. Pewien, że wojna wisi na włosku, przekonał się jednocześnie, że Amerykanie niczego z sytuacji europejskiej nie rozumieją. Zgodnie ze swą naturą Giedroyc uznał ich niewiedzę za okazję, by spróbować narzucić im



M/s „Batory”
i m/s „Piłsudski”.

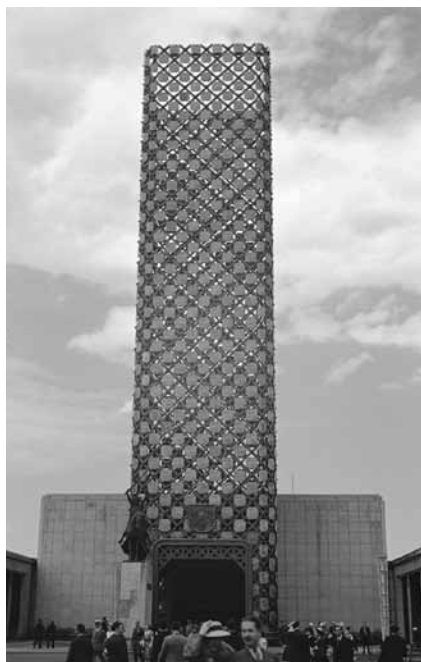


polski punkt widzenia. Gdy pod koniec maja wrócił do Warszawy, po raz kolejny udał się do generała Sosnkowskiego. W myśl nowej koncepcji Giedroycia Sosnkowski miał pojechać do Stanów jako szef specjalnej misji wojskowej. „Po upływie mniej więcej dziesięciu dni ppłk Kowalczewski, oficer do zleceń gen. Sosnkowskiego, zawiadomił mnie — opowiada Giedroyc w *Autobiografii*... — że generał się zgadza, jeżeli min. Beck mu taką misję zaproponuje. Sytuacja była paradoksalna. Min. Becka nie znałem, a w hierarchii urzędniczej stałem zbyt nisko, by móc takie sprawy załatwiać. W końcu przez Drymmera, choć byłem z nim wtedy pokłócony, doprowadziłem do tego, że min. Beck wyraził swoją zgodę. Ale było to już na dwa dni przed wybuchem wojny”. Fakt, że Giedroyciowi udało się zdobyć zgodę Becka na swój pomysł, każe docenić jego ówczesne wpływy. Że zabrało mu to niemal trzy miesiące — nie pozwala ich przeceniać.

Nastrój ostatnich przedwrześniowych miesięcy i wrażenia, z jakimi członkowie polskiej delegacji wracali z USA, opisała cztery lata później dziennikarka, Ludwika Ciechanowiecka:

„Okręt nazywa się «Piłsudski». Na werandzie podobnej do klatki szklanej, zawieszanej między niebem a wodą — nasza «paczka». Wracamy z wystawy światowej, nasyceni, trochę oszołomieni, jak dzieci znużone ostatnim dniem wakacji, zbyt przeładowane przyjemnościami.

Jeszcze nam szumi w uszach Nowy York jazgotem, wrzawą wielojęzyczną, sygnaturką wystawowych kolejek, łoskotem subwayów, jazzbandem luksusowych hoteli, wyciem syren policyjnych, które poprzedzały nasze auta, wypożyczone «gościom z Polski»...



Pawilon polski
na Wystawie Światowej
w Nowym Jorku.

Ameryka zjawiała się nam wówczas w osobliwej postaci. To był jakiś fantastyczny kiermasz, na którym wśród gołych nimf, gipsowych pomników, krów dojonnych elektrycznością, najszybszych na świecie samochodów, najpotężniejszych lokomotyw, naj-

krzykliwszych afiszów, najsmuklejszych kobiet i najszybciej produkowanych konserw (rzuca się do kotła wołu — wyskakują tysiące hamburgerów na grzankach) — biło dokoła sztuczne serce, stworzone przez doktora Carella, konkurenta Pana Boga.

(...) Pamiętam, że mnie ktoś wówczas poprosił o «kabałę». Plotło się trzy po trzy, a mimo to wyszło zupełnie dokładnie, że król karo — a był nim August Z. — jeszcze odegra ważną rolę. Natomiast nie powiedziały karty, że z naszej paczki kolega P... bić się będzie z Niemcami o Polskę, że straci rękę i dostanie się do niewoli; zataiły przed Jankiem... śmierć męczeńską, jaka nań czekała cierpliwie w Oświęcimiu... Nie przestrzegły dwóch innych kolegów dziennikarzy przed kartami Gestapo. Panu, który jedyny z nas ciemno w przyszłość patrzył, nie powiedziały o wędrownicy przez płonącą Polskę



J. Giedroyc, B. Singer, L. Ciechanowiecka, K. Pruszyński
na pokładzie m/s „Piłsudski” w maju 1939 roku.

aż do Ziemi Świętej, mnie nie wyjawily, że będę świadkiem oblężenia Warszawy, że zobaczę ołowianych, tępych żołnierzy Hitlera, maszerujących Ujazdowskimi Alejami, Ksawerego nie uradowały wizją z Narwiku, a Z., który prorokował wojnę, ale nie taką, nie ukazały mogiły młodziutkiego syna, co miał zginąć za Polskę aż pod Tobrukiem”.

IX. Jerzy

W powieści Rabskiego *Alma Mater* studenci właściwie najmniej się uczą. Najczęściej dyskutują i rozmyślają o Narodzie, Polsce i Sprawie. Ale też bywają w kawiarniach, na dancingach, spacerują i flirtują. Zapewne to samo robił w tym wieku Jerzy Giedroyc, choć z właściwą sobie skrytością niemal nigdy o tym nie opowiadał.

W pamięci rodzinnej zachowało się jednak wspomnienie młodzieńczego flirtu Jerzego. W 1927 roku, mimo że liczył już sobie lat dwadzieścia jeden, został przez rodziców wysłany do leśniczówki Łubianka na wspólne wakacje „dzieciarni” z bliższej i dalszej rodziny. Pojechał tam z młodszym bratem Zygmunt, synem ciotki Leokadii — Jurkiem Ziemnickim, oraz dwiema kuzynkami Babińskimi. To właśnie Wanda Babińska wpadła Jurkowi w oko. Ale sprawa skończyła się chyba wraz z wyjazdem z Puszczy Augustowskiej i nie wyszła zapewne poza trzymanie się za ręce i wspólne słuchanie słowików.

„W latach studenckich byłem zaprzyjaźniony z kilkoma osobami — czytamy w *Autobiografii...* — z Jankiem Pożaryskim oraz z panną Babińską i z panną Olą Stypułkowską, która była gwiazdeczką na Uniwersytecie Warszawskim, jako wybitnie przystojna dziewczyna”. Notabene, brat Aleksandry Stypułkowskiej, Zbigniew, był jednym z aktywniejszych młodych działaczy Stronnictwa Narodowego, a później jednym ze słynnych szesnastu, sądzonych w Moskwie. Czy wówczas, w końcu lat dwudziestych, Jerzy Giedroyc dał po sobie po-

znać, że urodę panny Oli w ogóle dostrzega? Można w to wątpić. W rozmowach z Teresą Torańską, która jako jedna z niewielu potrafiła czasem wyciągnąć z niego kilka słów na tematy osobiste, kilkakrotnie podkreślał, że „zawsze był w stosunku do pań niesłychanie nieśmiały”. Nie pomagała mu świadomość, że powszechnie uchodził za „wybitnie przystojnego”. Jeśli zauważali to nawet autorzy powieści, cytowanych w poprzednich rozdziałach, jeśli nawet kapitan Piątkowski w swych *Robotnikach* kilkanaście bodaj razy pisze o „boskim obliczu filmowego amanta” i jego „czarujących oczach” — jak musiały na dwudziestoparoletniego Giedroycia patrzeć kobiety? „Byłem podobno bardzo podobny do Charles’a Boyer, był taki aktor francuski”, powie Torańskiej, chyba nie bez pewnej dumy z porównania do ówczesnej gwiazdy ekranu.

O tym, że nie był pozeraczem serc, świadczyć może fakt, iż dość poważnie w owym okresie rozpatrywał pomysł zostania jezuitą. A że był to pomysł, nie powołanie, rzecz raczej pewna. „Podświadomie musiała odgrywać w tym rolę legenda jezuitów jako zakonu politycznego”, po latach oceniał Giedroyc w *Autobiografii...* Jak w ogóle trafił na ulicę Świętojańską, gdzie — przyklejony do warszawskiej katedry — znajduje się jezuicki kościół Matki Boskiej Łaskawej? Doszło do tego za sprawą Jana Popławskiego, odwiedzającego jezuitów z powodów czysto religijnych — opowiadał Giedroyc. Pamiętał, że było to „zupełnie przypadkowo w pierwszych latach «Buntu Młodych»”. To określenie nieco mylące. Jerzy z pewnością bywał na Świętojańskiej już wcześniej — tam bowiem właśnie msze święte zamawiała, z okazji rozpoczęcia roku akademickiego, rozmaitych swych zjazdów i innych uroczystości, Myśl Mocarstwowa. Możliwe, że inicjatorem był właśnie Popławski, z organizacją przecież związany.



Wanda Babińska
i Jerzy Giedroyc —
prawdopodobnie
wspólna Pierwsza
Komunia Święta.



„Byłem podobno bardzo
podobny do Charles’a Boyer,
był taki aktor francuski”.
Charles Boyer, lata trzydzieste
(z lewej) i Jerzy Giedroyc,
zdjęcie z legitymacji
Ministerstwa Przemysłu
i Handlu, 1939.

Oddajmy znów głos samemu Giedroycowi: „Przychodziłem tam coraz częściej, tak że był okres, gdy zacząłem całkiem poważnie myśleć o wstąpieniu do zakonu. Rozmowy z superiorem na ten temat były bardzo daleko posunięte. Ale on mnie od tego odwiódł. Wy tłumaczył mi, że jest to zamysł nie przemyślany, zbyt uczuciowy, że nie zdaję sobie sprawy z jego skutków, że nie będę się mieścił w klauzurze jezuickiej”. „Mądry superior!”, skomentuje później te wspomnienia ksiądz Adam Boniecki. Ów dotąd anonimowy superior zasłużył z pewnością, by zwrócić mu nazwisko — był nim zawołany krytyk literacki, ksiądz Jan Pawelski SJ. Ten sam, z którym Giedroyc w Zielone Świątki roku Pańskiego 1930 gościł u Janty-Połczyńskiego w Borach Tucholskich.

Możliwe jednak — jeśli Giedroyc wiosną 1930 roku wciąż jeszcze prowadził rozmowy z ojcem Pawelskim o swej ewentualnej zakonnej przyszłości — że nie tylko mądrość supe-

riora kazała mu zarzucić te pomysły. Na jego decyzję mogło wpłynąć spotkanie na balu zorganizowanym w Warszawie przez rosyjską emigrację.

Na balach Jerzy bywał, choć później określał swe życie towarzyskie jako „bardzo ubogie”. Nie tańczył, najłatwiej spotkać go można było krążącego wokół bufetu. Bale były dlań okazją do spotykania ludzi, których na co dzień nie widywał często, a kieliszek ułatwiał nawiązywanie kontaktów. Jerzy Giedroyc — który wypić mógł, potrafił i lubił — opowiadał później Teresie Torańskiej, że jego ulubionym trunkiem był „Machandel, to była złota wódka z Gdańska. Biały smak dzinowy i malusieńkie płatki złota”.

Jak trafił Giedroyc do środowiska „białych” Rosjan warszawskich? Sam wspominał często Dymitra Filosofowa, rosyjskiego krytyka i eseistę, który w Warszawie prowadził dyskusyjny klub literacki „Domik w Kołomnie”, a noce spędzał

często w Belwederze, dyskutując z Piłsudskim. Jak poznał go Jerzy, nie wiemy. Ale to pewnie on wprowadził tam Rogera Raczyńskiego, nie odwrotnie. Wizytę ich dwóch w „Domiku” zapamiętał Józef Czapski: „Filosofów powiedział dowcipnie: Pierwszy raz miałem dwóch ludzi z Dwójki”. „Dwójkarstwo” — z sympatią czy niechęcią — jak widać, zaczęto przypisywać Giedroycowi wcześniej.

Ale to nie żaden ze spotkanych u Filosofowa Rosjan wprowadził go w życie towarzyskie rosyjskiej Warszawy — spotkania w „Domiku” odbywały się kilka lat później. Może więc za sprawą kogoś z kręgów uniwersyteckich pewnego razu Jerzy Giedroyc pojawił się na balu, zorganizowanym — gdzie? Może w Resursie Kupieckiej na Senatorskiej, a może w Obywatelskiej na Krakowskim Przedmieściu? „Przed wojną emigracja rosyjska w Warszawie była bardzo sympatyczna, bale robili znakomite — wspominał później on sam. — Masa ładnych kobiet”. Jedną z nich, niespełna dwudziestoletnią Tatianę Szwecow, przedstawiono mu na takim właśnie balu.

Była piękna i tajemnicza. „Urodzona w Warszawie Rosjanka” — tyle oficjalnie będzie o niej mówił Jerzy. To, co mówili inni i co mówiła sama, nierzadko bywało sprzeczne.

Tatiana Szwecow urodziła się 28 października 1911 roku. W przyszłości będzie podawać rozmaite daty urodzenia, zazwyczaj odmładzając się o kilka lat. O jej rodzinie i pochodzeniu nie wiemy niemal nic. W mieszkaniu przy ulicy Koszykowej 20 zameldowane były w 1931 roku z matką, Olgą, jako obywatelki Rumunii wyznania prawosławnego. Kiedy rok później Olga będzie udzielać zgody na ślub córki, zrobi to w Kiszyniowie, w rumuńskiej Besarabii. Wreszcie w 1940 roku w Bukareszcie krążyć będzie opinia, że Tatiana jest rosyjską Żydówką. Wydaje się, że rodzina Szwecowów istotnie



Tatiana Szwecow

mogła wywodzić się z Besarabii — w każdym razie nazwisko to wielokrotnie pojawia się na listach osób uprawnionych w Besarabii (i w samym Kiszyniowie) do udziału w wyborach do Dumy Państwowej w latach 1906 i 1907. A żydostwo? Niewykluczone, w prowincji tej diaspora była dość liczna.

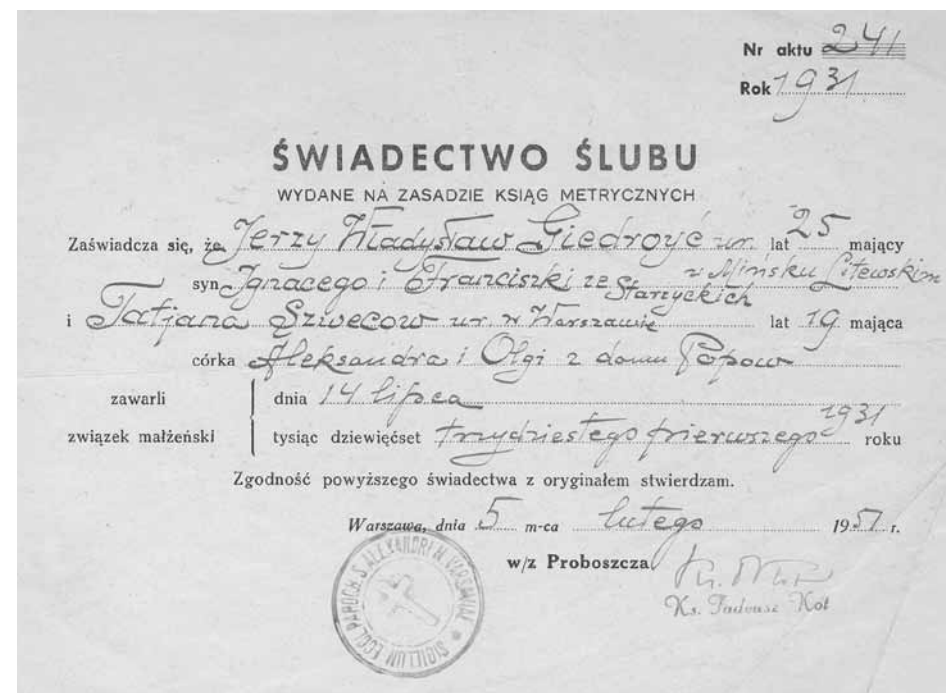
Jeszcze raz uprzedzając wydarzenia, postawmy kolejny znak zapytania. Dlaczego Tatianie — skoro w 1931 roku była obywatelką rumuńską — osiem lat później, ewakuując się z nią do Rumunii, Jerzy w ostatniej chwili załatwił polski paszport? Możliwe, że po ślubie zmieniła obywatelstwo i po prostu nie miała przy sobie wcześniej wydanego dokumentu. Możliwe jednak również, że pozostała obywatelką rumuńską, ale w chwili wybuchu wojny wołała w swej ojczyźnie występować jako Polka. Besarabia do 1918 roku należała do Rosji, Związek Sowiecki upominał się o nią coraz głośniejsz (aneksja nastąpi już w roku 1940). Tatianie Giedroyc groziło więc ryzyko zostania obywatelką „ojczyzny

światowego proletariatu”, na co z pewnością nie miała najmniejszej ochoty.

„Rodzice mojej późniejszej żony, którzy postanowili przenieść się do Francji, zatrzymali się na jakiś czas w Berlinie. Pojechałem pożegnać się z nią i wtedy właśnie zaręczyliśmy się”. Wtedy, czyli w 1930 roku — w *Autobiografii...* Giedroyc nie podał dokładnej daty. Z Berlina, jak już wiemy, rodzice Tatiany pojechali nie do Francji, ale do Kiszyniowa. Ona sama wróciła do Warszawy na początku czerwca 1931 roku. W księdze meldunkowej zapisano, że jest „studentką”. Nie znajdujemy jej nazwiska w dokumentach warszawskich uczelni. Może więc rozpoczęła studia w Berlinie i przerwała je dla Jerzego? Gdy w 1940 roku będzie przesłuchiwana w Bukareszcie — o sprawie tej mowa będzie szczegółowo w następnych rozdziałach — powie, że ukończyła w Warszawie liceum francuskie.

14 lipca 1931 roku wikariusz kościoła Świętego Aleksandra przy placu Trzech Krzyży, ksiądz Apoloniusz Kosiński, udzielił ślubu Tatianie Szwecow i Jerzemu Giedroycowi. Jedynymi świadkami byli bliscy Jerzego — jego brat Zygmunt oraz, również już wspomniany, Henryk Gawroński. Tatiana, choć nie było to niezbędne, „przed zawarciem ślubu przeszła na obrządek rzymskokatolicki”. Tak mówił przesłuchiwany w 1940 roku Giedroyc, potwierdzi to potem ona sama, utrzymując bliskie relacje z polską parafią katolicką w Londynie.

Zaślubiny nastąpiły o szóstej wieczorem. Później młoda para powędrowała na Książęcą, gdzie państwo Giedroycowie urządzili kolację dla najbliższej rodziny. Żadnego wesela nie było — tylko kolacja. Zapamiętał to Henryk Giedroyc, chociaż miał dopiero dziewięć lat. Ciotki zapewne stawily się w komplecie. Czy z Kiszyniowa przyjechali rodzice pan-



Świadectwo ślubu z 1931 roku.

ny młodej, nie wiemy. Ostatecznie wyjechali do Francji, ale trudno powiedzieć kiedy. W 1934 roku pani Olga Szwecowa znów zameldowana była w Warszawie, przy Alejach Ujazdowskich pod numerem 20.

Przez pierwszych kilka miesięcy państwo młodzi mieszkali w pokoju Jerzego na Książęcej, w Szpitalu Świętego Łazarza. Mieszkanie u rodziców rzadko sprzyja szczęściu młodych małżonków, toteż trudno się dziwić, że Jerzy postanowił po raz pierwszy w życiu — i chyba ostatni — wykorzystać swą pozycję dla celów zupełnie prywatnych. O ile bowiem bez

większego skrępowania często łączył działalność ministerialną z aktywnością polityczną i zajęciami redakcyjnymi, o tyle nie było mowy o wykorzystywaniu ich dla spraw osobistych. Henryk Giedroyc wspominał, jak ojciec raz tylko poprosił Jerzego o protekcję dla kogoś: „Sprawę niby załatwił, ale ile czasu się gniewał, chodził cały nachmurzony...”. Tu jednak od swej zasady odstąpił.

Czy to Tatiana suszyła mężowi głowę, by jak najprędzej wyprowadzić się z Książęcej? Niewątpliwie niełatwo żyło jej się pod jednym dachem z rządzącą domem mamą Giedroyciową. Pan Ignacy szybko zaakceptował Tatianę, ale jego żonie przyszło to trudniej. Pewna swoich gospodarskich talentów, niezwykle krytycznie oceniała je u swojej synowej (sytuacja powtórzy się, gdy niedługo później ożeni się Zygmunt).

A może starania o nowe lokum rozpoczęli wpływowi znajomi Jerzego — Roger Raczyński lub minister Janta-Półczyński — dopiero post factum go o tym informując? Sam Giedroyc przyznaje w rozmowie z Hanną Gizą, że „mieszkanie na Brzozowej dostał tylko dzięki protekcji”. Nie wiemy dokładnie, kiedy to się stało, ale zapewne jeszcze w 1931 roku. Wszyscy odetchnęli: Tatiana z Jerzym byli nareszcie u siebie, a na Książęcej, w opuszczonym przez syna pokoju, pan Ignacy mógł urządzić sobie gabinet.

„Zupełnie zwyczajny dom”, mówił Redaktor Hannie Gizie. Nie do końca to prawda. Brzozowa 4 (nie 12, jak wspominał później w *Autobiografii...*) to nie był zwyczajny adres. Kamienica wchodziła w skład gigantycznego zespołu domów, zbudowanego kilka lat wcześniej na Starym Mieście przez Pocztową Kasę Oszczędności. By tam trafić, należało od Rynku Starego Miasta pójść ulicą Celną w stronę Wisły, ku tak zwanej Gnojnej Górze (średniowieczna nazwa oznaczała



Gmachy PKO przy ul. Brzozowej/Bugaj — panorama od strony Wisły.

wysypisko śmieci). Tuż obok znajdowała się przed wiekami pierwsza siedziba Szpitala Świętego Łazarza.

Rozmach architektoniczny „kondominium” PKO wywoływał wiele kontrowersji wśród architektów i dziennikarzy, którzy czasami oskarżali je o „przyćmiewanie” położonego nieopodal Zamku Królewskiego. Zaprojektowana przez Mariana Lalewicza neoklasycystyczna budowla, w której skład wchodziły kamienice przy Brzozowej 2 i 4, Bugaj 3 i 5 oraz wewnętrzny ogród, tarasowo schodziła zboczem Gnojnej Góry ku Wiśle.



Mieszkanie Jerzego Giedroycia, zaznaczone na planie kamienicy przy ul. Brzozowej.

„Były to trzy pokoje na trzecim piętrze, niestety bez windy, ale bardzo wygodne” — to znów *Autobiografia*... Mieszkanie miało ponad dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych. Trudno powiedzieć, jaki czynsz płacił Giedroyc. Zapewne było to spore obciążenie dla urzędniczego portfela, ale też nie płacił raczej ceny „wolnorynkowej” — do niedawna nie było go stać na wynajęcie żadnego mieszkania. Z pewnością więc do wszechmocnego dyrektora PKO, Henryka Grubera, zaprotegował Giedroycia nie byle kto. „Dyrektor PKO przed wojną w Polsce to bardzo wielka figura — opowiadał Teresie To-

rańskiej. — (...) On w PKO zawsze miał ogromne pieniądze i dawał ogłoszenia, które były zawsze bardzo dobrze płatne i prasa ich bardzo poszukiwała”. Ów były legionista istotnie był człowiekiem prężnym i wykazał jako dyrektor Kasy Oszczędności niezwykle uzdolnienia w zakresie kreowania wizerunku zarządzanej przez siebie firmy. Spore pieniądze przeznaczał na reklamowanie się w prasie, polskie miasta ozdabiał neonami zachwalającymi swą firmę i wydawał własne publikacje. Nie sposób nie zauważyć, że w „Buncie Młodych” publikowano — nieoznaczone jako reklamowe — artykuły na temat potęgi PKO i gwarancji, jakie zapewniała ona swym klientom. O tym, że z Gruberem środowisko „Buntu” miało jakieś powiązania, świadczy również to, iż po sąsiedzku, przy ulicy Bugaj 3, zamieszkała Maja Prądyńska. Był to chyba element świadomej polityki dyrektora. W gmachach PKO mieszkali bowiem nie tylko pracownicy tej instytucji, ale też ludzie z nią niezwiązani, lecz wpływowi — tu na przykład, po opuszczeniu mieszkania na Zamku Królewskim, wprowadziła się wdowa po Stefanie Żeromskim, Anna, z córką Moniką.

„Po ślubie nie prowadziliśmy życia światowego — czytamy w *Autobiografii*... — Niekiedy grywano u nas w brydża, co było specjalnością Tatiany; mnie karty nudzą. Bywało u nas bardzo mieszane towarzystwo: Antoni Roman z żoną, Wojciech Zaleski z ONR-ABC, Bernard Singer. W sumie byłem stale zapracowany i poświęcałem na rzecz roboty życie osobiste i towarzyskie”. Okazji do wspólnego „bywania” jednak nie brakowało, a w początkowym okresie małżeństwa Jerzy z pewnością ich nie unikał. Dzięki temu poświęcony mu tekst — który Redaktor przez lata trzymał w swoich dokumentach, a który opublikowano dopiero po jego śmierci

w ostatnim numerze „Kultury” — mógł Wacław Zbyszewski zakończyć następująco: „Nigdy nie zapomnę chwili, gdyś go widział po raz pierwszy w życiu na tarasie warszawskiego Yacht-Klubu, w piękny dzień czerwcowy, razem z żoną, Tatjaną, Tanią dla przyjaciół. Była to najpiękniejsza para, jaką widziałem w życiu, on wyglądał na księcia z Tysiąca i Jednej Nocy, ona na królową piękności, mody, szyku, szarmu, uśmiechu. W porównaniu z tą promienną parą, John Kennedy i Jackie, wyjeżdżający z Londynu z Mac Millanami, to była tylko kopia, tylko naśladownictwo”.

Czy rzeczywiście Tatiana była tak piękna? Henryk Giedroyc, nie ukrywający swej fascynacji bratową, mówił: „Nawet ci, których ideału piękna nie odzwierciedlała w pełni, rzadko potrafili się oprzeć jej urokowi. Miała — po prostu — niewiarygodny sexappeal!”.

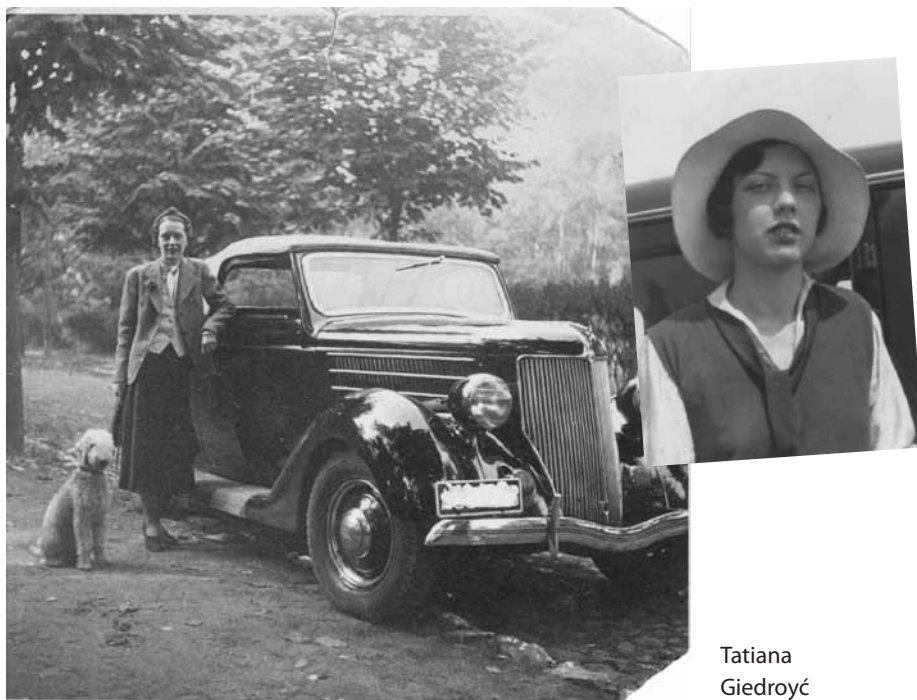
Rzadko bywał teraz Jerzy u rodziców, choć — według Henryka Giedroycia — częściej jednak niż tylko „podczas świąt rodzinnych oraz na Boże Narodzenie i na Wielkanoc”, jak podaje *Autobiografia...* Jego światem wciąż było ścisłe centrum Warszawy. Z domu na Brzozowej do Ministerstwa Rolnictwa na Senatorską były dwa kroki. Równie blisko znajdowała się redakcja przy Długiej. Dopiero Ministerstwo Przemysłu i Handlu było nieco dalej, na ulicy Elektoralnej. Ale wtedy Jerzy nie musiał się już dostosowywać do porannych zwyczajów ministra Janty-Połczyńskiego — Antoni Roman nie był jako szef tak wymagający. „Ja, broń Boże, nigdy nie przychodziłem na ósmą — opowiadał Giedroyc o «tych śmiesznych, przedwojennych czasach» Teresie Torzeńskiej. — Zawsze przychodziłem koło dziesiątej, trzeba było pozalać prasę... Potem posiedzenie sejmu — byłem referentem prasowym i łącznikiem z sejmem — a potem

dom w sensie obiadu, potem redakcja «Buntu Młodych» czy «Polityki», która mnie pochłaniała, a wieczorem jakieś historie, jakieś spotkania, zebrania”.

W ciągu dnia sprawy załatwiała się również na mieście. Jerzy Giedroyc nie bywał w ulubionych restauracjach i kawiarniach kulturalnego beau monde’u — w Adrii, Ziemiańskiej, gdzie mógłby się natknąć na któregoś ze skamandrytów tak w jego piśmie krytykowanych, czy w Ipsie (Instytut Propagandy Sztuki). Nie, „moją specjalnością — wspominał — były kawiarnie i bary hotelu Europejskiego”. Tam zaś — niemal w pół drogi między siedzibą prezydenta, Zamkiem Królewskim a sejmem i Generalnym Inspektoratem Sił Zbrojnych, obok Pałacu Namiestnikowskiego, gdzie mieściła się Rada Ministrów, kilka minut spaceru od Ministerstwa Spraw Zagranicznych przy placu Saskim — spotykała się polityczna śmietanka Warszawy i Polski, wyżsi urzędnicy i działacze partyjni, politycy cywilni i mundurowi.

W ciągu dnia wpadał Jerzy do domu na obiad, przygotowywany przez gosposię, panią Bronisławę Falczyńską. Jej umiejętności kulinarne też zresztą były przedmiotem krytyki pani Franciszki Giedroyciowej. „Aż strach pomyśleć — śmiał się Henryk Giedroyc — jak wyglądały ich relacje w czasie okupacji, gdy wyrzuceni przez Niemców ze Szpitala św. Łazarza, rodzice przenieśli się na Brzozową”. Po obiedzie Jerzy wędrował do redakcji, gdzie przesiadywał często do późnego wieczora. Wtedy znów ruszał w miasto, by na „konferencji” spotkać się z Iksem czy przy kolacji podyskutować z Igrekim.

Co w tym czasie robiła jego młodziutka żona? Nie pracowała i nie uczyła się. Dnie spędzała w domu i ze znajomymi, których Jerzy ani dobrze nie znał, ani którymi się nie



Tatiana
Giedroyc

interesował. Tatiana zaś niespecjalnie interesowała się jego sprawami. Początkowo zapewne starał się wracać do domu wcześniej niż zwykle, później jednak łączyło ich coraz mniej. Wspólny obiad, jego późne powroty; jedynie urlopy czasami spędzali razem. Nic dziwnego, że stopniowo zaczęła oddalać się od pochłoniętego swymi pasjami męża. Wciąż chyba trwająca wzajemna fascynacja nie wystarczyła, by małżeństwo przetrwało. W końcu, zapewne gdzieś na przełomie lat 1936 i 1937, wśród jej znajomych pojawił się architekt, Edward Seydenbeutel.

W 1940 roku, gdy Jerzego przesłuchiowano w Bukareszcie, datę swego rozstania z żoną określił na marzec 1937 roku. Nie opowiadał nigdy, jak wyglądało wcześniej ich pożycie ani jak doszło do separacji. Plotka głosi, że zapytał Seydenbeutla wprost: „Czy ma pan wobec mojej żony poważne zamiary?”. To relacja niczym nie potwierdzona, ale warta zacytowania dlatego, że — jak twierdził Henryk Giedroyc — taka reakcja doskonale by do Jerzego pasowała. On sam, piętnastoletni wówczas chłopak, niemal nie zauważył, jak rozpadło się małżeństwo brata. „Tatiana była — opowiadał — i nagle zniknęła. W domu się o tym nie mówiło”. Jednak ciotki Starzyckie były ponoć oburzone.

Możliwe, że jeszcze przed krytycznym marcem 1937 roku Jerzy dostrzegał, iż jego hierarchia wartości źle wpływa na związek z Tatianą. Po latach mówił Teresie Torańskiej, wspominając swe małżeństwo: „Ja nie mam życia prywatnego i mieć nie potrafię. Przypuszczam, że osoba, która by się ze mną związała, byłaby osobą nieszczęśliwą, bo dla niej nie miałbym zupełnie czasu. (...) Nie mogłem myśleć o jakimś życiu rodzinnym. A jeszcze poczucie odpowiedzialności — nie wyobrażałem sobie, żeby mieć dziecko. Dla mnie posiadanie psa jest problemem. Łatwiej jest decydować o losach ojczyzny itd., niż zwierzątko czy dziecka. (...) Parę razy mi się zdawało, że byłoby rzeczą ważną czy ciekawą posiadanie dziecka... Ale już odpowiedzialność za mego brata — między nami jest bardzo duża różnica wieku, szesnaście lat — straszliwie zawsze na mnie ciążyła”. Psa na Brzozowej nie było, a czy rozmawiano o dzieciach? Tatiana po wojnie, już jako pani French, będzie miała córkę.

Pana Seydenbeutla Tatiana jednak nie poślubiła. Jerzy Giedroyc twierdził, że rozpoczęto wtedy procedurę

rozwodową — przed konsystorzem w Wilnie. Czemu tam? Wileński Konsystorz Ewangelicko-Reformowany słynął w całej Polsce z łatwego rozwiązywania małżeństw — korzystało z tego również wielu dygnitarzy państwowych. „Jako jeden z pierwszych zjawiał się Józef Beck, wtedy jeszcze pułkownik — opisywał tę «modę» Michał K. Pawlikowski. — Jednocześnie przyjechał generał Burhardt-Bukacki z żoną, z którą się rozwodził, aby ją oddać Beckowi. Po zakończeniu rozvodu i ślubu całe towarzystwo w najlepszej komitywie poszło do Żorża na obiad”. „Pastor chodzi tup, tup, tup — temu rozwód, temu ślub”, mawiano w Wilnie. Katolicy musieli, rzecz jasna, zmienić wyznanie — najwyraźniej i na to był Jerzy gotowy, by Tatiana mogła ponownie stanąć przed ołtarzem. Do rozvodu jednak na razie nie doszło, a jak daleko posunięto formalności, również nie wiadomo i jeszcze przez jakiś czas się tego nie dowiemy — zgodnie z litewskim prawodawstwem akta takie nie są udostępniane przez równe sto lat.

Nic też nie wiadomo o tym, by Giedroyc się z kimś innym przed wojną związał. „I po co on jest taki przystojny?” — miały się i później, jak wspominała Stefania Kossowska, irytować „potencjalne Dalile”. Kossowska była jego starą znajomą, dziennikarką „Prosto z Mostu”, „ABC” i „Wieczoru Warszawskiego”, a po wojnie współpracowniczką, następnie od 1969 roku redaktorką „Wiadomości” Grydzewskiego.

Najbliższą mu kobietą była wówczas najwierniejsza zarazem współpracowniczka, Maja Prądyńska. Jak twierdził Henryk Giedroyc, ona również zakochana była w swym szefie po uszy — bez wzajemności. „Tylko taka kobieta jak ona, całkowicie oddana tej samej co i on pracy, mogłaby z nim wytrzymać”, dodawał najmłodszy z Giedroyców.



Nadmorskie wakacje Tatiany i Jerzego Giedroyców.

Co zmieniło rozstanie z żoną w rozkładzie zajęć Jerzego? Zapewne jeszcze więcej czasu spędzał teraz w redakcji i na mieście. Czy w mieszkaniu na Brzozowej czuł się szczęśliwy? Trudno powiedzieć. Naturalnie, było już od dawna urządzone i wypieszczone, pełne książek, bibelotów i obrazów, ale też — wspomnień.

Z żoną zdarzało mu się spędzać wakacje w nadmorskich kurortach. Teraz letni wypoczynek znów połączony będzie z jego zainteresowaniami. Wyjeżdżał na wakacje „dość regularnie” — na Polesie, do Rumunii, rzadziej chyba do Bułgarii.



Tatiana i Jerzy
Giedroyciowie
na wakacjach.

Jeden z jego „etnicznych” feblików narodził się, gdy do redakcji „Buntu Młodych” przysłał list Piotr Kontny, filozof, który mieszkał w Stanisławowskim i fascynowała go kultura huculska. „Jeździłem na Huculszczyznę całkiem prywatnie, organizowałem tam zebrania”, powie Giedroyc w *Autobiografii...*, w jednym zdaniu łącząc sprawy całkiem różne dla wszystkich — poza nim. Podczas tych urlopów dowiadywał się, że podstawą wyżywienia Huculów jest importowana z Rumunii kukurydza, więc po powrocie do Warszawy zabiegał o zniesienie cła na nią.

Z pewnością po roku 1932, lecz nie wiadomo, czy w czasie trwania małżeństwa, czy już po rozstaniu z Tatianą — a może sprawy te były ze sobą związane — zainteresować się miał Giedroyc narkotykami. „Był okres w młodości, że zupełnie nie sypiałem. Przez Witkacego — opowiadał Ewie Berberysz. — Z jego książki *Narkotyki* wyniosłem jednak wprawdzie umiejętność golenia. Miałem z tym problem, bo mam delikatną skórę i silny zarost, wobec czego golenie u mnie wyglądało krwawo. Rady, jakie podaje Witkacy, okazały się zbawienne. Byłem mu wdzięczny i pomyślałem, że równie gładko pójdzie mi z narkotykami. Zacząłem się tym bawić. Po opium chorowałem, ale kokaina robiła na mnie wrażenie. Dawała poczucie genialności. Złudne oczywiście. Wyszedłem z tego obronną ręką, ale rezultatem jest trwała bezsenność, dzięki czemu zyskuję na czasie”. Kiedy, w jakich okolicznościach, ale też czy w ogóle do takich prób doszło, trudno powiedzieć. Jest to jedna z niewielu okoliczności z życia Jerzego Giedroycia, którą zdecydowanie podawał w wątpliwość jego brat, Henryk. „Niczego takiego nie pamiętam i zupełnie mi to do Jerzego nie pasuje — mówił. — Już bardziej to, że wymyślił tę całą historię, by nieco ubarwić sobie życiorys”. Możliwe więc, że bezsenność Giedroycia miała inne powody — doktor Semerau-Siemianowski, który miał go z niej w Szpitalu Świętego Łazarza leczyć, był wybitnym kardiologiem.

Jeśli jednak witkacjańskie wspomnienia Giedroycia są ścisłe, może związane były z rozstaniem z Tatianą. Może również tego okresu dotyczy uwaga zawarta w liście do jednego z późniejszych korespondentów Redaktora, któremu proponował szukanie pomocy u psychoanalityka: „Przed wojną znałem paru w Warszawie, którzy mi w różnych okolicznościach pomogli”.

O osobistych sprawach Jerzego Giedroycia jego znajomi wiedzieli niewiele. „Nigdy nie okazywał najmniejszych skłonności do wglądania w życie prywatne swoich współpracowników, nie odsłaniając zresztą przed nimi swojego — opisuje swego «radcę Geysztora» Stefan Kisielewski. — Wiedziano o nim zaledwie, że był kiedyś żonaty, lecz podobno się rozwiódł”.

Kisielewski był jednak jednym z mniej związanych z redakcją ludzi. Ile wiedzieli ci, z którymi Jerzy był w bliższych stosunkach? Chyba niewiele więcej. „W naszym gronie jeden drugiego nie pytał o sprawy osobiste, w zasadzie nie mówiono o nich. Odnosi się to nie tylko do romansów, spraw małżeńskich, rodzinnych, ale i wszystkich innych. To nie znaczy, że nie znało się np. różnych powiązań, względnie — iż niektórzy czasem nie opowiadali, mówili o jakiejś swojej osobistej sprawie. Nie poruszaliśmy np. spraw finansowych, ale w potrzebie bez bliższych dyskusji była do dyspozycji gotówka. (...) Wzajemne spowiedzi w sprawach osobistych nie były atrybutami, składnikami, cechami naszej przyjaźni — korespondencyjnie tłumaczył to później Teresie Torańskiej Bumek, czyli Benedykt Heydenkorn — (...) m.in. dlatego, iż nie one znajdowały się w zaraniu znajomości. Nicią łączącą, a później wiążącą, były problemy, zagadnienia społeczne, polityczne, ideowe. Aleksander B. mógł napisać czy powiedzieć podczas spotkania, iż nie przyjedzie, nie napisze — bo ma jakieś kłopoty w swoim majątku w Ponikwie: browar czy dostawy itp. Innym razem zakomunikował, że się żeni i z kim, ale na tym koniec. Podobnie z innymi. Ja znałem żonę J.G., mówił mi, kim jest, skąd się wywodzi, gdzie są jej rodzice itp., co przyjąłem do wiadomości, ale później ani opowiadał, ani nie pytałem o współzycie, a przecież bywałem w ich miesz-

kaniu. On zapewne wiedział o moich problemach osobistych i nigdy ich nie poruszał. Podobnie jak inni”. Przesyłając ten list do wiadomości Giedroyciowi, Heydenkorn martwił się, że dla ludzi urodzonych w PRL ich „façon d'être jest trudny do zrozumienia”.

Co zresztą znaczyła przyjaźń w języku Jerzego Giedroycia? W *Autobiografii...* o dziesiątkach osób mówi: „mój przyjaciel”, „przyjaźniliśmy się”. W większości przypadków nie oznacza to żadnej osobistej więzi, lecz jedynie — wypytała go o to przed laty Teresa Torańska — „sympatyczną znajomość”. Trudno powiedzieć, z kim się Giedroyc przed wojną przyjaźnił naprawdę, z kim czuł się związany nie tylko „politycznie, organizacyjnie”, ale też — emocjonalnie. Na pewno z kolejnymi swymi szefami, Rogerem Raczyńskim i Antonim Romanem — przy czym w obu wypadkach, jak sam twierdził, „to on dominował”. W jakiś sposób bliscy byli mu też chyba dwaj najważniejsi w początkach jego aktywności publicznej ludzie — Nulek Karczewski i Staszek Zaćwilichowski. Kto jeszcze? Adolf Bocheński, Jerzy Niezbrzycki, Norbert Żaba? Relacje z nimi wszystkimi zapewne balansowały na granicy pomiędzy Giedroyciowym a powszechnym znaczeniem słowa „przyjaźń”. Sympatia, jaką darzył Heydenkorna czy Tadeusza Zajączkowskiego, z którymi już wówczas był „zaprzyjaźniony”, wzrosła chyba już po wojnie.

„Nigdy nie robię pierwszych kroków” — opowiadał Giedroyc o swych relacjach z ludźmi. A Bumek Heydenkorn precyzował: „Twierdzę, iż Jerzy Giedroyc jest nieśmiały — dodatek do kameralności, wyjaśnienie wyniosłości i powściągliwości. W większym gronie słucha bardzo uważnie i reaguje bardzo zwięźle, czasem tylko gestem, odruchem, grymasem itp., natomiast «kameralnie» jest wymowny, dobitny,

zdecydowany, tłumaczy, uzasadnia, walczy”. Już niedługo owa nieśmiałość zamieni się w nieufność, każe mu tworzyć mechanizmy obronne i zakładać „gorsety”. Nie można przychodzić na śniadanie w piżamie czy szlafroku, nie można być nieogolonym; trzeba się „usztyniać”, narzucać sobie dyscyplinę — to wszystko przyjdzie później. „Jestem człowiekiem bardzo kruchym” — o tym przekona się dopiero w Rumunii. Na razie potrafił się jeszcze wylegiwać w łóżku do południa, obłożony gazetami. Tak zapamiętał go Dudek, wpadający nieraz na Brzozową w sobotnie poranki.

X. Wrzesień — finis Poloniae?

P o okresie tak pełnym pomysłów i inicjatyw Jerzy miał prawo pozwolić sobie na odrobinę lenistwa. Jeszcze tylko w końcu lipca wyekspediował zaprzyjaźnionych literatów — Witolda Gombrowicza i Czesława Straszewicza — w pierwszy rejs statku m/s „Chrobry”. Jako goście ministra przemysłu i handlu popłynęli do Buenos Aires. Kilka dni później Jerzy również wyjechał, ale swój ostatni przed wojną urlop spędził bliżej, w Juracie. Wyjazd nad morze był dla niego synonimem prawdziwych wakacji — takich, jakich niemal nie miał. W każdym innym miejscu któreś z jego zainteresowań kazałoby mu spędzać czas aktywnie — a na plaży mógł odespać zmęczenie, przeczytać zaległe westerny czy kryminały, odpocząć.

Po powrocie do Warszawy i wbiciu się w garnitur z pewnością wyrzekał na upał — lato było gorące tego roku. Jeszcze dwa – trzy tygodnie musiał przepracować w ministerstwie, przygotować tyleż kolejnych numerów „Polityki”, z ostatnim włącznie, w którym pakt Ribbentrop–Mołotow kwitowano sarkastycznym tytułem: *Zaskoczenie?! Dzięki swym koneksjom wiedział z pewnością więcej niż inni o postępującej mobilizacji wojsk niemieckich oraz nasilających się w sierpniu prowokacjach. Na razie jednak dni mijały jeden za drugim, tak samo jak od lat: praca — redakcja — dom — spotkania. Z nieba lał się żar i w Warszawie ciężko było wytrzymać. Stolica była w tych dniach — jak*

wspominała Monika Żeromska — „zziajana, zakurzona i tłoczna”.

Była też rozemocjonowana — powszechnie mówiło się o wojnie. Opinie były w zasadzie optymistyczne. Część ludzi raczej bezkrytycznie przyjmowała państwowotwórczy optymizm. Przyglądając się z chodnika kolumnom wojska ciągnącym ulicami i śpiewającym: „Nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz”, wielu głośno powątpiewało, by Hitler mógł się odważyć na atak. Jeśli zadłużona po uszy Rzesza samobójczo zaatakuje Polskę, po tygodniu biało-czerwone flagi powiewać będą w Berlinie. Nieco bardziej sceptyczna większość nie wierzyła może aż tak w potęgę Rzeczypospolitej, przekonana była jednak, że sprawę rozwiązuje sojusz z Francją i Wielką Brytanią. Byliśmy przecież nie tylko „silni, zwarci, gotowi”, ale też — wspierani przez mocarstwa cywilizowanego świata. Zdecyduje się Hitler na tę głupotę czy nie — dostanie łupnia, gdy do gry wejdą alianci. Pesymistów było zdecydowanie niewielu. Mało kto widział nadchodzącą przyszłość tak tragicznie, jak przesądziła ją swymi podpisami ministrowie Ribbentrop i Mołotow.

Jerzy Giedroyc po latach mówił: „Wojna nie była dla mnie zaskoczeniem. Przewidywałem ją”. Ale i on z pewnością nie sądził, że rozpocznie się tak szybko. Nie podejmowałby wówczas kroków, o których po latach napisał, że były spóźnione. Gdyby nie liczył na chociaż kilka miesięcy pokoju — czy jeszcze w sierpniu próbowałby wysłać generała Sosnkowskiego do USA? Ze swym zmysłem praktycznym zaangażowałby się raczej w tworzenie podziemnej armii.

Kiedy w czwartek 31 sierpnia radca Giedroyc wracał wieczorem do domu, zapewne nie spodziewał się, że ostatni raz ogląda Warszawę taką, do jakiej przywykł — miasto tętniące



Plakat OZN z marszałkiem Rydzem-Śmigłym.

życiem, roziskrzane latarniami i pulsujące neonami, z kawiarnianymi ogródkami wypełnionymi ludźmi i muzyką przebijającą się na ulicę z dansingów. Skąd wracał — z biura, redakcji, z jakiegoś spotkania? Czy po drodze wstał gdzieś jeszcze, żeby nad gazetą wypić kawę, czy też poszedł prosto na Brzozową, by jak najszybciej rzucić się na łóżko?

Nad ranem 1 września mogły Giedroycia obudzić niemieckie samoloty. Ale też całkiem możliwe — pamiętamy o jego kłopotach ze snem — że już nie spał. Z pewnością pierwsze kroki skierował do ministerstwa i pierwsze dni wojny do

późnego wieczoru spędził u boku ministra Romana. Trzeba było przygotować ewakuację zakładów przemysłu zbrojeniowego, dostosować podległe ministerstwu jednostki do wymogów czasu wojny. Od niedzieli urzędy nie pracowały już normalnie — także przygotowywały się do ewakuacji. Początkowo — jak zapisał premier Sławoj-Składkowski po rozmowie ze Śmigłym — „za Wisłę, na prawy jej brzeg, gdyż marszałek przewiduje opór wojsk polskich na linii Wisły”.

Co ze sobą zabrać, w co to zapakować i czym wywieźć? W ministerstwach powołano komisarzy do spraw ewakuacji. Cywile i wojskowi częściej już biegają, niż chodzą. Na korytarzach z trudem mijają się ekipy wnoszące wielkie skrzynie — puste, i wynoszące — pełne. Słychać trzask młotków o deski i huk skrzyń ustawianych na samochodach, które wjeżdżają na dziedziniec i z niego wyjeżdżają.

Ale były sprawy, którymi Antoni Roman musiał zająć się sam, w gronie najbliższych współpracowników. Zapewne wiele godzin trwało oddzielanie dokumentów, których nie warto było wywozić, a zostawić — nie było wolno. W piecach wszystkich rządowych obiektów huczał ogień palonych akt — w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, zanotował Sławoj, po kilkudziesięciu godzinach kominy były tak rozgrzane, że groziło zapalenie się sadzy. Mimo wszystko wciąż jeszcze można było urzędować, byle nie zbliżać się do okien, z których leciały szyby przy każdym wybuchu bomby. Zdobiące je białe iksy pasków papieru, które jeszcze w sierpniu zaczęto naklejać — nie zdały egzaminu.

Próbowano telefonicznie odnaleźć przyjaciół — tych, którzy nie byli jeszcze zmobilizowani. Co wiedzą? Co planują? Wreszcie — rodzina. Czy z nią Giedroyć miał już tylko kontakt telefoniczny, czy też zdołał wybrać się na Książęcą?

Jeśli tak, to miał okazję po drodze obejrzeć nie tylko takie powszednie wówczas sceny jak zamienianie miejskich ogrodów i parków w zryte rowami przeciwczołgowymi stanowiska obronne. Mógł też w sobotę przeciskać się przez tłumy zebrane na Nowym Świecie pod ambasadą angielską albo spotkać tę samą demonstrację tuż pod domem rodziców, gdy zmierzała na Frascati, by pod oknami przedstawicielstwa francuskiego śpiewać *Marsylianke*. „No-ël, No-ël” — skandowaniu nazwiska ambasadora Republiki nie było końca. Miasto opanowała euforia na wiadomość o przystąpieniu Anglii i Francji do wojny. Chyba i Jerzy — mimo swego wrodzonego sceptycyzmu — nie przypuszczał, że alianci poprzestaną na tym pustym geście. Nikt nie wiedział, jak długo wojna potrwa, ale wiadomości były optymistyczne. Na własnej skórze doświadczano wprowadzanie spadających bomb i zniżających lot sztukasów, których załoga równo cięła z karabinów maszynowych — cywil czy wojskowy... Ale z drugiej strony — przecież Brygada Pościgowa polskiego lotnictwa radziła sobie całkiem dobrze z samolotami Luftwaffe nad Warszawą, a gdzieś z dalekiego frontu nadchodziły wieści o istnym triumfie!

Triumfalizm ulicy z pewnością nie groził Giedroyciowi. Wiedział, że przewidziano dwa rzuty ewakuacji — pierwszy, w którym miało wyjechać gros urzędników, i drugi, kiedy stolicę mieli w ostatniej chwili opuścić ministrowie ze swymi najbliższymi współpracownikami. Kierunek: Lublin i okolice. Urzędy miały przygotowane miejsca ewakuacji w Kazimierzu, Nałęczowie, Zamościu i Tomaszowie. Pierwszy rzut miał wyjechać z Pragi 4 września o dziesiątej wieczorem. Sławoj w nocy notował: „Biedni urzędnicy siedzą już od kilku godzin w wagonach, oczekując na odjazd pociągów”. Dopiero

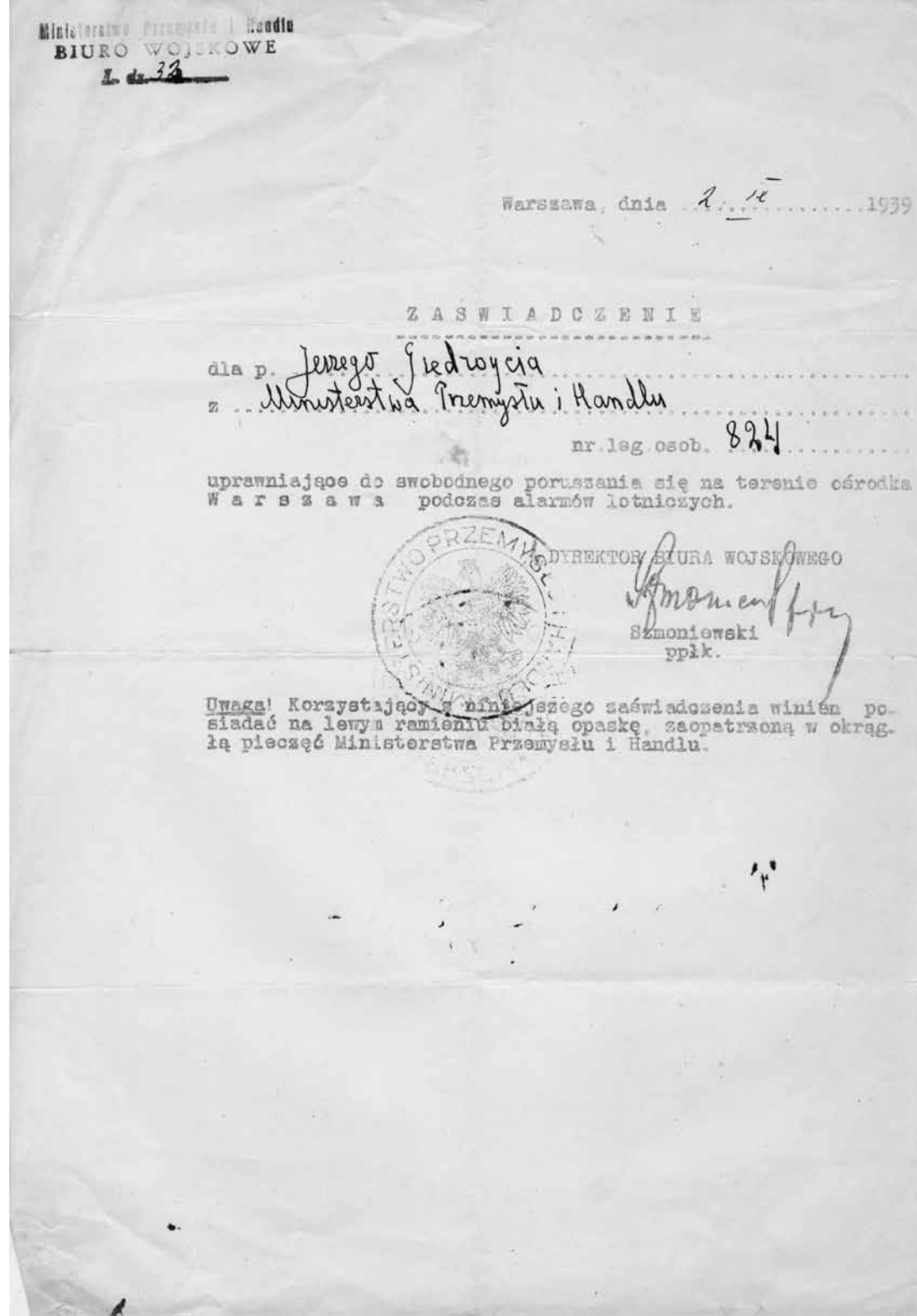


Pierwsza strona
„Polski Zachodniej”
z 1 września 1939.

nad ranem udało się na tyle uporządkować zbombardowane linie kolejowe, by ewakuacja istotnie się rozpoczęła. Jeszcze we wtorek odbyło się w Warszawie posiedzenie Rady Ministrów, w czasie którego Antoni Roman został zobowiązany do skupienia wszystkich sił na ewakuacji „wojennych maszyn, warsztatów reperacyjnych oraz służących do regeneracji amunicji”. Po północy — telefonicznie i przez gońców — rozeszła się wiadomość, że czołgi niemieckie dotarły do Raszyna, że widziano je w pobliżu stacji radiowej. Dla nielicznych urzędników pozostałych jeszcze w Warszawie oznaczało to konieczność natychmiastowego wyjazdu.

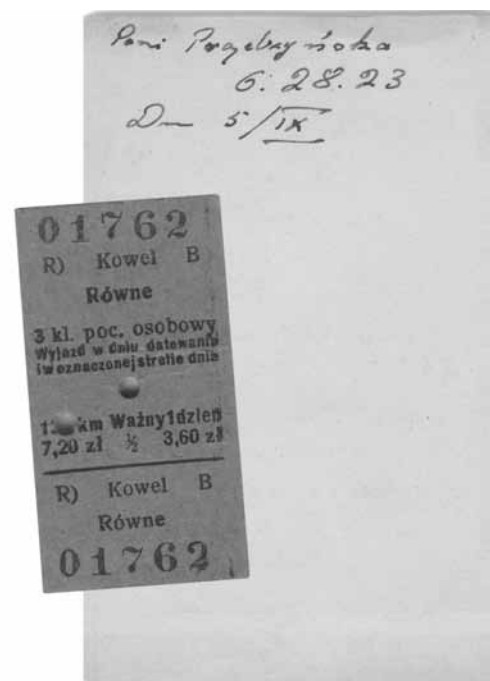
„Dnia 5 września dowiedziałem się, że Jurek wyjechał” — to pierwsze słowa z pamiętnika, który jego młodszy brat Henryk zaczął pisać wraz z rozpoczęciem wojny. Dokument ten pozwala dokładniej opisać wrześniową wędrówkę Jerzego Giedroycia ku rumuńskiej granicy.

Zaświadczenie z 2 września 1939,
uprawnające Jerzego Giedroycia
do „poruszania się na terenie ośrodka
Warszawa podczas alarmów lotniczych”.



W drogę tę zabrał ze sobą również młodszego brata. Najwyraźniej uznał, że o ile dorosły już, żonaty Zygmunt da sobie radę, o tyle licealistę Dudka lepiej mieć przy sobie. Choć po latach Henryk Giedroyc rozmowy tej nie pamiętał, podsumowując rok, w grudniu 1939 zapisał w swym kalendarzu, że spotkał się z Jerzym w przeddzień jego wyjazdu z Warszawy. „Jurek obiecał mi pracę w 2gim Oddziale albo w MSZ. Raptownie wyjechał”. Dnia 3 września Jerzy Giedroyc widział więc swą przyszłość zupełnie inaczej, niż miała się potoczyć.

Henryka nie uczynił dyplomata ani wywiadowcą, tylko współpracownikiem „Polski Zbrojnej”. Od sierpnia redaktorem naczelnym tej gazety był Jerzy Niezbrzycki, który natychmiast zatrudnił u siebie Maję Prądyńską. To ona zadzwoniła 6 września na Książęcą, by Dudek jak najszybciej zgłosił się do redakcji przy ulicy Koziej. Wrócił stamtąd, mając w kieszeni antydatowany dokument poświadczający, że pracuje w „Polsce Zbrojnej” jako goniec, i z informacją, że wieczorem opuszcza Warszawę. „W domu wywołałem wielką sensację i konsternację”, zanotował później. Najwyraźniej kwestia wyjazdu najmłodszego z braci Giedroyciów nie była wcześniej ustalona z rodzicami. „Ktoś w tej «Polsce Zbrojnej» mi powiedział — wspominał Henryk — że wystarczy wziąć ze sobą szczoteczkę do zębów, bo za kilka dni wrócimy. Chwała Bogu, mama — która wielokrotnie słyszała od Jerzego, że w ewentualnej wojnie szanse mamy marne — wcisnęła mi dwie zmiany bielizny i parę koszul”. Spędziwszy noc częściowo w redakcji „Polski Zbrojnej”, a częściowo na Dworcu Gdańskim, Henryk Giedroyc wyruszył w drogę. Dopiero w pociągu dowiedział się, że jedzie do Kowla — dotarł tam, przez Łuków, Lublin, Chełm i Łuck, dwie doby później. Była to dla niego z pewnością podróż o wiele bardziej pasjonująca niż wcześ-



Numer telefonu Mai Prądyńskiej zanotowany 5 września i bilet na trasę Kowel–Równe z 11 września 1939.

niejsze — na szkolną wycieczkę czy z rodzicami na wakacje. Potwierdzają to jego zapiski: „W Kowlu bawiliśmy się niezgorzej, o niczym specjalnie nie myśląc. Człowiek był przekonany, że najdalej za tydzień wróci do Warszawy, więc się specjalnie nie przejmował”.

A jak i kiedy opuścił Warszawę Jerzy Giedroyc? Z jego opowieści o podróżowaniu samochodem w towarzystwie Rowmunda Piłsudskiego można by wnosić, że do ostatnich chwil — co było w tych dniach powszechne wśród wyższych urzędników — dyżurował w ministerialnym gabinecie swego szefa. Mogło być tak, że dopiero w środę, ze swym dawnym przyjacielem, wyruszył szosą brzeską.

Jak wyglądało to w rzeczywistości, dowiadujemy się dopiero z zapisków Henryka Giedroycia. „Dnia 9 września dojechaliśmy do Kowla. Tu spotkaliśmy resztę redakcji, która jechała samochodem. Dowiedziałem się od pani Prądyńskiej, że widziała Jurka w Lublinie, że miał makabryczną drogę koleją (ostrzeliwano pociąg, tłok, 12 osób zabitych)”. Najwidoczniej więc Jerzy Giedroyc wyjechał z Warszawy wraz z grupą

W Równem wydarzyło się coś jeszcze, o czym czytelnik *Autobiografii...* się nie dowiedział. Wraz z resztą ekipy „Polski Zbrojnej” 12 września dotarł tam również Henryk Giedroyc. Bez większego trudu odnalazł hotel Central, w którym zatrzymał się jego brat. Jako że przyjechał wcześniej rano, „Jurka

Rachunki redakcji „Ostatnich Telegramów” w Równem z 12 września 1939:
za „kurs na cegielnię” oraz za „skład i wydrukowanie 6000 egzemplarzy
2-stron. gazety”.

wyciągnął z betów”. Nie mogło być dla niego zaskoczeniem, że Jerzy znów wydaje pismo — w prawdziwe osłupienie wprawiło go zupełnie co innego. Na miejscu zobaczył bowiem — Tatianę. Gdzie i kiedy Jerzy spotkał żonę? Już w Bukareszcie zapewniali oboje — choć okoliczności, w jakich się to działo, a o których mowa będzie w kolejnym rozdziale, nie dają pewności, iż istotnie tak było — że spotkali się jeszcze w sierpniu i razem opuścili Warszawę. Jeśli tak, to Jerzy utrzymał ten fakt w tajemnicy przed rodziną. Czy już sierpniowy urlop w Juracie spędzili razem?

W Równem Tatiana i Jerzy Giedroyciowie funkcjonowali znowu jako małżeństwo. Co ich połączyło? Pewne jest jedno — Tatiana potrzebowała wówczas pomocy. Nie miała nawet paszportu — wystawił go dla niej dopiero starosta rówieński, na stanowcze żądanie dyrektora Biura Wojskowego Ministerstwa Przemysłu i Handlu.

Dnia 14 września nadeszły rozkazy dalszej ewakuacji. Niemcy przekroczyli Bug — donosiło radio — i w ten sposób wróg sam ponaglał polskie władze do organizowania obrony na tak zwanym przedmościu rumuńskim, na terenie leżącym przy granicy z Rumunią i Węgrami. Ściągano w ten rejon wszelkie możliwe siły. Tam też przenieść się miał rząd i prezydent. Poszczególne instytucje rozlokowane zostały w Kosowie Huculskim, Rożnowie, Kutach i Kniażem. W tym ostatnim okresie Giedroyc mieszkał, co dziwne, w Śniatyniu, chociaż minister Roman — jak skrupulatnie zapisał premier Sławoj-Składkowski — „ze swymi urzędnikami” zatrzymał się we dworze w Kniażem. „Gdy znaleźliśmy się w Śniatyniu, min. Roman posłał mnie do Kołomyi, gdzie stacjonowało Naczelne Dowództwo — czytamy w *Autobiografii*... — Miałem tam z jego polecenia coś doręczyć adiutanturze Śmigłego.



Zezwolenie na posiadanie rewolweru kaliber 7.65, wydane przez starostę w Równem „na okaziciela”.

Przyjechałem do Kołomyi i zastałem tam euforię, gdyż przyszły wiadomości o zwycięstwie Sosnkowskiego”. Istotnie, 16 września pojawiły się informacje, które mogły pobudzać resztki nadziei. „Beck z wielkim entuzjazmem komentował zwycięstwo generała Sosnkowskiego z poprzedniego dnia w walce z wojskami niemieckimi, podążającymi na Lwów — wspominał później ówczesny ambasador USA przy polskim rządzie, Anthony Drexel Biddle. — Wojska polskie nie tylko rozbiły niemiecką jednostkę, ale także wzięły 10 tys. jeńców i zniszczyły lub uszkodziły 100 czołgów. Wiadomość o tym

zwycięstwie natchnęła siły polskie nowym duchem walki”. Juliusz Rakowski z Ministerstwa Skarbu również zasypiał w pogodnym nastroju: „Nareszcie coś pomyślnego — relacjonował później swe ówczesne odczucia. — Nadzieja na zimowanie zarysowuje się realniej”.

Wobec tak optymistycznych wiadomości wizja umocnienia się na przedmościu rumuńskim i utworzenia na tym niewielkim terenie małej Polski — z silną, broniącą jej armią i instytucjami państwowymi, nie opuszczającymi granic kraju — wydawała się prawdopodobna. W takich warunkach można byłoby oczekiwać podjęcia działań przez aliantów, którzy na razie się z tym nie spieszyli. Racjonalnie więc wyglądał plan pułkownika Wendy, który zaproponował Giedroyciowi — jak widać, doczekał się on uznania jako specjalista od propagandy państwowej — utworzenie w Śniatyniu rozgłośni radiowej. Oparciem miała dla niego być ekipa radia lwowskiego, która również przebywała w Śniatyniu. Jak sam wspomina, zarażony optymizmem i uskrzydłony nowymi planami, Giedroyc powrócił do Śniatynia. „Ale następnego dnia rano dostałem wiadomość od min. Romana, który był gdzieś w okolicy, że mam przyjechać do niego i że przekraczamy granicę, gdyż wkroczyły Sowiety, co było dla wszystkich zupełnym zaskoczeniem”.

Stawić się na granicy... Most w Kutach szybko stał się niemal zupełnie nieprzejezdny — kamienistą, opadającą ku

Pismo dyrektora Biura Wojskowego Ministerstwa Przemysłu i Handlu do starosty w Równem o wydanie „natychmiast” paszportu zagranicznego Tatianie Giedroyc oraz zezwolenie dla Jerzego Giedroycia i Rowmunda Piłsudskiego na poruszanie się samochodem osobowym.

Do

Pana Starosty Powiatowego

W R Ó W N E M,

Proszę natychmiast wystawić paszport zagraniczny dla
p. Tatjany GIEDROYC, żony Radcy Ministerialnego Ministerstwa udają-
cej się do Rumunii.

Paszport z terminem rocznym.

DYREKTOR BIURA WOJSKOWEGO

/ Tadeusz Szmoniewski ppłk.

Zezwolenie bytowania

Zezwalam panu Jerzemu
Giedroycowi oraz Rowmundowi
Piłsudskiemu na wjeżdża-
nie na drogach publicznych
samochodem osobowym
Równem 8 IX 1939



Nr 40-874
Równy



Przedwojenne zdjęcie mostu na Czeremoszu w Kutach.

Czeremoszowi drogą ciągnęli w jego kierunku samochodami i na wozach, rowerami i pieszo uchodźcy, którzy dotarli tu w ostatnich dniach. Tysiącami przechodzili żołnierze, by na żądanie władz rumuńskich rzucić — bądź delikatnie, niemal czule odłożyć — broń po drugiej stronie rzeki. Niektórzy wolli zostawić karabiny po polskiej stronie — zalegały w budce straży granicznej. Z trudem utrzymywano porządek na drodze, a polscy urzędnicy co chwila odwiedzali Rumunów, nalegając, by usprawnili przebieg ewakuacji. Na niebie pojawiły się polskie samoloty, zmierzające ku rumuńskim lotniskom. Wyżsi urzędnicy państwowi spotkali się koło wsi Czerhanówka, by razem wyruszyć wieczorem ku granicy. Wcześniej trzeba było jeszcze — jak przed opuszczeniem

Trasa ewakuacji Jerzego Giedroycia z Warszawy.

THIS IS POLAND - POLSKA - C'EST LA POLOGNE



Nakaz podróży.

Polecam p. Marii Prądyńskiej i radcy Jeremu Giedroycowi udanie się, nieautonomicznie w okolice Kosowa i zameldować się do Ministra Spraw Wewnętrznych lub do mnie. Podróż polecam odbyć samochodem Min. (nem.) i Handlu i przy wyjeździe także cywilne i wojskowe o udzieleniu wszelkiej pomocy.

Antoni Jędrzejowski
Minister P. H.

Nakaz podróży.

Polecam nieautonomicznie udanie się do rejonu Kosowa samochodem marki "Chevrolet" № A 10-590 p.p. Raisie Huga, generatora do Skarżęcina, J. i H. Giedroyc i J. H. Giedroyców oraz Igora Kunickiego.

Antoni Jędrzejowski
Minister P. H.

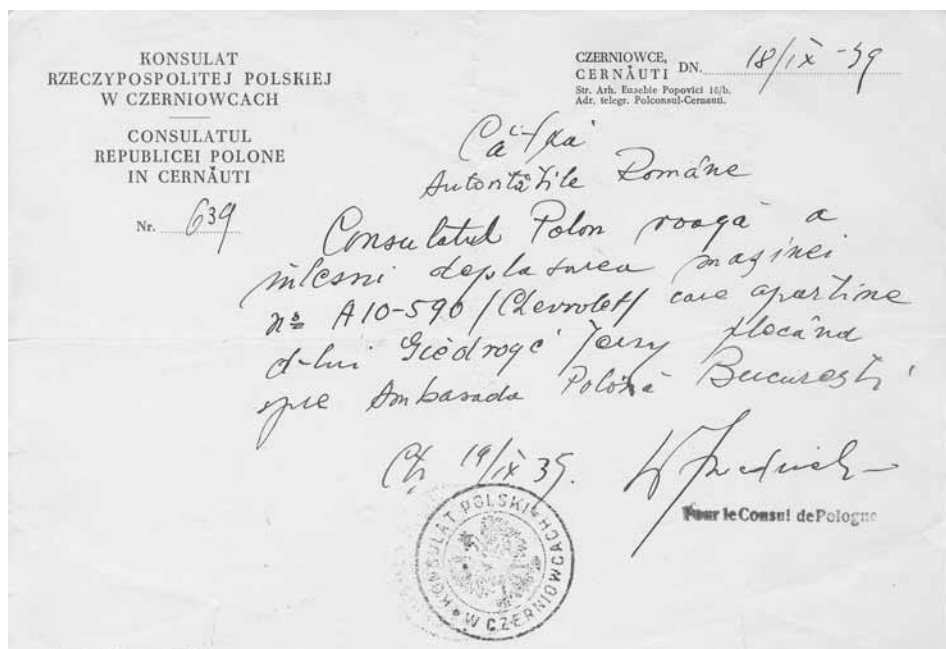
Przy starcie wojskowe i cywilne o mobilizację wszelkiej pomocy.

Pisma ministra Romana, nakazujące udać się w kierunku Kosowa Jeremu Giedroycowi i Mai Prądyńskiej oraz grupie siedmiu osób, w tym Tatianie i Henrykowi Giedroyciom.

Warszawy — uporządkować sprawy. Smród benzyny znaczył miejsca, w których, w naprędcie wykopanych przez wojsko dołach, palono dokumenty. Przy byle jakich stolikach zaimprowizowano biura cywilne i wojskowe, które w pośpiechu wystawiały paszporty, nakazy podróży, zaświadczenia, wypłacały zaległe pobory etc.

Jest środek nocy z 17 na 18 września. Na drodze wiodącej przez Kutę ku mostowi na Czeremoszu zebrała się niemal cała elita polityczna i wojskowa Rzeczypospolitej. Prezydent jest już po drugiej stronie granicy. „Wreszcie przejeżdża sztab, Skarbiec Wawelski, Fundusz Obrony Narodowej, wozy z pożyczką złotą na wojnę, na końcu jedzie wielki obóz samochodowy lotników z gen. Kalkusem — notuje Sławoj-Składkowski. — Jest już świt, godzina czwarta rano. Zaczynają przechodzić samochody cywilne”. Wjeżdżają do Wyżnicy, pierwszego od trzech tygodni oświetlonego miasta — tu nie ma wojny, nie obowiązuje zaciemnienie. Rumunia wita polskich uchodźców — przynajmniej, ładny to gest — wciąż wiszącymi na przejściu granicznym portretami marszałka Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego. Uchodźcy natomiast witają się z nią jakby z roztargnieniem, może ze wstydem, przytłoczeni ciężarem klęski. Nawet jeśli na co dzień — jak radca Giedroyc — zwracali uwagę na swą prezencję, to po dwóch tygodniach przesiadania się z pociągów do samochodów, noclegów w przypadkowych miejscach, w przepoconych koszulach i przykurzonych marynarkach, są po prostu zmęczeni i zrezygnowani.

Kiedy dokładnie przekroczył granicę Jerzy Giedroyc, jadący służbowym autem wraz z Mają Prądyńską? W Bukareszcie twierdził, że stało się to jeszcze 17 września, kilka lat później zanotował zaś, iż Polskę opuścił dopiero 18 września.



Zaświadczenie z konsulatu w Czerniowcach z 18 września 1939, informujące, że chevrolet należy do Jerzego Giedroycia, który udaje się nim do Ambasady RP w Bukareszcie.

Tę drugą wersję potwierdzają zapiski jego brata — po południu 18 września spotkał się on pod gmachem gimnazjum w Śniatyniu z Tatianą i z Jerzym, który kazał im się natychmiast pakować. „Tutaj dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Rumunii. Czyli że właściwie koniec”. Na dłuższe rozmowy nie było czasu. Dopiero w Kutach Dudek dowiedział się, że do Polski wkroczyli bolszewicy. Nad granicę dotarł po południu wraz z Tatianą i grupą znajomych, wśród których była między innymi generałowa Skwarczyńska. Chevroletem poznanych w Równem państwa Kuglów przejechali przez most na

Czeremoszu w nocy z 18 na 19 września. „Granicę przekroczyliśmy właściwie dzięki Tatianie: kilkadziesiąt metrów przed mostem skończyła się nam benzyna — opowiadał Henryk Giedroyc. — Przed nami jechał samochód ambasady francuskiej, gdzie ona kogoś znała... Facet przyniósł nam benzynę, spuszczoną z baku własnego auta. Potem, po stronie rumuńskiej, dosiadł się do nas żołnierz ichniejszy jako «eskorta». On nie wiedział, po co z nami jedzie, my nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy — bardzo to było zabawne”. Zapewne o tej samej mniej więcej porze samochodem Ministerstwa Przemysłu i Handlu wjechał do Rumunii Jerzy Giedroyc.

„W Czerniowcach — zanotował Henryk Giedroyc — Rumuni chcą zarekwirować auto”. Tatiana, po kilku godzinach bezskutecznego poszukiwania męża, postanawia jechać pociągiem do Rogera Raczyńskiego, który rok wcześniej został ambasadorem RP w Bukareszcie. Dudek zostaje w Czerniowcach i już następnego dnia spotyka Jerzego. Dzięki otrzymanemu w tamtejszym konsulacie zaświadczeniu, że chevrolet należy do Jerzego Giedroycia, udającego się do ambasady polskiej w Bukareszcie, już 22 września bracia ruszają w dalszą drogę. Po dwóch dniach docierają do rumuńskiej stolicy i tam odnajdują Tatianę. „Mieszkamy wszyscy u jednej pani na strada Toamnei — notuje Dudek. — Wreszcie się wykapałem — i to źle, bo w zimnej wodzie”.

Jerzy miał na głowie poważniejsze problemy niż jego młodziutki brat. „W bałaganie, jaki zapanował, urzędowanie było niemal niemożliwe — relacjonował Giedroyc podróżowanie władz przez ogarniętą wojną Polskę w swej *Autobiografii*... — np. nie doszło do ogłoszenia moratorium, tak że później Niemcy bardzo skrupulatnie egzekwowali od ludności wszystkie należności wobec państwa”. Jeśli tak negatywnie

oceniał organizację ewakuacji rządu, to musiał naprawdę załamać ręce na widok tego, co działo się w ambasadzie polskiej w Bukareszcie. Pojawił się tam prawdopodobnie 24 września. „Nietrudno było już z daleka zobaczyć, w którym się ona mieści budynku, bo tłumy zalegały przed nim chodnik — opisuje pierwszą swą wizytę w bukareszteńskiej placówce sekretarz Becka, Paweł Starzeński. — Niewielkie podwórko przed wejściem też było pełne, to samo dalej w samym budynku, na klatce schodowej itp.”. Przed biurem attaché wojskowego co rano karnie ustawiała się kolejka tych, którzy jak najszybciej chcieli dostać się do Francji, do wojska.

Ale to wszystko było, jak na owe niezwykle czasy, stosunkowo normalne — rzeczy nienormalne działy się za drzwiami gabinetów. Urzędnicy ambasady spotykali się z przybywającymi kolejno do Bukaresztu politykami opozycji i obozu rządzącego. Pierwsi gotowali się do objęcia stanowisk rządowych, drudzy, choć obarczeni odpowiedzialnością za przegraną wojnę, wciąż byli przecież urzędującymi ministrami i dowódcami. „Szczyły personel ambasady — wspominał później w *Autobiografii...* Jerzy Giedroyc — (...) był zagubiony. A przede wszystkim — i to jest nieprzyjemna polska cecha — był zupełnie zdemoralizowany”. Portrety Piłsudskiego, Rydza-Śmigłego czy Mościckiego, którymi w Wyżnicy Rumuni witali uchodźców, urzędnicy polskiej ambasady zdejmowali ze ścian i chowali za szafy.

Władysław Pobóg-Malinowski to, co działo się w owych dniach w ambasadzie, nazwał spiskiem. Jest to określenie o tyle nieściśle, że poszczególni urzędnicy nie działali w ramach jakiegoś zaplanowanego sprzysiężenia. Powszechne natomiast było nieposłuszeństwo wobec zwierzchników, które w wypadku oficerów — przy obowiązującym stanie



Roger Raczyński przed pałacem królewskim w Bukareszcie.

wojny — powinno było skończyć się sądem wojennym. Już 18 września pułkownik Tadeusz Zakrzewski wypowiedział posłuszeństwo szefowi sztabu Naczelnego Wodza, generałowi Stachiewiczowi — będzie się tym później szczycił, dodając, że uczynił to po rozmowie z generałem Sikorskim. Kilka dni przed opuszczeniem kraju przez władze państwowe zaczęła się w Bukareszcie — jak to nazwał Giedroyc — „konspiracja i ucieczka szczurów z tonącego okrętu”. Wątpliwości, po której stronie się opowiedzieć, nie miał też Alfred Poniński, pierwszy w poselstwie po ambasadorze Raczyńskim, który

w swym gabinecie zaaranżował spotkanie ambasadora Francji z typowanym na premiera generałem Sikorskim, gdy tylko ten pojawił się w rumuńskiej stolicy.

To, że stawka ta się opłaci, widać było już od pierwszych dni, kiedy Rumuni ulegli naciskom niemieckim i planowany przez Polaków tranzyt zamienił się w ich internowanie. Zawiniła tu zresztą polska dyplomacja, z jej szefem na czele — Beck nigdy konkretnej umowy w tej sprawie z Rumunami nie zawarł, do ostatniej chwili pewny, że nie będą sprawiali kłopotów. W Bukareszcie działał już jednak ambasador Rzeszy Wilhelm Fabricius, który niedwuznacznie groził Rumunii „ostatecznymi konsekwencjami”, jeśli nie zatrzyma władz RP na swym terytorium. „Dwadzieścia dywizji na granicy, z tego osiem zmotoryzowanych i na dodatek Rosjanie” — trudno się dziwić, że Rumuni nie potrafili zlekceważyć takich argumentów. Możliwe zresztą, że sprawa inaczej by wyglądała, gdyby 21 września nie zginął — zamordowany przez faszystowską Żelazną Gwardię — premier Călinescu. On bowiem, o czym świadczą niektóre z cytowanych przez znawcę problemu, Tadeusza Dubickiego, dokumentów, planował wypuszczenie polskich dygnitarzy po kilku tygodniach.

Rola, jaka przypadła w tym momencie Rogerowi Raczyńskiemu, nie była łatwa. Był jedynym uznawanym przez Rumunów reprezentantem Rzeczypospolitej w momencie, w którym nie tylko prezydent, ale i wybrany prezeń na następcę marszałek Rydz-Śmigły byli internowani. A Rzeczpospolita musiała mieć swego prezydenta w wolnym świecie — tak by mógł on swobodnie powołać nowy rząd. Sprawa była pilna — obawiano się, że w momencie upadku Warszawy ogłoszone zostanie publicznie odejście państwa polskiego do historii. Co gorsza, mogli to zrobić nie tylko wrogowie, ale



Alfred Poniński

i alianci, którym nie spieszyło się do wypełniania umów sojuszniczych.

Ciężar przekonania prezydenta, by złożył dymisję i wyznaczył następcę, spoczął właśnie na Rogerze. Zapewne dziękował on opatrności, że w tym akurat momencie postawiła u jego boku człowieka, któremu nie tylko ufał, ale

który był też świetnym organizatorem.

Ambasador, włożony w kostium, który zupełnie do niego nie pasował, starał się robić dobrą minę do złej gry. Starzeński opisuje, że 26 września Alfred Poniński odmówił wysłania przez ambasadę depesz szyfrowych, które on przywiózł od zatrzymanego w Słanicach ministra Becka: „Nie zrażony poszedłem z kolei do ambasadora, który po długich ceregielach postawił swą parafę na tych telegramach”. Starzeński dostrzegał i rozumiał złożoność sytuacji, w jakiej znalazł się Raczyński: „Z jednej strony obowiązywała go nadal lojalność w stosunku do dawnego szefa, który nie przestał nim być



General Bolesław
Wieniawa-Długoszowski

aż do chwili zmiany rządu. Z drugiej strony utrzymanie ciągłości władz naczelnych i państwowości polskiej było wtedy najpierwszym zadaniem i obowiązkiem każdego, który miał w swym ręku jakąkolwiek władzę i możliwość decyzji”.

Jerzy Giedroyc w owej chwili nie miał żadnej władzy ani żadnych kompetencji. We właściwym czasie

znalazł się jednak we właściwym miejscu.

Dwa dni po tym, jak Giedroyc pojawił się w Bukareszcie, Raczyński dowiedział się, że w zalakowanej kopercie, którą na prośbę internowanego w Bicăz prezydenta Mościckiego przesłał do Paryża, znajdowała się nominacja Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego na następcę prezydenta RP. Była antydatowana, by miejscem wydania było jeszcze terytorium Rzeczypospolitej: „Kuty, 17 września”. Wtedy też ambasador Noël — który zresztą kopertę ową do Paryża zawiózł — oznajmił Raczyńskiemu, że rząd francuski nie ma zaufania do osoby generała Wieniawy-Długoszowskiego i nie uzna

żadnego rządu przezeń powołanego. Jak doszło do takiej sytuacji? W sposób banalny i niezwykle polski. Zanim list Mościckiego dotarł do Paryża, był tam już profesor Stanisław Stroński, jeden ze współpracowników Sikorskiego. Sam generał w stolicy Francji — w której od lat miał silne wpływy polityczne i towarzyskie — pojawił się 24 września. Gdy nad Sekwanę dotarła nominacja dla Wieniawy, francuscy ministrowie podczas posiedzenia rządu już wiedzieli, co o nim myśleć: „Jakiś nieznany generał... Nałogowy alkoholik... Do Paryża przyjechał nietrzeźwy... Skandal!”. Francuzi nie wiedzieli — a nawet gdyby wiedzieli, nie miałoby to dla nich prawdopodobnie żadnego znaczenia — że nominacja Wieniawy była tymczasowa, że obiecał on rzec się urzędu, gdyby pojawił się na emigracji inny kandydat. Takim kandydatem mógł być generał Sosnkowski. Na razie nikt jednak nie wiedział, co się z nim dzieje. O tym wszystkim 27 września rozmawiał z prezydentem Mościckim ambasador Roger Raczyński, który do Bicăz pojechał już z Jerzym Giedroyciem. „Nałogowy alkoholik” Wieniawa zaś tego samego dnia wykazał się nie tylko lojalnością, ale i może największym rozsądkiem — w depeszy wysłanej do Bukaresztu czytamy: „Proszę zakomunikować komu należy, że Bolesław gotów wszystko wykonać, prosi jednak profesora o rozważenie, czy inny wybór nie byłby w danej sytuacji wskazany”.

Między Paryżem, Bukaresztem a Londynem rozjarzyły się linie telefoniczne. Co robić? Raczyński — uzgodniwszy to uprzednio z prezydentem — poprosił Juliusza Łukasiewicza, ambasadora RP nad Sekwaną, o ustalenie listy nazwisk, które byłyby do zaakceptowania dla aliantów. Dwa dni później przetelegrafowano mu szyfrem cztery nazwiska, które — jak twierdził — sam wcześniej sugerował Mościckiemu:

prymasa kardynała Augusta Hlonda, Ignacego Paderewskiego, Augusta Zaleskiego i Władysława Raczkiewicza. Ambasador Łukasiewicz i jego londyński kolega — nad Tamizą rząd RP reprezentował brat Rogera, Edward Raczyński — opowiadali się za Raczkiewiczem, jako byłym marszałkiem Senatu i prezesem Związku Polaków z Zagranicy. Raczyński natychmiast pojechał do Bicz. Zanim jednak zdołał zobaczyć się z prezydentem, doścignął go tam telefonicznie francuski ambasador w Bukareszcie, Adrien Thierry. To, co miał do zakomunikowania Raczyńskiemu — a przez niego prezydentowi Mościckiemu — sprowadzało się do trzech punktów: 1. Grono Polaków we Francji zgłosiło kandydaturę Raczkiewicza; 2. Rząd Francji wita tę kandydaturę z radością; 3. Rząd ten nalega na jak najszybsze podjęcie decyzji w powyższej sprawie przez prezydenta Mościckiego.

W nocy z 29 na 30 września — w obecności Raczyńskiego, który ułożył treść pisma — prezydent podpisał swoją rezygnację. Wkrótce w Paryżu wydrukowany został kolejny numer „Monitora Polskiego” — poprzedni zawierał zarządzenie dotyczące Wieniawy — w którym zamieszczono akt nominacji Raczkiewicza, unieważniający jednocześnie decyzję wcześniejszą. Jako datę i miejsce podpisania dokumentu podano również 17 września, Kutu. Dnia 30 września rząd Sławoja-Składkowskiego podał się in corpore do dymisji. Generał Sikorski rozpoczął urzędowanie.

Choć dwa dni wcześniej skapitulowała Warszawa, władze Rzeczypospolitej zachowały podstawę prawną swego bytu. W jakim nastroju byli wówczas ludzie, dzięki którym się to udało? Odebrali twardą lekcję pokory od francuskiego alianta. Generał Faury bez skrępowania pisał z Rumunii do głównodowodzącego armią francuską generała Gamelina,

że ambasador Noël „pracuje nad utworzeniem rządu narodowego”. Francuski ambasador — polskiego rządu! Kajetan Morawski, komentując „przykry i niepotrzebny incydent z nominacją Wieniawy”, napisał: „Z uwagi na stosunek sił w tym momencie jasne było, że rachunek za każde spotkanie zapłacimy my, nie oni”. Polska grała o życie znaczącymi kartami i nie mogła wstać od stolika.

Jaką w tym wszystkim rolę odgrywał Jerzy Giedroyc? Raczej niewielką. Z relacji samego Raczyńskiego wiemy, że zabierał on ze sobą Jerzego do Bicz. „Jeździłem z Rogerem tylko, ale przy tych rozmowach nie byłem, nie brałem udziału — uściślał Redaktor w jednym z niepublikowanych wywiadów. — One były w cztery oczy, a czasami i w sześć oczu, bo jeszcze Łebkowski (szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta — przyp. M. Ż.) brał w nich udział”. Wspomnienie tej sprawy pozostało dla niego jednak niezmiernie ważne: u boku Rogera znajdował się przecież w centrum wydarzeń, czy może nawet — w oku cyklonu. A że był już wcześniej sekretarzem Rogera, wiedział, że jego przyjaciel to — jak sam później napisze — „wielka inteligencja całkowicie nieskoordynowana”. Wiedział, jakie stoją przed nim zadania — układać Rogerowi spotkania i dokumenty, porządkować plany i myśli, ludzi i okoliczności. Jeśli w tych dniach jeszcze żaden z nich nie planował, że Jerzy zostanie sekretarzem ambasadora, to w istocie zaczął on już tę rolę odgrywać.

Mimo to nie udało mu się ustrzec przyjaciela przed zarzutami nielojalności wobec odchodzącej, obrzucanej błotem ekipy. Ambasador Raczyński niewątpliwie stąpał wówczas po kruchym lodzie. Popełnił jednak sporo błędów, a co najmniej niezręczności. Długo nie stawiał się na wezwania oczekującego go ministra Becka. Zadziwiał swym milczeniem szefów

placówek w Paryżu i Londynie. Juliusz Łukasiewicz napisał, że w owych dniach nie tylko on, ale też Edward Raczyński miał wrażenie, iż Roger „współdziała raczej z grupą naszych działaczy opozycyjnych (...), a w każdym razie wykazuje mało energii w staraniach o zwolnienie prezydenta i rządu z internowania”. Faktem jest, że zasłużył na pozytywną ocenę profesora Stanisława Kota — prawej ręki generała Sikorskiego — który 24 października pisał do nowego premiera, że wraz z Ponińskim Raczyński „zasługuje na zaufanie i poparcie. Ostatecznie nie kto inny, ale oni zmusili stary rząd do zniknięcia i stworzyli warunki powstania nowego. Są przedmiotem dzikiego ostrzału całej grupy Becka itp.”. To, co dla Kota było zasługą — „zmusili stary rząd do zniknięcia” — dla Raczyńskiego było zapewne koniecznością. Dla zachowania państwowości musiał doprowadzić do porozumienia między istniejącym rządem a środowiskiem Sikorskiego. Zaprzyjżniony z ambasadorem Kajetan Morawski nazwał tę jego postawę „wczesnym rozeznaniem, że jedynie poświęcając osoby, ocalić można zasadę”. Zręczne to sformułowanie nie budzi jednak sympatii.

Świadomy dwuznaczności swej roli był sam Roger. „Ale konieczność samodzielnej decyzji i trudnego wyboru, ale gwałt zadany własnej bardziej dobrotliwej niż przebojowej naturze, wyczerpały go nadmiernie — opisywał Morawski stan, w którym zastał Raczyńskiego w początkach października. — Nawet fizycznie począł odczuwać nagłe bóle i niepokoje — jak się później okazało, pierwsze objawy tej angina pectoris, której ofiarą paść miał za kilka lat”.

Giedroyc — choć po wojnie publikował też niechętnie Raczyńskiemu relacje — do końca bronił ówczesnej postawy swego przyjaciela. W *Autobiografii...* podkreślał, że ciągłość

państwa polskiego uratował Roger Raczyński: „Była to decyzja bardzo ciężka, gdyż wymagała zagrania przeciwko Beckowi i wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi. Ale nie było innego wyjścia”.

Fakty wydają się przemawiać mimo wszystko na korzyść ambasadora. Rzeczywiście, patrzył przez palce na nielojalność swoich podwładnych — ale brak jakichkolwiek dowodów na to, że sam się nią zhańbił. Z pewnością lawirował. Możliwe, że za bardzo, ale swoje zadanie wykonał i ustrzegł się dezerccji — a ta mogłaby oznaczać historyczną katastrofę.

Paweł Starzeński, choć dla ambasadora wyrozumiały, zapisał jednak swoje ówczesne przekonanie, iż „wielkim i zasadniczym błędem Rogera Raczyńskiego było, że nie zdobył się wtedy na to, by pojechać do Becka i w rozmowie z nim przedstawić wszystko jasno, uczciwie i otwarcie”. Najwidoczniej zabrakło mu siły.

Czy i jak mógł Giedroyc wpływać wówczas na postępowanie Rogera? W historyczny problem ciągłości władz rzucony został prosto z drogi — niemal z walizką w rękę. O tym, co się dzieje, wiedział wówczas pewnie jeszcze mniej niż Raczyński. Układy personalne w ambasadzie miał dopiero poznać. Ufać mógł tylko Rogerowi. Czy wiedział o wszystkich jego krokach? Zapewne nie. Znalazł się dopiero co w zupełnie obcym kraju i niecodziennej sytuacji. Od nowa musiał układać sobie życie, w nowym mieście, wśród nowych ludzi, wobec nowych problemów — i w roli, która nie była jeszcze do końca określona.

XI. Bukareszt — w ambasadzie

Jesienią 1939 roku Bukareszt był jednym z ciekawszych miast świata. Tłoczyli się tu i gorączkowali nie tylko polscy uchodźcy, ale też agenci i wysłannicy najpotężniejszych państw. Na północy, gdzie jeszcze kilka dni temu istniała Polska, podawali sobie właśnie ręce zwycięscy sojusznicy — Trzecia Rzesza i Związek Sowiecki. Rumuni z obawą spoglądali na oba te państwa. Tu zaś, na południu, zaczynały się Bałkany — kawałek Europy, gdzie wszystko było możliwe. Przez tutejsze góry każdego dnia przedzierały się setki różnego autoramentu „turystów”, tu można było wynajmować okręty i wyruszać nimi w nieznany kierunek bez żadnych niemal formalności, tutaj ludzie pojawiali się znikąd i bez śladu znikali.

Jerzy Giedroyc nie był pewien, jak długo pozostanie w rumuńskiej stolicy i jak długo dane mu będzie pracować dla Rogera Raczyńskiego. Wraz z bratem i Tatianą zamieszkali początkowo w niewielkim hoteliku Frunzetti, by po paru dniach przenieść się do — równie przeciętnego — Carmen przy ulicy doktora Marcoviciego. Prawdziwe, niezależne mieszkanie wynajęli dopiero w końcu października, od niejakiiej madame Angelescu. Trzeba się było wprawdzie wdrapywać na czwarte piętro, a już pierwszej nocy okazało się, że niezbędną będzie — jak zanotował Henryk Giedroyc — „ofensywa” przeciwko pluskwom, ale mieli wreszcie własny kąt. Nowy adres: Constantin Nacu 6, apartament 10. Po sąsiedzku miesz-

kała między innymi Aniela Mieczysławska, jedna ze słynnych czterech córek Franciszka Lilpopa, późniejsza współpracowniczka „Kultury”.

Małżeństwo Giedroyców znów było razem. Jakie były, na jakich nadziejach czy chłodnych kalkulacjach opierały się ich stosunki — nie wiemy. Rokowania były jednak pomyślne. Zakochany Jerzy cierpliwie znosił nawet organizowane co kilka dni wieczory brydżowe, będące najważniejszym składnikiem życia towarzyskiego bukareszteńskich Polaków — on sam grać wprawdzie nie lubił, ale kartami pasjonowała się Tatiana. Zaangażowała się też w życie „polskiego” Bukaresztu i rozmaitych organizacji charytatywnych, działających przy ambasadzie. Jako żona sekretarza ambasadora robiła wreszcie to, co lubiła i potrafiła najlepiej — wyglądała, bywała, czarowała...

Dudka, który w styczniu 1940 roku kończył osiemnaście lat, posłano do szkoły — chłopak musiał przecież zdać maturę. Mimo że szkoła polska przy ulicy Budisteanu działała już w listopadzie, Henryk regularną naukę szkolną rozpoczął dopiero w lutym następnego roku. Nie potrwała długo — już miesiąc później zdał maturę. Dzień 11 marca, kiedy odbywał się ostatni egzamin ustny, był dla niego — rzecz jasna — bardzo ważny. Zabrał więc ze sobą pistolet. To, że wcześniej dostał go od Jerzego, wiele mówi o ówczesnej sytuacji w Bukareszcie, ale gest ten trudno też uznać za szczyt odpowiedzialności ze strony starszego brata. Ciężący w kieszeni browning przysporzył zresztą Henrykowi podczas egzaminu jedynie dodatkowego stresu.

Zajęcia szkolne i prywatne lekcje języków obcych, które zaczął pobierać już w październiku, nie były zbyt absorbujące, za to życie bałkańskiej stolicy — zdecydowanie tak. Jak pan

Henryk sam z uśmiechem przyznawał, w Bukareszcie wciąż trwał dla niego okres niespodziewanie przedłużonych we wrześniu wakacji. Nic dziwnego, że w pełnej mniejszych i większych knajpek dzielnicy Vacaresti dzień po dniu tracił swój, przysługujący każdemu uchodźcy, zasilek, wynoszący równe sto lei. Nie było to wiele, wystarczało jednak większości na przeżycie, młodszemu zaś Giedroyciowi na poznawanie życia. Życia zdecydowanie ciekawszego niż domowe brydże, które nie tylko go nie bawiły, ale też — rozgrywane za ścianą (mieszkanie było dwupokojowe) — nie pozwalały mu spać. Finansowa niezależność osiemnastolatka nie podobała się jednak jego bratowej i stosunki między nimi zaczęły się po jakimś czasie psuć. W obronie brata stanął Jerzy, który w bukareszteńskich warunkach nie widział sensu w sporach o pieniądze — chwilowo były, może nawet większe niż kiedykolwiek (Roger przyznał mu wysoką pensję). Czy będą następnego dnia i jaką wówczas będą miały wartość — tego nikt nie mógł przewidzieć. Henryk miał jednak jeszcze jeden powód, żeby rzadziej bywać w domu. Jesienią 1940 roku został studentem bukareszteńskiego uniwersytetu.

Niewiele częściej — choć z zupełnie innych powodów — bywał w domu Jerzy. Większą część dnia spędzał w budynku ambasady, mieszczącej się w willowo-rezydencyjnej dzielnicy Parcul Filipescu, w alei Alexandru pod numerem 23.

Wrzesień przewrócił do góry nogami harmonijny tryb działania bukareszteńskiej placówki. Główny hall pełen był szczęśliwców, którzy odczekali już swoje na dziedzińcu i udało im się wejść do gmachu. Teraz oczekiwali na spotkanie albo z jakimś urzędnikiem, albo nawet z samym ambasadorem, którego gabinet mieścił się na lewo od wejścia. Ówczesny plan sytuacyjny ambasady znamy z relacji Wojciecha Krzyża-



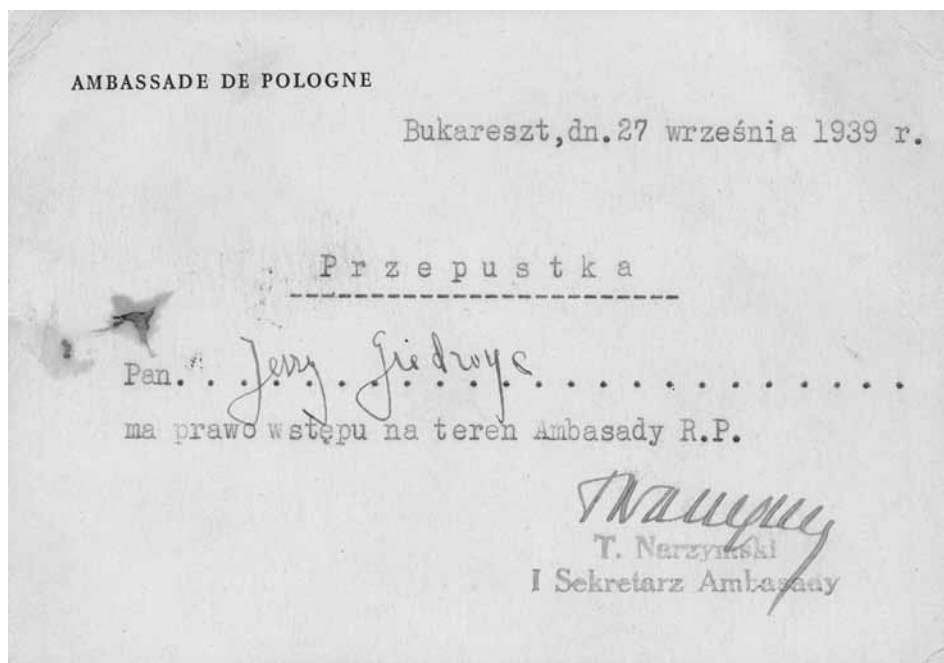
Legitymacja studencka Henryka Giedroycia z wizerunkiem „męczennika narodowej rewolucji”, twórcy Legionu Michała Archaniola i Żelaznej Gwardii — Corneliu Zelea Codreanu.

nowskiego, który we wrześniu dotarł do Bukaresztu wprost z placówki w Bratysławie. „W głębi drzwi do dwóch salonów, z których większy był zarazem jadalnią — pisał po latach w «Zeszytach Historycznych». — (...) Oba salony zostały zajęte przez pracowników: mniejszy służył za pied-à-terre Ponińskiemu i Sobańskiemu i był zarazem miejscem urzędowania Giedroycia; w pokoju jadalnym zainstalowana została dodatkowa kancelaria (były dni, kiedy liczba listów do nas przekraczała pół setki). Pierwsze piętro zajmowało mieszkanie ambasadora, ale jeden pokój zajmowali szyfranci”. Pozostałe



Budynek Ambasady RP
przy Alea Alexandru.

Przepustka upoważniająca
Jerzego Giedroycia do
wstępu na teren placówki.



biura — w tym gabinet radcy Ponińskiego i kancelaria ambasady — mieściły się w głębi posesji, w oficynie.

Jak wyglądał zespół, do którego trafił Giedroyc? Na czele ekipy, jak wiemy, stał jego przyjaciel — Roger Raczyński, przez współpracowników zwany Słoniem. Władysław Pobóg-Malinowski pisał o nim, że „zawsze zbyt wiele kwestii przerzucał na swego zastępcę — radcę ambasady Ponińskiego — lubił się nim wyręczać i dlatego często nie znał wielu spraw, dziejących się na jego ambasadorskim podwórku”. Wyjazd na placówkę nie zmienił byłego wojewody i ministra — nadal był człowiekiem zadziwiająco nieorganizowanym i roztrzepanym. „Krótco po moim nastaniu w ambasadzie — wspomina Krzyżanowski, a więc jesienią 1939 roku — wysmażyliśmy piękną Note Verbale, jaką miał Raczyński wręczyć osobiście królowi Karolowi. Wobec nawału pracy żaden z nas nie mógł ambasadorowi towarzyszyć, więc tylko upewniliśmy się, że ambasador notę ze sobą zabrał. Wrócił w doskonałym humorze, rozmowa z królem potoczyła się doskonale, «obiecал wszystko załatwić». «A nota, Panie Ambasadorze?». «Naturalnie, że noty nie zgubiłem, co wy sobie wyobrażacie!». I wyjął nieszczęsną, nienaruszoną kopertę z kieszeni. Trzeba było potem zaraz jechać do pałacu królewskiego, wyjaśniać i przeproszać”. Krzyżanowski wystawia przy tym swemu pryncypałowi jak najlepszą opinię. Z pewnością również podpisałby się pod nią redaktor Giedroyc, który jego wspomnienia opublikował: „Był jedną z najbardziej uroczych postaci, jakie w swoim życiu spotkałem, a na pewno najlepszym szefem. Wielkiej kultury i rozległej wiedzy, łączył doskonale formy towarzyskie z zupełnie naturalnym sposobem bycia. Miał rzadki dar obcowania z ludźmi na stopie całkowitej równości; rozmawiał tak samo swobodnie z królem Karolem,

jak i z najuboższym z jego poddanych. (...) Jego podejście do spraw było zawsze poważne, ale bez pedanterii, do ludzi zawsze spokojne i pogodne, nie bez szczypty humoru, ale nie ironiczne, a już na pewno bez złości i złośliwości”. Jako że nową ekipę rządzącą cechowały właśnie w dużej mierze pedanteria, brak poczucia humoru, złość i złośliwość — trudno się dziwić, że dość szybko Rząd RP na Uchodźstwie, od listopada działający w Angers w zachodniej Francji, przestał Rogera darzyć pełnym zaufaniem.

Dużo bardziej odpowiedni byli — z punktu widzenia środowiska generała Sikorskiego — współpracownicy ambasadora. Jak zachowali się we wrześniu attaché wojskowy, pułkownik Zakrzewski, oraz zastępca Rogera, Alfred Poniński, już wiemy. O pierwszym z nich Krzyżanowski pisze, że cechowała go skłonność do „pracy na własną rękę bez wtajemniczania nas w szczegóły”. Drugiego zaś opisuje — podobnie jak większość świadków ówczesnych wydarzeń — jako urodzonego intryganta, zakochanego w Talleyrandzie. Popędliwy, w sporach skłonny nawet do korzystania z mocnej laski, której używał z powodu kłopotów z chodzeniem. „Stary arywista Ponio”, pisał o nim Giedroyc w jednym z listów do Rogera.

Do zespołu ambasady wkrótce dołączył zaprzyjaźniony z Jerzym Władysław Wolski, we wrześniu ewakuowany jako pracownik referatu prasowego MSZ. Na placówce w Bukareszcie spędził uprzednio kilka lat, toteż na tamtejszych salonach politycznych czuł się jak ryba w wodzie.

Jerzy Giedroyc, we współpracy z Kajetanem Morawskim — przyjacielem Rogera, którego ten ściągnął do Bukaresztu w pierwszych dniach października — zreorganizował działalność ambasady, dostosowując ją do nowych potrzeb. Była ona w tych tygodniach jednym z najważniejszych

Legitymacje Jerzego i Tatiany Giedroyców wydane przez Ambasadę RP w Bukareszcie.



polskich ośrodków politycznych, gospodarczych i wojskowych. Najbardziej palące okazały się problemy oblegających budynek uchodźców, którzy — jak pisał Morawski — byli „głodni, bezdomni i bezradni”. W ambasadzie, z udziałem dyrektora Banku Polskiego, podjęto decyzję o przekazaniu części rządowych zasobów złota władzom rumuńskim — z tej sumy Rumuni zaczęli wypłacać Polakom wspomniane „stulejówki”. Porządkowano, przeliczano, częściowo wyprzedawano, ale też organizowano dalsze transporty mienia państwowego, które w wyniku ewakuacji znalazło się w Rumunii: od złota i papierów wartościowych po samochody i maszyny do pisania. Organizowano ucieczki żołnierzy z obozów i przerzucanie ich do Francji — gros pracy i odpowiedzialności za ten odcinek spadło na attaché Zakrzewskiego i jego współpracowników. Przez rumuńską stolicę wędrowali też nad Loarę cywile z Polski — tu już wkraczały do działania ambasada i konsulat.

By zmniejszyć nieco panujący w placówce chaos, utworzono oddzielne komisje, które „wykwaterowano” do lokali wynajętych na mieście. Liczba tych przybudówek rosła z miesiąca na miesiąc — powstawały one niezależnie od działalności ambasady, wraz z pojawianiem się kolejnych „delegatów” i „reprezentantów” nowego rządu. Każdy z nich chciał nie tylko samodzielnie działać, ale też kontrolować pozostałych. Zjawisko to opisał we wspomnieniach Wojciech Krzyżanowski: „Przedstawiciel, zgodnie z polską wersją AD 1939 prawa Parkinsona, wynajmował osobny lokal i urządzał własne biuro, angażując na własną rękę własny personel. (...) Każdy z nich domagał się przywilejów dyplomatycznych dla siebie, eksterytorialności dla swojego biura. Nawet dobroduszny Stanescu zaczął stawiać się okoniem lub grać na zwłokę, gdy liczba moich wniosków o nowe karty dyplomatyczne, o nowe



Pułkownik Tadeusz Zakrzewski

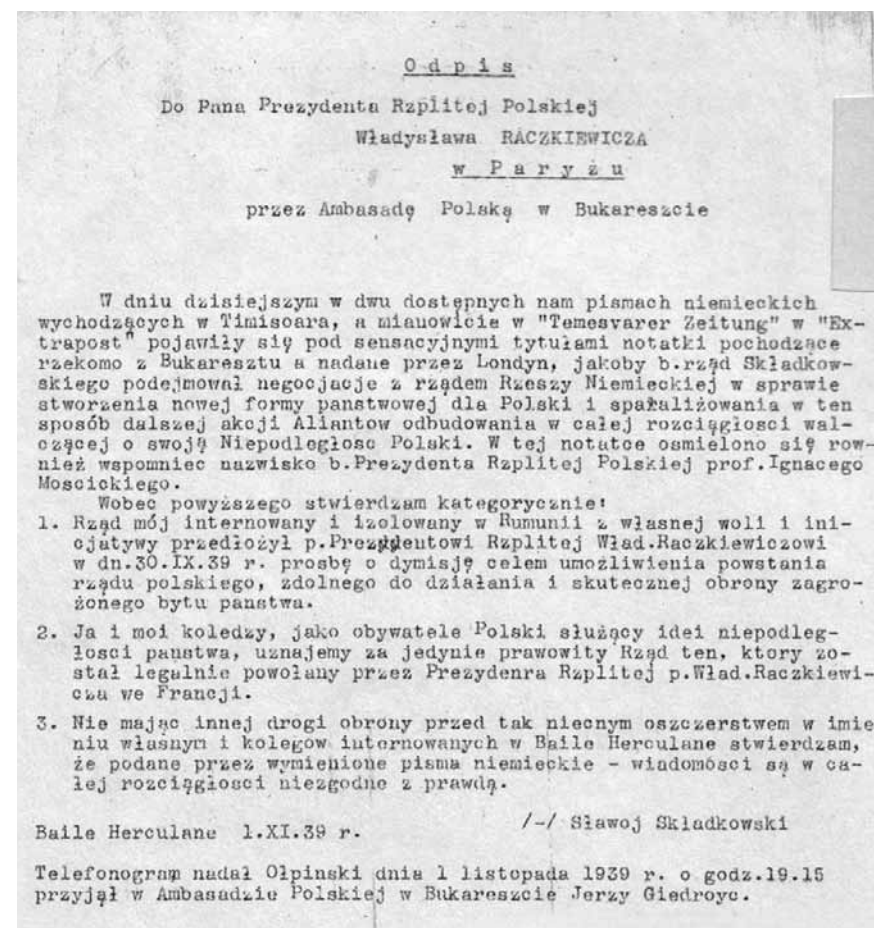


Kajetan Morawski

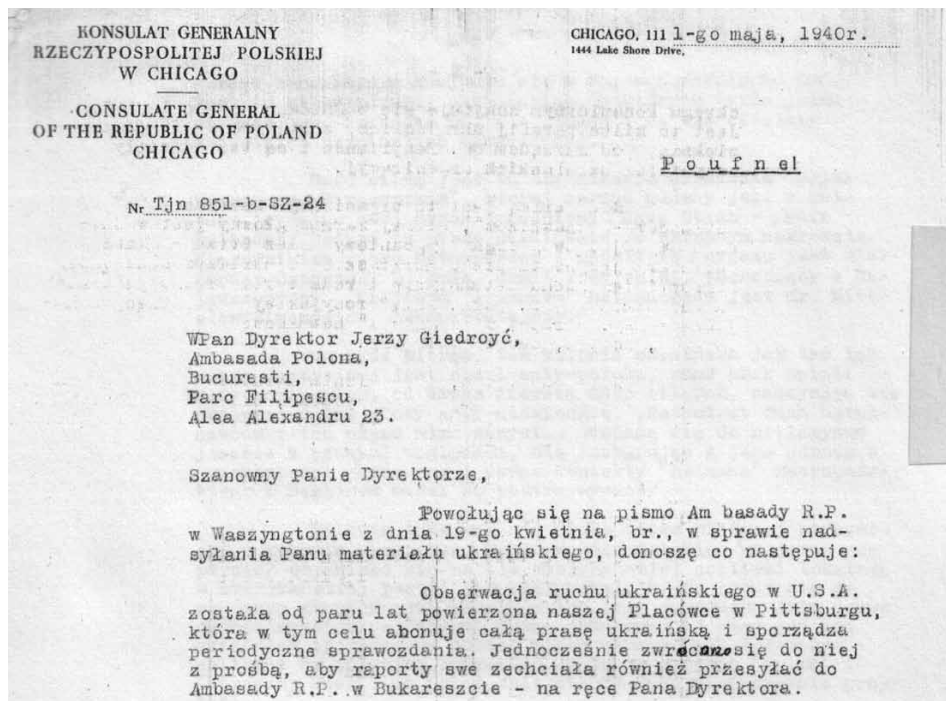
poręczenie eksterytorialności zaczęła przekraczać wszystkie granice. Przybudówki dbały przede wszystkim, jeżeli nie wyłącznie, o uzasadnienie swego istnienia. (...) Wchodziły sobie w kompetencje i słały na siebie wzajemne skargi do ambasady i do Francji, stając się znakomitym popisem sobiepaństwa”. Najważniejsza — przynajmniej w mniemaniu jej twórców i pracowników — była Komisja Badawcza. Powstała ona na fali inkwizycyjnej działalności ministra Stanisława Kota, który w nowych warunkach politycznych nie zamierzał tolerować w życiu publicznym osób w jakikolwiek sposób związanych, czy choćby sympatyzujących z rządami przedwrześniowymi. Jego ludzie śledzili internowanych w Rumunii piłsudczyków, on sam natomiast wpływał na skład i działalność powstałej

w październiku Komisji dla Rejestracji Faktów i Zbierania Dokumentów Dotyczących Ostatnich Zdarzeń w Polsce, a następnie Komisji do Spraw Przyczyn Klęski Wrześniowej 1939 roku. To również profesor Kot decydował o tym, kto spośród uchodźców może jechać dalej, do Francji. Jednym uniemożliwiano zdobycie wiz, drugim — jak Adamowi Ciołkoszowi, wspominała o tym później jego żona — proponowano stanowiska w Rumunii, aby ich „odsunąć od polityki i trzymać z dala od rządu”. Wcześniej też — już pod koniec 1939 roku — rząd utworzył w Cerizay koło Angers obóz odosobnienia dla politycznie niepożądanych uchodźców. Ówczesny sekretarz generalny francuskiego MSZ Alexis Léger miał powiedzieć o Polakach, co zanotował Władysław Pobóg-Malinowski: „Dziwny naród! Przybyli tu jako żebracy, a pierwsze, co zrobili — to zażądali trybunałów i obozów koncentracyjnych!”. Bukareszteńscy protegowani Kota oficjalnie działali wprawdzie pod auspicjami ambasady, ale dość szybko ogłosili pełną od niej niezależność.

Kontrolę nad poszczególnymi biurami ambasady prowadził „prezydialny gabinet” u boku Raczyńskiego, kierowany przez Jerzego Giedroycia. Wobec panującego chaosu wiele zajęcia dostarczało mu też rutynowe sekretarzowanie: przyjmowanie petentów, którzy chcieli się spotkać z Rogerem, załatwianie korespondencji, spotkania w najrozmaitszych sprawach. Wszystko to zabierało mu czas do późnego wieczora. Dzień kończyły zazwyczaj wspólne konferencje kierowników działów. Czy obowiązywały go też dyżury nocne, które pracownicy placówki mieli średnio raz w tygodniu, trudno powiedzieć. Możliwe, że obowiązek ten spoczywał tylko na dyplomatach, a takiego statusu „prywatny sekretarz” nie miał.



Depesza premiera Sławoja-Składkowskiego do prezydenta Władysława Raczkiewicza z 1 listopada 1939 — „o godz. 19.15, przyjął w Ambasadzie Polskiej w Bukareszcie Jerzy Giedroyc”.



Fragment depeszy z Konsulatu Generalnego RP w Chicago
do Jerzego Giedroycia z 1 maja 1940.

Ambicją Giedroycia było między innymi — jak sam wspominał — nawiązywanie i utrzymywanie łączności z krajem. Wykorzystywał do tego organizacje ukraińskie, które przynosiły jego korespondencję. Z ich działaczami — jak z Wasylem Mudryjem — był w ścisłym kontakcie. Giedroyc pisywał wówczas, jak wspomina, „do znajomych o różnych orientacjach politycznych: do Janka Pożaryskiego, do Jana Hoppego, (...) do Studnickiego, do Niedziałkowskiego, a po zamordowaniu go przez Niemców do wdowy po nim”.

Wcześniej też zaczął Jerzy Giedroyc wyjeżdżać poza Bukareszt. Jak wiemy, jeszcze we wrześniu towarzyszył swemu szefowi w podróży do prezydenta Mościckiego, do Biczaz. Dość regularnie bywał w pobliskim Braszowie, gdzie razem z ministrem Beckiem internowany był jego poprzedni zwierzchnik — Antoni Roman. Podróże te — jak wspominał — ułatwiał fakt, że ambasada posiadała samochód na niemieckich numerach rejestracyjnych. Relacje ambasady z nowymi władzami rumuńskimi były — wbrew pozorom — nie najgorsze. Jak bezcenne były stosunki nawiązane przez Władysława Wolskiego przed paru laty w politycznych sferach Bukaresztu — również w środowisku rumuńskich faszystów — miało się dopiero okazać. Ale wcześniej też korzystano z nieformalnych kontaktów; z opisu pułkownika Wendy na przykład dowiadujemy się, że jedną z wizyt Giedroycia u marszałka Śmigłego miejscowy urzędnik prefektury — za sprawą cichej interwencji ministra spraw wewnętrznych — nie tylko ułatwił, ale też osobiście przywiózł gościa.

Po raz pierwszy Giedroyc pojawił się w Krajowej, u marszałka Rydza-Śmigłego, 7 października. „Okolo godz. 16-ej przyjechał Raczyński, Morawski, Giedroyc i Wraga, który dłużej został — wyjechał koleją okolo 12-ej w nocy — notował towarzyszący marszałkowi Zygmunt Wenda. — Giedroyc rozpoczął już akcję. Słusznie uznaje kolejność pilności roboty w Ameryce, dobiera ludzi, poza tym robi prasę, tak tutaj, jak i myśli o okupacjach i Francji. Chwilowo pełni obowiązki sekretarza osobistego Raczyńskiego, obiecał utrzymywać najżywszy kontakt. Z całą ufnością odnosi się do osoby Raczkiewicza — świnstwa żadnego nie zrobi, raczej ma zastrzeżenia do Kajetana Morawskiego (?)”. Giedroyc słowa dotrzymał. „Samego Śmigłego widywałem wielokrotnie i dużo z nim

rozmawiałem. Rozmowy dotyczyły m.in. przebiegu wojny — opowiadał później w *Autobiografii...* — Pytał mnie również, jak będzie przyjęty w Kraju, jeśli się tam zjawi. Odpowiedziałem bardzo brutalnie, i używając nieco romantycznego porównania: «Pan się rozbije, jak butelka rzucona o skałę». Ale było to tylko pytanie sondujące. Zresztą uważałem bez wahania, że Śmigły powinien wrócić do Kraju». Ze swą sympatią do spraw i ludzi przegranych i odtrąconych Giedroyc zdecydowanie polubił marszałka, którego przed wrześniem uważał za swego politycznego przeciwnika. Do Krajowej, a następnie do Dragoslavele, woził plotki z ambasady i królewskiego dworu, radio, dokumenty i gazety, ale też farby — Śmigły bowiem dużo czasu spędzał na malowaniu. Z jednej z takich wypraw Jerzy przywiózł dwa pejzaże pędzla marszałka, które od niego dostał. Zdarzało się też — na przykład 27 marca 1940 roku — że w imieniu męża jeździła do Śmigłego Tatiana Giedroyc.

Giedroyc pomógł Śmigłemu w zdobyciu pieniędzy na jego działalność, uwięzioną — jak wiadomo — ucieczką z Rumunii w grudniu 1940 roku i przedarciem się do okupowanej Polski niemal rok później. Na rozpoczęcie jakichkolwiek przygotowań początkowo nie pozwalał marszałkowi właśnie brak funduszy. Uradzono więc, że Jerzy Niezbrzycki — któremu Śmigły-Rydz w sierpniu 1939 roku polecił założyć konspiracyjną organizację wojskową — oświadczy, iż pożyczył na ten cel od Rogera Raczyńskiego sto tysięcy dolarów. Na podstawie tego oświadczenia Giedroyc otrzymał tę kwotę od szefa II Oddziału Sztabu, czyli wywiadu, pułkownika Mariana Smoleńskiego. Oficjalnie miał ją oddać Raczyńskiemu, a w rzeczywistości — przekazał Śmigłemu. „Przekazanie mi tych pieniędzy odbyło się zresztą w sposób śmieszny — czytamy w *Autobiografii...* — Ambasada była pełna

ludzi, w każdym pomieszczeniu ktoś urzędował, więc płk Smoleński i gen. Malinowski, którym zlecono likwidację rachunkowości Drugiego Oddziału, siedzieli w kłozecie, trzymając na kolanach walizę z dolarami, i pracownicy odliczali banknoty, by złożyć potrzebną sumę. (...) Dla mnie sprawa Śmigłego była bardzo prosta: on chciał spełnić swój obowiązek przyzwoitego wojskowego i wziąć udział w walce, bez żadnych ambicji. I dlatego starałem się mu pomóc”.

Zarówno to, że Jerzy nie od razu posłał brata do szkoły, jak i informacja przedstawiona przezeń w Krajowej, iż jedynie „chwilowo” sekretarzuje Rogerowi — wskazują, że nie zamierzał w Bukareszcie dłużej zagrzewać miejsca. Dowodzą tego również ówczesne zapiski Henryka Giedroycia. 11 października zanotował po rozmowie z bratem: „Prawdopodobnie za dwa tygodnie pojedziemy dalej. Prawdopodobnie dostaniemy auto”. Okoliczności tej ich rozmowy pokazują, jak zajęty w początkach owego bukareszteńskiego okresu był Jerzy Giedroyc: „Wreszcie mogłem zamienić z kochanym braciszkiem kilka słów — pisał wówczas Dudek — a to tylko dlatego, że leżał bez spodni, które dał do odprasowania”.

Sytuacja zawieszenia trwała dość długo. 22 listopada Henryk Giedroyc pisał ponownie: „Niedługo mamy wyjechać do Francji, a ja potem do Anglii, gdzie się będę kształcił w szkole oficerskiej”.

Pojawiały się też inne pomysły. Jerzy Giedroyc, który — jak wspomina w *Autobiografii...* — od Aleksandra Bocheńskiego dostał z Warszawy kartkę: „Nie bądź głupi, wracaj, robimy rząd”, istotnie zastanawiał się nad powrotem do Polski. Nie miał jednak w planach, jak jego redakcyjny kolega, kolaboracji z Niemcami, ale — konspirację w okupowanej przez Sowie-
tów części kraju. „Właściwie poszedłbym z nim razem —

notował wówczas Dudek — ale przecież nie mogę zostawić Tatiany, bo jeszcze gotowa zrobić jakieś głupstwo. No i tak, nie wiem, co powinienem wówczas uczynić. Tymczasem trzeba na Jurka uważać, żeby przypadkiem tego nie zrobił”.

Pod koniec roku kandydatura Jerzego pojawiała się ponoć w kontekście nieobsadzonej placówki Polskiej Agencji Telegraficznej w Budapeszcie. Jego wyjazd z Bukaresztu — tym razem do Angers, gdzie działał rząd Sikorskiego — stał się niemal pewny 30 grudnia 1939 roku. „Najprawdopodobniej za tydzień wyjedziemy”, zanotował wówczas jego brat. Wszystko za sprawą profesora Henryka Tennenbauma, który nieco wcześniej przyjechał do rumuńskiej stolicy. „Zamieszkał u mnie, zaprzyjaźniliśmy się i wieleśmy ze sobą rozmawiali — opowiada w *Autobiografii...* Giedroyc. — Był to bardzo ciekawy ekonomista i sympatyczny typ masona. Dużo mówiliśmy m.in. o sprawach narodowościowych. Byłem wtedy w kontakcie z Mudryjem, który był gotów wyjechać na Zachód do Rady Narodowej. Tennenbaum się do tego zapalił. Powiedział mi, że wyjeżdża do Francji, że jest przyjacielem Sikorskiego i że załatwi, by jak najszybciej wydano polecenie sprowadzenia Mudryja, a przy okazji zgłosi wniosek, by mnie wzięto na kierownika biura do spraw mniejszości przy Radzie Ministrów. Jakoż wkrótce przyszła szyfrówka z mianowaniem mnie na to stanowisko i z poleceniem, bym stawiał się w Paryżu jak najszybciej. Zdecydowałem się przyjąć tę nominację. Ale do Francji nie dojechałem, bo nie mogłem dostać wizy. Poselstwo francuskie miało zakaz wydania mi wizy. Był również zakaz wydania mi wizy wojskowej”.

W styczniu ambasador Raczyński trzykrotnie telegrafował do Angers o francuską wizę dla Giedroycia. „Nie zanosi się na prędkiego wyjazd — notował z końcem miesiąca Dudek. —

Radiotelegram N°3
do Warszawy Jan. 3. I. 1940 Dla Pana Premiera!
Giedroyc urobił się staranie w Paryżu dopiero
po 15 stycznia ze względu na konieczność za-
kończenia zaproszonej przez Ambasadę
akcji w interesach ukraińskich i innych mniej-
szościowych.
Ambasada francuska mi dostatecznie
polecenia co do jego wizy. — Raczyński

Radiotelegram N°196
do Warszawy Jan. 30. I. 39 Dla Pana Ambasadora!
Proszę ułatwić wyjazd Giedroycowi, którego
angażuję do prezydium w Angers i wzywam do
szukania kłójki mianka w typie samygu. Persejowa-
cie co Piotrowski, którego adres wskazał Grodyn-
ski.
Proszę amblować kwotę 45.000 lei wydatków
profesorowi Tennenbaumowi. — Sikorski (Piotrowski)

Fragmenty książki depesz Ambasady RP w Bukareszcie.

W rządzie w Paryżu niesłychany bałagan. Morżowcy wprost szaleją. Jurek jest bardzo rozgoryczony, zdenerwowany, że nie nadchodzi potwierdzenie jego nominacji”. Jeszcze 6 lutego Raczyński uprzedzał ambasadę w Belgradzie, że „Giedroyc będzie podróżował służbowo z żoną jako urzędnik powołany do Prezydium Rady Ministrów”. Nadzieje na wyjazd ostatecznie rozwiały się, chyba nim jeszcze nadeszła wiosna.

Ciekawe, czy sprawa francuskiej wizy dała wówczas Jerzemu wiele do myślenia. Od początku nie miał najlepszych stosunków ze swymi kolegami z ambasady i konsulatu. Z jednej

strony, przy swej dziwnej pozycji prywatnego sekretarza ambasadora, znajdującej się poza zwykłą hierarchią służbową MSZ-etu, miał na swojego szefa zdecydowanie zbyt duży wpływ, cieszył się zbytnim jego zaufaniem i przyjaźnią. Z drugiej — nie brał udziału w powszechnym konkursie o tytuł najlojalniejszego wobec nowych władz urzędnika. A za sprawą kontaktów, które utrzymywał choćby z ministrami Beckiem i Romanem, a także z Rydzem-Śmigłym — czołowymi przedstawicielami „sanacyjnego spisku”, jak postrzegano ich we Francji — wzrastała nieufność do byłego redaktora „Polityki”. Internowani członkowie rządu byli przecież pod stałą obserwacją, i to nie tylko ze strony swych gospodarzy. Giedroyc o tym wiedział; po latach, opowiadając w jednym z wywiadów o wizytach u Becka, powie, że „pilnowały go trzy służby: policja polityczna rumuńska, gestapo i ludzie Stanisława Kota. Z tych najgorsi byli ci od Kota”. Zachowanie marszałka Śmigłego i jego otoczenia również było dokładnie znane w Angers. Jerzy Giedroyc zdziwiłby się z pewnością, gdyby się dowiedział, że ludziom ministra Kota w inwigilacji Śmigłego pomagał przyszły porte-parole „Kultury”, Juliusz Microszewski.

Działalności partyjnej Jerzy z pewnością prowadzić nie zamierzał, natomiast polityczną — owszem. A związany był z przedstawicielami *ancien régime*’u, o czym odpowiedni agenci chyżo donosili do Angers. Z punktu widzenia profesora Kota czy premiera Sikorskiego wszystko układało się w jedną całość — wspominał Giedroyc. Widziano w nim przedstawiciela tajnego rządu sanacyjnego, który przygotowuje się do przejęcia po wojnie władzy. Już na początku 1940 roku, gdy Giedroyc niecierpliwie oczekiwał na wizę francuską i wyjazd do Angers, pułkownik Jan Kornaus z II Oddziału — opisując funkcjonowanie ambasady w Bukareszcie — główną

jej wadę upatrywał w sprawach personalnych. „Powodem są najbliżsi współpracownicy ambasadora, mający na niego b. duży wpływ ujemny. P. Giedroyc — sekretarz (kawałek intryganta) i p. Łączkowski, szef wydziału propagandy i prasy. Zabranie tych ludzi stamtąd i danie innych odpowiednich mogłoby sytuację b. poprawić, gdyż sam ambasador Raczyński jest człowiekiem inteligentnym, trochę pracowitym, niezbyt energicznym, ale człowiek o dobrej woli i dobrym nastawieniu — pisał Kornaus. — (...) P. G. i Ł. są b. ambitni i uważają, że postereunek Bukareszt jako wysunięty musi odegrać specjalną rolę w rozmaitych poczynaniach politycznych natury ogólnej, wykazując w tych sprawach b. dużo inicjatywy, zresztą nie przemyslanej, ze szkodą dla normalnej pracy nad sprawami bieżącymi i należącymi bezpośrednio do kompetencji ambasady. Mają oni również za dużo sympatii i kontaktów z ludźmi z byłego rządu”. Cytowany wywiadowca pozytywnie oceniał natomiast ministra Ponińskiego, którego polecał swym paryskim mocodawcom, ale też tylko „pod tym warunkiem, że oba typki G. i Ł. będą przeniesieni, ponieważ ograniczają wpływ Ponińskiego na Ambasadora”. Natomiast profesor Adam Vetulani już w styczniu pisał w raporcie wysłanym do Angers do ministra Kota, że ambasada stała się „skupiskiem jednostek należących do «Myśli Mocarstwowej», a tym samym ośrodkiem grupki arystokratycznej. Mam wrażenie, że każdy hrabia znajdzie w ambasadzie wybitne stanowisko”.

Jeśli Jerzy miał czas, by nad kawą w jednym ze swych ulubionych bukareszteńskich lokali — w Capsie lub Italianie, a może w kawiarni Angelescu, gdzie podawano wyśmienite ciastka — przemyśleć te okoliczności, jeśli o nich wiedział lub mógł się ich domyślać, to z prostej operacji ich dodawania otrzymać musiał wynik następujący: zbliżają się kłopoty.

Tak też było. Zaczęły się pod koniec sierpnia 1940 roku. „Pewnego razu przybył do gabinetu amb. Raczyńskiego major Orłowski z II Oddziału i oświadczył, że ma do przeprowadzenia ważną rozmowę — opowiadał Giedroyć po trzydziestu latach swemu przyjacielowi Benedyktowi Heydenkornowi. — Wobec tego, iż zawsze obecny byłem przy wszystkich rozmowach, ambasador Raczyński powiedział: «Słucham». Major Orłowski poprosił jednak o rozmowę w cztery oczy, opuściłem więc gabinet. Orłowski powiedział, iż istnieją dowody, iż otrzymywałem łapówki za wystawianie wiz. (...) Raczyński zapytał, czy zgadzam się na przesłuchanie, na co oczywiście przystałem bez wahania”.

Kluczowym elementem „sprawy karnej Jerzego Giedroycia i towarzyszy o zbrodnię z art. 286. § 2, 287. § 2 i 293 K.K.” — bo pod takimi zarzutami (przestępstw urzędniczych: łapówkarstwa i poświadczenia nieprawdy) prowadzono dochodzenie — były nie wizy, ale tak zwane noty werbalne. Chodziło o listy polecające, w których Ambasada RP zwracała się do placówki innego kraju z poparciem prośby pana Iksa czy Igreka o wydanie mu wizy tego państwa. Czasami noty ułatwiały zdobycie wizy, czasami nie, często — twierdził Giedroyć — w ogóle nie miały znaczenia. W pierwszych miesiącach wojny większość bukareszteńskich Polaków przychodziła na Alea Alexandru po noty skierowane do ambasady francuskiej. Po upadku Francji w czerwcu 1940 roku uchodźcy wybierali inne trasy ewentualnej podróży: Roger Raczyński podpisywał noty skierowane do ambasady tureckiej, placówek angielskich i krajów Ameryki Północnej. W niektórych wypadkach — tego żądali między innymi dyplomaci tureccy — należało przy tym potwierdzić chrześcijańskie pochodzenie wnioskującego.

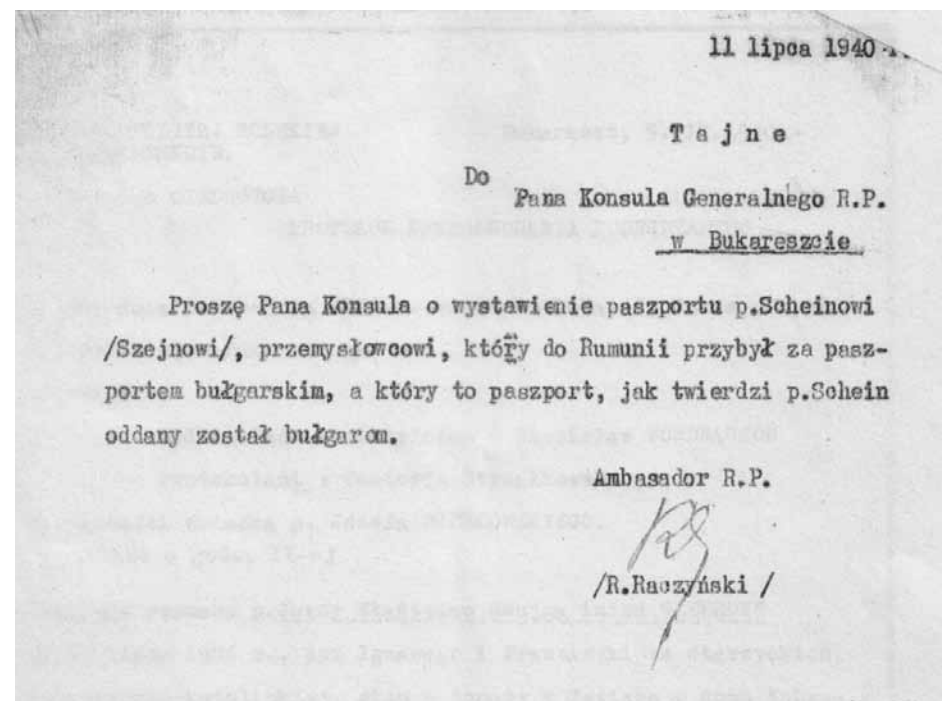
Wobec tego, że przyszłości nie sposób było planować nawet w perspektywie tygodni, kolekcjonowanie wiz stało się powszechnym zwyczajem uchodźców, a zabiegi o ich uzyskanie i przedłużanie — wizy wydawano na określony termin — elementem codziennego rozkładu zajęć niemalże każdego z nich. Sam Giedroyć w 1940 roku zdobył dla siebie wizy angielską, włoską, jugosłowiańską i — w okresie gdy spodziewał się wyjazdu do Angers, a pragnął zachować możliwość przyjazdu do Bukaresztu — rumuńską. Rekordzistą w tej mierze był chyba przewodniczący bukareszteńskiej Komisji Badawczej, Karol Alexandrowicz, który w paszporcie miał wizy: francuską, włoską, rumuńską, turecką, trzy jugosłowiańskie i dwie bułgarskie.

Według anonimowych — sporządzonych najpewniej przez wspomnianego majora Stanisława Orłowskiego, występującego wówczas pod nazwiskiem Ostaszewski — „Zapisków dochodzenia” z 29 sierpnia 1940 roku Jerzy Giedroyć noty werbalne sprzedawał przez grupę pośredników, do których należeć mieli jego żona i niejaki Ferdynand Gużkowski. Zapiski te, oficjalnie już wówczas traktowane jako „anonimowe doniesienie”, pod względem dowodowym nie mają żadnej wartości. „Krążyły po Bukareszcie pogłoski”, „wiadomym było” — na podstawie takich danych na czternastu stronach przedstawiono zbrodniczy proceder, związany rzekomo z wydawaniem not werbalnych. Dowodami były dwie takie noty, podpisane przez ambasadora Raczyńskiego. O pomoc w ich uzyskaniu — dla osób trzecich — zwrócił się do Gużkowskiego niejaki Szapiro. Miał od niego usłyszeć, że będzie go to kosztowało po 25 dolarów od osoby, przy czym Gużkowski „z tej sumy musi oddać w Ambasadzie 20 dolarów”. Orłowski pisał, że Gużkowski jest w dobrych relacjach z Tatianą

Giedroyc, „Żydówką pochodzącą z Rosji”, która „rozwiodła się z Giedroyciem i wyszła ponownie za mąż za jakiegoś Żyda nieustalonego nazwiska (Seidenbeutel), budowniczego w Warszawie, z którym się dotychczas nie rozwiodła”. Według autora „Zapisków” miała ona wpłynąć na Jerzego, by zdobył noty, o które prosił ją Gużkowski.

Jedna z tych not poświadczała, że Herman Schwarz jest znanym ambasadzie przemysłowcem ze Lwowa, podczas gdy — stwierdzał Orłowski — był to wielokrotnie karany komunista z Drohobycza. Druga zaś była wystawiona na nazwiska dwóch osób, z których jedna od półtora roku nie żyła, druga zaś była chora umysłowo i sądownie ubezwłasnowolniona. Dlaczego ów Szapiro wydał 25 dolarów na notę dla nieboszczyka? Może dlatego, że w rzeczywistości nazywał się Edward Szarkiewicz i był oficerem II Oddziału, podwładnym majora Orłowskiego. Przeprowadzona przezeń transakcja miała więc charakter bądź — jak byśmy to dziś nazwali — zakupu kontrolowanego, bądź zwykłej prowokacji.

Na tej podstawie autor „Zapisków” wywodził, że Giedroyciowie i Gużkowski wydali „niezliczoną ilość not werbalnych i paszportów polskich za pieniądze”. Zwracał bowiem uwagę, że ambasador Raczyński podpisał jeszcze jedno pismo — prośbę do konsula Mikuckiego o wydanie polskich paszportów rodzinie „niejakiego Szajna, Żyda, przemysłowca”. Ów Szajn przyjechał do Rumunii, korzystając z paszportu bułgarskiego. Giedroyc zaś miał za półtora tysiąca dolarów pomóc mu uzyskać wizy rumuńskie dla członków rodziny, którzy przebywali pod okupacją. „Ponadto w sierpniu br. Guszowski (tak w protokole nazwisko Gużkowskiego zapisywała maszynistka — przyp. M.Ż.) zaoferował Szajnowi — czytamy w «Zapiskach» — że za cenę kilkunastu tysięcy



Kopia pisma Rogera Raczyńskiego do konsula Mikuckiego w sprawie paszportów Szajna.

dolarów, które miałyby być dane Ambasadzie, Szajn otrzymać może Konsulat gdzieś na bliskim Wschodzie”. Autor wymienia też dwa inne przypadki, w których protegowani Gużkowskiego i Giedroyciowej otrzymali noty werbalne, podpisane nie tylko przez Raczyńskiego, ale i przez Ponińskiego. Jedną z nich poselstwo tureckie zakwestionowało, stwierdzając, że petent jest Żydem.

Na tym — według oskarżenia — wcale nie miały się kończyć możliwości Giedroycia. Mimo że to nie w jego kompetencjach leżało sporządzenie listy osób zakwalifikowanych

do ewakuacji na Cypr, Giedroyć rzekomo sprzedawał miejsca na tej liście. „Ponadto za staraniem Jerzego Giedroycia spółnik jego Guszowski otrzymał z Ambasady zlecenie zakontraktowania statku na Cypr, dla przewiezienia tam transportu osób zagrożonych, na którym to interesie Guszowski ze spółnikami Giedrojciami spodziewają się zarobić kilka milionów lei. Wobec przedstawionego wyżej stanu rzeczy, opartego na stwierdzonych świadkami i dowodami rzeczowymi faktach, jasną i prawdziwą niewątpliwie jest informacja, że Jerzy Giedroyć przekazał do Polski, na konto swej matki sumę 500.000 zł (słownie pół miliona złotych)”. Obok tej ostatniej informacji, na marginesie, oskarżyciele prostowali: „500.000 nie! Są natomiast inne sumy”.

„Przesłuchiowano nas, to jest żonę i mnie, jak przestępców”, opowiadał później Giedroyć Bumkowi Heydenkornowi. Protokoły, jak również cytowane wyżej „Zapiski” zachowały się w londyńskich archiwach Instytutu Polskiego i Muzeum imienia Generała Sikorskiego.

Jerzy Giedroyć stawiał się przed sędzią Sądu Apelacyjnego Stanisławem Wondrauschem 5 września 1940 roku o godzinie jedenastej. Przyznał, że wielokrotnie referował ambasadorowi i Ponińskiemu sprawy petentów, których wiarygodności nie sprawdzał, jeśli prosili go o to ludzie, do których miał zaufanie — wśród takich osób wymienił Gużkowskiego. Decyzje w sprawie wydania noty podejmowali tylko dwaj wspomniani dyplomaci. Za wydawanie not Giedroyć pieniędzy żadnych od nikogo nie brał. „Nie umiem wytłumaczyć wyrażenia się Guszowskiego — mówił — że z kwoty 25 dol. am. za każdego petenta musi oddać 20 dol. am. odnośnemu panu w Ambasadzie, a tylko 5 dolarów zostaje dla niego. Twierdzę, że w tym wypadku Guszowski nadużył mego zaufania”.

Reszta zarzutów była do obalenia równie łatwa jak oskarżenie o zamiar sprzedaży Niderlandów. Listę ewakuowanych na Cypr Giedroyć widział u Raczyńskiego, ale podkreślał, że procedura wpisania na nią kogokolwiek była skomplikowana. Jeśli chodzi o członków przedwrześniowego rządu, ambasador musiał się zwracać do Delegatury Rządu w Bukareszcie, a ta dopiero rozpatrywała jego wnioski. O rzekomym rozdawaniu przez Gużkowskiego konsulatów Jerzy oczywiście również nie wiedział.

„Do winy poczuwam się tylko o tyle — podkreślał Giedroyć — że w dwóch wypadkach wydania za moim staraniem i interwencją not werbalnych, a to dla Hermana Schwartza, Dawida Rosenwurtzla i Dawida Hausnera zaniedbałem obowiązku sprawdzenia okoliczności istotnych i powodowany jedynie prośbą Guszowskiego dopuściłem do wydania not zupełnie niewłaściwie, poza tym do winy się nie poczuwam i zaprzeczam stanowczo, bym z działalności mojej osiągał lub starał się osiągnąć korzyści pieniężne”.

Jerzy stanowczo zaprzeczał, jakoby Tatiana kiedykolwiek interweniowała u niego w sprawie wydania not werbalnych i by wiedziała o jakichkolwiek korzyściach materialnych, które czerpać miał z ich załatwiania Gużkowski.

Tatiana — która przesłuchana została zaraz po tym, jak około piętnastej skończył zeznawać jej mąż — bynajmniej nie wypierała się znajomości z Gużkowskim. Opowiadała, że od zimy, kiedy Giedroyciowie go poznali, widywali się wielokrotnie na mieście, był też u nich w domu. Potwierdziła, że Gużkowski zwracał się do niej w sprawach różnych osób, którym chciał załatwić noty werbalne. „Żadnych specjalnych informacji mu nie udzieliłam, gdyż na kompetencji urzędów polskich w Bukareszcie nie wyznaję się — twierdziła.

Bukareszt, 5. IX.1940.-

Sprawa karna Jerzego GIEDROYCIA
i tow.

PROTOKOŁ PRZESŁUCHANIA PODEJRZANEGO

spisany dnia 5. września 1940 r. w gmachu Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Bukareszcie.

Obecni :

Sędzia Sądu Apelacyjnego - Stanisław WONDRAUSCH

Protokulant : Teodozja Strzałkowska

W obecności świadka p. Józefa BIENKOWSKIEGO.

Rozpoczęto o godz. 11-ej

Jawi się wezwany p. Jerzy Władysław dwójga imion GIEDROYC
ur. 27. lipca 1906 r., syn Ignacego i Franciszki ze Starzyckich,
rel. rzymsko-katolickiej, stan - żonaty z Tatianą z domu Schwe-
coff. Magister praw, bez majątku, w Wojsku Polskim nie służył,
odznaczeń polskich nie posiada, sekretarz prywatny Pana Amba-
sadora Rzeczypospolitej Polskiej w Bukareszcie, pobiera gażę
miesięczną w kwocie 30.000 lei, - i składa następujące wyjaśnie-
nia :

Maturę gimnazjalną złożyłem w 1924 r., następnie w r.
1929 ukończyłem Wydział Prawny ze stopniem magistra praw. W mię-
dzy czasie ok. r. 1926 do 1930 pracowałem w Polskiej Agencji Tele-
graficznej w charakterze referenta, następnie od r. 1936 do końca
sierpnia 1939, tj. do wybuchu wojny, pracowałem w Ministerstwie
Przemysłu i Handlu w charakterze referenta ~~prawnego~~ prasowo-poli-
tycznego. W r. 1929 poznałem późniejszą moją żonę Tatianę Schwe-
coff, z którą w r. 1932 zawarłem związek małżeński w kościele ka-
tolickim w Warszawie. Żona moja Tatiana pochodziła z rodziny ro-
syjskiej i była wyznania prawosławnego, urodzona była w Warszawie
przed zawarciem ślubu przeszła na obrządek rzymsko-katolicki.

Sprawa karna
Jerzego GIEDROYCIA i tow.

PROTOKOŁ PRZESŁUCHANIA PODEJRZANEGO.

spisany dnia 5 września 1940 r. w gmachu Ambasady Rzeczypospo-
litej Polskiej w Bukareszcie.

Obecni :

Sędzia Sądu Apelacyjnego - Stanisław WONDRAUSCH

Protokulant : Teodozja Strzałkowska

W obecności świadka : Józefa Bienkowskiego.

Rozpoczęto o godz. 15-ej.

Jawi się p. Tatiana, urodzona Szewcoff, zamężna Giedroyciowa,
ur. 11. XI. 1911 r., córka Aleksandra i Olgi z domu Popow, reli-
gii rzymsko-katolickiej, zamężna, żona Jerzego Giedroycia,
sekretarza p. Ambasadora R.P. w Bukareszcie, posiada ukończone
liceum francuskie w Warszawie, bez majątku, przy mężu, zamie-
szkała w Bukareszcie, str. Constantin Nacu 4 m. 10. i składa
następujące wyjaśnienia :

Urodziłam się w Warszawie za Jerzego Giedroycia wyszłam za mąż
w r. 1931. Pozostawałam z nim we wspólności małżeńskiej do r.
1937, poczym rozeszliśmy się, a w r. 1939 w sierpniu spotka-
liśmy się ponownie przyczem razem z mężem opuściłam kraj i
znalazłam się na uchodźstwie w Bukareszcie, gdzie nadal wspól-
nie ze sobą żyjemy.

Po przyjeździe do Bukaresztu mąż mój Jerzy otrzymał
posadę sekretarza Pana Ambasadora R.P., którego znaliśmy już
przedtem. Mężę mojego Jerzego odwiedzałam w biurze w ten spo-
sób, że przychodziła po niego w porze obiadowej, tj. po urzę-
dowaniu, lub w porze wieczornej po skończonym urzędowaniu.
W ostatnich czasach bywało to dosyć często.

żona moja Tatiana, mam wrażenia, że znał go też Guskowski. Wiem, że p.Rodys wyjechał do Grecji, lecz w jakim charakterze nie jest mi wiadome, Rodys wspominał coś, że obejmuje tam jakąś posadę, ale nie wiem jaką.

Randa nie znam zupełnie.

Do kraju wysyłałem pieniądze w złotych polskich na adres mojej matki w Warszawie kilkakrotnie w zupełnie drobnych kwotach po 500 lub 1.000 zł., raz posłałem większą kwotę 10.000 złotych z moich własnych funduszy dla użytku prywatnego mej rodziny. Łączna kwota mogła wynosić około 18.000 złotych. Ponadto wysyłałem dwukrotnie w maju 1940 r. dwie większe sumy a to : raz 80.000 złotych, drugi raz 100.000 złotych na adres mej matki Franciszki Giedroyciowej w Warszawie - jednak nie były to moje pieniądze, ani nie były one przeznaczone dla użytku mej rodziny, lecz były to pieniądze przesłane przez Pana Ambasadora Raczyńskiego do kraju na specjalne cele.

Niejakiego Löwensteina - o ile mi się zdaje - ma on na imię Zygmunt, poznałem w Ambasadzie dokąd przybył on celem złożenia swych wrażeń i wiadomości z okupacji sowieckiej, w szczególności ze Lwowa. O ile wiem p.Löwenstein podał, że pracował w Gdańsku, w Radzie Portu Gdańskiego, a we Lwowie znalazł się z falą uchodźców. O otrzymaniu przez Löwensteina not ver - balnych do Bułgarów, Turków i Jugosłowian nie mi nie wiadomo. Wiem z rozmowy z p.Konsulem Kańskim, że Löwenstein starał się o umieszczenie, czy też chciał być umieszczony na liście zagrożonych, przeznaczonych do wyjazdu na Cypr i wtedy poinformowa - łem p.Kańskiego, że musi się z tym zwrócić do Delegatury Rządu. Dalej tą sprawą się nie interesowałem.

Adwokata Tidllesa nie znam osobiście, wiem tylko, że kilkakrotnie zgłaszał się on do Pana Ministra Ponińskiego, zaś

— W ostatnich czasach zwrócił się Guskowski do mnie z zapytaniem w sprawie Szajna, po aresztowaniu tegoż przez władze rumuńskie — czy można by w jakiś sposób Szajnowi pomóc, w szczególności dopomóc mu w ten sposób, by nie został Szajn z powrotem odesłany do okupacji sowieckiej — co mu ze strony władz rumuńskich groziło. Guskowskiego odesłałem z tym do Ambasady, by tam interwenjował, lecz nie odesłałem go do męża”. Tatiana przyznała, że w sprawie Schwartza nie chciała interweniować, ale po naleganiach Guzkowskiego poprosiła Jerzego o pomoc. Ten początkowo odmawiał, po wielokrotnych prośbach notę jednak mu wydał.

Samego Guzkowskiego przesłuchano trzy dni później, 8 września. Kim był? „Syn Bronisława i Józefy z Piekarskich, ur. w Stryju (Małopolska) 4.IV.1908 r., religii rzym.-kat., stanu wolnego, inżynier rolnictwa, studia ukończył na Politechnice Lwowskiej, właściciel majątku Ostrożec, pow. Mościska, urzędnik Koncernu Węglowego «Karwęgiel» w Cieszynie, przed wojną zamieszkały w Cieszynie, przy ul. Szopena 5, obecnie zamieszkały w Bukareszcie...”. Z bardzo szczegółowego zeznania Guzkowskiego dowiadujemy się, że przyjechał on do Rumunii z wypchanym portfelem, który jednak stracił wartość wraz z nagłą dewaluacją polskiej złotówki. Wobec tego Guzkowski zaczął podejmować się załatwiania w imieniu rodaków spraw urzędowych za wynagrodzeniem. „Interweniowałem więc w rozmaitych instytucjach tak polskich, jak i obcych państw o wszystko, o co mnie kto prosił — opowiadał. — W niektórych wypadkach brałem za to od stron pieniądze, o ile strony same ofiarowały mi jakieś wynagrodzenie i same czuły się w obowiązku jakąś kwotą mnie wynagrodzić za poniesione trudy i stracony czas. Pieniądze brałem, gdyż nie uważałem tego za nieetyczne, zwłaszcza że pieniądze

Kopia strony 9 z „Protokołu Przesłuchania
Podejrzanego Jerzego Giedroycia”.

potrzebne mi były na życie i jestem bez posady. (...) Czasem petent zwracał mi tylko poniesione przeze mnie wydatki na tramwaje, taksówki itp., zamożniejsi zaś płacili mi, względnie dawali pewne kwoty w dolarach amerykańskich w wysokości 20 dol., 25 dol., 50 dol., czasem zaś w lejach po kilka tysięcy lei, a nawet 1.000 i 500 lei”.

Zimą poznał Gużkowski Tatianę, a kilka tygodni później Jerzego. Jej — zapewniał — nigdy o pomoc nie prosił: „Często tylko skarżyłem się przed nią, że ludzie, którzy mnie prosili o interwencję, mają pewne trudności w załatwieniu spraw przez władze, które uchodźcom robią nieuzasadnione trudności”. Natomiast Jerzego, owszem, wielokrotnie interpelował w sprawach swych podopiecznych; spotykał go też w ambasadzie, kiedy przychodził tam załatwiać sprawy u innych urzędników. Ci zresztą wielokrotnie kierowali go właśnie do sekretarza ambasadora. Gużkowski potwierdził, że Giedroyc pytał go zawsze o osoby, w których imieniu interweniował, ale okazywania dokumentów nie wymagał. Natomiast on sam z Jerzym ani jego żoną nie dzielił się otrzymywanymi pieniędzmi. „Podejrzany Gużkowski podaje, że jest możliwe, że Giedroyc wydając obie wyżej wspomniane noty werbalne Steinowi uczynił to raczej dla podejrzanego, niż dla Steina” — zanotowano w protokole.

Gużkowski powiedział też, że słyszał o planach ewakuacji zagrożonych Polaków na Cypr oraz o tym, że również „Żydzi chcą wynająć jakiś statek i zbiorowo wyjechać nim na Cypr”, jednak podkreślał, że sam nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Możliwe jedynie, że o plotkach tych wspominał Tatianie. Szczegółowo opisał sprawę Szajna, jego problemy z uzyskaniem paszportów, a następnie not werbalnych i wiz dla rodziny bliższej — w Bukareszcie, i dalszej — pozostają-

cej pod okupacją sowiecką. „W kawiarni względnie cukierni Angelescu w jakimś gronie osób, z którymi tam byłem, żartowano — opowiadał Gużkowski — że dla Szajna trzeba by się wystarać o jakiś konsulat honorowy, tym bardziej, że jest człowiekiem bogatym, to wtedy ustaną te kłopoty Szajna z wizami, bo wtedy mógłby sobie sam udzielać wiz. Nie była to żadna propozycja, tylko żart, a Szajna przy tym nie było”. W ten sposób wyjaśniła się pogłoska, która obciążała na razie tylko Giedroycia, choć ze względu na to, w czyich kompetencjach leżało mianowanie konsulów, traktowana, jak widać, śmiertelnie poważnie — mogła obciążyć konto ministra spraw zagranicznych, a może też samego premiera Sikorskiego.

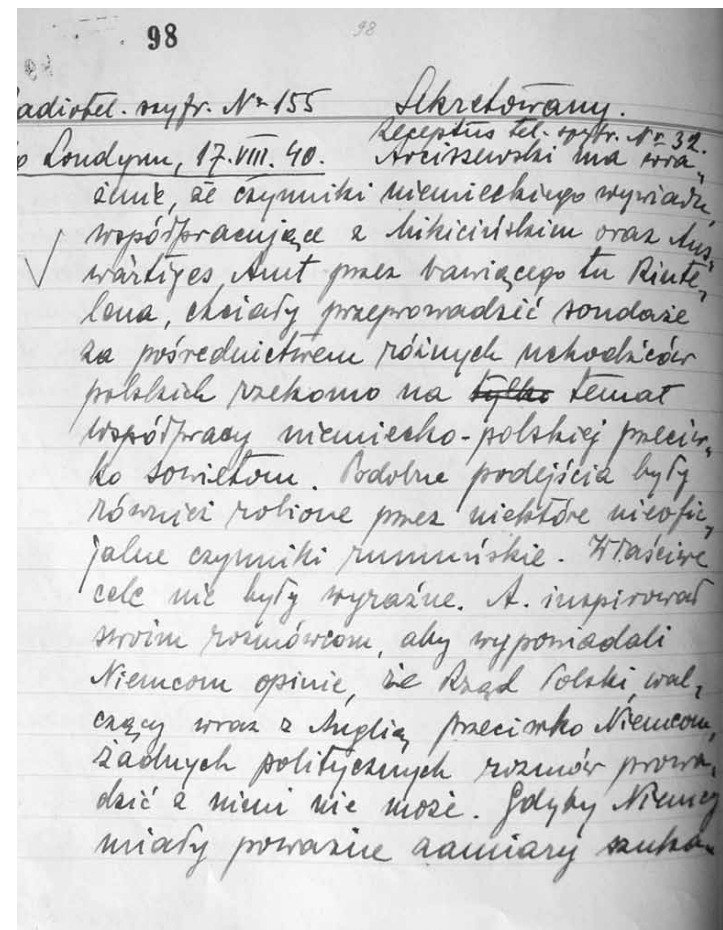
Sędzia Wondrausch odebrał również zeznania od pani Stanisławy Czestyńskiej z kancelarii ambasady, która opowiedziała o obowiązujących zwyczajach w kwestii wydawania not werbalnych. Zajmowali się tym różni urzędnicy, mówiła, a wydawane były one na papierze firmowym placówki, do którego dostęp mieli niemal wszyscy, łącznie z urzędnikami biura zajmującego się rejestracją samochodów rządowych, które znalazły się w Rumunii. Ostatni świadek — niejaka Regina Billig — zdecydowanie oskarżeniu się nie przydała. Pani Regina wprawdzie przelotnie znała i Giedroyciów, i Gużkowskiego, ale nigdy nie korzystała z ich pomocy w swych staraniach o wizy. Wielokrotnie załatwienie ich proponowali jej rozmaici ludzie w kawiarniach, jednak i im odmawiała. Samodzielnie wystarała się natomiast o wizy brazylijską i palestyńską.

Z końcem września „sprawę karną Jerzego Giedroycia” przejęła Komisja Badawcza. Raczyński zwrócił się bowiem do Orłowskiego o przekazanie mu materiału dowodowego. Poinformował przy tym szefa bukareszteńskiej „dwójki”,

że poprosił trzy osoby, które zdecydowanie miały zaufanie rządowi — ministra Arciszewskiego, konsula Kańskiego i współpracownika Komisji Badawczej, Jana Szuldrzyńskiego — o wydanie wiążącej opinii na temat zarzutów stawianych Giedroyciowi. Ci zaś stwierdzili, że są one bezpodstawne. Orłowski zamiast oddać materiały ambasadorowi, przekazał je Komisji.

Rogerowi Raczyńskiemu działalność śledcza, uprawiana na terenie Bukaresztu przez II Oddział i Komisję Badawczą, nie tylko szybko obrzydła, ale też zaczęła uniemożliwiać pracę. Zarzuty stawiane Giedroyciowi były bowiem tylko jednym z elementów polowania na sanacyjne czarownice, uprawianego na terenie ambasady i jej przybudówek. W tym samym okresie Komisja Badawcza postawiła ciężkie zarzuty ministrowi Mirosławowi Arciszewskiemu, stojącemu na czele Delegatury Rządu, dotyczące między innymi nieprawidłowości przy ustalaniu wspomnianej już listy osób zagrożonych, przeznaczonych do ewakuacji na Cypr. Arciszewski w depeszy do Londynu skarżył się, że ludzie Alexandrowicza włamują się do jego gabinetu i rewidują biurko. Kategorycznie żądał dymisji Alexandrowicza, uznając jego oskarżenia za „nikczemny donos”, i postulował likwidację „tej groteski”, jak określił roczną działalność Komisji Badawczej.

Arciszewskiego oskarżono również o utrzymywanie kontaktów z Niemcami — sam zresztą informował o nich Londyn. W *Autobiografii...* Giedroyc opowiada, że wysłannik berlińskiego MSZ-etu, Franz von Rintelen — ten sam, który kontaktował się z Arciszewskim — poprzez dyplomatów niemieckich dotarł do Władysława Wolskiego. Ten zorganizował spotkanie z von Rintelenem, w którym udział wzięli również Jerzy Giedroyc i Ryszard Piestrzyński: „Chciał wiedzieć, czy



Z książki szyfrowej ambasadora Raczyńskiego: „Arciszewski ma wrażenie, że czynniki niemieckiego wywiadu, współpracujące z Mikicińskim, oraz Auswartiges Amt przez bawiącego tu Rintelena, chciały przeprowadzić sondaż za pośrednictwem różnych uchodźców polskich, rzekomo na temat współpracy polsko-niemieckiej przeciwko Sowietom...”.

byłoby możliwe nawiązanie współpracy z Polską i na jakich warunkach. Odpowiedziałem, że jedynym tematem, na który możemy rozmawiać, jest odbudowa niepodległości Polski, z tym że możemy dyskutować na temat Gdańska i korytarza, z którego gotowi jesteśmy nawet zrezygnować. Twierdziłem też, że porozumienie z Polską jest dla Niemiec rzeczą niezmiernie ważną z uwagi na niebezpieczeństwo rosyjskie. Bardzo wyraźnie stawiałem tezę, że Niemcy bez Polski nie są w stanie wygrać wojny z Rosją. To było moje założenie. Przyjęte to zostało z pewnym sceptycyzmem i na tym się skończyło”. Dla Giedroycia fakt, że Niemcy szukali z nim kontaktu, nie był niczym dziwnym — przyczyny tego widział w publicystyce jego pism, wyraźnie sceptycznej wobec Francji i Anglii. Podobnie rzecz widział attaché wojskowy, pułkownik Tadeusz Zakrzewski. „Rozmowy te prowadzone są według mego zdania ze strony Polaków z powodu braku wiary w zwycięstwo Anglii i obawy przed bolszewizmem — pisał w depeszy, skierowanej do szefa II Oddziału. — Celem przerwania i uniemożliwienia tych pertraktacji proponuję przeniesienie służbowe z Rumunii ministra Arciszewskiego. Giedroycia — również przydzielić do jakiejś instytucji poza granicami Rumunii. Ma on duży wpływ na Ambasadora Raczyńskiego i aczkolwiek nie jest urzędnikiem Ambasady — zna wszystkie tajemnice i szyfrowe depeche”.

W końcu września Raczyński postawił sprawę na ostrzu noża. Do premiera, ministrów spraw zagranicznych i sprawiedliwości wysłał szyfrowany telegram, w którym opisał działalność Alexandrowicza, przypominając, że już kilka miesięcy wcześniej na jego postępowanie skarżył się attaché Zakrzewski. „A. nie tylko nie zastosował się do następnych instrukcji telegraficznych Rządu, nakazujących redukcję dzia-

łalności — pisał Raczyński — ale (...) przerwał wszelką merytoryczną współpracę z Ambasadą, nawet kontakt osobisty z Min. Ponińskim i głosił, że jako polskie Gestapo powołany jest do głębokiej czystki tutejszych stosunków urzędowych. (...) W opozycyjnej i bezprawnej tej akcji, której starano się nadać charakter publicznego skandalu, odgrywał czynną rolę współinicjatora szef ekspozytury II, major Orłowski, stosując wspólnie z A. brudne metody inwigilacji à la Gestapo i Czecha oraz zwykłej prowokacji...”. Raczyński wraz z konsulem generalnym Mikuckim oddawali się do dyspozycji ministra, jeśli by Alexandrowicz i Orłowski mieli pozostać na swych stanowiskach. Trudno się ambasadorowi dziwić — w jego dokumentach, zdeponowanych w Instytucie Sikorskiego, znajdujemy między innymi zeznanie byłego komendanta policji w Krakowie Czesława Grabowskiego, który przez pewien czas pracował w Komisji Alexandrowicza jako szef jej wywiadu (sic!). Jakże zadania miała ta służba? Alexandrowicz wyjaśnił je Grabowskiemu bez ogródek: „W ogóle, pan jako szef wywiadu powinien dawać mi informacje o panu Raczyńskim, ambasadorze, no i o innych panach”.

W ostrożniejszym tonie, niż robił to Alexandrowicz do ministra Kota, depeszował attaché Zakrzewski do samego generała Sikorskiego. Wprawdzie „przestępstwo Giedroycia” uważał za udowodnione i ponownie domagał się odesłania go z Bukaresztu, ale odpowiedzialnością obciążał głównie Tatianę. „Pan Ambador również potwierdził w rozmowie zgubny wpływ tej osoby na Giedroycia. Bezpieczeństwo tajemnicy państwowej wymaga więc usunięcia człowieka niepewnego — szczególnie, że Giedroyc jest niewinny, a tylko lekkomyślny, że to była prowokacja i że cała sprawa jest wyraźnie zrobiona przeciw Ambasadorowi osobiście — pisał Zakrzewski

do Naczelnego Wodza. — (...) Wobec powyższego proszę o wydanie Panu Ambasadorowi rozkazu szybkiego wysłania z Rumunii Giedroycia, by ten stan przerwać”.

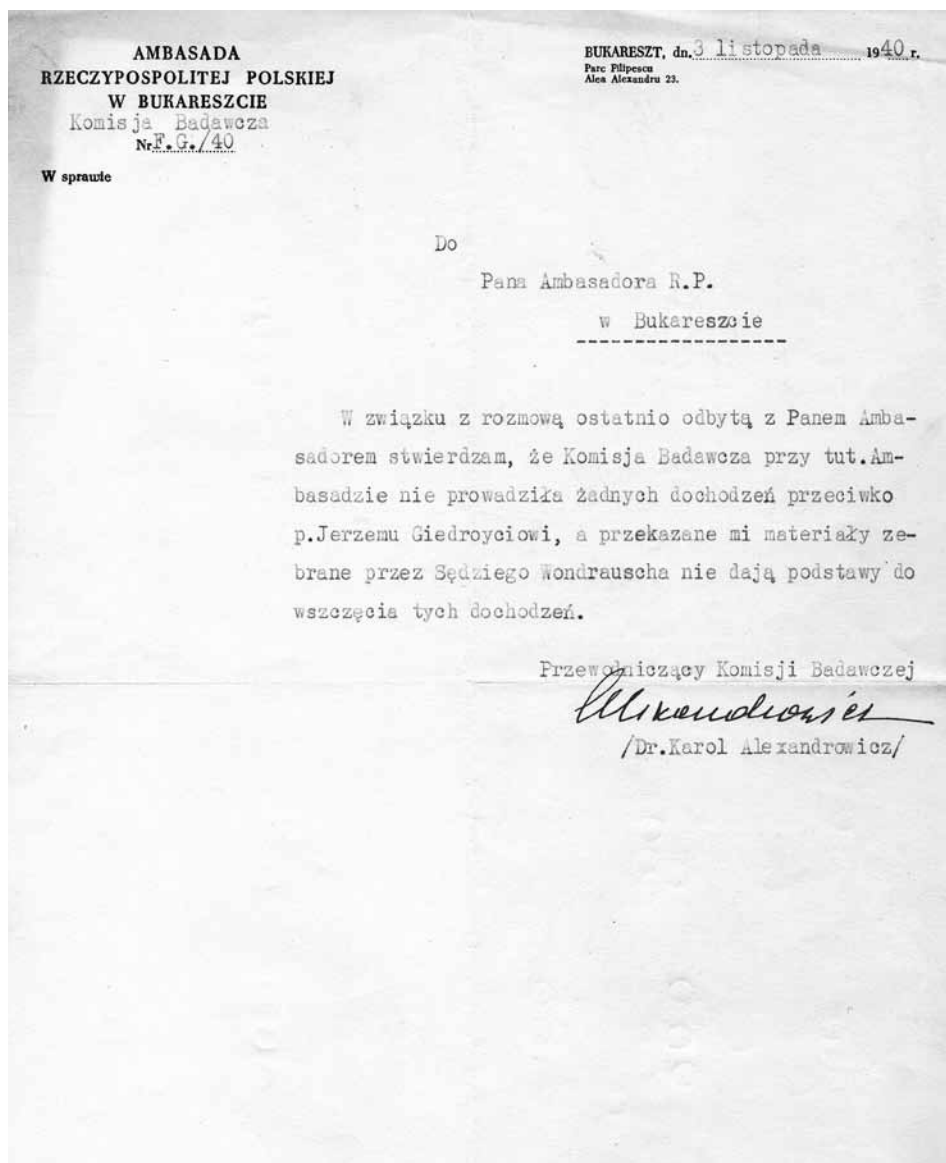
W październiku, w związku z nieudaną ucieczką ministra Becka, Rumuni zaczęli aresztowania wśród Polaków. W międzyczasie doszło bowiem do radykalnych zmian na scenie politycznej Rumunii: we wrześniu 1940 roku przy pomocy Legionu Michała Archanioła i Żelaznej Gwardii władzę przejął marszałek Ion Antonescu jako *conducator* — wódz. Króla Karola zmuszono do abdykacji na rzecz syna, Michała I, a Rumunia stała się oficjalnie Narodowym Państwem Legionowym. Marszałek Antonescu ściągał się z gwardzistami w proniemieckości, a liczebność niemieckiej misji wojskowej i rozmaitych oddziałów „instruktorskich” sięgała w październiku już kilku dywizji. „Nieudana próba ucieczki b. Min. Becka stała się sygnałem do bezpośredniego rozpętania przeciwko placówkom polskim wrogiej akcji «zielonych koszul» — relacjonował kilka tygodni później w piśmie do ministra Zaleskiego ambasador Raczyński. — MSZ nie śmiało się temu już przeciwstawić, wiedząc, że nie może liczyć na poparcie Gen. Antonescu, który chciał w nas tylko widzieć ekspozyturę przeciwnych jego koncepcjom wpływów angielskich (hasło: Polacy to sabotażyści współpracy Rumunii z Osią i szpiedzy Anglii)”.

Dnia 20 października 1940 roku do aresztów trafili między innymi radca finansowy Tomasz Kuźniarz, Alexandrowicz i Orłowski. Gwardziści, zwani „zielonymi koszulami”, i policjanci wtargnęli do lokali polskich instytucji. Skonfiskowano spore sumy pieniędzy, a zatrzymanych po pewnym czasie i wielu interwencjach wypuszczono. Polski Bukareszt trząsł się od plotek i przypuszczeń co do prawdziwych powodów



Legioniści na ulicach
Bukaresztu.

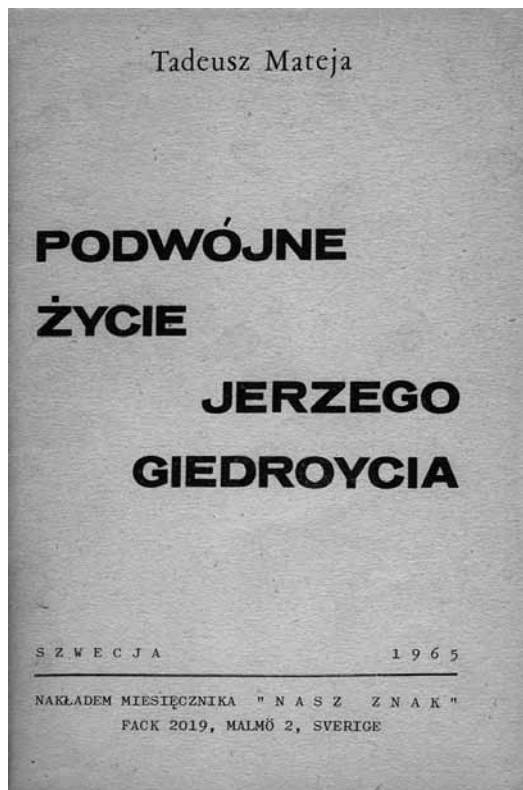
ataku: w grę wchodziły nie do końca legalne operacje finansowe, a także szpiegostwo. „Protesty nasze były bezskuteczne — pisał Raczyński — bo politycznie skompromitowały wszystkich wyczyny Ekspozytury II, która postępowała naiwnie i lekkomyślnie, a mając kontakt z II rumuńską uważała do ostatka, że może działać swobodnie, wobec czego właściwie wcale się nie konspirowała”. Alexandrowicz, gdy dotarł już do Turcji, w piśmie do ministra sprawiedliwości niedwuznacznie sugerował, kto jego zdaniem był *spiritus movens* działań rumuńskiej policji i Żelaznej Gwardii. Sprawa ucieczki Becka była według niego tylko jednym z powodów represji ze strony Rumunów, bowiem „aresztowani byli znani i zdeklarowani przeciwnicy ucieczki Becka i urzędowania w Ambasadzie Jerzego Giedroycia, wywierającego na ambasadora Raczyńskiego przemożny wpływ”. Na piśmie jednak — w przeddzień ewakuacji ambasady, 3 listopada 1940 roku — przyznał, że nie było żadnych podstaw do stawiania Giedroyciowi zarzutów.



Pismo Karola Alexandrowicza do ambasadora Rogera Raczyńskiego z 3 listopada 1940.

Jak podsumować dziś całą tę „sprawę karną”? W opinii, jaką dla Raczyńskiego wystawili Szuldrzyński i Arciszewski, czytamy, że „zarzuty zawarte w doniesieniu znajdują potwierdzenie w przedstawionych materiałach dowodowych jedynie w stosunku do osoby Gużkowskiego”. Proponowali oni zabezpieczenie materiałów dochodzenia dla celów sprawy sądowej, która mogłaby w przyszłości odbyć się w Polsce. „Nigdy żadnej sprawy nie było, nigdy nikt więcej ani mnie nie pytał, ani też informował o niej — komentował Giedroyc, pytany o rzecz całą przez Bumka Heydenkorna. — Po prostu ulotniła się, zostawiając jednak smród”. Dwadzieścia lat po wojnie odgrzał ją Tadeusz Rozmanit. Pod pseudonimem Tadeusz Mateja wydał w szwedzkiej oficynie, związanej rzekomo z ruchem ludowym, a więc naturalnie antysanacyjnej, broszurę pod tytułem *Podwójne życie Jerzego Giedroycia*. Opisana tam historia Giedroycia — już przed wojną agenta sanacyjnej „dwójki”, w Bukareszcie zaś malwersanta — obfituje w cytowane dokumenty. Oprócz tych, które znamy z archiwum znajdującego się w Instytucie Polskim i Muzeum imienia Generała Sikorskiego w Londynie, Mateja cytuje inne. Czy autentyczne? Trudno to orzec bez lektury ich oryginałów. Broszura była szerokim gestem rozdawana przez peerelowskich dyplomatów w Paryżu i Londynie.

Giedroyc sprawy nigdy publicznie nie komentował, nie wspominał też o niej w *Autobiografii*... Pojawienie się broszury Matei zauważył tylko w listach do kilku przyjaciół. „Oprócz chyba zrozumiałej niechęci do babrania się w g..., którym mnie obrzucają, nie widzę potrzeby tłumaczenia się”, pisał w tym czasie do Bogdana Znowskiego. Jeśliby były jakiegokolwiek dowody przeciwko niemu, czekałby go sąd od razu po wyjeździe z Rumunii — zauważał i trudno się z nim nie



Okładka broszury
T. Matei.

zgodzić. W liście do Wiktora Drymmera ubecką publikację oceniał nawet z pewną satysfakcją: „Muszę być dla nich rzeczywiście niebezpieczny, że używają takich metod, ale przyjemne nie jest — tym bardziej, że babrzą w tym wszystkim moją b. żonę, Bogu ducha winną. No trudno”.

Jeśli odsiać pomówienia, donosy, sugestie, zostaje to tylko, do czego przyznał się sam Giedroyc. W kilku wypadkach zaniechał sprawdzenia danych personalnych osób, którym noty wydawano. Czy ta niefrasobliwość mogła być przez kogoś wykorzystana? Henryk Giedroyc zapewniał, że jeśli tak było, to

bez wiedzy jego brata. Gużkowski natomiast, którego Dudek dobrze wówczas znał, był niezwykle obrotnym człowiekiem. Okazje do zarobienia pieniędzy dostrzegał w każdych warunkach. Możliwe, że zdobywał je też, handlując dokumentami, które nieświadomi petenci zapewne i bez jego pośrednictwa otrzymaliby w ambasadzie. Czy wiedziała o tym Tatiana? Tu już odpowiedź nie brzmi tak stanowczo. Mogła wiedzieć.

Wskutek „sprawy karnej” Jerzy Giedroyc postanowił złożyć rezygnację z pracy w ambasadzie, „mimo nacisków z różnych stron i mimo nalegań amb. Raczyńskiego”. W październiku pracownicy placówki dowiedzieli się o jego dymisji. Czy miał jakieś konkretne plany, nie wiemy, ale że miał serdecznie dość „polskiego” Bukaresztu — trudno się dziwić. Sam Roger nie zdążył złożyć dymisji. Na przełomie października i listopada było już jasne, że możliwości urzędowania w Bukareszcie się kończą. 4 listopada 1940 roku Ambasada RP została w pośpiechu zlikwidowana, a jej ekipa ewakuowana do Turcji. W Bukareszcie zostało tylko kilka osób, wśród nich Jerzy Giedroyc. Niespełna trzy tygodnie później marszałek Antonescu wprowadził Rumunię do Osi.

XII. Diabli biorą!

Bukareszt 1940/1941

Tego, że polski Żyd Samson Mikiciński współpracuje z Niemcami, polska „dwójka” się domyślała. Sama zresztą wykorzystywała go już przed wojną i już wtedy takie podejrzania się pojawiały. Na początku wojny okazało się, że Mikiciński jest „szefem kancelarii”... poselstwa Chile w Brukseli. Do polskiego MSZ-etu wysłał notę, w której zapewniał, że Chile zachowa w konflikcie polsko-niemieckim neutralność. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Chile nie utrzymywało wcześniej z Polską żadnych stosunków dyplomatycznych. Mikiciński jednak, jako dyplomata chilijski, zaczął z końcem 1939 roku jeździć do Warszawy w celu „likwidacji tamtejszej placówki chilijskiej”, mimo że ta nie istniała. Bez trudu dotarł do przedstawicieli nowego Rządu RP w Paryżu i zaproponował im swe usługi. Z nadarzającej się okazji skorzystano: Mikiciński wywiózł z Warszawy między innymi córkę generała Sikorskiego i panią generałową Sosnkowską. Do kraju woził natomiast, z woli ministra Kota, pieniądze rządowe. Po drodze, w lutym 1940 roku, zawitał do Bukaresztu. Jakby nie obawiając się dekonspiracji przed Niemcami, głośno reklamował swe możliwości przewożenia pieniędzy do Polski, za co pobierać miał piętnastoprocentową prowizję.

W Rumunii o swych podejrzaniach wobec „konsula” Mikicińskiego powiadomili „dwójkarzy” Anglicy. Polacy zaś zauważyli, że worki z pieniędzmi, które Mikicińskiemu

na rozkaz Kota wypłacono w Ambasadzie RP, na lotnisku w Bukareszcie trafiły do bagażu dyplomatycznego kapitana Ericha Nobisa z Abwehry. W Warszawie Mikiciński, którego status dyplomatyczny Niemcy uznawali, mimo że wyrzucili wszystkich dyplomatów poza Włochami, nie ukrywał swych kontaktów z okupantem. Wywiad Związku Walki Zbrojnej, ZWZ-etu, ustalił dość szybko, że Mikiciński ma ścisły kontakt z Abwehrą. Żadna jednak z osób, które się z nim stykały, nie została aresztowana. Mikiciński w dalszym ciągu odpłatnie organizował wyjazdy na Zachód i przerzucał pieniądze oraz drogocenneści — w obu kierunkach.

Kiedy Roger Raczyński przygotowywał się do zamknięcia i ewakuacji ambasady, dostał polecenie, by opiekę nad polskimi obywatelami w Rumunii przekazać poselstwu chilijskiemu. Za wiedzą i zgodą rumuńskich gospodarzy oraz angielskich przyjaciół utworzono przy legacji południowo-amerykańskiego państwa Biuro Polskie. Uzgodniono, że na jego czele stanie Władysław Wolski. Jerzy Giedroyc wielokrotnie później twierdził, że to on był szefem Biura — i w informacji tej jest coś na rzeczy. W zamyśle ambasadora Giedroyc istotnie pełnić miał funkcję koordynatora zespołu. Z zachowanych dokumentów wynika, że powierzenie mu wówczas oficjalnie tego stanowiska uniemożliwili, nie bez związku z aferą not werbalnych, wrodzy mu działacze polscy, między innymi z bukareszteńskiego oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża. Nominacja Wolskiego miała tę dobrą stronę, że wyniósł on z dawnych pokojowych czasów wiele znajomości w kręgach politycznych Rumunii — również faszystowskiej Żelaznej Gwardii, tajnej policji Siguranca etc. Teraz były bezcenne. Trzecim filarem zespołu był major Bolesław Ziemiański, były szef ochrony Belwederu, który

w Bukareszcie, jako major Mościbrodzki, kierować miał sprawami wywiadowczymi.

Pierwszych kilka dni zajęło im porządkowanie spraw ambasady. W gorączkowej, pospiesznej ewakuacji wiele rzeczy przegapiono. „Kontrolując jej gmach po wyjeździe — opowiadał Giedroyc w *Autobiografii*... — natrafiliśmy na zbiór bardzo cennych map Bałkanów, skrzynie z bronią i amunicją, jakieś fragmenty radiostacji”. Broń trzeba było zatopić w jeziorze, część dokumentów przekazać do Stambułu przez Anglików, resztę zniszczyć. Dłużej trwały walki o pozostawione przez ambasadę samochody, na które chęć mieli nie tylko Chilijczycy, ale i Rumuni.

Biuro Polskie, oficjalnie pełniąc jedynie funkcję koordynatora pomocy finansowej oraz działalności organizacji społecznych, jak YMCA, PCK i szkoły polskie, de facto kontynuować miało prace ambasady, z zadaniami attachatu wojskowego włącznie. Władze rumuńskie działalność Biura tolerowały, ale jak długo stan ten miał potrwać, nikt nie wiedział. Póki co pozostawieni w Bukareszcie współpracownicy Rogera byli dla Sigurancy i Żelaznej Gwardii tylko kilkunastoosobową grupą angielskich szpiegów, z pewnymi doświadczeniami do generała Antonescu. Dopóki Niemcy nie protestowali zbyt stanowczo, na działalność pracowników Biura Polskiego można było przynikać oko, wszak w Bukareszcie roiło się od podobnych im „dyplomatów”, „finansistów” i „arystokratów”, równie tajemniczych jak Humphrey Bogart w filmie *Casablanca*. Oni sami zaś mieli nadzieję, że do chwili, kiedy konieczne okażą się wyjazd lub ucieczka, uda im się już zdobyć niezbędne do tego tureckie wizy.

Pośpiech, z jakim ewakuowano ambasadę, sprawił, że większość kwestii została uzgodniona z Chilijczykami tylko



Generał Ion Antonescu i Horia Sima podczas demonstracji pod portretem Codreanu.

ustnie. Przez następne tygodnie pozostawiona przez Raczynskiego ekipa miała walczyć z Chilijczykami — oraz wyznaczonym przez nich do nadzorowania prac Biura Samsonem Mikicińskim — o każdy centymetr kwadratowy pola swojej działalności. Nie dysponując żadnymi formalnymi pełnipotencjami Londynu, zdana była na łaskę swych nowych pracodawców. Jednocześnie musiała się utrzymać na powierzchni wojennie wzburzonej bukareszteńskiej polityki, opierając się prowokacjom rozmaitych służb policyjnych i na każdym kroku kupując sobie za żywą gotówkę prawo do

istnienia oraz działania. Ludzie Wolskiego i Giedroycia z jednej strony wypełniać musieli swoje oficjalne funkcje i dbać o oficjalne budżety, z drugiej zaś — organizować działalność zupełnie nieoficjalną, finansowaną z tajnych funduszy, które ambasador pozostawił swojemu sekretarzowi.

Zachowało się wyjątkowe świadectwo tych ostatnich szalonych miesięcy Jerzego Giedroycia w Bukareszcie: listy pisane przezeń do Turcji do Rogera Raczyńskiego. Z jednej strony są to skrupulatne raporty, przedstawiane zwierzchnikowi przez podwładnego, z drugiej — osobisty monolog skierowany do przyjaciela. Można w nich rozpoznać sumiennego urzędnika, myślącego kategoriami o wiele szerszymi niż zakres jego obowiązków, oceniającego wydarzenia przez pryzmat spraw, o których zwykło się pisać wielkimi literami — on sam nie lubił ich używać — ale także człowieka osamotnionego, poprawiającego sobie nastrój czarnym humorem, tęskniącego za przyjacielem, o którego sprawach osobistych więcej pisze niż o własnych.

Swe relacje spisywał Giedroyc wieczorami, z dnia na dzień, a kończył zazwyczaj nocą z piątku na sobotę, by przekazać je angielskiemu kurierowi, który w każdy weekend udawał się do Stambułu. Już kilka dni po wyjeździe Rogera pisał do niego list, w którym przedstawiał stosunki z Mikicińskim i chilijskim chargé d'affaires Miguelem Riveirą. Dokumenty to wyjątkowe i nie sposób nie oddać głosu samemu bohaterowi tej książki. Jest to wprawdzie korespondencja miejscami — tak przynajmniej uważał jej autor — „bałaganiarska i nieprzytomna”, ale też może dzięki temu właśnie wiernie oddaje klimat tego okresu życia byłego redaktora „Buntu Młodych”. W zimne bukareszteńskie wieczory zasiadał Jerzy Giedroyc nad maszyną do pisania. Stojąca obok niej popielniczka wypełniała się wraz z każdą zapisaną stroną...

„Oficjalny” budżet Biura Polskiego,
z adnotacją Jerzego Giedroycia.

BUDŻET

I. POSELISTWO CHILI

Fundusz specjalny Posła Chilijskiego 30.000,- lei

II. WYDZIAŁ POLSKI POSELISTWA CHILIJSKIEGO

A. Wydatki osobowe

a Pensje Wydziału		
1/ Wolski	25.000,-	lei
2/ Giedroyc	25.000,-	"
3/ Piestrzyński	20.000,-	"
4/ Mościbrodzki	20.000,-	"
5/ Karolewicz	20.000,-	"
6/ Zbąski	18.000,-	"
7/ Muszyński	18.000,-	"
8/ Sokołowska	15.000,-	"
9/ Korecki	15.000,-	"
10/ Darabosz	10.000,-	"
11/ Woźniak	9.000,-	"
12/ Lulczyński	9.000,-	"
13/ Swoboda	9.000,-	"
	213.000,-	lei

b Dodatki		
1/ Syruczek	12.000,-	lei
2/ Sypniewski	10.000,-	"
3/ Bieńkowski	16.000,-	"
	38.000,-	lei

B. Wydatki rzeczowe

a Lokalne		
Opał	6.000,-	lei
Światło	5.000,-	"
Centrala telefoniczna	7.500,-	"
Telefon	1.500,-	"
Rozmowy międzymiastowe	15.000,-	"
Utrzymanie porządku	500,-	"
	35.500,-	lei
b Kancelaryjne		
Porto	4.000,-	"
Telegramy	20.000,-	"
Kancelaria	1.000,-	"
Utrzymanie samochodu	4.500,-	"
	29.500,-	lei

C. Fundusz kulturalno-oświatowy

30.000,- lei

Fundusz specjalny Biura

60.000,- lei

III. Y. M. C. A.

Globalny budżet miesięczny 1.200.000,- lei

IV. SZKOLNICTWO - budżet miesięczny: nauczanie 45.000

administr. 36.000

zapomogi 30.000

Fundusz zapomogowo-dożywieniowo-odzieżowy 111.000,- lei

dla obozów 230.000,- lei

Fundusz likwidacyjny 100.000,- lei

Wyjazdy 500.000,- lei

8 listopada*

Kochany,

O części sprawozdawczej nie piszę, gdyż robi to Wolski i inni. Dodaję tylko, że na drugi dzień po Tivoim wyjeździe mieliśmy najście na ambasadę, co prawda tylko w kierunku garażu, ale odparliśmy bohatersko, na czas wezwani. Poza tym jeszcze nie było żadnych incydentów, jakkolwiek urabia się nam opinia jako o „angielsko-chilijskich szpiegach”.

Dużo kłopotu narobił nam p. M. Przydzielił się z miejsca do poselstwa, przyjmuje prawie wyłącznie Żydów w celach bliżej nieznanych, wtrąca się we wszystkie drobiazgi, żąda podpisywania wszystkich kwitów etc. Posel nie przejawia żadnej aktywności, nie można go zmusić do żadnej wizyty (jedyną, na jaką się zdobył, to był Stanescu) i po podpisaniu 5 papierów łapie się za głowę i jęczy: *quel travail*. Interesuje się poza tym i złości, kiedy będą samochody, gdyż jego wóz zabierają córki i musi jeździć taksówką. Co do p. M., to liczę, że zrobisz wszystko, by tu nie wrócił, lub jeśli to będzie niemożliwe, to by wrócił maksymalnie skrepowany. Przede wszystkim musimy unormować pracę. By nie być na łasce M. czy kogokolwiek, bardzo proszę, byśmy byli formalnie i na piśmie zatwierdzeni przez Londyn. Poza tym koniecznym jest opracowanie statutu Wydziału Polskiego na piśmie (jeden egz. dla nas, jeden dla posła). Proponuję, by zatwierdzono Wolskiego jako przewodniczącego, mnie jako zastępcę. [...].

Alarmująca wprost jest sprawa pomocy zimowej. Ponieważ dzieci są w sytuacji już tragicznej, wypłaciliśmy na pomoc zaliczkowo 1 milion lei z uwzględnieniem przede wszystkim

* Listy Jerzego Giedroycia do Rogera Raczyńskiego zostały czytane z oryginałem. Poprawiono oczywiste błędy literowe oraz ortografię i interpunkcję zgodnie z obowiązującymi współcześnie normami.

dzieci i kobiet. Trzeba decyzję wyrwać z Londynu możliwie szybko, gdyż inaczej pomoc będzie spóźniona. Nie mówię o tym, że może się okazać, że nie będzie można tu na rynku dostać skór, bielizny etc. lub płacić fantastyczne sumy. Drożeje bowiem z dnia na dzień. [...]

Bardzo pilna jest sprawa kontyngentu wiz angielskich i tureckich dla około 200 osób plus 190 dzieci w wieku przedpoborowym. Szczegóły zna Arciszewski. Sprawa jest pilna, gdyż nie wiadomo, jak długo można będzie wyjeżdżać. Jest dodatkowy kłopot z Turkami, którzy twierdzą, że ich dotychczasowe umowy z ambasadą polską nie wiążą w stosunku do Poselstwa chilijskiego i że czekają dyspozycji. Poza tym musimy wysłuchać dużo nieprzyjemnych słów i gróźb (do retorsji włącznie), za Żydów, których delegatura szwarcowała w transportach mimo zobowiązania z naszej strony i kategorycznego żądania Turków. Pozostaje poza tym problem żydowski. Jest tu ich kilkuset, którzy oblegają nas, żądając wiz. Arciszewski wspominał, że jest w robocie jakiś kontyngent do Indii. [...]. Nieprzyjemne jest to uczucie odcięcia i dlatego wyglądamy ciągle wiadomości ze świata i od Ciebie. Robię się starym historykiem, ale moment wyjazdu był bardzo ciężki i strasznie mi brakuje Twojej obecności w Bukareszcie. [...].

Jeżeli moment wyjazdu Rogera był dla Jerzego ciężki, to dalej mogło być tylko gorzej. Jak wiadomo, Biuro dysponowało funduszami zarówno jawnymi, jak i tajnymi. A polskich organizacji i osób, które prowadziły w Bukareszcie działalność charytatywną, społeczną bądź polityczną, mniej lub bardziej rzeczywistą, było sporo. Niedziwne więc, że zasypywały Giedroycia i Wolskiego prośbami, petycjami, projektami. Ci, którzy odchodzili z kwitkiem, nierzadko siadali do pisania

donosów — adresów, na które można je było wysłać, mieli do dyspozycji bez liku: Londyn, Chilijczycy, Mikiciński, Rumuni, Anglicy... Polska epistolografia kwitła w Bukareszcie.

Tymczasem wszelkie ustalenia już po kilku dniach wzięły w łeb — władze rumuńskie odmówiły zatwierdzenia Wolskiego na stanowisku szefa Biura Polskiego, pozwalając mu jednak na pozostanie w ich kraju. Na wsparcie chilijskich dyplomatów nie można było liczyć. Wówczas dopiero Jerzy, po raz kolejny prosząc Rogera, aby zdobył dla pracowników Biura formalne nominacje Londynu, zaproponował, by w takiej sytuacji jemu powierzyć stanowisko kierownika, Ryszarda Piestrzyńskiego uczynić jego zastępcą, Wolskiego zaś — zastępcą kierownika Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom w Rumunii. Komisja ta była jedną z kilku organizacji, które Polacy wykorzystywali w zakresie dalece przekraczającym statutowe zapisy o działalności. Podobnie przydatna była YMCA.

Biuro nie radziło sobie z pozostałymi w stolicy Rumunii Polakami. Rozgoryczeni, powołując się na dawne obietnice pracowników ambasady, domagali się nie tylko umożliwienia wyjazdu, ale też pieniędzy. Zdaniem nowego kierownika Biura szczególnie drażliwa była sprawa polskich Żydów. „Proponuję wysłanie bardzo alarmistycznego apelu do Londynu w tej sprawie — pisał do Rogera. — Już bowiem narasta wkoło nas legenda antysemityzmu, a wśród Rumunów filosemityzmu, co nam niezmiernie szkodzi. Finanse muszą dać na to organizacje żydowskie”. Jeszcze dramatyczniej przedstawiała się sytuacja polskich żołnierzy. Sposób, w jaki attachat organizował ich ewakuację, Giedroyc nazwał „zbrodniczym”. „Dochodzi do tego skandal Banaszkiewicza z junakami — relacjonował, nie kryjąc bezsilnej złości. — W Timiszul, okazuje się, od dwóch miesięcy nikt nie był, chłopcy są zupełnie bez opieki,



Członkowie Żelaznej Gwardii podczas akcji ratunkowej po trzęsieniu ziemi na gruzach Carlton Hotel.

zabrano im wszystkie paszporty, by wyrobić wizy, i nie oddano. Chłopców dusi policja, a my jesteśmy bezsilni. Dziś, kiedy obóz ma być likwidowany, znaleźliśmy porzucone te paszporty (zresztą dwadzieścia tylko na 60 kilka) ze wszystkimi wizami, ale już od dawna przeterminowanymi”. Z dnia na dzień okazywało się, że brakuje dokumentów, pieniędzy, samochodów — rosły tylko zastępy tych, którym trzeba było pomóc.

Nocą z 9 na 10 listopada 1940 roku mieszkańcy Bukaresztu nie spali. Trzęsienie ziemi obróciło w gruzy wiele wysokich budynków w centrum, w tym trzynastopiętrowy hotel

Carlton, którego padające mury pogrzebały 267 osób. Jerzy przeżył pierwsze wstrząsy dość spokojnie, przeraziła się ich natomiast Tatiana. Poprosiła męża, by zadzwonił do Henryka, który przebywał poza domem, a następnie we trójkę opuścili Bukareszt. Aż do świtu Tatiana nie chciała wrócić do miasta, noc spędzili więc gdzieś na poboczu autostrady, a śniadanie zjedli na dworcu. W następnych dniach wstrząsy, choć łżejsze, powtarzały się. Tatiana bała się spędzać noce na czwartym piętrze, a Jerzy najwyraźniej nie miał zamiaru więcej koczować na obwodnicy. „Przeziębilem się fatalnie w czasie trzęsienia — skarżył się Rogerowi — a urzęduję całymi dniami w nieopalonej ambasadzie, więc chodzę z regularną grypą, co nie ułatwia pracy”. Giedroyciowie postanowili więc zamienić mieszkanie w bloku na domek: „Gdyby ktoś chciał do mnie pisać pocztą na adres prywatny, to mieszkam: Mogos Vornicul 3a ap. 2”. Mogos Vornicul 3 to adres Ferdynanda Gużkowskiego — i nie mamy tu do czynienia z przypadkowym zbiegiem okoliczności. Giedroyciowie mimo „sprawy karnej” nie zerwali z nim stosunków, a 14 listopada, gdy znalazł sobie inne lokum, zajęli jego mieszkanie.

Niejasna w listopadzie sytuacja formalna Jerzego w grudniu wyjaśniła się całkowicie. Co stało się po miesiącu funkcjonowania Biura, opisywał Rogerowi w liście z 6 grudnia 1940 roku:

6 grudnia

Mój Drogi,

Na brak urozmaiceń nie możemy się skarżyć. Dnia

2-go grudnia zostałem dymisjonowany przez Mikicińskiego z kierownictwa Wydziału Polskiego oraz poselstwa chilijskiego,

rzekomo na żądanie protokołu, który polecił mi opuścić Rumunię rzekomo do 10 grudnia br. Jednocześnie poseł oświadczył mi, że cały Wydział Polski został nieuznany. Niemniej jednak p. Mikiciński zamianował kierownikiem biura p. Blenaua (znanego Ci z Komisji Badawczej), któremu właśnie dziś skończyłem przekazywanie urzędowania. Jemu p. Mikiciński oświadczył, że nieuznanie przez Rumunów jest pretekstem, gdyż zostałem z Wolskim usunięty na telegraficzne polecenie gen. Sikorskiego (otrzymane przez niego jeszcze w Stambule) i że p. Blenau jest mężem zaufania Londynu. Co do reszty współpracowników to wszyscy są pod terrorem. Mości-brodzkiemu oświadczone, że jego los zostanie zdecydowany 10 grudnia, Piestrzyńskiemu podaje się też różne terminy wyjaśnienia jego sytuacji. Jest już dziś zupełnie jasnym, że cała historia jest ukartowana przez Mikicińskiego wraz z protokołem. Utwierdza mnie w tym przekonaniu fakt, że mimo oświadczenia, że decyzyja ministerstwa przyszła na piśmie, nikomu jej nie pokazano mimo nalegań, odmówiono mi również dania mi dymisji z motywami na piśmie. [...].

W tej chwili jest tu kompletny chaos. Mniejsza o sprawy prestiżowe, jakkolwiek b. nieprzyjemne. Bo w rezultacie przetrzymaliśmy najtrudniejszy miesiąc, uporządkowaliśmy z grubsza bałagan, jaki powstał po wyjeździe placówki, przeszliśmy osobiście aresztowania i rewizje bez najmniejszej pomocy ze strony poselstwa chili. i mimo zaważenia pracami techniczno-filantropijnymi mieliśmy możliwość i czas organizować stronę polityczno-informacyjną, wywiadowczą oraz kontakt z krajem. Przykro też, że w zamian za to zostało się kopniętym bez najmniejszego „dziękuję”, wtedy kiedy i rząd, i Wy macie co tydzień możliwość komunikowania się z nami chociażby przez Anglików.

Osobiście z Wolskim mamy zamiar zostać tu możliwie najdłużej, przynajmniej do końca tego miesiąca, jeśli nie przez styczeń. Nie wiem, jak wypadną nasze starania o przedłużenie pobytu, ale wyglądają, że są na dobrej drodze. Jeśli w ogóle takie terminy zostały kiedykolwiek przez kogokolwiek postawione. Niestety, przy nieprawdopodobnym bałaganie tutaj nie sposób zmobilizować naszych kontaktów, by można ustalić przynajmniej stan faktyczny w MSZ. Jako przykład daję Rioseanu, który do tej pory nie mieszka u siebie i codziennie mieszka u kogo innego, jakkolwiek jego pozycja wzrosła. Przecież on prawie cudem uniknął kul. Myślę jednak, że do poniedziałku to sobie wyjaśnimy. Postaram się wtedy dać Ci zaraz znać.

Nominacja p. Blenau, nawet jeśli jest uzgodniona z Londynem, jest z wielu względów nieszczęśliwa. Osobiście jest niewątpliwie b. porządny. Jednak jest stary, zramolowany, niemający pojęcia o technice urzędowania i o sprawach, jakie mu przyjdzie załatwiać. Panicznie się wszystkiego boi, i Mikicińskiego, i odpowiedzialności. Mikiciński traktuje go zresztą jak ścierkę, przeciwko czemu biedny staruszek nie śmie protestować. Poważnym obciążeniem dla niego jest to, że został on tu jedynie dlatego, że chce wrócić do kraju i jest w tej sprawie w korespondencji oficjalnej z Gen. Gubernatorstwem i swoją rodziną, poza tym ma przyjaciółkę, p. Błaszczukową, dawną sekretarkę Kom. Badawczej, która już zdążyła zostać agentką gestapo. Niewątpliwie te dwie okoliczności będą go poważnie hamowały w robocie i rzecz jasna będzie unikał wszystkiego, co go może angażować lub utrudnić powrót do kraju. Weź jeszcze pod uwagę, że p. Mikiciński głównie urzęduje, by wywozić waluty i Żydów rumuńskich (za naszymi paszportami, o czym niżej) i wedle słów Rioseanu (który nas ostrzegł przez Romana) „jest

to największa afera dewizowa w dziejach Rumunii”. Należy się spodziewać, że Mik. zostanie jeśli nie aresztowany przed wyjazdem, to w każdym razie trzeba się liczyć, że tu zapewne nie wróci, chyba tylko, by usiąść w kryminale. Zresztą Rumuni nie uważają go za Chilijczyka, tylko za polskiego Żyda. Jest już wyznaczony inspektor Sigurancy, który zajmuje się nim, i zaczynają się przesłuchiwanie w jego sprawie na mieście. To wszystko razem nie stwarza różowych perspektyw. [...]

Problemem był więc już nie tylko Mikiciński, ale też nowy kierownik Biura, Henryk Blenau. Ten z kolei — jak opisywał Giedroyć — bał się jakiegokolwiek działalności. Ze strachu przed tajną policją, Sigurancą, już pierwszego dnia odwołał zjazd lokalnych działaczy polonijnych — mimo oficjalnej zgody władz rumuńskich — i zrezygnował z wizytowania obozów, w których internowano polskich żołnierzy. Całą zresztą działalność „wojskową” uznał za tak niebezpieczną, że zakazał jej prowadzenia. W tej sytuacji zwolniony z pracy Giedroyć postanowił nie informować go w ogóle o pieniądzach pozostawionych na nią przez Raczyńskiego. Jedynym w Bukareszcie oparciem dla jego zespołu wciąż byli Anglicy — występujący w liście „H.” to jeden z dwóch brytyjskich dyplomatów: ambasador sir Reginald Hoare lub zaprzyjaźniony z Giedroyciem konsul, sir Robert Hankey.

[...] Kończąc z naszym kierownictwem, proszę przy instrukcjach dla Bukaresztu spowodować instrukcje dla pos. angielskiego, które zapowiedziało, że w tej sytuacji uważa Wydział Polski za niewyraźną ekspozyturę nie wiadomo czego

i że wszystkie sprawy będą prywatnie konsultowali ze mną, dopóki tu jestem. Zresztą w tej sprawie H. wysłał depeszę do swego rządu, a odpis miał przesłać Tobie. [...].

PASZPORTY. Przede wszystkim jest jedna nieprzyjemna historia. Mianowicie w Bukareszcie zaczęły kursować paszporty polskie z regularną pieczętką etc., które można dostać za niewielką sumę 1000 lei. Podobno dystrybuuje je Nowicki z Bartlem. W każdym razie jest tam podpis Nowickiego. Facet widocznie zatrzymał sobie pieczętkę i książeczki. Ponadto są na mieście papiery (głównie note verbale) ambasady z pieczęcią ambasady. Jakiś kant w tym się kryje. Ponieważ została w Poselstwie skrzynia książeczek paszportowych, prosiłem Blenaua, by je odesłał do Stambułu przez Mikic. lub komisyjnie spalił. Proszę o dopilnowanie. Niepokojąca jest sprawa paszportów „chilijskich”. Wzór ich posłałem w poprzednim liście. Uległ on o tyle zmianie, że Mik. skreślił w tekście „sujet polonais” i mimo że zamówiłem tylko 1000 egz. (to pokryje maksymalne zapotrzebowanie), zamówił 3000, zastaniając się, że to mu będzie potrzebne dla „kraju”. Bardzo się tego boję. Ma się rozumieć, jest to afera chil., ale primo, paszporty są wydrukowane na nasz koszt, a secundo, wszystkie kanty tutejszych Chil. nas obciążają. Kazałem je numerować i zaprowadzić b. dokładną kartotekę paszport., ale nie wiem, czy to będzie z honorowane. Jest problem równie b. drażliwy. Tutejsi Żydzi, jak wiesz, chcą za wszelką cenę dostawać wizy tureckie, w czym przeszkadzają im imiona lub wyznanie wyraźnie niechrześcijańskie. Przychodzą do nas z żądaniem zmiany czy poprawek w paszporcie na inne nazwiska, imiona etc. Ja odmawiałem, ale Mik. polecił Zbąskiemu te rzeczy uwzględnić. Jest to kompletne bezprawie, mimo że, jak twierdzi Mik., ma to być wystawiane tylko na trzy miesiące,

z poleceniem dla petenta, by zgłosił się do najbliższego konsulatu polskiego celem zalegalizowania tej operacji. Proszę o wyraźną instrukcję. Tymczasem kazałem Zbąskiemu ewidencjonować te rzeczy z adnotacją paszportu i przy okazji przysyłać do Stambułu. Jest poza tym sprawa opłat konsularnych. Początkowo Mik. zdecydował (w moim pojęciu słusznie), że opłat nie pobieramy. Obecnie zaczyna się błędny taniec: ma się je pobierać „indywidualnie”, tzn. w zależności, czy klient jest zamożny, czy nie. Taka procedura stworzy atmosferę, że my bierzemy łapówki jak urzędnicy rumuńscy. [...].

SPRAWY ŻYDOWSKIE. Sytuacja jest zupełnie niemożliwa. Jesteśmy zalani mrowiem tych klientów, którym nic nie możemy pomóc, jeśli idzie o wyjazdy, a którzy nas zanużają, a przede wszystkim próbują przekupić, co na odcinku Musz. b. gra. Ponieważ jest ich tu naprawdę niewiele, to sądzą, że nareszcie trzeba załatwić jakiś kontyngent dla nich gdzieś na świecie (miały być podobno Indie według Stańczyka, taką depeszę dostał Arciszewski). Sfinansują tą drogę organizacje żydowskie. Taki Liberman jest w tym względzie optymistą. Sprawa jest b. pilna, gdyż ten natłok klientów drażni niestychanie legionistów, wytwarza fałsz antysemityzmu dla rządu, a urzędnikom opinię łapówkarzy. Arciszewski prosił nas, by Libermana wsadzić do YMCA jako reprezentanta opieki nad uchodźcami żydowskimi. Ma on w swej dyspozycji trzysta kilkadziesiąt tysięcy jeszcze od Arciszewskiego i możliwość wydostania innych. W zasadzie rzecz jest słuszna, tylko primo, Liberman nie chce pracować, a żąda legitymacji, którą uważa za tarczę przed Rumunami, chce wsadzić z miejsca dwóch Żydów jako swych zastępców i nie chce kontroli (nie tyle kontroli, co znajomości) wypłat przez niego robionych. Ja uważam, że może być tylko on jeden, pieniądze powinny leżeć w kasie YMCA, skąd będą

wypłacane za kwitkami Libermana, że Liberman musi objąć całokształt opieki nad Żydami w tych wszystkich wypadkach, kiedy ona ma wychodzić poza pomoc udzielaną polskim obywatelom. Kontrola nad dawanymi zapomogami musi być, chociażby dlatego, żeby taki klient Libermana, otrzymawszy od niego zapomogę, jednocześnie nie wyludzał drugiej od nas. [...].

POMOC ZIMOWA. Mam wrażenie, że nikt w ciepłym Stambule nie zdaje sobie sprawy (w Londynie też, bo tam gorąco), jak straszna jest sytuacja w obozach wojskowych i wśród dużego procentu uchodźstwa, jeśli idzie o odzież. Poza tym tu już są mrozy i zima zapowiada się b. surowo. Na miłość Boską, trzeba to jakoś szybciej zaurzędować. Wydaliliśmy na to tytułem zaliczki dwa miliony lei, ale to nic nie załatwia. Poza tym jest to fatalna propaganda dla rządu i niestychanie pogłębia defetyzm uchodźstwa. Ci ludzie, jeśli wrócą do kraju, będą świetną propagandą nie tylko dla Niemców, ale i sowieciarzy. [...].

AFERA CZERWONOKRZYSKA, o mało nie napisałem „świętokrzyska”. Proszę o zdecydowane zrobienie porządku z p. Romerową. Do afer paczkowo-pieniężnych doszła afera paszportowa. Mianowicie comtessa udała się do Anglików, prosząc o specjalny kontyngent dla zagrożonych współpracowników Cz. Krzyża sekcji polskiej. Anglicy czuli na filantropię i tytuł dali takowy. Złożono listę 40 osób, z której żadna nie była współpracownikiem Cz. Krzyża i która zawiera tylko dwa nazwiska aryjskie: Fruzińskiego i Bychowca. Reszta 38 były notoryczne Żydy, tutejsi milionerzy z rodzinami. Doran pokazał to Piestrzyńskiemu i dzięki temu afera wyszła. Doszło do przykrych demonstracji ze strony ang., specjalnie lady Hoare, która już od afery z wyjeżdżającymi żołnierzami do kraju jest na Cz. Krzyż cięta. Ponieważ

współpraca z delegatem rum. Cz. Krzyża jest dobra (gen. Marosin), a w Londynie jest Polski Czerwony Krzyż, proszę o nominację na dwóch delegatów czy delegatek, a Marosin to obiecał zaakredytować. Sprawa jest bardzo pilna, gdyż inaczej się skończy skandalem. Obozy i ofic., i żołn. noszą z zamiarem wystąpienia do władz rum. z oskarżeniem defraudacji p. Romerowej z towarzystwem. Dlatego naprawdę bardzo proszę o załatwienie jak najprędzej tej sprawy. Właściwie nominacja londyńska pozwala tę sprawę załatwić bez skandalu. Bardzo więc kładę tą sprawę na sercu. W drodze jest afera gwiazdkowa, którą ta pani organizuje poza oficjalnym komitetem, na czele którego stoi Łukasiewicz, oraz mają przyjąć pieniądze z Ameryki. Pomijając kryminał, już samo potraktowanie obozu żołnierskiego dyskwalifikuje to towarzystwo. [...].

ODPRAWY. Jest to sprawa drobna, ale ze względu na swoich kolegów czy dawnych współpracowników ją poruszam, gdyż lada dzień mogą być wygonieni przez Mika jak ja. Jakie są odprawy i za jaki okres. Ta sprawa nie została zdecydowana, a Chilijczycy nie interesują się tym. Proszę, by Kuźniarz dał szybko odpowiedź. Zaznaczam, że nie idzie o mnie i odprawy, nawet jeśli mi ofiarują, nie przyjmę. Postępowanie ze mną było wystarczająco obrzydliwe, bym mógł zareagować inaczej. [...].

OSTATNIE PLOTKI. Mik. opowiadał wczoraj Libermanowi (tak dobra wersja jak każda inna), że napotkał się na Twoją akcję przeciwko niemu w Rządzie Polskim, ale on pokazał, że ma lepsze chody, i zlikwidował mnie jako podszczuwacza. Ma być to rzekomo za wiedzą gen. Sikorskiego.

KONKLUZJE. To chyba będzie wszystko. Nie pisałem o robocie na Kraj. Ale ta nie istnieje. Zostawiono paru niedoświadczonych lub paru żulików z dużą forszą i wodzowie wyjechali przekonani, że wszystko jest w porządku. Będą

tym czarować władze. Nie wiercie temu. Nic nie ma, a tych paru niedoświadczonych i przyzwoitych przyszło z pełnymi portkami strachu pytać się nas, co robić, bo oni nie wiedzą. Trzeba już z tą bujną skończyć. Reszta spraw nie nadaje się nawet na list do walizy. Opowiem — obawiam się — ustnie niedługo. Reasumując, sytuacja jest bardzo zła. Sam pomysł oddania opieki Chile był nieszczęśliwy. Ale jeśli się ten błąd zrobiło, to obowiązkiem rządu było zapewnić możliwości pracy, a nie oddawać na pastwę aferzystów. Sam Mik. jest niewątpliwie człowiekiem z rozmachem, ogromnym tupetem i nie pozbawiony jest pewnych cech wielkości, cechujących wielkich hochsztaplerów. Niewątpliwie oddał duże usługi przy wożeniu pieniędzy do kraju i wywożeniu ludzi. Pomyłka jest w tym, że trzeba wiedzieć, jak się takich ludzi wykorzystuje. To znaczy płaci się im dobrze, a potem „do widzenia”. Tymczasem z prawdziwie polskim brakiem umiaru zrobiono go na miarę Plutarcha i ojca ojczyzny. I tu tkwi błąd. Gdyby p. Mik. wiedział, kiedy skończyć swoje geszefty, to jeszcze byłoby pół biedy, ale on (to jest cechą wielkich ludzi czy graczy) nie wie, kiedy przerwać. Zarobiwszy na Polsce, dzięki czemu został tu rozszyfrowany, chce teraz zrobić astronomiczny interes na wywiezieniu czy wyprowadzeniu narodu wybranego nie tyle z Egiptu, co Rumunii. I tu wpadnie — vide informacje powyższe. Upadek będzie tym dla nas przykry, że skrupi się tylko na nas. Jest interes robiony w naszym gmachu, naszymi autami etc. Przedwyjazdowe kombinacje już wytworzyły nam opinię macherów i waluciarzy, która gra w dołach, specjalnie legionowych. Ta afera przypieczętuje tę opinię i nie tylko zlikwiduje Wydział Polski czy Poselstwo chilijskie, ale trzaśnie ogół uchodźstwa, na które spadną represje. [...]

Szybko okazało się, że polski personel Biura zwolniony został za sprawą jego szefów, a nie rumuńskich gospodarzy. Ci 5 grudnia zgłosili jedynie — jak wynika z następnego listu Giedroycia do Rogera — sprzeciw wobec zatrudnienia w poselstwie chilijskim byłych dyplomatów Ambasady RP, a to dotyczyło de facto tylko Władysława Wolskiego. Poselstwo odpowiedziało, że właściwie wszyscy pracownicy Biura związani byli z ambasadą; dopiero wówczas Rumuni zażądali zwolnienia ich wszystkich — jak pisał Giedroyc — z Woźniakiem i Daraboszem, czyli telefonistą i szoferem włącznie.

Do osoby samego Giedroycia Rumuni, jak się okazało, również nie zgłosili zastrzeżeń. Według jego informacji inicjatywa pozbycia się go wyszła od Mikicińskiego, który w tym celu rozpuszczał nawet plotki, że polecenie zdymisjonowania go otrzymał telegraficznie od samego generała Sikorskiego. Czy były to tylko plotki — Jerzy nie wiedział. Podejrzewał natomiast, że Mikicińskiemu zaczął wyjątkowo zawadzać w momencie, gdy ten rozkręcał kolejny interes i zaplanował „ogromną aferę wywożenia Żydów rumuńskich za naszymi paszportami z ich pieniędzmi”. Sprawa się wydała, Rumuni już 1 grudnia aresztowali Jerzego Muszyńskiego, który przewoził dla Mikicińskiego pieniądze, a sam „konsul” — zatrzymany później na granicy — poddany został dokładnej rewizji i poinformowany, że nie wjedzie już do Rumunii. Pełen czarnych myśli Giedroyc przewidywał szybką likwidację Biura Polskiego i konieczność opuszczenia Bukaresztu — ponawiał więc prośbę o tureckie wizy.

A jednak Samson Mikiciński wrócił, a po powrocie uchwalił z doktorem Blenauem — pisał Giedroyc — „konieczność interwencji u Niemców by utrzymali wydział polski!!!”. Mikiciński chciał też, by Biuro Polskie złożyło

w rumuńskim MSZ-ecie protest przeciwko „brutalnemu” potraktowaniu go na granicy.

W kolejnych listach ponownie naciskał Giedroyć Rogera, by uzyskał decyzje Londynu w najważniejszych dla polskiego Bukaresztu sprawach. Jedną z nich była konieczność wypłacenia polskim uchodźcom pomocy zimowej. Ociągająca się dotąd zima rozpoczęła się bowiem na dobre. Bukareszt pokryła warstwa białego puchu, a cerkiewnym dzwonom zaczęły towarzyszyć dzwonki sań. Z szaf wyciągano futra i zimowe buty. Atmosfera zimowej, przedświątecznej Rumunii była zapewne idylliczna dla obładowanych paczkami młodych niemieckich żołnierzy, którzy na Calea Victoriei kupowali słodycze i kawior, zabawki i perfumy, by wysłać je do domu. Inaczej odbierali mróz i śnieg uchodźcy, którzy od ponad roku żyli z zasiłków i dorywczych prac. W tych okolicznościach coraz bardziej Jerzego kłuło w oczy marnotrawienie rządowych pieniędzy przez nowe kierownictwo Biura Polskiego. Cztery maszynistki, dwóch szoferów, opał i elektryczność, stale — na koszt Polaków — „iluminowana, bo to trudno inaczej nazwać” willa ambasadora... Długa była lista wydatków, którym rząd — zdaniem Giedroycia — winien się sprzeciwić.

Pałaca stała się sprawa mniejszości polskiej w Rumunii, którą zarządzane przez Henryka Blenaua Biuro w ogóle przestało się interesować, a która dla Giedroycia była niezmiernie istotna politycznie. Wskazując, iż na przykład w mieście Lupe-ni miejscowi Polacy stanowią gros mieszkańców, dowodził, że o ile uchodźcy prędzej czy później Rumunię opuszczą, o tyle polska mniejszość „może być wykorzystana jeśli nie teraz, to w przyszłości, do pewnych celów informacyjnych i roboty na kraj”.

Nierozwiązany pozostawał też inny kłopot:

14 grudnia

DZIECI I ŻYDZI.

Hankey uważa, że będzie bardzo dobrze, jeśli będziecie interweniować w sprawie dzieci, bo to może wpłynie na przyspieszenie. Ze swej strony sugeruję, by z dziećmi mogły jechać i kobiety. Sądzę, że jeśli to będzie podane w sosie, że to są żony wojskowych i to przeważnie znajdujących się w Anglii w wojsku, to numer przejdzie. Co do Żydów, to jakkolwiek podzielam Twój pesymizm, to jednak bardzo proszę o gwałtowną interwencję w Londynie. Sądzę, że Palestyna nie może być aktualna, bo Anglicy się nie zgodzą, ale niech będą choćby Indie. Jeśli będzie kontyngent, to jestem spokojny, że zainteresowani Żydzi zrobią taki gwałt, że org. żydowskie na pewno sfinansują tą imprezę. To nam i — mam wrażenie — Stambulowi doskonale robi, gdyż nie tylko pozbędziemy się najbardziej uciążliwych klientów, ale oderwiemy się od utożsamiania uchodźcy polskiego z Żydem, co przy dzisiejszych nastrojach antysemickich jest b. ważne. A poza tym (to jest Twój argument) jest w naszym interesie, by polscy Żydzi jechali jak najdalej. Z Indii oni już do nas nie będą wracać. Proszę więc bardzo o interwencję i straszenie ich opinią antysemitników, specjalnie w Ameryce. [...] A propos Ameryki, to ile jest prawdy w plotkach żydowskich, że jedziesz do Stanów na miejsce Ciechanowskiego? [...]

Ani ta plotka, ani następna — że Roger zastąpić ma Michała Sokolnickiego w Stambule — nie były jednak prawdziwe. Dopiero w 1942 roku przyjaciel Giedroycia miał zostać posłem przy rządzie greckim. Póki co przebywał w Stambule

Rumänien weist polnische Spione aus

tc. Bukarest, 14. Dezember

Das rumänische Außenministerium hat den chilenischen Gesandten aufgefordert, die bei ihm beschäftigten Angestellten der ehemaligen polnischen Botschaft in Bukarest davon zu verständigen, daß sie Rumänien innerhalb von zehn Tagen zu verlassen haben. Die früheren polnischen Botschaftsangestellten, das sogenannte Polnische Büro, hatten ihre Spionage und Verleumdungstätigkeit fortgesetzt, so daß die rumänische Regierung zum Eingreifen ge-
nötigt war.

**Französischer Generalgouverneur
in kritischem Konzentrationslager**

Berliński „Volkischer Beobachter“
z 15 grudnia 1940, artykuł
pt. Rumunia wydal polskich
szpiegów: „(...) Byli pracownicy
polskiej ambasady kontynuowali
swą szpiegowską działalność,
co zmusiło rumuński rząd
do podjęcia stosownych kroków”.

i — wbrew nadziejom Jerzego — nie udawało mu się dotrzeć do decyzyjnych kręgów polskiego Londynu, by wyjaśnić sytuację pozostawionej w Rumunii grupy współpracowników. W Bukareszcie bez żadnego więc nadzoru kontynuowało swoją radosną działalność Biuro Polskie, dla którego nie takie drobiazgi jak pomoc zimowa były najistotniejsze.

7 stycznia. [...] Przesyłam również tekst Szopki, jaka była w Domu Polskim. Nie jest ona udana (poza Wolskim i Skudrzykiem), ale zawsze będzie dla Was zabawna. Poza tym przesyłam ją, byś skonstatował ołówkę cenzorski p. Blenaua, który, muszę powiedzieć, jest charakterystyczny dla endeka i męża zaufania ze dwóch chyba komórek pracy na Kraj. Mianowicie facet wykreślił

wszystkie aluzje do Niemców, Gdyni, Poznania etc. Zaznaczam, że szopka bez jednego skreślenia przeszła przez cenzurę rumuńską. Świadkowie wyczynów cenzorskich p. Bl., mianowicie Świdorski, Syruczek i Sypn., zrobili bezskuteczną awanturę i nosili się z zamiarem spisania protokołu. Daliśmy temu spokój, gdyż byłoby to babranie się w tym i tak beznadziejnym błocie. Boję się upodabniać do Kom. Badawczej. [...]

W wydziale, zdaje się, przez święta nic nie było, gdyż prawie przez dwa tygodnie świętowano. Riveira urządził w czasie świąt tombolę, gdzie zresztą z Polaków był tylko Blenau, paru urzędników z pos. południowoamerykańskich, jeden urzędnik z protokołu i koło setki Żydów bukareszteńskich. Przyjęcie to zrobiło duże wrażenie w kołach legionowych. Poza tym na Nowy Rok Blen. składał życzenia z personelem, na którym Riveira trzymał wielką mowę na temat „przyjaźni dwóch małych krajów, Polski i Chili”. To zresztą również wprowadziło w zachwyt Blenaua. Sądzę jednak, że zachwyca się on teraz wszystkim, gdyż po sprawieniu sobie z funduszu dyspozycyjnego smokinga uważa się co najmniej za Talleyranda.

Grupa Giedroycia próbowała natomiast wypełniać powierzone jej zadania. Od jakiegoś czasu usiłowali między innymi uzyskać zwolnienie ofiar październikowej fali aresztowań, w tym autora „sprawy karnej Jerzego Giedroycia”, majora Orłowskiego — Ostaszewskiego. Jerzy powracał do tej kwestii kilkakrotnie — również w liście, w którym opisywał Rogerowi codzienną organizację pracy swego zespołu.

9/I. Wyobrażam sobie, że moje listy musisz już czytać z niesmakiem. Przypominają one coraz bardziej raporty Alexandrowicza do Kota. Sam tego mam już wyżej uszu, tylko to musi o tyle jeszcze trwać, że mam w swym ręku stronę organ. i wszystkie sprawy wewn. i o nich piszę, używając się politycznie na miejscu. Siedzę w tej chwili jak mysz pod miotłą, prawie nikogo nie widując poza moją paczką, Ukraińcami i Anglikami. Pracę mamy w ten sposób zorganizowaną, że trzy razy na tydzień (wtorki, piątki i niedziele) zbiera się cała banda u mnie, gdzie omawia się sprawy bieżące, sprawy informacyjno-prasowe (Wolski — prasa rumuńska, Piestrzyński — francuska, szwajcarska, włoska, Sypniewski — niemiecka, ja — polska, sowiecka i ukr.), składa się sprawozdania z rzeczy zrobionych i omawia się pracę na najbliższe dwa dni. Niezależnie od tego właściwie widuję ich wszystkich parę razy dziennie, bo automatycznie tworzą się pewne zespoły dla pewnych spraw. Właściwie najwyższy stopień wtajemniczenia jest: Wolski i ja. Sprawy inform.-wywiad. oraz kraj jest osobny zespół — Mościbrodzki i ja, czasami Piestrzyński. Wolski w tych rzeczach jest eliminowany, gdyż zanadto jest roztargn. i chłapie jezorem. Potem sprawy Wędz. Polskiego — Piestrzyński i ja. Angli i Turcy — Piestrzyński i ja. Niemcy — Sypniewski i ja. Sprawy Domu Polskiego, kult.-oświat. oraz plotki polskie — Syruczek, Sypn. i ja. Poza tym Mościbr. ma — poza znanym Ci zakresem — sprawy mniejszościowe. Tu głównie poza Czerkawskim (do którego znasz nasz stosunek) współpracujemy w Buk. z ks. Łukasiewiczem i częściowo z Mizunką, który wrócił do formy. Piestrzyński ma sprawy wyjazdowe, części kontaktów rumuńskich oraz kons. angielski, tj. Doran. Wolski — poza kontaktami rumuńskimi i polit. — sprawy YMCA i interwencje. Moje kontakty zagraniczne

ROMANIA
MINISTERUL DE INTERNE
TIA GENERALA A POL
Prefectura Poliei Municipii Timisoara
1) CONTROLUL STRAINILOR
2) Nr. 100 413 / 940

BILET DE LIBERĂ PETRECERE

eliberat în baza art. 1, alin. 1, din legea asupra controlului străinilor, controlul unora din stabilimentele publice și pentru înființarea unui birou al populațiunii și în baza art. 1, alin. 1, din regulamentul acestei legi.

D. Giedroyc Jerzy Władysław
născut în anul 1906 luna Junii, ziua 27
Locul nașterii: Cluj-Napoca - Polonia
Ocupațiunea: funcționar la Ambasada Polonă
Statul căruia este supus: Polonia
Reședința: la Constantin Wacu 6
Numele și vârsta soției: Tatiana
Numele și vârsta fiecăruia din copii:
Conform ordinului Ministerului de Interne Nr. 1532
din 16 Decembrie 1940
Acest bilet este valabil 31 Ianuarie 1941
Eliberat astăzi 20, luna Decembrie, anul 1940

(L. S.)
Prefect
Seful secerdului
Wolski

EXTRAS DIN LEGE

Art. 2
În caz de schimbare de reședință, străinul este îndatorat a încunoștința autoritatea dela care a obținut biletul de liberă petrecere. În termenul arătat în art. 1, străinul este îndatorat a prezenta biletul de liberă petrecere, pentru vizare, la autoritatea locului unde și-a stabilit noua reședință.
Când biletul de liberă petrecere este valabil pentru mai multă ani, străinul este îndatorat a-l viza în fiecare an la autoritatea dela care emite sau la autoritatea noui reședințe în caz de schimbare de reședință. Cu acest prilej străinul va prezenta și actele de legitimare.

Art. 5
Străinul care nu se va conforma dispozițiilor art. 1, 2 și 3 se va pedepși cu o amendă de 1.000 lei, care se va aplica și încasa imediat, sub liberare de chitanță, de autoritățile arătate la art. 12.
Străinul care nu va achita amendă va fi imediat trimis, odată cu procesul-verbal de constatare a infracțiunii, Judecătorului de ocol.

C. 7.946. — M. O. Imprimeria Centrală.

Wydany na wypadek konieczności wyjazdu „bilet de libera petrecere” Jerzego i Tatiany Giedroyców.

sprawdzą się głównie do Hankeya i Reed, z którymi się b. zaprzyjaźniłem. W ogóle biorę lekcje konwersacji od sumpcicy i zaczynam jakoś od biedy mówić po francusku. Mam nadzieję, że niedługo przełamie swą wstydlivość i że będzie można mnie słuchać bez zgrzytania zębami. Wreszcie biorę lekcje rumuńskiego u Holbana, co jest podwójnie pożyteczne, gdyż uprawiam się w ten ohydny język, który mimo wszystko jest potrzebny, a poza tym, ponieważ Holban pracuje obecnie w prezydium i ma jakieś chody do Generała, więc mam dobre plotki i drogę do puszczania czy wiadomości, czy naświetleń. Ponieważ płacę mu b. dobrze, więc to jest dla niego właściwie łapówka, mówiąc szczerze. Co prawda jest niewątpliwie gorliwym profesorem. Za gorliwym, jak na mój gust i zamiłowania do gramatyki. Wreszcie, jeśli się spotykam z tymi etranżerami (z wyj. Anglików, których widuję albo u nich, albo u siebie w domu), to regularnie siedzę w Capsie czy w hallu Athenae Palace. Poza tym właściwie nigdzie mnie nie ma. Rodaków w ogóle unikam jak ognia. Nie uchroniło to mnie swoją drogą przed paroma rewizjami, ale mimo wszystko nie jestem zadowolony. Najkłopotliwsza jest poczta, od pisania, przechowywania do doręczania. Piszę się normalnie u mnie, tzn. właściwie ja piszę, potem wyszukuje się fantastyczne schowki, wreszcie ciemnym wieczorem dostarcza się przyjaciół. To też jest w tej chwili skomplikowane, gdyż pos. bryt. jest nie tylko obserwowane, ale zaczyna się już regularnie przepytwać ludzi wychodzących z ich budynku. Trzeba więc tak manewrować, by za często się tam nie pojawiać.

Te wszystkie przyjemności chilijskie dosyć mnie zżarły nerwowo, ale to ma przynajmniej ten dobry skutek, że z powrotem zacząłem sporo czytać, głównie rzeczy klasyczne i też trochę ekonomiczne. Zrobiła się z tego właściwie mała biblioteczka,

9/1

Wyobrażam sobie że moje listy musisz już czytać z niesmakiem. Przypominają one co najmniej raporty Alexandrowicza do Kota. Sam tego mam już wyżej uszu tylko to muszę o tyle jeszcze trwać że mam w swym ręku stronę organ. i wszystkie sprawy wewn. i o z. pisać wyżywając się politycznie na miejscu. Siedzę w tej chwili jak mysz pod miotłą prawie nikogo nie widując poza moją paczką, ukrainami i anglikami. Pracę mamy w ten sposób zorganizowaną że trzy razy na tydzień wtorki, piątki i niedziele/ zbiera się cała banda u mnie gdzie omawia się sprawy bieżące, sprawy informacyjno-prasowe/ Wolski prasa rumuńska, Piestrzynski-francuska, szwajcarska, włoska, Sypniewski-niemiecka/ ja polska, sowiecka i ukr./ składa się sprawozdania z rzeczy zrobionych i omawia się pracę na najbliższe dwa dni. Niezależnie od tego właściwie widuję ich wszystkich parę razy dziennie bo automatycznie tworzą się pewne zespoły dla pewnych spraw. Właściwie najwyższy stopień wtajemniczenia jest Wolski i ja. Sprawy inform. wywiad. oraz kraj jest osobny zespół Mosciobrodzki i ja czasami Piestrzynski. Wolski w tych rzeczach jest eliminowany gdyż zanadto jest roztargn. i chłapie jeźdźcem. Potem sprawy wydz. polskiego - Piestrzynski i ja. Anglii i tury - Piestrzynski i ja. Niemcy - Sypniewski i ja. Sprawy domu polskiego, kult. osiwa. oraz plotki polskie - Syrucezek, Sypn. i ja. Poza tym Mosciobr. ma poza znanym zakresem sprawy mniejszoscilowe. Tu głównie poza Czerkaskim/ do którego znasz nasz stosunek/ współpracujemy w Buk. z ks. Łukasiewiczem i częściowo z Mizunką który wrocił do Rymy. Piestrzynski ma sprawy z częścią kontaktów rumuńskich.

2/ że niedługo przełamie swą wstydlivość i że będzie można mnie słuchać bez zgrzytania zębami. Wreszcie biorę lekcje rumuńskiego u Holbana co jest podwójnie pożyteczne gdyż uprawiam się w ten ohydny język który mimo wszystko jest potrzebny a poza tym, ponieważ Holban pracuje obecnie w prezydium i ma jakieś chody do generała więc mam dobre plotki i drogę do puszczania czy wiadomości, czy naświetleń. Ponieważ płacę mu b. dobrze więc to jest dla niego właściwie łapówka mówiąc szczerze. Co prawda jest niewątpliwie gorliwym profesorem. Za gorliwym, jak na mój gust i zamiłowania do gramatyki. Wreszcie, jeśli się spotykam z tymi etranżerami/ z wyj. anglików, których widuję albo u nich, albo u siebie w domu./ to regularnie siedzę w Capsy czy w hallu Athenae Palace. Poza tym właściwie nigdzie mnie nie ma. Rodaków w ogóle unikam jak ognia. Nie uchroniło to mnie swoją drogą przed paroma rewizjami ale mimo wszystko nie jestem zadowolony. Najkłopotliwsza jest poczta od pisania, przechowywania do doręczania. Piszę się normalnie u mnie t. zn. właściwie ja piszę, potem wyszukuje się fantastyczne schowki, wreszcie ciemnym wieczorem dostarcza się przyjaciół. To też jest w tej chwili skomplikowane gdyż pos. bryt. jest nie tylko obserwowane ale zaczyna się już regularnie przepytwać ludzi wychodzących z ich budynku. Trzeba więc tak manewrować by za często się tam nie pojawiać. Te wszystkie przyjemności chilijskie dosyć mnie zżarły nerwowo ale to ma przynajmniej ten dobry skutek że z powrotem zacząłem sporo czytać głównie rzeczy klasyczne i też trochę ekonomiczne. Zrobiła się z tego właściwie mała biblioteczka na którą z melacha olja patrzę że będzie trzeba przy jakiejś ponownej ewakuacji zostawić.

na którą z melancholią patrzę, że będzie trzeba przy jakiejś ponownej ewakuacji zostawić.

Mimo tego sielankowego życia i niepokazywania się właściwie na oczy mam ugruntowaną opinię demona. [...].

Jeśli spokojnie zreasumować roczną działalność czynników emigracyjnych to bilans jest zupełnie zastraszający. Zgoda, że możliwości były niezbyt duże, ale te z premedytacją zniszczono. W moim najszczerzym przekonaniu zresztą, najczarniejszą kartą dla rządu będzie karta bukareszteńska po wyjeździe stąd ambasady. To nieprawdopodobne zniszczenie wszystkiego, to wysuwanie na czoło agentów gestapo jako swych mężów zaufania, ten komplet ramoli, to traktowanie każdej myśli politycznej jako crimen lese majestatis jest jakąś ponurą farsą. I to wszystko za duże stosunkowo pieniądze, których nigdy nie ma na przyzwyczajoną robotę. [...].

10 I. [...]. Ten list przypomina groch z kapustą, gdyż piszę w wolnych chwilach. Mam w tej chwili dużo kłopotu z wyciąganiem p. O. i tow., gdyż p. Blenau przy wszystkich cnotach, jakie go zdobią, ma niepowszednią zaletę, a mianowicie biegunkę językową. W ogóle wszystkie ważniejsze i poufniejsze rzeczy są omawiane stale w Domu Polskim przy minimum 150 ludziach. Tak teraz, przewąchawszy coś o O., biega jak oszalały i wszystkim opowiada, kto chce i nie chce słuchać. Diabli biorą. [...].

11/1 [...]. Źródła rumuńskie poinformowały nas, że prawdopodobnie 28 tego mies. będzie ostatni rejs statków rumuńskich z Constancy do Stambułu i że potem praktycznie Rumunia zawiesza komunikację z zagranicą. Jest to motywowane tym, że Rumunia tak głęboko weszła w Oś, że obawia się represji w postaci konfiskat statków przez Anglików itp. [...]. W samej Rumunii następują ograniczenia. Jest zakaz

wypieku i konsumpcji ciastek w ciągu dwu dni w tygodniu. Biedni Rumuni. Lada dzień nastąpi zracjonalizowanie kawy, herbaty i tow. kolonialnych. Są one obecnie rejestrowane. Moje życie tu przedstawia się w coraz czarniejszych barwach. [...] Ost. już jest wypuszczany na parę godzin na miasto. Powinien razem z tym listem (jeśli on odejdzie w poniedziałek statkiem) przyjechać do Was. Nie wiem jednak, czy to nastąpi, gdyż obecnie rzucili się wszyscy odgrywać zbawców i Blenau zlecił ekspediowanie ich, tzn. wyrabianie paszportów, p. Romerowej. Rozumiesz, jaka nastąpiła kalaputryna w związku z naszymi uprzednimi staraniami. Trudno się dziwić Anglikom, którzy się w tym bałaganie polskim nie wyznają, a nasza sytuacja jest nad wyraz głupia, gdyż praktycznie jesteśmy ludźmi prywatnymi bez żadnego oficjalnego tytułu zajmowania się sprawami polskimi, a trudno, byśmy uprzedzali etranżerów, że ten Polaczek lub ów jest nie bardzo godny zaufania. To wszystko może spowodować, że wyjazd O. odłoży się do nast. statku. [...].

Zapewne nie tylko wynajęty adwokat spowodował, że kilka dni później Giedroyc z satysfakcją mógł poinformować Rogera, iż Ostaszewski opuścił już Rumunię. „Przypuszczam, że już doszedł do siebie i zaczyna świnić”, pisał, nie bez powodów. Dzielnym wywiadowcą bowiem już w Bukareszcie zaczął ponoć oskarżać — tym razem szefa Komisji Badawczej, Karola Alexandrowicza, który miał „sypać” w śledztwie.

Źle mówił Ostaszewski również o samym Rogerze. Ambasada zbyt wcześnie — jego zdaniem — została ewakuowana. Te zarzuty, obciążające bezpośrednio jego przyjaciela, musiały niezwykle boleć Giedroycia, bo powracał do nich w swych

listach kilkakrotnie. W jednym z ostatnich informował Rogera z satysfakcją, że udało mu się dotrzeć do raportu Sigurancy na temat okoliczności wyjazdu ambasady. Giedroyc przepisywał wypożyczony — rzecz jasna za łapówkę — dokument i sugerował Raczyńskiemu, by nie tylko zachował go w swoim archiwum, ale też wysłał do Londynu: „Ponieważ te łobuzy gotowe się czepiać, że «ambasada wyjechała za wcześnie» etc., więc myślę, że to się Tobie przyda”.

Formalna sytuacja grupy Giedroycia wciąż nie ulegała zmianie — Londyn milczał. Milczał, nawet gdy — o czym dowiadujemy się z *Autobiografii...* — z Bukaresztu wysłano depeszę informującą, że przywódca partii chłopskiej, liberalny polityk Iuliu Maniu, gotów jest uciec z kraju, by na emigracji powołać Komitet Wolnych Rumunów. Deklarację tę Maniu złożył w rozmowie z Władysławem Wolskim, ale do wyjazdu byłego premiera nie doszło. W liście z 14 stycznia 1941 roku czytamy natomiast, że Giedroyc wraz z Ryszardem Piestrzyńskim stanowią nadal „komisję weryfikacyjną” dla Anglików, którzy — wobec inercji wydziału polskiego — organizują przerzuty Polaków z Rumunii.

[...] Piestrz. wczoraj miał w sumie b. nieprzyjemną rozmowę z Hankeyem, który go wręcz zainterpelował, co to wszystko znaczy, czy Bl. i Chilijczycy są godni zaufania, czy nie, czy mają jakiś mandat od rządu i w jakim charakterze my jeszcze funkcjonujemy. Widać z tej rozmowy było dużą sympatię do nas osobistą, zupełne niezrozumienie tego bałaganu, szukanie wyjaśnień bez skutku (m.in. pytał się, czy nie jesteśmy opozycją) i obawa przed prowokacją czy wpadnięciem. Zupełnie to jest zrozumiałe w ich sytuacji tutaj, która jest

b. nieprzyjemna. Specjalnie po wczorajszej deklaracji oficjalnej Horia Simy, który stwierdził, że masoneria rum. za pieniądze i pod kierownictwem Int. Serv. prowadzi akcję dywersyjno-wywrotową. Nasza sytuacja jest jeszcze trudniejsza, gdyż nie możemy mu pyszczyć na Blenaua czy na rząd, bo to zawsze nieprzyjemnie wywlekać własne brudy przed obcymi. Ale trzeba stwierdzić, że tut. bałagan poderwał niestychanie prestige polski u Anglików i że to na zdrowie ani rządowi, a co ważniejsze sprawie polskiej nie wyjdzie. Taktyka, jaką możemy stosować i stosujemy, jest ta, że stwierdzamy naszą nieufność do Chilijczyków, specjalnie co do Mika, nie wypowiadamy się co do obecnego składu Wydz. Polskiego, a co do siebie podkreślamy, że czekamy na decyzje władz polskich, które nam zlecily interesy polskie, i że decyzja władz polskich jest dla nas jedynie miarodajna, a nie zwolnienie Chilijczyka. No i że mamy nadzieję, że ta decyzja lada dzień nadejdzie. [...].

Decyzje nie nadchodziły, a Anglicy byli coraz bardziej zdeorientowani. Wreszcie 14 stycznia sir Robert Hankey odwiedził kierownika Biura Polskiego, Henryka Blenaua. Giedroyc opisywał Raczyńskiemu, że Blenau odmówił współpracy z Anglikami, „twierdząc, że nie ma żadnych instrukcji od rządu, a ma zakaz Mika”. Nawet gdy Hankey zaproponował, że jego ambasada zorganizuje całą techniczną stronę wyjazdów Polaków z Rumunii, Blenau tę propozycję odrzucił, wymawiając się brakiem pieniędzy. „Jeśli chcą Anglicy, to niech to finansują” — miał powiedzieć. Trudno się dziwić, że brytyjski dyplomata wyszedł wściekły.

Nie tylko zakres działalności grupy Wolskiego i Giedroycia oraz ich sytuacja formalna były problemem, ale też

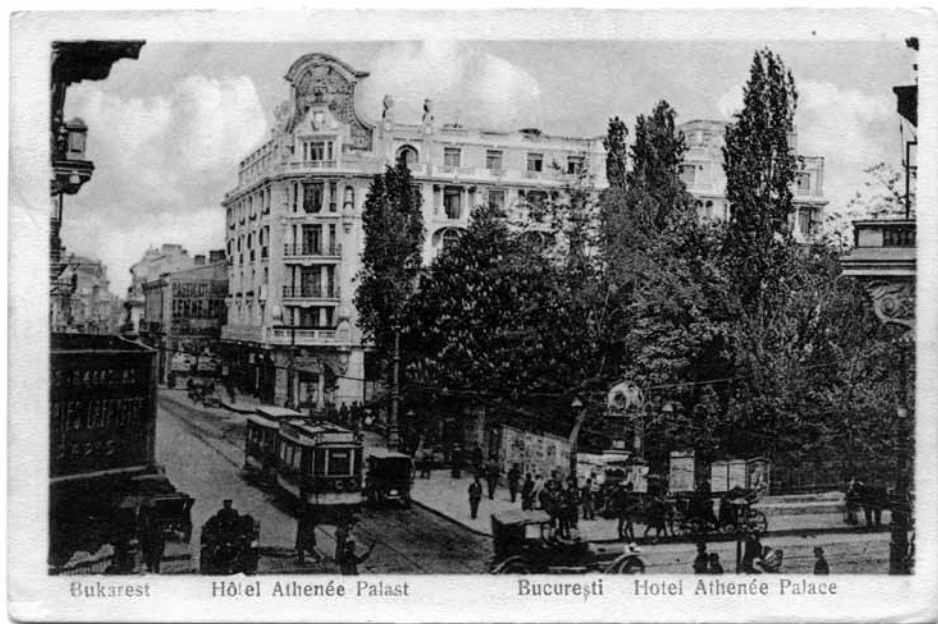
związane z nimi koszty. W tym samym liście Giedroyć prosił Raczyńskiego o uzyskanie dodatkowych funduszy dla pozostawionej w Bukareszcie ekipy. W tym konkretnym przypadku chodziło o pieniądze na akcję informacyjno-propagandową.

[...] W najgorszym razie samo przez się rozumie, że ich poratuję finansowo, ale przyznam się szczerze, że wolałbym nie, gdyż praktycznie od grudnia finansuję całą akcję polityczną, informacyjną etc. z pieniędzy przez Ciebie zostawionych, gdyż inaczej by to wszystko stanęło. Ponieważ nie mamy pewności, a raczej wprost przeciwnie, że sytuacja nie zostanie za szybko wyjaśniona, więc wolę, by te pieniądze starczyły nam na dłużej. Co prawda mamy trochę szczęścia co do pieniędzy na cele społeczne (przede wszystkim mniejszościowe), gdyż jeszcze z okazji gwiazdkowych Tatiane udało się skarotować posła szwajcarskiego na 100 tys. lei. Pozostałości — dosyć znaczne — z akcji gwiazdkowej są przelane na YMCA, gdzie są wydzielone w osobny fundusz, który właśnie ma służyć na różne cele nieprzewidziane. Coraz bardziej odczuwamy jako katastrofę nieutrzymanie się Bączkowskiego i Kotowicza w Turcji, gdyż odczuwamy coraz bardziej konieczność materiałów propagandowych przede wszystkim antykomunistycznych, a potem antysowieckich. Nie tylko na użytek rodaków — gdzie to jest bardzo potrzebne, ale również na użytek Rumunów, gdzie to może być wcale niezłym obiektem przetargów politycznych. [...].

Uwagę zwracają także miejsca jego urzędowania w Bukareszcie zimą lat 1940 i 1941, o których wspominał w jednym

z wcześniej cytowanych listów. Restauracja Capsa, w której odbywał spotkania przy czarnej kawie, była jednym z eleganckich miejsc w centrum Bukaresztu. Nie tak jednak eleganckim jak Athenée Palace, w którym również regularnie przesiadywał.

Nie dość powiedzieć, że Athenée Palace był bukareszteńskim Ritzem czy Hiltonem. Wzniesiony przed wojną nieopodal pałacu królewskiego hotel był po prostu sercem „cudownie zdeprawowanego” — jak określił go ówczesny korespondent „The New York Timesa” — Bukaresztu. W 1940 roku stał się miejscem, gdzie ścierał się świat przedwojenny z tym, co niosła ze sobą Trzecia Rzesza. Uczestnikami tego starcia byli przedstawiciele beau monde starej arystokratycznej Europy i mocni ludzie nowego ładu spod znaku swastyki. Spotykali się tu przemysłowcy francuscy i angielscy, którzy właśnie opuszczali Rumunię, z nafciarzami niemieckimi i włoskimi, którzy do niej przyjeżdżali. Przy sąsiednich stolikach całe wieczory spędzali rumuńscy książęta, byli ministrowie i dyplomaci oraz pracownicy akredytowanego w Bukareszcie korpusu dyplomatycznego. Tutaj też mieszkaly, pod wieloma względami niebezpieczne, choć czarujące, damy i tu interesy załatwiali ci, do których należał czarny rynek w Rumunii. Tutaj — jak pisała Rosie Goldschmidt Waldeck w swej książce, poświęconej temu okresowi działalności hotelu Athenée Palace — wiedzano, że każda kobieta ma swą cenę, a od pewnej kwoty można już ją było uważać za damę... I że podobnie jest z politykami, spośród których najdrożsi są mężowie stanu. Za wyjątek uchodził w tej mierze generał Antonescu. Jak w całym Bukareszcie, tak i tutaj od jesieni 1940 roku nie krępowali się już swych mundurów Niemcy, wcześniej występujący z reguły po cywilnemu. Unosiły się więc w hitlerowskim geście



Hotel Athenée Palace w 1940.

powitalnym ramiona dostojników wojskowych, państwowych i partyjnych Rzeszy, a towarzyszące im damy konkurowały ze sobą, oceniając nawzajem swoją biżuterię. Tutaj nadludzie byli kulturalni, szarmanccy i światowi. To był dla nich kawałek elitarnego starego świata, do którego udało im się dostać i który przekuwali w elitarne miejsce świata zupełnie nowego. Tutaj, na wiśniowych pluszowych kanapach, prześcigali się w zdobywaniu jednych informacji i szerzeniu innych agenci niemieccy, sowieccy i angielscy. Tutaj po francusku wymieniali ze sobą uprzejmości, przepuszczając się w drzwiach,

współpracownik Intelligence Service i wszechwładny przedstawiciel Berlina, ambasador Wilhelm Fabricius. Tutaj, przy kawie bądź szampanie, omawiano dotychczasowe postępy armii Hitlera w Europie i planowano — bądź usiłowano im przeszkodzić — kolejne jej sukcesy. Tutaj niemal każdy kelner, boy hotelowy i każda pokojówka pracowali dla jednej z wielu służb rumuńskich, również rywalizujących z sobą, bo związanych albo z Żelazną Gwardią, albo z conducatozem Antonescu, albo z dworem królewskim.

Charakter tego miejsca był powszechnie znany i nie zmieniły go, ale raczej podkreśliły, poustawiane któregoś dnia na stolikach tabliczki z prośbą dyrekcji, by unikać rozmów o polityce... Skoro Jerzy Giedroyc regularnie tam bywał — bywał nie bez powodu. Sam często narzekał na niedyskreję i brak odpowiedzialności rodaków, alarmując Raczyńskiego, że oficjalną pocztą ze Stambułu przychodzą do Bukaresztu listy z informacjami, „za które niemiecki czy rumuński wywiad drogo by płacił”. „Po jakiego diabła Ponio pisuje do Blenaua?”, nie mógł się nadziwić. Jeśli więc przesiadywał w Athenée Palace, to z pewnością świadomie, przekonany, że informacje, które można tam zdobyć, warte są wizyt w niemal oficjalnej siedzibie całego agenturalnego świata Bukaresztu i Bałkanów. „Było to niewątpliwie najbardziej bezpieczne miejsce”, wspominał po latach. Niewątpliwie — dla słuchających, a nie dla gadatliwych.

Poza korespondowaniem z Rogerem Giedroyc utrzymywał też kontakt z rodzicami w Warszawie oraz z kilkoma przyjaciółmi, między innymi z pozostającym w Finlandii Norbertem Żabą. W połowie stycznia 1941 roku pisał do Stambułu: „Miałem przez okazję list od Żaby z Helsinek. Z ciekawszych rzeczy pisze, że spodziewają się tam aneksji

Finlandii na wiosnę przez Sowiety. W tym wypadku Żabcia zabawia się w nas i ma zamiar zostać. M.in. są tam pogłoski (dość charakterystyczne), że w tym samym mniej więcej czasie ma nastąpić oddanie Warszawy bolszewikom. Te same plotki uporczywie krążą i w Warszawie według moich wiadomości”. Całkiem oficjalną natomiast drogą, przechodzącą przez cenzurę, krążyła korespondencja między faszystowską Rumunią a sowieckim Wilnem. Tam był mąż Ordonki, Michał Tyszkiewicz — z jego listów Giedroyć dowiadywał się, co działo się na terenach zajętych przez Sowietów. Zapisane sokiem z cytryny, stawały się czytelne, podgrzane nad płomieniem świecy.

Bez większego problemu dochodziły też listy z Warszawy. Przynosiły, niestety, coraz więcej złych nowin. Z końcem stycznia pani Franciszka informowała synów o śmierci swej matki. „Jesteśmy poza tym zdrowi i pracujemy — pisała. — Ojciec jak dawniej, a ja w sklepie. Ciężko mi, bo mrozy duże, a w sklepie zimno bardzo”.

Długa stagnacja miała się skończyć w drugiej połowie stycznia. Ambasador angielski, sir Reginald Hoare, uznał, że dość już ma ciągłych kłopotów z Polakami „nieoficjalnymi” i Polakami „chilijskimi”. Co nie znaczy, żeby Anglicy zgłosili désintéressement wobec interesów polskich w Rumunii. Wręcz przeciwnie — placówka brytyjska de facto jednostronnie, bez prośby nawet ze strony Rządu RP, przejęła na siebie obowiązek ich reprezentowania. Giedroyć notował 17 stycznia 1941 roku, że „już dziś Doran wystawia notes verbales dla Polaków do Turków i wszystkich innych legacji. Anglicy uprzedzili Turków, by nie honorowali not chilijskich i wydz. pol. Hoare stwierdził, że czegoś podobnego

List Franciszki Giedroyć z 10 stycznia 1941, opatrzony cytatem z listu Jerzego Giedroycia do Rogera Raczyńskiego z 17 stycznia 1941:

„(...) Dostałem parę wiadomości z Warszawy. Janek Popł[awski] jest od paru miesięcy ciężko chory na malarię. Ktoś z mojej paczki musi mieć jakieś kłopoty, gdyż matka pisze: Twoi przyjaciele mają się nieźle, chociaż nie wszyscy. Obawiam się, że chodzi tu o Studentowicza”.



w historii dyplomacji nie zna, ale kazał to robić. Poza tym chcą założyć «tajny» wydział polski u siebie. (...) Sytuacja jest dla nas niezmierznie głupia, dlatego też proszę o szybkie decyzje. Nie możemy bowiem angażować się (nawet bezinteresownie) na pracę u Anglików bez polecenia jakiegoś czynnika polskiego. Sprawa jest b. pilna. Tym pilniejsza, że w tej chwili mamy, jak już wiesz z depeszy, koło 300 osób do wojska”.

Ale wrzało nie tylko w „polskim” Bukareszcie — końca dobiegał okres „cichego terroru”, trwającego w Rumunii od czasu, gdy do rządu weszli przedstawiciele Żelaznej Gwardii. Od tej chwili narastał skrywany konflikt między Legionem i Gwardią Horii Simy a obozem generała Antonescu. Obie strony po cichu liczyły, że zyskają wsparcie Hitlera, a opinia publiczna coraz bardziej wierzyła, że Führer poprze ideowych faszystów Simy, a nie kunktatorskiego oficera. Antonescu jeździł raz po raz do Berlina — przekonywać czy tłumaczyć się? Odwołany został ambasador Rzeszy Fabricius. Czy dlatego, że swego czasu nie przeszkodził w zabójstwie Codreanu, ojca ruchu legionowego, którego beatyfikacji legioniści domagali się teraz od Cerkwi? Im również Niemcy okazywali wsparcie. Po pięciu miesiącach współrządzenia zaczynało się wydawać, że czas conducatora Antonescu jest policzony, że nadchodzi epoka Horii Simy.

Dnia 18 stycznia 1941 roku zostaje zastrzelony w jednym z lokali na bulwarze Bratianu niemiecki oficer. Mówi się, że major Döring został zabity przez agentów brytyjskiego Intelligence Service. W pięćdziesięciu czterech miastach Rumunii odbywają się wielkie manifestacje „zielonych koszul”. Demonstracja siły — ale wobec kogo? Generał Antonescu odwołuje nie tylko ministra spraw wewnętrznych, związanego

z Żelazną Gwardią, ale też wszystkich pozostałych jej przedstawicieli w rządzie. Jednym podpisem Antonescu pozbawia gwardzystów wpływów w gospodarce, dymisjonując komisarzy, lokowanych od kilku miesięcy w przedsiębiorstwach dla przeprowadzenia ich „romanizacji”. Zdymisjonowani nie przyjmują decyzji conducatora do wiadomości. Pewni cichego poparcia Niemców, w poniedziałek 20 stycznia legioniści wychodzą na ulice. Barykadują się w budynku bukareszteńskiej prefektury policji, wznosząc okrzyki: „Precz z masonami w rządzie!”. Wojsko otacza zajęte budynki, ale wydaje się, że Antonescu nie chce rozlewu krwi; gdy we wtorek giną pierwsi dwaj gwardziści, oddziały armii wycofują się. A gwardziści walczą — jak pisze Rosie Goldschmidt Waldeck — „z turecką dzikością i rosyjską pogardą dla śmierci”. Dzikosć ujawnia się również w pogromie Żydów, urządzonym przez legioniistów „przy okazji” rewolucji. Strzelanina trwa w Bukareszcie przez dwa dni. Zaczyna zamierać w czwartek, gdy na ulicach pojawiają się podpisane przez Simę ulotki nawołujące do zaprzestania walk. W sobotę nie tylko w mieście, ale w całym kraju zaczyna się już wielkie sprzątanie: Gwardia zostaje rozwiązana, jej gazety zamknięte, podobnie jak i jej działacze. Horia Sima znika, a po jakimś czasie trafia do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, skąd wyjdzie dopiero w 1944 roku, by stworzyć marionetkowy rząd i rumuński regiment SS.

Niemcy w czasie walk w Bukareszcie nie interweniowali, choć demonstrowali swą obecność. Hitler postanowił poświęcić Legion i Gwardię dla zapewnienia sobie lojalności Antonescu i generał był tego świadom, gdy przystępował do rozprawy z rumuńskimi faszystami. Führer miał już rozłożone na biurku mapy nie tylko Jugosławii i Grecji, ale



Parada niemieckich oddziałów szkoleniowych w Bukareszcie z okazji przystąpienia Rumunii do paktu trzech mocarstw: niemiecki ambasador w Rumunii Wilhelm Fabricius, wódz legionistów Horia Sima, generał Ion Antonescu, król Rumunii Michał I, generał Erik Hansen, szef niemieckiej misji wojskowej w Rumunii.

też ZSRR. Potrzebował kogoś, kto w sojuszniczej Rumunii zapewni w najbliższym czasie spokój, i wiedział, że może to być jedynie conducator, a nie nieprzewidywalni gwardziści Simy. O tym, kogo naprawdę popiera Berlin, Rumuni przekonali się mogli w chwili, gdy dowódca wyprowadzonej na ulice Bukaresztu niemieckiej kolumny czołgów nakazał swym podwładnym pozdrowienie conducatora: „*Dem General Antonescu dreimal: hoch!*”.

Co te wydarzenia mogły oznaczać dla pozostającej w Bukareszcie grupy byłych pracowników Ambasady RP?

Z jednej strony odszedł w przeszłość nieprzewidywalny terror gwardzystów. Z otoczeniem Antonescu tak Giedroyc, jak i jego współpracownicy mieli znacznie lepsze kontakty. Z drugiej jednak strony — pod znakiem zapytania stało dalsze trwanie w Bukareszcie ambasady brytyjskiej, z którą byli związani. O ile funkcjonowała w państwie faszystów rumuńskich, o tyle wątpliwe było, by tolerowano jej istnienie w Rumunii kompletnie już przez III Rzeszę zwasalizowanej.

Na razie ambasador Hoare wciąż urzędował, choć „nieoficjalnego wydziału polskiego” nie powołał — nie doczekał się bowiem od polskiego rządu żadnej reakcji na tę propozycję. W Jerzym Giedroyciu zaś najwyraźniej gorę brała gorycz — 25 stycznia 1941 roku pisał do swojego szefa:

[...] poza materiałem wycinkowym, paru notatkami i paroma listami nic specjalnego w tej pocztce nie ma. Nie tylko ze względu na podnieconą sytuację, jaka tu panuje, ale na skutek coraz mniejszych możliwości naszej działalności, no i kompletnego zniechęcenia. Sytuacja jest bowiem więcej niż głupia. „Delegat Rządu”, p. Mik., znika tajemniczo [...], p. Riveira jest prawie bity po mordzie przez Żydów i polskich, i rum., którzy twierdzą, że Mik. ich okradł na 100 mil., a Riveira na 20, w każdym razie w pos. dzieją się gorszące sceny. Mjr Zar. zjeżdża z terenu do Was, a więc znika z tego terenu ostatnia kom. inf. czy komórka FAKTYCZNIE działająca na Kraj. Sypią się teraz kontyngenty i amatorzy do wojska (obecnie jest możliwość teoretycznie wysłać koło 700 ludzi) i nic zrobić nie można, gdyż Wydz. Polski sabotuje wszystko i twierdzi, że nie ma pieniędzy. Jak już Ci pisałem, pos. angielskie

zapropomowało Bl., że będzie prowadzić całą stronę techn., by wydz. tylko dał pieniądze, ale tu spotkało się również z kategoryczną odmową. Anglicy zapropomowali — jak wiesz z depeszy — prowadzenie u nich tej akcji Mość. i Piestrz. Jest to niemożliwe, gdyż nie możemy iść na służbę angielską, a poza tym przy całym ryzyku, jakie ponosimy, nie ma sensu kłaść głowę pod Ewangelię. Jesteśmy teraz osobami prywatnymi, urzędujemy u siebie w domu czy w kawiarniach i każda próba działalności (tak jawnej jak wysyłka ludzi) naraża nas tym więcej, że nie mamy żadnej przykrywk. Tak samo nasza działalność sprawozdawcza jest bez sensu. Jest to wysyłanie materiału w próżnię. Ani razu nie dostaliśmy informacji, że ten materiał kogokolwiek interesuje, że się wymaga takich czy innych naświetleń, nie ma do tej pory wskazówek co do łączności etc. etc. Trudno również robić coś na odcinku zainteresowań wojskowych, nie mając ani dyspozycji, ani co ważniejsze środków na nią. Tych rzeczy bowiem się nie robi dobrymi chęciami i nie jest to robota dla prywatnych amatorów. Poza tym kontynuowanie tego jednostronnego pisanie stwarza wrażenie — którego chcielibyśmy uniknąć — że jesteśmy zespołem b. urzędników, intrygujących przeciwko swym następcom i walczącym o posadkę czy synekurkę. Ponieważ nie ma w tej chwili, a raczej do tej chwili, żadnego wyjaśnienia sytuacji ze strony naszego pocztowego rządu, więc nic nam nie pozostaje, jak zaprzestać działalności dotychczasowej. Ma się rozumieć, jeśli Ciebie osobiście interesują takie czy inne sprawy, to jest zupełnie inna historia, ale to już jest odcinek czysto prywatny. Dlatego też ta poczta jest, przypuszczam, naszą ostatnią pocztą oficjalną czy półoficjalną, i bądź łaskaw powiedzieć, kogo to może interesować, że zwijamy manatki. Przypuszczam, że to

wywoła tylko westchnienie ulgi. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, i nie jest naszą winą, że odcinek bukareszteński będzie jednym z największych skandali emigracyjnych. [...].

Wydział Polski nic nie robi. Na wyjazd nie ma pieniędzy, na pomoc zimową nie ma pieniędzy, na mniejszość polską nie ma pieniędzy. Politycznie nic się nie robi.

Jeszcze przez pewien czas będziemy w charakterze likwidacyjnym kończyli różne sprawy — głównie wizowe — a potem zwijamy sklepik. Na służbę bowiem do Anglików nie mamy zamiaru leżeć. Szkoda wszystkiego, bo dużo możliwości się zmarnowało, ale pocieszam się, że to nie po raz pierwszy, a na pewno nie po raz ostatni. [...].

O tutejszej rewolucji nie piszę politycznie, gdyż to bazgroli Wolski. Było to wszystko dosyć śmieszne, ale i dosyć krwawe. Kryjowie mają szczęście, gdyż dom Malaxy i ich jest postrzelany jak rzeszoto. Roma jest zniszczona, bardzo tam walono artylerią do legionistów. Jeszcze się pali. Okolice poselstwa też są postrzelane. Przy okazji zrobiono regularny pogrom Żydów (według prow. obliczeń zginęło wymordowanych około 300 Żydów. Robili to legionieści). Moja Capsa też zdrowo ucierpiała. Przez dwa dni nie miałem gdzie chodzić na kawę. W ogóle dokończyli w dużym stopniu to, czego nie rozwalili cutremur. Obecnie sytuacja jest prowizorycznie opanowana. Sądzę jednak, że nie na długo. Rząd praktycznie jeszcze nie urzęduje. Wymordowuje się obecnie po rum. legionistów. Ci ostatni, sądzą, że wrócą do akcji terrorystycznej indywidualnej. To wszystko się tu dopiero zaczyna. Niemcy zachowywali się całkowicie neutralnie, usadowili się głębiej i w administracji, i w ogóle. M.in. korzystając z wyłączenia telefonów, zaczęli instalację własnej sieci telefonicznej, poza tym w czasie

zamieszek obsadzili szereg gmachów, z których już nie wyszli, rekwirując je dla siebie. Ma się rozumieć, nasza paczka miała też swoje emocje. Mianowicie Piestrzyński był u Dorana, jak wybuchła rewolucja, i wychodząc stamtąd, był aresztowany przez legionistów (mając pełne kieszenie paszportów wizowanych oraz listy Dorana do Turków) i zawieszony do Casa Verde. Po paru godzinach wypuścili go, na szczęście nie rewidując. Paszporty zaś były b. kompromitujące. U mnie akurat byli Anglicy na śniadaniu, których uprzednio rewidowano. Polaków to bardzo nie dotknęło, poza jednym, tj. Mołodeckim, który był aresztowany i już trzeci dzień, jak nie ma o nim wiadomości.

W sumie jednak jest dla nas lepiej, że Antonescu został na placu, jakkolwiek coraz większe chmury zbierają się nad uchodźstwem i myślę, że niedługo zaczną się represje. [...].

W liście do Raczyńskiego z 7 lutego 1941 roku — ostatnim wysłanym z Bukaresztu — Giedroyć zdał szczegółowo sprawę ze stanu rzeczy, którymi się zajmował przez ostatnie miesiące, i zasugerował dalsze kroki. Wiedział już, że grunt zaczyna mu się palić pod nogami.

[...] Sytuacja polska wygląda mniej więcej tak: obozy wojskowe zasadniczo wyjeżdżają do Niemiec i są pod bagnetami niemieckimi. Nie wyjechały do tej pory i jest wysuwany termin 8 ew. 12 luty. Opóźnienie jest spowodowane trudnościami komunikacyjnymi, awanturą, jaką zorganizowaliśmy przy pomocy Anglików i niektórych Rumunów, jak Bratianu, oraz protestem pos. sowieckiego, które zastrzegło sobie głos przy

decydowaniu o uchodźcach z okupacji sowieckiej. Niemniej uważam to za sprawę przesądzoną i walczymy tylko o pewne złagodzenia (vide memoriał w załączeniu). Wójskowi są rozłączeni w tej chwili z rodzinami. Co do uchodźców, to lada dzień pojawią się zarządzenia niem., regulujące powrót do kraju. Formalnie ma być dobrowolny, faktycznie będzie przymusowy. [...].

Nasza akcja, o której Ci awizowałem, dała ten mizerny rezultat, że gen. Antonescu, zapoznawszy się z naszymi notatkami, zażądał, by mu przedstawić memoriał podpisany czy przez instytucje polskie, czy indywidualnie. Z tym że zastrzegł wyrażnie, by nie poselstwo Chile czy Wydz. Polski. Uradziłmy więc, że memoriał podpisze Brown i Świdorski jako Amerykańska Kom. Pomocy Polakom oraz Wolski. Memoriał jest złożony dziś. Prawdopodobnie autorzy memoriału będą wezwani do Antoneski. [...].

Wydział zamiera kompletnie. Ostatnio zdecydowali, że wydział nie występuje o plecace dla wyjeżdżających, którzy muszą to załatwiać indywidualnie. Rozumiesz, jakie to jest utrudnienie. Całe szczęście, że mamy — dzięki Twoim zasobom — trochę kontaktów w Sigurancy i to się jakoś przepycha. Ograniczono urzędowanie wobec tego od 10 do 13 i od 16 do 18-ej. Wyjazdy są wstrzymane, gdyż Bl. żyje w obawie braku pieniędzy. [...] Mało tego — i tu tego nie daruję nikomu i to musi być wyjaśnione i przykładowie ukarane — od Zakrzewskiego do Blenaua: nie zostało wywiezionych z obozu Calimanesti 4 oficerów i wywiadowców policji z Katowic, którzy jedni byli w wywiadzie, a jedni przeprowadzali pacyfikację Niemców na początku wojny, mimo zwracania uwagi. Ci ludzie dziś są w rękach niemieckich. [...].

Zdaje się, że jedynym człowiekiem pracującym „ku chwale ojczyzny” jest Muszyński, który ponownie złożył donos do Sigurancy na Mościbrodzkiego i na mnie na temat wywożenia ludzi do wojska. Zapewne ten dokumencik dostanę na pamiątkę i ofiaruję do Muzeum Wojska Polskiego.

SPRAWY DO ZAŁATWIENIA.

Widzę je następujące: sprawa wyjazdów, sprawa żydowska, pomocy dla wyjeżdżających, pomocy dla pozostałych uchodźców, sprawy mniejszościowe, opieka nad uchodźcami i reprezentacja interesów polskich.

SPRAWY WYJAZDÓW.

Jest to w tej chwili sprawa najpilniejsza i mimo notatki załączonej Piestrzyńskiego wtrącę swoje trzy grosze. Poza resztówką Arciszewskiego w postaci kilkudziesięciu wiz palestyńskich jest kontyngent 180 wiz do Indii, dziś przyszedł kontyngent 150 wiz do Australii dla młodzieży męskiej w wieku przedpoborowym. Ponadto w porozumieniu z Rządem Polskim Anglicy chcą dać wizy rodzinom wojskowych, którzy są w Anglii czy Palestynie. To wszystko jest uzgodnione podobno z rządem, tak twierdzi Londyn, i ma to być finansowane przez Rząd Polski. W tej chwili są następujące przeszkody: 1) brak pieniędzy. Raz jeszcze proszę o przyspieszenie tej sprawy lub danie decyzji, że wyjazdów nie będzie, ale ktoś musi wziąć za tę decyzję osobistą odpowiedzialność. Poza tym jest konieczna gwałtowna interwencja u Turków, by nareszcie zaczęli szybciej i sprawniej dawać wizy Polakom. Piestrzyński szamoce się jak może, ale jest w tych sprawach zupełnie bezsilny. [...]

PROSZĘ O TELEGRAFICZNE DECYZJE
I INFORMACJE W TYCH SPRAWACH, BO NA
LISTY MOŻE BYĆ PÓŹNO. Zaznaczam z całym

naciskiem, że w tym wszystkim jest dużo materiału do wojska i będzie go raczej więcej, niż podawałem w listach poprzednich. Ten odcinek zreferuje dr Balaszkeskul, który zjeżdża i będzie u Ciebie razem z tym listem. Zaznaczam, że na ekspedycję wojskowych zostaje tylko pieniędzy dla 50 ludzi.

SPRAWA ŻYDOWSKA.

Ścisłe się łączy z wyjazdami. Ich los jest nie do pozazdroszczenia, ale niezłatwienie tej sprawy w jakiś sposób do reszty zabagni i zdemoralizuje nasze stosunki i skończy się b. złym efektem propagandowym. To trzeba szczegółowo i b. ostro zaznaczyć Londynowi. Tymczasem skutek jest taki, że wszyscy organizacyjnie i indywidualnie żerują czy pragną żerować na Żydach z największą szkodą dla uchodźstwa i prestige'u polskiego. To trzeba przeciąć.

POMOC DLA WYJEŹDŻAJĄCYCH.

[...] Jestem za pomocą, tym bardziej że ze zjazdem większej ilości rodaków redukują się i wydatki rządu, a przy tym wszystkim nastroje wśród uchodźstwa — specjalnie tego, które będzie zjeżdżać do Polski — są tak antyrządowe, że trzeba ten defetyzm częściowo przełamać takim gestem, który będzie świadczył, że poza hochsztaplerami Rząd Polski zajmuje się i szarym uchodźcą.

CZEKAMY WIĘC DEPEZY. TEN ODCINEK
TRZEBA DAĆ TYLKO YMCA, A NIE WYDZIA-
ŁOWI. UKRADNĄ.

POMOC DLA POZOSTAŁYCH UCHODźCÓW.

Niewątpliwie pewien procent — nie do obliczenia w tej chwili — zostanie z takich czy innych względów (okupacja sowiecka, zagrożeni politycznie, którzy nie chcieli, a raczej którym uniemożliwiono wyjazd za granicę, chorzy,

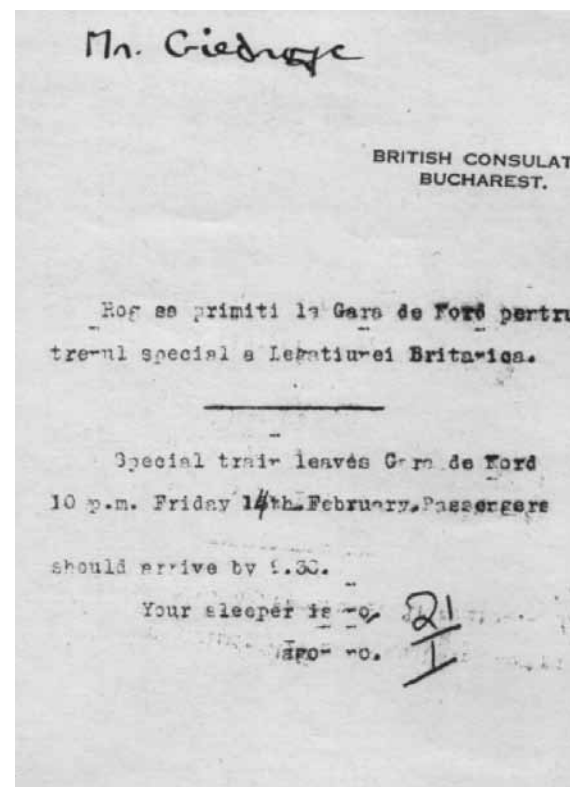
zdyskwalifikowani przez Niemców). Jak widzisz z memoriału, prosimy o utrzymanie dla nich 100-lejówek, ale nie wierzę, by to dało skutek — tym bardziej że do tej pory nie ma interwencji Rządu Polskiego. Może się uzyskać — i w to wierzę — że wypłacą za luty. Trzeba będzie jednak tym ludziom, czy tym wybiorkom, przyjść z jakąś pomocą, dającą im jedzenie i dach nad głową. Trzeba już się na to nastawić i przygotować. Boję się bowiem, że przy naszej szybkości decyzji sprawa będzie zdecydowana jak ostatni uchodźca umrze tu z głodu. [...].

OPIEKA NAD POZOSTAŁYMI UCHODŹCAMI.

Niewątpliwie Rumuni będą raczej chcieli tę opiekę przejąć w swoje ręce. O utrzymaniu Wydziału Polskiego nie ma co marzyć, gdyż samo Chile się nie utrzyma. Albo więc trzeba — jeśli to jest możliwe — opiekę przenieść do innego Poselstwa (pretekstem zupełnie jadalnym jest wyjazd Rivery w marcu dobrowolny lub wcześniejszy przymusowy) albo utrzymanie YMCA. Ponieważ sprawa pierwsza może być zdecydowana tylko między Londynem a Stambułem, więc w swym memoriale zaznaczyliśmy tylko sprawę YMCA. Wychodzimy bowiem z tego założenia, że trzeba za wszelką cenę utrzymać szczyłek jakiegokolwiek polskiej organizacji, dokąd tu będą uchodzić. [...].

MNIEJSZOŚĆ

Łączymy się z punktem poprzednim. Uważam, że faktycznie tą opiekę już teraz mogłaby przejąć YMCA na siebie, tzn. opiekować się i opłacać szkolnictwo mniejszościowe, przychodzić z pomocą mniejszościowcom. [...] Ja tylko apeluję o podniesienie pensji nauczycielom, bo te, które są, są kpinami. Jak pisałem poprzednio, przyjacielki Blenaua skreślić z budżetu wydziału i to z nadwyżką pokryje wszystkie pensje. Sprawy mniejszościowej jednak nie można bagatelizować. [...]



Dokument na papierze „British Consulate, Bucharest”: „Mr. Giedroyc, Special train leaves Gara de Nord 10 p.m., Friday 14th February. Passengers should arrive by 9.30”.

Jeśli Jerzy zaczął pisać kolejny list do Stambułu, to nie miał już okazji, by go wysłać. Z pisma Ryszarda Piestrzyńskiego — podobnie jak Giedroyc, ale już po opuszczeniu Rumunii, relacjonującego Raczyńskiemu ostatni okres funkcjonowania Biura Polskiego w Bukareszcie — wiemy, że Anglicy nalegali, by Polacy wyjechali 9 lutego. „Gdy to się nie stało, zostałem poproszony do posła Reginalda Hoare’a — pisał Piestrzyński — który oświadczył mi, że pragnie zabrać nas statkiem przeznaczonym dla poselstwa brytyjskiego i że w tej sprawie rozpoczął pertraktacje z władzami ru-

muńskimi”. Działalność brytyjskiej placówki zbliżała się do końca.

W piątek 14 lutego 1941 roku Giedroycia odwiedził Robert Hankey. Ani Jerzy, ani jego współpracownicy nie mieli wiele czasu na spakowanie się. Pociąg do Konstancy, gdzie w porcie czekał już na nich statek, wyjeżdżał ze stolicy o dziesiątej wieczorem. Po półtora roku Jerzy Giedroyc miał przestać być „tajemniczym Dżemsem”. Czekają go mundur i — wojna. Po bukareszteńskich atrakcjach, „sprawie karnej” i niebezpieczeństwach była to zapewne perspektywa dość pociągająca.

XIII. Wojna, czyli wakacje

Ambasador RP w Turcji Michał Sokolnicki 16 lutego 1941 roku w swym *Dzienniku ankarskim* zanotował: „Dziś w południe przyszedł do Stambułu s/s «İzmir», wysłany stąd do Constanzy po poselstwo angielskie z przyległościami. Przybyło do 20 Polaków: J. Giedroyciowie, kilku inżynierów; same szczątki”.

Stambuł spodobał się Jerzemu. Naturalnie większość czasu spędzał na rozmowach czy stukaniu w klawisze maszyny do pisania, ale też, jak miliony turystów przed nim i po nim — on, który nie znosił zwiedzania — snuł się po mieście i wraz z bratem podziwiał świątynię Hagia Sophia. Przede wszystkim jednak zdawał relację z końcówki swego pobytu w Bukareszcie — zapewne nie tylko Rogerowi, u którego się zatrzymał, ale i przedstawicielom rozmaitych polskich czy angielskich służb, które informacjami takimi mogły być zainteresowane. Sam też dowiadywał się, co się dzieje na świecie, a przede wszystkim w Londynie — jeszcze w czasie urzędowania w Bukareszcie Raczynski skarżył się, że ambasada nie ma wieści o działalności rządu, później zaś grupa Giedroycia była ich całkowicie pozbawiona.

Jedna z pierwszych plotek, jakie usłyszał, dotyczyła dobrze mu znanego Samsona Mikicińskiego. Zimą z 1940 na 1941 rok urzędował on w Stambule. Jak opisuje cytowany już wcześniej Wojciech Krzyżanowski, „o kilka kroków od konsulatu, w kawiarni na placu Taksim, można było codziennie

przed południem spotkać Mikicińskiego, który przy stoliku przyjmował klientów; nie odrzucał niczego, od tych, co nie mieli pieniędzy, brał zegarki, pieniądze, papierośnice”. Kilka tygodni przed przyjazdem Giedroycia Mikiciński zniknął.

Gdy tureckie służby nie odnalazły „konsula” w okolicznych wioskach, zdecydowały się wejść do jego mieszkania. Uczestniczył w tym kierownik polskiego Konsulatu Generalnego, Wojciech Rychlewicz. Krzyżanowski wspominał dalej: „Wieczorem opowiedział mi Rychlewicz szczegóły: mieszkanie przedstawiało «fantastyczny» widok — wszędzie «stosy» wszelkiego rodzaju walut, złotych monet, biżuterii, zegarków, nawet obrączek ślubnych, cygarniczek, papierośnic. Było widoczne, że właściciel opuścił mieszkanie pośpiesznie”.

Co się stało z Samsonem Mikicińskim? Opisał to po latach Kazimierz Iranek-Osmecki. „Chilijski dyplomata” został porwany przez oficerów polskiej „dwójki” — w tym podporucznika Edwarda Szarkiewicza, tego samego, który w Bukareszcie kupował noty werbalne od Gużkowskiego — i przy pomocy służb tureckich oraz angielskich przerzucony do Palestyny. Przesłuchiwany, nie wypierał się swych kontaktów z Abwehrą, ale bagatelizował wartość usług, jakie świadczył Niemcom. Przewożony na kolejne przesłuchanie — według późniejszych zeznań eskorty — usiłował uciec. Został zastrzelony.

Jakichkolwiek interesujących rzeczy mógł się Giedroyc nasłuchać w stambulskich kawiarniach i restauracjach, nie usłyszał niczego, co powstrzymałoby go przed wstąpieniem do wojska. Z pewnością zaciękały go prowadzone wtedy w Londynie prace nad utworzeniem po wojnie federacji polsko-czechosłowackiej. On sam zapewne włączyłby się w nie, gdyby trafił do Anglii. Ale czy możliwy był powrót

Pismo Rogera Raczyńskiego, z nagłówkiem
„Ambasada RP w Bukareszcie”,
datowane 25 marca 1941 w Stambule.

AMBASADA R.P.
w Bukareszcie.

Stambuł, dnia 25 marca 1941r.

Niniejszym stwierdzam, że P. Jerzy Giedroyc pozostał po wyjeździe Ambasady R.P. w Bukareszcie z mojego polecenia, w charakterze kierownika Wydziału Polskiego przy Poselstwie Chilijskim.

P. Jerzy Giedroyc pełnił swe funkcje od 2.IX.40r. do 14.II.41 r. w najtrudniejszych warunkach, mimo niewątpliwego niebezpieczeństwa na jakie się narażał.

Opuścił Rumunię na zalecenie Poselstwa Angielskiego, któremu de facto byli podporządkowani w chwili wyjazdu tegoż Poselstwa z Rumunii.

R. Raczyński



do idei — której realizację uniemożliwił wcześniej minister Kot — zatrudnienia Jerzego w rządzie jako szefa komórki do spraw mniejszości narodowych? Roger Raczyński, przeciwny „wojskowym” pomysłom swego przyjaciela, uważał pewnie, że warto spróbować. Ale sprawy narodowościowe podlegały ministrowi spraw wewnętrznych, a Giedroyc nie miał powodów, by wróżyć sobie sukcesy w resorcie, na którego czele stał... Stanisław Kot.

Do pozostania w cywilu namawiał też Jerzego ambasador Michał Sokolnicki. Ale Giedroyc dawno już zdecydował, że unikać będzie wszelkich „synekurek” — rozpoczął więc starania o przyjęcie do wojska. Tym razem lekarze przyznali mu „kolonialną” kategorię zdrowia „A”. Razem z nim na komisji stał się Henryk. Obaj opuścili ją z przydziałem do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. W perspektywie mieli dość prędką mobilizację — Brygada miała wejść w skład Korpusu Ekspedycyjnego, szykowanego przez aliantów jako odsiecz dla broniącej się Grecji. Pierwsze okręty miały właśnie wyruszyć z portu, gdy przyszła wiadomość: Grecja padła.

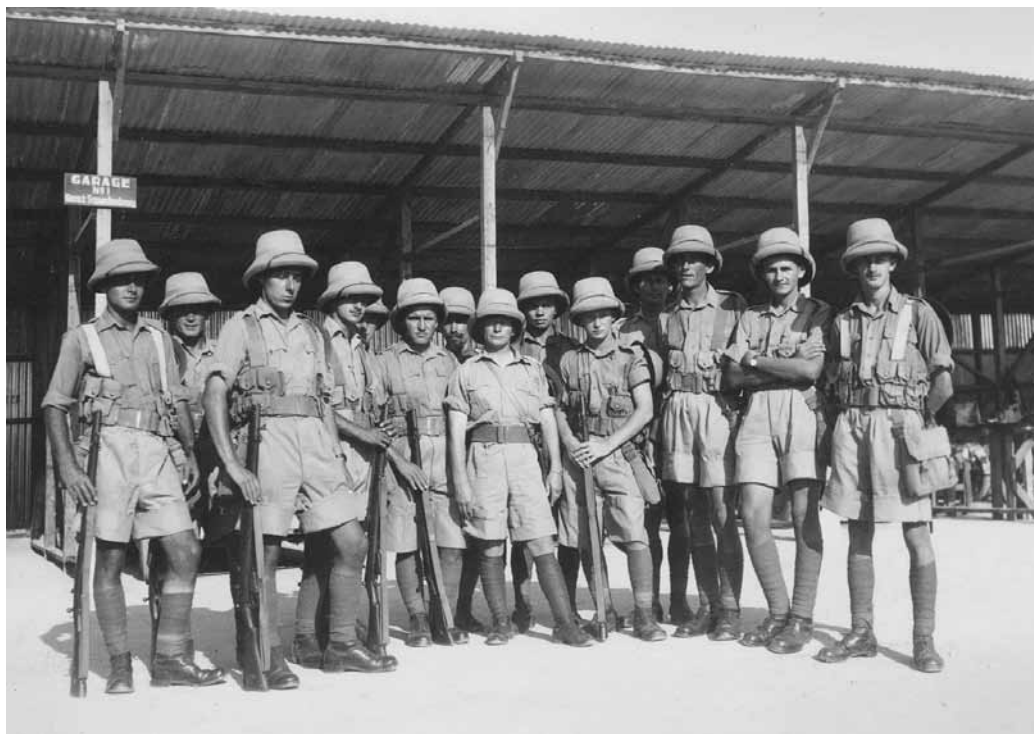
Dnia 27 marca Giedroyciowie wyjechali ze Stambułu. Pociąg ruszył rano z dworca Haidar Pasza, by cały dzień, noc i dzień następny przemierzać lasy i góry Anatolii, a wieczorem wreszcie znaleźć się w porcie Mersyna. Dziewiątego kwietnia załadowano ich — jak wspominał Henryk Giedroyc — „na jakiś mały statek turecki czy cypryjski do przewożenia bydła”. Następnego dnia przybili do brzegów Cypru. Dwunastego kwietnia statek oczekiwał już na redzie w Hajfie na pilota, by ten przeprowadził go przez rozstawione wokół portu pole minowe.

Sama Brygada jesienią poprzedniego roku przeszła do Egiptu, w Hajfie natomiast znajdowała się stacja zborna,

podlegająca Ośrodkowi Zapasowemu w Latrun. Tu, mniej więcej dwadzieścia mil na wschód od Tel Awiwu, w cieniu murów klasztoru Trapistów i ruin zamku krzyżowców, wcielano polskich żołnierzy do polskiego wojska, prowadzono ich ewidencję i szkolono. Braci Giedroyciów wcielono do armii 16 kwietnia. Dwa dni później zawiezieni zostali do Latrun, gdzie ich umundurowano. Trafili do kompanii szkolnej, co oznaczało, że przez dwa miesiące mieli słuchać rozkazów „padnij, powstań, biegiem marsz”, zdobywać pagórki w okolicach biblijnego Emaus, pełnić warty, przeżywać nocne alarmy, machać łopatami, poznawać broń i uczyć się wielu innych ciekawych rzeczy. Zaczęło się też mieszkanie pod namiotami, które miało jeszcze trochę potrwać... Generalnie rzecz biorąc, było bardzo przyjemnie — można się było wyspać, najeść i wynudzić. I było ciepło, co Jerzy zawsze lubił. Przez jakiś czas niczego nie planować, nie organizować, nie działać i na nic nie wpływać, dać się ponieść wypadkom — to był jego ówczesny pomysł na życie, na to, by nieco odpocząć.

Jedynym z tego okresu złym wspomnieniem Jerzego była musztra. Jego młodszy brat, jeszcze po ponad pół wieku oglądając w telewizji wyprężonych żołnierzy kompanii reprezentacyjnej, mruczał pod nosem: „Ładnie... Bardzo ładnie to wygląda — dla kogoś, komu nigdy nie kazali tak stać”. Bracia pełnili 12 czerwca 1941 roku wartę honorową podczas procesji Bożego Ciała w Jerozolimie.

Z tym nudzeniem się to zresztą nie do końca prawda — Jerzy się chyba nie nudził. Niezależnie od tego, że czas wypełniało mu szkolenie, miał też z kim rozmawiać. Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich nie była zwykłym wojskiem — jedna trzecia jej żołnierzy miała wyższe wykształcenie. To też zapewne miało znaczenie dla Jerzego, gdy upierał się



Boże Ciało 1943 roku.

przy pójściu do wojska — wiedział, że spotka tam swoich przyjaciół. Już 21 maja przyjechali Mieczysław Pruszyński i Adolf Bocheński.

W obozie w Latrun Giedroyc spotkał o wiele więcej znanych. W tym okresie wypełniali go w znacznej mierze byli ministrowie i posłowie, urzędnicy i dziennikarze — ci, którym wreszcie udało się dostać do wojska, a którym wcześniej to uniemożliwiano. Tak swoje pierwsze chwile w Latrun opisywał inny znajomy Giedroycia, Jan Ulatowski: „Sami starostowie, radcy i doktorzy. Gdy wstają, nie wiadomo,

co trzeszczy — prycza czy kości. Wersal wśród prycz. Ah, pan konsul! Spotkaliśmy się przecież, panie radco! Tak, tak, Gerwazeńku. Tak, tak, Protazeńku!”. Komendantem obozu był przedwojenny komendant policji, generał Kordian-Zamorski, a premier Sławoj-Składkowski... inspektorem sanitarnym. Ten ostatni z miejsca zresztą wziął się do roboty i w chwili kiedy bracia Giedroyciowie dotarli do Latrun, obowiązywały tam już jego zarządzenia. Dbając o polski żołądek, nieprzyzwyczajony do angielskiej kuchni, Sławoj zalecał między innymi: „Margarynę przetapiać z cebulą i dawać dwa razy w tygodniu do chleba, gdyż margarynę surową żołnierze wyrzucają. (...) 6. Mięso dawać: dwa razy w tygodniu gulasz, dwa razy sztuka mięsa, dwa razy kotlety siekane, jeden raz pieczeń z sosem. 7. Zupę dawać nie wieczorem, lecz w południe, bo nasi żołnierze są przyzwyczajeni jeść więcej w obiad. 8. Herbaty robić mniej, ale bardziej mocną i w oddzielnych kotłach. 9. Nie dawać zupy z ryb, która jest przez żołnierzy stale wylewana do kubłów”. Atmosfera była nie tylko inteligencka, ale i w dużej mierze sanacyjna, co władze dość szybko zauważyły i czemu starały się zaradzić, między innymi zakazując oficerom kontaktów z byłymi dygnitarzami. Z owej „antyrządowej” działalności piłsudczyków w Palestynie Giedroyc zachował pamiątkę — fotografię Marszałka, wydaną wówczas przez Wiktora Drymmera.

W jednym z późniejszych wywiadów Giedroyc twierdził, że kiedy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, zgłosił się do swych zwierzchników, którzy szukali ludzi ze znajomością rosyjskiego. Ale musiało to być nie po 22 czerwca 1941 roku, lecz później, już po opuszczeniu Palestyny — pytania o język rosyjski zadawano żołnierzom po podpisaniu paktu Sikorski-Majski, a więc dopiero w sierpniu. Pomysł wyjazdu

do Związku Sowieckiego i uczestniczenia tam w tworzeniu polskiej armii miał też notabene Adolf Bocheński. W obu jednak wypadkach rzecz nie miała dalszego ciągu.

Z końcem lipca zakończyło się szkolenie wojskowe braci Giedroyciów. Razem z resztą mniej lub bardziej nieopieczonych żołnierzy wysłani zostali do Egiptu, by dołączyć do Brygady. A ta już od 15 sierpnia koncentrowana była w obozie El Amirja pod Aleksandrią — zapadła bowiem decyzja o wysłaniu Polaków do Tobruku, od kwietnia bronionego przez Australijczyków. Do ostatniej chwili utrzymywano to w tajemnicy, więc dyskusje i domysły co do najbliższej przyszłości trwały bez końca. Wiadomo było, że Brygadę czeka podróż morska, kazano jej więc zdać cały sprzęt. Zarówno sprzęt ciężki, jak na przykład samochody, jak i maszyny do pisania, archiwa kancelaryjne i worki z prywatnymi rzeczami zostać miały w Egipcie. Dla Jerzego ważniejsze było to, że żołnierzom nakazano również zostawić wszystkie książki — ten rozkaz nie został jednak w pełni wykonany i w następnych miesiącach cichaczem zabrane tomy krążyć miały z rąk do rąk. „Można było wziąć tylko plecak z najpotrzebniejszymi rzeczami i chlebak — wspominał Giedroyc w rozmowie z Teresą Torańską — więc ja wziąłem sobie Kolankowskiego historię Jagiellonów; była to książka, którą bardzo ceniłem, więc studiowałem ją dokładnie. A Adzio Bocheński miał historię papieżstwa, dziesięć tomów, więc się wymienialiśmy”.

Jak opisuje kronikarz Służby Transportowej, Zygmunt Kotkowski, wieczorem 24 sierpnia urządzono żołnierzom próbne załadowanie na samochody, a w nocy ogłoszono przygotowanie marszowe. Nad ranem samochody zawiozły Brygadę do portu w Aleksandrii, gdzie czekały na nią okręty. Kompania Transportowa, do której przydzieleni zostali Jerzy i Henryk,



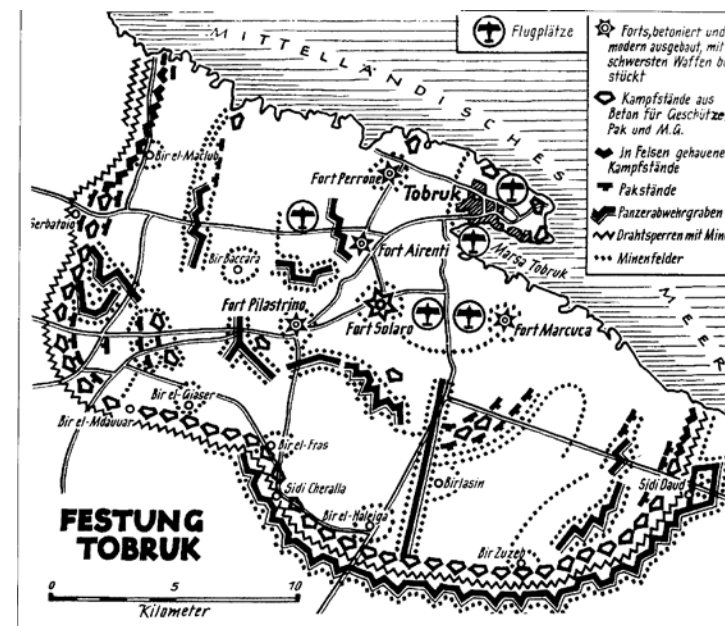
Zdjęcie HMS „Latona” z 1941 roku.

wyłynęła w morze o ósmej rano na HMS „Latona” — stawiacz min, jednej z najszybszych angielskich jednostek na Morzu Śródziemnym. „Mimo wczesnej pory, było bardzo gorąco i nawet lekka bryza, wiejąca od morza, nie przynosiła ochłody — pisze Kotkowski. — Staliśmy przy burcie, patrząc, jak okręty jeden za drugim wypływały z portu. (...) Zwykle, gdy wojska lądowe wchodzi na pokład okrętu, tracą pewność siebie. Podobnie było z nami. Żołnierze poczuli się nieswojo, a gdy na dodatek otrzymali nakaz zejścia pod pokład, ogarnęło ich przygnębienie. Minorowy nastrój pogłębiła jeszcze wiadomość o wielkich zapasach amunicji, zmagazynowanej na spodzie okrętu. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, bowiem każdy z reguły okręt wojenny zabierał jak najwięcej amunicji,

ale dla płynących po raz pierwszy w tych warunkach było to co najmniej — by nie użyć zbyt mocnego słowa — przykre”. Aby zmylić ewentualny pościg nieprzyjaciela, konwój początkowo płynął zmiennym kursem i dopiero przed południem ruszył zdecydowanie wzdłuż wybrzeża w kierunku Tobruku. W pewnym momencie „Latona” odłączyła się od reszty okrętów, a jeden z towarzyszących im samolotów wpadł w korkociąg i spadł do morza, kapitan wszczął więc akcję ratunkową. Załogi samolotu nie udało się jednak odnaleźć. Wreszcie około pierwszej w nocy 26 sierpnia okręty wpłynęły do portu oblężonej twierdzy. Brygada, a w jej składzie bracia Giedroyciowie, znalazła się w Tobruku. Konwój dotarł bez strat, jeśli nie liczyć części bagaży, które w porcie, przy przesiadaniu się do barek, w bezksiężycową czarną noc wylądowały w wodzie. Jedyną ofiarą mógł się stać polski żołnierz, który zbyt intensywnie rozładowywał stres podróży morskiej alkoholem i wysiadając, również nie trafił w pokład barki. Ocaliła go pomocna dłoń marynarza.

Twierdza Tobruk. Kto nie interesował się wcześniej tym fragmentem historii drugiej wojny światowej, niechaj nie da się zmylić słowu „twierdza”. Karpaczczy, wędrując prowadzącą z portu asfaltową drogą, sami na próżno wypatrywali grubych murów fortecy. Miejsce, do którego trafili, było po prostu olbrzymią połącją pustyni, na której — o czym świadczyły ruiny budynków — jeszcze niedawno całkiem prężnie rozwijało się nadmorskie miasteczko. Otoczony pięćdziesięciokilometrowym łukiem fortyfikacji, pól minowych i zasieków, ten kawałek wybrzeża blokował siłom niemieckim i włoskim drogę na wschód, ku Egiptowi.

Transportówka przetrwała pierwszy dzień — i pierwszy silny nalot niemiecki — zagrzebana w prowizorycznych



Twierdza Tobruk, mapa niemiecka.

schronach w ziemi. O zmierzchu powędrowała nad morze, gdzie w północno-zachodniej części twierdzy objęła stanowiska, luzując uszczęśliwionych Australijczyków. Na północy teren kończył się skalistym brzegiem, kryjącym w sobie małe zatoczki, gdzie łagodnie zejść można było na plażę. Na południu zaś królestwo dowódcy kompanii, majora Jana Woźniaka, zamykały wzgórza, na których znajdowały się stanowisko obrony przeciwlotniczej, olbrzymi reflektor i latryny.

Jak cała Brygada nie była zwykłym wojskiem, tak Kompania Transportowa nie była zwykłym oddziałem kierow-

ców i mechaników. Było w niej nieproporcjonalnie dużo inteligentów, i to w dodatku inteligentów pochodzenia żydowskiego. Jeszcze w Latrun sierżant Zatoń, czytając listę żołnierzy przydzielonych do transportówki, wymieniwszy po obu Giedroyciach kilka wybitnie „niearyjskich” nazwisk, nie wytrzymał: „Żyd, kurwa i książę zawsze mają szczęście...”. Inteligencka Kompania Transportowa zasłynęła w Brygadzie jako oddział, w którym panowały — co podkreślał później Adolf Bocheński — najbardziej rodzinne stosunki.

Co zrobić w kolumnie transportowej z Giedroyciami? Z Henrykiem nie było problemu — „zmotoryzowany”, z wydanym w Rumunii międzynarodowym prawem jazdy, trafił jako szofer do kolumny samochodowej. W końcu października uzyskał dodatkowo oficjalne uprawnienia do prowadzenia wojskowych samochodów osobowych, ciężarowych i motocykli. A Jerzy? Wprawdzie również przywiózł z Bukaresztu prawo jazdy, ale... niewypełnione, z wklejonym tylko zdjęciem, nawet bez wpisanego nazwiska właściciela. A kierowca był z niego żaden. Major Woźniak powierzył więc Jerzemu odpowiedzialne zadanie prowadzenia sklepiu NAAFI — pewnego rodzaju żołnierskiej kantyny.

„Dla mnie to były przyjemne wakacje, poza ostrzeliwaniem, bombardowaniem i nalotami, które działały na nerwy: śliczne morze, śliczna plaża — mówi o swojej tobruckiej przygodzie Jerzy Giedroyc w *Autobiografii*... — Brygada Karpacka była wybitnie inteligencka i w moim schronie utworzył się od razu klub dyskusyjny: spotykano się tam wieczorami i dyskutowano, co wywołało po jakimś czasie zaniepokojenie Drugiego Oddziału, który, zapewne z braku innych zajęć, pilnie nas obserwował”. Trudno się dziwić, że „dwójka” interesowała się żywymi dyskusjami prowadzonymi przez



Dokumenty Henryka Giedroycia: angielskie zezwolenie na prowadzenie samochodów w obrębie twierdzy Tobruk, wydane 2 września 1941, i prawo jazdy, wydane w Tobroku 29 października 1941.

żołnierzy na froncie. Z pewnością jednym z częściej poruszanych tematów był niedawno podpisany układ Sikorski–Majski. Wzbudzał niemałe emocje — w końcu nawet w samym rządzie trzech ministrów na znak protestu podało się do dymisji, poważne zastrzeżenia miał też prezydent Raczkiewicz. A co mówili o nim ludzie, którzy na Wschodzie pozostawili rodziny, domy czy majątki — łatwo sobie wyobrazić. Po latach Giedroyc, używając argumentów, jakimi w 1941 roku sam nie mógł jeszcze dysponować, tak w uzupełnieniu do *Autobiografii...* mówił o układzie polsko-sowieckim: „Negocjować ze Związkiem Sowieckim bezwzględnie należało. Ale uważam też, że można było wynegocjować układ o wiele bardziej korzystny dla Polski, gdyby Sikorski nie uległ tak bardzo presji Anglików, którym zależało wyłącznie na unormowaniu stosunków polsko-sowieckich, bez względu na koszty. Jest starą polityką rosyjską, nie tylko sowiecką, że w momentach kryzysowych zajmuje się stanowisko niezwykle twarde. Wysuwa się wtedy postulaty maksymalne, licząc, że coś uda się wywalczyć. Toteż Majski wynegocjował wtedy najlepszy z układów z Polską, możliwych w danej chwili dla Związku Sowieckiego. Przykładem może być to, że ludzie urodzeni na terenach okupowanych przez Związek Sowiecki byli uważani za obywateli sowieckich, co stało się pretekstem do niepuszczania do wojska Ukraińców i Żydów. Związek Sowiecki stał na stanowisku, że terytorium zajęte przez Armię Czerwoną po agresji z 17 września 1939 roku, czyli tzw. zachodnia Ukraina i zachodnia Białoruś, stało się legalnie jego częścią w następstwie plebiscytu i że to nie podlega negocjacji. Sikorski zadowolili się ogólnym sformułowaniem, unieważniającym pakt Ribbentrop–Mołotow, co nie miało żadnego znaczenia, było pustym frazesem. I co stało się pre-

tekstem do oszukiwania opinii polskiej przez Sikorskiego, który twierdził, że jest to również unieważnienie plebiscytu; a tak wcale nie było”.

W schronie Jerzego takich argumentów nie używano, ale z pewnością dyskusje o polityce Sikorskiego były bardzo gorące. „Głównie o przyszłości, o urzędzeniu Polski po wojnie — to znów Giedroyc i *Autobiografia...* — Wyobrażenia były dość rewolucyjne, zwłaszcza w kwestiach socjalnych; mówiono o potrzebie reform, zaczynając od samego wojska, przy czym ujmowano je radykalnie. Sam byłem bardzo radykalnie nastawiony, zwłaszcza wobec spraw gospodarczych i narodowościowych. Reforma rolna nie mogła rozwiązać moim zdaniem przeludnienia wsi bez intensywnego uprzemysłowienia, zdolnego wchłonąć bezrobocie. Spraw ustrojowych, konstytucyjnych, nie poruszano, nikogo to chyba specjalnie nie obchodziło. Dużo mówiono o antysemityzmie, może dlatego, że w kompanii, w której byłem, było bardzo wielu Żydów, inteligentów, przeważnie adwokatów. Nie mieliśmy wtedy pojęcia o wyniszczeniu Żydów w Polsce, zastanawiano się więc nad tym, jak rozwiązać problem biedoty żydowskiej”. I cóż tu się dziwić biednym „dwójkarzom”, że byli zaniepokojeni, gdy żołdaci po nocach prowadzili takie dyskusje? Nawet w „nietypowej” Brygadzie nie mogło to przejść bez echa.

Zresztą „dwójka” bacznie obserwowała także inne objawy życia towarzyskiego w Brygadzie. Ot, dwaj koledzy Jerzego z transportówki, Bogdan Znowski i Ignacy Kleszczyński, powołali do życia „klub wykołowanych pustynią i wojną” i pomijanych przy rozlicznych awansach. „Wykołowani” byli na tyle, że miewali dziwne pomysły. Na przykład — wspominał po latach Znowski — „w parne noce księżycowe, najczęściej nago — tańczyliśmy zazwyczaj dokoła kopca kapitana

Borowego, nucąc dla niego wesołą pieśń «Memento mori»". Kwatermistrz, kapitan Włodzimierz Borowy, zasłużył sobie na taką uwagę jako jeden z oficerów służbistów — a tych w Kompanii Transportowej nie lubiano... Niektórych kolegów tak po latach wspominał Znowski: „Jeżeli chodzi o sztukę przeklinania, to palmę pierwszeństwa przyznać trzeba podchor. Karolowi Hirsbergowi. Potrafił na facecie nie zostawić suchej nitki. Robił to cudnie, z zamiłowaniem i prawdziwie warszawskim bogactwem słowa, którego i Wiech by się nie powstydział. Zawsze pamiętać będę, gdy Karol w obecności gładkiego w obejściu red. Jerzego Giedroycia wymyślał na kogoś. Jerzy przymrużał swe ciemne oczy i syczał: «Karol, daj spokój, ale trzeba ci przyznać, że wymyślasz bez zająknięcia». Może mu się przypominała Warszawa, wyraźnie się wtedy bawił. Karol potrafił do rozpacz doprowadzać oficerów, wchodząc do kancelarii półnago.

Jerzego Giedroycia nie zapomnę, gdy z wyrazem wielkiego zadowolenia szedł na nocną służbę wypatrywacza morza przy jedynym karabinie maszynowym, jaki posiadaliśmy. Był naprawdę wtedy szczęśliwy, bo był żołnierzem, a mógł nim łatwo nie być. Miał wśród swoich dokumentów nominację na naczelnika wydziału w polskim ministerstwie spraw wewnętrznych, z której nie skorzystał, idąc na ochotnika do wojska. Świetny kolega, głęboki umysł, dziś doskonały redaktor «Kultury» paryskiej.

Zupełnie innym typem był zwariowany potomek książąt tatarskich pchor. Axan (Aleksander). Lubił pływać z nożem w zębach «na wypadek spotkania ośmiornicy». Miał również kowbojski zwyczaj strzelania z pistoletu, którym świetnie władał, pod nogi kolegów, by im zadać pietra. Miły, zwariowany, oryginalny egzemplarz naszej galerii”.

Ta akademka karpacka to tragicomiczne widowisko. Rzecz trzymał jako główny geroł płk. Gliwicz, mjr. Zawadzki pokazywał kijkiem na mapie jak to wszystko się odbywało. Później się produkowały różne ochwicery sztabowe. Tadek Sowiński, który moim zdaniem obecnie jest bez jaj, zrobił dekorację Urstei grał na pianinie. Zuczej śpiewał a Grelischowska i Piesch Krzyski deklamowali Hemara, Tuwima i Broniewskiego. Śpiewaliśmy obie "Brigady" i później "Czy ty pamiętasz wnuka". Zrobił się nastrój żałobnobogoojęzyśniany. Wobec tego aby trochę rozruszać tych tabetyków przypomniałem zebrany/olbrzymia i zankomita większość to leśne dziadki z OZ/ budującą zwrotkę tej pieśni narodowej:

Wytoczył rok bez piwa,
Niewiedziła co to dziwne,
Bo mu odcień mówili,
Ze się zaczęła ofensywa.

Wwobrażasz sobie zgorzzenie sztabowców i innych uroczystych osłów, którzy chcieli zrobić z melodii "Donkey's serenade" co najmniej "Czerwone maki"? Jednym słowem jak zwykle okazałem się "elephant terrible". Ale ja ich wszystkich chronię w ciele!

Fragment listu Karola Hirsberga
do Jerzego Giedroycia z 9 stycznia 1958.

Kto bywał na wieczornych spotkaniach u Jerzego? Adzio Bocheński, Jan Erdman, Danek Znowski, zapewne też Ignacy Kleszczyński (Dziunek), Karol Hirsberg „i wiele innych osób”. Nikt z uczestników tych dyskusji nie opisał, niestety, jak wyglądał schron Giedroycia. A z listu jego samego do Bogdana Znowskiego wiemy, że był pod wrażeniem tobruckiej „manii ich urządzania” i że niektóre uważał za „arcydzieła pomysłowości”. Inne do końca pozostały jedynie wykopanymi w ziemi dziurami, wzmocnionymi konstrukcyjnie i obudowanymi workami z piaskiem.

„Nie chęć zakupów gromadziła tutaj dziennikarzy, publicystów, poetów, malarzy, grafików, bowiem półki polowego sklepiku przeważnie świeciły pustkami — opisywał tobrucką siedzibę Jerzego Giedroycia Zygmunt Kotkowski. — Była to konieczność wymiany myśli ludzi pióra. Oczywiście nie brakowało i tu grafomanów, którym towarzystwo «cyganerii» brygadowej ogromnie imponowało”. Nic dziwnego, że grono bywalców sklepiku, w którym strzelec Giedroyc miał do zaoferowania jedynie dropsy, pastę do butów i czarne sznurowadła, było ściśle związane — a po części tożsame — z innym tobruckim salonem, zwanym szumnie Pałacem Prasy. Tam redakcja w składzie: Ignacy Kleszczyński, Karol Hirsberg, Zygmunt Kotkowski, Bogdan Znowski, redagowała dwutygodnik zatytułowany „Przy kierownicy w Tobruku”. Udział Jerzego Giedroycia w tym nietypowym przedsięwzięciu — bo kto wcześniej, ostrzeliwany i bombardowany, zagrzebany w dziurze w ziemi, wydawał na pakowym brązowym papierze gazetę? — ograniczał się do życziwej pomocy. Ale to on — kiedy redaktorom zabrakło pomysłów na kolejne numery — namówił Adolfa Bocheńskiego, by pisywał do „Przy kierownicy...”. Teksty tobruckiego bohatera, wsławionego



Adolf Bocheński
w Brygadzie Podhalańskiej.

licznymi nocnymi patrolami na przedpolu, były wśród żołnierzy niesłychanie popularne.

Przy prawdziwej kierownicy spędzał czas brat Jerzego, Henryk. W ciemne noce rozładowywano w porcie angielskie transporty, by następnie karawany ciężarówek ze zgaszonymi światłami mogły je powieźć we wszystkie rejony bronionej

twierdzy. Wypatrując przed sobą w ciemnościach pilota z białą chusteczką w dłoni, a trochę jeżdżąc na pamięć, kierowcy rozwozili do oddziałów dostarczoną do Tobruku broń, amunicję, żywność i benzynę. Dudek jeździł za dnia — szybko bowiem okazało się, że po zmierzchu jest ślepy jak kura.

Najcenniejszym może ładunkiem ciężarówek przemierzających Tobruk była woda, której brak żołnierze odczuwali niezwykle dotkliwie. Skrupulatnie pilnowali więc wyznaczonych terminów kąpieli w morzu. Była to jedyna okazja, by się umyć i choć na jakiś czas pozbyć pcheł, których pełne były tobruckie schrony. Jerzy Giedroyc wspominał, że w wojsku wstawał wcześniej, niż było trzeba, by spokojnie się ogolić. „Myłem się wodą morską i zdzierałem sobie twarz do krwi,



Egzemplarz „Przy kierownicy w Tobruku”.

ale uważałem to za potrzebne. Człowiek potrzebuje gorsetu” — opisywał po latach, jak walczył z gnuśną „naturą Obłomowa”, którą często sobie przypisywał.

Ale brak wody, dyzenteria, towarzystwo pcheł i rozmaitej innej fauny — częściowo „wolnej”, jak szczury, częściowo hodowanej przez żołnierzy, jak na przykład świerszcze — ani nawet przeklinane przez wszystkich konserwy z upiornie słoną wołowiną (angielski *corned beef* Polacy nazywali małym mięsem) nie były największym utrapieniem obrońców twierdzy. Powszechnie przeklinano pogodę. Jerzy zapewne na to tak bardzo jak jego koledzy nie narzekał — wysoką temperaturę lubił, a na piaskowe burze, hamsiny, nie był w swej kantynie tak narażony jak jego brat. Co jeszcze doskwierało „szczurom pustyni”? Jak zanotował Zygmunt Kotkowski, „w całej kampanii tobruckiej było wiele smutnych chwil dla żołnierzy Służby Transportowej, ale najbardziej przykrą z nich była ta, w której wyszło zarządzenie, zmniejszające rację rumu. Bez przesady można powiedzieć, że fakt ten odbił się w sposób bardzo dotkliwy na ustroju nerwowym żołnierzy (...). Rację rumu zmniejszono o połowę z 1/64 na 1/128 galona na żołnierza i ponadto wprowadzono ograniczenia. Rum dostawali tylko żołnierze ze służby patrolowej oraz ci, którzy pracowali w porcie w nocy. Brak podniecającego środka, jakim jest alkohol, odbił się na samopoczuciu żołnierzy”. Alkohol jednak na różne sposoby zdobywano. Życie towarzyskie tętniło, ciepłe piwo, gin czy rum pozwalały zacieśniać więzy międzynarodowe. O ile bowiem z Anglikami stosunki układały się rozmaicie, o tyle przyjaźń polsko-australijska kwitła w Tobruku od początku. Nad niejedną butelką obiecywano sobie, że walka nie skończy się, póki oba kraje nie będą miały wspólnej granicy...



Tobruk i szlak kampanii libijskiej SBSK.

Dniem i nocą trwały ostrzał artyleryjski i niemieckie naloły. „Na chwilę robiło się jasno — opisywał te noce Znowski — choć nie jak za dnia, widmowo, żołnierz jeśli słyszał ponury warkot silników samolotów i świst spadającej bomby, wciskał się w załomy ziemi, przywierał całym sobą do niej i czekał chwili odlotu stalowej śmierci”.

Od września Polacy nękali oblegających ich Włochów i Niemców nocnymi wypadami bojowymi. Z końcem miesiąca przejęli najtrudniejszy odcinek obrony — naprzeciw wzgórza 209, czyli Ras el Medauar, zajętego wiosną przez Niemców. Tutaj, w tak zwanym wyłomie, obrońcy byli bez przerwy pod kontrolą przeciwnika oddalonego od

nich raptem o 200 metrów. Ale nawet na tym najcięższym odcinku frontu obowiązywały rycerskie zasady, wypracowane jeszcze przed przybyciem Polaków. O zmierzchu w Tobruku zapadała cisza — przez trzy godziny żołnierze obu walczących stron mogli rozprostować kości, zjeść kolację czy pójść za potrzebą. W czasie codziennego „Treuga Dei” dowożono im też prowiant i amunicję, ewakuowano rannych.

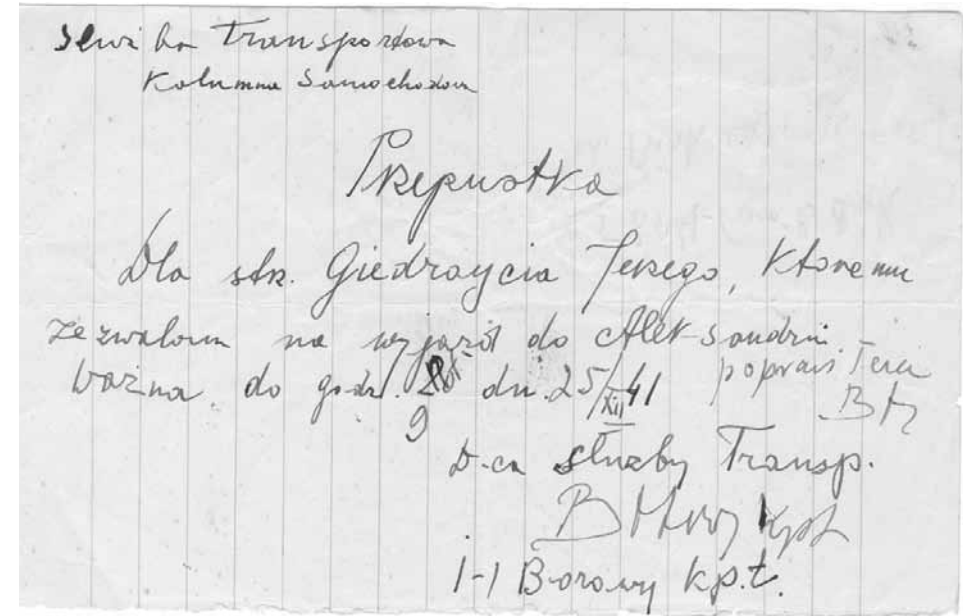
Karpaczczyki spędzili w oblężonej twierdzy sto dziesięć dni. W drugiej połowie listopada — kilka dni wcześniej Samodzielną Brygadę Strzelców Karpackich, SBSK, odwiedził w Tobruku generał Sikorski — alianci przeprowadzili kilkudniową ofensywę w celu oswobodzenia twierdzy. Polacy zaś uderzyli na El Medauar. Czołgi Rommela udaremniły jednak plany wojsk koalicji. Kolejną próbę podjęli Nowozelandczycy — i ponownie została ona odparta przez Lisa Pustyni. Rommel zaatakował pozycje Polaków, musiał się jednak wycofać wobec poniesionych strat. Dnia 10 grudnia 1942 roku karpaczczyki zdobyli El Medauar i ścigając wycofujących się w głąb pustyni Włochów, zajęli położoną dziesięć kilometrów dalej Acromę. Tam dogonił ich brytyjski 13. Korpus. Ofensywa angielska postępowała, Tobruk był wolny.

Kolejne trzy miesiące to dla żołnierzy Brygady bezustanna wędrówka po pustyni. W połowie grudnia rozbili włoską obronę pod Gazalą. Dwa tygodnie później wsparli wojska sprzymierzonych w zdobyciu Bardii. W styczniu wydano im rozkaz okupacji Cyrenajki, która — jak obawiało się dowództwo alianckie — mogła stać się celem niemieckiego desantu. SBSK obsadziła fort El Mechili. Następnie znów została wycofana pod Gazalę, gdzie aż do połowy marca prowadziła mniejsze lub większe potyczki z nieprzyjacielem.



Eskortowanie wziętych do niewoli żołnierzy niemieckich
(drugi z lewej Jerzy Giedroyc).

„Polacy to w ogóle bardzo miękki naród. (...) Pamiętam, jak do Tobruku przyszły pierwsze transporty jeńców niemieckich. (...) Nie mówiąc o tym, że Niemcy się bali, ale i myśmy umierali ze strachu, że dojdzie do jakichś awantur. Absolutnie nie. Najpierw z pięściami podskakiwali i grozili, a potem zaczęli im dawać papierosy”
(Jerzy Giedroyc w rozmowie z Teresą Torańską).



Przepustka Jerzego Giedroycia do Aleksandrii.

„Cała Brygada marzyła — wspominał te dni Giedroyc w rozmowie z Teresą Torańską — żeby wrócić do Aleksandrii, żeby odpocząć. A wtedy zaczęła się kontrofensywa Rommla i przerzucono ich na Cyrenajkę i to był prawie bunt. (...) Wściekłość tych ludzi była niesłychana. Oni nie są zdolni do długotrwałego wysiłku. Krótkotrwałego, a potem przychodzi kłapa”. W nocy z 17 na 18 marca „oklapnięta” Brygada została zluzowana i wyruszyła pod Aleksandrię. Jeśli większość żołnierzy żyła nadzieją na jak najdłuższy wypoczynek, to Giedroycowi miał on obrzydnąć już po kilku miesiącach.

Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich przechodziła powoli do historii. W maju rozpoczęto formowanie na jej bazie 3 Dywizji Strzelców Karpackich, popularnie zwanej „deską”, a przez sojuszników — ze względu na zielony świerk na naszywce DSK — Christmas Tree Division. Z Persji ciągnęła już wyprowadzona ze Związku Sowieckiego armia generała Andersa. Lato 1942 roku to kolejne szkolenia, kolejne place ćwiczeń i musztry, ale też wydawanie zarobionego żołdu, najpierw w aleksandryjskich, a potem telawiwskich restauracjach. Jerzy Giedroyc lubił Aleksandrię — zdarzyło mu się nawet stanąć do raportu u majora Borowego, gdy po powrocie z Tobruku „zdezzerterował” tam na noc wraz z Karolem Hirszbergiem. „Aleksandria z lat 1941–42 to było nasze kochane miasto, w którym niejeden lokal zawojowaliśmy na stałe, niejednego Greka czy Egipcjanina nauczyliśmy mówić choć kilku słów po polsku — wspominał Danek Znowski. — Ludziska nas lubili, bo widzieli w nas obrońców, witano nas życzliwie, a kobiety nawet bardzo życzliwie. Robiliśmy, co

się dało, by uczuć nie zmarnować. Piękne miasto. Po pustyni, wydawało nam się śliczne. Były żołdy zaoszczędzone na pustyni, był post i wysuszenie słońcem, a tu było wszystko. Więc się po Aleksandrii chodziło, popijając chłodne napoje, to



Emblemat 3 Dywizji Strzelców Karpackich.



Jerzy Giedroyc w szpitalu polowym, lato 1942 roku.

zajadając krewetki z majonezem, to smakując ciastka z czarną kawą u «Delices», na Zagloul-Pasha. Na noc znikało się w jakimś pensjonacie, a tyle ich było nad morzem i zapominało się o całym świecie...”

Pod koniec okresu „wypoczynku” Jerzy zapadł na chorobę zgola nie wojenną — w lipcu lekarz, przyglądając się jego podrażnionej skórze, orzekł, że strzelec Giedroyc choruje na różyczkę.

Z końcem sierpnia został odkomenderowany do Iraku, do dowództwa dywizji. Nie będąc formalnie oficerem

oświatowym, de facto pełnił taką funkcję. Jednocześnie zaczął popadać w depresję. Obłączenie Tobruku nazywał po latach wakacjami, ale — to była przygoda. Rumunia dała mu w kość, ale — tam się przynajmniej coś działo, miało jakiś sens. A użeranie się z gazetkami ściennymi było po prostu nudne, bezsensowne, beznadziejne. W Tobruku było zabawnie, na co dzień miał wokół siebie paczkę przyjaciół. Teraz rozpierzchli się do rozmaitych zadań w ramach swych wojskowych przydziałów. Dudek, który tymczasem skończył podchorążówkę i w marcu 1942 roku miał zostać kapralem, też chodził — a w zasadzie jeździł — swoimi drogami. Jerzy zaś z poczuciem osamotnienia — czy ze wszystkimi rozstał się w dobrych stosunkach? — utknął w Mosulu. Tutaj nie było nic ciekawego poza miejscowym klasztorem Dominikanów. Polscy żołnierze otoczyli opieką francuskich zakonników, których Anglicy ledwie tolerowali. Nocą, co kilka dni, podjeżdżała do klasztoru polska ciężarówka z jedzeniem. Jerzy upodobał sobie — rzecz jasna — bibliotekę. „Była doskonała — wspominał po latach — całkiem świecka”. Spędzał w niej godziny na lekturze, zaszywał się tu, zaprzyjaźnił się też z ojcem Jeanem Maurice’em Fieyem, dominikaninem i wybitnym archeologiem. Chadzał do klasztoru w każdej wolnej chwili, mimo że było to dla niego dość uciążliwe. Pod koniec 1942 roku miał bowiem wypadek samochodowy, z którego wyszedł ze złamaną nogą. „Wtedy były tam straszne deszcze — wspominał po latach — więc natychmiast po wyjściu z namiotu gips robił się miękki, to były straszliwe historie...”

Samotność, ból, nuda, deszcz. Depresja. Kilka zachowanych, nie do końca czytelnych kartek z notatnika z 1943 roku:

„31. II (*sic!* prawdopodobnie chodzi o styczeń — przyp. M.Ż.).

Nuda rozkładająca człowieka. Spanie, jedzenie, głupie rozmowy, picie kawy. Tylko tych parę godzin dziennie u O.O. Dominikanów w bibliotece. Lektura bez większego sensu. Przeczytawszy Keyserlinga *Méditations sudaméricaines* (na wpół zrozumiałe) i zaczynając Nietzschego, widzę powierzchowność wykształcenia i zupełny brak przygotowania filozoficznego. Nie mówiąc o słabej ciągle znajomości francuskiego. O angielskim szkoda mówić. Od dwóch lat projektuję się wziąć do niego i kończy się zawsze na dobrych chęciach.

Mam swoją drogą dziwne szczęście w tym wojsku. Poza normalnie spędzonym okresem szkolnym, mam stale jakieś nieokreślone przydziały, nie dające żadnej określonej, konkretnej pracy. Celowo daję się ponosić wypadkom, to wynika z mojej postawy, przyjętej w wojsku, ale na dłuższą metę to źle działa. Ciągłe łapię się na jakiejś zgorzkniałej, zręczącej obłomowszczyźnie. Wytwarza to kompletny bezwład woli, do którego — jeśli wierzyć Szumanowskiemu — mam od wczesnej młodości silne skłonności.

Być wyrzuconym za nawias to nieprzyjemne. Ciągłe mówię, że to zdumiewająco łatwe (...) i odchodzenie czy to moich przyjaciół, czy wychowanków, nie obchodzi mnie wcale. Jednak w rzeczywistości to boli, irytuje i mimo wszystko wytwarza kompleks niższości. Uczucie samotności to diablo nieprzyjemna historia. Może w specjalnych warunkach tak, ale przynajmniej w wojsku to się odczuwa ciągle nieprzyjemnie. I zabawne, głęboką przyczyną jest nie jakieś głębokie przywiązanie do kogoś czy do czegoś, ale egoizm. Instynkt posiadania. I mimo poświęceń czy wyrzeczeń, które mi w niektórych wypadkach łatwo przychodzą,

Naród... który wyrzuci z wychowania niechęć filozoficzną i prawniczą, a na należytem zrozumieniu nauk przyrodniczo-matematycznych opiera swoje nauczanie, wnet zdoła być prym nad światem.

Do dziś trwa ta kastowość, do dziś fałszywa solidarność każdej kasty i drażliwość na naruszenie któregoś z dawnych narowów. Nie wolno skrytykować jakiegokolwiek obszarnika, bo już cała szlachta krzyczy gwałtu — każde potępienie pijawki-żyda lub pasożyta uchodzi za antysemityzm — wykazanie jakiejkolwiek nietaktowności duchownego jest zaraz atakiem na religję — a powątpiewanie o mądrości politycznej pierwszego lepszego Bartka lub Macieja przedstawia się jako obraza całego ludu. Dopóki trwa ta odrębność kastowa, dopóki trwa ta fałszywa solidarność stanowa, to mamy zawsze przed sobą tylko obraz upadłej ojczyzny — tej ojczyzny, która nie zasługuje na zmartwychwstanie.

6. II. 43. Wczoraj dostałem list od Jerzego Giedroycia z Armią, przedmowa do niego do Dobra i Zła. Pisanie bardzo ożywione i miłe.

W tym sensie dostałem list od dywizji. Jenerał ma odpowiedzieć. Przedmowa do listu o wojnie i o jej przyszłości.

Ze są to rzeczy, które mogą być do bardzo trudnej gadaniny.

Kopia strony z notatnika Jerzego Giedroycia z lutego 1943 roku.

„Naród... który wyrzuci z wychowania sieczkę filozoficzną i prawniczą, a na należytem zrozumieniu nauk przyrodniczo-matematycznych oprze swoje nauczanie, wnet zdoła być prym nad światem.

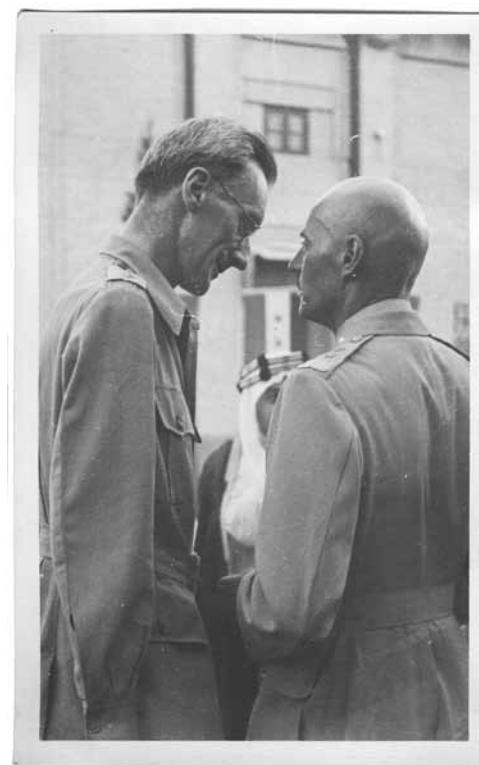
Do dziś trwa ta kastowość, do dziś fałszywa solidarność każdej kasty i drażliwość na naruszenie któregoś z dawnych narowów. Nie wolno skrytykować jakiegokolwiek obszarnika, bo już cała szlachta krzyczy gwałtu — każde potępienie pijawki-żyda lub pasożyta uchodzi za antysemityzm — wykazanie jakiejkolwiek nietaktowności duchownego jest zaraz atakiem na religję — a powątpiewanie o mądrości politycznej pierwszego lepszego Bartka lub Macieja przedstawia się jako obraza całego ludu. Dopóki trwa ta odrębność kastowa, dopóki trwa ta fałszywa solidarność stanowa, to mamy zawsze przed sobą tylko obraz upadłej ojczyzny — tej ojczyzny, która nie zasługuje na zmartwychwstanie”.

to nie zmienia faktu, że tak jest. Jest czytelny rys u Scarlett O'Hara, odsuwania nieprzyjemnych myśli i spraw «do jutra». Ale to była reakcja istoty głęboko egoistycznej, ale silnej. U mnie to samo zjawisko wynika niewątpliwie ze słabości”.

I wtedy, w styczniu 1943 roku, a może jeszcze pod koniec roku poprzedniego, w Mosulu pojawił się wysoki, chudy rudzielec — rotmistrz Józef Czapski. „Byłem szefem propagandy i dawali mi zawsze idiotów pomocników, bo każdy dowódca pułku zatrzymywał takiego, kto umiał czytać i pisać — nie było nikogo do telefonów. Każdy drapieżnie bronił wszystkich swoich inteligentnych pracowników —

opowiadał Czapski w wywiadzie udzielonym Piotrowi Kłoczowskiemu. — Zwróciłem się do Andersa o paru ludzi, mówiąc, że nie mogę tak żyć, że muszę mieć kogoś do pomocy. Proponowałem między innymi Giedroycia”. Dlaczego jego właśnie? Giedroyc twierdził, że Czapskiemu polecił go Adolf Bocheński; Mieczysław Pruszyński — że Stanisław Kot, któremu on sam ponoć wskazywał przyjaciela jako odpowiedniego do pracy propagandowej. Zrozumiałe, że bardziej prawdopodobna wydaje się pierwsza wersja. Zwłaszcza że Andersowi od razu ktoś „życzliwy” przypomniał bukareszteńskie perturbacje Giedroycia. „Z tym Giedroyciem to ja nie wiem, czy on ukradł, czy jemu ukradli... Miałem jakieś takie niedobre raporty o nim”, powiedział generał Czapskiemu. Usłyszawszy o tym, Giedroyc nawet się nie zmartwił — i tak nie chciał jechać. Gdy przyjechał doń Czapski, był akurat nie tylko przeziębiony, ale i pogrążony w „ataku czarnego pesymizmu”, mówił, że to wszystko nie ma sensu i że nigdzie nie pojedzie”. Wątpliwości co do swojej osoby nawet nie rozwiewał — odesłał Czapskiego do Rogera Raczyńskiego, który jako ambasador przy rządzie greckim urzędował w Kairze. Czapski pojechał więc swym jeepem do Kairu i usłyszał dokładną relację na temat bukareszteńskich przygód Jerzego. Anders, któremu ją powtórzył, nie miał już wobec Giedroycia żadnych zastrzeżeń.

Jeszcze 6 lutego 1943 roku Jerzy notował, że nie chce przenosić się do Dowództwa Armii, mimo że decyzja już zapadła. Nie miał zamiaru jechać, pogrążał się w codzienności i „bezwładzie woli”: „3 dni temu przyszedł fonogram z Armii, przenoszący mnie do Dtw Armii. Prosiłem Woźniaka o pozostawienie mnie. W tym sensie poszedł fonogram od dywizji. Jeszcze nie ma odpowiedzi. Przedwczoraj kolacja



Józef Czapski w rozmowie z generałem Władysławem Anderssem.

w kasynie i znowu dyskusja. Że ja się daję zawsze wciągać do bezpłodnej gadaniny.

Skończyłem przepisywać referat o Iraku współczesnym. Biorę się do gazetki ściennej. Dziś zastrzyk przeciwtyfusowy. Byłem dziś na polskiej rewii w kinie Ghazi. Słabizna. Okazuje się, że odmroziłem sobie uszy, 2 palce u rąk i bliżej nieokreśloną ilość palców u nóg. Ładna historia. Swędzi

i piecze jak diabli. Chyba zwariuję lub do reszty zgłupieję z nudów. Myśleć się nie chce. Znikąd ani słowa. Może to dobrze. Może to będzie początkiem otrząśnięcia się od przeszłości pod każdym względem. Zacząć życie «nagi». Jak się nie może lub nie umie żyć i działać, to czeka się, by nareszcie zaczęło się coś dziać, coś, żeby zmusiło nas lub pchnęło w jakiś kierunku”.

Zmusił go Józef Czapski. I wskazał mu kierunek. Nie przekonał argumentami, bo te do Jerzego wówczas nie przemawiały. Zdecydował jego „bardzo serdeczny stosunek do mnie, przyjaźń, która nawiązała się między nami prawie z miejsca;

w tym okresie Czapski był dla mnie kimś niezmiernie bliskim, najbliższym po Rogerze Raczyńskim”. Sam Czapski opisał to znacznie zwięźlej: „Jadę znów do Mosulu i zastaję go w takim domku dla żołnierzy, gdzie on grał z kimś w warcaby, z tą samą miną, którą ma zawsze. Natychmiast go zabrałem i przydzieliłem do naszego oddziału”. Od 1 marca 1943 roku Jerzy Giedroyc zaczął pracę w Propagandzie, czyli Wydziale Informacji i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie (później, wraz z kolejnymi zmianami organizacyjnymi, wydział kilkakrotnie przemianowywano). Skończyły się wakacje. Zaczynała się znów ta wojna, która dla niego była prawdziwa — polityka.

Tobruk

T.T.: A Pan tam walczył normalnie?

J.G.: Nie, skądże znowu, kto tam walczył w Tobruku... Nie było żadnych walk. Była jakaś strzelanina, cały czas ogromne bombardowanie ze strony niemieckiej i niemiecko-włoskiej, naloty samolotów... To była właściwie wojna pozycyjna.

T.T.: I przez osiem miesięcy coście tam robili w takim razie?

J.G.: Ja się kąpałem w morzu, bardzo było przyjemnie (śmiech), jakieś warty, no — takie tam historie...

(...) T.T.: Pan mówi okropne rzeczy; nie wiem, czy Pan zdaje sobie z tego sprawę. W historii Polski jest kilka świętych miejsc, Narwik, Tobruk, Monte Cassino... Dzielny polski żołnierz — a Pan mówi, że się kąpał?!

J.G.: No, ja prawdę mówię.

T.T.: A inni walczyli?

J.G.: Inni siedzieli w pierwszej linii i ostrzeliwali się albo byli ostrzeliwani... Były jakieś wycieczki, w których celował

Adzio Bocheński — rozładowywali miny czy starali się zdobyć jakiegoś „języka”... Ale walk bezpośrednich nie było.

T.T.: Tobruk wymienia się jako miejsce polskiego bohaterstwa...

J.G.: Niewątpliwie, na tle Anglików wyglądaliśmy bardzo dobrze. Żołnierz się świetnie trzymał, a potem — jak nastąpiła ofensywa po wyzwoleniu Tobruku — zachowywał się wspaniale. Gazala, nie Gazala — to były wyczyny. Ale ja, jak mówiłem, zachowałem wspomnienia wakacyjne”.

(Fragment z rozmowy Teresy Torańskiej z Jerzym Giedroyciem).

XIV. Pod namiotami

U słyszawszy w końcu krótki rozkaz „Wejść!”, przestąpili „próg” namiotu, z konieczności pochylając nieco głowy pod burym płótnem.

— A, Woźniak! I Giedroyć! — przywitał ich, wstając od założonego papierami stołu, generał Kopański. — Podobno opuszcza nas pan? — uśmiechnął się do stojącego na baczność strzelca i nie czekając na odpowiedź, dodał: — Jak tam będzie panu bardzo źle, niech pan da znać, a natychmiast pana odbierzemy.

— Jak będzie trzeba, to cię odbijemy! — radośnie dorzucił major Jan Woźniak, chwyciwszy swego podwładnego za łokieć.

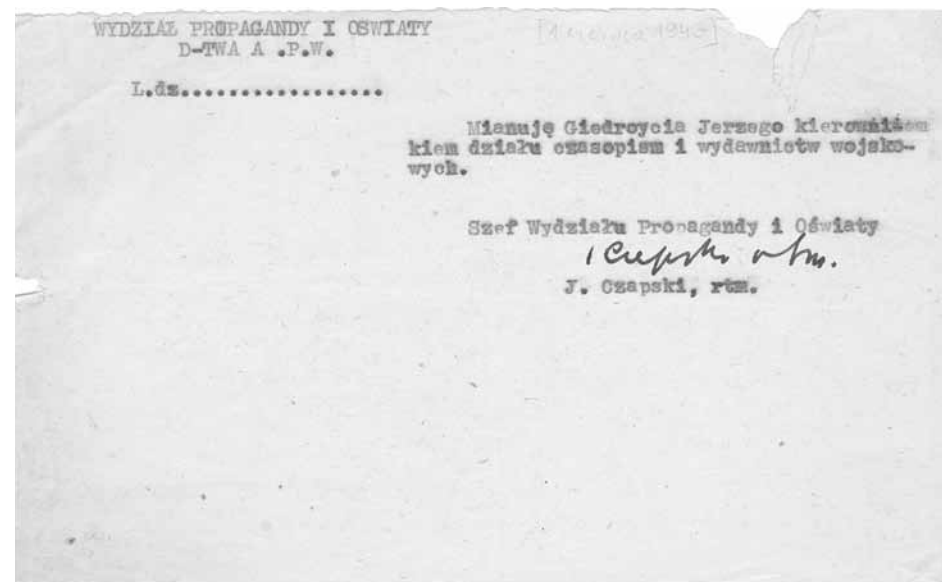
Tak mniej więcej wyglądały okoliczności, w jakich żegnano w Brygadzie Karpackiej Jerzego Giedroycia, odchodzącego pod rozkazy generała Andersa; tak w każdym razie sam wielokrotnie je opisywał. I jeśli nawet obaj występujący w tej opowieści oficerowie dowcipkowali, to ich żarty nie były dalekie od rzeczywistości. Stosunki pomiędzy „buzułukami” czy „prawosławnymi” — przybyłymi ze Związku Sowieckiego żołnierzami generała Andersa, a „faraonami” — podkomendnymi Kopańskiego, nie układały się najlepiej. Nie tylko dlatego, że ci pierwsi — z których wielu psychicznie dopiero wracało do normalnego świata i długo jeszcze miało nosić w sobie traumę łagrów, więzień, śledztw — nie byli wymarzonymi kompanami dla zangliczających karpaczyków. Animozje miały również

tło polityczne: w swojej dywizji Kopański nie tolerował polityki, żołnierzy Andersa zaś — od dowódcy po ostatniego wartownika — łączyło coś bardzo politycznego: antysowieckość. Znaczenie tego czynnika wzrosło dodatkowo po 16 stycznia 1943 roku, kiedy rząd sowiecki ogłosił, że Polaków, którzy wciąż znajdowali się na terenie ZSRR, uznaje za swych obywateli. Od początku też było powszechnie wiadome, że Anders nie jest zwolennikiem polityki Sikorskiego. Kopański zaś był lojalnym wobec szefa rządu i Naczelnego Wodza oficerem. „Gdyby był jakiś pucz ze strony Andersa — oceniał w *Autobiografii*... Giedroyć — to byłby bunt dywizji. Później to się zupełnie rozeszło, dzięki temu, że Anders, jaki był, taki był, ale był doskonałym dowódcą z ogromnym wyczuciem żołnierza”. Początkowo jednak konflikt był silny i nieskrywany — nawet nic z polskich spraw nie rozumiejący Australijczycy wiedzieli, że ich kompanami spod Tobruku są ci Polacy, którzy mają angielskie parciane pasy. Dochodziło więc do tego, że „buzułuk”, by zabrać się „na łebka” australijską ciężarówką, musiał zmienić swój skórzany pas, w jaki wyposażył go jeszcze, na koszt sojuszników, Stalin — na parciany, jaki mieli „faraonowie”.

U boku rotmistrza Czapskiego, w Propagandzie Armii Andersa, Jerzy Giedroyć czuł się zdecydowanie bardziej na swoim miejscu niż jako strzelec Kopańskiego. Wielu jego przyjaciół natomiast znakomicie spełniało się jako szeregowi żołnierze. Nie przeszkadzało im też lojalistyczne nastawienie dowództwa dywizji. Może tym właśnie, że nie dzielali jego politycznej pasji, tłumaczyć należy ówczesne notatki Giedroycia o „odchodzeniu” jego przyjaciół i wychowanków? On sam miał już zdecydowanie dość wojennych „wakacji”, zaczęły go nużyć ciągłymi „jakimiś nieokreślonymi przydziałami, nie dającymi żadnej określonej, konkretnej pracy”.

Konkretnie zajęcie dał mu Józef Czapski, który uczynił go „kimś w rodzaju swojego sekretarza”. Była to funkcja niewątpliwie interesująca, zwłaszcza dla Jerzego, który znów znalazł się w centrum wydarzeń, u boku tych, którzy w wojsku podejmowali decyzje o znaczeniu strategicznym i politycznym. Z Czapskim zaprzyjaźnili się z miejsca, ten zaś miał świetne — również osobiste — stosunki z Andersem, co gwarantowało mu mocną pozycję w świecie generała. Z notatek Giedroycia wynika, że w tym okresie do spotkań rotmistrza z generałem dochodziło nawet parę razy dziennie.

Pierwszy miesiąc upłynął na nieustannych dyskusjach z Czapskim podczas objazdu kolejnych wojskowych placówek: od Kairu, poprzez Quisil Ribat na pustyni irackiej, po Bagdad, Jerozolimę, Damaszk, Bejrut. „Bardzo lubiłem pustynię i te jazdy z Józkiem — opowiadał później Giedroyc Teresie Torańskiej. — Były potworne upały i jechaliśmy łażkiem owinięci mokrymi prześcieradłami, bez koszuli. Trzeba było wizytować oddziały, załatwiać, itd. — nie były to podróże dla przyjemności, ale było przyjemnie. Lubię pustynię: wiosną, latem pustynia w Iraku przez bardzo krótki okres wyglądała jak dywan kwiatów. Ale to bardzo krótko trwało — przychodziły upały i znów wszystko było wypalone”. Giedroyc głównie słuchał, mówił Czapski — o swoich przeżyciach w Związku Sowieckim, o Katyniu. Z Libanu — znów przez Palestynę, Jerozolimę, Tel Awiw i Hajfę — wrócili do Damaszk. W ciągu następnego roku miał Giedroyc jeszcze nieraz bywać w tych miastach. Właśnie w Damaszk na początku maja Czapski, którego obowiązki wezwały do Bagdadu, musiał swego nowego sekretarza zostawić na kilka dni samego. Ten — znów mając za jedyne zajęcie lekturę,



Mianowanie Jerzego Giedroycia kierownikiem Działu Czasopism i Wydawnictw Wojskowych.

kino i opalanie się — ponownie popadł w pesymizm. Przez kolejne dni notował w kalendarzu podobne myśli: „4 maja 1943, wtorek. Transit Camp, Damaszk. Nudy. Kino. Pluskwy. Rauschning. Zastrzelę Czapskiego za zostawienie mnie”. Trzy dni później zniechęcenie sięgnęło zenitu: „7 maja, piątek. Transit C. Nudy. Opalanie się. Rauschning. 11.47 — postanowiłem dymisjonować z wydz., biorąc pod uwagę długie siedzenie w Transit C. i niewiarę w pracę w takich warunkach”. Trudno powiedzieć, czy decyzję tę w ogóle Czapskiemu przedstawił; następnego dnia, wezwany przezeń do

Identification card Jerzego Giedroycia z 1943 roku.

008461 * 15 DEC 1943

PERMIT OFFICE
AVAILABLE UNTIL
IDENTIFICATION CARD.
15 DEC 1944

ALLIED FORCES
OF POLAND
NATIONALITY
WITH THE
MIDDLE EAST FORCES.

Place of Issue 17 Area
Date 15-12-43
Valid until 15-12-44
Signature of Holder
2804/PMEB/1-20,000-3/42

GIEDROYC
Jerzy
Nationality Polish
Age 37 years
Nature of Employment 2/Lieutenant
Place of Employment Polish Forces
Height 5' 10 1/2"
Colour of Eyes Brown
Colour of Hair Hazel

نكرة اتبات شخصية

نشهد بأن حامل هذه البطاقة
اسم: جيزي جيدرويتس
هو أحد أعضاء أو عامل التابعين الى
القوات البريطانية أو قوات الحلفاء
في الشرق الاوسط.

This card is valid only to the
date shown. The holder is res-
ponsible for its renewal. It must be
returned on termination of service
or employment; on departure from
the Middle East; or on demand.

Bagdadu, z marszu wziął się do roboty. Od tego czasu dwa notesy i dwa kalendarze — co najmniej tyloma posługiwał się Giedroyc w 1943 roku — wypełnione są już zapiskami dotyczącymi spotkań, przydzielanych konkretnym ludziom zadań, setkami nazwisk, punktowo rozpisanymi rozwiązaniami rozmaitych problemów, etc. Na „depresje” czy „pesymizmy” nie było już miejsca.

Zanim jednak Giedroyc na dobre zajął się u boku Czap-
skiego pracą i polityką, polityka zajęła się nim. Nie zapomi-
nała o nim zresztą i w czasie, gdy tkwił w piaskach pustyni
pod Aleksandrią. Brat Rogera Raczyńskiego, Edward, który
wówczas był już ministrem spraw zagranicznych rządu, za-
notował, że wiosną 1942 roku wicepremier Stanisław Mi-
kołajczyk na posiedzeniu Rady Ministrów krytykował go za
politykę personalną. „Wypomniął powierzenie memu bratu
Rogerowi przedstawicielstwa przy rządzie greckim — pisze
Raczyński — przy czym dodał, że pamięta o doradcy Rogera
p. Giedroyciu”. O dobrą pamięć Mikołajczyka zadbał zapew-
ne jego partyjny kolega, nieoceniony profesor Stanisław Kot.

Nastroje w Armii Polskiej na Wschodzie były gorące,
a jedną z najgorętszych głów w otoczeniu generała Ander-
sa był jego eksadiutant, oficer do zleceń — rotmistrz Jerzy
Klimkowski. Wokół niego tworzył się ruch, który w listach do
Sikorskiego profesor Kot opisywał jako „ferment młodych”.
W sam środek tego fermentu trafił Giedroyc. Jego przyjaciel
Adolf Bocheński tak przedstawił ówczesną atmosferę w woj-
sku Wacławowi A. Zbyszewskiemu — w liście, który znamy
dzięki temu, że jego kopię zachował w swych archiwach pro-
fesor Kot, najwidoczniej regularnie czytujący korespondencję
swych „podopiecznych”. Pojawiający się w tekście Miś to
Mieczysław Pruszyński:

„(...) ogólna atmosfera uległa dużemu ożywieniu. (...) Oficerami do zleceń są na przemian dwaj oficerowie, a mianowicie rtm. Klimkowski i pułkownik Bobiński. O obu na pewno jeszcze usłyszysz w życiu. Klimkowski odznacza się szalonym temperamentem i tym, co Niemcy nazywają Schlagfertigkeit, zainteresowania jego kierują się ku zagadnieniom wschodnim. Działają nań pewne wpływy ONR, aczkolwiek wobec braku ostatecznej krystalizacji poglądów mógłby właściwie przejąć sposób zapatrywania się „Buntu Młodych” na te sprawy. (...) Drugim faktem, który uważam tu za najważniejszy, jest wyciągnięcie (nareszcie) Jurka Giedroycia (oby żył wiecznie) z linii i wpakowanie go do propagandy na stanowisko sekretarza Czapskiego. Znasz go na tyle, aby wiedzieć, że to mu wystarczyło, aby w całkiem niewidoczny sposób podporządkować sobie najważniejsze agendy, oczywiście w ścisłym porozumieniu z Józiem Czapskim, z którym żyjemy w najbliższej przyjaźni. Jurek G. z każdym rokiem się wyrabia i uważam go zupełnie stanowczo w naszym pokoleniu za najpoważniejszego kandydata na premiera, gdyby te kandydatury były wybierane stosownie do istotnej wartości człowieka. Jego zasadnicze zalety to jest sztuka postępowania z ludźmi, sztuka organizowania i rzeczowość. Trzeba przyznać jednak, że i pod względem koncepcyjnym bardzo się wyrobił ostatnio. O ile chodzi o charakter, to po przejściach w Rumunii stetryczał trochę i stał się mniej przyjacielem całej ludzkości jak przedtem. To mu jednak wyszło ogólnie biorąc na dobre. (...) Giedroyc żadnych talentów wojskowych nie ma i jak zaczął swą służbę wojskową od stopnia strzelca, tak jest nim do dziś dnia. Wejścia do Podchorążówki odmówił. W Tobruku był cały czas, co zresztą nie było zbyt przyjemne ze względu na grad bomb. Miś natomiast jest zupełnie pozbawiony charakteru politycznego i właściwie nie ma żadnych ustalonych przekonań, tylko stosunki osobiste z ludźmi najróżniejszych obozów. (...) Giedroyc jest niewątpliwie człowiekiem w zupełnie innym stylu. W ogóle niepodobna sobie wyobrazić, aby jakiś cykl śniadań mógł przerobić jego linię. To on ludzi przerabia, a nie ludzie jego”.

ppor. Adolf Bocheński 29
Polish Forces PAIForces. niego zgłosi. W obecnym
rządzie niewątpliwie naj- 18/VII 43 r.
wybitniejsze jednostki.

Kochany Waciu,

Nie można powiedzieć abyś mnie nadmiernie psuł listami, je-
nak z cierpliwością godną lepszej sprawy raz na rok do Ciebie pisa-
ję od 4 lat i nie otrzymałem jeszcze ani jednej odpowiedzi.

Ogólne położenie tutaj uległo dużej zmianie od czasu wyjazdu
złęd Miś i można powiedzieć że ogólna atmosfera uległa dużemu oży-
wieniu. Muszę wymienić tu dwa fakty które na tę zmianę wpłynęły. Prędo-
wyszkim skład otoczenia dowódcy Armii na Wschodzie. Wykazuje one du-
że zainteresowanie dla tych spraw które były przedmiotem i naszych roz-
ważań przed wojną. Adjutantem jest Eugeniusz Jabomirski, b. bardzo miły
człowiek ale bez ambicji w tym kierunku. Oficerami do zleceń są na-
przemiany dwaj oficerowie a mianowicie rtm. Klimkowski i pułkown-
nik Bobiński. O obu na pewno jeszcze usłyszysz w życiu. Klimkowski od-
znacza się szalonym temperamentem i tym co Niemcy nazywają "schlag-
fertigkeit", zainteresowania jego kierują się ku zagadnieniom wscho-
dnim. Działają nań pewne wpływy ONR, aczkolwiek wobec braku ostatecznej
krystalizacji poglądów mógłby właściwie przejąć sposób zapatrywania
się "Buntu Młodych" na te sprawy. Oczywiście tylko jednak o ile chodzi o
zewnątrzną treść poglądów. Nie wydaje mi się aby był dojrzały do zrozu-
mienia konieczności pewnego uniwersalistycznego sposobu ujmowania tych
zagadnień oraz podłoża moralnego stosunków między narodowych. O ile cho-
dzi o wykształcenie i wyrobienie to nie osiągnął jeszcze potrzebnego
poziomu. Przetę parę miesięcy bardzo intensywnie się z nim kontaktowałem
ale obecnie nasze stosunki uległy silnemu rozluźnieniu. Bobiński jest
natomiast człowiekiem wyraźniejszym pod wszystkimi względami wysoko po-
nad przeciętność. Wydało mi się że niewątpliwie odegra on w przyszłości
bardzo poważną rolę. Niestety jednak główne jego zainteresowania idą w
kierunku mego obecnego fachu, nie zaś dawnego. I w tym ma jednak sporo
do powiedzenia i rozumie wszystko. Pozatym jest ten młody Strodzki syn
Stanisława. Dość słaby jak na poziom naszej generacji, dobry o ile cho-
dzi o porównanie z generacją od nas młodszą. Urobiony pod wpływem O.N.R.
posiadam właściwą tej organizacji szatę w głowie. Pozatym jednak lubi
zbyt często zaglądać do kieliszka.

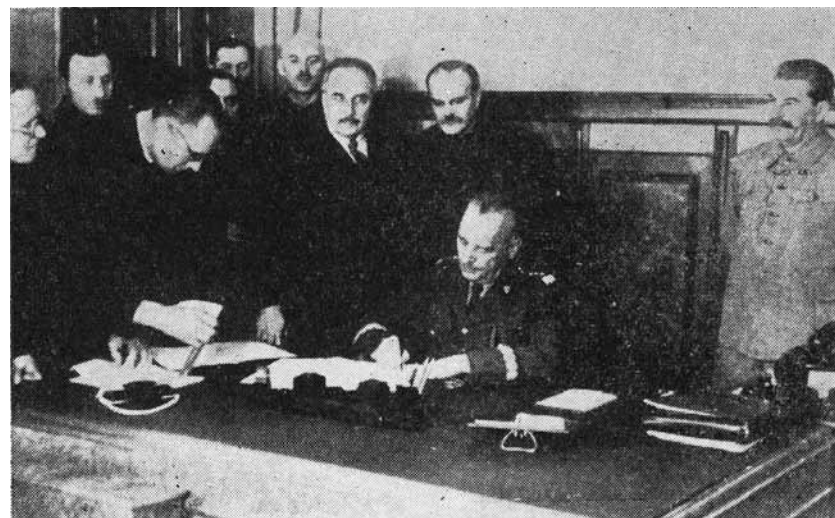
Najważniejszym jednak człowiekiem w otoczeniu jest jednak Józio
Czapski. Zupełnie nasz człowiek o ile chodzi o poglądy, szalenie energe-
iczny i w ogóle pierwszorzędny. Równoważy on w dużej mierze wpływy Strod-
zkiego. Jest on szefem wydziału Oświaty i Propagandy w Armii na Wsch-
odzie.

Drugim faktem który uważam tu za najważniejszy jest wyciągnięcie
(nareszcie) Jurka Giedroycia (oby żył wiecznie) z linii i wpakowanie
go do propagandy na stanowisko sekretarza Czapskiego. Znasz go na tyle
aby wiedzieć że to mu wystarczyło aby w całkiem niewidoczny sposób po-
porozumieniu z Józio Czapskim, z którym żyjemy najbliższej przyjaźni. Ju-
rek G. z każdym rokiem się wyrabia i uważam go zupełnie stanowczo w na-
szym pokoleniu za najpoważniejszego kandydata na premiera, gdyby te kan-
dydatury były wybierane stosownie do istotnej wartości człowieka. Jego
zasadnicze zalety to jest sztuka postępowania z ludźmi, sztuka organizo-
wania i rzeczowość. Trzeba przyznać jednak że i pod względem koncepcyj-
nym bardzo się wyrobił ostatnio. O ile chodzi o charakter to po przejś-
ciach w Rumunii, stetryczał trochę i stał się mniej przyjacielem całej

Fragmenty listu A. Bocheńskiego do
W.A. Zbyszewskiego z 18 lipca 1943 roku.

Giedroyc nie dał się też „przerobić” Klimkowskiemu, mimo że ten zdołał wcześniej zauroczyć wielu jego przyjaciół — nie tylko Bocheńskiego, ale i Czapskiego. Oczarował też profesora Kota, który opisując „ferment młodych” premierowi, starał się wybielać osobę rotmistrza. Co w postaci Klimkowskiego porywało intelektualistów w mundurach? Przede wszystkim „gotowość do czynu”, o której pisał Bocheński, szalone — z czasem okazać się miało, że nazbyt szalone — pomysły i umiejętność skupiania wokół siebie ludzi chcących zmieniać świat. We wspomnieniach uczestników tych wydarzeń ogromna charyzma Klimkowskiego idzie w parze z brakiem większych walorów intelektualnych czy zasad moralnych.

Do pierwszych swych projektów próbował przekonywać kolegów jeszcze w Buzułuku. Grupa Klimkowskiego — wspominał oficer II Oddziału, podpułkownik Wojciech Rankowicz, który początkowo również do niej należał — „w pierwszym rządzie miała wzniecić ruchy kontrrewolucyjne w Kazachstanie. W tym celu Wojsko Polskie powinno pozostać w ZSRS, a nie wychodzić do Persji. (...) Ostatecznie, tuż przed wyjazdem do Persji, liczyła około 400 oficerów i podchorążych, ujętych w system piątkowy. Było to coś w rodzaju podziemia. Żadnej specjalnej tajności nie stosowano. Wyglądało mi to na akcję przygotowawczą do czegoś, co jeszcze nie było nawet sprecyzowane, albo na prowokację — i to szytą bardzo grubymi nićmi i właściwie niepoważną”. Według świadectwa Józefa Czapskiego — który również był pod ogromnym wpływem Klimkowskiego — tą niesprecyzowaną ideą była „Wielka Polska, do której należało iść z Andersem, czy bez Andersa, z Sikorskim, czy bez Sikorskiego, z Sowietami, czy przeciw Sowietom”. Klimkowski krytykował



Rotmistrz Jerzy Klimkowski na Kremlu podczas podpisywania przez Sikorskiego układu między Rzeczpospolitą a ZSRR.

Sikorskiego za zbyt ustępliwą politykę wobec Sowietów — co niewątpliwie było poglądem popularnym wśród oficerów Andersa — jednocześnie deklarując w rozmowach z profesorem Kotem pełną wobec premiera lojalność. Rankowicz twierdzi, że jeszcze w Buzułuku Klimkowski miał zapewniać uczestników swojego spisku o cichej akceptacji dlań generała Andersa. Nie wyklucza też, że działalność Klimkowskiego mogła być wówczas Andersowi na rękę w związku z jego narastającym konfliktem z generałem Sikorskim. Józef Czapki podaje przykłady konkretnych projektów Klimkowskiego: opanowanie jedynej linii kolejowej zapewniającej Sowietom dowóz kaukaskiej ropy naftowej podczas naporu wojsk niemieckich



Wydana przez Klimkowskiego mapa Polski z hasłem „Salus Rei Publicae”.

„Stalin posłużył się nią w rozmowie z Churchilllem dla scharakteryzowania polskiej zaborczości; odegrała ona rolę argumentu w decyzji odebrania Polsce ziem wschodnich. Wydał ją sztab gen. Andersa, któż uwierzy, że bez jego wiedzy i zgody?”
(S. Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*).

na Kaukaz i ku Wołdze oraz wysadzenie linii kolejowej, którą dostarczany był przez aliantów sprzęt wojenny dla ZSRR, i przejście go przez Polaków.

Budując swą „mafie”, Klimkowski wspierał jednocześnie działalność Czapskiego. Poparł też jego starania o ściągnięcie Giedroycia do Propagandy, mając nadzieję na poszerzenie swego ruchu i o jego osobę. „Moi przyjaciele chcieli, bym wstąpił do mafii Klimkowskiego — czytamy w *Autobiografii...* — Odmówiłem. I wtedy przyjechał Klimkowski. Nasza rozmowa była bardzo krótka. Powiedziałem mu, że nie mam zaufania do niego i jego organizacji, co on przyjął z dziwnym spokojem: nie awanturował się, nie próbował mnie przekonywać”. Do spotkania tego doszło — jak wynika z zapisu w jednym z kalendarzy — 30 maja 1943 roku.

Kilka miesięcy wcześniej Klimkowski, rozmawiając z profesorem Kotem — który w liście do generała Sikorskiego pisał, że przywódcy fermentu skupieni są „w Biurze Propagandy i Oświaty, bezpośrednio lub pośrednio (Piestrzyński, Stahl, Raciński, Giedroyc, Ulatowski oraz inspirujący wszystkich Adolf Bocheński)” — nalegał na zmiany personalne w rządzie. Proponował, by w jego skład weszli on sam oraz jego współpracownicy, którą to sugestię Kot — rzecz jasna — odrzucił. Ślad tych planów znajdujemy w dość chaotycznej notatce Giedroycia, powstałej prawdopodobnie nie podczas majowego spotkania z Klimkowskim, ale w trakcie jednej z wcześniejszych rozmów Jerzego z Czapskim:

„Inst. Prezydent jako zwierzchnik sił zbrojnych. Nastroje w wojsku. Konieczność przygot. zagadn. sow. Zachow. lojalność, brak zaufania do istniejącego aparatu. Wolna ręka w propag., podporządkow. sztabowi instytucji zajmuj. się na tut. terenie zagadnieniami wschodnimi, sowieckimi i mniej-

szościowymi. Armia składa się z mieszk. kresów zaczem wielki procent mniejszości. Powierzenie mi funkcji Min. Stanu na Śr. Wsch. W razie braku odpowiedzi zmuszony będzie do zrealizowania tych postulatów. Konieczność zintensyfikowania walki z prop. sow. Emigracja cywilna związana z wojskiem — rodziny, krewni. Nie ma ponoć żołnierza, który nie zostawił krewnych. (...) Dezorientacja ludn., zbyt daleko Londyn. Centrum dyspozycji musi być na tym terenie. Tylko armia ma tu autorytet i może utrzymać. Obecność Kota niestety nie wygasła, ale zwiększyła dezorientację i zaostrzyła antag. przez personalizm”.

Pobyty profesora Kota na Wschodzie zakończył się na początku marca. Czy w marcu–kwietniu Czapski przekazał Giedroycowi bezpośrednią propozycję wejścia do rządu w ramach planowanej przez Klimkowskiego rekonstrukcji, czy też były to tylko luźne rozważania możliwego rozwoju sytuacji politycznej? Nie sposób dziś stwierdzić jednoznacznie.

Dość, że instynkt polityczny nie zawiódł Giedroycia. Nadchodził zmierzch „klimkowszczyzny”, do której Giedroyc nie tylko sam nie przystąpił, ale też z której — jak wspominał w jednym z listów do Melchiora Wańkowicza — „z trudem wykopał” Czapskiego i Bocheńskiego. Gdy przywódca fermentu zapowiedział, że publicznie znieważy generała Sikorskiego podczas jego wizyty na Wschodzie, najostre zaproteutował właśnie jeden z dotychczasowych zwolenników Klimkowskiego — Adolf Bocheński. On, którego — jak pisał Józef Czapski — „znali wszyscy jako konsekwentnego przeciwnika polityki Sikorskiego, ale przede wszystkim jako człowieka o głębokim poczuciu państwowym i wyjątkowej odwadze”, zagroził, że osobiście zastrzeli Klimkowskiego, jeśli Naczelnemu Wodzowi Polskich Sił Zbrojnych, repre-

zentującemu majestat Rzeczypospolitej, spadnie włos z głowy. O planach Klimkowskiego zameldowano Andersowi, który postanowił odsunąć od siebie zbyt ambitnego rotmistrza. W sierpniu 1943 roku, już po tragicznej śmierci Sikorskiego, znaleziono wśród dokumentów Klimkowskiego materiały, po których lekturze generał Anders nakazał jego aresztowanie. Generał oświadczył, że nie ma wątpliwości, iż Klimkowski pracuje dla Sowietów, zastrzegając jednocześnie, że nie może ujawnić wszystkich dowodów winy. Wykorzystując samowolne opuszczenie jednostki przez Klimkowskiego, Anders nakazał Rankowiczowi aresztować go. Skazany na dwa lata, wypuszczony został z więzienia w Jerozolimie dzięki interwencji władz komunistycznych, po uznaniu ich przez aliantów w 1945 roku. Podaje to Mieczysław Pruszyński za Eugeniuszem Lubomirskim, adiutantem i tłumaczem Andersa. Po powrocie do Polski Klimkowski stał się czołowym krytykiem generała Andersa, wobec którego wysuwał nawet zarzuty natury kryminalnej. Rola Klimkowskiego stała się jaśniejsza na początku lat dziewięćdziesiątych. Ujawniono wówczas raport Berii dla Stalina z 24 lipca 1942 roku, dotyczący złożonej pięć dni wcześniej przez Klimkowskiego propozycji jego współpracy z Sowietami. Klimkowski miał powiedzieć przedstawicielowi rządu radzieckiego przy sztabie armii polskiej, generałowi Gieorgijowi Żukowowi, że gotów jest zorganizować bunt, aresztować dowódców, z generałem Andersem na czele, i odmówić wyjazdu z ZSRR. Twierdził, że ma poparcie wielu wyższych oficerów (w tym m.in. pułkownika Okulickiego, podpułkownika Wiśniowskiego i szefa II Oddziału, podpułkownika Bąkiewicza). Domagał się od Rosjan uzbrojenia polskich oddziałów i jak najszybszego skierowania ich na front. Żukow miał odpowiedzieć,

Stopnie uniwersyteckie przez korespondencję — Organizatorka
 Miss Ethel Herdman z Uniw. Londyn. — kierownikiem studiów
 dr. Lindsay z Oxford
 Praktyczne zajęcia przy budowach. Dla chłopców powyżej lat 12
 „Psychology in the army” Nr 27 „Co słychać” str 625
 (...)

Obrazki M. Boskiej Ostrobramskiej. Cud. obr. M. B. dla grekokatol.
 Obrazki dla żołn. — duży format do ????? (litografie)
 Pogawędki o Wilnie i Lwowie. Fot. obrazu Bułhaka
 Wszechstronne kursa: mechaniczne, łączność (radio)
 Kursa analfabetów
 Reorg. czołówek
 Prasa ameryk. i londyńska, stałe korespond.
 Wańkowicz, Broniewski
 Radio i film arabski (Kair, Bagdad)
 Konferencje z prasą miejsc.
 Jak prasa w Indiach
 Stałe korespondencje z Afryki
 Stage ??? na uniw Bagdad — Kair

Zanotowane pomysły J.G.:

„Stopnie uniwersyteckie przez korespondencję — Organizatorka
Miss Ethel Herdman z Uniw. Londyn. — kierownikiem studiów
dr. Lindsay z Oxford

Praktyczne zajęcia przy budowach. Dla chłopców powyżej lat 12
„Psychology in the army” Nr 27 „Co słychać” str 625
(...)

Obrazki M. Boskiej Ostrobramskiej. Cud. obr. M. B. dla grekokatol.

Obrazki dla żołn. — duży format do ????? (litografie)

Pogawędki o Wilnie i Lwowie. Fot. obrazu Bułhaka

Wszechstronne kursa: mechaniczne, łączność (radio)

Kursa analfabetów

Reorg. czołówek

Prasa ameryk. i londyńska, stałe korespond.

Wańkowicz, Broniewski

Radio i film arabski (Kair, Bagdad)

Konferencje z prasą miejsc.

Jak prasa w Indiach

Stałe korespondencje z Afryki

Stage ??? na uniw Bagdad — Kair”.

że propozycję uważa za niepoważną, i polecił mu czekać na decyzje dowództwa. Jakie były te decyzje, nie wiadomo. Deklaracje Klimkowskiego musiały jednak władze sowieckie zainteresować, skoro informacje o nich przekazywały sobie dwie najpotężniejsze osoby w państwie.

Uniknąwszy — dzięki własnej intuicji, a na przekór swym przyjaciółom — dość kompromitującego zaangażowania w „klimkowszczyznę”, Giedroyc rzucił się w wir pracy. Wielokrotnie bywając w tym okresie w Jerozolimie, nawet nigdy nie odwiedził Bazyliki Grobu Bożego. Pojawiająca się

dziesiątki razy w jego kalendarzach notatka „Jerozolima” kryje w sobie jedynie kolejne odprawy, narady, kolacje i spotkania. Nie tylko sekretarzował Czapskiemu — kolejnej artystycznej naturze, której musiał porządkować rzeczywistość — ale też szybko otrzymał od niego pierwsze konkretne zadanie. Rotmistrz poprosił go o zreformowanie wydawanego przez Oddział Propagandy i Oświaty „Orla Białego”. „Pierwszego dnia po przybyciu Jerzy napisał 26 listów do Ameryki, do Szwecji — wspominał później Czapski. — To nasze pisemko było parszywą wojskową gazetką, a on nagle nadał jej jakąś twarz. Naraz powiązał się z całą masą ludzi z emigracji, których znał już z roboty w Polsce. Przecież on miał już swoje stanowisko w Polsce w Ministerstwie Handlu i Przemysłu i z ówczesnym ministrem był nawet w Ameryce. Tak że mieliśmy do czynienia z człowiekiem bywałym”.

Pokazawszy się z jak najlepszej strony, już w czerwcu 1943 roku „bywały człowiek” został kierownikiem Redakcji Czasopism i Wydawnictw Wojskowych. Odpowiadać miał nie tylko za „Orla”, redagowanego przez Józefa Poniatowskiego, ale też między innymi za powstające pismo codzienne — „Dziennik Żołnierza APW” (złośliwie nazywany przez samych autorów „A Po co Wychodzi?”), czy „Paradę”, z którą związany był przyszły publicysta „Kultury”, Juliusz Mieroszewski. „Moja rola w stosunku do nich — opowiadał Giedroyc w *Autobiografii...* o wydawanych przez armię pismach, nad którymi sprawował pieczę — polegała na nadzorze redakcyjnym: na doborze współpracowników i na prowadzeniu z nimi dyskusji. W «Dzienniku Żołnierza» był bardzo interesujący dodatek literacki. Starłem się tam wciągnąć wszystkich interesujących ludzi, zwłaszcza pisarzy i poetów. Chciałem też, by mieli nieco łatwiejsze warunki. Prawie wszyscy byli

w linii. Organizowałem więc pod dowolnym pretekstem zebrania literatów czy dziennikarzy, naprzód w Tel Awiwie, później w Neapolu, by mogli dostać przepustki i przyjechać na dwa – trzy dni. Dla nich to był pewien wypoczynek, a myśmy mogli ich wykorzystywać redakcyjnie czy zamawiać u nich materiały”. Dawnymi metodami zabrał się więc Giedroyc do budowania wokół siebie pewnego środowiska. Dbał o wypłacanie zaległych honorariów, zabiegał o kwestie bytowe inteligentów w mundurach, podczas licznych podróży załatwiał dla nich banalne nieraz sprawunki. Oni redagowali i pisali, on — ponownie reżyserował.

Wśród literatów, z którymi Jerzy utrzymywał wówczas szczególnie bliskie stosunki, był między innymi Władysław Broniewski. Jego wiersze drukowano w „Orle Białym” zamiast artykułów wstępnych — angielska cenzura nie przyglądała się zbyt poezji, skrzętnie natomiast wyłapywała wszelkie przejawy antysowieckości w publicystyce. W Palestynie Giedroyc odnalazł — w ciężkiej biedzie — Melchiora Wańkowicza. Nie mogąc zeń zrobić korespondenta wojennego — to leżało w kompetencjach Londynu — zaangażowano pisarza jako urzędnika wojskowego. „Miał jakieś paski, jakieś gwiazdki, prawie jak major — wspomina Giedroyc we wstępie do tomu korespondencji między nimi. — Wańkowicz stał się osobą niezmiernie popularną w wojsku. Jego odczyty były doskonałe i cieszyły się wielkim powodzeniem. Wysłałem go też do Persji, skąd pisał reportaże *Listy perskie nie-Monteskiusza*, co spowodowało kategoryczną depezę generała Kukiela, który zażądał natychmiastowego przerwania druku tych reportaży, gdyż — jego zdaniem — zagrażały dobremu stosunkom polsko-perskim. Niestety, generał Kukiel nie miał zupełnie poczucia humoru”. Wańkowicz nie zapomniał, co

zawdzięczał Giedroyciowi, i po latach pisał do niego: „Był to czwarty rok moich rekolekcji, gdzie świat buzował się, a ja byłem odcięty od wszelkich obserwacji, w nędzy materialnej (6 funtów miesięcznie), i kiedy premier Sikorski miał czas na pisanie do redakcji odręcznych listów, zabraniających mnie drukować, podczas kiedy minister wojny załatwiał to depe- szami. Ta Pańska propozycja, idąca wbrew intencjom rządu i Andersa (...) — pozwoliła mi napisać *Monte Cassino*”.

W *Drodze do Urzędowa* Wańkowicz sportretował później Giedroycia z tego okresu jako Piotra Kupść-Massalskiego:

„Kupść (...) poprawiał z godnością fularowy zielony szalik. Nade wszystko baczył, by ludzie w żadnej chwili nie zapominali, że on, Kupść, nosi w sobie cyborium, w którym deponują swoje komunikaty głosiciele wszelakich prawd. Dlatego nigdy, nawet na ławach szkolnych, nie był Piotrusiem ani Pietrkiem. Wyszedł z łona matki jako Piotr i jako Piotr szedł przez całe życie. Nie znaczyło to, aby nie miał poczucia humoru. Przeciwnie, czyhał na kalambury Haukego, a poznanie doktora Lewina było dla niego nowym źródłem rozkoszy. Tylko że prosty, skromny Kupść — sobie, a pomazaniec-redaktor — sobie. Sęk tylko tkwił w tym, że był redaktorem w każdej chwili życia, a nagle zbudzony w nocy, wskakiwał najprzód w redaktorstwo, a już potem dopiero w kalesony. Zielony fular — zgroza na mundurze — było ceterum senseo w permanencji urzędującego redaktora, antydrystalowym zabiegiem, pod którym walczył z formularzami, regulaminem i messą oficerską”.

A tak — wedle Wańkowicza — walczyć miał Giedroyc o podniesienie poziomu „Orła”, na którego łamy trafiały nie najwyższych lotów teksty:

„Kupść (...) wreszcie nie wytrzymał i poleciał do zwierzchności z ostatnim utworem:

Turcja
Kontakt z Węgrami tj. *Więści Polskie* a) regularne ich przesłanie, b. komplet ich wszystkich wydań, c. ciekawe opinie przy węgierskiej d. malowania. Książki w. do wydania, e. przesłanie swoich ich naszy, przy i - 7222.

Szwajcaria
prenumerata 3 periodyków (pieniędzy ma Zimnal), skomunikowanie się z Celińskim (podać swój adres dla korespond. i Zimnalowy), materiały i artykuły stamtąd (Wł. Żel., wywiad z Ładosiem), książki

Węgry
regularna wysyłka naszy, korespondencji i wydań.

Rumunia
Zawieszenie Wolskiego i Wierszkiego o naszy istnienie przy pomocy Węgry etc. przesłanie im gazet i korespondencji, przesłanie tam paru egz. Książki historycznej. Książki i korespond. rumuńskiej (korespond. etc.)

Turcja
Włoskiej naszy przy i wydań (prenumerata), wysyłanie naszy service'u fotograficznego i naszy filmów. Władani mililowej impet propagand. w Turcji.
Repartier i artykuły o Turcji, wysyłka dzienników francuskich (Wł. Żel.)

Odręczna notatka Jerzego Giedroycia na temat nawiązania kontaktów zagranicznych: „Kontakt z Węgrami, tj. «Więści Polskie», (...) Szwajcaria — prenumerata 3 periodyków (pieniędzy ma Zimnal), skomunikowanie się z Celińskim (podać swój adres dla korespond. i Zimnalowy), materiały i artykuły stamtąd (Wł. Żel., wywiad z Ładosiem), książki” etc.



Jerzy Zielicki, Józef Czapski i Jerzy Giedroyc na plaży w Herzliya koło Tel Awiwu, 1943 rok.

nie czytano je nawet na Kremlu. Studiowane i analizowane były również w otoczeniu generała Sikorskiego. Wezwany przezeń na dywanik w czerwcu 1943 roku, Czapski musiał się tłumaczyć nie tylko z kontaktów z Klimkowskim, ale też z przeszłości politycznej swoich współpracowników. „Nie chcę nikogo z Ozonu”, przestrzegał Naczelnny Wódz. Do Propagandy i jej pism miał stosunek jasny: „Musicie milczeć, jak każę wam milczeć, i pisać, jak pozwalam pisać — relacjonował jego słowa Czapski w raporcie dla Andersa. — Niewątpliwie jednak niektórzy z was tutaj faszyzują”.

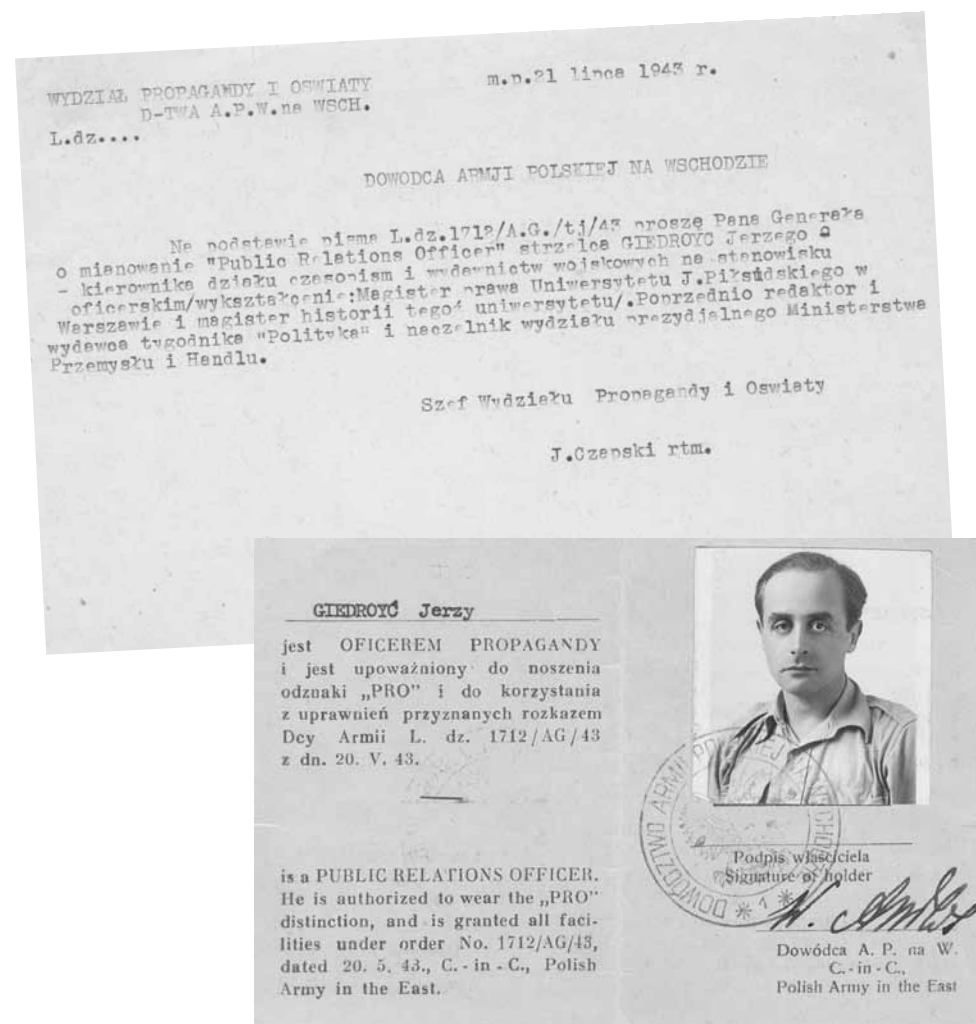


Zofia Hertz

Notatniki Jerzego Giedroycia z tego okresu dowodzą, że zajmował się wszystkimi kwestiami organizacyjnymi — od wynajdywania autorów, zamawiania i dyskusowania tekstów, przez pracę drukarni polowych i zamawianie dla nich odpowiednich czcionek, aż do organizowania wojskowych i cywilnych dróg kolportażu. Rzecz jasna, nie robił tego sam. Ale w tym okresie jedyni ważni dla niego ludzie to Czapski i Anders. Poza nimi było, oczywiście, w różnych instytucjach wojskowych, kilkadziesiąt osób wykonujących mniej lub bardziej istotne prace organizacyjne. Wśród nich — Zofia Hertz, pojawiająca się wówczas w kalendarzach Giedroycia jako „pani Zofia” lub „Zofia”. Łódzianka, aresztowana przez NKWD we Lwowie wraz z mężem Zygmuntem, z nim też wstąpiła do Armii Andersa po czternastu miesiącach zesłania do Republiki Maryjskiej, gdzie pracowała przy wyrębie lasu. Trafiła do Oddziału Kultury i Prasy Armii Polskiej na Wschodzie. Rozpoczęta wówczas jej współpraca z Giedroyciem miała trwać aż do jego śmierci — to właśnie Zofia Hertz niemal sześćdziesiąt lat później zredaguje ostatni numer „Kultury”.

Historia ich pierwszego spotkania w Quisil Ribat to jedna z częściej opowydanych w następnych dziesięcioleciach anegdot związanych z „Kulturą”. „Kiedy wróciłam z Kairu, na początku marca 1943 roku, koleżanki od razu zawiadomiły mnie, że ten «nowy» już pracuje, że jest bardzo przystojny, ale straszny ponurak — wspominała Zofia Hertz w rozmowie z Izą Chruślińską. — Chciałam się przekonać na własne oczy, jak on wygląda, natychmiast więc udałam się do «biura» Czapskiego — mieściło się ono w namiocie. Siedział tam Giedroyc i rzeczywiście robił wrażenie dość ponurego. Nie przejęłam się tym i mówię, że chciałabym widzieć majora Czapskiego, gdyż właśnie wróciłam z Kairu. Na co Giedroyc odpowiedział: «Przecież widzi Pani, że go tu nie ma!». Niestety, nie udało mu się mnie pozbyć, gdyż postanowiłam tam na Czapskiego zaczekać. Musiał mnie Jerzy w duchu nieźle przeklinać!” Istotnie, przeklinał, ale w ciągu następnego roku ich współpraca ułożyła się wzorowo, choć nie przeszła jeszcze — jak się wydaje — w bliższą zażyłość. Owszem, gdy mieszkali w Bagdadzie, Giedroyc regularnie wieczorami odprowadzał panią Zofię, mieszkającą daleko od biura, ale — jak wspominała ona sama — czynił to z niechęcią. Świetnie im się razem pracowało, nieźle się wzajemnie rozumieli — i tyle. W tym okresie żadnego chyba ze swych współpracowników — poza Czapskim — nie darzył większym sentymentem.

Dla części swego zespołu udało się Giedroycowi — dzięki przychylności Andersa, który zaakceptował to nieznanne w polskiej armii rozwiązanie — uzyskać stopnie Public Relations Officer (PRO), pozwalające inteligentom w mundurach prostych strzelców funkcjonować w środowisku szarż oficerskich. Oznaka PRO uprawniała do korzystania z kasyn oficerskich. Pozwalała też uniknąć niezręcznych sytuacji, kiedy



Wniosek o mianowanie Jerzego Giedroycia PRO, podpisany przez Józefa Czapskiego, oraz legitymacja PRO.

Bau - sprawy do Londynu

nawiązać kontakt z Sydyńską a przez nią z Niezbrzyckim

wyjaśnić z nimi sprawę ich przenoszenia na Śr. Wschód

Febrowa w tej sprawie Skindera jak również sprawy

Wojciecha Wasiutyńskiego

Meysztowicza

Janusza Laskowskiego

Skinder do pilnowania powołania do czynnej sł. Sadowskiego

" - " zorganizowanie stałej łączności między nami a Londynem i uruchomienie stałego korespondenta Łub. i Prąd.

O. Innocenty Bocheński przydział do APW, uzgodnić z Gawliną

prosić Łukaszczyka o artykuły i stałą współpracę

reportaż o prezydencie i wywiad z prezydentem przez Hausnera

Marszałkowska a. zezw. na przedruk «63 roku»

materiały fotograficzne: a. chemikalja, b. papier

reklama „Orla” w „Wiadomościach” i „Polsce Walczącej”

reportaż o Orle.

fajka i cygaretki Dunhilla

Hemar teksty dla teatrów

Nowakowski Ciołkosz artykuł

Bielecki artykuł dla „Orla”

komplet periodyków wyjeżdżając — z ost. 2 miesięcy

Notatki Jerzego Giedroycia:

„Bau — sprawy do Londynu

nawiązać kontakt z Prądyńską, a przez nią z Niezbrzyckim

wyjaśnić z nimi sprawę ich przenoszenia na Śr. Wschód

pilnować w tej sprawie Skindera, jak również sprawy:

Wojciecha Wasiutyńskiego

Meysztowicza

Janusza Laskowskiego

Skinder — dopilnować powołania do czynnej sł. Sadowskiego

„ - ” zorganizowanie stałej łączności między nami a Londynem i uruchomienie

stałego korespondenta Łub. i Prąd.

O. Innocenty Bocheński — przydział do APW, uzgodnić z Gawliną

prosić Łukaszczyka o artykuły i stałą współpracę

reportaż o prezydencie i wywiad z prezydentem przez Hausnera

Marszałkowska a. zezw. na przedruk «63 roku»

materiały fotograficzne: a. chemikalja, b. papier

reklama „Orla” w „Wiadomościach” i „Polsce Walczącej”

reportaż o Orle

Hemar teksty dla teatrów

fajka i cygaretki Dunhilla

Nowakowski

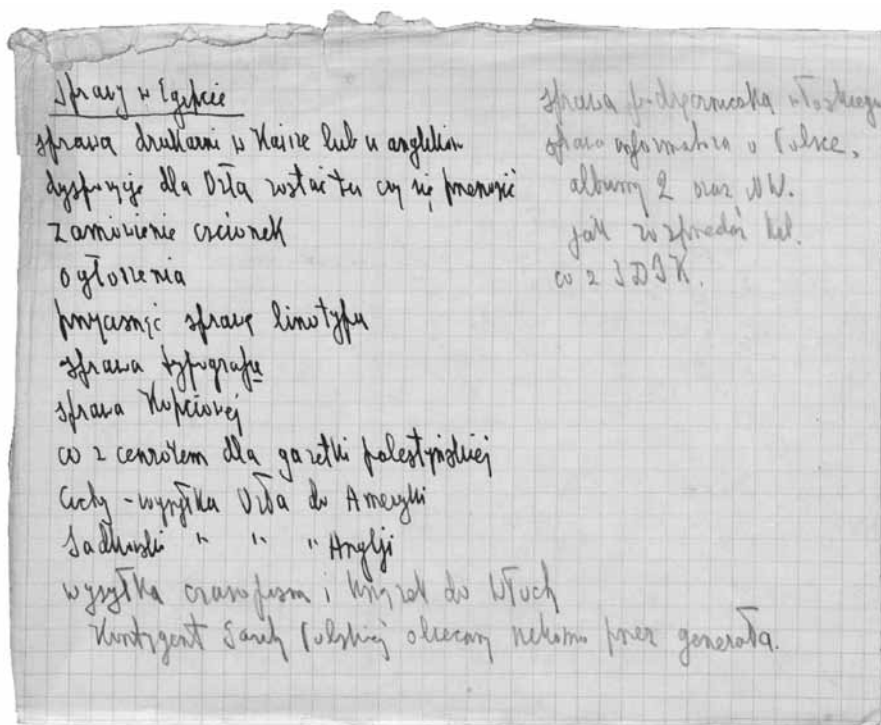
Ciołkosz artykuł

Bielecki artykuł dla „Orla”

komplet periodyków wyjeżdżając — z ost. 2 miesięcy

kierowca strzelca Giedroycia był od niego wyższy rangą — wcześniej dla rozwikłania takich wojskowych złożoności, jak Redaktor po latach wspominał ze śmiechem, niezbędne bywało angażowanie autorytetu samego Andersa. Nowy szef Wydawnictw Wojskowych zorganizował więc sobie nowy zespół współpracowników, ale próbował też dołączyć do niego dawnych.

Komórka Czapskiego była oddziałem nie tylko prasy czy później propagandy, ale też oświaty. Objężdżał więc Giedroyc poszczególne kompanie i oddziały, sprawdzając, ilu



Notatka Jerzego Giedroycia z końca 1943 roku:

„Sprawy w Egipcie:

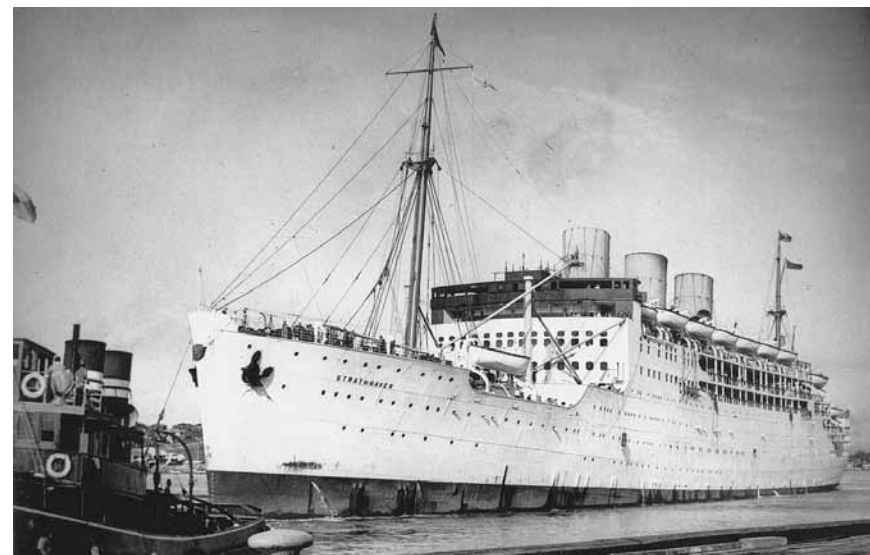
sprawa drukarni w Kairze lub u Anglików
 dyspozycja dla „Orła” — zostać tu czy się przenieść
 zamówienie cziwek
 ogłoszenia
 przycisnąć sprawę linotypu
 sprawa typografu
 sprawa Kopciowej
 co z cenzorem dla gazetki palestyńskiej
 Cichy — wysyłka „Orła” do Ameryki
 Sadkowski — „-” Anglii
 wysyłka czasopism i książek do Włoch
 Kontygent „Gazety Polskiej”, obiecany rzekomo przez Generała
 sprawa podręcznika włoskiego
 sprawa informatora o Polsce
 albumy 2 oraz NW
 jak rozprzedaż kat.
 co z 3 DSK”.

w wojsku jest analfabetów, i organizując odpowiednie kursy. Zajmował się też nauczaniem wojskowym, na akademickim nawet poziomie. „Prowadził je, razem z naszym nieżyjącym przyjacielem Zielićkim, płk Aleksandrowicz, wspaniały człowiek, rektor Akademii Weterynaryjnej we Lwowie, z ładną przeszłością naukową i w najlepszym sensie tego słowa humanista — mówi Jerzy Giedroyc w *Autobiografii*... — Postawił on to szkolnictwo na doskonałym poziomie. Ale nie przydało się to chyba na nic. Gdy przyszedłem do Propagandy, nawiązałem kontakt z Lechoniem i Polonią amerykańską;

załatwiłem z nimi, że Amerykanie dadzą sto stypendiów na studia na politechnikach. Myślałem, że złapałem Pana Boga za nogi. A Aleksandrowicz, do którego z tym przyszedłem, obruszył się na mnie i oświadczył: «gdyby mój syn w czasie wojny poszedł na studia, tobym się go wyrzekł». I nikt nie poszedł. Po czym większość tych świetnie wyszkolonych przez Aleksandrowicza młodych ludzi zginęła pod Monte Cassino. Nie umieliśmy robić tego, co świetnie robili Czesi: szkolić ludzi i oszczędzać ich”.

Już od końca września, kiedy skapitulowały Włochy, większość polskich żołnierzy świadoma była, że niedługo czeka ich powrót do Europy. Działania wojenne wracały na Stary Kontynent — pierwsze transporty morskie wiozące żołnierzy Andersa do Italii wyruszyć miały jeszcze w grudniu 1943 roku. Dla Jerzego Giedroycia perspektywa wyjazdu oznaczała przede wszystkim ogrom pracy związanej z przenosinami wszystkich podległych mu instytucji. Oznaczała też kolejne rozstania z przyjaciółmi — gdy on w styczniu i lutym 1944 roku organizował jeszcze transporty wojskowych drukarni, niektórzy z nich poznawali już uroki włoskiej zimy, walcząc gdzieś nad rzeką Sangro. Również Henryk Giedroyc trafił do Włoch przed Jerzym — na początku lutego 1944 roku.

Nowy, 1944 rok powitał Jerzy Giedroyc samotnie w palestyńskim hoteliku w Rehovot. „Butelka wina, ciężkie myśli oraz parę książek”, zanotował. „Ciężkie myśli” mogły dotyczyć rozmaitych rzeczy — tak niedawnej konferencji w Teheranie, jak i spraw osobistych. Powody do naprawdę złego samopoczucia miały jednak dopiero nadejść wraz ze zbliżającym się powrotem do Europy. Naturalne było, że Anders znajdzie się wówczas na linii frontu, a co za tym idzie — z dala od Propagandy i od Czapskiego, którego dotąd przyjmował nawet podczas śniadania zjadanego w łóżku. A że generał był podatny na wpływy swego otoczenia, perspektywa dłuższej z nim rozłąki nie wróżyła niczego dobrego. Należało spodziewać się końca tolerancji dla „cywil-bandy” w Propagandzie, na którą Anders przymykał dotychczas oko, ale która nie w smak była wielu jego podwładnym i współpracownikom — przede wszystkim z bardziej i mniej tajnych służb polskich i angielskich. Wydaje się, iż Czapski już wówczas przewidywał, że nie pozwoli



S/s „Strathnaver”

mu dłużej „wymyślać fajności” — już w lutym uprzedzał Giedroycia o możliwości swego odejścia. Myślał o powrocie do malowania. Dla swego podwładnego wystarał się jeszcze z końcem roku o awans na podporucznika czasu wojny.

Na s/s „Strathnaver” w Port Saidzie Giedroyc zaokrętował się wprawdzie już w nocy 19 marca 1944 roku, ale pasażerowie tego australijskiego okrętu mieli jeszcze przed sobą kilka dni oczekiwania, próbnych alarmów lotniczych etc. Jerzy nudził się i czytał, głównie Hamsuna i Selme Lagerlöf. Dopiero rankiem 29 marca wysiadł w Tarencie — pod samym obcasem włoskiego buta.

XV. „...ale co dalej?”

To, co przed kilkoma tygodniami trzeba było likwidować, pakować, przenosić — wszystkie instytucje podległe Wydziałowi Propagandy — teraz, we Włoszech, należało rozpakować, zorganizować, uruchomić. Wydawnictwa i drukarnie, studia filmowe, kina i teatry. Jeszcze więcej zachodu było z wydawaniem gazet, które, rzecz jasna, również w drodze ukazywać się musiały nieprzerwanie.

Mimo że pracy było coraz więcej, Propaganda oceniana była w dowództwie coraz gorzej. Czapski nie był już jej „ambasadorem” w otoczeniu Andersa, odkąd Korpus znów przystąpił do walki, a generał pojechał na front. Urzędując w zamienionej na biuro ciężarówce, generał otoczony był przez zawodowych żołnierzy, wśród których nie było miejsca dla Czapskiego, tym bardziej dla Giedroycia. Miejscem postoju — czyli „m.p.” — Propagandy było początkowo Campobasso, a później Neapol. Dopiero w lipcu przenieść się miała do wyzwolonego miesiąc wcześniej Rzymu.

Że jest naprawdę źle, okazało się już w połowie czerwca, gdy Czapski został zdymisjonowany i mianowany szefem placówki Korpusu we Francji. Kontrolę nad Propagandą przejął podpułkownik Wincenty Bąkiewicz, oficer „dwójki”. Z miejsca postanowił zmienić cały skład personalny wydziału. Głównym powodem braku zaufania Bąkiewicza do Giedroycia było — czytamy w *Autobiografii...* — „nadmiernie, jego zdaniem, niezależne prowadzenie przeze mnie polityki

wydawniczej”. Obojstronnie trudno się dziwić. Giedroyc, od lat blisko piętnastu redaktor pism często niepokornych, nigdy nie poczuł się żołnierzem. Bawił się w podchody z cenzorami, często ignorował wojskową rutynę. Obowiązkiem Bąkiewicza, oficera II Oddziału, było natomiast dbanie o to, by działalność propagandowo-informacyjna Korpusu była zgodna nie tylko z polityką rządu, ale też Andersa. A skomplikowane stosunki generała z władzami w Londynie utrudniały tylko sprawę. Na ogół z nimi skonfliktowany, dostrzegał ostatnio Anders słabnącą pozycję Naczelnego Wodza, generała Sosnkowskiego. W wypadku jego dymisji mógł się starać o zastąpienie go na tym stanowisku, ale do tego potrzebowałby poparcia i rządu, i Anglików... Wszystko to wymagało wzięcia Propagandy w cugle. Konflikt interesów między Bąkiewiczem a Giedroyciem był więc nieunikniony. To, co zachwycało drugiego „cywila w mundurze” — Józefa Czapskiego, a więc przemiana wojskowych gazetek w opiniotwórczą prasę z odważną publicystyką, pułkownika Bąkiewicza musiało przyprawiać o ból głowy.

Tego samego dnia, kiedy odwołany został Czapski — 11 czerwca 1944 roku — w „Orle Białym” opublikowany został artykuł pod tytułem *Libia–Cassino*. Kiedy cały Korpus żył jeszcze zwycięstwem i wielkością swego dowódcy, Jan Bielatowicz pozwolił sobie na zestawienie bitwy cassińskiej z kampanią libijską i przypomnienie tego, co polscy żołnierze osiągnęli i przeżyli w Tobruku. Reakcja na tekst Bielatowicza była piorunująca. „Przez wiele dni każdy przyjeżdżający z korpusu opowiadał nam — pisał w swym pamiętniku redaktor naczelny «Orla», Józef Poniatowski — jaki gen. A. jest wściekły z powodu tego artykułu, jak uważa, że to jest pomniejszanie zwycięstwa pod Cassinem itd., pomimo, że

od zwycięstwa upłynęło już 3 tygodnie, a «Orzeł» był przez ten czas pełen artykułów, sławiących Cassino”.

Po kilku dniach do wydziału dotarł egzemplarz „Orła” z adnotacją szefa sztabu, pułkownika Kazimierza Wiśniowskiego: „Co za dureń to napisał? Odpowiedzialny redaktor zamelduje się u mnie”. Teoretycznie odpowiedzialny był właśnie Poniatowski, jednak Giedroyc — nie tylko jako jego zwierzchnik, ale też ten, który nalegał na publikację tekstu Bielatowicza — postanowił wraz z nim jechać do Wiśniowskiego. Pułkownik był jednym z niewielu wyższych oficerów, którzy dla grupy Czapskiego mieli sympatię i zrozumienie. Giedroyc uznał więc prawdopodobnie, że uda mu się sprawę załatwić polubownie. Pomylił się.

„Korpus stał w tym czasie na południe od Pescary. Pojechaliśmy łązikiem, prowadzonym przez por. Kowalewskiego — relacjonował Józef Poniatowski. — Droga piękna w poprzek Półwyspu niespełna 300 km. Przenocowaliśmy w Vesco, ciekawym starym miasteczku już nad Adriatykiem, rano przyjechaliśmy do kwatery głównej w gaju oliwnym. Chociaż byliśmy na ten dzień zamówieni, okazało się, że Generał wyjechał do Rzymu, ppłk B. nie wiem dokąd, a płk W. także wyjechał, ale na krócej. Istotnie, pod wieczór się zjawił. Przyjął nasz raport w samochodzie, w którym urzęduje. (...) Najpierw indagował Giedroycia, potem mnie, ale żadnego z nas nie pytał o to, jak rozumiemy artykuł, dlaczego uznaliśmy go za możliwy, tylko pytał, czy uważaliśmy go za użyteczny, a twierdzącymi odpowiedziami tak był zdumiony, że już nie dyskutował więcej, tylko oświadczył, że nie nadajemy się wobec tego do pełnienia funkcji i zostaniemy ukarani. Cała rozmowa była na stojąco, a na pożegnanie nawet ręki nie podał”. Już następnego dnia, 19 czerwca, rozkazem tajnym



Trębacz 3 Dywizji
Strzelców Karpackich
na Monte Cassino.

nr 20, Wiśniowski ukarał Poniatowskiego i Giedroycia czternastodniowym aresztem domowym.

Kończył się okres dyskusji o tym, jak rozumieć dany artykuł — istotna była tylko jego użyteczność. Niedługo potem Bąkiewicz wprost oświadczył ekipie „Orla”, że choć poziom pisma jest wysoki — „może zbyt wysoki w stosunku do potrzeb” —

to trzeba je będzie zorganizować bardziej po wojskowemu. „Zapewne poziom będzie niższy — notował argumenty Bąkiewicza Poniatowski — ale za to będzie to sprawniejsze narzędzie działania”. Po Giedroyciu można się było wiele rzeczy spodziewać, ale z pewnością nie tego, że ograniczy się do wypełniania poleceń „dwójki”. A te były specyficzne: nawet poruszanie w „Orle” zagadnień słowackich uważano za szkodliwe dla sprawy polskiej rozpraszanie uwagi aliantów problemami jakichś innych krajów. Rzecz jasna, taka formuła działalności Propagandy wykluczała pozostawienie w niej Giedroycia, z jego politycznymi koncepcjami.

M.p. dn.8 lipca 1944 r.

DODATEK TAJNY

UKARANIE

Szef Sztabu Korpusu przy raporcie dnia 19.VI.44 ukarał:

b/ - por. PONIAŁOWSKI Józefa z Oddz.Prop. i Kult. A.P.W. redaktora odpowiedzialnego "Tygodnika A.P.W. 'Orzeł Biały' - 14-dniowym aresztem domowym za to, że umieścić w tygodniku bezpośrednio po zwycięskiej bitwie o M-CASSINO, artykuł, st.strz. BIELATOWICZA "LIBIA- CASSINO", który w tendencyjnym i fałszywym zestawieniu faktów starał się umniejszyć krwawy wysiłek żołnierzy całego Korpusu w bitwie o M.CASSINO, a tym samym pośrednio znaczenie tej bitwy dla sprawy polskiej w obecnej chwili,

c/ - ppor. GIEDROYC Józefa z Oddz.Prop. i Kult. A.P.W. - 14-dniowym aresztem domowym za to, że jako odpowiedzialny Szef Wydawnictw Wojskowych Biura Prop. i Kultury A.P.W. zezwolił na umieszczenie w "Tygodniku A.P.W. 'ORZEŁ BIAŁY' artykułu st.strz. BIELATOWICZA "LIBIA- CASSINO", jako artykułu szkodliwego i tendencyjnego, który wywołał zdziwienie i oburzenie żołnierzy 2 Korpusu.

Początek kary dla wyżej w mienionych z dniem ukazania się rozkazu.

Za zgodność:
KWATERNISTRA KORPUSU

/ SKOWRONSKI
płk.dypl.

W/g rozdzielnika Rozk. Tajnych Korpusu
od 1.dz.2 - do 27, oraz Baza Korpusu

Był też inny powód, dla którego PRO Giedroyć był coraz gorzej widziany w otoczeniu generała: przez antysowieckość swych wydawnictw miał złe notowania u Anglików. Tak oni, jak i rząd polski — Mikołajczyk na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku odbył pierwszą ze swych podróży do Moskwy — dbali wówczas o jak najlepsze stosunki z Sowietami. Można przypuszczać, że ten właśnie element odegrał rolę kropli, która w końcu przełamała czarę i zdecydowała o dymisji Giedroycia.

Doszło do niej w połowie września. Polacy od ponad miesiąca żyli powstaniem w Warszawie. Kiedy wybuchło, Giedroyć dostał się do generała Sosnkowskiego, który akurat był w Rzymie. Generał, zapewne pamiętający rozmach i nieślampowość projektów, z jakimi Giedroyć już nieraz do niego przychodził, przyjął go życzliwie. Giedroyć zaproponował, by Sosnkowski na czele grupy żołnierzy — sam się do niej zgłosił na ochotnika — poleciał do walczącej stolicy. Malując czarny obraz nadchodzącej przyszłości, argumentował, że krajowi będzie potrzebna legenda Naczelnego Wodza i wojska. Wymagała ona — czytamy w *Autobiografii...* — by „obok trupów żołnierzy Armii Krajowej znalazły się także «Poland'y» żołnierzy polskich walczących na Zachodzie”. Wydawało się, że Giedroyć wybrał właściwego adresata dla swego projektu: Sosnkowski zrobił wiele, by do powstania nie dopuścić, a następnie — by zapewnić mu wsparcie wojsk sojuszników. Rzeczywiście, generał pomysł zaakceptował, ale gdy Giedroyć zgłosił się doń następnego dnia, już go nie przyjął. Do spotkania tego doszło zapewne między 2 a 5 sierpnia — dzień później bowiem Sosnkowski wyleciał już do Londynu.

Kopia rozkazu o ukaraniu Józefa Poniatowskiego i Jerzego Giedroycia aresztem domowym za publikację artykułu, który „(...) w tendencyjnym i fałszywym zestawieniu faktów starał się umniejszyć krwawy wysiłek żołnierzy całego Korpusu w bitwie o M. Cassino”.

Paul

Wielce szanowny Panu.

Ze smutkiem odpisuję na Pani pisanie zapytania
o los mojej rodziny, gdyż wiadomości nie są zbyt dobre.
Wielki Bóg Najmiłosierny dopomóż Pani znieść
dobry ciężar, jakim Panią dotknął. We wszystkim
wielce się ciężko cenne najmędrze i najmiłosiernie
Hala Boga.
P. Leokadia i p. Elżbieta oraz żona p. Jerzego
zginęły na terenie szpitala od karabinu maszynowego
nowego zabite przez Ukraińców, którzy gromadzi
szpital. Rano były w kaplicy na Mszy św. z siostrami.
Jedną w południe sytuacja stawała się coraz krytyczniejsza
ubrały się w białe fartuchy i przyłączyły się jako
pielęgniarki do siostr i obsługiwały chorych.
Ale jeden z Ukraińców domyślił się przebrania,
uważał, że panie są za stare na przebranie,
i oddzielił je od grupy siostr do innej, do której natych-
miast zaczęto strzelać z „rozpylacza”.
przez znajomego Niemca, opis...

Okoliczności śmierci rodziców Jerzego Giedroycia, opisane w liście s. Charitas do siostry pani Franciszki Giedroyciowej, Jadwigi Wandzilak (z d. Starzyckiej). Choć mowa w nim o Ukraińcach, w mordzie na pacjentach i personelu szpitala św. Łazarza wraz z Niemcami uczestniczyli głównie Azerowie z Grupy Szturmowej SS-Oberführera Oskara Dirlwängera.

„(...) P. Leokadia i p. Elżbieta oraz żona p. Giedroycia zginęły na terenie szpitala od karabinu maszynowego, zabite przez Ukraińców, którzy opanowali szpital. Rano były w kaplicy na Mszy św. z siostrami, gdy w południe sytuacja stawała się coraz krytyczniejsza, ubrały się w białe fartuchy i przyłączyły się jako pielęgniarki do siostr i obsługiwały chorych. Ale jeden z Ukraińców domyślił się przebrania, uważał, że panie są za stare na pielęgniarki i oddzielił je od grupy siostr do innej, do której natychmiast zaczęto strzelać z „rozpylacza”. (...) Siostry Pani były spokojne i opanowane do ostatniej chwili. Nie cierpiały wiele, śmierć zabrała je szybko. Co do p. Giedroycia — najprawdopodobniej zginął, ale siostry same tego nie widziały. Wiedzą tylko, że pobiegł do apteki, by się tam schronić. Aptekę gwałtownie ostrzeliwano. W pewnym momencie zapaliły się w budynku światła — siostry przypuszczają, że może został ranny i w ten sposób chciał zawołać pomocy — ale to są tylko domysły. Faktem jest, że na widok światła Niemcy z podwójną wściekłością zaczęli nacierać na ten dom i zdobyli go”.

Dnia 5 sierpnia Niemcy wkroczyli do Szpitala Świętego Łazarza. Od pewnego czasu mieścił się on na Woli, przy ulicy Leszno 127 — budynki na Książęcej zostały niemal na początku okupacji zajęte przez wojskowy lazaret. Na terenie szpitala, wśród kilkuset bestialsko zamordowanych pacjentów i członków personelu, zginęli rodzice Jerzego. Pan Ignacy zginął najprawdopodobniej w aptece, która spłonęła około szóstej wieczorem.

Rozmawiając z Sosnkowskim, Jerzy Giedroyc nie był świadom własnego dramatu. Powstanie było dla niego bie-

żącym problemem politycznym. We wrześniu Sosnkowski zapłacił stanowiskiem Naczelnego Wodza za wydanie rozkazu, w którym de facto zarzucił sojusznikom niedotrzymanie umów i pozostawienie Polski samej sobie, a następnie — skazanie Warszawy na zagładę. Ów słynny „Rozkaz nr 19” wywołał burzę — rząd Jego Królewskiej Mości zaprotestował natychmiast. Protest poparły polskie elity polityczne. Prezydent Raczkiewicz odwołał Sosnkowskiego.

„Rozkaz nr 19” stał się tymczasem dokumentem symbolicznym. Generał Anders, na życzenie Churchilla, zakazał odczytania go swym żołnierzom. W Korpusie rozpowszechniano go konspiracyjnie. Zaangażował się w akcję również Giedroyc. Jak wspominał po latach, paczki z wydrukowanymi egzemplarzami rozkazu dostarczał lotnikom latającym do Warszawy, by zrzucali je podczas swoich misji. Czy Anglicy wiedzieli o tej jego działalności? Jest to bardzo prawdopodobne. Gdy Giedroycia w końcu zdymisjonowano, jego następcą na krótko mianowano Ryszarda Piestrzyńskiego (którego też wkrótce odwołano). Jak zanotował Józef Poniatowski, niektórzy łączyli to „z sugestią gen. Beauont-Nesbitta, (...) że stanowiska po Giedroyciu nie powinien objąć nikt z redakcji «Orła»”. Poniatowski wątpił, by Brytyjczycy rzeczywiście aż tak bezpośrednio wpływali na politykę personalną polskiego dowództwa. Ale jeśli w tej — wówczas krążącej — plotce jest coś z prawdy, jeśli nie byle kto, ale sam szef angielskiej misji łącznikowej w Korpusie istotnie taką sugestię wyraził, to Giedroyc i jego przyjaciele z „Orla Białego” musieli naprawdę nadeprnąć sojusznikom na ich prosowiecki odcisk.

Giedroyc zakończył swe urzędowanie w Rzymie 20 października 1944 roku. Następnego dnia zanotował w kalendarzu krótko: „katzenjammer”. Czekał na dalszy przydział,

ale sam nie bardzo miał pomysł na swą dalszą przyszłość. Z drugiej jednak strony „sklepik” czy „fabryka z pomysłami” — jak sam to nazywał — wciąż działały. Rozmawiał z życzliwymi sobie ludźmi — od Józia Czapskiego i reszty byłych już współpracowników, przez ojca Innocentego Bocheńskiego, aż po ambasadora RP w Watykanie, Kazimierza Papéege. Zapewne bardzo brakowało mu wśród nich Adolfa Bocheńskiego, który zginął w połowie lipca pod Ankoną, podczas rozbrajania miny. Jerzy do końca życia był przekonany, że jego przyjaciel samobójczo szukał śmierci już od chwili wybuchu wojny, ponieważ ta przekreśliła wszystkie jego koncepcje polityczne.

Notował Giedroyc rozmaite pomysły, które chodziły mu wówczas po głowie, w większości krążące wokół spraw ukraińskich. Szukał odpowiedniej literatury, nadrabiał zaległości w lekturze ukraińskich periodyków. Pod nagłówkiem „Pomysły — marzenia” zapisał już w tydzień po swej dymisji: „Wzięcie w ręce Instituto per l'Europa Orientale — stypendia lit., mal., nauk. Współ z o. II”. Jak tę współpracę z „dwójką” Giedroyc sobie wyobrażał, trudno powiedzieć — pomysł nie wyszedł zresztą chyba daleko poza tę lakoniczną, jednozdaniową notatkę.

Po kilku tygodniach melancholijnego snucia się po Rzymie, jadania ze znajomymi śniadań i kolacji i czytania opuścił Włochy. Udało mu się — chyba bez większych trudności, nie był tu przecież nikomu specjalnie potrzebny — dostać urlop i pozwolenie na wyjazd do Palestyny. Nie zamierzał nadrabiać turystycznych zaległości. Jechał odpocząć na starych śmieciach, ale przede wszystkim spotkać się w Hajfie z Tatianą.

Dopóki Korpus był na Wschodzie, Jerzy utrzymywał z żoną stały kontakt. Nie tylko intensywnie ze sobą kore-

Droga i Mila Pani Zosiu. Nareszcie jakos ta korespondencja zaczyna
od biedy funkcjonowac. Nie rozumiem tylko co sie stalo z poprzednimi
listami. Szczegolnie Pani wspolczuje tej wstretnej pogody. U mnie sie bo-
wiem od paru dni poprawilo tak, ze w dzien chodzimy bez plaszcza. Wieczor-
y i noce sa jednak dosyc jeszcze zimne co odczuwam dotkliwie jako ze
w moim pokoju jest wybita szyba. Mam wspanialy pokoj na via "azzini"
ze sklepowym wejsciem wprost z ulicy, bezklonowym w nim wlasnie niema
szyby/tak ze sie jest na widoku calej ulicy, chyba ze sie zamknie okie-
nice a wtedy jest ciemno. Swiatlo bowiem oficjalnie jest wytlaczane
dwarazy na tydzien a w praktyce znacznie czesciej. W pokoju sa dwa
wspaniale lozka, nieslychanie skrzypiace. Agodne perswazje by gospodar-
rze jedno sobie zabrali nie pomaga. Istnieje w nim jeszcze wspaniala
szafa z lustrem, kulawe biurko, drewniana kanapka i trzy dosyc obskurne
krzesla. Jesli do tego doda Pani "lanschaft" rozmiarow 2x3 metry przedsta-
wiajacy nieslychanie realistycznie Wazuwiusz, trzy rownie artystyczne
jakkolwiek mniejsze obrazy ze swietnymi tematami oraz amerykanski
plakat propagandowy to ma Pani calosc wytwornego apartamentu. Gospoda-
rze sa raczej spokojni i nie pokazuja sie za czesto ale od czasu do
czasu zjawia sie signora w powaznym wieku lat 80 i w formie ultimatu
zada swiadczen jak mydlo, marmolada, cukier etc. Wrazie niezaspokojenia
natychmiast jej pragnien jest stosowana blokada polegajaca na niespr-
rzataniu czy nie przynieszeniu wody. Typowa wojna nerwow. Niestety ja
dosyc rzadko ja wygrywam. Ostatnio baba chca koca by u zyc sobie balow-
suknie. Nie wiem co bedzie. Ale pozatem nie widuje ich wiele. Widze nato-
miast liczne slady wskazujace ze ich stale a niezmiennie interesuje
zawartosc walizki i moich bagazy. Jak dotychczas nie wiele ginie, wnos-
kuje wiec z tego ze to raczej zwykla ciekawosc a moze gospodarze sa
merytowani detektywami.

Zycie uplywa miło miedzy biurem/40 mtrow od mieszkania/, klubem/20 mtr
od biura/ i kasynem/30 mtrow od klubu/, placem cwiczen/40 mtrow od kasy-
na/. Moje wysokie funkcje zmuszaja mnie jeszcze do bywania w swietli-
cy/dalsze kilkanascie metrow/ i w kinie/ditto/. Wieczorami chadzam na
spacery albo krece filmy dla swych barankow jak dotychczas polskie
ktore ze lza w oku ogladam poraz pierwszy. Rzezywam przytem niesamowi-
te emocje czy t.zw. barankowie zechca przyjsc czy nie. Tajemnica tych emo-
ji polega na tem ze na kinie jest oparty budzet biblioteczek. Wrazeni-
z filmow sa tak silne ze po takim "wyroku zycia" napisalem meldunek
protestujacy przeciwko takiej propagandzie. To jest film jakby krecony
przez komitet lubelski. Te udteki sie szybko skoncza bo jest szansa
dostawiania filmow amerykanskich ktore maja ta dodatkowa zaleta pozatym
ze sa lepsze ze wypozycza sie je bezplatnie kiedy ta pocztowa propa-
ganda zdziera 50% dochodu. Mniejwecej raz na tydzien wpadam do Jozia
gdzie robie u niego, Dubickiego i Stepnia male trzesienie ziemi i
wracam z jakimś lupe-m do siebie. Tak wyglada zywot czlowieka pocztowe-
go. Reszte wolnego czasu zabijam pisanie listow w takiej ilosci jaka
mi sie nie zdarzala nawet za czasow naszego wspolnego urzedowania a to
jest duzo powiedzialane. Niestety w tedy bardziej odpowiadano na list
orla tez czytuje z rozczeniem a nawet ostatnio poslam "ai gratulacj-
ze go tak dobrze redaguje.

List Jerzego Giedroycia do Zofii Hertz
z 13 lutego 1945.

spondowali, ale też — w miarę możliwości — widywali się. Gdy Jerzy wyjechał do Włoch, stało się to już niemożliwe, ale nadal do siebie pisali. Jeden z tych listów, przyniesiony mu 26 października wraz z resztą zaległej poczty z jego byłego już biura przez Zofię Hertz, zaniepokoił Giedroycia. Zano-
tował wówczas krótko w kalendarzu: „Na kolacji Zosia daje pocztę. List zimny od Eve. Nie rozumiem. Handra”. Tatiana, od kiedy znalazła się w Palestynie, używała angielskiej formy swego drugiego imienia, nie brzmiącego tu tak obco: Ewa.

Dnia 23 listopada Giedroyc odleciał z Neapolu do Aten, gdzie wypiszą filizankę herbaty, wsiadł w samolot do Kairu. Stąd, po trzech dniach spędzonych — jakżeby inaczej — na rozmowach ze znajomymi (m.in. z dawno nie widzianym Władysławem Wolskim), wyruszył do Hajfy. Zatrzymał się w hotelu Weiss i tu spędził z Tatianą wieczór 28 listopada. Spowodowane zapewne owym „zimnym” listem spotkanie nie mogło być radosne. Dowodzą tego również wydarzenia następnych miesięcy.

Kilka lat później, w piśmie do władz wojskowych, dotyczącym zaległych sum potrącanych z jego żołdu, a nie wypłaconych Tatianie, Jerzy Giedroyc informował: „Moja żona otrzymała rozwód wyrokiem sądu mandatowego pale-
styńskiego z dnia 27 czerwca 1945. (...) Moja żona zawarła ponowny związek małżeński z p. French 11 października 1945”. Jerzy oczywiście zgodził się na rozwód z Tatianą, za-
kochaną w jednym z angielskich urzędników. Rozprawa od-
była się pod jego nieobecność — 27 czerwca był w Rzymie. Dokumentu tego nie udało się odnaleźć; już w 1949 roku Giedroyc, proszony o nadesłanie jego odpisu, tłumaczył w liś-
cie do szefa Biura Służby Pieniężnej, że nim nie dysponuje. Pytany o rozwód swego brata, Henryk Giedroyc opowiadał:

„W 1945 roku Jerzy przyjechał któregoś dnia — dużo wówczas podróżował — i pokazał mi wyrok. Później nigdy go już nie widziałem, nawet po jego śmierci nie odnalazłem go w jego papierach. Może Tatianie był potrzebny i ten egzemplarz? Przecież cały ten rozwód jej tylko był potrzebny”.

Do końca życia byli małżonkowie pozostali w bliskich, serdecznych nawet stosunkach. Korespondowali ze sobą i widywali się, gdy Tatiana przyjeżdżała z Londynu do Paryża.

W grudniu Giedroyc wrócił do Włoch. 3 stycznia 1945 roku został wezwany do generała Przewłockiego, a sześć dni później otrzymał wreszcie nowy przydział — mianowany został oficerem oświatowym Centrum Wyszkożenia Wojsk Pancernych w Gallipoli na południu Włoch. Odebrał to jako zesłanie. Dość zrezygnowany, zwlekał z wyjazdem. Uzyskał jeszcze chwilowe odkomenderowanie do Referatu Oświaty Bazy 2. Korpusu, aż wreszcie 17 stycznia 1945 roku wysłano go samochodem z kategorycznym rozkazem stawienia się w nowym miejscu pobytu. Wyjechał więc do Apulii, by zająć się szkoleniem żołnierzy. Przydzielono mu kwaterę u Natalii Salvatore, przy ulicy Mazzini 15.

Jerzy nie tylko pracował. Starał się czytać, ale wciąż myślał o swoich niepowodzeniach i ich przyczynach. Czytał o Napoleonie III, rozmyślając, że z władcą tym łączy go zarówno inteligencja, jak i niezdeterminowanie. „Tłum nie osądza człowieka podług mądrości jego rad i zaleceń, ale pomyślnych — lub nieszczęśliwych — okoliczności”, przepisywał we francuskim oryginale cytaty z książki Émile Olliviera i notował: „coś dla mnie”. Po lekturze *Przedwiośnia* zapisał: „Nieporadna, ale czarująca książka. Coś jak moje «przecucia» sytuacji. Równie inteligenckie”.

Mimo bólu odmrożonych rąk — kolejne, obok braku kawy i jedzenia, wojenne zaprzeczenie stereotypowego obrazu Włoch — dziesiątkami pisał listy. Do Tatiany i do Dudka, do Czapskiego, Mai Prądzyńskiej i wielu, wielu innych. Szczególnie interesująca jest — na szczęście zachowana — jego ówczesna korespondencja z Zofią Hertz. Jerzy, którego dotychczasowe osiągnięcia i przyszłe plany zostały — jak sądził — przekreślone „zesłaniem” do Gallipoli i który właśnie dowiedział się, że ostatecznie rozpadło się jego małżeństwo — inaczej, jak się wydaje, spojrzał na swą byłą sekretarkę. Owszem, przez półtora roku była świetną i lojalną współpracowniczką, doskonale organizowała mu zajęcia i wyręczała go w wielu sprawach. W lot się rozumieli i stworzyli u boku Czapskiego zgrany zespół. Korespondencja, jaką prowadzili w pierwszych miesiącach 1945 roku, świadczy jednak o tym, że relacje między nimi zaczęły zmieniać charakter.

Oczywiście, Jerzy pisał o swoim nowym życiu „na zesłaniu”. Zazdrościł Zosi, że u niej — z Propagandy wyrzucono ją do Biura Oszczędności Żołnierza, do Ankony — „pewnie jest kawa. Tu nie ma na lekarstwo”. Pisał, że wieczorami bierze książki — „czytam *Trylogię*. Widzi Pani, jak nisko upadłem” — i ucieka pod kołdrę. „To jedyny sposób rozgrzania się. Dzięki temu przyzwyczajam się chodzić spać z kurami, co podobno jest bardzo zdrowe, ale nie mniej nudne, nie mówiąc, że wcale nie ułatwia wczesnego wstawania. Przychodzi to mnie równie trudno, jak w Rzymie”. Mimo to przeziębiał się: „Co do siebie — będąc z natury delikatny — nie sądzę, bym przeżył luty. Katar mam taki, że dawno już przeszedłem z chusteczek na ręczniki”. Donosił Zosi, iż — w przeciwieństwie do okresu „rzymskiego” — chadza na długie spacery: „Niestety nie ma tu nic do zwiedzania poza nieodłączną cytadelą-zamkiem.

Morze tylko jak zawsze jest piękne i nie nudzi się nigdy”. „Staram się trzymać — zapewniał — i umiarkowanie szaleję z genialnymi projektami. Teraz ostatnio chcę robić uniwersytet”. Miesiąc później stwierdzał już bardziej kategorycznie: „«Fabrykę z pomysłami» zamykam. Trochę to jest plajta, a trochę złość, jak się widzi, że «genialne» pomysły nikogo nie chwytają, albo jak chwyć, to wychodzi taki potworek, że nie mogę poznać rodzonego dziecka”. Wciąż jednak starał się działać. Obiecował, iż nie zdradzi Dudkowi, że od Zosi wie o jego długach, i zastanawiał się, jak wykombinować dla brata jakieś pieniądze. Przez Ryszarda Piestrzyńskiego starał się załatwić pracę dla Mai Prądyńskiej. „Swoją drogą, ja mam jakieś niewyżyte kompleksy ojcowskie — komentował te swoje starania. — Ciągłe się muszę martwić o kogoś. Zupełnie, jak kura z piskletami. Nie podoba się mnie ten drobnoburżuazyjny rys”. Po otrzymaniu listu od Czapskiego — zawierającego zapewne rzymskie plotki na jego temat — pisał, że zamierza przybrać pseudonim Czarna Ręka, jako „osoba tajemnicza, potężna, groźna i niebezpieczna. Odtąd przy goleniu patrzę na siebie z odcieniem szacunku zamiast dotychczasowego obrzydzenia”.

Ale nie poczucie humoru i autoironia — znane każdemu, kto miał okazję przeglądać prywatną korespondencję bohatera tej książki — zaskakują w jego ówczesnych listach do Zofii Hertz. Ich ton jest niezwykle osobisty i widać, że niegdyś jedynie idealna współpracowniczka zaczyna dla Jerzego stawać się kimś o wiele ważniejszym. Odpowiadając na jej liczne pocieszenia i czułości — z dumą pisała sama o sobie, że jest „pożeraczką serc” — Jerzy podejmował tę jej grę. Wkrótce przeszli na ty. Dotąd „miła i droga Pani Zosia” — skądinąd żona Zygmunta Hertza — teraz bywała nawet tytułowana

„Kochaniem”. Ale to „Kochanie” niezmiennie dostaje dziesiątki poleceń i dyspozycji, co komu przekazać, od kogo wziąć i dokąd wysłać. Niezależnie od wszelkich „gier” najważniejsze pozostawały Sprawy.

Tymczasem Jerzego znów wezwał świat wielkiej polityki. Z końcem lutego 1945 roku generałowi Andersowi powierzono obowiązki Naczelnego Wodza — wcześniejsze mianowanie na tę funkcję dowódcy Powstania Warszawskiego, generała Bora-Komorowskiego, przebywającego w niemieckim obozie jenieckim, miało może walor symboliczny, ale z punktu widzenia bieżącego dowodzenia armią było kuriozalne. W Londynie zaś Andersowi potrzebne było wsparcie polityczne. Jak wspominał później Giedroyc, to za sprawą Jerzego Niezbrzyckiego Adam Pragier — minister informacji i dokumentacji — przekonał generała, by ściągnąć do Londynu człowieka, który zajmował się akurat organizacją chóru i wyświetlaniem filmów w jednostce w Gallipoli. Pragier podjął zresztą te starania jeszcze pod koniec roku, ale bez skutku. Błąd ministerialnej maszynistki, która zamiast „Jerzy” wpisała „Janusz Giedroyc”, uruchomił lawinę biurokratycznego nonsensu. Sztab Naczelnego Wodza informował, że Janusza Giedroycia w Korpusie nie ma, minister prostował więc, że chodzi o Jerzego. Na to sztab odpowiadał, że nie może oddać do dyspozycji rządu „mjr. uzbr. inż. Giedroyc Jana z W.I.T. — jest on w dyspozycji władz brytyjskich”. Przez trzy miesiące, podczas których nasz bohater marzył na południu Włoch, trwała radosna twórczość urzędników. Jak dalece pomocny w przerwaniu tej obłądnej korespondencji był generał Anders, nie wiadomo — dość, że zgodził się, by odnalezionego wreszcie właściwego Giedroycia odkomenderować z Korpusu do Londynu. Dobre stosunki z ministrem



Zamek w Gallipoli

Pragierem, jednym z czołowych polskich socjalistów, były generałowi niezwykle potrzebne.

W połowie marca Giedroyć dowiedział się, że razem z Czapskim — również przydzielonym do Ministerstwa Informacji — ma jechać do Londynu. Zażyczył sobie, by do Rzymu ściągnięto natychmiast Zofię Hertz — ona, jako jego prawa ręka w czasie pracy w Propagandzie, miała być mu niezbędna w przygotowaniu się do wyjazdu. Znów mieli okazję przegadać razem kilka wieczorów, ułożyć kilka planów zbawienia ojczyzny. I pośmiać się z Józia Czapskiego, którego zagubienie i bałaganiarstwo spowodowało, że owe przygotowania przez wiele lat były ulubionym tematem anegdot Zofii Hertz.

Już wtedy Jerzy Giedroyć miał plany daleko szerszego wykorzystania szczęśliwego zbiegu okoliczności, który pozwolił mu wyrwać się z Gallipoli w chwili, gdy — o zgrozo! — zażądano od niego wygłoszenia mowy ku czci świętej pamięci marszałka Piłsudskiego. Napisać taką mowę, tak, bardzo chętnie, ale stanąć przed kilkudziesięcioma czy kilkuset żołnierzami i mówić podniesionym głosem? Tak właśnie Jerzy wyobrażał sobie koniec świata.

Przyjechawszy do Rzymu, notował kolejne pomysły „na Londyn”. Dnia 25 marca spotkał się z Andersem, który akurat był we Włoszech. Przygotowując się do tego spotkania, zapisał:

„Na co idę, co gen. rozważa — plany

a. związanie i usztywn. armii (...)

b. koncentracja armii we Francji

c. zastrzyk nowych sił do admin. i rządu

d. prace przygotowawcze na wypadek katastr. Inst. Wyd., YMCA

Mater. propagand.: — skrzynka na Londyn,

— skrzynka na Francję”.

„Katastrofa”, którą przewidywał Jerzy w marcu 1945 roku, to oczywiście wycofanie przez aliantów uznania rządowi w Londynie i zaakceptowanie aneksji wschodniej Europy przez Sowiety — co faktycznie miało się stać już wkrótce. YMCA, potężna organizacja młodzieżowa, dysponująca ludźmi i sporymi pieniędzmi we wszystkich krajach zachodniego świata, była naturalnym przyczółkiem dla prowadzenia działalności polityczno-propagandowej. Placówka w Londynie mogła powstać na bazie działającego tam rządu, paryską zbudować miał już niedługo — w imieniu Korpusu — Józef Czapski. Jednocześnie zaś, jak widać, Giedroyć uznał, że

SZTAB NACZELNEGO WODZA

ODDZIAŁ PERSONALNY
L. Dz. 976/Pers. 45.

DOWÓDCA II KORPUSU.

Londyn, dnia 26 .III. 1945 r.

Min. Informacji i Dokumentacji prosi o oddanie do swojej dyspozycji ppior. piech. mgr. G I E D R O Y C Jerzego Władysława - r. ur. 1906 z II Korpusu, uzasadniając, że oficer ten jest doskonałym znawcą zagadnień Wschodnich i rutynowanym dziennikarzem politycznym.

Proszę Pana Generała o wypowiedzenie się, czy względy służbowe nie stoją na przeszkodzie pozytywnemu załatwieniu prośby Min. Inf. i Dok. W wypadku pozytywnym proszę o skierowanie w/w. oficera do W. Brytanii zawiadamiając o jego wyjeździe Oddz. Pers. Szt. N.W.

Otrzymuje do wiadomości:

Min. Inf. i Dok. - na
L. Dz. 1777/45.
Att. Wojsk. przy Amb. R.P.
w Londynie.

Z r. SZEF SZTABU N.W.
SZEF ODDZIAŁU PERSONALNEGO

B I S C H O P
Pułkownik dypl.

Ministerstwo Inf. i Dok.		
L. Dz. 1817/45		
Referencja		
Nazwisko	Data	Podpis
1. Rakowski	29.3.45	
2.		
3.		
4.		
5.		
Wpłynęło Dnia		

zgodnie z
29.11.45

niezbędne jest stworzenie na potrzeby działalności propagandowej Instytutu Wydawniczego. Wyposażony przez Zosię w książki, dokumenty i ubrania, z notesem i głową pełnymi pomysłów 27 marca wraz z Józefem Czapskim poleciał do Neapolu. Stąd mieli lecieć prosto do Londynu, ale z powodu jakiejś awarii samolot wylądował w Paryżu. Tu — jako że podróżowali w towarzystwie biskupa polowego Polskich Sił Zbrojnych, Józefa Gawliny — spędzili noc w hotelu, zameldowani jako jego kapelani.

„Kup parę ładnych reprodukcji ze św. Franciszkiem z Subiacu na czele i przyslij przez Bornholtza. Strasznie mam goły pokój, aż nieprzyjemnie. Odczuwam to tym bardziej, że w przeciwieństwie do dawnych czasów dużo siedzę w domu. Czytam i piszę”. Wbrew temu, co czytamy w liście do „Kochanej Zosi”, w ciągu pierwszych kilku tygodni w Londynie Giedroyc spotkał się ze wszystkimi swoimi tam przyjaciółmi. Nawiązał też kontakty z ludźmi, którzy wydawali mu się potrzebni do realizacji jego planów. W kalendarzu zapisał obiady, kolacje i konferencje z Mieczysławem i Ksawerym Pruszyńskimi, Mają Prądyńską oraz Stanisławem Mackiewiczem, Wacławem Zbyszewskim, Mieczysławem Grydzewskim, Adamem Ciołkoszem, Janem Emilem Skiwskim i wieloma innymi. Wreszcie spotykał się regularnie ze swym nowym szefem, ministrem Pragierem, i z generałem Andersem. Oficjalnie był bowiem nie tylko łącznikiem między Pragierem a Naczelnym Wodzem, ale też — od końca maja — kierownikiem Wydziału Europejskiego w Dziale Kontynentalnym Ministerstwa.

Nie wiemy, czy Zosia Hertz wysłała do Londynu obrazek ze świętym Franciszkiem — jeśli nawet, to zapewne na stałe trafił on do Mai Prądyńskiej. To bowiem, że Giedroyc został

Pismo Szefa Oddziału Personalnego Sztabu Naczelnego Wodza, pułkownika Juliana Bischofa do generała Andersa z 26 marca 1945.



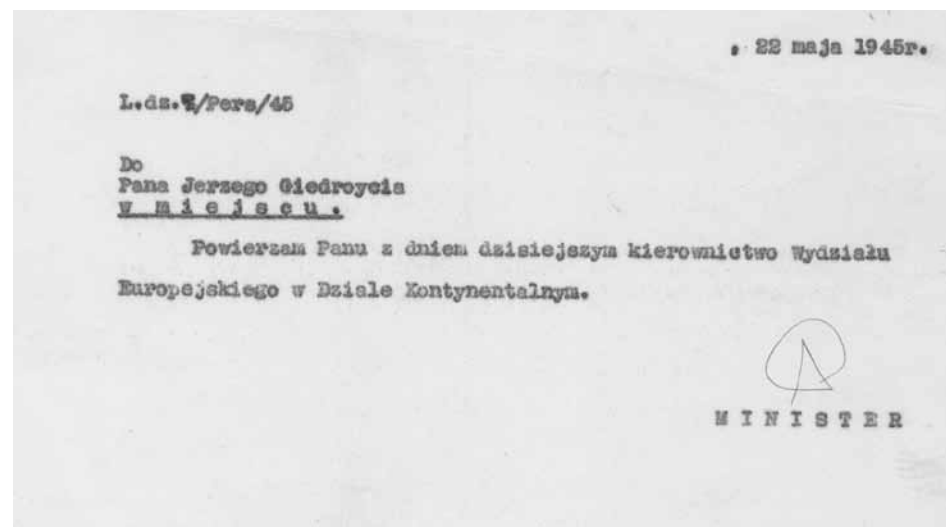
Św. Franciszek
z Subiaco

„odkomenderowany do Londynu”, wcale nie sugerowało, że zabawi w Anglii dłużej. Nie było mu tam zresztą dobrze, zwłaszcza po wyjeździe Czapskiego czuł się zagubiony.

„Wszystko idzie jak z kamie-

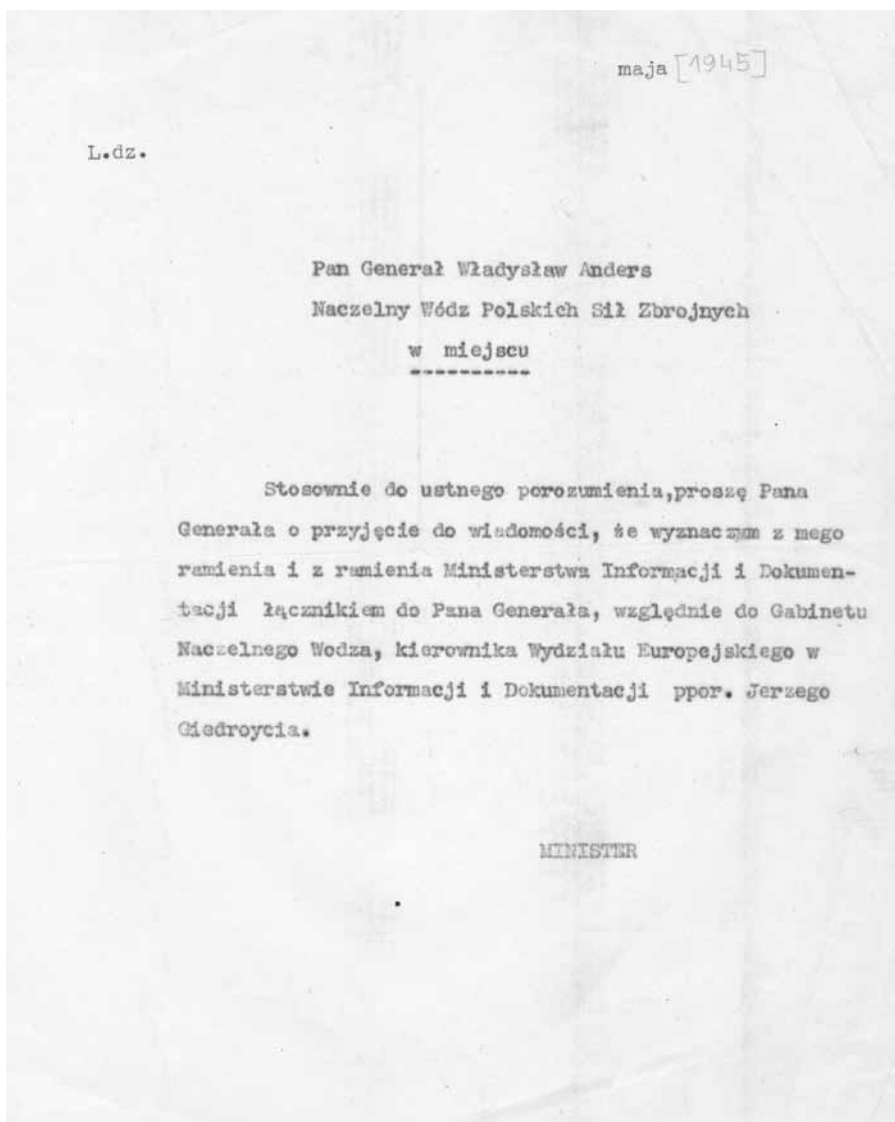
nia — pisał do swej byłej współpracownicy — i coraz bardziej odczuwam brak jego genialnej pomocy”. Już w końcu maja jednak wyjechał z Londynu.

Wysłany w podróż przez ministra Pragiera, przez najbliższych kilka miesięcy Jerzy Giedroyc miał dosłownie żyć na walizkach. Nigdy chyba wcześniej ani później nie podróżował tak intensywnie. Najpierw, 2 czerwca 1945 roku, przez Neapol i Kair dotarł do Palestyny. Dziesięć dni spędził między Jerozolimą, Hajfą a Tel Awiwem, by wreszcie prawie na miesiąc polecieć do Włoch. Stamtąd 4 lipca dotarł do Paryża, gdzie tymczasem rozpoczął już swą „korpuśną” działalność Czapski. Po czterech dniach spędzonych nad Sekwaną powrócił do Londynu. Ale tylko na dwa tygodnie, gdyż 21 lipca znów wyjechał — przez Paryż, Vichy i Marsylię dotarł do Włoch. Tu jego trasa obejmowała: Genuę, Portofino, Bolonię, San Giorgio, Rzym, Neapol. Z końcem sierpnia — znów przez Kair — poleciał na pięć dni do Palestyny, by we wrześniu wrócić do Rzymu. Tym razem po drodze zatrzymał się na



Nominacja Jerzego Giedroycia na stanowisko kierownika
Wydziału Europejskiego w MliD.

kilka dni w Atenach. Wrzesień 1945 roku spędził we Włoszech, skąd na dwa tygodnie pojechał ponownie do Paryża. Do Londynu wrócił 10 października. W listopadzie wyjechał na miesiąc do Paryża, gdzie zatrzymał się w Hôtelu Lambert, znanym centrum życia politycznego Wielkiej Emigracji, do którego właśnie przeprowadził się Czapski ze swoją placówką. Owo lokum tak Jerzy opisywał Zosi: „Ta rudera nie była zamieszкана od czasu ks. Adama i trzeba ją szorować i skrobać, zakładać elektryczność, ściągać kominiarzy, bo w ogóle nie jest pewne, czy w tych piecach i kominkach można palić. Mój pokój jest już z grubsza uprzątnięty i już w nim mieszkam. Jest to maleńki pokój z przedpokojem i maleńką kuchenką. Jest bardzo mały, tak że jest w nim tylko łóżko, szafa na książki, szafa na ubrania w ścianie i kominiek. Kuchenka jest



List ministra Adama Pragiera do generała Władysława Andersa o wyznaczeniu Jerzego Giedroycia łącznikiem między ministerstwem a gabinetem Naczelnego Wodza.

jeszcze mniejsza, a ponieważ instalacja piecyka gazowego jest tu rzeczą niesłychanie skomplikowaną, więc tymczasem służy jako skład walizek. Niestety nie ma pieca, jest tylko kominek, ale jeśli nawet okaże się, że jest zdolny do funkcjonowania, to wcale nie jest pewne, czy można na nim palić węglem. W każdym razie jestem zadowolony, gdyż nareszcie mam jakiś własny kąt, mogłem rozpakować graty, których zebrało się nieprawdopodobnie dużo, no i książki, których mam taką masę, że nie włożą do dwóch skrzyń metalowych ogromnych. Jak mi nie przysłecie ze dwóch, trzech skrzynek amunicyjnych, to nie wiem, co będę robił w razie zmiany m.p.”.

Celem dwukrotnej peregrynacji Jerzego Giedroycia po zachodniej Europie i Bliskim Wschodzie był swoisty audyt — należało sprawdzić „polski stan posiadania” na tych terenach. Rozliczenia i sprawozdania, raporty i budżety były tematem rozmów, które wówczas prowadził. A przede wszystkim — plany na przyszłość. Pomiędzy Palestyną a Anglią rozsiane były polskie, cywilne i wojskowe, instytucje i organizacje, wydawnictwa, szkoły, teatry i urzędy. Jedne — jak potężny, hołubiony niegdyś przez ministra Kota Polish Information Center — trzeba było zlikwidować. Inne wymagały zmiany formuły prawnej i organizacyjnej, co stało się szczególnie pilne po wycofaniu przez aliantów uznania Rządowi RP na Uchodźstwie. Nie uznając rządu, nie uznawano też jego agend. Na gwałt tworzone więc fikcyjne spółki i przedsiębiorstwa prywatne, które przejmowały majątek i działalność placówek rządowych. Ale w tych rozliczeniach i projektach uwzględnić należało nie tylko fundusze, budynki, maszyny czy samochody. Najważniejsi byli ludzie. Kto jest na jakim terenie? Jakie ma perspektywy, jak mu można pomóc? Giedroyc na przykład sprawdzał, ile papieru potrzebują pisma



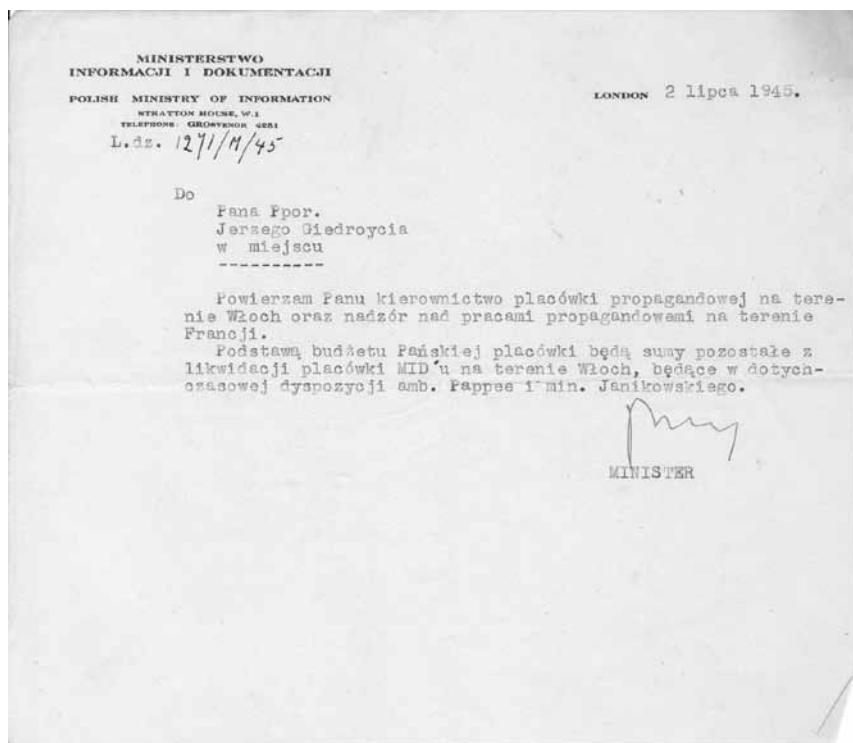
Hôtel Lambert w Paryżu.

wychodzące na Wschodzie; notował, że we Francji jest do kupienia dwudziestopięciohektarowa farma; zastanawiał się, co zrobić ze stoma junakami, których znalazł w Paryżu. Zbierał rachunki i sprawozdania, słał raporty i petycje. Zajmował się tym, co lubił, czyli tym, co pilne, niezbędne i ważne. Jednym słowem — wszystkim. Po części miał do tego również formalne kompetencje. Minister Pragier powierzył mu bowiem nadzór nad rządową działalnością propagandową we Włoszech i Francji; w drugim z tych krajów był dodatkowo oficjalnym reprezentantem Korpusu.



Premier Churchill pozdrawia tłumy w Whitehall, 8 maja 1945.

„V-Day był tu zupełnie ponury, a byłby jeszcze bardziej nieudany, gdyby nie Amerykanie. Dwa dni były święta, miasto flagowane (prawie wcale polskich chorągwi), jeszcze bardziej zdeorganizowana komunikacja, pierwszego jeszcze wieczoru bary były wzięte szturmem i opróżnione tak, że przez dwa następne dni były w ogóle zamknięte — relacjonował Jerzy Giedroyc w liście do Zofii Hertz z 10 maja 1945 roku. — To poprawiło trochę nastrój, było trochę więcej wrzasków. Ponadto Londyn biegał do Buckingham Palace oglądać króla, co tu uwielbiają no i par w Hyde Parku na trawie w dosyć



Pismo ministra Adama Pragiera do Jerzego Giedroycia z 2 lipca 1945.

ryzykownych pozach było masę. To ostatnie zresztą można stale oglądać i bez V-Day. Jak to zobaczyłem pierwszy raz, to nie wiedziałem, gdzie oczy chować, ale tu to jest przyjęte. Trzeba tylko ostrożnie chodzić, by kogoś nie rozdeptać, szczególnie wieczorem. Starsze pokolenie twierdzi, że to w ogóle się nie umywa do poprzedniego armistice”.

„Wojna niby skończona i co dalej?”, pytała w odpowiedzi Zosia. A „dalej” wyglądało coraz gorzej. Giedroyc nie był tak święcie jak generał Anders przekonany o rychłym wybuchu wojny ze Stalinem, ale też z pewnością jej nie wykluczał,

jak później często twierdzono. „Sytuacja rozwija się katastrofalnie. Niezmiernie szybko zbliżamy się do konfliktu na skalę światową — pisał w listopadzie. — Wchodzimy w jakiś nieprawdopodobny chaos. Kto wie, czy nie ma racji Wacek Zbyszewski, że to początek końca świata. Bomba atomowa robi bardzo prawdopodobnym, że możemy się któregoś dnia obudzić jako mgławica. I to nawet bez wojny. Teraz robią Amerykanie jakieś eksperymenty z tą bombą na oceanie. Mówił nam jeden uczony francuski, że to szalenie niebezpieczny eksperyment, gdyż jeśli będzie zbyt gwałtowny rozkład wody (bodaj na tlen i wodór), to tak się wszyscy rozłożymy”.

Niezależnie jednak od bomby atomowej, tlenu i wodoru, wobec nadchodzącego konfliktu Zachodu z imperium Stalina coraz pilniejsza stawała się konieczność zbudowania nowych narzędzi oddziaływania politycznego i propagandowego. Podczas swych podróży, w Rzymie i Jerozolimie, Paryżu i Londynie — poza załatwianiem spraw urzędowych — Giedroyc szukał politycznego wsparcia dla idei stworzenia instytutów wydawniczych. Odpowiednie projekty przedstawił w lipcu i w październiku Pragierowi. Ten nie tylko je zaakceptował, ale też uzyskał dla nich poparcie przedstawiciela całkiem odmiennej opcji politycznej, profesora Władysława Folkierskiego ze Stronnictwa Narodowego. Folkierski, jako minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, miał pod swoją pieczę szereg rozsianych na Bliskim Wschodzie agend prowadzących działalność wydawniczą. Giedroyc planował powołanie dwóch instytutów — we Włoszech i w Paryżu. „Celem ułatwienia pracy tych instytutów wydawniczych oraz zabezpieczenia ich na przyszłość, muszą one być formalnie przedsiębiorstwami prywatnymi — pisał w jednym z projektów. — Instytut wydawniczy we Włoszech wykonywałby niezależnie od zamówień rządowych wszystkie roboty, związane

8 AUG 45

ORDRE de MISSION.

Je designe s/Lieut. GIEDROYC Jerzy comme
représentant en FRANCE du 2^{me} Corps Polonais.

Les autorités militaires et civiles Françaises et
Aliées sont priées et les autorités militaires Polonaises sont
requisées de prêter aide et assistance dans tous les cas de
nécessité.



CERTIFICATE

This is to certify that 2nd Lt. GIEDROYC Jerzy
is a representative of 2 Polish Corps in FRANCE.

All French and Allied Authorities are kindly
requested to grant him any assistance in case of need.



z Wojskiem Polskim na terenie Włoch oraz z uchodźstwem na terenie Afryki i Środkowego Wschodu. Instytut wydawniczy w Paryżu obsługiwałby emigrację polską na terenie Europy zachodniej oraz wydawałby tygodnik «Tribune de Peuples». Do spółek, którymi formalnie miały być instytuty, swoich przedstawicieli delegować miały rząd i wojsko. Giedroyc sugerował nawet, jak — poprzez wykorzystanie różnic kursu złota między Włochami a Egiptem — uzyskać kapitał na założenie instytutów. To był akurat pomysł dość oczywisty — tak zwane kasztany, czyli złote funty egipskie, żołnierze Korpusu masowo szmuglowali do Włoch. Giedroyc proponował deficytowy papier skupować również na czarnym rynku. Widział też możliwość rekwizycji papieru i sprzętu drukarskiego przez armię w krajach, w których stacjonowały jej oddziały.

Plany były tak rozbudowane, że — rzecz jasna — nie mogły być w pełni zrealizowane. Niemniej jednak ich najważniejszy element zyskał aprobatę generała Andersa i najbliższych mu ludzi: generała Kazimierza Wiśniowskiego i pułkownika Wincentego Bąkiewicza — tego samego, który doprowadził niegdyś do usunięcia Giedroycia z Propagandy. W nowych, powojennych warunkach oficerowie ci u swego podwładnego docenili to, czego nie mogli wcześniej tolerować — rozmach i „kramik z pomysłami”. Dali się przekonać do pomysłu, który popierali minister Pragier i Józef Czapski — ten ostatni pisał w grudniu 1945 roku do Bąkiewicza: „List ten wręczy Ci do rąk własnych Józio Zielicki albo Giedroyc. Proszę Cię bardzo usilnie, byś zechciał znaleźć dla nich czas i z nimi porozmawiać nieoficjalnie. Jest cała masa spraw, których nie chciałbym

Dwujęzyczny „Ordre de mission” generała Kazimierza Wiśniowskiego z 8 sierpnia 1945, mianujący Jerzego Giedroycia reprezentantem 2 Korpusu we Francji.

Prof. Adam Pragier

Londyn, dnia 26.X.1945 r.

Wielce Panowny Panie Pułkowniku,

Pan ppor. J. Giedroyć zreferuje Panu Pułkownikowi moją prośbę, do której przywiązuję ogromne znaczenie. Bardzo będę wdzięczny za jej załatwienie.

Łączę wyrazy prawdziwego pozdrowienia
Adam Pragier

WPan Pułkownik
W. Bąkiewicz
w m.p.

Prof. Adam Pragier

Londyn, dnia 26.X.1945.

Wielce Panowny Panie Generalu,

Pan ppor. J. Giedroyć zreferuje Panu Generalowi moją prośbę, do której przywiązuję ogromne znaczenie. Bardzo będę wdzięczny za jej załatwienie.

Łączę wyrazy prawdziwego pozdrowienia
Adam Pragier

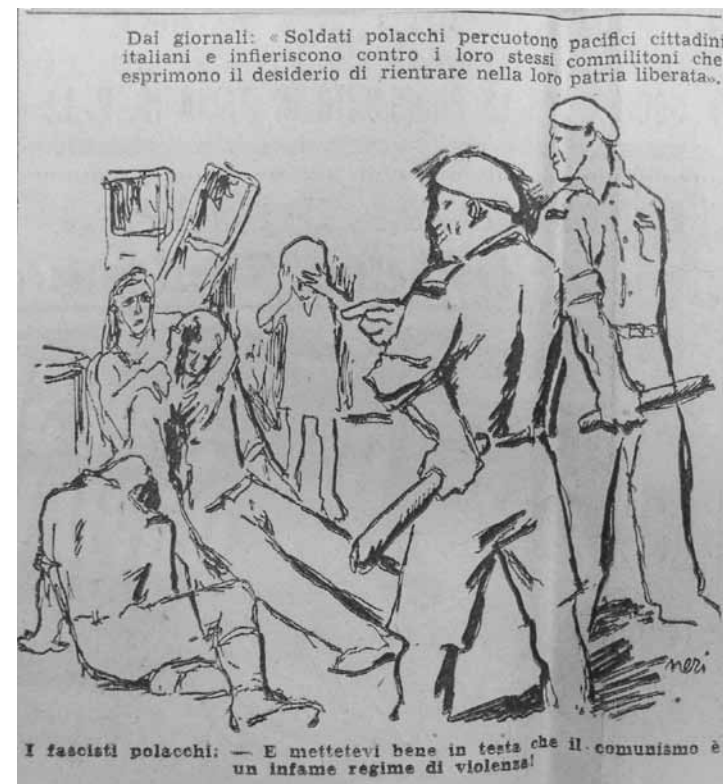
WPan General
Władysław Anders
w m.p.

Dwa bliźniacze pisma ministra Adama Pragiera do generała Władysława Andersa i do pułkownika Wincentego Bąkiewicza z 26 października 1945.

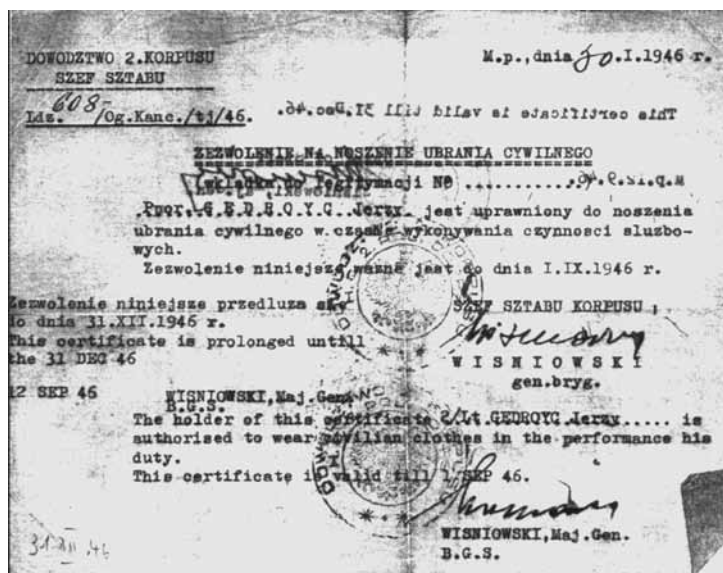
pisać, a o których oni Ci będą mówili. Chcąc czy nie chcąc, o tę naszą placówkę w Paryżu zazębia się sto spraw i sto ludzi i wszystko ma bliski związek z Twoją robotą. Głównie jeśli chodzi o odcinek rosyjski, oraz montowania antysowieckiego frontu nie widzę możliwości szerszego działania bez najściślej współpracy z Tobą. (...) Chciałbym, żebyś mógł mieć zaufanie zupełne do tych ludzi, których Ci posyłam, bo naprawdę obaj pragną gorąco nie zdawkowej i nie pozornej, ale rzeczywiście ścisłej współpracy z Tobą i Twoim aparatem”.

I to właśnie pułkownik Bąkiewicz — niesprawiedliwy wobec niego jest brak informacji o tym w *Autobiografii...*, na której kartach jego portret odmalowano głównie ciemnymi barwami — odegrał dość istotną rolę w realizacji projektu Giedroycia. „Wreszcie zainteresowałem D-cę Korpusu i gen. Wiśniowskiego Instytutem Literackim — pisał Bąkiewicz w liście do Czapskiego z 17 stycznia 1946 roku. — Środki pieniężne musi dać D-ca Korpusu. Wydaje mi się, że sprawa jest na dobrej drodze”. Była. Wprawdzie od rządu wciąż nie można się było doczekać konkretnych deklaracji, ale decyzję ze swej strony podjął już generał Anders. Dnia 11 lutego 1946 roku wyznaczył Jerzego Giedroycia, Władysława Wachałę i Tadeusza Siutę do organizacji Instytutu Wydawniczego w Rzymie. Stało się. Można było zatrudniać ludzi, szukać lokalu, kupować drukarnię — generał przeznaczył na ten cel osiem milionów lirów — i brać się do pracy.

To, że Instytut wreszcie powstał, wcale nie znaczyło, by miał przed sobą wspaniałe perspektywy. Pod znakiem zapytania stały przecież nie tylko obiecywane zamówienia rządowe, ale też przyszłość samego rządu. Sukces komercyjny planowanych wydawnictw własnych również pozostawał w sferze „wishful thinking”, a nie rzeczowej kalkulacji ekonomicznej.



„L'Unità” z 7 września 1945 z zamieszczonym na pierwszej stronie artykułem *Carabinieri aggrediti da fascisti polacchi*, z rysunkiem przedstawiającym uzbrojonych w kije polskich żołnierzy, bijących Włochów: „I fascisti polacchi: — E mettetevi bene in testa che il comunismo è un infame regime di violenza!”.



Zezwolenie na noszenie ubrania cywilnego, wydane Jerzemu Giedroycowi przez generała Kazimierza Wiśniowskiego 30 stycznia 1946 roku.

Było trochę zamówień wojskowych — każda dywizja czy brygada chciała mieć swój album pamiątkowy, wydawała jakieś gazetki, jednodniówki — ale to nie gwarantowało nowo narodzonej instytucji długiego żywota. Przyszłość 2 Korpusu była bowiem niepewna, a opinia o nim w skomunizowanych Włoszech — jak najgorsza. Z wyzwolicieli Polacy stali się „faszystami od Andersa”. By uniknąć kojarzenia Instytutu — będącego teoretycznie prywatną włoską firmą — z Korpusem, jego pracownicy otrzymali zezwolenie na chodzenie po cywilnemu.

Pesymizm bijący z listów Giedroycia z początku 1946 roku nie był li tylko kokieterią, stosowaną przezeń często w korespondencji z przyjaciółmi. Jerzy był istotnie w jak najgorszym nastroju i miał po temu powody. Przed raptem siedmiu laty był redaktorem pisma, które z numeru na numer coraz bardziej liczyło się w politycznym i kulturalnym świecie Warszawy. Miał dostęp do wielu wpływowych w państwie osób i śmiałe plany, które z kolei miały spore szanse powodzenia. Miał grono oddanych mu przyjaciół. Teraz zaś był żołnierzem armii, która lada chwila miała przestać istnieć. Był „państwowcem” państwa, którego już niemal nikt na świecie nie uznawał. Najbliżsi przyjaciele — Adolf Bocheński, Roger Raczyński, z którym jeszcze przed kilkoma miesiącami widział się w Atenach — już nie żyli. Podobnie rodzice, o czym dowiedział się zapewne właśnie w początkach 1946 roku. „Mam bardzo tragiczne wiadomości z kraju, które nagle napływają falą do mnie — donosił wówczas Zofii Hertz. — W każdym razie od dwóch dni nie mogę spać i spędzam noce w fotelu. Boję się, że mam powtórkę z moich poprzednich bezsenności. Bardzo to mnie męczy i czuję, że jak tak dalej pójdzie, to zwariuję”. Pozostali mu Dudek i Zygmunt, ten drugi — w odciętej od zachodniego świata Warszawie. Był samotny. Dla Tatiany miał na zawsze zachować wiele sentymentu i ciepłych uczuć, ale ich małżeństwo definitywnie odeszło w przeszłość. Po spotkaniu z Zofią Hertz pisał do niej w lutym: „Mam katzenjammer i bardzo źle się czuję i smutnie. Przekonałem się zdaje się definitywnie w Bolonii, że nie jestem zdolny do swojego szczęścia osobistego, że jestem stary i że jestem śmieszny”.

Skończył właśnie czterdzieści lat. Za sobą miał już — jak mu się wydawało — wszystko.

Zamiast zakończenia...

„**K**ultura» była najważniejszym polskim pismem intelektualnym drugiej połowy XX wieku. Przez ponad pół wieku w Maisons-Laffitte projektowano niepodległą Polskę, wolną tak od sowieckiej okupacji, jak i — przedwrześniowych błędów. Badano aktualną rzeczywistość krajową, rozpatrując i dokumentując najnowsze dzieje Polski.

Na łamach «Kultury» publikowali najwybitniejsi polscy twórcy XX wieku: Czesław Miłosz, Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński, Jerzy Stempowski, Konstanty A. Jeleński, Andrzej Bobkowski i Marek Hłasko, czy wreszcie — uczczony przez Sejm RP podobną uchwałą w roku 2003 — Witold Gombrowicz.

Jerzy Giedroyc wiedział, że przyszłej Polsce niezbędna jest normalizacja kontaktów z sąsiadami. Przełom w stosunkach polsko-ukraińskich w chwili «pomarańczowej rewolucji» w Kijowie, reakcja Polaków na ukraińską walkę o prawo do samostanowienia i demokratycznych wyborów — to prawdziwe zwycięstwo Redaktora.

Było również dla Jerzego Giedroycia oczywistym, że niepodległa Rzeczpospolita jest nieodłączną częścią Europy — i stąd wnikliwe, z nową Polską w perspektywie, analizy europejskiego zjednoczenia w rocznikach «Kultury».

Wieloletnia debata o przyszłej, niepodległej Polsce — docierająca nad Wisłę między innymi w postaci małych, wydawanych na «biblijnym» papierze numerów miesięcznika — była dla Polaków nieocenioną szkołą demokracji i wolności słowa. Jerzy Giedroyc stał się symbolem zdrowego rozsądku i niezachwianej hierarchii wartości. Wartości, wśród których pierwsze miejsce zajmowała wolna Polska w wolnym świecie. Dziś nie może być poważnej dyskusji o polityce międzynarodowej, kulturalnej czy społecznej — bez odniesień do dorobku Instytutu Literackiego i «Kultury».

(fragment uzasadnienia Uchwały Sejmu RP
o ustanowieniu roku 2006 Rokiem Jerzego Giedroycia)

Od Nerona do Napoleona — legenda i rzeczywistość Giedroyciów

Suplement

Historia ta ma swój początek w legendzie odnotowanej w litewskich i ruskich kronikach. W połowie V wieku cywilizowana Europa drżała ze strachu przed Hunami. W drodze na Rzym wojska Attyli po kilkumiesięcznym oblężeniu zdobyły położone na wybrzeżu Adriatyku miasto Akwileja. Część jego mieszkańców swe nowe domostwa wzniosła na niedalekiej wyspie — tak powstać miała Wenecja. Byli jednak i tacy, którzy spokojnego miejsca na ziemi postanowili szukać o wiele dalej. Jeden z nich, Palemon, obdarzony był najwyraźniej talentami przywódczymi — zorganizował wyprawę, w której wzięło udział aż pięćset rodzin. „Y poszli na korablech morem na północz, y obszedszy Francyi i Angliju, y wozli sut u korolewstwo Dunskoie, a w korolewstwie Dunskom uwoszli u more Akijan, y morem Akijanom doszli do ustija, hde reka Nemon wpadajet w more Akijan, potym poszli rekoju Nemnom...”. Płynąc Niemnem, dotarli wreszcie na tereny później Żmudzią zwane, gdzie znaleźli „rowniny welikija y dubrowy roskoszny y rozmaitoie użytosty napolnennych, wo zwerech rožnoho rożaju, to jest nayperwey turow, zubrow, łosey, oleney, sarn, rysey, kunie, lisic, biełok, hornostajew i innych rozmaitych rożajew”. Tak przynajmniej mówi *Kronika Bychowca*. Opowieść tę potwierdza *Kronika Litewska i Żmudzka*, z jednym tylko wyjątkiem: wszystko to

dziać się miało nie w czasach najazdu Hunów, lecz — bagatela — cztery wieki wcześniej. W tej wersji Palemon — protoplasta litewskiej szlachty — miał być krewnym Nerona, z przyjaciółmi i rodziną uciekającym przed prześladowaniami krwawego władcy.

Tak czy inaczej w połowie I czy V wieku — autorzy latopisów są tu zgodni — wśród najznamienszych towarzyszy Palemona znajdował się niejaki Dowsprunkow, Dosprongus, Dorszprung, czy też Dowszprung, w herbie mający centaury. Właśnie owego domniemanego Rzymianina kolejne pokolenia Giedroyciów od wieluset lat lubią uważać za swego protoplastę.

Ród Dowszprungowiczów vel Kitaurusów — od centaury, czyli kentaury, kitaura — szybko stał się jednym z najznamienszych na Litwie. Jako udzielnicy księżęta żelazem powiększali swe terytoria i rozstrzygali spory z sąsiadami i krewniakami, a jako kapłani doglądali świętego ognia, składali Perkunowi ofiary i chronili kmieci przed zaludniającymi puszcę strzygami, wąpierzami oraz wilłami. Bywało, że i sami bywali obiektami kultu.

Jeden z Dowszprungowiczów, Żywibund — niedługo przed tym, jak na arenę dziejów wkroczył Mendog, by po przyjęciu chrztu zostać w 1253 roku pierwszym i jedynym w historii królem Litwy — na początku XIII wieku zasiadał nawet na wielkoksiążęcym stolcu. Wśród potomków Żywibunda zaś, pod koniec tegoż XIII stulecia, znajdujemy pięciu braci: Trojdena, który przez dwanaście lat rządził Litwą jako wielki książę, oraz Dowmonta, Narymonta, Holszę i Giedrusa. Dowmonta za swego przodka w wywodach genealogicznych uznali później między innymi Świrscy, a Narymonta — Radziwiłłowie. Ród Holszy nazwał się po prostu

HIPPO-
CENTAURUS



HERB.

Herb Hippocentaurus
oraz jego opis z herbarza
Kaspra Niesieckiego.

Ma być pół człowieka nagiego, od pasa pół konia większe, bo o czterech nogach końskich; z ogona końskiego wąż głowę ku człowiekowi postaci skrzył w górę zadartą, do której w tył skierowany, z łuku napiętego strzałą mierzy, tak go opisał *Paprocki o herbach fol. 681.* lubo on go w prawą tarczy zapędzonego położył, *Okol. tom. 1. fol. 292.*

Holszańskimi, a jego przedstawiciele — w tym słynna Sonka, czwarta żona Władysława Jagiełły — pieczętowali się herbem Hippocentaurus.

Tym samym znakiem posługiwał się Giedrus, który niepełna 50 kilometrów od Wilna zbudował swą siedzibę. Stolicę swego księstwa nazwał bez fałszywej skromności Giedroycie. „Giedrus” znaczyć miało w języku Żmudzinów słońce; szesnastowieczny historyk Maciej Strykowski uważa więc nazwę Giedroycie za litewski odpowiednik Heliopolis (gr. Miasto Słońca). W dokumentach pierwsza wzmianka o ziemiach książąt giedroycyckich pojawiła się w 1338 roku, kiedy wielki książę Giedymin podpisał z zakonem krzyżackim umowę handlową. Obie strony zobowiązały się, że unikać będą działań zbrojnych w okolicach „terra Gedreythea”. Owe „ziemie giedroycyckie”, położone na północ od Wilna, sięgać mogły niekiedy aż do

Dźwiny i granicy inflanckiej. Według badaczy ich właściwy, stały tron stanowiło jednak terytorium o powierzchni mniej więcej dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych.

Wśród Giedroyców, jak się wydaje, niewielu zadowalało się dostatnim gospodarowaniem na rodowych włościach. Od początku lubili mieć wpływ na otaczający ich świat, a mogli go zyskać, przywdziewając zbroję lub szatę duchowną. Już w 1362 roku książę giedroycycki Hurda stawiał czoło rycerzom zakonu, gdy pod wodzą wielkiego mistrza Winricha von Kniprode oblegali Kowno, nękając je ostrzałami artyleryjskimi z „puszek”. Wezwany do poddania miasta, Hurda odmówił i wraz z trzema tysiącami załogi zginął w podpalonym przez Krzyżaków zamku. Opowieść o tym wydarzeniu przechowywała pamięć okolicznej ludności przez dwieście lat — wspomniany już Strykowski zapisał, że „i teraz Litwa śpiewa i Żmudź o księciu jednym Giedrockim, który w tym oblężeniu lamentliwie narzeka, mówiąc: nie takiemu zamku żal jako mężnych rycerzów i bojarów w ogniu gorejących, a to książę giedrockie był, hetman ich”. Strykowski zanotował też pieśń poświęconą synowi Hurdy, Dowmontowi, który na polu Kaulis — niedaleko założonych przez siebie Widziniszek — pobił Krzyżaków, a przed bitwą „prosił o dobrych jeźdźców” („Doumantas, Doumantas, Gedrotos Kunigos labos Rajtos ługuje”).

Synowie tegoż Dowmonta — jak dzisiaj pisze zajmujący się historią rodziny Michał Giedroyc z Oksfordu — „wegetowali w cieniu groźnej postawy Witolda”. Istotnie, stryjeczny brat Władysława Jagiełły — wnuk Giedymina — miał ambicje nie tylko wielkksiążęce, ale i królewskie. Mógł tolerować tych książąt, którym wystarczała pamięć o własnym tytule, ale nie tych, którzy — jak on — pragnęli władzy. Encyklopedia Orgelbranda podaje, że „Witold, chcąc zatrzeć prawa starszej

zaś, Michał, syn wywłaszczonego buntownika Piotra, trafił do zakonu kanoników regularnych od pokuty. Od dziecka ułomny, poruszający się o kulach, wykonywał najprostsze prace w kościele Świętego Marka w Krakowie. Nie był zresztą wówczas jedynym giedroyckim w stolicy — w tym okresie już siedmiu członków klanu pobierało nauki w Akademii Krakowskiej. Nie wiemy, czy chromego Michała przyjęto do grona żaków — imię to widnieje wprawdzie w odpowiednich rejestrach, ale przekreślone i poprawione na Mikołaj. Ów Michał szybko zasłynął nie tylko z gorliwości w wierze, ale też z czynionych cudów. Przepowiadał przyszłość, uzdrowiał, znakiem krzyża potrafił odpędzić szalejący pożar. Zmarł w aurze świętości w 1485 roku. Już ci, którzy tłumnie uczestniczyli w jego pochówku, mówili o nim „błogosławiony”. Jego mir rósł z biegiem czasu, nie bez udziału kilku biskupów, których rodzina Giedroyców dała Kościołowi. Obecnie trwa jego proces beatyfikacyjny. W kościele Świętego Marka, prócz poświęconej Michałowi kaplicy, znajduje się też cudowny obraz Matki Boskiej, przed którym modlić się miał sam błogosławiony — tak zwana Madonna Giedroyciowa.

Wiek XVI był dla Giedroyców przełomowy. Weszli weni jeszcze jako „giedroyccy” czy „kgedroitskie” — właściwie bez nazwiska. Dzisiaj Michał Giedroyc w swych opracowaniach ówczesne więzy rodzinne porównuje do organizacji szkockich klanów. „Giedroyckimi” byli więc kniaziowie, czyli potomkowie Giedrusa, a może i samego Dowszprunga, ale i bojarzy, wywodzący się od pierwszych poddanych Giedrusa. W *Popisach wojska litewskiego* z 1528 roku zapisano, że owi „kniaziowie i bojarzy giedroyccy” zobowiązani byli do wystawienia chorągwi złożonej z 234 koni. Historycy twierdzą, że aż 50 spośród wówczas wymienionych miało prawo do



Błogosławiony
Michał Giedroyć

tytułu kniaziowskiego, a tylko 11 było bojarami. Przez trzy wieki potomkowie Giedrusa trwali więc na terenach, którymi niegdyś władali, faworyzując swych krewnych, a pozbywając się rodzin bojarskich.

Im więcej jednak czasu mijało od udzielności kniaziów giedroyckich, tym zachowanie spójności klanu było trudniejsze. Kolejne, coraz liczniejsze pokolenia dzieliły majątek na coraz drobniejsze części, coraz też luźniejszy odczuwały między sobą związek. Mógłby je w jakiś sposób jednoczyć tytuł kniaziowski, którego już nie trzeba było ukrywać, ale

w tym czasie — w połowie XVI wieku — na Litwie ważniejsi byli inni książęta: Radziwiłłowie, którym tytuł ten przyznał Karol V, władca Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego.

Ten moment w historii rodu stanowi problem dla wszystkich historyków i genealogów. Znikają nagle niektóre gałęzie giedroyckich, którzy zapominają o swych dynastycznych korzeniach i zszedłszy materialnie do poziomu zwykłego ziemiaństwa, zaczynają się nazywać Paszkiewiczami, Zdanowiczami czy Mackowiczami. Na scenie pozostaje główny trzon rodu, który w końcu XVI wieku składa się z trzech gałęzi. Jedna z nich, posługująca się przydomkiem Juraha, w następnych wiekach odsunie się na ubocze. Dwie główne zaś — co precyzyjnie, za dziewiętnastowiecznym dziełem Józefa Wolffa *Kniaziowie litewsko-ruscy*, opisuje Michał Giedroyc — przejmą na siebie ciężar całej spuścizny oraz przyszłości rodu i używać będą nazwiska Giedroyć. Od imion ich „założycieli”, żyjących na przełomie wieków XV i XVI, a więc tuż przed spisaniem *Rejestru kniaziów i bojarów giedroyckich*, nazwano je gałęziami: Aleksandra i Bartłomieja.

To punkt kluczowy — do dziś nie wiadomo, jakie pokrewieństwo łączyło obu panów. Bartłomiej był wnukiem Dowmonta — tego, którym poniewierał wielki książę Witold. Czyim synem był Aleksander? Na podstawie znanych dziś dokumentów nie sposób jednoznacznie odpowiedzieć. Michał Giedroyc zauważa, że członkowie tej części rodziny już w XVIII wieku nie znali na nie odpowiedzi. Ale wydaje się, że to Aleksander wiódł prym wśród Giedroyciów w początku XVI wieku. Wiemy bowiem, że nie ktoś z rodziny Bartłomieja, ale syn Aleksandra — Jakub — rezydował w 1528 roku na rodowym zamku w Giedroyciach. Musiał więc Aleksander, tak



Madonna Giedroyciowa

samo jak Bartłomiej, bezpośrednio wywodzić się z głównego pnia rodu. Jednym z potomków Aleksandra był właśnie — cztery wieki później — bohater tej książki, Jerzy Giedroyć.

Następcy Aleksandra, mimo że ważniejsi w rodzie, długo nie potrafili powrócić do dawnej świetności Giedroyciów. Już w końcu XVI wieku Strykowski pisał o dumnym niegdyś zamku w Giedroyciach, że „dziś ledwo horodyszczce znać”. Coraz więk-

sze znaczenie zaczynała mieć druga siedziba Giedroyciów — Widziszki. W tym bowiem czasie o swoje miejsce w historii zaczęli zabiegać Giedroyciowie z linii Bartłomieja. Już jego syn, Mateusz, w 1551 roku posłował w imieniu Zygmunta Augusta do Iwana Groźnego. Skoro jednak wcześniej rosyjski poseł dostał od kancelarii królewskiej dokumenty, w których celowo nie użyto tytułu carskiego wobec Iwana, to i Giedroyć podczas audjencji 28 czerwca otrzymał pismo, w którym Zygmunta Augusta tytułowano jedynie wielkim księciem. „Wystraszony, przyjął je z rąk bojarów — opisuje to zdarzenie Władysław Konopczyński — ale porzucił na drodze nazajutrz



XVII-wieczny portret
biskupa Melchiora
Giedroycia.

po odjeździe z Moskwy”. Opowieść ta może jest — jak twierdzi Michał Giedroyc — niesprawiedliwa dla Mateusza, który nie tylko nie doczekał się żadnej kary ze strony Zygmunta Augusta, ale po latach dostał nawet tytuł marszałka, trudno jej jednak odmówić pewnego smaczku.

Synowie Mateusza w 1569 roku podpisali akt unii lubelskiej, który notabene potwierdził ich tytuł książęcy, jeden z nich walczył pod Kircholmem, a najwybitniejszy — Melchior — jako biskup żmudzki doprowadził do wydania katechizmu i *Postylli* księdza Jakuba Wujka w języku litewskim.

Melchior był niewątpliwie wizjonerem, gdy idzie o zarządzanie diecezją, podminowaną radziwiłłowskim kalwinizmem, luteranizmem, a wreszcie — podnoszącym głowy pogaństwem. Sam zarówno spowiadał, jak i głosił kazania po żmudzku i litewsku, a księży namawiał do nauki języków, którymi mówiły ich owieczki. Własnoręcznie też ponoć wyrzynał święte dęby, sadzone być może przez jego przodków. O warunkach, w jakich mu na Żmudzi przyszło pracować, tak pisał: „W większej części naszej diecezji nie znajdziesz nikogo, który by się spowiadał w swym życiu, komunikował, znał «Ojcze nasz» albo umiał uczynić znak krzyża św. Nie ma tam też żadnego, który by miał jakieś pojęcie o tajemnicach wiary św. Tym jednym oni się zadowalają: «Nie jesteśmy lutrami, nie jemy mięsa w piątki». Powszechnie składają ofiary grzmotom, czczą węże i dęby jako rzeczy święte; ofiarują obiady duszom zmarłych i dopuszczają się różnych podobnych czynów płynących raczej z nieświadomości niż z przewrotności, a wróżby u nich nie uchodzą za grzech”. Przy tym biskup wypełniał wiele obowiązków państwowych — jako senator rokował z Moskwą, a jako delegat sejmowy wytyczał granicę między Żmudzią a Kurlandią.

Jeszcze w pierwszej połowie XVIII stulecia Józef Aleksander Jabłonowski w swym *Traktacie o familiach y Colligacyach, Pokrewieństwach między sobą Domów Polskich y Litewskich teraz słynących y na Urzędach y Starostwach będących* lekceważył Giedroyciów, twierdząc, że „o tych się pisać nie może, tylko to, co o kolosie jednym wywróconym napisano. Stał się *magni nominis umbra*, teraz nie masz nic, co by było wielkiego y świętnego w tym domu”.

W czasie kiedy pojedynczy potomkowie Bartłomieja wpisują się na karty historii Rzeczypospolitej, pieczętując się już

nie Hippocentaurem, ale herbem Róża, wnukowie i prawnukowie Aleksandra jedynie trwają. Z cienia litewskich puszczych wyjdą dopiero po upływie dwóch wieków, w ostatnich latach przed rozbiorami. Jan Stefan, syn Benedykta, stolnika wileńskiego, karierę kościelną zawdzięczał poparciu króla Stanisława Augusta i biskupa Ignacego Massalskiego. W 1764 roku objął diecezję inflancką, czternaście lat później — żmudzką. Politycznie cechowała go chwiejność: zwalczał konfederatów barskich, ale gdy przyszedł czas pierwszego rozbioru, stanął się na zamku, by protestować przeciw niemu. „Jeśli trzeba męczennika — będę nim”, upierał się biskup Jan Stefan i dopiero sam król odwiódł go od „bezużytecznego męstwa”. Nie okazał go już nigdy więcej. Stracił wiarę w sens opierania się Rosji i stał się jej dozgonnym stronnikiem. Był przeciwnikiem królewskich reform i majowej konstytucji. „Miał opinię galanta i modnisiarza, miernego umysłowo, słabego w wierze, oportunisty w polityce”, pisze Tadeusz Turkowski. Powszechnie znany był ze skąpstwa i nepotyzmu. „Najchętniej zbierał pieniądze, wychowywał (...) krewniaków — ciągnął listę przywar biskupa Tadeusza Dobszewicza — (...) wynosił ich na urzędy duchowne, zapełnił nimi prawie całą kapitułę (...) i porozdawał najdostatniejsze beneficja w diecezji”. Istotnie, biskup był na tyle zapobiegliwy, że nawet wystarał się u papieża o prawo następstwa po sobie dla kuzyna — z linii bartłomiejowskiej — Józefa Arnolfa. Politycznie nie znaczył on tyle, co jego protektor, choć nauczył się od niego — jak się zdaje — umiejętności utrzymywania się na powierzchni bardzo nawet wzburzonych wód. Zasłużył sobie u carycy Katarzyny II na prezent w postaci diamentowego krzyża, ale też — kilka lat wcześniej — na polecenie króla Stanisława Augusta ofiarne zbierał fundusze na sprawę publiczną.

W następnych latach — rok po roku — składał przysięgi na wierność: najpierw cesarzowi Napoleonowi, potem carowi Aleksandrowi. W pamięci wiernych zapisał się jednak lepiej od biskupa Stefana. „Gorliwy kapłan, dostępny dla wszystkich, rozwijał owocną działalność na polu oświaty ludu — czytamy o Józefie Arnolfie w *Polskim Słowniku Biograficznym*. — Energetycznie wspierany przez ks. Adama Czartoryskiego, zakładał szkoły parafialne, szkoły ponadwydziałowe, powiatowe i gimnazja”. Główną jego zasługą było przetłumaczenie na język żmudzki Nowego Testamentu. Gorsze wspomnienia pozostawił po sobie inny z protegowanych biskupa modnisiarza, Szymon Michał Giedroyc, który w kurii żmudzkiej robił w owym czasie karierę ściśle urzędniczą, by po śmierci Józefa Arnolfa zostać administratorem tej diecezji. Głównym konkurentem Szymona Michała w antyszambrowaniu u kolejnych biskupów Giedroyców był ksiądz Ignacy Michał. Również Giedroyc, rzecz jasna.

Michał Giedroyc broni biskupa Jana Stefana, podkreślając dwukrotnie, że jego pasją było „przywrócenie rodzinie dawnej świetności”. Istotnie, na ambicje świadomego swego pochodzenia dostojnika rzeczywistość osiemnastowiecznej Rzeczypospolitej musiała wpływać pobudzająco. Trzęsły nią wówczas nazwiska, które wszak nic jeszcze nie znaczyły, w czasie gdy jego przodkowie byli już jednym z najznaczących rodów Litwy. Po Księstwie i Koronie kręciły się w różnym charakterze setki Giedroyców, mniej lub bardziej zdolnych i ambitnych, choć w życiu publicznym wciąż pozostających *magni nominis umbra*... — „cieniem wielkiego nazwiska”. Biskupie, kniaziowskie serce zapewne przenikał ból, że jacyś Poniatowscy czy Branicki mają więcej do powiedzenia. Familia Czartoryskich może nawet zachowała w swych żyłach

krewni Giedymina, ale do niego Giedroyciowie z powodów oczywistych sympatii mieć nie mogli. Zresztą gdzież nawet Giedyminowiczom do potomków Rzymianina Dowszprunga! Biskup Jan Stefan nie mógł przewidzieć — co by mu już zapewne do reszty psuło humor — że w ciągu następnego, XIX stulecia w Polsce pojawią się w hurtowych ilościach hrabiowie, baronowie, czy nawet margrabiowie, świeżo przez zaborców mianowani.

Większą jednak niż żmudscy biskupi i sufragani razem wzięci rolę odegrał w tej epoce inny z Giedroyciów — Romuald Tadeusz. Walcząc po stronie konfederacji barskiej, dosłużył się stopnia majora, a bijąc Moskała w 1792 roku — generała-majora. Dwa lata później wziął udział w insurekcji kościuszkowskiej. Mason, radykał, w symbolicznym geście odrzucił wówczas tytuł ksiązęcy. Awansowany na generała-lejtnanta, otrzymał od Naczelnika Kościuszki pamiątkową obrączkę „Ojczyzna — swemu obrońcy”. Po upadku powstania na Litwie dotarł na czele swych oddziałów do Warszawy, gdzie walczył w obronie stolicy. Spędziwszy kilka miesięcy w niewoli, wyjechał do Paryża. Tam wszedł w skład pięcioosobowej Deputacji Polskiej. „Przystojny, pełen krewkiego temperamentu, przekonanych radykalnych, zjednał sobie licznych przyjaciół wśród lewicy emigracyjnej — czytamy w *Polskim Słowniku Biograficznym* — a nadto pozyskał szczególniejsze względy zalotnej i romansowej Józefiny Beauharnais, późniejszej żony Napoleona I”.

Na chwilę jeszcze wrócił generał Romuald na Żmudź, gdzie próbował organizować nowe powstanie; kiedy jego starania wykryto, salwował się ucieczką do Saksonii. Pozostając w stałych kontaktach z Kościuszką — i sporach z Dąbrowskim — głosił ideę prowadzenia walki narodowej w opar-



Krypta katedry w Worniach. Kościół katedralny w Worniach — stolica diecezji żmudzkiej znajdowała się w granicach historycznego „księstwa giedroycyckiego” — stał się miejscem ostatniego spoczynku dla biskupów Giedroyciów. Kilka lat temu do wornieńskiej krypty trafiła też kopia maski pośmiertnej Jerzego Giedroycia.

ciu o ponadklasowy sojusz wszystkich sił. Gdy nadszedł rok 1812, tytułowy dla księgi XI *Pana Tadeusza*, Romuald Tadeusz wszedł w skład władz wojskowych Litwy, był nawet prezesem Komitetu Wojskowego. Wysłałszy rodzinę do Paryża, walczył ramię w ramię z wycofującymi się spod Moskwy dowódcami cesarza. Po raz kolejny trafił do niewoli. Tym razem wysłany został do Archangielska. Tu jednak zadziałały „szczególniejsze względy Józefiny” — przyjmując, już jako eks-cesarzowa, cara Aleksandra I, poprosiła go o uwolnienie Giedroycia. Jej prośbie stało się zadość, ale dla samej Józefiny prowadzone



Generał Romuald
Giedroyc

w ogrodzie w Malmaison rozmowy z Aleksandrem skończyły się tragicznie: nabawiła się zapalenia płuc i po kilku tygodniach zmarła. Romuald zaś wrócił do Warszawy, gdzie prowadził bogate życie towarzyskie, to przyjmując gości we własnym salonie, to bywając u wielkiego księcia Konstantego. Zmarł w Warszawie, pochowany został na Powązkach.

Pod wodzą cesarza walczył również syn Romualda, Józef Stefan, który wykazał się odwagą w Hiszpanii i pod Wagram. Trafiwszy wraz z ojcem do niewoli, zesłany został w okolicę Morza Białego, skąd wrócić mógł dopiero po abdykacji

Napoleona. Powitał wracającego z Elby cesarza i został włączony do jego sztabu w randze *adjudant-commandant*. Po klęsce Napoleona wrócił w rodzinne strony. Miał na Litwie odegrać istotną rolę podczas powstania listopadowego, ale został zaawczasu aresztowany i jako anonimowy więzień wysłany za Ural. Brat jego, Aleksander Konstanty, robiący w tym czasie w Petersburgu karierę cesarskiego szambelana, trzy lata poświęcił, by odnaleźć Józefa i uzyskać dlań łaskę uwolnienia. Koniec życia spędził cesarski ulubieniec we Francji, dokąd potajemnie uciekł wraz z rodziną. Jego syn, urodzony w roku 1821, nosił imiona dwóch wodzów, z którymi ojciec i dziad związali swe życie: Napoleon Tadeusz.

Spośród najbliższych krewnych Romualda warta wspomnienia jest również jego córka Kunegunda, dama dworu cesarzowej Józefiny, która po upadku Napoleona wróciła do Warszawy, by zyskać niesławny rozgłos jako autorka powieści *Hrabia Teodor, czyli Łazienki w Warszawie*. O czym traktował ten dwudziestodwustronicowy utwór, możemy się tylko domyślać, został bowiem natychmiast przez rodzinę — jak pisze Karol Estreicher w swej *Bibliografii Polskiej XIX stulecia* — „wytępiony dla skandalicznej niemoralności”. Po niemal dwustu latach Jerzy Giedroyc bezskutecznie usiłował odszukać jakiś zachowany egzemplarz *Hrabiego Teodora*... W 1831 roku Kunegunda wraz z matką, siostrą, Łucją i córką — była bowiem przez jakiś czas żoną Jerzego Białopiotrowicza, adiutanta swego ojca — wyjechała do Paryża. Tam dane jej było przeżyć jeszcze pół wieku w charakterze opiekunki i benefaktorki polskich uchodźców. Specjalnie dobrze wypadła w tej roli w epoce Napoleona III, kiedy zaprocentowała jej przeszłość z czasów pierwszego cesarstwa. Pod koniec życia „skandalicznie niemoralna” Kunegunda zaczęła grać na giełdzie — nie

miała jednak w tym kierunku żadnych uzdolnień. Sparaliżowana w okresie Komuny Paryskiej, wróciła z wnuczką do Polski, gdzie umarła.

Wspomniana siostra Kunegundy, Łucja, również miała ambicje literackie — opublikowała między innymi kilka tomów opisów podróży po Europie. Prywatnie była drugą żoną Józefa Rautenstraucha; z pierwszą, Heleną, rozwiódł się, gdy wdała się w romans z carem Aleksandrem I. Owocem owego romansu był Gustaw Ehrenberg, polski rewolucjonista, autor pieśni *Gdy naród do boju wystąpił z orężem...*

Po tej gałęzi rodu zostało kilka grobów na polskim cmentarzu w Montmorency pod Paryżem — w tym samym miejscu, gdzie pochowani zostali między innymi generał Karol Kniaziewicz, Julian Ursyn Niemcewicz, Adam Mickiewicz i Cyprian Kamil Norwid. W samym zaś Paryżu — na cmentarzu Montmartre — spoczął Jan Józef Giedroyć, jeden z przywódców powstania listopadowego na Litwie. Renowację grobowców Giedroyciów w Montmorency finansował po latach — dbając o dyskrecję — Jerzy Giedroyć. W tym samym czasie nad historią rodu pracował w Oksfordzie jego kuzyn z gałęzi Bartłomieja — Michał, syn senatora Tadeusza Giedroycia. W powszechnej opinii niezbyt przejmujący się swym pochodzeniem, Jerzy Giedroyć utrzymywał z Michałem stały kontakt i regularnie wysyłał mu wszelkie giedroyciana, do jakich udało mu się dotrzeć.

Żeby obraz dziejów rodu był w miarę kompletny, wspomnieć też należy, że były i takie jego gałęzie, które mniej lub bardziej poddawały się rusyfikacji. Wśród potomków Mateusza, który zasłynął posłowaniem do Iwana Groźnego, znajdujemy Ignacego Giedroycia — w młodości uczestniczył on w powstaniu styczniowym, by po latach dosłużyć się tytułu radcy stanu. Jego córka, Wiera Ignatiewna, sympaty-

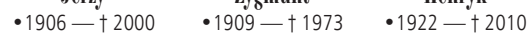


Doktor Wiera I. Giedroyć
wśród rannych w szpitalu
w Carskim Siole.

zowała wprawdzie z demokratami rosyjskimi, ale z polskim ruchem niepodległościowym nic jej nie łączyło. Była to osoba nieprzeciętna — zasłynęła jako pierwsza w historii Rosji kobieta chirurg. W 1909 roku została nawet — dzięki życzliwości, jaką darzyła ją cesarzowa Aleksandra Fiodorowna — starszym ordynatorem pałacowego szpitala w Carskim Siole. Jednocześnie była dość

cenioną poetką. Po rewolucji ukrywała się ponoć jakiś czas u mnichów w kijowskiej Ławrze Pieczerskiej. Ukrywała się nie sama, ale z Marią Dymitrowną Nirod, swoją partnerką. Kilkakrotnie była aresztowana, ale za każdym razem miał się za nią wstawiać pewien czekista, któremu przed laty w carsko-siołskim szpitalu uratowała życie. Ze wspomnień przyjaciół obu pań wiemy, że postawna, mówiąca o sobie w rodzaju męskim i po męsku się ubierająca Wiera Ignatiewna nigdy nie została zaakceptowana przez dzieci swej wybranki. Umarła w 1932 roku na raka, którym przez lata zajmowała się naukowo, przypisując mu zresztą charakter choroby wirusowej.

OD NERONA DO NAPOLEONA 493



A gdzie w gąszczu korony drzewa genealogicznego Giedroyciów, wśród splecionych gałęzi i uschniętych pędów, szukać bezpośrednich przodków bohatera niniejszej książki, Jerzego? Jako się rzekło, wśród potomków Aleksandra. Dokładniej rzecz ujmując, w początkach XVII wieku, kiedy w Giedroyciach urodził się Arnolf — pradziad biskupa Stefana, a jednocześnie bezpośredni przodek Jerzego. Arnolf miał trzech synów, wśród nich Adama, który w 1704 roku został mianowany cześnikiem brasławskim. Jego praprawnuk Lucjan Walerian był pradziadkiem Jerzego Giedroycia.

Rodowód ten znany z wyciągu sporządzonego na podstawie zachowanych materiałów heroldii — urzędu cesarskiego, zajmującego się właśnie tytułami, genealogią szlachty etc. Być może uda się w przyszłości dokładniej zbadać rosyjskie archiwa, gdzie prawdopodobnie zachowały się inne dokumenty związane z tą gałęzią Giedroyciów. I oni przecież wpisywali swych potomków do ksiąg rodowych, i oni składać musieli podania i uzyskiwać najrozmaitsze zaświadczenia, gdy posyłali ich do szkół, wojska etc. Dokumenty takie mogą się również znajdować na Białorusi, w archiwach mińskiego Dworiansko-go Deputatskogo Sobranija, DDS-u, czyli tamtejszej Deputacji Szlacheckiej. Również akta wileńskiego DDS-u są kopalnią wiedzy o setkach przedstawicieli rozmaitych gałęzi rodu Giedroyciów — niestety, nie tej, która najbardziej nas interesuje. Gdzie mieszkali, jakie mieli majątki, jakie prowadzili interesy, ile osób zatrudniali, kiedy się żenili i jakie spisywali testamenty — tego rodzaju informacje możemy jeszcze odnaleźć.

Na razie wiemy bardzo niewiele. Nie wiemy nawet, kiedy i w jakich okolicznościach, ani też gdzie dokładnie Giedroyciowie osiedlili się w okolicach Mińska. Redaktor wspominał — jako ostatni ślad materialnej świetności tej



Karta tytułowa wywodu genealogicznego jednej z rodzin Giedroyciów, przechowywanego w Państwowym Archiwum Historycznym Litwy.

gałęzi rodu — „folwarczek pod Śmiłowiczami”, który miał być własnością jego dziadka. Gdzie dokładnie owa posiadłość się znajdowała? Czy Bronisław Lucjan Giedroyc gospodarował na niej sam, czy też z bratem, Julianem Kazimierzem? I wreszcie, czy rzeczywiście folwarczek ów był własnością dziadka naszego bohatera, czy też był jedynie przez niego zarządzany? Tej ostatniej możliwości wydaje się dowodzić fakt, że żadnego z braci nie uwzględnili szczegółowe spisy posiadaczy ziemskich, jakie przeprowadzono w guberni mińskiej w latach 1870 i 1889.

Jerzy Giedroyć ze spotkania z dziadkiem, Bronisławem Lucjanem, zapamiętał nie jego samego, ale... drzewo i psa. Wiedział o nim niewiele więcej. Nie jesteśmy też pewni, jak miała na imię babcia; możliwe, że Olimpia — tak napisała jedna z jego ciotek, gdy po wojnie przez Polski Czerwony Krzyż próbowała się czegoś dowiedzieć o losach rodziny. Kiedy dokładnie do Mińska sprowadził się ich syn, Ignacy Giedroyć? Gdzie i kiedy skończył studia farmaceutyczne, o których w *Autobiografii na cztery ręce* wspominał Jerzy Giedroyć? W Wilnie, w Moskwie, może w Petersburgu? Niemal żadnych informacji na temat rodziny ojca nie zostawił nam Jerzy Giedroyć. Jego dzieciństwo zmonopolizowała rodzina matki.

Ważniejsze źródła i lektury, cytowane i polecane

- Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, Londyn 1950.
Jerzy Andrzejewski, *Książka dla Marcina*, Warszawa 1954.
Zdzisław Bau, „Salus” i konspiracja Klimkowskiego, „Kultura” (Paryż) 1978, nr 1–4.
Ewa Berberyusz, *Anders spieszony*, Londyn 1992.
Ewa Berberyusz, *Księżę z Maisons-Laffitte*, Warszawa 2000.
Roman Buczek, *Człowiek do złotych interesów*, Warszawa 1991.
Iza Chruślińska, *Była raz „Kultura”...* Rozmowy z Zofią Hertz, Lublin 2003.
Lidia Ciołkoszowa, *Spojrzenie wstecz*. Rozmowy przeprowadził Andrzej Friszke, Paryż 1995.
Maria Czapka, *Czas odmieniony*, Paryż 1978.
Józef Czapki, *Świat w moich oczach*. Rozmowy przeprowadził Piotr Kłoczowski, Ząbki–Paryż 2001.
Józef Czapki, *Tumult i widma*, Paryż 1981.
Krzysztof Dach, Tadeusz Dubicki, *Marszałek Ion Antonescu. Biografia żołnierza i polityka*, Łódź 2003.
Wiktor Tomir Drymmer, *Wspomnienia*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1974, nr 30; 1975, nr 31.
Wiktor Tomir Drymmer, *Zespoły dyskusyjne i organizacje tajne*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1972, nr 22.
Tadeusz Dubicki, *Konspiracja polska w Rumunii 1939–1945*, Warszawa 2002.
Tadeusz Dubicki, *Likwidacja polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Rumunii — 4 listopada 1940 r.*, „Teki Historyczne” (Londyn) 1993, t. XX.
Tadeusz Dubicki, *Polscy uchodźcy w Rumunii 1939–1945. Studia i materiały*, Warszawa 1995.
Tadeusz Dubicki, *Przedmoście rumuńskie*, Częstochowa 2000.

- Tadeusz Dubicki, Stanisław J. Rostworowski, *Sanatorzy kontra Sikorszczycy, czyli walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939–1940*, Warszawa 1993.
- Tadeusz Dubicki, Andrzej Suchcitz, *Depesze wojenne Attachatu Wojskowego przy Ambasadzie RP w Bukareszcie 1939–1940*, Tarnowskie Góry 2006.
- Władimir Dżianisau, *Pamiętnyja mjasziny, zwjazanyja z minskim perjadam życia Jerzy Giedrojca*, w: *Na uszanowanie pamięci Jerzy Giedrojca*, Mińsk 2006.
- Dziennik cara Mikołaja II*, tłum. Leon Kozłowski, Warszawa 1998.
- Dziennik czynności gen. Władysława Andersa 1941–1945*, oprac. Bogusław Polak, Koszalin 1998.
- Edward Figauzer, *Siostry Benedyktynki Samarytanki w Henrykowie*, www.gazetaecho.pl/cgi-bin/echo/wawa/001/figa6.
- Andrzej Garlicki, *Dzieje Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 1982.
- Jerzy Giedroyc, *Bardzo luźne wspomnienia z wczesnego dzieciństwa*. Fragment rozmowy z Mirosławem A. Supruniukiem, „Archiwum Emigracji” (Toruń) 2000, t. 9, z. 3.
- Jerzy Giedroyc, *Ze wspomnień nienapisanych (dwa spotkania)*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1984, nr 70.
- Jerzy Giedroyc, Melchior Wańkowicz, *Listy 1945–1963*, oprac. Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Warszawa 2000.
- Hanna Maria Giza, *Ostatnie lato w Maisons-Laffitte*, Wrocław 2007.
- Rosie G[oldschmidt] Waldeck, *Athenae Palace*, Nowy Jork 1942.
- Waldemar Grabowski, *Polska Agencja Telegraficzna 1918–1991*, Warszawa 2005.
- Henryk Gruber, *Wspomnienia i uwagi*, Londyn 1968.
- Andrzej Grzywacz, Marcin Kwiecień, *Sikorszczycy kontra sanatorzy 1939–1940*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1999, nr 127, 129.
- Rafał Habielski, *Dokąd nam iść wypada? Jerzy Giedroyc od „Buntu Młodych” do „Kultury”*, Warszawa 2006.
- Rafał Habielski, Jerzy Jaruzelski, *Zamiany, przestrogi, nadzieje. Wybór publicystyki „Buntu Młodych” i „Polityki” (1931–1939)*, Lublin 2008.
- Michał Heller, *Historia imperium rosyjskiego*, tłum. Eugeniusz Melech, Tadeusz Kaczmarek, Warszawa 2002.
- Michał Heller, Aleksandr Nickricz, *Utopia u władzy*, tłum. Andrzej Mietkowski, Londyn 1985.
- Benedykt Heydenkorn, *Służba prasowa 2. Korpusu*, „Tydzień Polski” (Londyn), 4 XII 1971.
- Kazimierz Iranek-Osmecki, *Afera Mikicińskiego*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1975, nr 32.
- Jerzy Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz 1896–1966. Wilno–Londyn–Warszawa*, Warszawa 1994.
- Paweł Jasienica, *Pamiętnik*, Warszawa 1993.
- Janusz Jasieńczyk [Janusz Poray-Biernacki], *Po Narwiku był Tobruk, Jerozolima* 1945.
- Włodzimierz Jastrzębski, *Leon Janta-Polczyński (1867–1961), minister i senator z Borów Tucholskich*, Toruń 2001.
- Stefan Kisielewski, *Spotkania z Jerzym Giedroyciem*, w: *O „Kulturze”. Wspomnienia i opinie*, oprac. Grażyna i Krzysztof Pomianowie, [Warszawa] 1988.
- Stefan Kisielewski, *Sprzysiężenie*, Kraków 1957.
- Jeremi Kornaga [Zygmunt Piątkowski], *Robotnicy*, Warszawa 1932.
- Aleksandra Kosicka-Pajewska, *Polska między Rosją a Niemcami. Koncepcje polityczne Adolfa Bocheńskiego*, Poznań 1992.
- Stefania Kossowska, *Przyjaciele i znajomi*, Toruń 1998.
- Stanisław Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, Londyn 1956.
- Zygmunt Kotkowski, *Na kontynencie afrykańskim*, Londyn 1972.
- Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Od Bukaresztu do Laffitów. Jerzego Giedroycia Rzeczpospolita epistolarna*, Sejny 2006.
- Marcin Król, *Style politycznego myślenia*, Paryż 1979.
- Wojciech Krzyżanowski, *Lata bukareszteńskie*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1976, nr 38; 1977, nr 39; 1978, nr 43, 44.
- Wojciech Krzyżanowski, *List do Redakcji*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1975, nr 34.
- Księga adresowa Polaków zamieszkałych w Rosji*, b.m., 1916–1917.
- Mariusz Kubik, *Niepospolity umysł Giedroycia*. Rozmowa z Władysławem Żeleńskim, „Gazeta Uniwersytecka” (Katowice) 2001.
- Aleksander Lednicki, *Pamiętnik 1914–1918*, Kraków 1994.
- Oleg Łatyszonek, Jewgienij Mironowicz, *Historia Białorusi*, Białystok, b.r., www.kamunikat.org.
- Juliusz Łukasiewicz, *Wspomnienia z 1939 roku*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1969, nr 16.

- Tadeusz Mateja [Tadeusz Rozmanit], *Podwójne życie Jerzego Giedroycia*, Malmö 1965.
- Marek Mądzik, *Z działalności Polskiego Towarzystwa Pomocy ofiarom wojny na Białorusi w latach I wojny światowej*, „Zapiski Historyczne” (Toruń) 1996, t. LXI, z. 1.
- Bohdan Michałowski, *Rys historyczny Szpitala św. Łazarza w Warszawie*, „Szpitalnictwo Polskie” (Warszawa) 1963, t. VII, nr 4.
- Leon Mitkiewicz, *W Wojsku Polskim 1917–1921*, Londyn 1976.
- Kajetan Morawski, *Wspólna droga z Rogerem Raczyńskim*, Poznań 1998.
- Pani Florentyna [Wanda Kwiecińska], *100 przepisów przyrządzania ryb morskich*, Bydgoszcz 1930.
- Tomasz Parczewski, *Pamiętniki gubernatora Kronsztadu*, Warszawa 2006.
- Michał Kryspin Pawlikowski, *Wojna i sezon*, Paryż 1965.
- Andrzej Pilch, *Prasa studencka w Polsce 1918–1939*, Kraków 1990.
- Andrzej Pilch, *Rzeczpospolita akademicka. Studenci i polityka 1918–1933*, Kraków 1997.
- Andrzej Pilch, *Studencki ruch polityczny w Polsce w latach 1932–1939*, Warszawa–Kraków 1972.
- Władysław Pobóg-Malinowski, *Na rumuńskim rozdrożu*, „Kultura” (Paryż) 1948, nr 7, 8 i 9–10.
- Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, Londyn 1959.
- Zofia Podgórska-Klawe, *Szpitala warszawskie 1388–1945*, Warszawa 1975.
- Polska idea imperialna*, oprac. zespół „Polityki”, Warszawa 1938.
- Józef Poniatowski, *Redaktor „Orla Białego” odchodzi*, oprac. Florian Śmieja, „Archiwum Emigracji” (Toruń) 2006, t. VII–VIII, z. 1–2.
- Alfred Poniński, *Wrzesień 1939 w Rumunii*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1964, nr 6.
- Mieczysław Pruszyński, *Czy Klimkowski był agentem?*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 2001, nr 136.
- Mieczysław Pruszyński, *Migawki wspomnień*, Warszawa 2002.
- Małgorzata Ptasińska, *Rzymskie lata Instytutu Literackiego*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 2001, nr 137.
- Janusz Rabski, *Alma Mater*, Poznań, b.r.
- Edward Raczyński, *W sojusznicy Londynie*, Londyn 1997.
- Janusz Rakowski, *Diariusz wrześniowego dramatu*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1977, nr 39.
- Wojciech Rankowicz, *Żołnierska dusza — wspomnienia z lat 1938–1954*, Warszawa 2002.
- Tadeusz Paweł Rutkowski, *Stanisław Kot 1885–1975. Biografia polityczna*, Warszawa 2000.
- Felicjan Sławoj Składkowski, *Nie ostatnie słowo oskarżonego*, Warszawa 2003.
- Felicjan Sławoj Składkowski, *Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939 r.*, „Kultura” (Paryż) 1948, nr 5.
- Michał Sokolnicki, *Dziennik ankarski 1939–1943*, Londyn 1965.
- Wacław Solski, *Moje wspomnienia*, Paryż 1977.
- Paweł Jerzy Starzeński, *Trzy lata z Beckiem*, Londyn 1972.
- Statystyczna księga wygnańców polskich*, Moskwa 1916–1917.
- 100 lat na Smolnej, czyli dzieje Gimnazjum i Liceum im. Jana Zamoyskiego w Warszawie*, Warszawa 2005.
- Mirosław Adam Supruniuk, *Uporządkować wspomnienia. Nieautoryzowane rozmowy z Jerzym Giedroyciem*, Toruń 2011.
- Zachar Szybieka, *Historia Białorusi*, Lublin 2001.
- Zachar Szybieka, *Minsk sto gadou tamu*, Mińsk 2007.
- Zachar Szybieka, S.F. Szybieka, *Minsk: staronki życia darewalucyjnaga gorada*, Mińsk 1994.
- Ryszard Tomczyk, *Mysł mocarstwowa. Z dziejów młodego pokolenia II Rzeczypospolitej*, Szczecin 2008.
- Barbara Toruńczyk, *Rozmowy w Maisons-Laffitte. 1981*, Warszawa 2006.
- Lew Trocki, *Historia rewolucji rosyjskiej*, tłum. Stanisław Łukomski, Warszawa 1932.
- Kazimierz Michał Ujazdowski, *Żywotność konserwatyzmu. Idee polityczne Adolfa Bocheńskiego*, Warszawa 2005.
- Melchior Wańkowicz, *Droga do Urzędowa*, Warszawa 1989.
- Zygmunt Wenda, *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1992, nr 98.
- Zdzisław Julian Winnicki, *W Mińsku Litewskim, mieście dawnej Rzeczypospolitej*, Wrocław 2005.
- Wiesław Władyka, *Działalność polityczna polskich stronnictw konserwatywnych w latach 1926–1935*, Wrocław 1977.

Wrzesień 1939 r. w relacjach dyplomatów, oprac. Andrzej Skrzypek, Warszawa 1989.
Wspomnienia o Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim, red. Anna Kamińska, Jan Śpiewak, Warszawa 1961.
 Tadeusz Wyrwa, *Ingerencja Francji w sprawy polskie na przełomie 1939/1940*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1980, nr 52.
Zapiski ambasadora Raczyńskiego, „Kultura” (Paryż) 1948, nr 9–10.
 Wacław Alfred Zbyszewski, *Gawędy o ludziach i czasach przedwojennych*, Warszawa 2000.
 Wacław Alfred Zbyszewski, *Zagubieni romantycy*, w: *O „Kulturze”. Wspomnienia i opinie*, oprac. Grażyna i Krzysztof Pomianowie, [Warszawa] 1988.
 Bogdan Znowski, *Galeria moich tobruckich bliźnich*, „Ku wolnej Polsce” (Londyn) 1959, nr 43–45.
 Monika Żeromska, *Wspomnienia*, Warszawa 1996.
 „Biuletyn Korporacyjny” (Warszawa) 1999, nr 10.
 „Biuletyn Warszawskiego Koła Międzykorporacyjnego” 1926–1931.
 „Bunt Młodych” (Warszawa) 1931–1937.
 „Czas” (Kraków) 1930–1933.
 „Dziennik Miński” 1917–1918.
 „Dziennik Piotrogradzki” (Piotrogród) 1916–1918.
 „Dziennik Poznański” 1926–1933.
 „Dzień Polski” (Warszawa) 1926–1933.
 „Echo Polskie” (Moskwa) 1915–1918.
 „Gazeta Polska” (Moskwa) 1916–1918.
 „Głos Fabryczny” (Warszawa) 1930–1931.
 „Głos Polski” (Piotrogród) 1917.
 „Głos Prawdy” (Warszawa) 1929.
 „Goniec Miński” 1918.
 „Kalendarz Miński” 1908, 1910.
 „Kalendarz Polski” (Moskwa) 1916, 1917.
 „Kurier Lwowski” 1934.
 „Kurier Warszawski” 1918–1930.
 „Nad Świsłoczą” (Mińsk) 1914.
 „Nasz Przegląd” (Warszawa) 1933.

„Nowy Kurier Litewski” (Mińsk) 1915–1917.
 „Orzeł Biały” 1944.
 „Placówka” (Mińsk) 1918.
 „Polityka” (Warszawa) 1937–1939.
 „Polska Zbrojna” (Warszawa) 1931.
 „Robotnik” (Warszawa) 1933.
 „Słowo” (Wilno) 1930.
 „Tygodnik Ilustrowany” (Warszawa) 1905.
 „Warszawianka” 1925–1930.
 „Wiadomości Rybackie” (Warszawa) 1931–1933.
 „Wschód” (Warszawa) 1930.
 „Zielona Gromada” (Warszawa) 1930–1932.

Archiwum Akt Nowych, Warszawa.

- Dokumenty Najwyższej Izby Kontroli, jw.
- Kolekcja Jana Karczewskiego, jw.
- Kolekcja Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czołpism, jw.
- Kolekcja Prezydium Rady Ministrów, jw.

Archiwum Instytutu Literackiego, Maisons-Laffitte.

- Archiwum osobiste Henryka Giedroycia, jw.
- Archiwum osobiste Jerzego Giedroycia, jw.
- Maszynopis wspomnień Jerzego Ziemnickiego, jw.
- Zapis rozmów Mirosława A. Supruniuka z Jerzym Giedroyciem, jw.
- Zapis rozmów Teresy Torańskiej z Jerzym Giedroyciem, jw.

Archiwum Miasta Stołecznego Warszawy.

Archiwum prywatne Bogumiła Strzyżewskiego, Warszawa.

Archiwum Urzędu Stanu Cywilnego, Warszawa.

Dokumenty Jerzego Giedroycia, Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego.

Kolekcja Leona Janty-Polczyńskiego, archiwum rodzinne Teresy Tyszkiewicz, Poznań.

Kolekcja profesora Stanisława Kota, Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego, Warszawa.

Kolekcja z Dzikowa Tarnowskich, Archiwum Państwowe w Krakowie.

Kolekcja „Związki i Organizacje Studenckie”, Warszawa.
Kolekcje: A. 9; A. 10; A. 26; KGA; PRM 23, 25, 138, 424, 476, 482, 545;
Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn.
Zespoły: Centralnego Polskiego Komitetu Pomocy dla Uchodźców
w Rumunii; Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom; Polskich
Szkoł Powszechnych, Gimnazjów i Liceów w Rumunii.

Zestawienie podstawowej literatury dotyczącej Jerzego Giedroycia

Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, oprac. Krzysztof Pomian,
Warszawa 1996.
Jerzy Giedroyc, *Emigracja ukraińska. Listy 1950–1982*, Warszawa 2005.
Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy 1946–1961*, oprac. Jan Zie-
liński, Warszawa 1997.
Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, oprac. Andrzej
S. Kowalczyk, Warszawa 1993, 2006.
Jerzy Giedroyc, Konstanty A. Jeleński, *Listy 1950–1987*, oprac. Wojciech
Karpiński, Warszawa 1995.
Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, t. I–II, oprac.
Krzysztof Pomian, Jacek Krawczyk, Warszawa 1999.
Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy 1952–1963*, oprac. Marek Kornat,
Warszawa 2008.
Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, t. I–II, oprac. An-
drzej S. Kowalczyk, Warszawa 1998.
Jerzy Giedroyc, Melchior Wańkowicz, *Listy 1945–1963*, oprac. Aleksan-
dra Ziółkowska-Boehm, Warszawa 2000.
Anty-Kultura. Wybór tekstów o paryskiej „Kulturze”, wybór i wstęp Leopold
Unger, Warszawa 1992.
Ewa Berberysz, *Książę z Maisons-Laffitte*, Warszawa 2000.
Iza Chruślińska, *Była raz „Kultura”...* Rozmowy z Zofią Hertz, Lublin
2003.
Józef Czapski, *Świat w moich oczach*. Rozmowy przeprowadził Piotr
Kłoczowski, Ząbki–Paryż 2001.
Józef Czapski, *Tumult i widma*, Paryż 1981.
Hanna Maria Giza, *Ostatnie lato w Maisons-Laffitte*, Wrocław 2007.

Magdalena Grochowska, *Jerzy Giedroyc*, Warszawa 2009.
Rafał Habielski, *Dokąd nam iść wypada? Jerzy Giedroyc od „Buntu Młodych”
do „Kultury”*, Warszawa 2007.
Rafał Habielski, Jerzy Jaruzelski, *Zamiary. Przestrogi. Nadzieje. Wybór
publicystyki. „Bunt Młodych” — „Polityka” 1931–1939*, Lublin 2008.
Zygmunt Hertz, *Listy do Czesława Miłosza*, Paryż 1992.
Jerzy Giedroyc — Redaktor — Polityk — Człowiek, zebrał Krzysztof Po-
mian, Lublin 2001.
Krzysztof Kopczyński, *Przed przystankiem Niepodległość*, Warszawa 1990.
Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Giedroyc i „Kultura”*, Wrocław 1999.
Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Od Bukaresztu do Laffittów. Jerzego Giedroycia
Rzeczpospolita epistolarna*, Sejny 2006.
„Kultura” i jej krag. *Katalog wystawy czterdziestolecia Instytutu Literackiego*,
Paryż 1987.
Tadeusz Mateja [Tadeusz Rozmanit], *Podwójne życie Jerzego Giedroycia*,
Malmö 1965.
Andrzej Mencwel, *Przedwiośnie czy potop*, Warszawa 1997.
Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952–1998*, Wrocław 2001.
O „Kulturze”. Wspomnienia i opinie, oprac. Grażyna i Krzysztof Pomiano-
wie, [Warszawa] 1988.
Polska idea imperialna, oprac. zespół „Polityki”, Warszawa 1938.
Mieczysław Pruszyński, *Migawki wspomnień*, Warszawa 2002.
Spotkania z paryską „Kulturą”, red. Zdzisław Kudelski, Warszawa 1995.
Mirosław Adam Supruniuk, *Uporządkować wspomnienia. Nieautoryzowane
rozmowy z Jerzym Giedroyciem*, Toruń 2011.
Barbara Toruńczyk, *Rozmowy w Maisons-Laffitte 1981*, Warszawa 2006.

Źródła ilustracji

Ilustracje pochodzą z:

Archiwum Instytutu Literackiego, Maisons Laffitte strony: 39, 158, 180, 185, 190, 198, 204 (Bocheński i Prądyńska), 215, 219, 222, 223 (Giedroyc), 225, 234 (Tatiana przy samochodzie), 249, 253, 255, 256, 260, 262, 278 (przepustka), 281, 312, 340, 365, 368, 372, 383, 385, 390, 391, 393, 396, 399, 405, 406, 409, 416, 420, 422, 423, 424, 425, 427, 428, 430, 438, 440, 445, 455, 456, 460, 462, 464–465, 468

Archiwum Instytutu Literackiego, Maisons Laffitte (Archiwum Jerzego Giedroycia) strony: 15, 18, 20, 99, 110, 234 (Tatiana w kapeluszu), 237, 238, 454,

Archiwum Instytutu Literackiego, Maisons Laffitte (Archiwum Henryka Giedroycia) strony: 13, 14, 31, 63, 78, 112, 251, 277, 353, 379

Narodowe Archiwum Cyfrowe strony: 92, 102, 125 (Pożaryski i Karczewski), 129, 193, 204 (Ksawery Pruszyński), 212, 213, 214, 216, 258, 265, 266, 311, 319, 356, 437

Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego strony: 111, 114, 117

Archiwum Państwowe m. st. Warszawy [Logo] strony: 87, 230

Archiwum Akt Nowych strony: 136, 137, 156, 210–211

Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych strona: 278 (ambasada)

Centralne Archiwum Wojskowe strona 283 (Zakrzewski)

Archiwum Bogumiła Strzyżewskiego strona 28

Archiwum Leona Janty-Połczyńskiego, ze zbiorów pani Teresy Tyszkiewicz strony: 154, 160, 162, 166, 170

Archiwum Roberta Marcinkowskiego strony: 85, 229

Archiwum prywatne Grażyny Pilszak strony: 122, 123

Archiwum prywatne Ireneusza Kondrowa strona 195

Biblioteka Narodowa strony: 34, 42, 45, 53, 55, 65, 68, 73, 75, 76, 82, 86, 90, 94, 104, 105, 132, 133, 139, 140, 141, 142, 143, 145, 152, 189, 248, 338

Biblioteka na Koszykowej, Biblioteka Publiczna m. st. Warszawy strony: 46, 53 („Gazeta Polska”), 54

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Lublinie strona 83

Liceum Jana Zamoyskiego w Warszawie strony: 96, 97

Muzeum Wojska Polskiego strona 120

Instytut Polski i Muzeum Generała Sikorskiego w Londynie strony: 285, 286, 291, 297, 300, 301, 302, 307, 320, 322–364, (listy i skany listów J. Giedroycia do R. Raczyńskiego), 343, 452

Biblioteka Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej im ks. Jana Jabłońskiego strona 386

Muzeum Diecezji Żmudzkiej strony: 482, 487

Państwowe Archiwum Historyczne Litwy strona 495

Pamięci Jerzego Giedroycia, Mińsk 2006 (*Na uszanowanie pamięci Jerzego Giedroycia, Mińsk 2006*) strona 22

fot. Ria Novosti/EastNews strona 50

Library of Congress, Prints & Photographs Division, [LC-DIG-ggbain-24971] strona 59

Biblioteka Cyfrowa Uniwersytetu Łódzkiego strony: 66, 91

Archiwum prywatne Władimira Wołozhinskiego strony: 67, 79 (W. Lichadzedau, *Bielarus przez obiektyw niemieckiego żołnierza 1915–1918*, Minsk 2008 / W. Lichadzedau, *Białoruś w obiektywie niemieckiego żołnierza 1915–1918*, Mińsk 2008)

Biblioteka Sejmowa strona 75

Waldemar Grabowski, *Polska Agencja Telegraficzna 1918–1991*, PAP, Warszawa 2005 strona 115

„Mocarstwowiec” 2 czerwca 1929, kopia za: Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Giedroyc i „Kultura”*, Wrocław 1999 strona 125 (Piłsudski)

Mieczysław Pruszyński, *Migawki wspomnień*, Warszawa 2002 strona 203

© Peter Campbell/CORBIS/ Fotochannels strona 218

© Frédéric Astier/Sygma/Corbis/FotoChannels strona 458

© Bettmann/Corbis/FotoChannels strona 459

Pocztówka z lat trzydziestych XX wieku, Metro-Goldwyn-Mayer strona 223 (Boyer)

„Mówią Wieki”..... strona 245

[www.mapywig.org/archiwum Jerzego Godynia](http://www.mapywig.org/archiwum/Jerzego_Godynia) strona 259

Wikipedia strony: 269, 388, 479,

Archiwum prywatne Macieja Morawskiego strona 283 (Morawski)

Prywatne archiwum Alexa Galmeanu strona 325

Karta pocztowa z lat dwudziestych XX wieku strona 350

© www.worldnavalships.com strona 375

Imperial War Museum strona 377

Stanisław Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, Londyn 1955 strony: 411, 412

John Oxley Library, State Library of Queensland, Neg: 179394 strona 433

Fot. Aries77/ www.gallipolievacanze.it strona 450

„L’Unità” 7 września 1945 strona 467

Herbarz polski Kaspra Niesieckiego S.J.: powiększony dodatkami z późniejszych autorów, rękopismów, dowodów urzędowych. wydany przez Jana Nepomucena Bobrowicza strona 474

Zbysław Wojtkowiak, *Lithuania Transwilniensis saec. XIV–XVI : podziały Litwy północnej w późnym średniowieczu*, Poznań 2005 strona 476

Fot. Magdalena Łużna strona 481

L. Chodźko, *La Pologne historique, littéraire, monumentale et pittoresque, ou Précis historique [...]*, Paris 1839–1842 / Zakład Narodowy im. Ossolińskich strona 488

General Collection, Beinecke Rare Book and Manuscript Library, Yale University strona 491

www.wehrmacht-polacy.pl strona 392

Drzewo genealogiczne rodu Giedroyciów strony 492–493 — opracował autor.

Indeks osób

Spis treści

.....	5
I. Urodzony w Domu Polaka...	10
II. W Moskwie — szkoła i rewolucja	33
III. Znowu Mińsk	57
IV. Minaret, drewniaki i likier różany	84
V. Mocarstwowcy — masoni i cykliści	113
VI. Konserwatywne „Buntu” początki	151
VII. „Bunt” — przeciw komu? „Polityka” — jaka?	175
VIII. Pan Redaktor, Pan Radca	200
IX. Jerzy	220
X. Wrzesień — finis Poloniae?	243
XI. Bukareszt — w ambasadzie	274
XII. Diabli biorą! Bukareszt 1940/1941	316
XIII. Wojna, czyli wakacje	367
XIV. Pod namiotami	402
XV. „...ale co dalej?”	434
Zamiast zakończenia...	470
Od Nerona do Napoleona — legenda i rzeczywistość Giedroyciów. Suplement.	472
Ważniejsze źródła i lektury, cytowane i polecane	497
Źródła ilustracji	506
Indeks osób	510

© Copyright by Marek Żebrowski
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2012

Wydanie pierwsze

Opieka redakcyjna
Lucyna Kowalik

Redakcja
Roman Włodek

Indeks osób
Maciej Zarych

Korekta
Ewa Kochanowicz, Henryka Salawa, Urszula Srokosz-Martiuk

Opracowanie graficzne
Marek Pawłowski

Zdjęcie na okładce
Fotografia Jerzego Giedroycia z 1943 roku, z legitymacji PRO
(Public Relations Officer); w tle mapa Polski przed II wojną światową

Redakcja techniczna
Bożena Korbut

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2012
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Infomarket
Druk i oprawa: Drukarnia

ISBN 978-83-08-04975-4